

Dziwne losy Jane Eyre



CHARLOTTE BRONTË

Dziwne losy Jane Eyre

TŁUM. TERESA ŚWIDERSKA

ROZDZIAŁ I

Niepodobna było tego dnia wyjść na spacer. Rano co prawda snuliśmy się z godzinę po bezlistnym ogrodzie, ale po obiedzie (pani Reed, gdy nie było gości, jadała wcześniej) chłodny wiatr zimowy napędził tak ciemne chmury i deszcz tak przenikliwy, że dalsze przebywanie na świeżym powietrzu stało się niemożliwe.

Rada byłam z tego; nigdy nie lubiłam długich spacerów, zwłaszcza w chłodne popołudnia — tak się obawiałam tych powrotów do domu o zmroku ze zmarzniętymi palcami u rąk i u nóg, z sercem ściśniętym upomnieniami Bessie, naszej bony¹, i upokorzonym w poczuciu, że Eliza, John i Georgiana Reed o tyle zręczniejsi i silniejsi są ode mnie.

Eliza, John i Georgiana skupili się teraz dokoła swej mamy w salonie. Pani Reed spoczywała na kanapce przy kominku, a mając wokoło siebie pieszczochów (którzy w tej chwili nie klócili się ani nie krzyczeli), sprawiała wrażenie zupełnie szczęśliwej. Mnie zabroniła zbliżyć się do siebie, mówiąc, że „żałuje, iż musi trzymać mnie z daleka, lecz dopóki nie usłyszy od Bessie i sama nie zauważy, że naprawdę staram się wyrobić w sobie bardziej towarzyskie, odpowiedniejsze dla dziecka usposobienie, że staram się być naturalniejsza, żywsza i przyjemniejsza w obejściu, dopóty będzie musiała odmówić mi tych przywilejów, jakie się należą tylko zadowolonym i wesołym dzieciom”.

— O co Bessie skarżyła się na mnie? — zapytałam.

— Jane, nie znoszę chwytania za słowa i dopytywań. A przy tym to doprawdy oburzające, gdy dziecko w ten sposób przemawia do starszych. Siądź sobie, gdzie ci się podoba, a skoro nie umiesz mówić grzecznie, bądź cicho.

Pokoik, gdzie jadało się śniadanie, przylegał do salonu. Tam się wsunęłam. Stała tutaj półka z książkami. Wyciągnęłam jeden tom, starannie wybrawszy obficie ilustrowany. Wsunąwszy się na siedzenie w zagłębieniu okna, podwinęłam nogi i usiadłam po turecku, a zaciągnąwszy prawie szczelnie paśową, morową² zasłonę u okna, poczułam, że jestem ukryta i odosobniona.

Fałdy paśowej draperii zasłaniały mi widok z prawej strony; z lewej szyba szklana chroniła, choć nie odgradzała mnie od posępności listopadowego dnia. W przerwach, obracając karty książki, przyglądałam się naturze. W oddali rozciągała się biała pustka mgieł i chmur, bliżej widać było mokry trawnik i krzew szarpany wiatrem oraz nieustające potoki deszczu, gwałtownie gnane wichrem.

Powróciłam do książki. Była to *Historia ptaków brytyjskich*³ Bewicka⁴. O tekst drukowany mało naturalnie dbałam, jednakże były tam pewne wstępne stronicy, które zajmowały mnie mimo mych lat dzieciennych. Stronice te traktowały o siedzibach i gniazdach ptaków morskich, „o samotnych skałach i przylądkach”, które tylko one zamieszkują, i o wybrzeżach Norwegii z szeregiem wysepki biegnących od południowego krańca aż do Przylądka Północnego⁵.

¹bona (daw.) — opiekunka do dzieci w zamożnych rodzinach. [przypis edytorski]

²morowy — wykonany z mory, jedwabnej tkaniny o mieniącym się deseniu. [przypis edytorski]

³*Historia ptaków brytyjskich* — ang. *History of British Birds*, publikacja Thomasa Bewicka (1753–1828) z lat 1797–1804. [przypis edytorski]

⁴Bewick, Thomas (1753–1828) — angielski ilustrator, drzeworytnik i ornitolog. [przypis edytorski]

⁵Przylądek Północny — (norw.) Nordkapp, skalisty przylądek klifowy w Norweskiej gminie Nordkapp. [przypis edytorski]

Tam, gdzie Arktyku⁶ wartka, chłodna fala
Tuli samotną wysepkę, okala;
Tam, gdzie do Hebryd⁷ wody Atlantyku⁸
Szturm ponawiają wśród bałwanów ryku.

Nie mogłam też pominąć wzmianki o pustych wybrzeżach Laponii⁹, Syberii¹⁰, Szpicbergu¹¹, Islandii, Grenlandii¹² z ich olbrzymią przestrzenią strefy arktycznej, strasznym, bezludnym przestworem, gdzie stwardniałe pola lodowe, przez całe wieki narastając w stronę wyżyn alpejskich, otaczają biegun polarny i są siedzibą najsroźszego zimna. O tej śmiertelnie białej krainie wytworzyłam sobie własne pojęcia: mgliste — jak wszystkie na wpół zrozumiane wyobrażenia, niejasno tworzące się w umysłach dzieci — ale dziwnie przejmujące. Tekst tych wstępnych stronici nawiązywał do następujących dalej obrazków i nadawał znaczenie to skale, sterczącej samotnie wśród morza bałwanów i piany, to zdruzgotanej łodzi, wyrzuconej na opuszczone wybrzeża, to zimnej, widmowej twarzy księżycy, spoglądającego zza chmury jak spoza krat na tonący właśnie okręt.

Każdy obrazek coś opowiadał, często coś zagadkowego dla mojego dziecinnego umysłu i niewykształconych uczuć, ale zawsze głęboko zajmujące — tak jak bajki, które nam niekiedy w zimowe wieczory opowiadała Bessie, gdy była w dobrym humorze. Wtedy to, przesunąwszy stół do prasowania przed kominek w dziecinnym pokoju, pozwalała nam usiąść dookoła i prasując koronkowe falbanki pani Reed albo rurkując brzegi jej nocnych czepków, karmiła ciekawość naszą opowiadaniem o miłości i o przygodach, zaczerpniętymi ze starych bajek o wróżkach i z dawnych ballad lub też (jak później odkryłam) z książek *Pamela* i *Henryk, hrabia Moreland*¹³.

Z Bewickiem na kolanach czułam się w owej chwili szczęśliwa, a przynajmniej po swojemu szczęśliwa. Bałam się tylko, żeby mi nie przeszkodzili. Niestety, stało się to aż nazbyt prędko. Otworzyły się drzwi od salonu.

— He! Panno mrukliwa! — usłyszałam krzyk Johna Reeda, który nagle umilkł; pokój widocznie wydał mu się pusty. — Gdzie u licha ona być może! — krzyczał dalej. — Elizo, Georgiano — wołał na siostry — Jane tu nie ma, powiedzcie mamie, że wyleciała na deszcz. Nieznośna dziewczyna!

„Dobrze zrobiłam, że zaciągnęłam zasłonę” — pomyślałam, gorąco pragnąc, by nie odkrył mojej kryjówki. John Reed nie byłby jej odkrył samodzielnie, nie był on ani bystry, ani pomysłowy, ale Eliza w tejsze chwili wsunęła głowę przez drzwi i od razu powiedziała: — Z pewnością jest we framudze okiennej, John!

Ja też natychmiast wyszłam z ukrycia, gdyż drżałam na myśl, że mnie John stamtąd wyciągnie.

— Czego chcesz ode mnie? — zapytałam nieśmiało, bardzo załęczniona.

— Powiedz raczej: „Czego pan chce ode mnie, panie Reed?” — odpowiedział. — Chcę, żebyś tu przyszła!

I zasiadłszy w fotelu, wskazał mi gestem, że mam się przybliżyć i stanąć przed nim.

John Reed był to sztubak¹⁴ czterystoletni, o cztery lata starszy ode mnie, gdyż wtedy miałam lat dziesięć. Duży był i tegi na swój wiek, o nieczystej i niezdrowej cerze, grubych rysach na rozlanej twarzy, ciężkiej budowie i wielkich rękach i nogach. Objadał się stale przy stole, co oddziaływało na jego wątrobę i powodowało mętność oczu oraz obwisłość policzków. Powinien być obecnie w szkole, jednakże matka zabrała go do domu na miesiąc

⁶Arktyk a. *Ocean Arktyczny* — najmniejszy, najpłytszy i prawdopodobnie najmłodszy ocean na Ziemi, oblewający biegun północny w Arktyce. [przypis edytorski]

⁷Hebrydy — szkocki archipelag na Atlantyku, złożony z ok. 500 wysp. [przypis edytorski]

⁸Atlantyck a. *Ocean Atlantycki* — drugi pod względem wielkości ocean na Ziemi. [przypis edytorski]

⁹Laponia — region w pln. Finlandii. [przypis edytorski]

¹⁰Syberia — kraina geograficzna w pln. Azji, w obrębie Rosji. [przypis edytorski]

¹¹Szpicberg a. *Spitsbergen* — największa wyspa Norwegii, położona na Morzu Arktycznym. [przypis edytorski]

¹²Grenlandia — autonomiczne terytorium zależne Danii, położone na wyspie. [przypis edytorski]

¹³*Pamela i Henryk, hrabia Moreland* — ang. *The Fool of Quality; or The History of Henry, Earl of Moreland* (1765–1770), lotrzykowska, sentymentalna powieść irlandzkiego pisarza Henry'ego Brooke'a (1703–1783). [przypis edytorski]

¹⁴sztubak (daw.) — gimnazjalista lub uczeń szkoły średniej. [przypis edytorski]

lub dwa „z powodu jego delikatnego zdrowia”. Pan Miles, nauczyciel, utrzymywał, że chłopak byłby najzupełniej zdrowy, gdyby mu nie przysyłano z domu tyle ciast i słodczy. Serce matki jednak nie podzielało tak surowego sądu i pani Reed przypisywała zły wygląd syna raczej przepracowaniu, a może tęsknocie za domem.

John nie był wielce przywiązany do matki i sióstr, a mnie po prostu nie cierpiał. Obchodził się ze mną brutalnie i bił mnie — i to nie dwa lub trzy razy na tydzień albo raz lub dwa razy na dzień, ale stale. Bałam się go każdym nerwem, drżałam na całym ciele, gdy się do mnie zbliżał. Były chwile, gdy wprost traciłam przytomność — takim przejmował mnie strachem, gdyż nie miałam nikąd ochrony przed jego groźbami i szturchanicami. Służba nie miała ochoty ujmować się za mną, by nie narażać się młodemu panu, a pani Reed na jego zachowanie była głucha i ślepa. Nigdy nie widziała, gdy John mnie bił, nigdy nie słyszała, gdy mi wymyślał, choć nieraz to czynił w jej obecności, jakkolwiek częściej za jej plecami.

Jak zwykle posłuszna Johnowi, zbliżyłam się do jego fotela. Najpierw pokazał mi język w całej okazałości, trzymając go tak wyciągniętym przez jakie trzy minuty. Wiedziałam, że za chwilę mnie uderzy, a choć lękałam się ciosu, to widząc Johna, nie mogłam się pozbyć myśli, że jest brzydki i wstrętny. Może wyczytał to z mojej twarzy, gdyż nic nie mówiąc, nagle uderzył mnie z całej siły. Zachwiałam się, a odzyskawszy równowagę, cofnęłam się o dwa kroki.

— To za twoje zuchwałe odpowiadanie mamie — powiedział — i za twoje skradanie się i chowanie za firankami, i za to spojrzenie przed chwilą, ty szelmo!

Przyzwyczajona do besztania¹⁵ ze strony Johna, nie pomyślałam nawet, by mu odpowiedzieć. Myślałam tylko, jak znieść szturchaniec, który z pewnością nastąpi po obeldze.

— Coś ty robiła tam za firanką? — zapytał.

— Czytałam.

— Pokaż książkę.

Poszłam do okna i przyniosłam ją stamtąd.

— Nie masz prawa brać naszych książek. Mama powiedziała, że jesteś tutaj na łasce; nie masz pieniędzy, twój ojciec nic ci nie zostawił. Powinna byś żebrać, a nie mieszkać z pańskimi dziećmi, takimi jak my, jadać to samo, co my jadamy, i nosić suknie kosztem naszej mamy. A teraz ja cię nauczę, co to znaczy gospodarować na moich półkach z książkami. Bo one są moje, cały dom do mnie należy albo będzie należał za lat kilka. Idź i stań przy drzwiach, z daleka od lustra i od okien.

Uczyliłam to, nie zorientowawszy się od razu co do jego zamiaru, ale gdy zobaczyłam, że John podnosi książkę, waży ją w rękę i wstaje, chcąc nią we mnie cisnąć, instynktownie uskokczyłam w bok z okrzykiem przestrawu. Nie dość jednak szybko — tom został rzucony. Trafił mnie, a ja upadłam, uderzając o drzwi głową i rozcinając ją sobie. Rana krwawiła, ból był bardzo ostry; mój strach minął, obudziły się natomiast inne uczucia.

— Niegodziwy, okrutny chłopcze! — zawołałam. — Nie lepszy jesteś od rozbójnika... Od poganiacza niewolników... od rzymskich cesarzy!

Czytałam Goldsmitha¹⁶ *Historię Rzymu*¹⁷ i miałam wyrobione zdanie o Kaliguli¹⁸, Neronie¹⁹ i ich następcach. Robiłam nieraz porównania w milczeniu, nigdy nie przypuszczając, że je w ten sposób wypowiem głośno.

— Co? Co? — krzyknął. — Czy ona to do mnie powiedziała? Słyszałyście, Elizo, Georgiano? Jeżeli ja tego mamie nie powiem! Ale najpierw...

Rzucił się ku mnie. Poczułam, że chwyta mnie za włosy i za ramię, ale tym razem walczył ze zrozpaczonym stworzeniem. Ja rzeczywiście widziałam w nim tyrana, mordercę. Czulałam, że kilka kropel krwi ścieka mi z głowy po karku, dokuczał mi piekący ból — w tej chwili strach zmienił się we mnie we wściekłość. Nie wiem dobrze, co moje ręce uczyniły, dość że John wrzasnął: „Ty szelmo! Ty szelmo!” i uderzył w głośny alarm.

¹⁵besztanie — karcenie, ganieńie, strofowanie; robienie krytycznych uwag w tonie nagany. [przypis edytorski]

¹⁶Goldsmith, Oliver (1728–1774) — irlandzki lekarz i pisarz. [przypis edytorski]

¹⁷Historia Rzymu — właśc. (ang.) *Roman History Abridged by Himself for the Use of Schools*, książka Olivera Goldsmitha (1728–1774) opublikowana w 1772 r. [przypis edytorski]

¹⁸Kaligula (12–41) — Gaius Iulius Caesar Augustus Germanicus, cesarz rzymski od 37 r. do śmierci. [przypis edytorski]

¹⁹Neron (37–68) — Nero Claudius Caesar Drusus Germanicus, cesarz rzymski w latach 54–68. [przypis edytorski]

Zaraz też znalazł szybką pomoc: dziewczęta pobiegły po panią Reed, która była na górze. Stanęła teraz wobec tego, co się działo, a za nią Bessie i służąca, panna Abbot. Rozłączono nas, usłyszałam słowa:

— Rany boskie! A cóż to za złościca, żeby tak się rzucić na pana Johna!

— Czy widział kto kiedy coś podobnego! Taką wściekłą pasję!

A pani Reed dorzuciła:

— Zabierzcie ją do czerwonego pokoju i tam ją zamknijcie!

Czworo rąk pochwyliło mnie natychmiast i zaniósło na górę.

ROZDZIAŁ II

Stawiałam opór przez całą drogę. Był to objaw zupełnie nowy i wielce pogłębiający złe wyobrażenie, jakie Bessie i Abbot skłonne były mieć o mnie. Faktycznie straciłam panowanie nad sobą; wiedziałam, że chwilowym buntem ściągnęłam już na siebie kary, lecz jak każdy zbuntowany niewolnik w rozpaczy postanowiłam iść do końca.

— Proszę trzymać jej ręce, panno Abbot! Rzuci się jak wściekła kotka.

— Wstyd! Wstyd! — wołała panna służąca. — Jakie to nieprzyzwoite zachowanie, panno Eyre, bić młodego panicza, syna swojej dobrodziejki! Swojego młodego pana!

— Pana! Jakim sposobem jest on moim panem? Czyż ja jestem służącą?

— Nie, panienka jest mniej niż służącą, gdyż nic nie robi za swe utrzymanie. No, proszę usiąść i zastanowić się nad swoją niegodziwością.

Wniosły mnie tymczasem do wskazanego przez panią Reed pokoju i rzuciły na otomanę²⁰. Odruchowo chciałam wstać jak sprężyna, ale dwie pary rąk powstrzymały mnie w tej samej chwili.

— Jeżeli panienka nie będzie siedzieć spokojnie, będziemy ją musiały przywiązać — rzekła Bessie. — Panno Abbot, niech mi panna pożyczy swoje podwiązki, moje zerwałaby od razu.

Panna Abbot odwróciła się, by zdjąć z grubej nogi potrzebne tasiemki. To przygotowanie więzów i dodatkowa hańba z tym złączona uspokoiły mnie nieco.

— Proszę podwiązek nie zdejmować! — zawołałam. — Będę siedziała spokojnie.

I na poparcie tych słów chwyciłam się rękoma siedzenia.

— No, więc proszę pamiętać — rzekła Bessie, a przekonawszy się, że się rzeczywiście uspokajam, przestała mnie przytrzymywać.

Teraz, założywszy ręce, stały obydwie, patrząc chmurnie i podejrzliwie w moją twarz, jak gdyby niepewne, czy jestem przy zdrowych zmysłach.

— Nic podobnego nigdy przedtem nie zrobiła — rzekła w końcu Bessie, zwracając się do Abbot.

— Ale to zawsze w niej tkwiło — brzmiała odpowiedź. — Często mówiłam pani, co sądzę o tym dziecku, a pani zgadzała się ze mną. To chytre, małe stworzenie. Nigdy nie widziałam dziecka w jej wieku tak bardzo skrytego.

Bessie nie odpowiedziała. Po chwili jednak, zwracając się do mnie, rzekła:

— Panienka powinna rozumieć, że ma obowiązek wdzięczności wobec pani Reed. Pani Reed panienkę utrzymuje, gdyby panienkę wyгнаła, musiałaby panienka iść do domu pracy.

Milczałam, gdyż nie była to dla mnie nowina. Jak sięgam pamięcią, słyszałam już nieraz podobne napomknienia. To wymawianie mi, że jestem na łasce, objęło się o moje uszy jak niejasna zwrotka, bardzo było przykre i upokarzające, ale tylko w połowie zrozumiałe. Abbot dorzuciła:

— I nie powinna się panienka uważać za równą z pannami Reed i paniczem dlatego, że pani łaskawie pozwala, by się panienka chowała razem z nimi. Oni będą mieli dużo pieniędzy, a panienka nie będzie miała nic. Panience przystoi być pokorną i starać się im podobać.

— To, co panience mówimy, to tylko dla jej dobra — dodała Bessie łagodniejszym głosem. — Panienka powinna starać się być pożyteczna i miła, a wtedy może będzie panienka miała tutaj swój dom. Ale jeśli panienka będzie gwałtowna i szorstka, to jestem pewna, że pani odeśle stąd panienkę.

²⁰otomana — niska kanapa z bocznymi wałkami i miękkim oparciem. [przypis edytorski]

— A przy tym — wtrąciła Abbot — Pan Bóg może panienkę pokarać. Może jej zesłać nagłą śmierć w chwili, gdy wyprawiać będzie hece, a wtedy dokąd pójdzie? Wyjdźmy, Bessie, zostawimy ją tu. Ach, nie chciałabym za nic zamienić się z nią na dusze! Niech się panienka modli, panno Eyre, gdy zostaniesz sama. Bo jeżeli nie będziesz żalować, to Pan Bóg może dopuścić, że „coś” spuści się kominem i cię porwie.

Poszły, zamknąwszy drzwi za sobą i przekręciwszy klucz w zamku.

Czerwony pokój był pomieszczeniem zapasowym, w którym bardzo rzadko sypiano, chyba że wymusił to przypadkowy wielki napływ gości do Gateshead²¹ Hall²². A jednak był to jeden z największych i najokazalszych pokoi we dworze. Na środku stało łóżko, wsparte na masywnych, mahoniowych filarach z kotarą z ciemnopąsowego adamaszku. Dwa wielkie okna z zapuszczonymi stale storami udrapowane były w festony²³ i fałdy z podobnej materii. Dywan był czerwony, a stół u stóp łóżka nakryty karmazynowym sukniem. Ściany miały delikatny kolor brązowy z odcieniem różowym, szafa, toaleta i krzesła były z polituowanego, starego mahoni. Na tle tych ciemnych barw wznosił się wysoko i jaśniał białością stos materaców i poduszek na łóżku, nakryty śnieżną kapą. Nie mniej zwracał uwagę szeroki, wyściełany fotel, stojący u wezłowia łóżka — również biały, z ustawionym przed nim podnóżkiem. Pomyślałam, patrząc nań, że wygląda jak jakiś błady tron.

W pokoju tym było chłodno, gdyż rzadko w nim palono, i cicho, bowiem leżał daleko od dziecinnej i kuchni. Panował tu uroczysty nastrój, ponieważ było wiadomo, że rzadko doń wchodziło. Jedynie pokojówka przekraczała jego próg co sobotę, by zetrzeć tygodniowy kurz z luster i mebli, sama zaś pani Reed odwiedzała go czasami, aby przejrzeć zawartość pewnej tajemnej szuflady w szafie, gdzie były złożone różne pergaminy, szkatułka z klejnotami i miniaturowy portret jej nieboszczyka męża. Tu leży tajemnica czerwonego pokoju, tajemnica jego opuszczenia mimo okazałości.

Pan Reed nie żył już od dziewięciu lat — w tym pokoju wydał ostatnie tchnienie. Tutaj leżał, wystawiony na paradnym katafalku, stąd ludzie z przedsiębiorstwa pogrzebowego wynieśli jego trumnę i od tego dnia uczucie uświęcającej grozy chroniło ten pokój od częstych odwiedzin.

Niska otomana, do której przykutą zostawiła mnie Bessie i złośliwa Abbot, stała blisko marmurowego kominka. Łóżko wznosiło się przede mną, po prawej stronie umieszczona była wysoka, ciemna szafa, której błyszcząca powierzchnia załamywała odbłaski światła, po lewej znajdowały się okna z udrapowanymi tkaninami. Wielkie lustro pomiędzy nimi duplikowało²⁴ ponury majestat łóżka i pokoju. Nie byłam zupełnie pewna, czy dwie kobiety zamknęły drzwi na klucz, i gdy odważyłam się poruszyć, wstałam i poszłam się przekonać. Niestety, tak — żadne więzienie nie mogło być pewniejsze. Wracając, musiałam przejść obok lustra. Mój wzrok, jakby urzeczony, spoczął na nim bezwiednie. Odbicie powodowało, że wszystko wydawało się zimniejsze niż w rzeczywistości, a dziwna, mała figurka, patrząca stamtąd na mnie, z białą twarzą i białymi rękami — jak plamy w ciemności, z błyszczącymi, wystraszonymi oczami, poruszająca się nieśmiało tam, gdzie wszystko tonęło w nieruchomości, zrobiła na mnie wrażenie prawdziwego ducha. Pomyślałam, że podobna jest do tych zjaw, co to są niby boginkami, a niby chochlikami, które wedle wieczornych opowiadań Bessie wychodzą z odludnych, paprocią zarosłych zakątków wśród wzgórz i jawią się spóźnionym podróżnym. Powróciłam na swoje miejsce.

Strach zabobonny już w tej chwili zaczynał mnie ogarniać, ale nie była to jeszcze godzina jego zupełnego zwycięstwa, nadal czułam w sobie ciepłą krew. Nastrój zbuntowanego niewolnika krzepił mnie gorzką mocą. Musiałam wpieryć zatamować szybki pęd myśli, biegnącej wstecz, zanim bym się ugięła przed straszną chwilą obecną.

Cała brutalna tyrania Johna Reeda, dumna obojętność jego siostr, odraza ich matki, stronnictwo służby — wszystko to kotłowało się w mojej zaniepokojonej duszy jak brudny osad w zmaczonej studni. Dlaczego ja mam zawsze cierpieć, zawsze być upokarzana, zawsze oskarżana, raz na zawsze potępiona? Dlaczego nie mogłam nigdy nikomu dogodzić? Dlaczego daremnie starałam się pozyskać czyjekolwiek względy? Elizę, która była

Sierota, Krzywda

²¹Gateshead — miasto w pln.-wsch. części Anglii. [przypis edytorski]

²²Hall (ang.) — tu: dwór, posiadłość. [przypis edytorski]

²³feston — tkanina upięta dekoracyjnie w formie girlandy lub draperii. [przypis edytorski]

²⁴duplikować — podwajać. [przypis edytorski]

uparta i samolubna, szanowano. Georgianie, rozpieszczonej, kapryśnej, skwaszonej, kłótlivej i aroganckiej w obejściu, ogólnie pobbazano. Jej uroda, różowe policzki i złote loki, widocznie zachwycaly każdego, kto na nią patrzył, i okupywały bezkarność. Johnowi nikt się nie sprzeciwiał, tym bardziej nikt go nie karał, chociaż ukręcał główki gołębiom, zabił małe pawie, szczuł owce psami, winograd²⁵ w cieplarni ogałcał z owoców i obłamywał pączki najrzadszych roślin w oranżerii. Zwracał się też do matki „ty stara”, a niekiedy urągał jej, że ma brzydka, ciemną cerę — taką, jak zresztą miał on sam. Szorstko opierał się wszelkim jej życzeniom, nie raz rozdarł lub poplamiał jej jedwabną suknię, a jednak był zawsze „najdroższym synkiem”. Ja nie ośmielałam się zawinić w niczym, usiłowałam spełniać wszystkie swoje obowiązki, a jednak od rana do wieczora nazywano mnie niegrzeczną, nudną, kwaśną i skrytą.

Głowa wciąż mnie jeszcze bolała i krwawiła od uderzenia i od upadku. Nikt nawet nie zgał Johna za to, że mnie niesłusznie uderzył, lecz gdy w obronie przed dalszym gwałtem zwróciłam się przeciw niemu, spadło na mnie ogólne potępienie.

„Co za niesprawiedliwość! Co za niesprawiedliwość!” — wołał mój rozum i w myśli, podnieconej doznana krzywdą, szukałam jakichś niezwykłych sposobów wydobycia się z tego nieznośnego ucisku. Przemyślałam, czy by nie uciec, a gdyby to okazało się niemożliwe, żeby już ani nie jeść, ani nie pić i umrzeć w ten sposób.

Jakaż rozterka targała duszą moją tego okropnego popołudnia! Jak wrzał mózg mój zamieszaniem, a serce — buntem! A jednak w jakiej ciemnicy i głębokiej nieświadomości toczyła się ta walka duchowa! Nie mogłam znaleźć odpowiedzi na wciąż powracające pytanie, *dlaczego* ja tak cierpię. Teraz, z odległości tylu lat znajduję ją łatwo.

Byłam dysonansem w Gateshead Hall. Do nikogo tam nie byłam podobna, nic we mnie nie układało się harmonijnie z panią Reed, jej dziećmi i z dobranymi przez nią domownikami. Jeżeli oni mnie nie kochali, to i ja również ich nie kochałam. Nie potrzebowali być przyjaźnie usposobieni do stworzenia, które nie sympatyzowało z żadnym z nich, do stworzenia tak odrębnego, przeciwnego im temperamentem, zdolnościami, skłonnościami, stworzenia niepotrzebnego, niemogącego służyć ich interesom ani przyczyniać im przyjemności, szkodliwego stworzenia, noszącego w duszy zarodki oburzenia na ich traktowanie, pogardę dla ich sądu. Wiem, że gdybym była dzieckiem żwawym, wesołym, niedbałym, wymagającym, ładnym, rozpuszczonym, choć równie zależnym i równie bezprzyjaciół, pani Reed chętniej znośliaby moją obecność, dzieci jej okazywałyby mi więcej serdeczności i koleżeńskich uczuć, a służba mniej byłaby skłonna robić ze mnie kozła ofiarnego w dziecinny pokój.

Światło dzienne w czerwonym pokoju zaczynało zanikać. Było już po czwartej, a chmurne popołudnie chyliło się ku posępnemu zmrokowi. Słyszałam, jak krople deszczu bezustannie biły w okna, jak wiatr wył pośród klombów za domem. Czułam, że stopniowo ziębnę na kość, a wtedy opuściła mnie odwaga. Zwykły mój nastrój upokorzenia, zwątpienia w siebie, smutnej depresji opadł jak wilgotna mgła na dogasające ognisko mojego gniewu. Wszyscy mówią, że jestem zła, a może rzeczywiście to prawda? Jakaż to myśl miałam przed chwilą? Zagłodzić się na śmierć? Przecież to z pewnością by była zbrodnia. A czy jestem przygotowana na śmierć? A czy krypta pod amboną w kościele w Gateshead jest ponętnym schronieniem? Mówiono mi, że w takiej krypcie pochowano pana Reeda. Ta myśl przywiodła mi go na pamięć, z coraz większym lękiem rozmyślałam teraz o nim. Nie mogłam go pamiętać, ale wiedziałam, że był moim rodzonym wujem, bratem mojej matki, że wziął mnie do swojego domu, gdy byłam małym dzieckiem, sierotą zupełną, że na łożu śmierci wymógł od pani Reed obietnicę, iż będzie mnie chowała i utrzymywała jak swoje dziecko. Pani Reed prawdopodobnie uważała, że dotrzymuje obietnicy — i dotrzymywała jej niezawodnie o tyle, o ile pozwalała na to jej natura. Lecz w istocie jakże mogła lubić narzucone sobie dziecko nie z jej rodu, niezwiązane z nią po śmierci męża żadnym węzłem? Musiało jej być bardzo ciężko czuć się zniewoloną wymuszonym przyrzeczeniem do zastępowania matki dziwnej dziewczynce, której kochać nie mogła, i widzieć to tak odmienne, obce stworzenie jako stałego uczestnika jej rodzinnego kółka.

Zaczęła we mnie świtać osobliwa myśl: nie wątpiłam, tak, nie wątpiłam nigdy, że pan Reed obchodziłby się ze mną dobrotliwie. A teraz, gdy tak siedziałam, patrząc na białe

Dziecko, Cierpienie, Bunt

Dziecko, Duch, Strach

²⁵winograd (daw.) — winorośl. [przypis edytorski]

łóżko i ciemniejące ściany, raz po raz jak urzeczona spoglądając ku niejasno połyskującemu zwierciadłu, zaczęłam sobie przypominać, co słyszałam o umarłych, niepokojonych w grobach pogwałceniem ich ostatnich życzeń i odwiedzających ten świat, ażeby ukarać wiarołomnych i pomścić uciśnionych. Pomyślałam, że duch pana Reeda, dręczony krzywdą dziecka jego siostry, mógłby opuścić swoją siedzibę, czy to w krypcie kościelnej czy gdzieś w nieznanym świecie umarłych, i stanąć przede mną w tym oto pokoju. Otarłam łzy i powstrzymałam łkanie w obawie, by ten objaw gwałtownego żalu nie zbudził jakiegoś nadnaturalnego głosu ku memu pocieszeniu albo nie wywołał z cienia twarzy w aureoli, schylającej się nade mną w dziwnie litościwy sposób. Czułam, że przypuszczenie to — pocieszające teoretycznie, gdyby się ziściło — było straszne. Całą mocą starałam się je odegnać i być odważną. Odgarnawszy włosy z oczu, podniosłam głowę i usiłowałam śmiało rozejrzeć się po ciemnym pokoju. W tej chwili jakieś światło zaświeciło na ścianie. „Czy to promień księżycy — zadałam sobie pytanie — przedziera się przez szparę w storze?” Nie, światło księżycy byłoby nieruchome, a to się porusza. Gdy na nie patrzyłam, przesunęło się na sufit i zadrżało nad moją głową. Łatwo dziś mogę wymiarkować, że ta smuga światła najprawdopodobniej pochodziła z latarni niesionej przez kogoś, kto przechodził pod oknami. Wtedy jednak tak byłam rozstrojona oczekiwaniem rzeczy strasznych, tak nerwy moje były rozbite, że wyobraziłam sobie, iż ten nagły błysk światła to zwiastun nadciągającej zjawy z innego świata. Serce zabiło we mnie mocno, krew uderzyła mi do głowy, w uszach poczułam szum, który wzięłam za łopot skrzydeł. Wydało mi się, że coś się do mnie zbliża. Czułam duszność, nie mogłam złapać tchu. Nie starczyło mi wytrzymałości — rzuciłam się do drzwi i zaczęłam rozpaczliwym wysiłkiem szarpać klamkę. Wzdłuż korytarza usłyszałam kroki, obrócono klucz w zamku i Bessie oraz Abbot weszły do środka.

— Panno Eyre, czy panienka chora? — zapytała Bessie.

— Co za straszny hałas! Aż mną zatrzęsł! — zawołała Abbot.

— Wypuście mnie! Pozwólcie mi pójść do dziecinnego pokoju! — krzyczałam.

— Dlaczego? Czy się panience co stało? Czy panienka co zobaczyła? — znowu zapytała Bessie.

— Ach! Zobaczyłam światło i myślałam, że to duch przychodzi! — Chwyciłam teraz rękę Bessie, której nie cofnęła.

— Ona umyślnie wrzeszczała — oświadczyła, krzywiąc się, Abbot. — A co to był za wrzask! Gdyby ją coś bardzo bolało, można by to jeszcze darować, ale ona tylko chciała ściągnąć nas wszystkich tutaj. Już ja znam jej niezdolne sztuczki!

— Co się tutaj dzieje? — zapytał inny głos, rozkazujący. To pani Reed nadeszła korytarzem w rozwianym czepeczku, groźnie szumiąc jedwabiami. — Abbot, Bessie, zdaje się, że nakazałam, by Jane pozostawić w czerwonym pokoju, dopóki ja sama do niej nie przyjdę.

— Panna Jane krzyczała tak głośno, proszę pani — tłumaczyła Bessie.

— Puść ją — brzmiała odpowiedź. — Puść rękę Bessie, dziecko. Nie uda ci się wydostać stąd tym sposobem, bądź pewna. Nie znoszę chytryści, zwłaszcza u dzieci. Mam obowiązek pokazać ci, że podstępne sztuczki na nic się nie zdadzą. Zostaniesz tu teraz o godzinę dłużej i uwolnię cię wtedy, gdy obiecasz, że będziesz uległa i cicha.

— O wujenku, miej litość! Przebac mi! Ja nie mogę tego znieść! Ukarz mnie jakimś innym sposobem! Mnie to zabije, jeżeli...

— Cicho bądź! Co za wstrętą gwałtowność!

Wujenka rzeczywiście tak czuła, byłam w jej oczach zadatkami na komediantkę. Naprawdę widziała we mnie mieszaninę złośliwych namiętności, niskiego charakteru i niebezpiecznej obudy.

Bessie i Abbot usunęły się, a pani Reed, znicierpliwiona moim nowym, gwałtownym wybuchem udręki i rozpaczliwym szlochaniem, wtrąciła mnie z powrotem do pokoju i zamknęła drzwi na klucz bez dalszego gadania. Słyszałam, jak odchodzi. Wkrótce po jej odejściu — przypuszczam — musiałam dostać jakiegoś ataku. Straciłam przytomność.

ROZDZIAŁ III

Przypominam sobie, że potem obudziłam się z uczuciem, jakby straszna zmora dręczyła mnie w śnie. Widziałam przed sobą okropny, czerwony żar za grubą, czarną kratą. Słyszałam głosy głucho brzmiające, stłumione płynącą wodą albo wiatrem — wzburzenie, niepewność i nad wszystkim górujące przerażenie wprowadzało zamęt w moje pojęcia. Niebawem poczułam, że ktoś mnie dotyka, że mnie podnosi i podtrzymuje w pozycji siedzącej, i to delikatniej, niż kiedykolwiek to ze mną czyniono. Oparłam głowę o jakiś filar czy czyjeś ramię i poczułam, że mi lżej.

Po pięciu minutach chmura otumanienia rozwiła się. Wyraźnie zdałam sobie sprawę, że znajduję się we własnym łóżku i że ten żar czerwony to ogień na kominku w pokoju dzieciennym. Był późny wieczór, świeca paliła się na stole, Bessie stała w nogach łóżka z miednicą w rękach, a jakiś pan siedział na krześle koło mojej poduszki, nachylając się nade mną.

Uczułam niewymowną ulgę, uspokajające wrażenie opieki i bezpieczeństwa, gdy się przekonałam, że w pokoju jest obcy człowiek, ktoś, kto nie należy do Gateshead ani nie jest krewnym pani Reed. Odwróciwszy się od Bessie (choć jej obecność nie była mi tak niemiła jak na przykład Abbot), przyjrzałam się twarzy tego pana. Poznałam go — był to pan Lloyd, aptekarz, wzywany niekiedy przez panią Reed, gdy chorował ktoś ze służby. Do siebie i do dzieci wzywała doktora.

— No, proszę, kto ja jestem? — zapytał.

Wymówiłam jego nazwisko i równocześnie podałam mu rękę. Wziął ją, uśmiechając się, i powiedział:

— Pomaleńku, pokrzepimy się.

Po czym ułożył mnie z powrotem i zapowiedział Bessie, żeby uważała, bym miała zupełny spokój w nocy. Dawszy jeszcze kilka dalszych wskazówek i zapowiedziawszy, że zajrzy nazajutrz, odszedł ku mojemu zmartwieniu. Dopóki siedział przy moim łóżku, czułam się bezpiecznie pod tą opieką, a gdy zamknął drzwi za sobą, cały pokój pociemniał i serce się we mnie ścisnęło. Osiadł w nim niewymowny smutek.

— Czy panienka czuje, że będzie mogła zasnąć? — zapytała Bessie całkiem łagodnie.

Zaledwie śmiałam jej odpowiedzieć, tak się bałam, że następne zdanie będzie brzmiało szorstko.

— Spróbuję.

— Czy nie chciałaby panienka napić się czego? A może by panienka co zjadła?

— Nie, Bessie, dziękuję.

— Jeżeli tak, to ja może bym się położyła, bo to już po dwunastej. Ale może mnie panienka zawołać, gdyby potrzebowała czego w nocy.

Co za zadziwiająca uprzejmość! Ośmieliło mnie to, więc zapytałam:

— Bessie, co się ze mną dzieje? Czy ja jestem chora?

— Zasłabła panienka, zdaje się, w czerwonym pokoju od płaczu. Ale wkrótce z pewnością panienka wydobrzeje.

Bessie weszła do znajdującej się obok stancji²⁶ pokojówki. Słyszałam, jak mówiła:

— Sarah, przyjdź i śpij ze mną w pokoju dzieciennym. Za nic w świecie nie chciałabym być sama z tym biednym dzieckiem dziś w nocy, a nuż by umarła? To taka dziwna rzecz, że miała ten atak. Ciekawa jestem, czy ona co zobaczyła? Pani była za surowa.

Bessie wróciła z Sarah i położyły się. Szeptaly ze sobą przed zaśnięciem dobre pół godziny. Z urywków ich rozmowy, które mnie dolatywały aż nadto wyraźnie, mogłam zrozumieć, o czym mówią.

— Coś koło niej przeszło, całe białe ubrane, i znikło... Wielki czarny pies szedł za nim... Trzy głośne stuknięcia do drzwi pokoju... Światło na cmentarzu wprost nad jego grobem... itp., itp.

Na koniec obie zasnęły. Wygaś ogień w kominku, wypaliła się świeca. Długa dla mnie była ta noc strasznej bezsenności, oczy, uszy i umysł wyostrzał strach — taki strach, jaki dzieci tylko odczuwać umieją.

²⁶stancja (daw.) — tu: pokój. [przypis edytorski]

Żadna poważna, dłuższa choroba nie nastąpiła po tym wypadku w czerwonym pokoju. Uległam tylko wtedy wstrząsowi nerwowemu, którego ślady odczuwam do dziś dnia. Tak, pani Reed, tobie zawdzięczam niektóre straszne męki duchowe, ale powinna bym ci wybaczyć, gdyż nie wiedziałaś, co czynisz. Szarpiąc me serdeczne struny, sądziłaś, że tylko wykorzeniasz ze mnie złe skłonności.

Nazajutrz w południe, wstawszy i ubrawszy się, usiadłam otulona w szal przy kominku w pokoju dzieciennym. Fizycznie byłam słaba i wyczerpana, ale więcej dokuczało mi to, że czułam się tak niewypowiedzianie nieszczęśliwa — tak nieszczęśliwa, że mi to wyciskało z oczu milczące łzy. Ledwie jedną słoną kroplę otarłam z policzka, płynęła za nią druga. A jednak, myślałam, powinna bym się czuć dobrze, gdyż żadnego z moich kuzynów nie było w pobliżu. Wyjechali wszyscy powozem z matką. Abbot szła w innym pokoju, a Bessie, krzątając się tu i tam, zbierając zabawki i porządkując w szufladach, przemawiała do mnie raz po raz niezwykle dobrotliwie. Taki stan rzeczy powinien być dla mnie rajem, dla mnie, przyzwyczajonej do ciągłej besztaniny, do stałego komenderowania mną. W rzeczywistości moje rozstrojone nerwy były w takim stanie, że żaden spokój nie mógł ich ułagodzić, żadna przyjemność mile ich podniecić.

Bessie zeszła do kuchni i przyniosła mi kawałek ciasta na pewnym malowanym żywymi barwami talerzu porcelanowym. To malowidło na porcelanie, przedstawiające rajskiego ptaka otoczonego girlandą pączków różanych, było zawsze przedmiotem mojego najgorętszego podziwu. Często prosiłam, żeby mi pozwolono wziąć ten talerz do ręki, bym się mogła dokładniej przyjrzeć obrazkowi, nigdy jednak nie uważano mnie za godną tego przywileju. Ten cenny przedmiot umieszczono mi teraz na kolanach i zapraszano serdecznie, żebym zjadła delikatne ciasteczko. Daremna łaska! Przychodziła, jak wiele innych łask upragnionych, a długo odwlekanych, za późno. Nie mogłam zjeść ciastka, a upierzenie ptaka i barwy kwiatów wydały mi się dziwnie wyblakłe; odsunęłam talerz i ciastko. Bessie zapytała, czy podać mi może jakąś książkę. Słowo „książka” pobudziło mnie na razie, poprosiłam, żeby mi z biblioteki przyniosła *Podróż Guliwera*²⁷. Książkę tę czytywałam zawsze z rozkoszą. Uważałam ją za opowieść czerpaną z rzeczywistości i więcej mnie ona zajmowała niż bajki o wróżkach i krasnoludkach. Co się tyczy krasnoludków, to — ponieważ szukałam ich na próżno pod liśćmi łopianu i dzwonek, pod grzybami i pod cieniem bluszczów osłaniających stare zakątki murów — pogodziłam się w końcu z tą smutną prawdą, że wszystkie one musiały opuścić Anglię i przenieść się gdzieś do dzikiego kraju, gdzie lasy są większe i gęstsze, a ludność nie tak liczna. Wierzyłam natomiast w istnienie krainy Lilliput i Brobdingnag²⁸ i nie wątpiłam, że kiedyś, odbywszy długą podróż, zobaczę na własne oczy te małe pólka, domki i drzewka, tych malusieńkich ludzi, krowy, owce i ptaki jednego królestwa oraz zboża, wysokie jak lasy, olbrzymie psy, potworne koty, mężczyźni i kobiety jak wieże — drugiego. Jednakże kiedy ten ulubiony tom dostałam teraz do rąk i kiedy zaczęłam obracać jego karty, szukając w przedziwnych obrazkach uroku, który tam dotychczas zawsze znajdowałam, wszystko to wydało mi się niesamowite i straszne. Olbrzymami były jakieś ogromne upiory, pigmejczykami²⁹ złośliwe chochliki, zaś Guliwerem był nieszczęsny wędrowiec w strasznych i niebezpiecznych krainach.

Zamknęłam książkę, której nie śmiałam już dłużej oglądać, i położyłam ją na stole obok nietkniętego ciastka.

Bessie skończyła tymczasem ścierać kurze i porządkować w pokoju. Umywszy ręce, otworzyła małą szufladę, pełną wspaniałych resztek jedwabiu i atlasów, i zaczęła fabrykować nowy kapelusz dla lalki Georgiany. Przy robocie śpiewała. Była to piosenka, która zaczynała się od słów:

„Kiedy poszliśmy na wędrowną
Dawno temu...”³⁰

²⁷*Podróż Guliwera* — powieść Jonathana Swifta (1667–1745), napisana w 1726 roku. [przypis edytorski]

²⁸*Lilliput i Brobdingnag* — fikcyjne krainy w *Podróżach Guliwera*. [przypis edytorski]

²⁹*pigmejczyk* — tu: karzełek. [przypis edytorski]

³⁰*Kiedy poszliśmy na wędrowną Dawno temu...* — ang. *In the days we went gipsying*, piosenka autorstwa Nathana Jamesa Sporle'a (1812–1853). [przypis edytorski]

Ile razy dawniej słyszałam tę piosenkę, zawsze odczuwałam żywą przyjemność, gdyż Bessie miała miły głos, przynajmniej mnie się taki wydawał. Ale tym razem, chociaż głos jej był miły jak zawsze, odczułam w tej melodii niewysłowiony smutek. Chwilami, zajęta swoją robotą, śpiewała końcowy refren ciszej, mocno zwalniając. „Dawno temu”³¹ brzmiało jak najsmutniejszy refren żałobnego hymnu.

— No proszę, panno Jane, proszę nie płakać — powiedziała Bessie, skończywszy. Mogła była równie dobrze powiedzieć ogniowi: „Nie pal się”. Lecz jakże mogła odgadnąć we mnie chorobliwe cierpienie? Przed południem przyszedł znowu pan Lloyd.

— Jak to? Wstaliśmy już? — zapytał, wchodząc. — Jakże, panno Bessie, jak się ona miewa?

Bessie odpowiedziała, że mam się bardzo dobrze.

— W takim razie powinna by mieć weselszą minkę. Proszę tu przyjść, panno Jane. Panience na imię Jane, nieprawdaż?

— Tak, proszę pana, Jane Eyre.

— Otóż panienska płakała. Czy może mi panienska powiedzieć dlaczego? Czy panienkę coś boli?

— Nie, panie.

— Ach! Ja myślę, że ona płacze, ponieważ nie mogła wyjechać z panią powozem — wtrąciła Bessie.

— Z pewnością nie dlatego. Za duża jest na takie dziecinady.

I ja to samo myślałam, a dotknięta w miłości własnej tym niesłusznym zarzutem, odpowiedziałam czym prędzej:

— Nigdy w życiu dla czegoś podobnego nie płakałam. Nie cierpię jeździć powozem. Płacę, bo jestem nieszczęśliwa.

— O, mogłaby się panienska wstydzić! — rzekła Bessie.

Pocziwy aptekarz zdawał się trochę zdziwiony. Stałam przed nim, przyglądał mi się długo. Miał małe, siwe oczy, nie bardzo jasne, ale dziś nazwałabym je bystrymi. Twarz jego o grubych rysach miała pocziwy wyraz. Przypatrzywszy mi się do woli, powiedział:

— Wskutek czego to panienska wczoraj zachorowała?

— Upadła — rzekła Bessie, znów wtrącając swoje słowo.

— Upadła! To znowu jak małe dzieciátko! Czy to ona nie umie chodzić w tym wieku? Musi mieć chyba z osiem albo dziewięć lat.

31

tutaj w oryginale pojawia się inna piosenka (kolejna), zapewne autorstwa Charlotte Brontë, licząca kilka zwrotek, jednak tłumaczka tego wydania nie przełożyła jej tekstu:

My feet they are sore, and my limbs they are weary;
Long is the way, and the mountains are wild;
Soon will the twilight close moonless and dreary
Over the path of the poor orphan child.

Why did they send me so far and so lonely,
Up where the moors spread and grey rocks are piled?
Men are hard-hearted, and kind angels only
Watch o'er the steps of a poor orphan child.

Yet distant and soft the night-breeze is blowing,
Clouds there are none, and clear stars beam mild;
God, in His mercy, protection is showing,
Comfort and hope to the poor orphan child.

Ev'n should I fall o'er the broken bridge passing,
Or stray in the marshes, by false lights beguiled,
Still will my Father, with promise and blessing,
Take to His bosom the poor orphan child.

There is a thought that for strength should avail me,
Though both of shelter and kindred despoiled:
Heaven is a home, and a rest will not fail me;
God is a friend to the poor orphan child. [przypis edytorski]

— Upadłam, bo mnie uderzono — dałam proste wyjaśnienie, które wyrwała ze mnie znów boleśnie dotknięta duma. — Ale to nie od tego zachorowałam — dodałam, podczas gdy pan Lloyd zażywał niuch tabaki.

W chwili gdy wkładał tabakierkę z powrotem do kieszeni, odezwał się głośny dzwonek, wzywający służbę na obiad. Pan Lloyd wiedział, co to znaczy.

— To na pannę — rzekł. — Proszę spokojnie iść na dół, ja tu tymczasem pannie Jane dam burę.

Bessie byłaby wolała zostać, ale musiała pójść, gdyż punktualności w porze posiłków surowo pilnowano w Gateshead Hall.

— Więc nie upadek spowodował zasłabnięcie panienki... Co zatem? — dopytywał pan Lloyd dalej po odejściu Bessie.

— Zamknięto mnie w pokoju, gdzie duch pokutuje, choć już było ciemno.

Ujrzałam, że pan Lloyd uśmiecha się i równocześnie marszczy.

— Duch! No co! Dzieciak z panienki koniec końców. Boi się panienka duchów?

— Ducha pana Reeda boję się. Umarł w tym pokoju, tam go wystawiono po śmierci. I to było okrutne zamykać mnie tam samą bez świecy. To było tak okrutne, że myślę, iż tego nigdy nie zapomnę.

— Co znowu? I to dlatego tak się panienka czuje nieszczęśliwa? Boi się panienka teraz, za dnia?

— Nie, ale noc znów niedługo przyjdzie. A przy tym... Ja jestem nieszczęśliwa... Bardzo nieszczęśliwa z innego powodu.

— Z innego powodu? Czy może mi panienka powiedzieć, z jakiego?

Jak bardzo pragnęłam odpowiedzieć wyczerpująco na to pytanie! Jak trudno mi było ułożyć odpowiedź! Dzieci potrafią czuć, ale nie umieją analizować swoich uczuć. A jeżeli nawet dokonają częściowo analizy w myśli, nie potrafią rezultatu wyrazić słowami. Obawiając się jednak stracić tę pierwszą i jedyną sposobność ulżenia memu zmartwieniu przez wypowiedzenie go, zdołałam po kłopotliwym milczeniu ująć je w krótką, ale ostatecznie w pewnej mierze trafną — bo szczerą — odpowiedź.

— Przede wszystkim nie mam ani ojca, ani matki, ani siostr, ani braci.

— Ma panienka dobrą wujenkę i kuzynków.

Milczałam znowu, a potem wybuchłam:

— Ale to John Reed tak mnie uderzył, że upadłam, a wujenka zamknęła mnie w czerwonym pokoju.

Pan Lloyd po raz drugi wyciągnął tabakierkę.

— Czy nie uważa panna Jane, że Gateshead Hall to bardzo piękny dom? — zapytał. — Czy nie jest panienka z tego rada, że w tak pięknym miejscu może mieszkać?

— To nie mój dom, panie, a Abbot powiada, że mam mniej prawa tutaj być niż służąca.

— Co tam! Panna Jane chyba nie jest tak nierozsądna, żeby pragnąć taki wspaniały dom porzucić?

— Gdybym miała dokąd się udać, opuściłabym go chętnie. Ale ja nigdy nie będę mogła wyostać się z Gateshead, dopóki nie będę dorosłą kobietą.

— A może by panienka mogła, kto wie? Czy ma panienka jakichś krewnych oprócz pani Reed?

— Zdaje mi się, że nie, proszę pana.

— Żadnych ze strony ojca?

— Nie wiem. Pytałam raz wujenkę, odpowiedziała, że może i mam jakichś biednych, niskiej kondycji krewnych nazwiskiem Eyre, ale ona nic o nich nie wie.

— A gdyby panienka miała takich krewnych, czy chciałaby panienka udać się do nich?

Namyślałam się. Bieda ma pozór straszny dla ludzi dorosłych, a dla dzieci tym bardziej. Nie mają one pojęcia o pracowitej, pilnej, przyzwoitej niezamożności — dla nich z wyrazem „bieda” wiąże się pojęcie noszenia lachmanów, głodu, pieca bez ognia, szorstkiego obejścia i niskich nałogów. Dla mnie „bieda” oznaczała poniżenie.

— Nie, nie chciałabym należeć do ludzi biednych — odpowiedziałam.

— Nawet gdyby byli dobrzy dla ciebie, panienko?

Bieda, Pozycja społeczna

Potrząsnęłam głową. Nie mogłam zrozumieć, jakim sposobem ludzie biedni mogą być dobrzy. A poza tym nauczyć się mówić tak jak oni, nabrać ich manier, być niewykształconą, wyrosnąć na podobieństwo jednej z tych biednych kobiet, jakie widywałam niekiedy, gdy karmiły swoje dzieci albo prały ubrania przed drzwiami chat we wsi Gateshead... Nie, nie miałam w sobie dosyć bohaterstwa, by chcieć kupić wolność za cenę wyjścia ze swojej sfery.

— Ale czyż krewni panienki są aż tak bardzo biedni? Czy to są robotnicy?

— Nie wiem. Wujenka Reed powiedziała, że jeżeli mam jakichś, to musi to być żebracza hołota. Ja bym nie chciała chodzić na żebrzy.

— Czy chciałaby panienka pójść do szkoły?

Znowu zaczęłam się namyślać. Niewiele wiedziałam o tym, czym jest szkoła. Bessie niekiedy mówiła o szkole jako o miejscu, gdzie panienki za karę wsadzano w dyby, gdzie im zawieszano tablice na plecach i gdzie wymagano od nich nadzwyczajnej dystynkcji i dokładności we wszystkim. John Reed nie cierpiał swojej szkoły i wygadywał na nauczyciela. Jednak jego upodobania nie były dla mnie prawem, a jeżeli opowiadanie Bessie o rygorze w szkole (słyszała o tym od panienek z rodziny, w której przebywała, zanim przybyła do Gateshead) wzbudzały nieco strachu, to za to szczegóły dotyczące rozmaitych umiejętności, nabytych przez te same panienki, nęciły mnie wielce. Wychwalała piękne widoki i kwiaty malowane przez nie, piosenki, które umiały śpiewać, i kawałki muzyczne, które umiały grać. Opowiadała o sakiewkach, które potrafiły robić szydełkiem, i o francuskich książkach, które umiały tłumaczyć. Słuchając tego, miałam ochotę współzawodniczyć z nimi. A przy tym szkoła byłaby zupełną odmianą — łączyła się z tym długą podróż, zupełne rozstanie z Gateshead, przejście do nowego życia.

— Tak, chciałabym pójść do szkoły — brzmiała odpowiedź, głośny wynik moich rozmyślań.

— No, no, nie wiadomo, co się stać może — powiedział pan Lloyd, powstając. — Dziecku potrzeba zmiany powietrza i otoczenia — dodał, mówiąc do siebie — nerwy w nieszczęśliwym stanie.

Bessie powróciła teraz, równocześnie rozległ się turkot powozu po wysypanej piaskiem drodze.

— Czy to pani wasza powróciła, panno Bessie? — zapytał pan Lloyd. — Chciałbym pomówić z nią, zanim odejdę.

Bessie poprosiła pana Lloyda do jadalni i sprowadziła go na dół. W rozmowie, która nastąpiła teraz (wnosząc z tego, co zaszło później), pan aptekarz odważył się poradzić, by mnie wysłano do szkoły. Rada ta niewątpliwie była chętnie przyjęta, gdyż jak powiedziała Abbot — omawiając tę sprawę z Bessie, podczas gdy szyły pewnego wieczora w dzieciennym pokoju, a ja leżałam już w łóżku i myślały, że śpię — „Pani byłaby, zdaje mi się, zadowolona, mogąc pozbyć się takiego nudnego, niemiłego dziecka, które zdaje się zawsze wszystkich szpiegować i jakieś tam intrygi po cichu obmyślać”. Abbot widocznie uważała mnie za jakiegoś dziecięcego zdrąpcę stanu, rewolucjonistę!

Przy tej sposobności dowiedziałam się po raz pierwszy (z tego, co Abbot opowiadała Bessie), że ojciec mój był niezamożnym duchownym. Matka wyszła za niego wbrew woli rodziny, która uważała tę partię³² za nieodpowiednią dla niej. Dziadek mój, Reed, tak się rozgniewał tym jej nieposłuszeństwem, że wydziedziczył ją i nie dał ani szylinga³³. Po roku małżeństwa ojciec zaraził się podczas epidemii, odwiedzając biednych w wielkim, fabrycznym mieście, gdzie leżała jego parafia. Matka zaraziła się od niego i oboje zmarli, jedno miesiąc po drugim.

Bessie, słysząc to opowiadanie, westchnęła i powiedziała:

— Biedna panna Jane... A jednak jest ona godna litości, Abbot!

— Tak, zapewne — odpowiedziała Abbot — gdyby to było miłe, ładne dziecko, można by jej współczuć sieroctwa. Ale doprawdy nie można lubić takiej małej ropuchy jak ona.

— Tak bardzo to nie, przyznaję — zgodziła się Bessie — w każdym razie taka piękność jak panna Georgiana byłaby bardziej wzruszająca w tym samym położeniu.

³²partia — tu: kandydat na męża. [przypis edytorski]

³³szyling — angielska moneta historyczna (1/20 część funta szterlinga) dzielona na 12 pensów. [przypis edytorski]

— Tak, ja przepadam za panną Georgianą! — zawołała Abbot z zapalem. — Ślicznota kochana! Z długimi lokami, niebieskimi oczami i tymi uroczyimi rumieńczykami... Jak malowanie!... Bessie, miałabym ochotę na potrawkę z królika na kolację.

— I ja też, z rumianą cebulką. No, pójdźmy, zejdziemy na dół.

I poszły.

ROZDZIAŁ IV

Rozmowa moja z panem Lloydem i to, co usłyszałam z wymiany zdań między Bessie a Abbot, zdecydowanie przekonały mnie, by chcieć powrotu do zdrowia. Zdawało się, że nadchodzi jakaś zmiana — pragnęłam jej i oczekiwałam w milczeniu. Odwlekało się to jednak, mijały dni i tygodnie. Odzyskałam zdrowie, ale nie było żadnej wzmianki o sprawie, która mnie tak interesowała. Pani Reed przyglądała mi się czasem okiem surowym, ale rzadko do mnie przemawiała. Od czasu mojego zasłabnięcia zaznaczyła silniej przedział pomiędzy mną a własnymi dziećmi. Wyznaczyła dla mnie małą komóreczkę, gdzie sypiałam sama, kazała mi osobno jadać i przebywać stale w pokoju dziecinnym, gdy moje kuzynki bawiły ciągle w salonie. Ani słowem jednak nie poruszyła sprawy posłania mnie do szkoły. Pomimo to miałam instynktowną pewność, że już niedługo znoś mnie będzie pod wspólnym dachem, gdyż jej spojrzenia, zwracane ku mnie, wyrażały teraz bardziej niż kiedykolwiek nieopanowaną i głęboką odrazę.

Eliza i Georgiana, widocznie stosując się do poleceń, mówiły do mnie możliwie jak najmniej. John pokazywał język, ilekroć mnie zobaczył, a raz nawet spróbował mnie bić. Ponieważ jednak natychmiast stanęłam w pozycji obronnej, poruszona tym samym uczuciem gniewu i rozpaczliwego buntu, jaki mnie był uniósł poprzednio, uważałam, że lepiej dać spokój, i uciekł, wymyślając mi i zaklinając się, że rozbiłam mu nos. Istotnie, w ten wystający punkt wymierzyłam cios niezgorszy, a widząc, że go poskromiłam uderzeniem czy też wyrazem twarzy, miałam wielką ochotę dopełnić miary zwycięstwa. On jednakże już zdążył schronić się pod skrzydła swojej mamusi. Słyszałam, jak płaczącym głosem zaczął opowiadać, że „ta szkaradna Jane rzuciła się na niego jak wściekła kotka...”. Matka przerwała mu ostro:

— Nie mów mi o niej, John. Powiedziałałam wam, że macie się do niej nie zbliżać. Nie chcę, ażebyście się z nią wdawali w dyskusje, ani ty, ani twoje siostry.

Tu, przechylając się przez poręcz schodów, zawołałam nagle, wcale się nad moimi słowami nie zastanowiwszy:

— To oni nie są godni zadawać się ze mną!

Pani Reed była osobą raczej tęgą, ale usłyszawszy to dziwne i zuchwałe oświadczenie, wbiegła lekko na schody, jak wicher porwała mnie i zaciągnęła do pokoju dziecinnego. Rzuciwszy mnie na brzeg mego łóżka, z całym naciskiem zapowiedziała:

— Żebyś mi nie śmiała ruszyć się stąd i słowa jednego wymówić do końca dnia!

— Co by na to wuj Reed powiedział, gdyby żył? — zapytałam prawie mimo woli. Mówię: „prawie mimo woli”, gdyż język mój wymawiał wyrazy bez mojej zgody, mówiło przeze mnie coś, nad czym nie panowałam.

— Co? — powiedziała pani Reed ściszym głosem. Jej zwykle spokojne, zimne, siwe oczy zmąciły się jak gdyby wyrazem lęku. Puściła moje ramię i patrzyła na mnie, jakby w istocie nie wiedziała, czy ma przed sobą dziecko czy szatana. Ale ja już wzięłam na kiel.

— Wuj Reed jest w niebie i stamtąd może widzieć wszystko, co wujenka robi i myśli. I mój tatuś, i moja mama też. Oni widzą, że wujenka mnie całymi dniami zamyka i życzy sobie, żebym umarła.

Pani Reed opanowała się niebawem. Wyrzęśła mnie z całej siły, wytargała za uszy i nie mówiąc słowa, wyszła. Bessie następnie wygłosiła mi godzinne kazanie, w którym dowodziła niezbicie, że jestem najbardziej niegodziwym, niepoczciwym dzieckiem, jakie się kiedykolwiek uchowało. Uwierzyłam jej w połowie, gdyż czułam istotnie, że tylko złe, gniewne uczucia kotłują się w mej duszy.

Minął listopad, grudzień, przeszła połowa stycznia. Boże Narodzenie i Nowy Rok obchodzono w Gateshead jak zwykle radośnie i uroczysto, wymieniano nawzajem podarki, wydawano obiady i przyjęcia wieczorne. Ze wszystkich tych uciech byłam, naturalnie,

Bunt

Sierota, Miłość, Lalka

wyłaczona i mój udział w tych zabawach polegał na przypatrywaniu się, jak strojono Elizę i Georgianę, jak potem schodziły do salonu, ubrane w lekkie, muślinowe sukienki i szkarłatne szarfy, z włosami ufryzowanymi starannie w loki; a później na przysłuchiwaniu się płynącym z dołu dźwiękom fortepianu i harfy, na przyglądaniu się, jak tam i z powrotem krążyli lokaje. Dźwięczało szkło i porcelana, gdy roznoszono zakąski, a ile razy otwierano drzwi salonu, dolatywał stamtąd zmieszany gwar rozmów. Zmęczony tym zajęciem, wracałam ze schodów do samotnego i cichego dzieciennego pokoju. Tam, chociaż trochę smutna, nigdy nie czułam się nieszczęśliwa. Prawdę powiedziawszy, nie miałam najmniejszej ochoty iść pomiędzy gości, gdyż w towarzystwie rzadko na mnie zwracano uwagę. A o ile tylko Bessie była dobra i towarzysko usposobiona, uważałam za prawdziwą przyjemność spędzanie wieczorów z nią, zamiast pod groźnym okiem pani Reed w salonie pełnym pań i panów. Jednakże Bessie, skoro tylko ubrała swoje panienki, zwykła była przenosić się w bardziej ożywione sfery kuchni i pokoju gospodyni, zazwyczaj i świecę zabierając z sobą. Wtedy, dopóki ogień nie przygasł, siedziałam z lalką na kolanach, oglądając się raz po raz dokoła, by się przekonać, czy coś gorszego ode mnie nie pokutuje w tym mrocznym pokoju. A gdy już głównie nabierały ciemnoczerwonego koloru, rozbierałam się prędko, szarpiąc, jak umiałam, węzły i tasiemki, i chroniłam się od zimna i ciemności do łóżeczka. Zabierałam do niego zawsze swoją lalkę. Istota ludzka musi coś kochać, a ja — w braku godniejszych kochania przedmiotów — znajdowałam przyjemność w kochaniu i pieszczaniu tej wyblakłej podobizny człowieka, lichej i źle ubranej jak miniaturowy strach na wróble. Zastanawia mnie to, gdy sobie przypominam, jak niedorzecznie a szczerze rozplęwałam się nad tą zabaweczką, wyobrażając sobie, że ona żyje i zdolna jest odczuwać. Nie byłabym mogła usnąć, nie otuliwszy jej wpierw swoją nocną koszulką, a gdy leżała przy mnie bezpiecznie i ciepło, czułam się stosunkowo dobrze, wierząc, że i ona również czuje się dobrze.

Dziecko, Strach, Zabawa,
Dzieciństwo, Opieka

Dłużyły mi się godziny oczekiwania na odjazd gości. Nasłuchiwałam odgłosu kroków Bessie na schodach. Niekiedy przychodziła to po naparstek, to po nożyczki, czasami przynosiła mi coś na kolację — jakąś bułeczkę albo ciastko z serem. Wtedy siedziała na łóżku, podczas gdy jadłam, a kiedy skończyłam, pocałował mnie dwa razy, mówiła: „Dobranoc, panno Jane”. Gdy taka była miła i łagodna, wydawała mi się najlepszą, najładniejszą, najpocziwszą w świecie istotą i tylko jak najgoręcej pragnęłam, żeby zawsze była tak miła i dobra, a nie popychała mnie, nie burczała na mnie, nie stawiała mi nierozsądnych żądań, co aż nazbyt często robiła. Bessie Lee była to, sądzę, zdolna z natury dziewczyna, gdyż wszystko, co robiła, robiła składnie i ładnie i miała wybitny dar opowiadania. I ładna była przy tym, jeżeli dobrze pamiętam jej twarz. Przypominam ją sobie jako młodą dziewczynę — wiotką, o czarnych włosach, ciemnych oczach, bardzo ładnych rysach i świeżej, jasnej cerze. Miała jednak usposobienie kapryśne, prędkie i niezbyt gruntowne pojęcie o zasadach i sprawiedliwości. Pomimo to wołałam ją niż wszystkich innych mieszkańców Gateshead Hall.

Pieniądz, Dzieciństwo,
Interes

Działo się to piętnastego stycznia, około godziny dziewiątej rano. Bessie zesłała była na dół na śniadanie, kuzynek moich jeszcze nie zawołano do matki. Eliza wkładała kapelusz i ciepły płaszcz ogrodowy, by pójść nakarmić swój drób — zajęcie, za którym przepadała, nie mniej lubiąc sprzedawanie jaj gospodyni i gromadzenie otrzymanych tą drogą pieniędzy. Miała ona żyłkę kupiecką i wybitną skłonność do oszczędzania. Dowodem tego była nie tylko sprzedaż jaj i kurcząt, ale także oddawanie ogrodnikowi za spore pieniądze cebulek i nasion oraz ciętych kwiatów. Pani Reed nakazała mu kupować od panienki wszelkie produkty z jej ogródka, jakie by tylko sprzedać pragnęła. Eliza zaś przehandlowałaby włosy z głowy, gdyby tylko mogła na tym porządnie zarobić. Pieniądze chowała początkowo w rozmaitych kątach, zawinięte w gałganek albo w stare papierki od papilotów. Ponieważ jednak niektóre z tych skarbów odkryła pokojowa, Eliza, w obawie, żeby nie stracić swoich cennych bogactw, zgodziła się powierzyć je matce na lichwiarski procent (jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt). Te procenty wyciągała co kwartał, z największą akuracnością prowadząc rachunki w książeczce.

Georgiana siedziała na wysokim krześle, czesząc włosy przed lustrem i przetykając loki sztucznymi kwiatami oraz wyblakłymi piórami, których zapas znalazła w jakiejś szufladzie na strychu. Ja ścieliłam łóżko, otrzymawszy wyraźny rozkaz od Bessie, bym je doprowadziła do porządku, zanim ona wróci (sama bowiem często teraz wykorzystywała

mnie do czynności jakby pod-pokojowej w pokoju dzieciennym, do porządkowania, odkurzania krzesel itp.). Złożywszy nocną bieliznę i zaścieliwszy kapę, podeszłam do okna, chcąc ułożyć niektóre rozrzucone tam książki z obrazkami i mebelki z pokoju lalek. Zatrzymał mnie nagły rozkaz Georgiany, żeby nie ruszać jej zabawek. Wtedy, nie mając nic lepszego do roboty, zaczęłam chuchać na zamarzlą w kwiatowe wzory szybę, by tym sposobem odczyścić kawałek szkła i móc wyjrzeć na świat, gdzie wszystko było takie ciche i stężale pod wpływem silnego mrozu.

Z okna widać było łożę³⁴ portiera i podjazd. Dokładnie w chwili, gdy rozpuściłam tyle srebrnobiałych liści zasłaniających szybę, że można było wyjrzeć, zobaczyłam, że otwierają bramę i wjeżdża jakiś powóz. Przyglądałam mu się obojętnie, gdy podjeżdżał przed dom. Ekwipaże³⁵ często przybywały do Gateshead, ale nigdy żaden nie przywiózł gości, którzy by mnie interesowali. Ten powóz zajechał przed dom i stanął, dzwonek odezwał się głośno i gość został wpuszczony.

Ponieważ to wszystko niczym było dla mnie, zwróciłam uwagę na coś ciekawszego — na małą, głodną raszkę³⁶, która nadleciała i ćwierkała na gałęziach bezlistnej czereśni, przywiązanej do muru pod oknem. Reszta mojego śniadania stała na stole. Rozkruszywszy kawałek bułki, starałam się właśnie otworzyć okno, ażeby wysypać okruszyny, gdy Bessie, biegnąc pędem po schodach, wpadła do dzieciennego pokoju.

— Panno Jane, proszę zdjąć fartuszek. Co tam panienka robi? Czy twarz i ręce panienka umyła dziś rano?

Szarpnęłam oknem raz jeszcze, zanim odpowiedziałam, gdyż chciałam, żeby ptaszek dostał pożywienie. Okno puściło, a ja wysypałam okruszyny trochę na kamienny parapet, a trochę na gałęzie czereśni, po czym, zamykając okno, odpowiedziałam:

— Nie, Bessie, ja dopiero w tej chwili skończyłam ścierać kurze.

— Nieznośne, niedbałe dziecko! A cóż to panienka robi tam teraz? Cała czerwona, z pewnością jakaś psota miała tu miejsce. Po co było otwierać to okno?

Nie potrzebowałam się silić na odpowiedź, gdyż Bessie widocznie za bardzo się spieszyła, by czekać na wyjaśnienia. Pociągnęła mnie do umywalni, niemiłosiernie, choć na szczęście prędko wyszorowała mi twarz i ręce wodą, mydłem i grubym ręcznikiem, wyszczotkowała głowę ostrą szczotką, zdjęła ze mnie fartuszek i wyprowadziwszy mnie szybko na schody, kazała natychmiast zejść na dół i stawić się w saloniku.

Miałam ochotę zapytać, kto się ze mną chce widzieć — czy tam jest pani Reed, ale Bessie już odeszła i zamknęła za sobą drzwi dzieciennego pokoju. Z wolna schodziłam ze schodów. Od trzech miesięcy prawie nie byłam nigdy wzywana przed oblicze pani Reed. Dla mnie, skazanej tak długo na pokój dziecienny, jadalnia oraz salon stały się jakąś straszną przestrzenią, do której bałam się wkraczać.

Stałam teraz w pustym hallu, przede mną były drzwi saloniku, a ja zatrzymałam się, onieśmielona i drżąca. Co za biednego, małego tchórza uczynił ze mnie w owych czasach strach, zrodzony z niesprawiedliwej kary! Lękałam się wracać do dzieciennego pokoju, lękałam się iść naprzód i wejść do saloniku. Z dziesięć minut tak stałam, wahająca się, wzruszona. Gwałtowny dźwięk dzwonka z saloniku zdecydował za mnie — muszę wejść.

„Kto może chcieć się ze mną widzieć?” — pytałam siebie w duszy, gdy oburącz naciskałam klamkę, która opierała się przez chwilę. „Kogo zobaczę w pokoju oprócz wujenki? Mężczyznę czy kobietę?”. Klamka ustąpiła, drzwi się otworzyły, a ja wszedłszy i dygnąwszy nisko, podniosłam oczy i ujrzałam... Czarny słup! Taka przynajmniej wydała mi się na pierwszy rzut oka sztywna, wąska, czarno ubrana, wyprostowana postać, stojąca na dywanie. Surowa twarz wyglądała jak rzeźbiona maska umieszczona na szczycie kolumny zamiast kapitelu³⁷.

Pani Reed siedziała na zwykłym miejscu przy kominku. Skinęła na mnie, bym się przybliżyła. Posłuchałam, a ona przedstawiła mnie gościowi w tych słowach:

— Oto jest ta dziewczynka, w sprawie której zwracałam się do pana.

³⁴łoża — tu: ganek albo antresola. [przypis edytorski]

³⁵ekwipaż (daw.) — lekki pojazd konny. [przypis edytorski]

³⁶raszka a. rudzik — niewielki ptak. [przypis edytorski]

³⁷kapitel (archit.) — głowica kolumny. [przypis edytorski]

On — gdyż był to mężczyzna — obrócił z wolna głowę ku mnie, a przypatrujący mi się badawczymi, siwymi oczami, mrugającymi pod krzaczastymi brwiami, orzekł uroczystym basem:

— Jest małego wzrostu. W jakim jest wieku?

— Dziesięć lat.

— Aż tyle? — odpowiedział tonem powątpiewania, po czym w dalszym ciągu przez parę minut przyglądał mi się badawczo.

— Jak się nazywasz, dziewczynko? — zwrócił się w końcu do mnie.

— Jane Eyre, panie.

Wymawiając te słowa, podniosłam na niego oczy. Ten pan wydał mi się wysoki, ale to prawda, że ja byłam bardzo mała. Rysy miał grube i wszystko w nim było surowe, wymuszone.

— No powiedz mi, Jane Eyre, czy jesteś dobrym dzieckiem?

Niepodobna mi było odpowiedzieć na to twierdząco, moje otoczenie było przeciwnego zdania. Milczałam. Pani Reed odpowiedziała za mnie wymownym potrząśnięciem głowy, dodając:

— Może lepiej o tym nie mówić, panie Brocklehurst.

— Przykro mi, doprawdy, że muszę to słyszeć! Muszę z nią trochę pogadać! — Tu, łamiąc swą prostopadłą linię, rozsiadł się w fotelu naprzeciw pani Reed. — Podejdź tutaj — rzekł.

Przeszłam przez dywan, postawił mnie prosto przed sobą. Jakąż on miał twarz, gdy zobaczyłam ją prawie na jednym poziomie z moją własną! Co za wielki nos! A jakie usta! I co za ogromne, wystające zęby!

— Nie ma smutniejszego widoku nad widok niegrzecznego dziecka — zaczął — zwłaszcza niegrzecznej dziewczynki. Czy ty wiesz, dokąd ludzie źli idą po śmierci?

— Idą do piekła — odpowiedziałam szybko i trafnie.

— A co to jest piekło? Czy możesz mi na to odpowiedzieć?

— Piekło to otchłań pełna ognia.

— A czy ty byś chciała wpaść do tej otchłani i smażyć się tam na wieki?

— Nie, panie.

— Więc co winnaś robić, żeby jej uniknąć?

Zastanowiłam się przez chwilę. Moja odpowiedź, gdy się na nią zdobyłam, nie spodobała się.

— Muszę być zdrowa i nie umierać.

— Jak możesz być zdrowa? Dzieci młodsze od ciebie umierają codziennie. Nie dalej jak dwa dni temu pochowałam małe dziecko, pięcioletnie. Dobre, grzeczne dziecko, którego duszyczka jest teraz w niebie. Lękam się, że nie można by tego powiedzieć o tobie, gdyby cię Pan Bóg stąd odwołał.

Nie mogąc go pod tym względem uspokoić, spuściłam tylko oczy, utkwivszy je w dwóch wielkich nogach spoczywających na dywanie i westchnęłam, pragnąc być stąd jak najdalej.

— Spodziewam się, że to było westchnienie z głębi serca i że żałujesz, iż martwiłaś twą najlepszą dobrodziejkę.

„Dobrodziejkę! Dobrodziejkę! — pomyślałam. — Oni wszyscy nazywają panią Reed moją dobrodziejką. Jeżeli tak, to «dobrodziejka» jest czymś bardzo nieprzyjemnym”.

— Czy odmawiasz pacierz rano i wieczór? — dopytywał dalej.

— Tak, panie.

— Czytujesz *Biblię*³⁸?

— Czasami.

— Z przyjemnością? Czy bardzo ją lubisz?

Dziecko, Grzeczność,
Strach, Piekło

³⁸ *Biblia* a. *Pismo Święte* — zbiór starożytnych ksiąg, uważanych przez żydów i chrześcijan za święte. [przypis edytorski]

— Lubię Objawienia³⁹ i księgę o Danielu⁴⁰, i Genesis⁴¹, i o Samuelu⁴², i kawałek księgi Exodus⁴³, i niektóre części Księgi Królów⁴⁴, i o Hiobie⁴⁵, i o Jonaszu⁴⁶.

— A psalmy ci się podobają? Sądzę, że je lubisz?

— Nie, panie.

— Nie? O, to źle! Ja mam małego chłopczyka, młodszego od ciebie, który sześć psalmów umie na pamięć. A gdy go zapytać, co woli, czy dostać do zjedzenia orzech osmażany czy nauczyć się wiersza jakiegoś psalmu, odpowiada: „O, nauczyć się wiersza psalmu! Aniołowie śpiewają psalmy!”. Tak on mówi i dodaje: „A ja pragnę być aniołkiem tu, na ziemi!”. A wtedy dostaje dwa orzechy w nagrodę, że taki pobożny.

— Psalmy nie są zajmujące — zauważyłam.

— To dowodzi, że masz złe serce i powinnaś modlić się do Boga, ażeby ci je odmienił, ażeby dał ci nowe, czyste serce, ażeby ci odjął to serce kamienne, a dał ci serce z żywego ciała.

Już miałam zapytać, w jaki to sposób miałyby się odbyć taka operacja zamiany mojego serca, gdy wmieszała się pani Reed, nakazując mi, bym usiadła. Zaraz też dalszą rozmowę wzięła na siebie.

— Panie Brocklehurst, zdaje mi się, że w liście pisanym do pana przed trzema tygodniami wyznałam panu, że ta dziewczynka ma charakter i usposobienie nie takie, jakie bym sobie życzyła w niej widzieć. Jeżeli przyjmie ją pan do szkoły w Lowood, byłabym rada, gdyby poproszono nauczycielki, by baczone na nią miały oko, a przede wszystkim, by strzegły ją od jej najgorszej wady: skłonności do kłamstwa i obłudy. Wspominam o tym przy tobie, Jane, żebyś nie próbowała oszukiwać pana Brocklehursta.

Czyż mogłam się nie bać pani Reed? Rzecz prosta, że musiałam jej nie znosić, skoro w jej naturze leżała chęć zadawania mi okrutnych ran. Nigdy w jej obecności nie czułam się dobrze i chociaż starałam się być poslušna i dogodzić jej, usiłowania moje zawsze odpychała i odpłacała zdaniem takimi jak powyższe. Teraz to oskarżenie, wypowiedziane przed człowiekiem obcym, dotknęło mnie do głębi serca. Niejasno spostrzegłam, że już mi ona zaczyna odbierać nadzieję, pokładaną w tej nowej fazie istnienia, na jaką mnie skazywała, i czułam, choć nie byłabym umiała uczucia tego wyrazić, że sieje ona wstręt i niezyczliwość wzdłuż drogi, jaką w przyszłości iść miałam. Widziałam, jak w oczach pana Brocklehursta zamieniam się w dziecko fałszywe i szkodliwe. I cóż ja mogłam uczynić, żeby tej krzywdzie zaradzić? „Nic w istocie” — pomyślałam, walcząc, by powstrzymać łkanie, i szybko otarłam kilka łez — bezsilnych dowodów mojej męki.

— Obluda to w istocie brzydka wada w dziecku — rzekł pan Brocklehurst. — Jest ona pokrewna fałszowi, a wszyscy kłamcy dostąpią kary w jeziorze płonącym ogniem i siarką. Będą jej jednak pilnować, pani Reed. Pomówię z panną Temple i z nauczycielkami.

— Pragnęłabym, żeby Jane była wychowana w sposób odpowiedni do jej widoków w przyszłości — ciągnęła dalej moja dobrodziejka — żeby nauczyła się użyteczności i pokory. Co do wakacji, to jeżeli pan pozwoli, będzie je zawsze spędzała w Lowood.

— Życzenia pani są najzupełniej słuszne — odpowiedział pan Brocklehurst. — Pokora jest to cnota chrześcijańska, szczególnie odpowiednia dla wychowanek Lowood. Toteż ja wymagam, żeby ją jak najstaranniej pośród nich hodowano. Wystudiowałem, w jaki sposób można najlepiej w nich upokorzyć uczucia światowej pychy, i nie dalej jak parę dni temu miałem miły dowód, że mi się powiodło. Moja młodsza córka poszła z matką zwiedzić szkołę, a wróciwszy, zawołała: „O, drogi papo, jak skromnie i jak nieładnie wszystkie te dziewczęta w Lowood wyglądają, z tymi włosami szeszanymi za uszy, w tych długich fartuchach i z kieszonkami na wierzchu sukien. Wyglądają prawie jak

³⁹ *Księga Objawienia* a. *Apokalipsa Świętego Jana* — jedyna prorocza księga *Nowego Testamentu*. [przypis edytorski]

⁴⁰ *Daniel* — bohater biblijnej *Księgi Daniela*, prorok żydowski. [przypis edytorski]

⁴¹ *Genesis* a. *Księga Rodzaju* — pierwsza księga *Biblii*, należąca do *Starego Testamentu*. [przypis edytorski]

⁴² *Samuel* — postać biblijna z XI wieku p.n.e., bohater i Księgi Samuela, prorok i kapłan. [przypis edytorski]

⁴³ *Exodus* a. *Księga Wjścia* — druga księga *Pisma Świętego*. [przypis edytorski]

⁴⁴ *Księgi Królów* a. *Księgi Królewskie* (1 i 2) — biblijne księgi wchodzące w skład *Starego Testamentu*. [przypis edytorski]

⁴⁵ *Hiob* — postać biblijna, bohater starotestamentowej *Księgi Hioba*. [przypis edytorski]

⁴⁶ *Jonasz* — prorok izraelski, bohater i prawdopodobny autor biblijnej *Księgi Jonasza*. [przypis edytorski]

dzieci biednych ludzi! A przy tym — dodała — przyglądały się mojej sukni i maminei, jak gdyby jedwabnej sukni nigdy dotąd nie widziały!”

— To właśnie stan rzeczy, który ja najzupełniej pochwalam — odpowiedziała pani Reed. — Gdybym przeszukała całą Anglię, nie wiem, czy byłabym znalazła system odpowiedniejszy dla takiego dziecka jak Jane Eyre. Konsekwencja, mój drogi panie Brocklehurst, ja obstaję za konsekwencją we wszystkim.

— Konsekwencja, pani, jest pierwszym obowiązkiem chrześcijańskim i pilnuje się jej też we wszystkich zarządzeniach związanych z zakładem w Lowood: prosty pokarm, prosty ubiór, niewymyślne zasady, surowe i pracowite zwyczaje; taki jest porządek dnia w domu dla jego mieszkanki.

— Bardzo słusznie, łaskawy panie. Czy mogę zatem liczyć na to, że to dziecko będzie przyjęte do szkoły w Lowood i tam chowane odpowiednio do swojej pozycji i przyszłych widoków?

— Tak, pani, niech pani na to liczy. Będzie przyjęta do tej hodowli doborowych roślin i ufam, że okaże się wdzięczna za ten nieoceniony przywilej, że została wybrana.

— Poślę ją zatem możliwie najprędzej, panie Brocklehurst, gdyż zapewniam pana, iż pilno mi uwolnić się od odpowiedzialności, która zaczęła się stawać już nazbyt dokuczliwa.

— Niewątpliwie, niewątpliwie, łaskawa pani. A teraz się pożegnam. Powrócę do Brocklehurst Hall w ciągu tygodnia lub dwóch. Mój dobry przyjaciel, archidiakon⁴⁷, przedź mnie nie wypuści. Napiszę do panny Temple, że ma oczekiwać nowej dziewczynki, tak że nie będzie trudności z przyjęciem. Do widzenia!

— Do widzenia, panie Brocklehurst. Proszę mnie przypomnieć pamięci pani Brocklehurst, jej córek i synów.

— Nie omieszka, łaskawa pani. Dziewczynko, oto masz książkę zatytułowaną *Przewodnik dziecka*. Czytaj ją i módl się, czytaj zwłaszcza „Opowiadanie o okropnej, nagłej śmierci Marthy G., niedobrego dziecka, grzeszącego fałszem i kłamstwem”.

To mówiąc, pan Brocklehurst wsunął mi w rękę cienką broszurkę, wszytą w okładkę, i zadzwoniwszy, by podstawiono powóz, odjechał.

Pani Reed i ja zostałyśmy same. Kilka minut upłynęło w milczeniu, ona szła, ja się jej przypatrywałam. Mogła mieć wtedy ze trzydzieści sześć lub siedem lat. Była to kobieta silnie zbudowana, szeroka w ramionach i chociaż tęga, nie gruba. Twarz jej była nieco szeroka, gdyż dolną szczękę miała silnie rozwiniętą, mocną, miała niskie czoło, dużą i wystającą brodę, usta i nos dosyć regularne. Pod jasnymi brwiami błyszczwały oczy pozbawione łagodności, cerę miała ciemną, włosy prawie lnianego koloru. Organizm jej był zdrowy, nie wiedziała co to choroba. Była to dokładna, mądra gospodyni, domowników i dzierżawców trzymała krótko, dzieci niekiedy opierały się jej władzy i śmiały się z niej pogardliwie. Dobrze się ubierała i miała figurę, na której strój ładnie się prezentował.

Siedząc na niskim stołeczku o parę kroków od jej fotela, przyglądałam się jej twarzy. W rękę trzymałam rozprawkę, zawierającą „Nagłą śmierć kłamczuchy”, na którą, jako na odpowiednią przestrożę, zwrócono mi przed chwilą uwagę. Wszystko, co zaszło przed momentem, co pani Reed powiedziała o mnie panu Brocklehurstowi, cała treść ich rozmowy — wszystko to było żywe, świeże, wszystko bolało w duszy. Odczuwałam każdy wyraz tak dotkliwie, jak wyraźnie go usłyszałam, i jakaś pasja uraza wrzała teraz we mnie.

Pani Reed podniosła wzrok znad robótki. Oczy jej zatrzymały się na moich oczach, a równocześnie palce zaprzestały zręcznych ruchów.

— Wyjdź stąd, wracaj do dzieciennego pokoju — rozkazała. Moje spojrzenie lub wyraz twarzy musiały jej się wydać obraźliwe, gdyż mówiła z niezwykłym, chociaż hamowanym rozdrażnieniem. Wstałam, poszłam ku drzwiom i znowu wróciłam. Podeszłam do okna, przeszłam przez pokój i stanęłam przed nią tuż blisko.

Czułam, że muszę *mówić*. Zdeptano mnie boleśnie, *muszę* wziąć odwet. Ale jak? Gdzież ja mam siłę odeprzeć cios mojej nieprzyjaciółki? Zebrałam całą energię i wyrzuciłam z siebie te szczere a zuchwałe słowa:

— Ja nie jestem obłudna. Gdybym nią była, powiedziałabym, że panią kocham, a ja oświadczam, że nie kocham pani. Nie znoszę pani tak jak nikogo na świecie, z wyjątkiem

Bunt, Nienawiść

⁴⁷archidiakon — delegat biskupa na terenie diecezji lub okręgu kościelnego. [przypis edytorski]

Johna Reeda. A tę książeczkę o kłamczusze może pani dać swojej córce, Georgianie, gdyż to ona kłamie, nie ja.

Ręce pani Reed wciąż jeszcze beczynnie leżały na robótce, a jej lodowate oczy mroźnie utkwily wzrok w moich.

— Co więcej masz mi do powiedzenia? — zapytała tonem takim raczej, jakim ktoś mógłby przemawiać do dorosłego przeciwnika, niż jakim się zwykło zwracać do dziecka.

Te jej oczy, ten głos, obudziły całą antypatię, jaką ku niej czułam. Trzęsąc się od stóp do głów, drżąc przemożnym wzburzeniem, mówiłam dalej:

— Cieszę się, że pani nie jest żadną moją krewną. Dopóki żyję, już pani nigdy nie nazwę „wujenką”. Nigdy pani nie odwiedzę, gdy dorosnę. A gdy mnie kto zapyta, czy panią lubię i czy pani była dla mnie dobra, powiem, że sama myśl o pani jest dla mnie jak choroba i że obchodziła się pani ze mną nielitościwie i okrutnie.

— Jak śmiesz tak twierdzić, Jane?

— Jak ja śmiem? Jak ja śmiem? Ponieważ to jest *prawda*. Pani myśli, że ja nie mam uczuć i że mogę się obywać bez odrobiny miłości albo dobroci. Ale ja tak żyć nie mogę, a pani nie ma litości. Będę pamiętała, jak mnie pani odepchnęła szorstko i gwałtownie, odepchnęła z powrotem do czerwonego pokoju i zamknęła tam. Będę o tym pamiętała do końca życia. Chociaż byłam w takim strachu, chociaż wołałam, dusząc się od męki: „Miej litość! Miej litość, wujenko!”. A tę karę kazała mi pani znosić, ponieważ jej niegodziwy syn zbił mnie, uderzył mnie za nic tak mocno, że upadłam. Opowiem każdemu, kto mnie będzie pytał, opowiem to dokładnie. Ludzie myślą, że pani jest dobrą kobietą, ale pani jest zła, twarde ma pani serce. To *pani* jest obłudna!

Zanim dokończyłam tę przemowę, poczułam, że dusza we mnie zaczyna rosnąć, radować się najdziwniejszym poczuciem wolności i nieznanego dotąd triumfu. Wydawało mi się, jak gdyby jakieś niewidzialne więzy pękały, a ja walcząc, niespodziewanie wydostając się na swobodę. I nie bez powodu odnosiłam to wrażenie: pani Reed zdawała się być wystraszona. Robótka zsunęła jej się z kolan, podniosła ręce, kołysząc się tam i z powrotem i nawet wykrzywiając twarz, jak gdyby się jej na płacz zbierało.

— Jane, ty się mylisz! Co się z tobą dzieje? Czemu tak drżysz gwałtownie? Nie chciałabyś napić się trochę wody?

— Nie, dziękuję pani.

— Może czegoś innego chciałabyś, Jane? Zapewniam cię, że ci dobrze życzę.

— Nie, pani. Powiedziała pani panu Brocklehurstowi, że ja mam niedobry charakter, że mam kłamliwe usposobienie. A ja opowiem wszystkim w Lowood, jaka pani jest i co pani zrobiła.

— Jane, ty tego nie rozumiesz: dzieci muszą być ukarane, jeżeli zawinią.

— Ja nigdy nie zawiniłam kłamstwem! — zawołałam jakimś dzikim, podniesionym głosem.

— Ale jesteś złością, to musisz przyznać. A teraz wracaj do dzieciennego pokoju... No, moja kochana... I połóż się trochę.

— Niech mi pani nie mówi „kochana”, bo to nieprawda! Ja nie mogę się położyć. Niech mnie pani jak najprędzej pośle do szkoły, bo życie tutaj dla mnie jest nieznośne.

— Rzeczywiście, ja ją jak najprędzej wyślę do szkoły — szepnęła pani Reed i zabrawszy robótkę, wyszła nagle z pokoju.

Zostałam sama — zwycięska na polu bitwy. Pierwsza to była moja walka i pierwsze moje zwycięstwo. Stałam przez chwilę na dywanie, w miejscu, gdzie przedtem stał pan Brocklehurst, i cieszyłam się zdobytą samotnością. Zrazu uśmiechałam się do siebie i czułam się podniesiona na duchu, ale ta dzika radość przygasła we mnie równie prędko, jak uspokoiło się przyśpieszone bicie mego tętna. Dziecko nie może wojować ze starszymi, tak jak ja to uczyniłam. Nie może puszczać wodzy uczuciom wściekłości, nie odczuwając zaraz potem dręczącego wyrzutu sumienia i chłodu reakcji. Wybuch jaskrawego, żywego, gorącego, pochłaniającego płomienia byłby obrazem stanu mej duszy w chwili, gdy oskarżałam panią Reed i groziłam jej. Czarna, wypalona pustka w momencie, gdy płomienie zagasły, byłaby obrazem jej stanu, gdy półgodzinna cisza i zastanowienie wykazały mi szaleństwo mego postępków i okropność mego stanowiska nienawidzonej i nienawidzącej.

Zemsty zakosztowałam po raz pierwszy; wydawała mi się winem aromatycznym i krze-

Dziecko, Nienawiść

Zemsta

piącym, lecz metaliczny i gryzący posmak budził we mnie uczucia, jak bym została otruta. Chętnie byłabym teraz poszła i przeprosiła panią Reed. Wiedziałam jednak, po części z doświadczenia, a po części instynktownie, że wtedy odepchnęłaby mnie z podwójną pogardą, tym samym podniecając tylko na nowo niespokojne popędy w mej duszy.

Pragnęłam czym innym zająć wzburzone myśli, znaleźć pokarm dla uczuć mniej wrogich niż posępne oburzenie. Wzięłam do ręki książkę — były to bajki arabskie; siadłam i próbowałam czytać. Nie mogłam jednak doczytać się sensu, moje własne myśli stawały pomiędzy mną a stronicami, w których zawsze znajdowałam tyle uroku. Otworzyłam szklane drzwi do ogrodu. Cisza tam panowała zupełna, mróz bez słońca i bez powiewu ogarniał cały ogród. Okryłam głowę i ramiona spódnicą mojej sukni i wyszłam przejść się po ustronnej zupełnie części parku. Nie znalazłam jednakże przyjemności w widoku milczących drzew, spadających szyszek świerkowych, zmarzniętych resztek jesieni, rdzawych liści, wiatrami na kupki zmiecionych i zeszywniałych teraz. Oparłam się o bramę i wyjrzałam na puste pole, gdzie nie było pasących się owiec na krótkiej o tej porze roku, nadgniłej i zbielejącej trawie. Szary to był dzień, nieprzejrzyste niebo, śnieg zapowiadające, zwisało ciemną oponą nad ziemią. Spływały stamtąd od czasu do czasu śnieżne płatki i osiadały, nie topniejąc, na twardej ścieżce i oszroniałej trawie. Stałam tak, nieszczęśliwe dziecko, szepcząc do siebie: „Co ja pocznę?... Co ja pocznę?”.

Wtem usłyszałam wołający mnie jasny głos:

— Panno Jane! Gdzie panienka jest? Proszę na drugie śniadanie!

To była Bessie, wiedziałam, ale nie ruszyłam się. Jej lekkie kroki słyhać było wzdłuż ścieżki.

— O, ta niegrzeczna osóbk! — powiedziała. — Dlaczego to panienka nie przychodzi, kiedy ją wołają?

Obecność Bessie w porównaniu z myślami, które mnie gnębiły, wydała mi się radosna, pomimo że jak zwykle była w trochę złym humorze. Po moim starciu z panią Reed i po moim zwycięstwie nie dbałam jednak wielce o przejściowy gniew bony, a za to miałam ochotę rozweselić się nieco jej młodzieńczą swobodą serca. Więc też po prostu zarzuciłam jej obie ręce na szyję i powiedziałam:

— No Bessie, nie gniewać się, nie besztać!

Szczerszy to był i śmielszy odruch z mej strony niż jakikolwiek dotychczas; jakoś jej się to spodobało.

— Dziwne z panienki dziecko, panno Jane — rzekła, patrząc na mnie — takie małe, rozmarzone, zamknięte w sobie stworzenie. Ma panienka pójść do szkoły, zdaje mi się.

Skinęłam głową.

— I nie żal będzie panience opuścić biedną Bessie?

— Co sobie Bessie robi ze mnie? Zawsze tylko burczy na mnie.

— Bo z panienki takie dziwne, wystraszone, nieśmiałe stworzonko. Trzeba być śmielszą.

— Co? Żeby więcej szturchać oberwać?

— Głupstwo! Ale poniewierają tu panienkę trochę, to pewne. Matka moja, gdy mnie tu w zeszłym tygodniu odwiedzała, mówiła, że nie chciałaby, ażeby które z jej małych było na miejscu panienki. No, a teraz pójdziemy do domu, mam pewne dobre wiadomości dla panienki.

— Nie chce mi się wierzyć, Bessie!

— Dziecko! Co ty przez to rozumiesz? Jakimi smutnymi oczami patrzysz na mnie! No więc, pani, panienki i pan John wyjeżdżają dziś po południu na herbatę, a panienka będzie piła herbatę ze mną. Poproszę kucharkę, żeby upiekła panience ciasteczek, a potem pomoże mi panienka przejrzeć swoje szuflady, gdyż mam zapakować walizkę panienki. Pani chce, żeby panienka wyjechała z Gateshead za jaki dzień albo dwa, i ma panienka wybrać sobie między zabawkami te, które miałyby ochotę zabrać ze sobą.

— Bessie, musisz mi przyrzec, że już do mojego wyjazdu nie będziesz się na mnie gniewała.

— Dobrze, ale proszę pamiętać, żeby panienka była bardzo grzeczną dziewczynką i nie bała się mnie. Proszę nie skakać, gdybym przypadkiem coś ostrzej powiedziała, to tak drażni.

Strach, Dziecko

— Myślę, że już się ciebie nie będę więcej bała, Bessie, gdyż przyzwyczałam się do ciebie, a wkrótce będę miała innych ludzi, których się będę bała.

— Jak ich się będziesz bała, nie będą cię lubili.

— Tak jak ty, Bessie?

— Ja panienki nie „nie lubię”, mnie się zdaje, że ja właśnie panienkę więcej lubię niż wszystkich tamtych.

— Nie okazujesz tego!

— Jesteś byстрыm stworzonkiem! Przyswoiłaś sobie zupełnie nowy sposób mówienia. Skąd taka ryzykowna odwaga?

— No cóż, już niedługo wyjadę, a przy tym... — miałam coś powiedzieć o tym, co zaszło między mną a panią Reed, ale po namyśle osądziłam, że lepiej o tej sprawie milczeć.

— A więc cieszy się panienka, że mnie opuszcza?

— Wcale nie, Bessie. W tej chwili to raczej mi żal.

— W tej chwili! I raczej! Jak chłodno moja mała dama to mówi! Przypuszczam, że gdybym teraz poprosiła o buziaka, nie chciałaby mi go panienka dać.

— Pocałuję cię i jeszcze jak chętnie! Nachyl tylko głowę!

Bessie nachyliła się, uściskałyśmy się wzajemnie i poszłam za nią do domu, zupełnie uspokojona. To popołudnie upłynęło w harmonii i zgodzie, a wieczorem Bessie opowiedziała mi jedną ze swoich najbardziej zajmujących historii i zaśpiewała mi kilka najmiłszych piosenek. Nawet dla mnie życie miało przebłyski słoneczne.

ROZDZIAŁ V

Było to 19 stycznia. Zaledwie wybiła piąta rano, Bessie wniosła świecę do mojej komórki i zastała mnie już na nogach, prawie ubraną. Wstałam na pół godziny przed jej przyjściem, umyłam twarz i włożyłam ubranie przy świetle zachodzącego właśnie księżycy, którego promienie wpadały przez wąskie okno blisko mego łóżka. Miałam opuścić Gateshead tego dnia dylizansem przejeżdżającym obok bramy przy portierni o szóstej rano. Bessie była jedyną osobą, która dotychczas wstała. Rozpaliła ogień w dziecinnym pokoju, a teraz zaczęła przyrządzać mi śniadanie. Dzieci rzadko kiedy potrafią jeść, gdy je podnieca myśl o czekającej podróży — i ja też jeść nie mogłam. Bessie, która na próżno usiłowała wmusić we mnie trochę mleka i chleba, zawinęła w papier kilka biszkoptów i wsunęła do mojej torebki. Następnie pomogła mi włożyć płaszcz i kapelusz i zawiąawszy się w szal, wyszła ze mną z dziecinnego pokoju. Przechodząc koło sypialni pani Reed, zapytała:

— Czy wejdzie panienka pożegnać się z panią?

— Nie, Bessie — odpowiedziałam. — Pani Reed wczoraj wieczorem przyszła do mojego łóżka, podczas gdy ty byłaś na dole na kolacji, i powiedziała mi, że nie potrzebuję budzić jej rano ani moich kuzynek, i że mam pamiętać, iż zawsze była moją najlepszą przyjaciółką, i że odpowiednio mam mówić o niej, i być jej wdzięczna.

— A panienka co na to odpowiedziała?

— Nic. Zakryłam twarz kołdrą i obróciłam się od niej do ściany.

— To źle, panno Jane.

— To było zupełnie słuszne, Bessie. Twoja pani nie była moją przyjaciółką, ona była moim wrogiem.

— O, panno Jane! Niech panienka tego nie mówi!

— Żegnam cię, Gateshead! — zawołałam, gdy minawszy hall, wychodziłyśmy frontowymi drzwiami.

Księżyc już zaszedł i było bardzo ciemno. Światło latarni, którą Bessie niosła, migało na mokrych stopniach i zwirze drogi, rozmięklej z powodu świeżej odwilży. Ostry i chłodny był ten zimowy ranek — szczykałam zębami, pospieszając drogą. Świeciło się w łoży portiera; doszedłszy tam, zastaliśmy odźwierną, rozpalającą właśnie ogień. Moja walizka, odniesiona poprzedniego wieczora, stała przy drzwiach, obwiązana sznurami. Brakło tylko kilka minut do szóstej, a zaledwie godzina ta wybiła, daleki turkot kół zwiastował, że dylizans nadjeżdża. Stałam w drzwiach i śledziłam jego latarnie, zbliżające się szybko w ciemności.

— Czy ona sama jedzie? — zapytała odźwierną.

— Tak jest, sama.

— A jak daleko?

— Pięćdziesiąt mil.

— Taka długa droga! Dziwię się, że pani Reed nie boi się tak daleko puścić dziecka samego.

Dyliżans podjechał, oto stał przed bramą, zaprzężony w cztery konie, naładowany pasażerami. Wniesiono moją walizkę, zabrano mnie z objęć Bessie, do której tuliłam się, obsypując ją pocałunkami.

— Niech się pan nią dobrze opiekuje — zawołała, gdy konduktor wsadzał mnie do środka.

— Dobrze, dobrze — odpowiedział.

Drzwiczki zatrzaśnięto, jakiś głos zawołał: „Wszystko w porządku!” i ruszyliśmy.

W ten sposób rozstałam się z Bessie i z Gateshead — porwana w świat nieznany, a jak mi się wtedy wydawało, w jakieś odległe i tajemnicze przestrzenie.

Z tej podróży niewiele pamiętam. Wiem tylko, że dzień wydał mi się nienaturalnie długi i że miałam wrażenie, że jakieś setki mil przebywamy. Przejeżdżaliśmy przez kilka miast, a w jednym, bardzo dużym, dyliżans się zatrzymał. Wyprężono konie i pasażerowie wysiedli na obiad. Zaprowadzono mnie do hotelu, gdzie konduktor chciał, żebym zjadła coś na obiad. Ponieważ jednak nie miałam apetytu, zostawił mnie w ogromnym pokoju, gdzie w dwóch końcach stały dwa kominki, świecznik wisiał u sufitu, a pod ścianą biegła mała, czerwona galeryjka pełna instrumentów muzycznych. W tej sali spacerowałam dłuższy czas i było mi dziwnie i straszno — śmiertelnie się bałam, że może ktoś wejść i porwać mnie, bo wierzyłam „w porywanie”. W wieczornych opowiadaniach Bessie przy kominku porywanie dzieci zdarzało się często. Nareszcie konduktor powrócił, wpakował mnie znów do dyliżansu, zajął swoje miejsce, zatrąbił i turkoczając, ruszyliśmy kamienistą drogą prowadzącą do Lowood.

Popołudnie było wilgotne i trochę mgliste. Gdy zmierzch zaczął zapadać, ogarnęło mnie wrażenie, że Gateshead zostało rzeczywiście bardzo daleko za nami. Już nie przejeżdżaliśmy przez miasta, zmienił się widok okolicy. Wielkie, siwe wzgórza zarysowały się na widnokręgu. Mrok gęstniał, gdy zjechaliśmy w ciemną, zalesioną dolinę, a chociaż już wieczór zasłonił wszelki widok, słyszałam, jak wśród drzew szumi wiatr.

Ukołysana tym szumem, zapadłam w końcu w sen. Niedługo spałam, zbudziło mnie nagle ustanie ruchu. Drzwiczki dyliżansu były otwarte i jakaś osoba, wyglądająca na służącą, stała przy nich. Zobaczyłam jej twarz i ubranie w świetle latarni.

— Czy jest tu mała dziewczynka, nazwiskiem Jane Eyre? — zapytała.

Odpowiedziałam „Tak!” i wtedy mnie wysadzono. Oddano moją walizkę i dyliżans natychmiast ruszył w dalszą drogę.

Zesztywniała byłam od długiego siedzenia i oszłamiona turkotem i ruchem dyliżansu. Zbierając myśli, rozejrzałam się dokoła. Deszcz, wiatr i ciemności wypełniały powietrze, pomimo to rozpoznałam przed sobą mur i otwarte w nim drzwi. Weszłam przez nie za moją przewodniczką, która je za sobą zamknęła na klucz. Teraz dojrzeć mogłam dom czy też domy, gdyż szeroko rozsiadł się ten budynek o wielu oknach. Niektóre z nich były oświetlone. Szłyśmy po szerokiej ścieżce, chlapiąc wilgocią. Przez jakieś drzwi weszłyśmy do środka, a wtedy służąca przeprowadziła mnie przez korytarz do pokoju, gdzie palił się ogień, i tam zostawiła mnie samą.

Stałam, grzejąc zgrabiące palce nad płomieniem, a potem obejrzałam się wokoło. Nie było świecy, w chwiejnym świetle ognia płonącego na kominku migwały tapety, dywan, firanki, błyszczące meble mahoniowe. Był to salonik, nie tak obszerny ani wspaniały jak salon w Gateshead, ale wcale przyzwoity. Zastanawiałam się, chcąc zrozumieć, co przedstawiał obraz wiszący na ścianie, gdy otworzyły się drzwi i weszła do pokoju osoba niosąca świecę, a tuż za nią druga.

Pierwszą była wysoka dama o ciemnych włosach, ciemnych oczach i bladym, szerokim czole. Postać jej częściowo okrywał szal, twarz wyrażała powagę, trzymała się prosto.

— Dziecko takie małe, że też je wysłano samo — zauważyła, stawiając świecę na stole. Przypatrywała mi się uważnie przez dłuższą chwilę, a potem dodała: — Najlepiej byłoby położyć ją prędko do łóżka, wydaje się zmęczona. Czy jesteś zmęczona? — zapytała, kładąc mi rękę na ramieniu.

— Trochę, proszę pani.

Podróż

— I głodna także zapewne. Niech jej pani każe dać co do zjedzenia, zanim się położę, panno Miller. Czy po raz pierwszy opuściłaś rodziców, jadąc do szkoły, moje dziecko?

Odpowiedziałam jej, że nie mam rodziców. Zapytała, od jak dawna nie żyją, a potem ile mam lat, jak się nazywam, czy umiem czytać, pisać i szyć trochę. W końcu, łagodnie pogłaskawszy mnie po twarzy, powiedziała, że „spodziewa się, że będę dobrym dzieckiem”, i pożegnała mnie i pannę Miller.

Pani, którą pożegnałam, mogła mieć jakie dwadzieścia dziewięć lat. Ta, która ze mną poszła, wydawała się o kilka lat młodsza. Pierwsza wywarła na mnie silne wrażenie głosem, wyglądem i obejściem. Panna Miller miała powierzchowność pospolitszą, czerwona cerę i zatroskany wyraz twarzy. Śpieszyła się, gdy chodziła czy cokolwiek robiła, jak ktoś, kto ma zawsze mnóstwo spraw do załatwienia. Sprawiała wrażenie niższej nauczycielki i nią też, jak się później dowiedziałam, była. Prowadzona przez nią, przechodziłam z oddziału do oddziału, z korytarza do korytarza wielkiego i nieregularnego budynku, aż wydostawszy się z całkowitej i dość przykryj ciszy, panującej w przebytej przez nas części domu, usłyszałyśmy brzęczenie wielu głosów i weszłyśmy do obszernego, długiego pokoju. Po dwa wielkie sosnowe stoły stały w każdym jego końcu, po dwie świece paliły się na każdym stole, a na ławkach dokoła nich siedziała cała gromada dziewcząt w różnym wieku — od dziewięciu lub dziesięciu do dwudziestu lat. Widziane przy ciemnym świetle lichych świeczek, wydawały mi się niezliczone, chociaż w rzeczywistości nie było ich więcej niż osiemdziesiąt, i były wszystkie jednakowo ubrane w brązowe, wełniane suknie dziwnego fasonu i długie, płócienne fartuchy. Była to godzina nauki, wkuwały jutrzejsze zadania, a brzęczenie, które słyszałam, był to łączny rezultat ich szeptanego powtarzania.

Panna Miller dała mi znak, że mam usiąść na ławce przy drzwiach, po czym, poszedłszy na front długiego pokoju, zawołała głośno:

— Dyżurne, zebrać i odłożyć książki!

Cztery wysokie dziewczynki podniosły się od stołów, zebrały książki i odłożyły je. Panna Miller znowu wygłosiła słowa komendy:

— Dyżurne, przynieście tace z kolacją!

Wysokie dziewczynki wyszły i wróciły zaraz, niosąc każda tacę z ustawionymi na nich porcjami czegoś (nie mogłam na razie rozpoznać, co to jest), dzbankiem i garnuszkiem. Porcje rozdawały dokoła. Kto chciał, brał łyk wody, garnuszek był wspólny dla wszystkich. Gdy kolej przysłała na mnie, napiłam się, bo miałam pragnienie, ale nie tknęłam jedzenia — podniecenie i zmęczenie podróżą zagłuszyły mi apetyt. Teraz jednak zobaczyłam, że było to jakieś cienkie, owsiane ciasto, podzielone na kawałki.

Po skończonej wieczerzy panna Miller odczytała modlitwy i klasy wyszły rzędem, parami, na górę. Wyczerpana zmęczeniem, zaledwie zauważyłam, jak wygląda sypialnia. Spostrzegłam tylko, że podobnie jak pokój szkolny była bardzo długa. Tej nocy miałam dzielić łóżko z panną Miller, ona mi pomogła się rozebrać. Leżąc już, popatrzyłam na długie rzędy łóżek, w których szybko układały się dziewczęta, w każdym po dwie. W dziesięć minut zgaszono jedyną świecę, a ja wśród milczenia i zupełnej ciemności zasnęłam.

Noc minęła szybko, zanadto byłam zmęczona, ażeby śnić. Raz się tylko obudziłam, słysząc, jak wiatr szaleje wściekłymi podmuchami i deszcz leje strumieniami. Poczułam też, że panna Miller zajęła miejsce przy mnie. Gdy znów otworzyłam oczy, dzwonił głośny dzwonek. Dziewczęta powstawały i ubierały się, dzień jeszcze nie świtał. Jedna czy dwie świece paliły się w pokoju. I ja niechętnie wstałam, gdyż było okropnie zimno. Trzęsąc się cała, ubrałam się, jak mogłam, i umyłam, gdy się doczekałam wolnej miednicy (co nastąpiło nieprędko, gdyż jedna miednica wypadła na sześć dziewcząt). Znowu odezwał się dzwonek i wszystkie ustawiły się rzędem, parami i w tym porządku zeszły ze schodów do zimnego, słabo oświetlonego szkolnego pokoju. Tutaj panna Miller odczytała modlitwy, po czym zawołała:

— Uformować klasy!

Wielki gwar zapanował na kilka minut. Panna Miller kilkakrotnie wołała: „Cicho!”, „Do porządku!”. Gdy się uciszyło, zobaczyłam, że dziewczynki usiadły w półkola przy czterech stołach. Wszystkie trzymały w ręku książki, a wielka księga, podobna do *Biblii*, leżała na każdym stole przed pustym krzesłem. Nastąpiło teraz kilka sekund pauzy, wy-

pełnionej szmerem półgłosnych szeptów dziewcząt. Panna Miller przechodziła od klasy do klasy i uciszała te nieokreślone odgłosy.

Z daleka odezwał się dzwonek. Natychmiast weszły trzy nauczycielki, z których każda zajęła miejsce przy stole, czwarte krzesło zajęła panna Miller. Stało ono najbliżej drzwi i dokoła niego zgromadziły się najmniejsze dzieci; mnie zaliczono także do tego najniższego oddziału i umieszczono na końcu.

Zaczęła się teraz praca. Powtarzano kolektę⁴⁸ dnia, następnie przepowiadano pewne teksty *Pisma Świętego*, po czym nastąpiło dłuższe odczytywanie rozdziałów z *Biblii*, a wszystko to trwało godzinę. Gdy zajęcia to ukończono, już i dzień pełny nastał. Niezmordowany dzwonek odezwał się po raz czwarty, dziewczęta ustawiły się klasami i pomaszzerowały do innego pokoju na śniadanie. Jakże mnie ucieszyła nadzieja, że dostanę coś do zjedzenia! Słabo mi się robiło z głodu, tak mało przecież jadłam wczoraj!

Refektarz⁴⁹ był wielki, niski i posępny. Na dwóch długich stołach dymiły miseczki czegoś gorącego, co jednak, ku memu niemiłemu zdziwieniu, wydawało woń dość niezachęcającą. Zauważyłam ogólne objawy niezadowolenia, gdy zapach potrawy uderzył nosy dziewcząt. Od pierwszych par procesji dziewczynek z pierwszej klasy pobiegły szeptem słowa:

— Obrzydliwość! Kasza znowu przypalona!

— Cicho! — wykrzyknął jakiś głos. Nie głos panny Miller, lecz jednej z wyższych nauczycielek, małej, ciemnej osoby, elegancko ubranej, ale nieco surowego wyglądu, która zajęła miejsce na końcu stołu, podczas gdy na drugim przydywała pełniejsza i przystojniejsza osoba. Na próżno rozglądałam się za tą, którą wczoraj wieczorem zobaczyłam jako pierwszą. Panna Miller siedziała na końcu drugiego stołu, przy którym i ja się znajdowałam, a naprzeciw niej dziwna, cudzoziemsko wyglądająca starsza dama — nauczycielka Francuzka, jak się później dowiedziałam. Zmówiono długą modlitwę i prześpiewano hymn, następnie służąca przyniosła herbatę dla nauczycielek i zaczęło się śniadanie.

Zgłodniała i już w tej chwili bardzo osłabiona, pochłonęłam łyżkę czy dwie swej porcji, nie zastanawiając się nad smakiem. Jednak po zaspokojeniu pierwszego głodu spostrzegłam, że dostałam jakąś wstrętą potrawę. Przypalona kasza owsiana nie lepsza jest prawie od zgniłych kartofli, nawet głód przed nią się cofa. Łyżki poruszały się powoli: widziałam, że każda dziewczynka próbuje pożywienia i stara się je przełknąć, ale większość dawała za wygraną. Skończyło się śniadanie, a nikt nie pośniadał⁵⁰. Po odmówieniu dziękczynnej modlitwy za to, czego nie dostałyśmy, i po odśpiewaniu drugiego hymnu opuściłyśmy refektarz i przeszłyśmy do pokoju szkolnego. Przechodząc prawie na końcu orszaku koło stołów, zobaczyłam, że jedna z nauczycielek wzięła miseczkę z kaszą i spróbowała jej. Popatrzyła na pozostałe — wszystkie miały twarze niezadowolone, a ta tęga szepnęła:

— Wstrętne jadło! To wstyd doprawdy!

Minął kwadrans, zanim znów lekcje się rozpoczęły, a w tym czasie zapanowała w pokoju szkolnym niesłychana wrzawa. Wolno było teraz głośno i swobodnie rozmawiać, toteż dziewczęta korzystały z tego przywileju. Cała dyskusja toczyła się dokoła śniadania, na które wszystkie bez wyjątku wymyślały, co się zowie. Biedaczki! Było to ich jedyną pociechą. Panna Miller była jedyną nauczycielką obecną w pokoju. Kilka starszych dziewcząt, otaczających ją, rozprawiało z poważnymi i chmurnymi minami. Słyszałam kilka razy powtórzone nazwisko pana Brocklehursta, na to panna Miller potrząsała głową z naganą, ale nie zadawała sobie wiele trudu, by powstrzymać ogólne oburzenie — najprawdopodobniej sama je podzielała.

Zegar w pokoju szkolnym wybił dziewiątą. Panna Miller opuściła swoje kółko i, stanąwszy w środku pokoju, zawołała:

— Cicho! Na miejsca!

Rygor zrobił swoje: w pięć minut zmieszana gromadka rozdzieliła się w porządku i zapanowała względna cisza. Wyższe nauczycielki wróciły teraz punktualnie na swoje miejsca, wszyscy jednakże zdawali się czekać. Rzędami w ławkach w czterech rogach pokoju siedziało osiemdziesiąt dziewcząt — prosto i bez ruchu. Dziwnym się wydawały

⁴⁸kolekta — tu: modlitwa odmawiana przed odczytaniem lekcji. [przypis edytorski]

⁴⁹refektarz — jadalnia w klasztorze lub seminarium. [przypis edytorski]

⁵⁰pośniadać (daw.) — zjeść śniadanie. [przypis edytorski]

zbiorowiskiem, wszystkie ze szczesnymi gładko z czoła włosami, bez jednego widomego loczka, w brązowych, wysoko zapiętych sukniach z wąskimi, białymi kołnierzykami przy szyi i płóciennymi kieszonkami (kształtem podobnymi do góralskich sakiewek), przywiązanych z przodu u paska, a mającymi służyć za torebki do robótki. Wszystkie też nosiły wełniane pończochy i na wsi fabrykowane trzewiki, zapięte na mosiężne klamerki. Ze dwadzieścia z nich, w ten sposób ubranych, były to dziewczęta dorosłe. Nieładnie im w tym było i nawet najpiękniejszym nadawało to wygląd dziwaczny.

Wciąż jeszcze przyglądałam się im, w przerwach także obserwowałam nauczycielki, z których żadna mi się zbytnio nie podobała. Ta tęga bowiem wyglądała nieco ordynarnie, ta ciemna — ostro i surowo, cudzoziemka — szorstko i dziwacznie, a panna Miller, biedaczka! Czerwona, z wypiekami, miała wygląd przepracowanej. Jeszcze na nie patrzyłam, przesuwając wzrok od jednej twarzy do drugiej, gdy cała szkoła, jak gdyby poruszona sprężyną, podniosła się równocześnie.

Co się stało? Nie słyszałam, by jakiś rozkaz wydano, byłam zdziwiona. Zanim się opamiętałam, klasy zasiadły z powrotem, ale ponieważ teraz wszystkie oczy zwróciły się w jeden punkt, więc moje poszły w tym kierunku i napotkały osobę, która mnie przyjmowała wieczorem. Stała na końcu długiego pokoju przed kominkiem, w obu bowiem końcach pokoju palił się ogień, i przeglądała obydwa rzędy dziewcząt milcząco i poważnie. Panna Miller przybliżyła się do niej, zapytała o coś, a dostawszy odpowiedź, wróciła na swoje miejsce i powiedziała:

— Dyżurna pierwszej klasy niech przyniesie globusy!

Podczas gdy ten rozkaz wykonywano, pani przeszła powoli przez pokój. Przypuszczam, że muszę mieć dosyć silny zmysł uwielbienia, gdyż dziś jeszcze odczuwam to wrażenie podziwu i czci, z jaką oczy moje biegły za jej krokami. Widziana teraz w jasnym świetle dnia wydała mi się wysoka, ładna i kształtna. Piuwe oczy, pełne dobrotliwego wyrazu i blasku, przy długich rzęsach i pięknie zarysowanych brwiach, podnosiły białość jej szerokiego czoła. Włosy, bardzo ciemne, zwijały się na skroniach w okrągłe, krótkie pukle, według ówczesnej mody, kiedy to nie noszono ani gładkich niobów ani długich loków. Suknię miała na sobie także wedle panującej mody — z pąsowego sukna, przystrojona czarnym aksamitem. Złoty zegarek (zegarki nie były wtedy w tak powszechnym użyciu jak teraz) błyszczał u jej paska. Niech czytelnik doda, dla uzupełnienia obrazu, delikatne rysy, cerę jasną, chociaż bladą, pełną godności postać i ruchy, a będzie miał o tyle dokładne, o ile słowa oddać je mogą, pojęcie o powierzchowności panny Temple, Marii Temple, jak kiedyś później wyczytałam na jej książce do nabożeństwa, którą oddała mi do niesienia, idąc do kościoła.

Przełożona szkoły w Lowood (gdz nia była ta pani), zasiadłszy przed parą globusów, wezwała pierwszą klasę ku sobie i zaczęła z nią lekcję geografii. Niższymi klasami zajęły się inne nauczycielki. Przez godzinę powtarzano historię, gramatykę itd., następnie przyszło pisanie i arytmetyka, a niektórym starszym dziewczętom udzielała panna Temple lekcji muzyki. Zegar odmierzał czas trwania każdej lekcji, nareszcie wybiła dwunasta. Przełożona wstała.

— Mam słowo do powiedzenia uczennicom — rzekła.

Rozpoczął się już hałas po skończonej lekcji, ale umilkł, uciszony jej głosem. Mówiła dalej:

— Dostałyście dzisiaj śniadanie, którego nie mogłyście jeść, musicie być głodne. Zarządziłam, żeby drugie śniadanie, chleb z serem, zostało podane dla wszystkich.

Nauczycielki popatrzyły na nią zdziwione.

— Kazałam to zrobić na moją odpowiedzialność — zwróciła się do nich z wyjaśnieniem, po czym natychmiast wyszła z pokoju.

Zaraz też wniesiono i rozdzielono chleb z serem ku pokrzepieniu i wielkiej radości całej szkoły. Teraz padło słowo komendy: „Do ogrodu!”. Dziewczęta włożyły ordynarne, słomiane kapelusze wiązane na szarfy z kolorowego perkalu i płaszcz z szarej sybery⁵¹. Mnie ubrano podobnie i w ślad za innymi wyszłam na świeże powietrze.

Ogród stanowiła obszerna przestrzeń zamknięta tak wysokim murem, że wykluczał wszelką możliwość wyjrzenia dalej. Wzdłuż jednego jego boku ciągnęła się kryta weranda,

⁵¹syberyna — gruba, wełniana tkanina. [przypis edytorski]

a szerokie ścieżki otaczały przestrzeń środkową, rozdzieloną na cały szereg małych grządek. Te grządki wyznaczone były dla uczennic jako ogródki do uprawiania i każda grządka miała swoją właścicielkę. Latem, pełne kwiatów, musiały one niewątpliwie ładnie wyglądać, ale teraz, w drugiej połowie stycznia, wszystko było po zimowemu puste i szerniałe. Drżałam, stojąc i rozglądając się dokoła. Przykry to był dzień, niezachęcający do ruchu na świeżym powietrzu. Nie był dżdżysty, lecz przyćmiony żółtą mgłą, ziemia pod stopami nasiąkła wilgocią po wczorajszej ulewie. Silniejsze dziewczęta biegały i prowadziły jakieś gry ruchowe, ale niektóre, blade i szczupłe, skupiały się w gromadki, szukając osłony i ciepła na werandzie. Wśród tych, w miarę jak gęsta mgła przenikała drżące ich postacie, słyszałam częsty odgłos głuchego kaszlu.

Dotychczas jeszcze nie przemówiłam do nikogo i nikt też nie zdawał się zwracać na mnie uwagi. Stałam sobie samotna na boku — do tego uczucia osamotnienia byłam przyzwyczajona, nie dokuczało mi ono wielce. Oparta o filar werandy, otulając się jak najszczelniej w fałdy płaszcza i starając się zapomnieć o zimnie i o głodzie, zajęłam się przyglądaniem i rozmyślaniami. Moje rozmyślenia zbyt były nieokreślone i niepowiązane, żeby je warto wspominać. Zaledwie wiedziałam, gdzie się znajduję. Gateshead i ubiegłe moje życie gdzieś odbiegły w dal, teraźniejszość była niejasna i jakaś obca, a o przyszłości nie umiałam snuć domysłów. Rozglądałam się po tym jakby klasztornym ogrodzie, a potem spojrzałam na dom, obszerny budynek, którego jedna połowa wydawała się szara i stara, druga zaś zupełnie nowa. Nowa część, obejmująca pokój szkolny i sypialnię, miała krzyżowe i zakratowane okna, co nadawało jej wygląd kościelny. Kamienna tablica nad drzwiami nosiła napis:

„Zakład Lowood. Ta część została przebudowana A. D.⁵²... przez Naomi Brocklehurst z Brocklehurst Hall w tym hrabstwie. «Tak niech świeci wasze światło przed ludźmi, aby widzieli wasze dobre uczynki i chwalili Ojca waszego, który jest w niebie». Mt 5, 16⁵³”.

Odczytywałam raz i drugi te słowa. Czulałam, że potrzebuję jakiegoś wyjaśnienia, gdyż nie potrafiłam znaczenia ich w pełni zrozumieć. Gdy tak nad tym rozmyślałam, odgłos czyjś kaszlu tuż za mną sprawił, że odwróciłam głowę. W pobliżu, na kamiennej ławce siedziała młoda dziewczyna, pochylona nad książką, którą czytała z zainteresowaniem. Z miejsca, gdzie stałam, mogłam zobaczyć tytuł: *Rasselas*⁵⁴. Imię to wydało mi się dziwne, więc tym bardziej pociągające. Dziewczyna, przewracając kartę, podniosła oczy, ja zaś zagadnęłam ją w tej chwili:

— Czy to zajmująca książka? — Już świtał we mnie zamiar poproszenia, by mi ją kiedyś pożyczyła.

— Mnie się podoba — odpowiedziała po chwili, przyjrawszy mi się uważnie.

— O czym tam jest mowa? — zapytałam znowu. Nie wiem, skąd mi się wzięła ta śmiałość wszczynania rozmowy z kimś obcym, taki krok przeciwny był naturze mojej i przyzwyczajeniom. Myślę, że jej zajęcie dotknęło jakiejś struny sympatycznej we mnie, gdyż i ja lubiłam czytać, choć tylko rzeczy lekkie i dziecinne, nie mogłam strawić ani zrozumieć lektury poważnej.

— Możesz ją obejrzeć — odpowiedziała dziewczynka, podając mi książkę.

Przejrzałam książkę. Krótki ten przegląd wystarczył, by mnie przekonać, że zawartość jej mniej była porywająca niż tytuł. *Rasselas*, jak na mój gust dziecinny, wydał mi się nudny. Nic tam nie znalazłam o wrózkach, nic o czarodziejach, gęsto zadrukowane stronicie nie rozsiewały wcale barwnej rozmaitości. Oddałam jej książkę, odebrała ją spokojnie i nic nie mówiąc, pogrzyżyła się jak poprzednio w uważnej lekturze. Po raz wtóry odważyłam się jej przeszkodzić.

— Czy możesz mi powiedzieć, co znaczy napis na tym kamieniu nad drzwiami? Co to jest Zakład Lowood?

— Ten dom, do którego przybyłaś, by w nim zamieszkać.

— A dlaczego nazywają go Zakładem? Czy różni się on pod jakimś względem od innych szkół?

⁵²A. D. (łac.) — Anno Domini, roku pańskiego. [przypis edytorski]

⁵³Tak niech świeci wasze światło przed ludźmi (...) Mt 5, 16 — cytat za *Biblią Tysiąclecia*. [przypis edytorski]

⁵⁴*Rasselas* — ang. *The History of Rasselas, Prince of Abissinia*, dzieło Samuela Johnsona (1709–1784), opublikowane w 1759 r. [przypis edytorski]

— Jest to częściowo szkoła dobroczynności. Ty i ja, my wszystkie jesteśmy dziećmi na utrzymaniu dobroczynności. Przypuszczam, że jesteś sierotą. Czy nie straciłaś ojca albo matki?

— Oboje umarli, gdy byłam małeńka, tak że ich wcale nie pamiętam.

— Otóż wszystkie dziewczęta tutaj straciły jedno albo oboje rodziców, a ten dom nazywany jest zakładem wychowawczym sierot.

— Więc my tutaj nic nie płacimy? Czy oni nas utrzymują za darmo?

— Płacimy albo krewni nasi płacą rocznie piętnaście funtów za każdą.

— A więc dlaczego nazywają nas dziećmi na utrzymaniu dobroczynności?

— Ponieważ piętnaście funtów nie wystarcza na utrzymanie i na naukę, a czego brakuje, dopełnia się ze składek.

— A kto się składa?

— Składają się rozmaici dobroczynni panowie i panie tu w okolicy i w Londynie.

— Kto to był Naomi Brocklehurst?

— Ta pani, która zbudowała nową część tego domu, jak o tym napisano na tablicy, i której syn dozoruje i rządzi wszystkim tutaj.

— Dlaczego?

— Ponieważ jest skarbnikiem i dyrektorem zakładu.

— Ach, więc ten dom nie należy do tej wysokiej pani, która nosi zegarek i która powiedziała, że mamy dostać chleba z serem?

— Do panny Temple? O, nie! Dobrze by było! Ona odpowiada przed panem Brocklehurstem za wszystko, co robi. Pan Brocklehurst kupuje wszelkie nasze pożywienie i ubrania dla nas.

— Czy on tutaj mieszka?

— Nie, dwie mile stąd, w dużym dworze.

— Czy to dobry człowiek?

— Jest duchownym i mówi, że robi wiele dobrego.

— Czy powiedziałaś, że ta wysoka pani nazywa się panna Temple?

— Tak jest.

— A tamte inne nauczycielki jak się nazywają?

— Ta, która ma rumiane policzki, nazywa się panna Smith, ona uczy robótek i przykrawa materiały, gdyż my same szyjemy sobie ubrania, płaszcze i wszystko. Ta mała z czarnymi włosami to panna Scatcherd, ona uczy historii i gramatyki i słucha lekcji drugiej klasy. A ta, która chodzi w szalu i chustkę do nosa przywiązuje do paska żółtą wstążką, to *madame*⁵⁵ Pierrot, pochodzi z Lille⁵⁶ we Francji i uczy francuskiego.

— Czy ty lubisz nauczycielki?

— Dosyć.

— A tę małą czarną i *madame*...? Nie umiem wymówić jej nazwiska tak jak ty.

— Panna Scatcherd jest prędką... Uważaj, żebyś jej się nie naraziła. *Madame* Pierrot to całkiem niezła osoba.

— Ale panna Temple jest najlepsza — nieprawdaż?

— Panna Temple jest bardzo dobra i bardzo mądra, ona przewyższa tamte, gdyż umie o wiele więcej niż one.

— Czy dawno jesteś tutaj?

— Od dwóch lat.

— Czy jesteś sierotą?

— Matka moja nie żyje.

— Czy czujesz się tutaj szczęśliwa?

— Trochę za wiele się pytasz. Dałam ci już dosyć odpowiedzi, teraz chciałabym po-
czytać.

W tejże chwili jednak odezwał się dzwonek, wzywający nas na obiad. Wróciliśmy do domu.

⁵⁵*madame* (fr.) — pani. [przypis edytorski]

⁵⁶*Lille* — miasto i gmina w płn. Francji, stolica regionu Hauts-de-France. [przypis edytorski]

Zapach, unoszący się teraz w refektarzu, nie o wiele był bardziej ponętny od tego, który uraczył nasze nosy przy śniadaniu. Podano obiad w dwóch dużych, blaszanych naczyniach, z których unosiła się para, woniąca zjełczałym tłuszczem. Potrawa składała się z pozbawionych jakiegokolwiek smaku kartofli i dziwnych obrzynków nie pierwszej świeżości mięsa, wszystko było wymieszane i gotowane razem. Każdej uczennicy wydzielono po dość pełnym talerzu tej papki. Jadłam, ile mogłam zjeść, zadając sobie pytanie, czy też jedzenie codziennie będzie takie.

Po obiedzie przeszliśmy natychmiast do pokoju szkolnego, lekcje rozpoczynały się znowu i trwały do godziny piątej.

Po południu zobaczyłam — i to był jedyny ważniejszy wypadek — jak dziewczynkę, z którą rozmawiałam na werandzie, panna Scatcherd odprawiła za karę z lekcji historii i kazała jej stanąć na środku wielkiego pokoju. Kara ta wydała mi się wielce zawstydzającą, zwłaszcza dla tak dużej dziewczynki, wyglądała ona na trzynaście lat co najmniej. Myślałam, że okaże, jak ją to martwi albo zawstydza, ale ku mojemu zdziwieniu ani nie płakała, ani się nie zarumieniła: spokojna, chociaż poważna, stała na oczach wszystkich. „Jak ona może tak spokojnie, tak mężnie to znosić? — zadawałam sobie pytanie. — Gdyby mnie to miało spotkać, życzyłabym sobie, żeby się ziemia pode mną rozstąpiła. Ona zaś jakby myślała o czymś, co dalekie jest od jej kary, od tego, co się z nią dzieje, o czymś, co nie jest ani dokoła niej, ani przed nią. Słyszałam o śniących na jawie, może ona teraz śni na jawie? Czy jej patrzę w ziemię, ale ja jestem pewna, że ziemi nie widzą, wzrok jej wydaje się skierowany do wewnątrz, gdzieś do głębi serca. Patrzy, zdaje mi się, w to, co pamięta, a nie w to, co jest rzeczywiście obecne. Ciekawa jestem, co to za dziewczyna, czy dobra czy nie?”

Wkrótce po piątej dostałyśmy jeszcze jeden posiłek, składający się z małego garnuszka kawy i pół kromki ciemnego chleba. Połknęłam chleb i wypiłam kawę ze smakiem i z przyjemnością, ale byłabym rada, gdyby mi dano drugie tyle — byłam wciąż głodna. Miałyśmy potem pół godziny rekreacji⁵⁷, a po niej znów naukę. Następnie przyszła pora na szklankę wody i kawałek owsianego ciasta, modlitwy i spoczynek. Taki był mój pierwszy dzień w Lowood.

ROZDZIAŁ VI

Następny dzień rozpoczął się, jak poprzedni, wstawaniem i ubieraniem przy świeczce, ale tego ranka musiałyśmy zrezygnować z ceremonii mycia się, bo woda w dzbankach była zamarznęta. Poprzedniego wieczora nastąpiła zmiana, ostry północno-wschodni wiatr wiał tak przez całą noc szparami okien naszej sypialni, że trzęsłyśmy się z zimna w łózkach, a woda w dzbankach pozamarzała.

Zanim upłynęło długie półtorej godziny modlitw i czytania *Biblii*, myślałam, że umrę z zimna. Nadeszła wreszcie pora śniadania. Tym razem kasza nie była spalona, można było ją jeść, tylko ilość jej była mała. Jak niewielka wydała mi się moja porcja! Wzdychałam, by mogła być podwójna.

Tego dnia zostałam przyjęta do czwartej klasy i miałam wyznaczone regularne zadania i zajęcia. Dotychczas byłam tylko widzem tego, co się działo w Lowood, teraz miałam wziąć w tym czynny udział. Z początku mało przyzwyczajonej do uczenia się na pamięć lekcje wydawały się i długie i trudne. Oszalałymi mnie częste zmiany i przechodzenie od jednego zadania do drugiego. Toteż byłam rada, gdy około godziny trzeciej po południu panna Smith dała mi do rąk kawał muslinu wraz z igłą, napastrkiem itd., kazała usiąść w spokojnym kąciku szkolnego pokoju i zrobić na tym obrębek. O tej godzinie większość dziewczynek również szyla, jednakże jedna klasa stała jeszcze dokoła krzesła panny Scatcherd, czytając, a że było cicho, mogłam słyszeć, jak się ich lekcja odbywała, jak każda dziewczynka odpowiadała i jakie uwagi albo pochwały dostawały im się od nauczycielki. Była to historia Anglii. Wśród czytających zauważyłam moją znajomą z werandy. Na początku lekcji jej miejsce było na czele klasy, ale za jakiś błąd w wymowie czy nieuwagę w interpunkcji została nagle usunięta na sam koniec. Nawet tam panna Scatcherd nie przestawała mieć jej wciąż na oku, co chwila robiła jej tego rodzaju uwagi:

⁵⁷rekreacja — tu: czas wolny. [przypis edytorski]

— Burns — (tak się nazywała, dziewczęta tutaj wołano po nazwiskach tak jak chłopów w szkole) — Burns, wykrzywasz trzewik stojąc. Ustaw nogę prosto, natychmiast. Burns, czemu ty tak szkaradnie wysuwasz brodę. Cofnij ją. Burns, wymagam, żebyś stała z podniesioną głową, nie mogę patrzeć na ciebie, kiedy się tak trzymasz... itp., itp.

Po dwukrotnym odczytaniu rozdziału zamykano książki i nauczycielka egzaminowała uczennice. Lekcja była poświęcona panowaniu Karola I⁵⁸; większość na rozmaite pytania — dotyczące tonażu, wagi czy opłat okrętowych — nie umiała odpowiedzieć. Każdą jednakże trudność rozwiązywała natychmiast Burns. Pamięć jej widocznie objęła istotę całej lekcji i na każdy punkt gotowa była dać odpowiedź. Spodziewałam się, że za tyle uwagi panna Scatcherd pochwali ją, lecz zamiast tego nagle wykrzyknęła:

— Ty brudna, nieznośna dziewczyno! Nie wyczyściłaś paznokci dziś rano!

Burns nie odpowiedziała. Dziwiłam się jej milczeniu.

„Dlaczego nie wytłumaczy — pomyślałam — że ani paznokci wyczyścić, ani twarzy umyć nie mogła, ponieważ woda była zamrznięta”.

Uwagę moją oderwała teraz panna Smith, dając mi do potrzymania pasmo nici. Podczas gdy je nawijała, mówiła do mnie od czasu do czasu, pytając, czy już byłam kiedyś w szkole, czy umiem znaczyć, haftować, robić na drutach itd. Dopóki mnie nie zwolniła, nie mogłam uważać na to, co robi panna Scatcherd. Gdy wracałam na swoje miejsce, ta właśnie wydawała rozkaz, którego znaczenia nie zrozumiałam, lecz zobaczyłam, że Burns natychmiast wyszła z klasy, poszła do małego wewnętrznego pokoiku, gdzie się chowało książki, i wróciła za chwilę, niosąc wiązkę gałązek związanych z jednego końca. To groźne narzędzie oddała pannie Scatcherd z pełnym szacunku ukłonem. Następnie spokojnie, nie czekając na rozkaz, odpięła fartuch, a nauczycielka natychmiast ostro wymierzyła jej po karku dwanaście uderzeń tą wiązką gałązek. Ani jedna łza nie zablęsnęła w oczach Burns, kiedy ja przerwałam szycie, gdyż na ten widok palce zdrząły mi z próżnego, bezsilnego gniewu, ani jeden rys jej zamysłonej twarzy nie zmienił zwykłego wyrazu.

— Uparta dziewczyno! — zawołała panna Scatcherd — niczym nie mogę wykorzystać z ciebie nieporządných przyzwyczajęń. Odnieś różgę.

Burns usłuchała. Przyjrzałam się jej uważnie, gdy wracała. Wkładała właśnie do kieszeni chustkę do nosa, a na jej chudym policzku błyszczał ślad łzy.

Godzinę rekreacji uważałam za najmiłszą część dnia w Lowood, ten kawałek chleba i ten łyk kawy pokrzepiał, chociaż nie sycił. Długi przymus dnia ulegał nieco złuzowaniu, w pokoju szkolnym cieplej było niż rano, gdyż pozwalano, ażeby się ognie paliły nieco jaśniej, ponieważ w zastępstwie świec, których jeszcze nie zapalono. Ten czerwony blask, tolerowany hałas, to zamieszanie rozmaitych głosów rozniecały upragnione wrażenie wolności.

Wieczorem tego dnia, kiedy widziałam, jak panna Scatcherd wymierzała chłostę Burns, chodziłam jak zwykle pomiędzy ławkami, stołami i śmiejącymi się gromadkami bez towarzyski, ale nie czułam się osamotniona. Przechodząc koło okien, raz po raz uchylałam okiennice i wyglądałam na dwór. Śnieg padał gęsty, na niższych szybach już formował warstwę. Przykładając ucho blisko do szyby, mogłam dosłyszeć, poza wesołym rozgwarem wewnątrz pokoju, żalony jęk wiatru z zewnątrz.

Gdybym była niedawno opuściła miły dom i dobrych rodziców, o tej godzinie byłabym prawdopodobnie najżywiej odczuwała żal rozstania. Wtedy ten wiatr byłby mi zasmucił serce, ten chaos w ciemności zamąciłby mi spokój! W moim położeniu wszystko to podniecało mnie tylko dziwnie i zuchwałą, rozgorączkowaną, pragnęłam, ażeby wiatr wył wścieklej, ażeby zmrok zamienił się w ciemność zupełną, a gwarny zamęt w głośną wrzawę.

Przeskakując ławki, przechodząc pod stołami, dotarłam do jednego z kominków. Tam zastałam koleżankę Burns, klęczącą przed wysoką, drucianą kratą. Milcząca, oderwana od wszystkiego, co się naokół działo, pochłonięta była książką, którą czytała przy niezbyt jasnym świetle węgla.

— Czy nadal *Rasselas*? — zapytałam, zachodząc ją z tyłu.

— Tak — odpowiedziała. — Właśnie go kończę.

⁵⁸Karol I a. Karol I Stuart (1600–1649) — król Anglii i Szkocji w latach 1625–1649. [przypis edytorski]

I po pięciu minutach zamknęła książkę. Byłam z tego rada. „Teraz — pomyślałam — może wyciągnę ją na rozmowę”. Usiadłam przy niej na ziemi.

— Jak ci na imię? — zapytałam.

— Helen.

— Czy pochodzisz z daleka?

— Pochodzę z miejscowości położonej dalej na północ, tuż nad granicą Szkocji⁵⁹.

— Czy wrócisz tam kiedyś?

— Mam nadzieję, ale nikt nie może być pewny przyszłości.

— Musisz pragnąć opuścić Lowood.

— Nie! Dlaczego miałabym tego pragnąć? Przysłano mnie do Lowood, ażebym zdobyła wykształcenie, i na nic by się zdało wracać, dopóki nie osiągnęłabym tego celu.

— Ale ta nauczycielka, panna Scatcherd, jest taka okrutna dla ciebie!

— Okrutna? Bynajmniej! Jest surowa, nie znosi moich wad.

— Ja, gdybym była na twoim miejscu, ja bym jej nie znosiła. Opierałabym się jej. Gdyby mnie uderzyła tą różgą, ja bym jej z ręki wyrwała, połamałabym ją przed jej nosem.

— Prawdopodobnie nie zrobiłabyś nic podobnego. A gdybyś to zrobiła, pan Brocklehurst wypędziłby cię ze szkoły. Byłoby to wielkie zmartwienie dla twoich krewnych. O wiele lepiej jest cierpliwie znosić ból, którego nikt nie odczuwa prócz ciebie, niż popełnić czyn nierozważny, którego złe następstwa rozciągnęłyby się na wszystkich twoich bliskich. Zresztą *Biblia* nakazuje nam za zło płacić dobrem.

— Ale mnie się wydaje, że to wstyd być bitą albo być zmuszoną stać na środku pokoju, gdzie jest pełno osób. A przy tym tyś taka duża dziewczyna... Ja jestem o wiele młodsza od ciebie, a nie mogłabym tego znieść.

— A jednak miałabyś obowiązek znieść, gdybyś tego nie mogła uniknąć. Tylko słaby i niemądry mówi, że nie może znieść tego, czego los zażąda od niego, by zniósł.

Słuchałam jej zdziwiona. Nie mogłam zrozumieć tej zasady wytrzymałości w cierpieniu, a jeszcze mniej mogłam zrozumieć i podzielać jej wyrozumiałość dla swej dręczycielki. Wciąż czułam, że Helen Burns widzi rzeczy w świetle dla mnie niewidzialnym. Przypuszczałam, że może ona ma słuszność, a nie ja, ale nie chciało mi się głębiej rozważać tej sprawy, odkładałam to na sposobniejszą porę.

— Mówisz, że masz wady, Helen. Jakie wady? Mnie się wydaje, że ty jesteś bardzo dobra.

— Więc naucz się ode mnie nie sądzić po pozorach. Jestem, jak mówi panna Scatcherd, nieporządna, rzadko składam swoje rzeczy, nigdy ich nie utrzymuję w porządku. Jestem niedbała, zapominam reguły i przepisy. Czytam, kiedy powinnam uczyć się lekcji, nie jestem systematyczna, a czasami mówię tak jak ty, że nie mogę *poddać się* systematycznemu porządkowi. Wszystko to niezmiernie drażni pannę Scatcherd, która jest bardzo porządna, punktualna i dokładna we wszystkim.

— I zła, i okrutna — dodałam, ale Helen Burns nie chciała się na to zgodzić. Milczała.

— Czy panna Temple jest równie surowa wobec ciebie jak panna Scatcherd?

Na wzmiankę o panie Temple łagodny uśmiech przebiegł po jej poważnej twarzy.

— Panna Temple jest pełna dobroci, sprawia jej przykrość bycie surową wobec kogokolwiek, nawet najgorszych w szkole. Ona widzi moje wady i łagodnie mnie upomina, a jeżeli czymś zasłużę na pochwałę, nie szczędzi mi jej. Najlepszym dowodem, jak zakorzenione są we mnie nieszczęsne moje wady, jest to, że nawet jej upomnienia, tak łagodne i słuszne, nie mogą mnie z nich wyleczyć, a nawet jej pochwały, chociaż tak bardzo je cenię, nie mogą mnie pobudzić do stałej staranności i uwagi.

— To ciekawe — odpowiedziałam. — Przecież tak łatwo być staranną.

— Dla *ciebie*, niewątpliwie. Przyglądałam ci się w twojej klasie dziś rano, widziałam, jak pilnie uważasz. Widać było, że ci myśli nie uciekały, podczas gdy panna Miller tłumaczyła lekcję i pytywała cię. Otóż moje myśli stale gdzieś się błąkają. Wtedy, kiedy powinna bym słuchać panny Scatcherd i pilnie zważać na wszystko, co mówi, gubię często sam dźwięk jej głosu, wpadam w jakiś rodzaj snu. Niekiedy zdaje mi się, że znajduję się w Northumberland⁶⁰ i że odgłosy, które słyszę dokoła, to szmer strumyczka, prze-

⁵⁹Szkocja — kraj należący do Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej. [przypis edytorski]

⁶⁰Northumberland — hrabstwo w płn.-wsch. Anglii. [przypis edytorski]

plywającego przez Deepden, w pobliżu naszego domu. Wtedy, jeżeli przyjdzie na mnie kolej odpowiadać, muszą mnie budzić, a ponieważ słuchając wymarzonego strumyczka, nie słyszałam, co tam czytano, nie umiem odpowiedzieć.

— Jednakże dobrze odpowiadałaś dziś po południu.

— To był czysty przypadek, zainteresował mnie przedmiot, o którym czytałyśmy. Dziś po południu, zamiast śnić o Deepden, dziwiłam się, jak człowiek, który pragnął działać uczciwie, mógł postępować tak niesprawiedliwie i niemądrze, jak to nieraz czynił Karol Pierwszy. I myślałam, jak to źle się stało, że przy swojej prawości i sumienności nie umiał dalej spojrzeć poza przywileje korony. Gdyby był tylko potrafił patrzeć w odleglejszą przyszłość i zrozumieć, dokąd zmierzał tak zwany „duch czasu”! A jednak ja lubię Karola, szanuję go i żałuję tego biednego ściętego króla! Tak, nieprzyjaciele jego byli gorsi: przelali krew, której nie mieli prawa przelewać! Jak oni śmieli go zabić!

Helen mówiła teraz do samej siebie. Zapomniała, że ja jej dobrze zrozumieć nie mogłam, że nic albo niewiele wiedziałam o tym, o czym rozprawiała. Przywołałam ją do mojego własnego poziomu.

— A gdy cię uczy panna Temple, czy i wtedy myśli tve gdzieś wędrują?

— Nie, chyba bardzo rzadko. Gdyż panna Temple ma zawsze do powiedzenia coś, co jest ciekawsze dla mnie niż moje własne rozważania. Jej sposób mówienia jest dla mnie dziwnie miły, a wiadomości, których udziela, zawierają często to właśnie, czego pragnęłam się dowiedzieć.

— A więc wobec panny Temple nie masz sobie nic do zarzucenia?

— Nie, ale to takie bierne, nie kosztuje mnie to żadnego wysiłku, kieruję się własną skłonnością. W takiej dobroci nie ma zasługi.

— Jest, owszem, i to wielka: jesteś dobra dla tych, którzy są dobrzy dla ciebie. Ja dla siebie więcej nie pragnę. Gdyby ludzie byli zawsze dobrzy i posłuszni względem tych, którzy są okrutni i niesprawiedliwi, źli byłiby zawsze górą. Nigdy by się nie bali, nigdy by się nie zmienili i stawaliby się coraz gorsi i gorsi. Gdy nas ktoś uderzy bez powodu, powinniśmy oddać bardzo mocno. Jestem pewna, że powinniśmy, tak mocno, ażeby nauczyć tego, kto nas uderzył, żeby tego nigdy nie powtórzył.

— Zmienisz zdanie, mam nadzieję, gdy będziesz starsza. Tymczasem jesteś jeszcze małą, nie bardzo mądrą dziewczynką.

— Ale ja tak czuję, Helen. Ja nie mogę lubić tych, którzy, choćbym się nie wiem jak starała im dogodzić, nie chcą mnie polubić. Muszę bronić się przed tymi, którzy karzą mnie niesprawiedliwie. To tak samo naturalne, jak to, że kocham tych, którzy mi okazują przywiązanie, lub że poddaję się karze, gdy czuję, że na nią zasłużyłam.

— Poganie i dzikie ludy głoszą te same zasady, ale chrześcijanie i narody cywilizowane wypierają się ich.

— Jakim sposobem? Nie rozumiem.

— To nie gwałt najlepiej zwycięża nienawiść i nie zemsta goi krzywdę najlepiej.

— A cóż innego?

— Czytaj *Nowy Testament* i zauważ, co Chrystus powiada i jak postępuje. Niech Jego słowa będą ci prawem, a postępowanie Jego przykładem.

— A co Chrystus powiedział?

— „Miłujcie waszych nieprzyjaciół; dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą; błogosławcie tym, którzy was przeklinają⁶¹”.

— W takim razie ja powinna bym kochać panią Reed, czego uczynić nie mogę, powinna bym błogosławić jej syna Johna, co jest niepodobieństwem.

Z kolei Helen Burns zapytała mnie o wytłumaczenie, a ja też zaraz zaczęłam jej po swojemu opowiadać dzieje moich cierpień i uraz. Gorzka i bezwzględna w podnieceniu, mówiłam tak, jak czułam — niczego nie tając, niczego nie łagodząc.

Helen wysłuchiwała mnie cierpliwie do końca. Spodziewałam się, że zrobi potem jakąś uwagę, ale ona milczała.

— Więc powiedz — zapytałam niecierpliwie — czyż pani Reed to nie kobieta twardego serca, zła kobieta?

Zło, Dobro, Walka

⁶¹Miłujcie waszych nieprzyjaciół; dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą; błogosławcie tym, którzy was przeklinają — Łk 6, 27–28, (cytat za *Biblią Tysiąclecia*). [przypis edytorski]

— Była niedobra względem ciebie, to nie ulega wątpliwości. Ponieważ, widzisz, ona nie znosi twojego charakteru, tak jak panna Scatcherd nie znosi mojego. Ale jak ty dokładnie pamiętasz wszystko, co ona ci zrobiła i co ci powiedziała! Jak dziwnie głęboko jej niesprawiedliwość wyryła się w twoim sercu! Żadne złe traktowanie tak się w mych uczuciach nie upamiętnia. Czy nie lepiej by ci było, gdybyś się starała zapomnieć o jej surowości wraz z tymi gwałtownymi wzruszeniami, które ona obudziła? Życie wydaje mi się zbyt krótkie, by spędzać je na pielęgnowaniu uraz i zapamiętywaniu krzywd. Jesteśmy i musimy być wszyscy obciążeni błędami na tym świecie, ale niebawem przyjdzie czas, kiedy, ufam w to, strząśniemy je z siebie wraz z tymi naszymi znikomymi ciałami. Gdy poniżenie i grzech opadną z nas wraz z tą ciężką powłoką cielesną, a tylko dusza pozostanie.

Krzywdą

Głowa Helen, zawsze pochylona, opadła jeszcze niżej, gdy wymawiała te słowa. Widziałam po wyrazie jej twarzy, że nie ma ochoty rozmawiać ze mną dłużej, że woli raczej rozmawiać z własnymi myślami. Niewiele dano jej czasu na rozmyślania — jedna z dyżurnych, wielka, szorstka dziewczyna, zbliżyła się w tej chwili, wołając silnym prowincjonalnym akcentem:

— Helen Burns, jeżeli w tej chwili nie pójdziesz uporządkować swej szuflady i złożyć robótki, powiem panie Scatcherd, niech przyjdzie i zobaczy!

Helen westchnęła, budząc się z zadumy, i wstawszy bez zwłoki, w milczeniu posłuchała wezwania dyżurnej.

ROZDZIAŁ VII

Pierwszy kwartał pobytu w Lowood wydał mi się wiekiem — i to bynajmniej nie złotym wiekiem. Musiałam stoczyć przykrą walkę, by się przyzwyczaić do nowych reguł i zadań. Obawa, że pod tym względem może mi się coś nie udać, więcej mnie dręczyła niż fizyczne trudy i dokuczliwość, chociaż i te były niemałe.

Przez styczeń, luty i część marca głębokie śniegi, a gdy te stopniały, nieprzebyte prawie drogi nie pozwalały nam wysunąć się poza mury ogrodu, z wyjątkiem tylko, gdy musiałyśmy pójść do kościoła. Jednak w obrębie tych murów musiałyśmy codziennie spędzać godzinę na świeżym powietrzu. Nasze ubrania niedostatecznie chroniły od ostrego zimna. Nie miałyśmy wysokich bucików, śnieg wchodził w niskie trzewiki, topniejąc w nich. Ręce bez rękawiczek grabiały i odmrażały się, tak jak i nogi. Dobrze pamiętam okropne swędzenie, którego doświadczałam co wieczora, gdy się nogi zaogniły, i mękę wkładania napuchłych, bolących i sztywnych palców w trzewiki co rano. A poza tym ta niewystarczająca ilość pożywienia była sprawą bardzo ciężką. Przy dobrych apetytach dzieci rosnących dostawałyśmy zaledwie tyle, ile mogłoby utrzymać przy życiu delikatnego chorego. Z tej szczupłości pożywienia wynikło nadużycie, które zwłaszcza młodszym uczennicom ciężko dawało się we znaki: gdy tylko wygłodzone duże dziewczęta znalazły sposobność, prośbą lub groźbą wyłudzały od małych ich porcje. Wiele razy musiałam podzielić z dwiema starszymi drogiem kawałek ciemnego chleba, dawany nam na podwieczorek, a dopijając odrobinę pozostawionej mi w garnuszku kawy, ocierać skrycie łzy, które mi głód wyciskał!

Głód

Niedziele w zimie były straszne. Musiałyśmy iść dwie mile do kościoła w Brocklebridge, gdzie nasz patron odprawiał nabożeństwo. Wychodziłyśmy zziębnięte, przychodziłyśmy do kościoła jeszcze bardziej zziębnięte. Podczas rannego nabożeństwa drętwiałyśmy po prostu z zimna. Za daleko było, by wracać na obiad, wydzielano nam tedy, między rannym a poobiednim nabożeństwem, jak zwykle głodowo wymierzone porcyjki chleba z mięsem.

Po skończonym poobiednim nabożeństwie wracałyśmy odsłoniętą, pagórkowatą drogą. Ostry wiatr zimowy, ciągnący od śnieżnych szczytów północy, nieomal zdierał nam z skórę twarzy.

Przypominam sobie pannę Temple, idącą lekko i szybko wzdłuż naszych chwiejących się szeregów, w pledowym płaszczu, którym trzepotał mroźny wiatr. Ściągała go ciasno dokoła siebie i szła, dodając nam odwagi, słowem i przykładem zachęcając, byśmy nie upadły na duchu i maszerowały naprzód, jak mówiła: „jak dzielni żołnierze”. Pozosta-

le nauczycielki, biedaczki, same zwykle bywały tak strapione, że nie próbowały nawet pocieszać innych.

Jakże wracając tęskniłyśmy do światła i ciepła buchającego w kominku ognia. Ale dla małych dziewczynek i to bywało niedostępne, każdy kominek w pokoju szkolnym otaczał natychmiast podwójny rząd dużych dziewczyn, a za nimi przysiadły na ziemi gromadkami małe, otulając fartuchami zziębnięte ramiona.

Małą pociechę miałyśmy na podwieczorek, dawano nam podwójną porcję chleba, całą zamiast połowy kromki, z wybornym dodatkiem cieniutkiej warstwy masła. Była to uczta, na którą cieszyłyśmy się naprzód od niedzieli do niedzieli. Mnie zazwyczaj udawało się zatrzymać dla siebie połowę tego przysmaku, ale resztę musiałam zawsze odstępować.

Wieczór niedzielny schodził na powtarzaniu z pamięci katechizmu, piątego, szóstego i siódmego rozdziału św. Mateusza⁶² oraz na słuchaniu długiego kazania, czytanego przez pannę Miller, której niepohamowane ziewanie świadczyło, jak jest zmęczona. Często dywersję w tym nabożeństwie robiły małe dziewczynki, które zmożone snem spadały po kilka naraz z ławek na podłogę, skąd podnoszono je na wpół żywe. Zaradzało się temu, przenosząc je na środek sali i zmuszając do stania do końca kazania. Zdarzało się, że nie dopisywały im nóżki i że przewracały się jedne na drugie; wówczas podpierano je wysokimi krzesłami dyżurnych.

Nie wspomniałam jeszcze o wizytacjach pana Brocklehursta. Pana tego istotnie nie było w domu przez większą część pierwszego miesiąca po moim przybyciu, może przedłużył pobyt u przyjaciela swego archidiakona. Nieobecność jego była dla mnie ulgą. Nie potrzebuję mówić, że miałam powód obawiać się jego przybycia. Przybył jednakże.

Pewnego dnia, po obiedzie (byłam wtedy od trzech tygodni w Lowood), gdy siedziałam z tabliczką w rękę, zastanawiając się nad dzieleniem jakiejś długiej cyfry, ujrzałam, podniósłszy przypadkiem oczy do okna, przechodzącą właśnie postać. Prawie instynktownie rozpoznałam tę chudą figurę, a gdy w dwie minuty później cała szkoła, nie wyłączając nauczycielek, powstała *en masse*⁶³, nie potrzebowałam patrzeć, żeby się przekonać, czyje wejście w ten sposób witano. Długie kroki przemierzyły pokój szkolny i niebawem obok panny Temple, która także się była podniosła, stanęła ta sama czarna kolumna, która z tak złowróżbnym marszem⁶⁴ patrzyła na mnie przed kominkiem w Gateshead. Spojrzałam teraz spod oka na ten twór architektury. Tak, miałam słuszość: to był pan Brocklehurst, w surducie zapiętym na wszystkie guziki, jak gdyby jeszcze dłuższy, węższy i sztywniejszy niż kiedykolwiek.

Miałam powody odczuwać na jego widok przykre zaniepokojenie. Aż nazbyt dobrze pamiętałam te przewrotne objaśnienia, jakimi pani Reed opisywała mój charakter, obietnicę, daną przez pana Brocklehursta, że powiadomi pannę Temple i nauczycielki o moich wadach i złych skłonnościach. Przez cały czas dotąd drżałam przed spełnieniem tej obietnicy, codziennie wyglądałam „tego, który przyjdzie...” i opowie o mojej przeszłości i o rozmowie ze mną, i napiętnuje mnie jako złe dziecko — odtąd na zawsze. I oto teraz zjawił się.

Stał obok panny Temple i mówił jej coś do ucha. Nie wątpiłam, że odsłania przed nią moje niegodziwości i z bolesnym lękiem śledziłam jej oczy, spodziewając się, że lada chwila ciemne ich źrenice cisną na mnie spojrzenie pełne wstrętu i pogardy. Nasłuchiwałam także, a ponieważ przypadkiem siedziałam niezbyt daleko, pochwyciłam większość tego, co mówił — treść jego słów uspokoiła na razie mój bezpośredni lęk.

— Przypuszczam, że nici, które kupiłem w Lowton⁶⁵, będą dobre. Zauważyłem, że będą właśnie gatunku odpowiedniego dla perkalowych koszul i dobrałem także właściwe igły. Niech pani powie pannie Smith, że zapomniałem sobie zapisać igły do cerowania, ale przysyłę jej kilka paczek w przyszłym tygodniu. I żeby nigdy, pod żadnym pozorem, nie dawała uczennicom więcej niż po jednej naraz. Jeżeli dostają więcej, stają się niedbałe i gubią je. Właśnie, chciałbym, żeby wełnianych pończoch lepiej pilnowano! Będąc tu ostatnim razem, zaszedłem do kuchennego ogrodu i przejrzałem bieliznę, suszącą się na

⁶²św. Mateusz a. Mateusz Ewangelista — biblijny celnik z Kafarnaum, apostoł Jezusa, autor pierwszej Ewangelii (*Ewangelii Mateusza*). [przypis edytorski]

⁶³*en masse* (fr.) — w wielkiej liczbie, masowo. [przypis edytorski]

⁶⁴*mars* — marsowa mina; surowy wyraz twarzy. [przypis edytorski]

⁶⁵Lowton — wieś w Anglii, w hrabstwie Wielki Manchester. [przypis edytorski]

sznurach. Była tam moc czarnych pończoch w bardzo złym stanie. Sądząc po wielkości dziur, nie były one dobrze naprawione zawczasu.

Zamilkł.

— Zastosujemy się do pańskich wskazówek — odpowiedziała panna Temple.

— Dalej, proszę pani, mówiła mi praczka, że niektóre dziewczęta dostawały po dwa czyste kołnierzyki na tydzień. To za wiele, reguła ogranicza się do jednego.

— Zdaje mi się, że tę okoliczność mogę wytłumaczyć, proszę pana. Agnes i Catherine Johnstone w czwartek były zaproszone na herbatę do znajomych w Lowton, pozwoliłam im więc przy tej sposobności włożyć czyste kołnierzyki.

Pan Brocklehurst kiwnął głową.

— Dobrze, na ten raz, ale proszę, niech się taka sposobność zbyt często nie powtarza. I jeszcze jedna rzecz mnie zadziwiła: odkryłem, robiąc rachunki z gospodynią, że drugie śniadanie, składające się z chleba z serem, zostało dwa razy podane dziewczętom w ciągu minionych dwóch tygodni. Jakże to? Przejrzałem regulamin i nie znalazłem tam żadnej wzmianki o drugich śniadaniach. Kto wprowadził tę nowość i jakim prawem?

— To ja muszę być odpowiedzialna, panie, za ten wyjątkowy przypadek — odpowiedziała panna Temple. — Śniadanie było tak źle ugotowane, że uczennice po prostu nie mogły go zjeść, a ja nie śmiałam zostawić ich o głodzie aż do obiadu.

— Niech pani pozwoli. Wiadomo pani, że zamiarem moim w wychowaniu tych dziewcząt nie jest przyzwyczajanie ich do zbytków i dogadzania sobie. Chcę z nich uczynić hartowne, cierpliwe, pełne samozaparcia istoty. O ile by przypadkowo apetyt ich doznał zawodu z powodu niedogotowanej albo przegotowanej potrawy, nie powinno się dawać w zastępstwie czegoś delikatniejszego, co by sprawiało przyjemność podniebieniu. Byłoby to dogadzanie ciała i paczenie zadań instytucji. Przeciwnie, powinno się zdarzenie takie wyzyskać ku zbudowaniu duchowemu uczennic, ku zachęceniu, by okazały męstwo wobec chwilowego braku. Krótka przemowa w takich wypadkach byłaby na miejscu, przemowa, w której mądra nauczycielka, korzystając ze sposobności, wspomniałaby o cierpieniach pierwszych chrześcijan, o torturach męczenników, o napomnieniach samego Pana naszego, który polecał uczniom wziąć swój krzyż i iść za Nim, o Jego naukach, że człowiek nie samym chlebem żyć winien, ale słowem Bożym, o Jego boskich pocieszeniach, że „jeżeli głód cierpicie i pragnienie dla mnie, szczęśliwi jesteście”⁶⁶. O pani, jeżeli pani chleb z serem zamiast przypalonej kaszy kładzie tym dzieciom do ust, zaiste, karmi pani ich nędzne ciała. Nie myśli pani, że pani głodem morzy ich nieśmiertelne dusze!

Pan Brocklehurst znowu przerwał — może pod wpływem hamowanych uczuć. Panna Temple patrzyła w ziemię, gdy zaczynał do niej mówić, teraz jednak patrzyła prosto przed siebie, a twarz jej, z natury marmurowej błości, zdawała się przybierać także chłód i twardość marmuru. Zwłaszcza usta jej, silnie zacięte, i czoło przybrały stopniowo wyraz skamieniałej surowości.

Pan Brocklehurst tymczasem, stojąc przed kominkiem z rękoma za plecami, majestatycznie rozglądał się po całej szkole. Nagle mrugnął oczami, jak gdyby napotkał coś, co albo olśniło, albo poraziło jego źrenice. Odwróciwszy się, przemówił szybciej niż dotychczas:

— Panno Temple, panno Temple, co... Co to za dziewczyna, ta, która ma fryzowane włosy? Rude włosy, pani, fryzowane na całej głowie? — I wyciągnąwszy laskę, wskazał ten okropny przedmiot, a ręka trzęsła mu się, gdy to uczynił.

— To Julia Severn — odpowiedziała panna Temple bardzo spokojnie.

— Julia Severn! A dlaczego ona albo może którakolwiek inna nosi fryzowane włosy? Dlaczego wbrew wszelkim przepisom i zasadom tego domu tak się otwarcie stosuje do światowej mody? To dobroczynny zakład, na zasadach ewangelicznych, a ona śmie włosy nosić całe w lokach?

— Włosy Julii kręcą się z natury — odpowiedziała panna Temple jeszcze spokojniej.

— Z natury! Tak, ale my się nie mamy stosować do natury. Ja pragnę, by te dzieci były dziećmi łaski, a na cóż taka obfitość włosów? Mówilem tyle i tyle razy, że pragnę, ażeby

⁶⁶„jeżeli głód cierpicie i pragnienie dla mnie, szczęśliwi jesteście” — bardzo luźne i poza kontekstem nawiązanie do Ewangelii Mateusza: „Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyćeni.” (Mt 5, 6, cytata za *Biblią Tysiąclecia*); być może autorka chce podkreślić, że Brocklehurst nie jest wybitnym znawcą *Pisma Świętego*. [przypis edytorski]

włosy czesano gładko, prosto. Panna Temple, włosy tej dziewczyny trzeba zupełnie obciąć. Przyślę jutro golibrodę. A widzę też i inne, które mają za wiele tego niepotrzebnego... Ta wysoka dziewczyna, niech jej się pani każe odwrócić. Niech pani powie całej tej pierwszej ławce, że mają wstać i twarzami odwrócić się do ściany.

Panna Temple przesunęła chusteczką po ustach, jak gdyby ścierając uśmiech, który na nich mimo woli zagościł. Wydała jednakże polecenie, a pierwsza klasa, skoro tylko zrozumiała, czego chcą od niej, usłuchała. Przechylając się trochę w tył w mojej ławce, mogłam widzieć spojrzenia i miny, jakimi podkreślały ten manewr. Szkoda, że i pan Brocklehurst nie mógł ich widzieć — byłby się może przekonał, że cokolwiek czynił z zewnętrzną powłoką tych istot, ich wnętrze było mu bardziej niedostępne, niż sobie wyobrażał.

Przyglądał się odwrotnej stronie tych żyjących niedoli przez jakieś pięć minut, wreszcie wydał wyrok. Te słowa padły jak grzmot potępienia:

— Wszystkie te koki na czubku głowy muszą być obcięte.

Panna Temple zdawała się protestować.

— Ja — mówił dalej — służę Panu, którego królestwo nie jest z tego świata. Moim posłannictwem jest upokorzyć w tych dziewczynach popędy cielesne, uczyć je ubierać się wstydliwie i prosto, a nie nosić trefione włosy i kosztowne szaty. Każda z tych młodych osób przed nami ma pasmo włosów, zaplecione w warkocze, które tylko próżność uwił mogła. Te, powtarzam, należy obciąć. Niech pani pomyśli, ile czasu straconego, ile...

W tym miejscu przerwano panu Brocklehurstowi. Do pokoju weszły trzy inne osoby, panie. Powinny były przyjść nieco wcześniej, żeby wysłuchać nauki o strojach, gdyż były wspaniale ubrane w jedwabie, aksamity i futra. Dwie młode z tej trójki (ładne panny szesnasto- i siedemnastoletnia) miały popielate, filcowe kapelusze, modne wówczas, zdobne w strusie pióra, a spod runda tych wdzięcznych nakryć głowy spadała obfitość jasnych włosów, kunsztownie ufrizowanych. Starsza dama otulała się w kosztowny, aksamitny szal, obszyty gronostajami i miała — modą francuską — grzywkę upiętą ze sztucznych loczków.

Panna Temple z uszanowaniem powitała te damy — panią Brocklehurst z córkami — i poprowadziła je na bardziej prestiżowe miejsca. Zdaje się, że przybyły one powozem razem z szanownym rodzicem i że gospodarowały, robiąc przegląd, w pokoju na górze, podczas gdy on załatwiał interesy z gospodynią, wypytywał praczkę i dawał reprimendę przełożonej. Teraz zaczęły robić różne uwagi i zarzuty pannie Smith, pod której opieką była bielizna i nadzór nad sypialniami. Nie miałam jednakże czasu słuchać tego, co mówiły — inne sprawy zaprzętnęły i przykuły moją uwagę.

Dotychczas, przysłuchując się rozmowie pana Brocklehursta z panną Temple, nie niedbowałam jednakże przezornego pilnowania osobistego bezpieczeństwa. Sądziłam, że dopnę tego, jeżeli tylko ujędę uwagi. W tym celu siedziałam głęboko wsunięta w ławkę i udając, że pilnie jestem zajęta rachunkami, trzymałam w ten sposób tabliczkę, żeby nią zasłonić twarz. I byłabym uszła uwagi, gdyby nie to, że zdradziecka tabliczka jakimś przypadkiem wysunęła mi się z ręki i upadając hałaśliwie, oczy wszystkich ściągnęła wprost na mnie. Wiedziałam, że teraz wszystko przepadło, i schylając się, by podnieść pęknięty na dwoje przedmiot, skupiłam wszystkie siły, by wytrzymać to, co przyjdzie — najgorsze. Jakoż i przyszło.

— Niedbała dziewczyno! — powiedział pan Brocklehurst i zaraz dodał: — To ta nowa uczennica, jak widzę! — Zanim zdążyłam odetchnąć, mówił dalej: — Nie mogę zapomnieć, że mam o niej słówko do powiedzenia.

A potem powiedział głośno... Ach, jakże głośne wydały mi się jego słowa:

— Niech to dziecko, które stukło tabliczkę, wystąpi naprzód!

O własnej mocy nie byłabym się poruszyła — byłam jak sparaliżowana — ale dwie duże dziewczyny, wśród których siedziałam, postawiły mnie na nogi i popchnęły ku straszemu sędziemu, a wtedy panna Temple łagodnie poprowadziła mnie przed niego i dosłyszałam jej wyszeptane słowa:

— Nie bój się, Jane, ja widziałam, że to był przypadek. Nie będziesz ukarana.

Ten dobrotliwy szepot zranił mi serce.

Falsz

„Za chwilę ona pogardzi mną, uwierzywszy, że jestem obłudnicą!” — pomyślałam i zatrząślną poryw wściekłego gniewu przeciw panu Brocklehurstowi, pani Reed i nim wszystkim. Nie byłam Helen Burns.

— Przyniesie to krzesło — rzekł pan Brocklehurst, wskazując na bardzo wysoki mebel, z którego jedna z dyżurnych właśnie była wstała. Przyniesiono go.

— Postawcie to dziecko na nim.

I postawiono mnie na nim. Kto mnie postawił, nie wiem, nie byłam w stanie zauważyć szczegółów. Wiedziałam tylko, że zostałam podniesiona do poziomu nosa pana Brocklehursta, że znajduję się o jakiś łokieć od niego, i że fala pomarańczowych i fioletowych, jedwabnych okryć i obłok srebrnawych piór rozpościera się i powiewa poniżej mnie.

Pan Brocklehurst odchrząknął.

— Moje panie — przemówił, zwracając się do swojej rodziny — panno Temple, panie nauczycielki i wy, dzieci, czy widzicie tę dziewczynę?

Oczywiście, widziały mnie, gdyż czułam na sobie palący ich wzrok.

— Widzicie, jaka jeszcze jest młoda. Widzicie, że wygląda tak jak inne dzieci. Bóg łaskawie obdarzył ją takim samym kształtem, jakim obdarzył nas wszystkich, żadne wybitne kalectwo jej nie wyróżnia. Kto by pomyślał, że zły duch znalazł już w niej powolną sługę i współpracownicę? A jednak z bólem powiedzieć muszę, że tak jest.

Przerwał, a ja zaczęłam opanowywać nerwowe drżenie i czuć, że już Rubikon⁶⁷ przybyty, i że mękę, której uniknąć nie można, należy mężnie wytrzymać.

— Moje drogie dzieci — ciągnął dalej patetycznie czarny, kamienny duchowny — bardzo to smutna i żalosna sprawa. Mam bowiem obowiązek przestrzec was, że ta dziewczyna, która mogłaby być jedną z owieczek bożych, jest małym wyrzutkiem wśród was. Nie jest członkiem wiernej gromadki, ale przybłądą i obcą. Musicie się jej strzec i musicie unikać jej przykładu. Jeśli potrzeba, stronić od jej towarzystwa, wyłączać z zabaw i wykluczać z rozmów z wami. Nauczycielki, musicie czuwać nad nią, nie spuszczać z oczu jej czynków, ważyć dobrze jej słowa, badajcie dokładnie jej postępowanie, karćcie jej ciało, by zbawić duszę... Jeżeli istotnie to zbawienie jest możliwe, bowiem (język mój zacina się, gdy mam to powiedzieć) ta dziewczyna, dziecko chrześcijańskiego kraju, gorsza od wielu małych pogan, co modlą się do Brahmy⁶⁸ i kłękają przed Molochem⁶⁹, ta dziewczyna... kłamie!

Nastąpiła teraz przerwa kilkominutowa, w czasie której ja, zupełnie już teraz przytomna, zauważyłam, że wszystkie panie Brocklehurst wyciągnęły chusteczki i przytknęły je do oczu. Podczas gdy starsza kiwała się naprzód i w tył, obie młodsze szeptały: „Ach, to szkaradnie!”

Pan Brocklehurst ciągnął dalej.

— Dowiedziałem się tego od jej dobrodziejki, od nabożnej i miłosiernej pani, która adoptowała ją w sieroctwie, wychowywała jak własną córkę, a której dobroć i wspaniałomyślność ta nieszczęsna dziewczyna odplaciła niewdzięcznością tak brzydką, tak okropną, że w końcu szlachetna jej opiekunka czuła się zmuszona odłączyć ją od własnych dzieci w obawie, że jej zły przykład może zarazić ich czyste dusze. Przysłała ją tutaj, aby ją uzdrowić, tak jak dawni żydzi posyłali chorych do mętnego jeziora w Bethesda⁷⁰. A was, panie nauczycielki, pani przełożona, proszę, nie pozwólcie, żeby wody dokoła niej stanęły.

Po tym wzniosłym zakończeniu pan Brocklehurst zapiął najwyższy guzik u surduta i szepnął coś swojej rodzinie, która wstała i ukloniła się pannie Temple, po czym wszyscy ci wielcy ludzie uroczyście wypłynęli z pokoju. Odwracając się w drzwiach, mój sędzia powiedział:

— Niech ona stoi jeszcze pół godziny na tym krześle i przez resztę dnia niech nikt się do niej nie odzywa.

⁶⁷Rubikon — w starożytności rzeka (stanowiąca granicę między Italią a Galią Przedalpejską), którą Juliusz Cezar (ok. 100/102–44 p.n.e.) przekroczył w 49 roku p.n.e., rozpoczynając wojnę domową w Rzymie. [przypis edytorski]

⁶⁸Brahma — jedno z naczelnych bóstw hinduizmu. [przypis edytorski]

⁶⁹Moloch a. Molech — chtoniczne bóstwo fenickie i kananejskie, jeden z demonów. [przypis edytorski]

⁷⁰Bethesda a. Sadzawka Owca — sadzawka w Jerozolimie, opisana w Biblii jako miejsce cudownych uzdrowień. [przypis edytorski]

Tak więc stałam tam, na wzniesieniu — ja, która mówiłam, że nie zniosłabym wstydu stania na własnych nogach na środku pokoju, wystawiona teraz byłam na widok ogólny na hańbiącym piedestale. Co czułam, tego nie opiszą żadne słowa, ale właśnie gdy uczucia moje aż oddech dusiły mi w piersiach, dławiąc i ściskając za gardło, przeszła obok mnie jedna z uczennic. Przechodząc, podniosła na mnie oczy. Jakież dziwne światło jaśniało w tych oczach! Jakim niezwykłym uczuciem ten promień światła mnie przejął! Jakże mnie to nowe uczucie podniosło! Było to tak, jak gdyby męczennik, bohater przeszedł obok niewolnika albo ofiary i w przejściu siły mu dodał. Opanowałam grożący mi wybuch nerwowego płaczu, podniosłam głowę, stanęłam silnie na stołku. Helen Burns zapytała pannę Smith o jakiś drobiazg przy swojej robótce, dostała burę, że pyta o takie drobnostki, wróciła na swoje miejsce i znowu, przechodząc, uśmiechnęła się do mnie. Co za uśmiech! Pamiętam go dobrze i wiem teraz, że był to promień pięknej duszy, prawdziwej odwagi. Rozświetlił jej wydatne rysy, jej szczupłą twarz, jej zapadłe, siwe oczy jak odbłask istoty anioła. A jednak w tej chwili Helen Burns nosiła na ramieniu opaskę „nieporządna”. Ledwie godzinę temu słyszałam, jak panna Scatcherd skazywała ją na obiad złożony z chleba i wody na jutro za to, że poplamiała ćwiczenia, przepisując je na czysto. Tak niedoskonała jest natura ludzka! Takie plamy widnieją na powierzchni najjaśniejszych planet, a oczy takie, jak panny Scatcherd, mogą dojrzeć tylko te maleńkie skazy, ślepe na pełną światłość gwiazdy.

ROZDZIAŁ VIII

Zanim upłynęło owe pół godziny, wybiła piąta. Rozpuszczono szkołę i wszystkie dziewczynki poszły do refektarza na podwieczorek. Odważyłam się teraz zejść, panował mrok. Poszłam do kąpika i usiadłam na ziemi. Czar, który mnie dotąd podtrzymywał, zaczął się rozwiewać. Następowala reakcja i niebawem tak przemożny żal mną owładnął, że upadłam twarzą do ziemi i zapłakałam. Nie było przy mnie Helen Burns, nic mnie nie podtrzymywało na duchu. Pozostawiona samej sobie, poddałam się rozżaleniu i moje lzy zwilżyły deski podłogi. Zamierzałam przecież być tak dobra, zdziałać tak wiele w Lowood, zyskać tyle przyjaciółek, zasłużyć na uznanie, zdobyć sympatię ludzką. Już nawet zrobiłam widoczny postęp: jeszcze tego rana zyskałam pierwsze miejsce w klasie. Panna Miller gorąco mnie chwaliła. Panna Temple uśmiechnęła się z uznaniem. Przyrzekła, że będzie mnie uczyła rysować i że pozwoli mi się uczyć francuskiego, jeżeli przez dalsze dwa miesiące będę robiła takie postępy jak dotąd. I moje koleżanki dobrze się do mnie odnosiły, rówieśniczki traktowały mnie jak równą, żadna mi nie dokuczała. A oto teraz leżę zgnębiona, zdeptana... I czyż kiedyś będę mogła powstać?

„Nigdy” — myślałam i gorąco pragnęłam umrzeć. Łkając z tym życzeniem w duszy, usłyszałam, że ktoś się zbliża. Zerwałam się. Przy świetle dogasającego ognia ujrzałam Helen Burns, idącą wzdłuż długiego, prostego pokoju. Niosła mi chleb i kawę.

— No, zjedz cośkolwiek — przemówiła.

Ale ja odsunęłam wszystko, czując, że w tej chwili każdą kroplą, każdą okruszyną musiałabym się zadławić. Helen przyglądała mi się zapewne ze zdziwieniem. Nie mogłam opanować wzburzenia pomimo wysiłków, w dalszym ciągu płakałam głośno. Ona usiadła na ziemi obok mnie, objęła rękoma kolana, oparła na nich głowę i w tej pozycji milczała jak indyjski derwisz⁷¹. Ja przemówiłam pierwsza:

— Helen, dlaczego ty zadajesz się z dziewczyną, którą wszyscy uważają za kłamczucha?

— Wszyscy, Jane? Ależ jest tutaj tylko osiemdziesiąt osób, które słyszały, że cię tak nazwano, a na świecie są przecież setki milionów.

— A co mnie obchodzą miliony? Te osiemdziesiąt, które znam, pogardzają mną!

— Jane, mylisz się. Nie ma prawdopodobnie ani jednej osoby w szkole, która by tobą pogardzała albo nie lubiła ciebie, a wiele, jestem pewna, bardzo cię żałuje.

— Jakże mogą mnie żałować po tym, co pan Brocklehurst powiedział?

— Pan Brocklehurst to nie Pan Bóg. Nie jest nawet żadnym ani wielkim, ani podziwianym człowiekiem. Nie bardzo go tutaj lubią. Nigdy nie postarał się o to, żeby go lubiano. Gdyby cię był potraktował jako specjalną ulubienicę, znalazłabyś dokoła siebie nieprzyjaciółki jawne lub ukryte. Tak, jak jest, większość okazywałaby ci współczucie,

⁷¹derwisz — członek muzułmańskiej grupy religijnej; pobożny żebrak wędrowny. [przypis edytorski]

gdyby tylko śmiały. Nauczycielki i uczennice popatrzą może na ciebie chłodno przez jakiś dzień, dwa, ale w ich sercach kryją się przyjazne uczucia. A jeżeli w dalszym ciągu będziesz się dobrze zachowywała, te uczucia niebawem ujawnią się tym widoczniej, że chwilowo są stłumione. A zresztą, Jane...

Tu przerwała.

— Co, Helen? — zapytałam, ujmując jej ręce. Dłońmi łagodnie potarła mi palce, ażeby je rozgrzać, i mówiła dalej:

— Gdyby cały świat cię nienawidził i wierzył, że jesteś zła, to jednak, byle własne sumienie było z tobą w zgodzie i nie uznawało w tobie winy, nie byłabyś bez przyjaciół.

— Nie, ja wiem, że miałabym o sobie dobre mniemanie, ale to nie dosyć. Gdyby mnie inni nie kochali, wolałabym raczej umrzeć, niż żyć. Ja nie mogę znieść osamotnienia i nienawiści, Helen. Bo posłuchaj: dla pozyskania prawdziwego uczucia twojego albo panny Temple, albo kogoś, kogo bym naprawdę kochała, chętnie bym dała sobie kość w rękę złamać albo bykowi wziąć się na rogi, albo stanęłabym za wierzgającym koniem, ażeby jego podkova uderzyła mnie w piersi...

— Cicho, daj spokój, Jane! Ty zanadto myślisz o miłości istot ludzkich, zanadto jesteś porywczą, gwałtowną. Wszzechmocna Ręka, która stworzyła twoje ciało i tchnęła w nie życie, dała ci inne skarby, wyższe od twojej słabej istoty i stworzeń równie słabych jak ty. Oprócz tej ziemi i oprócz rasy ludzkiej istnieje świat niewidzialny i królestwo duchów. Ten świat nas otacza, gdyż jest wszędzie, a duchy patrzą na nas, gdyż mają zleczone czuwanie nad nami. I gdybyśmy umierali w męce i wstydzie, sponiewierani pogardą, zduszeni nienawiścią, aniołowie widzieliby nasze męki, rozpoznałyby naszą niewinność. Tak, jak ja wiem, że ty jesteś niewinna tego zarzutu, jaki pan Brocklehurst lekkomyślnie i patetycznie powtórzył za panią Reed, z drugiej ręki. Wiem, gdyż rozpoznaję prawą naturę w gorących twoich oczach i na czystym czole. Jane, Pan Bóg tylko czeka na oswobodzenie duszy z ciała, ażeby ją uwienczyć pełną nagrodą. Dlaczegoż więc mielibyśmy upadać pod ciężarem cierpienia, kiedy życie tak rychło minie, a śmierć jest tak pewnym przejściem do szczęścia i do chwały?

Milczałam. Helen uspokoiła mnie. W tym spokoju, jaki bił od niej, była przymieszka niewypowiedzianego smutku. Odnosiłam jakieś wrażenie żalu; podczas gdy ona mówiła, ale nie umiałam zdać sobie sprawy, skąd ono płynie. Gdy jednakże zauważyłam, że przestawszy mówić, oddycha szybko i raz i drugi sucho kaszle, zapomniałam natychmiast o własnych zmartwieniach. Ogarnął mnie nieokreślony niepokój o nią.

Oparłszy głowę o ramię Helen, objęłam ją wpół, a ona przygarnęła mnie do siebie i tak odpoczywałyśmy w milczeniu. Niedługo siedziałyśmy w ten sposób, gdy wszedł do pokoju jeszcze ktoś inny. Wiatr rozgarnął ciężkie chmury i odsłonił księżyc, światło jego padło jasno na nas obie i na zbliżającą się postać, w której od razu rozpoznałyśmy pannę Temple.

— Przyszłam umyślnie, żeby ciebie odszukać, Jane Eyre — przemówiła. — Przyjdź do mojego pokoju, a skoro Helen Burns jest z tobą, ona także może przyjść.

Poszłyśmy. Idąc za przełożoną, musiałyśmy przejść przez kilka zawitych korytarzy i wyjść na schody, zanim doszłyśmy do jej pokoju. Palił się tam suty ogień i pomieszczenie wyglądało przytulnie. Panna Temple kazała Helen zająć niski fotel przy kominku, sama usiadła w drugim, a mnie kazała stanąć przy sobie.

— No i cóż, czy już minęło? — zapytała, przyglądając się mojej twarzy. — Czy wypłakałaś już zmartwienie?

— Ach, to się chyba nigdy nie stanie!

— Dlaczego?

— Ponieważ zostałam niesłusznie oskarżona i teraz pani i wszyscy inni będą myśleli, że ja jestem taka zła!

— Będziemy cię uważały za taką, jaką cię poznamy. Zachowuj się dalej równie dobrze jak dotąd, a będziemy z ciebie zadowolone.

— Doprawdy, proszę pani?

— Z pewnością — odpowiedziała, obejmując mnie ramieniem. — A teraz powiedz mi, kim jest ta pani, którą pan Brocklehurst nazwał twoją dobrodziejką?

— Pani Reed, żona mojego wuja. Wuj umarł i polecił mnie jej opiece.

— Więc ona nie z własnej woli wzięła cię na wychowanie?

Obraz świata, Religia,
Wiara, Dusza, Anioł

— Nie, proszę pani. Bardzo była niezadowolona, że musi to uczynić, ale wuj mój, jak często słyszałam od służących, wymógł na niej, zanim umarł, przyrzeczenie, że na zawsze zatrzyma mnie u siebie.

— A teraz posłuchaj, Jane. Ty wiesz, a jeśli nie wiesz, to ci powiem, że jeżeli zbrodniarz jest oskarżony, wolno mu zawsze mówić w swojej obronie. Ty zostałam oskarżona o kłamstwo, broń się przede mną, o ile możesz. Powiedz mi prawdę, tak jak ją pamiętasz, ale niczego nie dodawaj i nie przesadzaj w niczym.

Postanowiłam w głębi serca mówić z całym umiarkowaniem, z całą ścisłością, a zastanowiwszy się przez parę minut, by uporządkować i powiązać, co mam do powiedzenia, opowiedziałam jej całe dzieje smutnego dzieciństwa. Wyczerpana byłam wzruszeniem, więc spokojniej mówiłam niż zazwyczaj, gdy dotykałam tego bolesnego tematu. Pamiętając zaś o przestrozach Helen, by nie poddawać się uczuciom urazy i nienawiści, mniej niż kiedykolwiek dotąd wlałam żalu i goryczy w swoje opowiadanie. Tak opanowane i uproszczone brzmiało wiarygodniej — czułam, że panna Temple wierzy mi najzupełniej.

W toku opowieści wspomniałam o panu Lloydzie, że przyszedł mnie odwiedzić po moim ataku. Nigdy bowiem zapomnieć nie mogłam o tym strasznym dla mnie epizodzie czerwonego pokoju. Opisując go, czułam, że w pewnym stopniu ponosi mnie wzburzenie, gdyż nic nie mogło złagodzić we wspomnieniu tego spazmu strachu i rozpacz, jaki mi serce ścisnęło, gdy pani Reed odrzuciła moje oszalałe błaganie o litość i zamknęła mnie powtórnie w ciemnym pokoju, gdzie straszło.

Skończyłam. Panna Temple popatrzyła na mnie dłuższą chwilę w milczeniu, a potem rzekła:

— Ja znam trochę pana Lloyda, napiszę do niego. A jeżeli odpowiedź jego potwierdzi twoje opowiadanie, zostaniesz publicznie oczyszczona od wszelkiego zarzutu. W moich oczach, Jane, już teraz jesteś oczyszczona.

Pocałowała mnie i wciąż jeszcze trzymając mnie przy sobie (gdzie bardzo rada stałam, gdyż jak to dziecko miałam przyjemność w podziwianiu jej twarzy, ubrania, paru klejnotów, białego czoła, lśniących pukli włosów i promieniejących, ciemnych oczu), zwróciła się do Helen Burns.

— Jak się dziś wieczór czujesz, Helen? Czy dużo dzisiaj kaszlałaś?

— Zdaje mi się, że nie tak bardzo dużo, proszę pani.

— A ten ból w piersiach?

— Trochę słabszy.

Panna Temple wstała, ujęła jej rękę i zbadła puls, po czym wróciła na swoje miejsce. Słyszałam, jak cicho westchnęła. Milczała, zamyślona, przez parę minut, w końcu, jak gdyby budząc się, powiedziała wesoło:

— Ale wy obie jesteście dziś w gościnie u mnie, muszę was przeto godnie przyjąć!

Zadzwoiła.

— Barbaro — rzekła, gdy weszła służąca — nie dostałam jeszcze herbaty. Przynieś tacę i postaw filiżanki. I dla tych dwóch panienek także.

Wniesiono niebawem tacę. Ach, jakże ładne wydały mi się te porcelanowe filiżanki i ten imbryk błyszczący, gdy ustawiono to wszystko na okrągłym stolczku przed kominem! Jak wonna była para napoju, jak pachniały grzanki! Tych jednakże, ku mojemu zawodowi (gdyż zaczynałam odczuwać głód), była tylko bardzo mała porcyjka. Panna Temple także to zauważyła.

— Barbaro — rzekła — czy nie mogłabyś przynieść trochę więcej chleba i masła? To nie wystarczy dla trzech osób.

Barbara poszła i zaraz też wróciła.

— Proszę pani, pani Harden powiada, że posłała zwykłą ilość.

Pani Harden była to gospodyni, niewiasta zupełnie wedle serca pana Brocklehursta — sucha jak kość, twarda jak żelazo.

— O, dobrze, dobrze! — odpowiedziała panna Temple. — Więc musi nam to wystarczyć.

A gdy dziewczyna wyszła, dodała z uśmiechem:

— Na szczęście mam tym razem możliwość uzupełnienia braku!

Poprosiwszy Helen i mnie do stolika i postawiwszy przed każdą z nas filiżankę herbaty z jednym wysmienitym, ale cienkim kawałkiem grzanki, wstała, otworzyła szufladę, dobytej stamtąd paczkę zawiniętą w papier i ukazała oczom naszym spory kawał ciasta z makiem.

— Miałam każdej z was dać po kawałku ciasta, byście zabrały ze sobą — rzekła — ale skoro tak mało dano nam grzanek, musicie to teraz dostać. — I szczodłą ręką zabrała się do krajania.

Uczta ta była dla nas czymś jak nektar i ambrozja, a nie najmniejszą rozkoszą tego przyjęcia był uśmiech zadowolenia gospodyni, przyglądającej się, jak wyostrzone nasze apetyty syciłyśmy delikatną strawą, obficie przez nią dostarczoną.

Po wypiciu herbaty i usunięciu tacki panna Temple zaprosiła nas znowu do kominka. Siedziałyśmy, mając ją pośrodku, i teraz wywiązała się między nią a Helen rozmowa. Przysłuchiwanie się jej było dla mnie prawdziwą rozkoszą.

Panna Temple miała zawsze w sobie jakąś pogodę, jakąś godność wyrazu, jakąś wytworną prostotę wysłowienia, która wykluczała wpadanie w podniecenie, w gorączkowość — coś, co widzów i słuchaczy napawało uczuciem czci dla niej. Odczuwałam to teraz, ale w zdumienie wprawiła mnie Helen Burns.

Krzepiące pożywienie, płonący ogień, obecność i dobroćliwość ukochanej jej nauczycielki, a może więcej niż to wszystko, coś swoistego w wyjątkowej jej duszy rozbudziło drzemiące w niej moce. Najpierw zapłonęły żywą barwą jej policzki, tak zawsze blade i bezkrwiste, potem zaświeciły wilgotnym blaskiem oczy, które zajaśniały nagle urodą odmienną od piękności oczu panny Temple, bo pięknnością nie barwy i oprawy, lecz wyrazu. A potem dusza jej osiadła na wargach i popłynęły słowa — z jakich źródeł, nie rozumiem. Czyż czternastoletnie dziewczę może mieć serce tak wielkie i silne, by pomieścić wezbrane źródło czystej, pełnej, gorącej wymowy? Taką ukazała mi się Helen owego pamiętnego dla mnie wieczora. Zdawało się, że duch jej śpieszy przeżyć w krótkiej chwili tyle, ile inni przeżywają w ciągu długotrwałego istnienia.

Rozmawiały o rzeczach, o których ja nigdy nie słyszałam: o narodach i czasach minionych, o dalekich krajach, o tajemnicach przyrody odkrytych albo których się domyślano. Mówiły o książkach. Jakże ich wiele przeczytały! Jakież skarby wiedzy posiadały! A poza tym, jak były obeznane z francuskimi autorami! Ale zdumienie moje dosięgło szczytu, gdy panna Temple zapytała Helen, czy znajduje czasem chwilę, by przypomnieć sobie łacinę, której ją ojciec uczył i biorąc książkę z półki, dała jej do przeczytania i przetłumaczenia stronicę *Wirgiliusza*⁷². Helen usłuchała, a mój podziw rósł z każdym wierszem. Zaledwie skończyła, rozległ się dzwonek, wzywający na spoczynek. Nie można się było spóźnić. Panna Temple uściskała nas obie i powiedziała, przyciskając nas do serca:

— Niech was Bóg błogosławi, moje dzieci!

Helen trochę dłużej przytuliła niż mnie, jeszcze mniej chętnie ją puszczała. Oczyma odprowadziła ją do drzwi, za nią po raz drugi pogoniła smutnym westchnieniem, o nią się troszcząc, otarła łzę z twarzy.

Wchodząc do sypialni, usłyszałyśmy głos panny Scatcherd. Robiła przegląd szaf, właśnie wyciągnęła szufladę Helen i zaraz od wejścia przywitała ją ostrą burą, zapowiadając, że jutro będzie miała przypięte do ramienia pół tuzina nieporządnie złożonych kawałków.

— Moje rzeczy były istotnie porzucane, że aż wstyd — szepnęła mi Helen do ucha. — Chciałam je poskładać, ale zapomniałam.

Nazajutrz rano panna Scatcherd wyraźnymi literami wypisała na pasku tektury wyraz „flądra” i przywiązała tę opaskę na szerokim, łagodnym, inteligentnym czole Helen. Helen nosiła ją aż do wieczora, cierpliwie, bez żalu, uważając to za zasłużoną karę. Z chwilą gdy panna Scatcherd wyszła po skończonych poobiednich lekcjach, pobiegłam do Helen, zdarłam jej tę przepaskę z czoła i rzuciłam ją w ogień. Pasja, do której ona była niezdolna, przez cały dzień wrzała w mojej duszy i lzy gorące wciąż spływały mi po twarzy, bowiem widok jej smutnej rezygnacji nieznośnym bólem ścisnął mi serce.

W tydzień mniej więcej po opisanych wypadkach panna Temple, która była napisała do pana Lloyda, otrzymała odpowiedź. List jego potwierdził moje opowiadanie. Panna Temple, zgromadziwszy całą szkołę, oznajmiła, że postarała się o zbadanie zarzutów pod-

⁷²*Wirgiliusz* a. *Wergiliusz* (70–19 p.n.e.) — poeta rzymski. [przypis edytorski]

niesionych przeciwko Jane Eyre i że cieszy się niezmiernie, że może ją ogłosić zupełnie niewinną. Nauczycielki wtedy, każda z osobna, podały mi rękę i ucałowały mnie, a szmer miłego zadowolenia przebiegł szeregi koleżanek.

W ten sposób, czując, że spadł mi z serca wielki ciężar, zabrałam się na nowo do pracy z zamiarem przebiccia się przez wszystkie trudności. Pracowałam usilnie, a powodzenie odpowiadało moim wysiłkom. Pamięć, z natury niezbyt świetna, poprawiała mi się przez ćwiczenia, systematyczna nauka rozwinęła mój umysł. Po paru tygodniach przeniesiono mnie do wyższej klasy, w niecałe dwa miesiące pozwolono mi zacząć francuski i rysunki. Nauczyłam się dwóch czasów słowa *être*⁷³ i tegoż dnia narysowałam pierwszy domek (którego ściany, nawiasem mówiąc, mogły konkurować z pochyłą wieżą w Pizie⁷⁴). Tego wieczora, idąc spać, zapomniałam zabawić się w myśli obrazem kolacji złożonej z gorących pieczonych kartofli lub białego chleba ze świeżym mlekiem, czym zwykłam oszukiwać niezaspokojony głód. Karmiłam się natomiast wyobrażeniem idealnych rysunków, dzieł mej własnej ręki, swobodnie naszkicowanych domów i drzew, malowniczych skał i ruin, bydła na pastwisku, ślicznie malowanych motyli unoszących się nad nierozkwitłymi różami, ptaków dziobiących dojrzałe wiśnie, gniazd mysikrólika z jajeczkami jak perelki, w obramowaniu gałązek bluszczu. Zastanawiałam się też w myśli, czy to możliwe, żebym mogła kiedyś biegle przetłumaczyć pewną małą powiastkę, którą mi tego dnia pokazywała *madame* Pierrot. Nim odpowiedziałam na to pytanie zadowolająco, zapadłam w słodki sen.

Dobrze powiedział Salomon⁷⁵ — „Lepsze jest trochę jarzyn z miłością, niż tłusty wół z nienawiścią”⁷⁶.

Nie byłabym zamieniła Lowood z wszystkimi jego niedostatkami na Gateshead z tygodnami i codziennymi zbytkami stołu.

ROZDZIAŁ IX

Poprawiały się jednak z wolna niedostatki, a raczej surowe warunki pobytu w Lowood. Wiosna nadciągała, właściwie już nadeszła. Mrozy ustały, stopniały śniegi, złagodniały ostre wiatry. Moje nieszczęsne nogi, opuchłe, poranione mroźnym styczniowym powietrzem, zaczęły goić się i tęchnąć⁷⁷ pod wpływem łagodnych tchnień kwietnia. Noce i ranki już nam nie mroziły kanadyjską temperaturą krwi w żyłach. Znośne teraz były godziny zabaw, spędzane w ogrodzie, a niekiedy, w dzień słoneczny, bywało nawet miło i wesoło. Ciemne, brunatne grządki zaczynały zielenieć, stawały się coraz świeższe i nasuwały myśl, że nadzieja przechadza się po nich co noc, zostawiając każdego ranka jaśniejsze ślady swoich kroków. Kwiaty wyzierały spomiędzy liści: śnieżyczki, krokusy, aurykle⁷⁸, złotokie bratki. W czwartkowe popołudnia (dni rekreacji poobiedniej) odbywałyśmy dalsze spacerunki i znajdowałyśmy jeszcze miłsze kwiaty, rozkwitające nad drogami i pod płotami.

Odkryłam też źródło wielkiej przyjemności, leżące poza wysokim, szpikulcami najezonym murem naszego ogrodu. Tym źródłem radości był widok na malownicze szczyty, okalające wielką dolinę górską, bogatą w zielen i cień, oraz jasny strumień, pełen ciemnych kamieni i iskrzących wirów. Jakże inaczej przedstawiał się ten widok, gdy oglądałam go pod ołowianym niebem zimy, gdy zeszywniały był od mrozu, zatulony w śnieg... Gdy śmiertelnie chłodne mgły, gnane wschodnim wiatrem, tłukły się wśród tych szczytów i opadały do ich stóp, łącząc się z lodowatym strumieniem. Ten sam strumień był wtedy mętnym, rwącym potokiem, wyrwał się z lasu, śląc w powietrze szalony łoskot, często wzmożony szumem ulewy. A las nad jego brzegami wyglądał jak szereg szkieletów.

Kwiecień minął, przyszedł maj — jasny i pogodny. Dni były słoneczne, niebiosa błękitne, powiewy zachodnie lub południowe, łagodne. Teraz roślinność dojrzewała pośpiesznie. Lowood rozpuściło warkocz, zazieleniło się, rozkwieciło całe. Wielkie szkie-

⁷³*être* (fr.) — być. [przypis edytorski]

⁷⁴*Piza* — włoskie miasto w regionie Toskania, znane m. in. ze swej lekko pochylonej wieży. [przypis edytorski]

⁷⁵*Salomon* (1000–ok. 931 p.n.e.) — biblijny prorok i król Izraela, syn i następca króla Dawida. [przypis edytorski]

⁷⁶*Lepsze jest trochę jarzyn z miłością, niż tłusty wół z nienawiścią* — Prz 15, 17 (cytat za *Biblią Tysiąclecia*). [przypis edytorski]

⁷⁷*tęchnąć* (daw.) — tracić obrzęk. [przypis edytorski]

⁷⁸*aurykle* — (ang.) *auricula*, pierwiosnek. [przypis edytorski]

lety jesionów, klonów i dębów przywdziały znów majestatyczną szatę życia. Rośliny jawiły się obficie w zacisznym cieniu lasu, niezliczone odmiany mchów wypełniały jego zakątki, a dzikie prymulki stały się wśród trawy jak plamy słoneczne. Wszystkim tym radowałam się często i w całej pełni, wolna, niepilnowana i prawie sama. O przyczynie tej niezwykłej wolności teraz mówić mi wypada.

Czyż nie opisałam miłego miejsca zamieszkania, mówiąc, że położone było wśród wzgórz i lasu, wznosząc się nad brzegiem strumienia? Istotnie, miłe ono było, ale czy zdrowe, to inna sprawa.

Ta leśna dolinka, w której leżało Lowood, była kolebką mgły i rodzącej się z niej epidemii. Zarazki jej, wiosną rozwinięte, wdarły się do schroniska sierot. Tyfus zagnieździł się w przeludnionym pokoju szkolnym i w sypialni, zanim nadszedł maj, zakład zamienił się w szpital.

Niedożywienie oraz zaniedbane przeziębenia i katary osłabiły odporność dziewcząt. Z osiemdziesięciu czterdzieści pięć leżało równocześnie. Rozpuszczono klasy, wszelkie reguły uległy złagodzeniu. Nielicznym zdrowym dano prawie nieograniczoną swobodę: raz, że doktor zalecał konieczność ruchu i przebywania na świeżym powietrzu dla podtrzymania zdrowia, a dwa, że gdyby nawet nie to, nikt nie miał czasu pilnować ich i czuwać nad nimi. Całą uwagę panny Temple pochłaniały pacjentki. Żyła w pokoju chorych, nie opuszczając go wcale, chyba że nocą, by parę godzin snu ukraść. Nauczycielki miały dość do roboty z pakowaniem i wyprawianiem tych dziewcząt, które na szczęście dzięki przyjaciółom lub krewnym mogły i chciały wydobyć się z siedziby zarazy. Wiele już dotkniętych chorobą pojechało do domu po to tylko, by tam umrzeć. Niektóre umarły w szkole. Szybko i cicho je pochowano.

Podczas gdy w ten sposób zaraza rozpanoszyła się w Lowood, a śmierć stała się tam częstym gościem, gdy mrok i lęk panował w jego murach, gdy w pokojach i na korytarzach unosiły się wonie szpitalne (gdyż kadzidla i pastylki daremnie walczyły z wyziewami choroby), ten słoneczny maj miał blaski na strome wzgórze i piękną leśną krainę. I sam ogród zapłonął barwami kwiatów: malwy wystrzeliły wysoko jak drzewa, rozwijały się lilie, kwitły tulipany i róże. Obwódki małych grządek wesoło różowiły się goździkami i pąsowymi, podwójnymi stokrociami. Polne różyczki wydzielały rankami i wieczorami słodki zapach, zalatując jabłkiem i korzeniami. Ale wszystkie te wonne skarby bezużyteczne były dla większości mieszkanek Lowood, jedynie od czasu do czasu dostarczały garści ziół i kwiatów, składanych do trumny.

Ja tymczasem wraz z resztą zdrowych uczennic używałam w pełni piękności widoków o tej porze roku. Pozwalano nam, jak Cygankom, błądzić po lesie od rana do wieczora. Robiliśmy, co nam się podobało, chodziliśmy, gdzie ochota niosła. Lepiej też nas żywiono. Pan Brocklehurst wraz ze swą rodziną nigdy się teraz nie pokazywał w Lowood, w gospodarskie sprawy nie wglądano. Skwaszona gospodyni odeszła, wypędził ją strach przed zarazą. Następczyni jej, nieprzywykła do miejscowego systemu, gospodarowała stosunkowo hojnie. Przy tym mniej osób było do żywienia — chore niewiele mogły jeść, nasze śniadaniowe miseczki bywały pełniejsze. Gdy brakło czasu na przygotowanie porządnego obiadu, co zdarzało się często, dawała nam po dobrym kawale zimnego pieroga albo po grubej kromce chleba z serem. Zabierałyśmy to do lasu, gdzie każda wybierała sobie dowolne miejsce, i tam ucztowałyśmy wspaniale.

Moim ulubionym miejscem był gładki, szeroki kamień — biały i suchy, sterczący w samym środku strumienia, do którego dostać się można było jedynie, brodząc przez wodę. Czyniłam to boso. Powierzchnia kamienia była dość szeroka, by wygodnie pomieścić mnie i drugą dziewczynkę, wybraną wówczas moją towarzyszkę, Mary Ann Wilson. Była to bystra i spostrzegawcza osóbką, której towarzystwo lubiłam, po części dlatego, że była dowcipna i oryginalna, a po części, ponieważ była łatwa w obejściu. O parę lat starsza ode mnie, lepiej знаła świat i umiała opowiedzieć mi wiele rzeczy, których ja lubiłam słuchać. Zaspokajała moją ciekawość, a względem moich wad zachowywała się z pełną pobłażliwością, nigdy mnie nie hamując ani nie powstrzymując, cokolwiek bym mówiła. Miała dar opowiadania, ja skłonność do analizy, lubiła informować, ja lubiłam pytać. To też stosunek nasz układał się gładko, będąc dla nas obu obfitym źródłem rozrywki, jeśli nie poważniejszej korzyści.

Choroba

A gdzie tymczasem była Helen Burns? Dlaczego tych miłych dni swobody nie spędzałam z nią razem? Czy zapomniałam o niej? Czy też byłam tak niegodna, iż znudziłam się jej szlachetnym towarzystwem? Mary Ann Wilson z pewnością mniej była warta niż ona, umiała tylko opowiadać zajmujące historie i odwzajemniać się, jeżeli pozwalałam sobie na jakieś trafne, a czasem złośliwe uwagi. Helen, przeciwnie, potrafiła tych, którzy mieli szczęście z nią rozmawiać, wprowadzać w sferę o wiele wyższych pojęć.

To prawda. Wiedziałam to i czułam. Chociaż ułomne ze mnie stworzenie, choć wiele mam wad, a niewiele w sobie dobrego, to jednak nigdy nie zubożyłam wobec Helen Burns, nigdy nie ostygłam w przywiązaniu do niej tak silnym, serdecznym, tak pełnym uznania. Jakżeby mogło być inaczej, skoro Helen zawsze i we wszystkich okolicznościach okazywała mi spokojną i wierną przyjaźń, której nigdy nie zamać zły humor, nigdy nie zakłóciło rozdrażnienie? Ale Helen chorowała teraz. Od paru tygodni oddzielono ją od nas, przenosząc do nieznanego mi pokoju na górze. Powiedziano mi, że nie ma jej w szpitalnej części domu z gorączkującymi chorymi, gdyż chorobą jej są suchoty, nie tyfus. Ja zaś w nieświadomości wyobrażałam sobie, że suchoty to choroba łagodna, którą czas i starania niewątpliwie ulecą.

Utwierdziłam się w tym przekonaniu, ponieważ raz czy dwa razy zeszła na dół w bardzo ciepłe, słoneczne popołudnie, a panna Temple zaprowadziła ją do ogrodu. Mnie jednakże nie pozwolono wtedy pójść do niej i rozmawiać z nią. Widziałam ją tylko z okna szkolnego pokoju i to niewyraźnie, gdyż była mocno pootulana i siedziała daleko, pod werandą.

Pewnego wieczora w początkach czerwca zostałam do późnej godziny z Mary Ann w lesie. Odłączyłyśmy się, jak zwykle, od innych i zawędrowałyśmy daleko, tak że nawet pobłądziłyśmy trochę. Wracałyśmy już po wzejściu księżyca. Konik, w którym poznałyśmy kuca doktora, stał uwiązany przy furtce ogrodu. Mary Ann zauważyła, że ktoś musi być bardzo chory, skoro posłano po pana Batesa o tak późnej porze. Weszła do domu, a ja pozostałam jeszcze na chwilę, chcąc zasadzić w ogródku garść roślin wykopanych w lesie, gdyż bałam się, że zwiędną, jeżeli pozostawię je niezasadzone do rana. Skończywszy, nie śpieszyłam się z powrotem. Rosa lśniła, kwiaty pachniały tak słodko, taki miły był wieczór, pogodny, ciepły. Rumiany jeszcze zachód zapowiadał na jutro równie piękny dzień, księżyc wschodził wspaniale. Rozglądałam się w tym wszystkim i cieszyłam się, jak cieszyć się może dziecko. Nagle zbudziła się we mnie myśl:

„Jak to smutno być chorą, leżeć w łóżku i wiedzieć, że się musi umrzeć. Ten świat jest piękny, strasznie byłoby zostać z niego odwołaną i pójść nie wiadomo dokąd.”

I wtedy dusza moja zrobiła pierwszy poważny wysiłek ku zrozumieniu wpojonych w nią pojęć o niebie i piekle. I po raz pierwszy wzdrygnęła się, nie pojmując. I po raz pierwszy, spojrzawszy za siebie, przed siebie i na wszystkie strony, ujrzała dokoła tylko przepaść niezgłębioną, odczuła tylko jeden punkt, na którym stała — terazniejszość. Wszystko pozostałe była to tylko bezkształtna mgławica, pusta głęбина. I zadrżała z lęku na myśl, że może się potknąć i zatonać w tym chaosie.

Podczas tych rozmyślań usłyszałam, że otwierają się drzwi frontowe — to pan Bates wychodził, a odprowadzała go pielęgniarka. Gdy już wszedł na swego konika i odjechał, pielęgniarka chciała zamknąć drzwi, ale ja podbiegłam do niej.

- Jak się miewa Helen Burns?
- Bardzo marnie — odpowiedziała.
- Czy to do niej pan Bates przyjeżdżał?
- Tak.
- I co powiedział o niej?
- Powiedział, że niedługo już będzie tu z nami.

To zdanie, gdybym je była posłyszała wczoraj, miałoby dla mnie ten sens, że Helen mają odesłać do Northumberland, do jej rodzinnego domu. Nie byłabym podejrzewała, że to znaczy, iż ma umrzeć. Ale teraz wiedziałam! Zrozumiałam jasno, że Helen dożywa ostatnich swych dni na tym padole i że niebawem przejdzie w świat duchów. Wstrząsnęła mną groza, potem przejął mnie silny, bolesny żal, a w ślad za tym pragnienie — konieczność zobaczenia jej. Zapytałam, w którym pokoju leży Helen.

- Leży w pokoju panny Temple — odpowiedziała pielęgniarka.
- Czy mogę tam pójść i pomówić z nią?

Przyjaźń, Choroba

Dusza

Śmierć

— O nie, dziecko! Nie sądzę. A teraz czas, żebyś wróciła do domu. Jeszcze zachorujesz, zostając na dworze, kiedy pada.

Pielęgniarka zamknęła drzwi frontowe, ja weszłam bocznym wejściem, prowadzącym do pokoju szkolnego. Przyszłam w sam czas: była godzina dziewiąta i panna Miller kazała uczennicom iść spać.

Mogło to być ze dwie godziny później, prawdopodobnie blisko jedenastej, gdy nie mogąc usnąć, a wnosząc z cizy w sypialni, że towarzyski moje spoczywają w śnie głębokim, wstałam po cichu i zarzuciwszy suknię na bieliznę, wysunęłam się boso z sypialni, aby dostać się do pokoju panny Temple. Znajdował się on na przeciwnym końcu domu, ale ja znałam do niego drogę. Światło księżyca, wpadając tu i ówdzie przez okna na korytarzach, ułatwiło mi odnalezienie jej. Zapach kamfory i kadzidła z octem ostrzegł mnie, że zbliżam się do pokoju chorych. Minęłam drzwi jego szybko w obawie, by nie usłyszała mnie pielęgniarka, czuwająca tam przez całą noc. Lękałam się, by mnie nie odkryto i nie kazano wracać, bo przecież musiałam zobaczyć się z Helen, *musiałam* uściskać ją, zanim umrze — pożegnać ją ostatnim pocałunkiem, zamienić z nią ostatnie słowa.

Zszedłszy z jednych schodów, przebywszy na dole znaczną część domu, otworzywszy i zamknąwszy szczęśliwie bez hałasu dwoje drzwi, dotarłam do drugich schodów. Wstąpiłam na nie, a wtedy znalazłam się na wprost pokoju panny Temple. Światło przedzierało się przez dziurkę od klucza i pod drzwiami, głęboka cisza zalegała dokoła. Zbliżywszy się, dostrzegłam, że drzwi są lekko uchylone, prawdopodobnie, aby wypuścić trochę świeżego powietrza do dusznego pokoju, gdzie leżała chora. Bez zawahania, niecierpliwa i drżąca śmiertelnym strachem — otworzyłam je i zajrzałam. Oczy moje szukały Helen, a bały się ujrzeć śmierć.

Tuż obok łóżka panny Temple, na wpół zakryte białą jego kotarą, stało wąskie łóżeczko. Widziałam zarys postaci pod kołdrą, ale twarz ukrywała zasłona. Pielęgniarka, z którą rozmawiałam w ogrodzie, siedziała w fotelu i spała, nikła świeca blado paliła się na stole. Panny Temple nie było. Dowiedziałam się później, że zawołano ją do chorej w ciężkiej *malignie*⁷⁹. Postąpiłam naprzód, stanęłam przy łóżeczku. Już rękę wyciągałam do kotary, ale wolałam wprzód przemówić, zanim ją odsunę. Wciąż jeszcze się bałam, że zobaczę umarłą.

— Helen! — szepnęłam cicho. — Czy nie śpisz?

Poruszyła się, odgarnęła kotarę, a wtedy ujrzałam twarz jej bladą, wymizerowaną, ale zupełnie spokojną. Wydała mi się tak mało zmieniona, że lęk mój rozwił się od razu.

— Czy to być może, że to ty, Jane? — zapytała miłym głosem.

„Och — pomyślałam — ona nie umrze, oni się myślą, przecież nie mogłaby tak mówić ani tak wyglądać spokojnie, gdyby miała umierać!”

Nachyliłam się nad jej łóżeczkiem i ucałowałam ją. Czoło jej było chłodne, policzki zimne i wychudzone, podobnie jak ręce. Ale uśmiechała się po dawnemu.

— Dlaczego przyszłaś, Jane? Już minęła jedenasta, słyszałam, jak biła kilka minut temu.

— Przyszłam cię odwiedzić, Helen. Słyszałam, że jesteś bardzo chora, i czułam, że nie zasnę, dopóki cię nie zobaczę.

— A więc przyszłaś mnie pożegnać. Zdążyłaś, zdaje się, w samą porę.

— Czy ty dokądś wyjeżdżasz, Helen? Czy może jedziesz do domu?

— Tak, do mojego prawdziwego domu, do mojego ostatniego domu.

— Nie, nie, Helen! — przerwałam wzruszona. Lecz gdy usiłowałam opanować łzy, pochwycił ją atak kaszlu. Nie obudziło to jednak pielęgniarki i gdy kaszel minął, Helen leżała parę minut wyczerpana, a potem szepnęła:

— Jane, twoje nóżki boso... Połóż się przy mnie i nakryj się kołdrą.

Zrobiłam, jak chciała. Otoczyła mnie ramieniem, a ja ułożyłam się tuż przy niej. Po długim milczeniu mówiła dalej, wciąż szeptem:

— Jestem bardzo szczęśliwa, Jane. A gdy się dowiesz, że umarłam, pamiętaj, żebyś się nie martwiła, nie ma się czym martwić. Wszyscy musimy kiedyś umrzeć, a choroba, która mnie zabiera, nie jest bolesna. Postępuje łagodnie i stopniowo. W duszy czuję spokój. Nie pozostawiam nikogo, kto by mnie bardzo żałował. Mam tylko ojca, ale on się niedawno

Śmierć, Wiara, Grób, Bóg,
Przyjaźń, Rozstanie

⁷⁹*maligna* (daw.) — wysoka gorączka. [przypis edytorski]

ożenił, więc nie odczuje mej nieobecności. Umierając młodo, uniknę wielkich cierpień. Nie miałam tych zdolności ani talentów, jakich potrzeba, żeby sobie dobrze torować drogę w świecie, błędziłam wciąż.

— Ale dokąd ty idziesz, Helen? Czy ty to rozumiesz? Czy wiesz?

— Wierzę. Mam wiarę, idę do Boga.

— Gdzie jest Bóg? I czym jest Bóg, Helen?

— To mój Stwórca i twój, który nie unicestwi swojego stworzenia. Polegam całkowicie na Jego potędze i ufam najmocniej w Jego dobroć. Liczę godziny, rychło⁸⁰ nadejdzie ta wielka chwila, która pozwoli mi powrócić do Niego, a Jego mi objawi.

— Więc ty jesteś pewna, Helen, że istnieje takie miejsce, niebo, i że dusze nasze dostaną się tam, gdy poumieramy?

— Jestem pewna, że jest taka kraina przyszłości. Wierzę, że Bóg jest dobry. Powierzam Mu nieśmiertelną cząstkę swoją bez żadnej obawy. Bóg jest moim ojcem, jest moim przyjacielem. Ja Go kocham i wierzę, że i On mnie kocha.

— A czy ja się z tobą spotkam, Helen, gdy umrę?

— Przyjdiesz do tej samej krainy szczęśliwości. Przyjmie cię ten sam wszechpotężny, wspólny Ojciec, nie wątpię w to, droga Jane.

Znowu zapytałam, ale tym razem w myśli jedynie: „Gdzie jest ta kraina?”. I otoczyłam ramionami Helen, tuląc się do niej. Droższa mi była niż kiedykolwiek. „Nie puszczę cię! Nie pozwolę ci odejść!” — myślałam. Leżałam z twarzą ukrytą na jej ramieniu. A wtedy ona, jak najłagodniej, powiedziała:

— Jak mi dobrze i wygodnie! Ten ostatni atak kaszlu zmęczył mnie trochę. Zdaje mi się, że będę mogła zasnąć, ale nie odchodź ode mnie, Jane. Miło mi czuć cię przy sobie.

— Zostanę z tobą, Helen *najdroższa!* Nikt mnie stąd nie zabierze!

— Ciepło ci, kochanie?

— Tak.

— Dobranoc, Jane.

— Dobranoc, Helen.

Pocałowaliśmy się i wkrótce zasnęłyśmy obie.

Gdy otworzyłam oczy, był już dzień. Obudził mnie niezwykle ruch. Spojrzałam — byłam w czyichś objęciach. To pielęgniarka niosła mnie przez korytarz z powrotem do sypialni. Nikt się na mnie nie gniewał, że uciekłam z łóżka, musieli myśleć o czym innym. Nie dano mi wtedy żadnych odpowiedzi na moje liczne pytania, ale w jakieś dwa dni potem dowiedziałam się, że panna Temple, wróciwszy o świcie do swego pokoju, zastała mnie leżącą obok Helen, z twarzą opartą o jej ramię, z rękoma dokoła jej szyi. Ja spałam, a Helen — nie żyła.

Grób jej znajduje się na cmentarzu w Brocklebridge. Przez piętnaście lat po jej śmierci była to tylko darniowa mogiła, obecnie tablica z szarego marmuru oznacza to miejsce, a napis na tej tablicy głosi jej imię i słowo: *Resurgam*⁸¹.

ROZDZIAŁ X

Dotychczas opowiadałam szczegółowo o wypadkach mojego dzieciństwa, pierwszemu dziesięcioleciu poświęciłam prawie tyleż rozdziałów. Jednakże to nie ma być dokładna autobiografia, chcę tylko wyławić z pamięci to, co może wzbudzić pewne zainteresowanie. Dlatego teraz okres ośmioletni prawie pominę milczeniem. Kilku wierszy tylko potrzeba, by utrzymać łączące ogniwo.

Dopełniwszy dzieła zniszczenia w Lowood, epidemia tyfusu wygasła na razie stopniowo, jednakże jej złośliwość i liczba ofiar zwróciła publiczną uwagę na szkołę. Zbadano powody tej klęski i wkrótce wyszły na jaw różne fakty, które wzbudziły ogólne oburzenie. Niezdrowe położenie, ilość i jakość pożywienia dawanego dzieciom, niedobra, cuchnąca woda używana do gotowania, nędzne ubrania uczennic i inne wady w urządzeniach mieszkaniowych — wszystko to odkryto, a odkrycie wywołało rezultat przykry dla pana Brocklehursta, ale zbawienny dla zakładu.

⁸⁰*rychło* — tu: czy szybko. [przypis edytorski]

⁸¹*resurgam* (łac.) — zmartwychwstań. [przypis edytorski]

Kilku ludzi bogatych i dobrej woli w hrabstwie subskrybowało większe sumy na postawienie odpowiedniejszego budynku i w lepszym miejscu niż dotychczasowe. Ułożono nowy regulamin i wprowadzono ulepszenia w odżywianiu i w ubraniu dziewcząt, fundusze szkoły wziął w swoje ręce komitet. Pan Brocklehurst, którego przez wzgląd na jego bogactwo i rodzinne stosunki nie można było pominąć, zatrzymał stanowisko skarbnika. Dopomagali mu jednak w spełnianiu tych obowiązków panowie o szerszych poglądach i bardziej ludzkich uczuciach. Urząd inspektora dzielili z nim tacy, którzy umieli łączyć rozsądek ze ścisłością, wygodę z oszczędnością, współczucie z prawością. Szkoła w ten sposób ulepszona stała się z czasem prawdziwie pożytecznym, dużej wartości zakładem. Pozostałam w obrębie jej murów po jej odrodzeniu dalszych osiem lat, z tych sześć jako uczennica, a dwa jako nauczycielka — tak w jednym, jak i w drugim charakterze mogę zaświadczyć o jej wartości i poziomie.

Przez te osiem lat wiodłam życie dość jednostajne, nie smutne jednakże, gdyż było pracowite. Miałam możliwość zdobycia wyższego wykształcenia, miałam zamiłowanie do niektórych przedmiotów, a pragnienie odznaczenia się we wszystkich. Wielką sprawą mi przyjemność móc zadowolić nauczycielki, zwłaszcza te, które kochałam. Toteż korzystałam w pełni z otwartych mi źródeł wiedzy. Z czasem zostałam pierwszą uczennicą pierwszej klasy⁸², a potem powierzono mi stanowisko nauczycielki, na którym gorliwie pracowałam przez dwa lata. Wtedy jednakże nastąpiła zmiana.

Panna Temple przez cały czas pozostawała przełożoną szkoły, jej nauczaniu zawdzięczam największą część wiedzy, jej życzliwość i towarzystwo były moją stałą pociechą. Ona zastępowała mi matkę, była moją nauczycielką, a w końcu towarzyszką. W tym okresie jednak wyszła za mąż za duchownego, najzacniejszego człowieka, prawie godnego takiej żony. Wyjechała z mężem do odległego hrabstwa i tym sposobem straciłam ją na zawsze.

Od dnia jej wyjazdu nie czułam się tą samą osobą. Lowood przestał mi być domem jakby rodzinnym. Przejęłam się szczerze indywidualnością panny Temple, a więc wzorowałam się na jej sposobie myślenia i opanowywałam swą impulsywność. Zdawało mi się, że już osiągnęłam równowagę charakteru. Obowiązkowość i porządek uważałam za najwyższe prawa, byłam spokojna i łagodna, a w oczach koleżanek uchodziłam nawet za osobę o silnym charakterze.

Jednakże los — w postaci wielbego pana Nasmytha — oddzielił mnie od panny Temple. Widziałam ją wkrótce po ceremonii ślubnej, wsiadającą w sukni podróżnej do karetki pocztowej. Widziałam karetkę podjeżdżającą pod wzgórek i niknącą za jego szczytem, a wtedy udałam się do swego pokoju i tam w samotności spędziłam większą część poobiedniej rekreacji, udzielonej uczennicom z okazji tej uroczystości.

Chodziłam po pokoju, rozmyślając. Wyobrażałam sobie, że żałuję tylko mej straty i obmyślam, jakby ją sobie zastąpić. Ale gdy w rozmyśleniach mych doszłam do końca, gdy dzień się skłonił ku wieczorowi, zaczęłam sobie uświadamiać, że tymczasem zaszła we mnie zasadnicza zmiana, że z duszy mej uszło to wszystko, co zapożyczyłam od panny Temple, a raczej, że zabrała ona ze sobą ten pogodny nastrój, jakim przy niej oddychałam, a ja — pozostawiona wrodzonej mej naturze — zaczynam odczuwać budzenie się dawnych, właściwych mi wzruszeń. Nie znaczy to, że usunęła się pode mną jakaś podpora, ale było mi, jak gdyby zabrakło przyczyny: nie brakowało mi możliwości zachowania spokoju, ale nie dostawało mi powodu i bodźca. Światem moim przez szereg lat było

Obraz świata, Wolność,
Przemiana

Lowood, żyłam w obrębie jego regulaminu i systemu. Teraz przypominałam sobie, że rzeczywisty świat jest szeroki i że otwiera on obszerne pole nadziei i obaw, wrażeń i podniety dla tych, którzy mają odwagę iść szukać rzeczywistej znajomości życia wśród jego niebezpieczeństw.

Zbliżyłam się do okna, otworzyłam je i wyjrzałam. Tu wznosiły się dwa skrzydła szkolnego budynku, tu leżał ogród, tu była granica Lowood, tam pagórkowaty horyzont. Oczy moje przesunęły się po tym co najbliższe i zatrzymały się na najdalszym, to jest na błękitnych szczytach — zapragnęłam je przekroczyć. Wszystko w ich skalistym obrębie wydało mi się dziedziną więzienną. Śledziłam okiem białą drogę, wijącą się u stóp jednej

⁸²Z czasem zostałam pierwszą uczennicą pierwszej klasy — w systemie kształcenia w zakładzie wychowawczym dla dziewcząt opisywanym tutaj bohaterka zaczęła edukację od czwartej, a zakończyła na pierwszej klasie. [przypis edytorski]

góry i znikającą w wąwozie pomiędzy dwiema kolejnymi. Jakże pragnęłam móc ją śle-
dzić dalej! Przypomniałam sobie swoją podróż po tej drodze dyliżansem i przypominałam
sobie, jak o zmroku zjeżdżałam z tego wzgórzka. Wiek upłynął od tego dnia, gdy po raz
pierwszy ujrzałam Lowood i już odtąd nie opuściłam go nigdy. Wakacje wszystkie spęd-
załam w szkole, pani Reed nigdy nie wezwała mnie do Gateshead, ani ona, ani nikt z jej
rodziny nigdy mnie nie odwiedził. Nie miałam żadnych stosunków ani listownych, ani
osobistych ze światem zewnętrznym, znałam jedynie reguły i obowiązki szkolne, tutejsze
zwyczaje i pojęcia, głosy, twarze i zdania, sympatie i antypatie. A teraz czułam, że to nie
wystarczy. Raz po południu uświadomiłam sobie, że znużyła mnie rutyna tych ośmiu lat.
Westchnęłam za wolnością, pomodliłam się o wolność. Wydało mi się, że wiatr rozwiewa
to westchnienie i modlitwę moją. Wtedy zaniósłam skromniejsze błaganie — po pro-
stu o zmianę, o nowy bodziec! I to błaganie zdawało się rozpraszać gdzieś w przestrzeni.
„Niechże mi chociaż będzie dana nowa służba!”, zawołałam, prawie zrozpaczona.

Tu dzwonek, oznajmiający godzinę wieczery, wezwał mnie na dół.

Nie mogłam podjąć przerwanych rozmyślań aż do godziny rozejścia się na spoczynek.
A i wtedy jeszcze nauczycielka, która dzieliła ze mną pokój, nie pozwalała mi powrócić do
przedmiotu, koło którego moje myśli krążyły, przedłużając bez końca zdawkową gadaninę.
Jakżeż pragnęłam, żeby ją sen uciszył! Zdawało mi się, że skoro tylko będę mogła powrócić
do myśli, która zaświtała mi w głowie, gdy stała przy oknie, jakiś pomysł szczęśliwy
zrodzi się ku mojej pociesze.

Panna Gryce nareszcie chrapnęła. Była to ciężka Walijka i dotychczas jej nosowy
koncert zawsze mi dokuczał. Tym razem z zadowoleniem posłyszałam jego pierwsze, głę-
bokie tony. „Nie będzie mi przeszkadzała” — pomyślałam i zaraz też me przygaszone
myśli ożyły.

„Nowa służba! Słowa pełne treści! — rozmyślałam. — Tak, nie brzmi to nader ponęt-
nie. To nie tak jak słowa: wolność, radość, używanie życia. Prześlicznie brzmiące słowa,
ale dla mnie tylko puste i przelotne dźwięki: wsłuchiwać się w nie to zwykła strata cza-
su. Ale służba! To coś zwyczajnego, rzeczywistego. Każdy może służyć. Ja tutaj służyłam
przez osiem lat, teraz chcę służyć gdzie indziej. Czyż mi nie wolno? Czy tego się nie da
zrobić? Ależ tak, tak, to nie takie trudne zadanie, trzeba tylko wyteńczyć myśli i znaleźć
sposób, by je zrealizować”.

Siadłam na łóżku, by pobudzić głowę do bardziej energicznego działania. Noc była
chłodna, otuliłam się w szal i znów pogrążyłam się w myślach.

„Czego pragnę? Innej posady, w innym domu, wśród innych twarzy, w innych wa-
runkach. Pragnę tego, gdyż daremnie pragnęłabym czegoś lepszego. Jakim sposobem
starają się ludzie o inną posadę? Sądzę, że zwracają się do przyjaciół i znajomych, ja ich
nie mam. Ale jest wielu takich, którzy ich również nie mają i sami muszą się starać, sami
sobie pomagać. I jak się oni biorą do tego?”.

Nie wiedziałam — znikąd pomysłu. Mój mózg pracował z natężeniem. Czułam, jak
krew pulsuje mi w głowie i w skroniach, lecz z godzinę męczyłam się w daremnym cha-
osie, nie mogąc nic wymyślić. Rozgorączkowana próżnym wysiłkiem wstałam i przesłam
się po pokoju. Odsłoniłam storę u okna, popatrzyłam na gwiazdy, ale poczuwszy chłód,
powróciłam niebawem do łóżka.

Jakaś dobrotliwa wróżka widocznie pod moją nieobecność złożyła upragniony po-
mysł na poduszce, gdyż zaledwie się położyłam, zupełnie spokojnie i naturalnie przyszło
mi na myśl: „Ci, którzy szukają posady, publikują ogłoszenie — musisz dać ogłoszenie
w «Heraldzie»⁸³”.

„Ale jak? Nie wiem, jak się to ogłasza”.

Teraz już odpowiedź przyszła gładko i prędko:

„Musisz włożyć do koperty ogłoszenie i należne za nie pieniądze, a kopertę zaadre-
sować do wydawcy «Heralda» i przy pierwszej sposobności nadać na pocztę w Lowton.
Musisz prosić o odpowiedź pod literami J. E. *poste restante* w Lowton. Jakiś tydzień po
wysłaniu listu dowiedz się, czy są odpowiedzi, i stosownie do tego działaj”.

⁸³„Herald” — ang. „The Herald”, najstarszy dziennik brytyjski wydawany od 1783 r. w Glasgow. [przypis edytorski]

Ten plan rozważyłam jeszcze dobrze, a upewniwszy się w myśli, że jest jasny i praktyczny, zadowolona usnęłam.

Skoro tylko dzień zaświtał, wstałam. Napisałam ogłoszenie, zapieczętowałam i zaadresowałam, zanim jeszcze rozległ się dźwięk dzwonka budzącego szkołę. Ogłoszenie moje brzmiało: „Młoda osoba, mająca wprawę w nauczaniu” (czyż od dwóch lat nie byłam nauczycielką?) „pragnie otrzymać posadę nauczycielki w domu prywatnym dla dzieci poniżej lat czternastu” (pomyślałam, że mając sama zaledwie osiemnaście, nie chciałabym podejmować się prowadzenia dziewcząt bliższych mi wiekiem). „Może udzielać lekcji zwykłych przedmiotów, objętych programem dobrego angielskiego wykształcenia, wraz z językiem francuskim, rysunkami i muzyką”. (W owych czasach, czytelniku, ten dziś już nazbyt szczypliwy katalog umiejętności był uważany za całkiem obszerny). „Adres: J. E. *poste restante*, Lowton”.

Dokument ten, zamknięty w mojej szufladzie, przeczekał cały dzień. Po herbacie poprosiłam nową przełożoną o pozwolenie pójścia do Lowton dla załatwienia kilku małych sprawunków. Udzielono mi go chętnie i poszłam; odległość wynosiła dwie mile. Wieczór był wilgotny, dni jednakże jeszcze były długie. Zaszłam do paru sklepów, wrzuciłam list na pocztę i powróciłam w rzęsiwym deszczu, w przemoczonym ubraniu, ale z lekkim sercem.

Następny tydzień wydał mi się długi. Dobiegł nareszcie końca jak wszystko na świecie i znowu ku schyłkowi milego jesiennego dnia znalazłam się pieszo na szlaku ku Lowton. Malownicza to była droga, wiodła brzegiem strumienia i poprzez urocze zakręty doliny. Tęgo dnia jednak więcej myślałam o tym, czy będą lub nie listy w miasteczku niż o piękności łąk i wody.

Jako oficjalny powód wędrowki podałam tym razem zamówienie pary trzewików. Ten sprawunek przeto załatwiłam najpierw, po czym spokojną, czystą uliczką przeszłam od szewca na pocztę. Pocztmistrzynią była leciwa dama w rogowych okularach na nosie i w czarnych mitenkach⁸⁴.

— Czy są jakieś listy dla J. E.? — zapytałam.

Pocztmistrzynie przyjrzała mi się przez okulary, a potem, otworzywszy szufladę, długo przeglądała jej zawartość — tak długo, że zaczynałam tracić nadzieję. Nareszcie, podniósłszy do oczu jakąś kopertę, trzymała ją w ten sposób z pięć minut może, aż w końcu podała mi ją przez kontuar, z jeszcze jednym badawczym i nieufnym spojrzeniem. List był dla J. E.

— Czy ten jeden tylko? — zapytałam.

— Nie ma nic więcej — odpowiedziała.

Wsunęłam list do kieszeni i zawróciłam do domu. Nie mogłam go teraz otworzyć, regulamin wymagał, bym była z powrotem o ósmej, a już było w pół do ósmej.

Różne obowiązki czekały mnie po powrocie: musiałam siedzieć z dziewczętami w czasie godziny ich przygotowań, na mnie wypadła kolej odczytywania modlitw, dopilnowania, żeby uczennice pokładły się spać, potem jadłam wieczerzę z innymi nauczycielkami. Nawet po ostatecznym rozejściu się na noc miałam za towarzyszkę nieodstępną pannę Gryce. Miałyśmy tylko mały kawałek świecy w lichtarzu i drżałam, że się wypali, zanim ona mówić przestanie. Na szczęście ciężka kolacja wywarła skutek usypiający, tym razem chrapała już, zanim ja zdążyłam się rozebrać. W lichtarzu był jeszcze kawałek świeczki. Wyciągnęłam list, na pieczętce był odcisk litery F. Rozerwałam pieczętkę, list był niedługi.

„Jeżeli J. E., która opublikowała ogłoszenie w czwartkowym numerze «Heralda», posiada wspomniane warunki i jeżeli może podać zadowalające referencje o swym charakterze i uzdolnieniach, mogłabym jej ofiarować posadę nauczycielki dla jednej uczennicy, małej dziewczynki poniżej lat dziesięciu. Pensja wynosiłaby trzydzieści funtów rocznie. Proszę J. E. o przysłanie referencji, nazwiska, adresu i wszystkich szczegółów na adres: Pani Fairfax, Thornfield, w pobliżu Millcote⁸⁵”.

Długo przyglądałam się listowi: pismo było staroświeckie i niepewne jak pismo starszej kobiety. Byłam z tego rada. Potajemny lęk mnie przejmował, ażebym, działając tak

⁸⁴*mitenka* — rękawiczka damska bez palców. [przypis edytorski]

⁸⁵*Millcote* a. *Milcote* — niewielka angielska miejscowość, położona w Warwickshire, w dystrykcie Stratford-on-Avon. [przypis edytorski]

samodzielnie, nie zgotowała sobie jakiegś nieprzyjemnej niespodzianki. Przede wszystkim pragnęłam, ażeby wynikiem moich starań było coś przyzwoitego, coś właściwego, coś *en règle*⁸⁶. Udział starszej pani wydał mi się czynnikiem bardzo pozytywnym w interesie, który przedsięwzięłam. Pani Fairfax! Wyobraziłam ją sobie w czarnej sukni i wdowim czepeczku, zimną być może, ale nie niegrzeczną — taką, jaka być musi szanowna matrona angielska. Thornfield! To niewątpliwie nazwa jej domu. Byłam pewna, że jest porządnie i ładnie urządzone, daremnie jednak próbowałam wyobrazić sobie jego wygląd. Millcote, w hrabstwie X. Sięgnęłam pamięcią do mapy Anglii. Tak, tak — i to hrabstwo, i to miasto leżało o siedemdziesiąt mil bliżej Londynu niż odległe hrabstwo, w którym obecnie przebywałam. To w moich oczach przemawiało za nimi korzystnie. Pragnęłam udać się gdzieś, gdzie wre życie i ruch. Millcote to duże miasto fabryczne nad brzegiem rzeki A.⁸⁷, niewątpliwie dość ruchliwe. Tym lepiej, zmiana będzie zupełna. Co prawda nie bardzo przypadła mi do smaku myśl o wysokich kominach i chmurach dymu... „Ale — pomyślałam — Thornfield prawdopodobnie leży dosyć daleko od miasta”.

Tu świeczka się wypaliła i knot zgasł.

Nazajutrz musiałam przedsięwziąć nowe kroki. Nie mogłam planów swoich dłużej ukrywać. Chcąc im zapewnić powodzenie, musiałam je wyjawic. Postarawszy się o posłuchanie u przełożonej podczas rekreacji południowej, powiedziałam jej, że mam widoki na otrzymanie posady z pensją dwa razy większą niż moja obecna (w Lowood bowiem dostawałam tylko 15 funtów rocznie) i poprosiłam ją, ażeby sprawę moją przedstawiła panu Brocklehurstowi albo któremuś z panów z komitetu, a zarazem dowiedziała się, czy wolno mi powołać się na nich. Przełożona zgodziła się uprzejmie być moją pośredniczką w tej sprawie. Na drugi dzień przedstawiła rzecz panu Brocklehurstowi, który powiedział, że należy napisać do pani Reed jako do mojej naturalnej opiekunki. W odpowiedzi na list, w tym celu wysłany, pani Reed oświadczyła, że mogę „robić, co mi się podoba, od dawna przestała mieszać się do moich spraw”. List ten obszedł kolejno wszystkich członków komitetu i nareszcie, po tej tak dla mnie nudnej zwłoce, otrzymałam formalne pozwolenie na poprawienie sobie warunków bytu. Dodano przy tym zapewnienie, że ponieważ w Lowood — jako nauczycielka i jako uczennica — zachowywałam się zawsze dobrze, otrzymam przeto świadectwo o charakterze i uzdolnieniach moich, podpisane przez inspektorów zakładu.

To świadectwo otrzymałam po miesiącu mniej więcej. Posłałam kopię pani Fairfax i dostałam od niej odpowiedź, wyrażającą zadowolenie i wyznaczającą mi termin objęcia obowiązków nauczycielki w jej domu za dwa tygodnie od daty listu.

Zajęłam się teraz przygotowaniami. Dwa tygodnie zbiegły szybko. Niezbyt obfitą miałam garderobę, ale dla potrzeb moich wystarczającą. Ostatniego dnia spakowałam walizkę — tę samą, którą przed ośmiu laty przywozłam ze sobą z Gateshead.

Walizka była związana, karta na niej przybita. Za pół godziny woźnica miał po nią wstąpić i zabrać ją do Lowton, dokąd miałam się udać nazajutrz rano, bardzo wcześnie, by zdążyć na dylizans. Wyszczotkowałam czarną, wełnianą suknię podróżną, przygotowałam kapelusz, rękawiczki i mufkę. Przejrzałam wszystkie szuflady, czy czasem nie zostawiłam czegoś, a teraz, nie mając nic więcej do roboty, usiadłam, chcąc odpocząć. Nie mogłam jednak. Chociaż cały dzień byłam na nogach, nie mogłam ani chwili odpocząć — nazbyt byłam podniecona. Dziś wieczorem jeden okres mojego życia dobiegał końca. Nowy miał się rozpocząć jutro. Czyż podobna drzemać w przerwie? Musiałam czuć gorączkowo, podczas gdy dokonywała się zmiana.

— Proszę pani — rzekła służąca, wchodząc na ganek, po którym snułam się jak dusza pokutująca — jest ktoś na dole, kto się z panią chce zobaczyć.

„Woźnica niezawodnie” — pomyślałam i zbiegłam ze schodów, nie pytając. Mijałam właśnie pokój bawialny nauczycielek, którego drzwi były uchylone, i zmierzałam w stronę kuchni, gdy ktoś z tego pokoju wybiegł...

— To ona, jestem pewna!... Poznałabym ją wszędzie! — zawołała osoba, która mnie zatrzymała i pochwyciła moją rękę.

⁸⁶*en règle* (fr.) — zgodnie z zasadami. [przypis edytorski]

⁸⁷rzeka A — chodzi o rzekę Avon, przepływającą w pobliżu Millcote. [przypis edytorski]

Spojrzałam: miałam przed sobą kobietę, ubraną jak dobrze nosząca się służąca, matronową, ale jeszcze młodą, bardzo ładną, brunetkę o czarnych oczach, świeżej cerze i żywych rysach.

— No, proszę, kto ja jestem? — zapytała mnie głosem i z uśmiechem, które mi się wydały znajome. — Nie zapomniała mnie chyba panienka zupełnie, panno Jane?

W jednej chwili ścisnęłam ją już i całowałam z radością.

— Bessie! Bessie! Bessie! — tyle tylko mogłam wymówić, a ona, na wpół śmiejąc się, a na wpół płacząc, razem ze mną weszła do bawialni. Przy kominku stał mały chłopczek, trzyletni, w samodzielnym ubranku i majteczkach.

— To jest mój synek — przedstawiła go Bessie od razu.

— Więc wyszłaś za męża, Bessie?

— Tak, już prawie pięć lat temu, za Roberta Leavena, stangreta. I oprócz tego oto Bobby'ego mam małą córeczkę, której na chrzcie świętym dałam imię Jane.

— I nie mieszkasz w Gateshead?

— Mieszkamy w portierni, stary odźwierny odszedł.

— No i cóż tam u nich wszystkich słychać? Opowiedz mi wszystko o nich, Bessie. Ale przede wszystkim usiądź, a ty, Bobby, przyjdź, wezmę cię na kolana, chcesz? — Ale Bobby wołał przytulić się do matki.

— Nie bardzo panienka wyrosła, panno Jane, ani też nie jest pani tęga — mówiła dalej pani Leaven. — Przypuszczam, że niezbyt dobrze karmiono panienkę w tej szkole. Panna Eliza będzie o głowę wyższa od panienki, a panna Georgiana ze dwa razy tak szeroka w ramionach.

— Georgiana musi być ładna?

— Bardzo ładna. Zeszłej zimy pojechała z mamą do Londynu i tam wszyscy się nią zachwycali, a jeden młody lord zakochał się w niej. Ale jego rodzina sprzeciwiała się temu małżeństwu, no i... Co panienka na to powie?... On i panna Georgiana postanowili uciec, jednak odkryto ich i zatrzymano. To panna Eliza ich wykryła. Ja myślę, że przez zazdrość. A teraz obie siostry żyją ze sobą jak pies z kotem, ciągle się kłócą.

— No dobrze, a co słychać u Johna Reeda?

— Ach, on się nie sprawuje tak dobrze, jakby sobie jego matka mogła życzyć. Poszedł do szkół, ale się obciął⁸⁸. Tak to się, zdaje mi się, nazywa. A wtedy wujowie jego chcieli, żeby studiował prawo, by potem został adwokatem. Ale to taki rozpuszczony młodzieniec, nigdy z niego nic porządnego nie zrobią. Ja tak myślę.

— A jakżeż on wygląda?

— Jest bardzo wysoki. Niektórzy mówią, że to przystojny młody człowiek, ale on ma grube wargi!

— A pani Reed?

— Pani jest tęga i na twarzy dobrze wygląda, ale myślę, że nie bardzo lekko jej na duszy. Postępowanie pana Johna nie może jej się podobać, on tyle pieniędzy wydaje.

— Czy to ona cię tu przysłała, Bessie?

— O nie! Ja od dawna pragnęłam panienkę zobaczyć, a gdy posłyszałam, że był list od panienki i że się panienka przenosi w inne strony, pomyślałam, że się wyprawię i zobaczę ją, zanim mi zbyt daleko ucieknie.

— Boję się, żeś na mój widok doznała rozczarowania, Bessie! — powiedziałam ze śmiechem. Zauważyłam, że spojrzenia Bessie, choć pełne uznania, wcale nie wyrażały zachwyty.

— Nie, panno Jane, tego nie mogę powiedzieć. Jest panienka dystygowana, wygląda jak prawdziwa dama i tego się właśnie po panience spodziewałam. Pięknością jako dziecko panienka nie była.

Uśmiechnęłam się, słysząc szczerą odpowiedź Bessie. Czułam, że powiedziała prawdę, ale przyznaję, że ta prawda nie była mi zupełnie obojętna. Gdy panna ma lat osiemnaście, pragnęłaby się podobać, a przekonanie, że nie ma po temu warunków, bynajmniej nie sprawia przyjemności.

— Ale za to z pewnością jest panienka mądra — mówiła dalej Bessie tonem pocieszenia. — Co panienka umie? Umie panienka grać na fortepianie?

⁸⁸obciąć się (pot.) — oblać egzamin. [przypis edytorski]

— Trochę.

W pokoju znajdował się fortepian. Bessie poszła i otworzyła go, a potem poprosiła mnie, żebym jej coś zagrała. Zagrałam dwa walce. Była zachwycona.

— Panny Reed nie umieją tak dobrze grać! — zawołała radośnie. — Ja zawsze mówiłam, że panienka przewyższy je uczonością. A rysować umie panienka?

— Oto jest jeden z moich obrazków, ten nad kominkiem.

Był to pejzażyk namalowany farbami wodnymi, który ofiarowałam przełożonej jako podziękowanie za jej uprzejme pośredniczenie w mojej sprawie. Kazała go oszklić i oprawić.

— Ależ to jest piękne, panno Jane! Takiego pięknego obrazka żaden z nauczycieli rysunków panien Reed nie potrafiłby namalować, a cóż dopiero one! Nie umywają się do panienki. A francuskiego uczyła się panienka?

— Tak, Bessie. Umie i czytać, i mówić po francusku.

— A haftować na muślinie i na kanwie?

— Umie.

— O, ależ z panienki to prawdziwa dama, panno Jane! Wiedziałam, że panienka na taką wyrośnie. Zajdzie panienka daleko w życiu, czy tam krewni znają panienkę będą czy nie będą. Ale o coś chciałam się panienki zapytać. Czy słyszała panienka kiedy coś o krewnych swoich ze strony ojca, nazwiskiem Eyre?

— Nigdy w życiu.

— Otóż panienka wie, że pani zawsze mówiła, że oni są biedni i że to hołota. Może być, że są biedni, ale ja myślę, że to taka sama szlachta jak rodzina Reed. Bo niegdyś, będzie temu prawie siedem lat, niejaki pan Eyre przybył do Gateshead i chciał się widzieć z panienką. Pani powiedziała, że panienka jest w szkole o pięćdziesiąt mil stamtąd. Wiodoczne było, że sprawiło mu to zawód, gdyż, jak mówił, nie mógł się dłużej zatrzymać: wyjeżdżał w podróż do obcego kraju i okręt jego miał odpłynąć z Londynu za dzień czy dwa. Wyglądał jak prawdziwy dżentelmen i zdaje mi się, że był to brat ojca panienki.

— Do jakiego kraju wybierał się, Bessie?

— To jakaś wyspa o tysiące mil stąd, gdzie wyrabiają wino. Mówił mi kamerdyner.

— Może Madera⁸⁹? — poddałam.

— Tak, tak właśnie, tak powiedział.

— A więc pojechał?

— Pojechał. Zaledwie kilka minut zatrzymał się w domu. Pani potraktowała go z góry, a potem nazwała „marnym kupczykiem”. Mój Robert przypuszcza, że był kupcem winnym.

— Bardzo możliwe — odpowiedziałam. — Albo może agentem kupca winnego.

Rozmawialiśmy z Bessie o dawnych czasach jeszcze z godzinę, po czym musiała się ze mną pożegnać. Zobaczyłam ją jeszcze raz nazajutrz rano w Lowton, kiedy czekałam na dyliżans. Pożegnaliśmy się ostatecznie przed drzwiami hotelu i każda udała się w swoją drogę. Ona poszła odszukać furmankę, która miała ją zabrać z powrotem do Gateshead, ja wsiadłam do dyliżansu, mającego mnie powieźć ku nowym obowiązkom i nowemu życiu w nieznanym okolicach Millcote.

ROZDZIAŁ XI

Nowy rozdział w powieści to coś takiego jak nowa scena w sztuce teatralnej. A gdy teraz podnoszę kurtynę, wyobraź sobie, czytelniku, że widzisz pokój w hotelu „Pod Królem Jerzym” w Millcote — z takim obiciem w duży deseń na ścianach, jakie bywają w pokojach hotelowych, z takim dywanem, z takimi meblami, z takimi ozdobami nad kominkiem i takimi sztychami, wśród których widzisz portret Jerzego III⁹⁰, księcia Walii i scenę śmierci Wolfe’a⁹¹. Wszystko to oglądasz przy świetle lampy olejnej, zwieszającej się od

⁸⁹Madera — portugalski region autonomiczny na wyspach Atlantyku. [przypis edytorski]

⁹⁰Jerzy III (1738–1820) — ostatni król Wielkiej Brytanii i Irlandii i pierwszy król Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii. [przypis edytorski]

⁹¹Wolfe, James (1727–1759) — generał brytyjski, który zginął na polu bitwy w Quebecu, jednak efektem zwycięskiej walki było przyłączenie Kanady do grona prowincji brytyjskich. [przypis edytorski]

sufitu, i sutego ognia, przy którym siedzę w płaszczu i kapeluszu. Mufka⁹² i parasol leżą na stole, a ja rozgrzewam zziębłe i ścierpłe członki, nasiąkłe chłodem po szesnastu godzinach podróży na ostrym, październikowym powietrzu. Wyjechałam z Lowton o godzinie czwartej rano, a zegar ratuszowy w Millcote właśnie bije dwudziestą.

Chociaż siedzę tu względnie wygodnie, nie odczuwam zupełnego spokoju. Myślałam, gdy karetka pocztowa stanęła, że spotkam tu kogoś, co na mnie będzie czekał. Niespokojnie rozglądałam się, schodząc po drewnianych schodkach, które posługacz przystawił dla mojej wygody. Spodziewałam się usłyszeć swoje nazwisko, zobaczyć jakiś powóz, przysłany po mnie z Thornfield. Tymczasem nic podobnego nie było widać, a kelner zapytany, czy nie dowiadywał się kto o pannę Eyre, odpowiedział przecząco. Toteż nie miałam innego wyboru, jak prosić, by mnie zaprowadzono do prywatnego pokoju i tutaj oto czekam, przejęta różnymi wątpliwościami i obawą.

Bardzo dziwnego uczucia doznaje niedoświadczona młoda istota, gdy znajdzie się zupełnie sama na świecie, odcięta od wszelkich stosunków z ludźmi, niepewna, czy dotrze do portu, do którego zmierza, a świadoma, że wiele przeszkód nie pozwoli jej zawrócić do tego, który opuściła. Urok przygody osładza to wrażenie, duma się nim cieszy, ale za to lęk cień nań rzuca. We mnie lęk zapanował przemożnie, gdy minęło pół godziny, a samotności mej nic nie przerywało. Postanowiłam zadzwonić.

— Czy jest tu w sąsiedztwie miejscowość Thornfield? — zapytałam służącego, gdy stawiał się na dzwonek.

— Thornfield? Nie wiem, proszę pani, zapytam przy bufecie.

Zniknął, ale wnet powrócił.

— Czy nazwisko pani panna Eyre? — zapytał.

— Tak jest.

— Jakiś człowiek czeka tu na panią.

Skoczyłam na równe nogi, pochwyciłam mufkę i parasol i wybiegłam na korytarz. Przy otwartych drzwiach stał jakiś mężczyzna, a w niejasno oświetlonej ulicy dojrzałam jednokonnny ekwipaż.

— To będzie zapewne багаż pani? — przemówił, zobaczywszy mnie, wskazując walizkę stojącą na korytarzu.

— Tak jest.

Wyniósł walizkę i umieścił ją na powoziku, po czym wsiadłam. Zanim zatrzasnął drzwiczki, zapytałam, jak daleko będzie do Thornfield.

— Będzie z sześć mil.

— Jak długo potrwa nasza jazda?

— Może z półtorej godziny.

Zamknął drzwiczki, wsiadł na kozioł i ruszyliśmy. Jechaliśmy powoli, miałam dość czasu na rozmyślania. Rada byłam, że nareszcie zbliżam się do celu podróży. Oparta w wygodnym, choć nieeleganckim powoziku, puściłam wodze fantazji.

„Wyobrażam sobie — myślałam — sądząc po prostocie służącego i ekwipażu, że pani Fairfax nie musi być tak wielce świetną damą. Tym lepiej, raz tylko w życiu mieszkałam w domu wielkich państwa i bardzo się wśród nich czułam nieszczęśliwa. Ciekawa jestem, czy mieszka sama, tylko z tą małą dziewczynką. Jeżeli tak i jeżeli jest dosyć miła, potrafię z pewnością żyć z nią dobrze. Będę się o to starała. W tym tylko bieda, że chociaż się człowiek najusilniej stara, nie zawsze mu się udaje. W Lowood, to prawda, postanowiłam być jak najlepsza, dotrzymałam postanowienia i udało mi się zyskać sympatię i uznanie. Ale pamiętam, że u pani Reed najlepsze chęci moje rozbiły się o szorstką i wzgardliwą odprawę. Oby Bóg dał, by pani Fairfax nie okazała się drugą panią Reed. A zresztą, gdyby nawet tak było, nic mnie nie zmusza do pozostania u niej! W najgorszym razie mogę zawsze dać nowe ogłoszenie. Ciekawa jestem, czy to jeszcze daleko?”

Opuściłam okno i wyjrzałam. Millcote pozostało za nami. Sądząc po ilości światła, miasto to było dość wielkie, o wiele większe niż Lowton. Przejężdżaliśmy teraz, o ile mogłam dojrzeć, przez rodzaj pastwiska, wszędzie jednak widziało się rozsiane domostwa.

⁹²*mufka* — kawałek futra zszytego w kształt walca z dwoma otworami na dłonie po bokach, służący niegdyś kobietom do ochrony rąk przed zimnem. [przypis edytorski]

Czułam, że znajduję się w okolicy odmiennej od Lowood, ludniejszej, mniej malowniczej, ruchliwszej i mniej romantycznej.

Droga była ciężka, noc mglista. Woźnica mój pozwolił koniowi przez cały czas iść stępa i półtorej godziny przeciągnęło się bodaj do dwóch. Na koniec odwrócił się na koźle i powiedział:

— A teraz to już dojeżdżamy do Thornfield!

Wyjrzałam znowu, mijaliśmy kościół. Zobaczyłam niską, przysadzistą wieżę, a zegar na niej wybijał właśnie kwadrans. Widziałam rząd gęstych świateł na skłonie pagórka, oznaczający wieś czy osiedle. W dziesięć minut potem woźnica zsiadł z kozła i otworzył bramę na oścież. Przejechaliśmy, a wrota zatrzasnęły się za nami. Posuwaliśmy się teraz powoli drogą dojazdową, aż podjechaliśmy przed długi front domu. Światło świec błyszczało w jednym łukowym oknie, wszystkie inne były ciemne. Powozik zatrzymał się przed drzwiami frontowymi, otworzyła je służąca. Wysiadłam i weszłam.

— Proszę panią tędy — rzekła dziewczyna.

Przeszłam za nią przez kwadratowy hall o wysokich drzwiach dookoła. Wpuściła mnie do pokoju, mocno oświetlonego buchającym na kominku ogniem i świecą. Światło olśniło mnie z początku po ciemnościach, do jakich przez dwie godziny nawykły moje oczy. Gdy jednak wzrok mi powrócił, ukazał się miły obraz.

Zaciszny, mały pokój. Stół przed wesołym ogniem na kominku, fotel o wysokim oparciu, staroświecki, a w nim siedząca najmilsza w świecie staruszka we wdowim czepczku, czarnej jedwabnej sukni i śnieżnobiałym muślinowym fartuszk — zupełnie taka, jak sobie wyobraziłam panią Fairfax, tylko mniej okazała i z pozoru łagodniejsza. Zajęta była robótką na drutach, duży kot poważnie siedział u jej nóg. Niczego, jednym słowem, nie brakło do wytworzenia idealnego, domowego nastroju. Jak na pierwsze kroki początkującej nauczycielki trudno by wymarzyć pomyślniejszą atmosferę. Nie było tu przygniatającej wielkości czy krępującej wyniosłości. Zaledwie weszłam, staruszka wstała i szybko a uprzejmie podeszła ku mnie.

— Jak się droga pani miewa? Boję się, że pani nudną miała drogę. John jeździ tak wolno, musiała pani zziębnąć. Niech się pani zbliży do ognia.

— Mam przyjemność mówić z panią Fairfax, nieprawdaż? — przemówiłam.

— Tak jest. Niech pani siada.

Zaprowadziła mnie do własnego fotela, a potem zaczęła zdejmować ze mnie szal i rozwiązywać mi wstążki kapelusza. Prosiłam ją, żeby sobie nie zadawała tyle trudu.

— O, to żaden trud, a pani ręce zapewne zgrabiały z zimna. Leah, przyrządź trochę gorącego wina i podaj kilka kromek chleba z masłem i szynką. Oto masz klucze od spiżarni.

I wyciągnąwszy z kieszeni prawdziwie gospodarski pęk kluczy, wręczyła je służącej.

— Niechże się pani zbliży do ognia — mówiła dalej. — Rzeczy swoje, moja droga, przywiozła pani zapewne teraz?

— Tak jest, proszę pani.

— Każę je wnieść do pani pokoju — rzekła i drobnym kroczeniem wyszła z pomieszczenia.

„Traktuje mnie jak gościa — pomyślałam. — Nie oczekiwałam takiego przyjęcia, spodziewałam się tylko chłodu i oficjalnej uprzejmości. Co innego opowiadano mi o odnoszeniu się do nauczycielek, ale nie trzeba cieszyć się za wcześnie”.

Pani Fairfax powróciła. Usunęła ze stołu swoją robótkę i dwie książki, robiąc miejsce dla tacy, którą teraz wniosła Leah. Sama też podawała mi posiłek. Czułam się skrępowana taką uprzejmością, jakiej dotąd nigdy nie zaznałam, i to ze strony mojej pracodawczyni i zwierzchniczki. Ponieważ jednak ona widocznie uważała, że to, co robi, jest w porządku, więc pomyślałam, że najlepiej grzeczności jej przyjmować spokojnie.

— Czy będę miała przyjemność dziś jeszcze zobaczyć pannę Fairfax? — zapytałam po zjedzeniu tego, czym mnie częstowała.

— Co pani powiedziała, moja droga? Jestem trochę przygłucha — odpowiedziała dobra pani, przysuwając ucho do moich ust.

Powtórzyłam pytanie moje wyraźniej.

Dom

— Pannę Fairfax? Ach, pani chce powiedzieć: pannę Varens. Przyszła pani uczenniczka nazywa się Varens.

— Ach tak! Więc to nie pani córeczka?

— Nie, ja nie mam dzieci.

Miałam ochotę dopytywać dalej, dowiedzieć się, kim jest dla niej mała Varens, ale przypomniałam sobie, że to niegrzecznie zadawać zbyt wiele pytań i że przecież dowiem się tego z czasem.

— Taka jestem zadowolona — mówiła dalej, siadłszy naprzeciw mnie i biorąc kota na kolana — że pani przyjechała. Przyjemne teraz będzie życie w pani towarzystwie. Naturalnie, przyjemnie jest tutaj zawsze.

I wyszła z pokoju, a ja w ślad za nią. Najpierw poszła przekonać się, czy drzwi od hallu zamknięte. Wyciągnąwszy klucz z zamka, poprowadziła mnie na górę. Schody i poręcze były dębowe, okna nad schodami wysokie i zakratowane. Zarówno okna, jak i długa galeria, na którą wychodziły drzwi pokoi sypialnych, robiły wrażenie jakiejś kościelnej, a nie mieszkalnej budowli. Nawet chłód i powietrze jakby sklepień podziemnych panowało na schodach i w galerii, nasuwając niemiłe wrażenie pustki i samotności. Toteż rada byłam, gdy wszedłszy ostatecznie do mojego pokoju, przekonałam się, że jest mały i umeblowany w zwykłym, nowoczesnym stylu.

Gdy pani Fairfax powiedziała mi życzliwie „dobranoc”, zamknęłam drzwi i rozejrzałam się spokojnie dokoła. Wesoly wygląd mojego pokoiku zatarł we mnie niesamowite wrażenie ciemnych, obszernych schodów i długiej, zimnej galerii. Uprzytomniłam sobie, że po całej dobie fizycznego trudu i duchowego niepokoju znajduję się nareszcie w bezpiecznym porcie. Serce weszło mi serce wdzięcznością, uklękłam przy łóżku i zaniósłam dziękczynną modlitwę, nie zapominając błagać o dalszą pomoc i możliwość zasłużenia na tę dobroć, którą mi tak szczerze ofiarowano, zanim na nią zapracowałam. Posłanie moje było bez zarzutu, a w samotnym pokoju nie czaiły się strachy. Zmęczona i równocześnie zadowolona, zasnęłam niebawem mocno. Był jasny dzień, gdy się obudziłam.

Tak wesoly wydał mi się pokoik, gdy słońce zaświeciło przez niebieskie, perkalowe firanki u okna, ukazując tapetowane ściany i dywan na podłodze, tak się to różniło od prostych desek i poplamionych tynków w Lowood, że na ten widok wpadłam w dobry humor. Zewnętrzne rzeczy mają wielki wpływ na młodych. Pomyślałam, że otwiera się przede mną jaśniejszy okres życia — okres, który będzie miał i kwiaty, i przyjemności obok cierni i trudów. Wszystko we mnie, pobudzone zmianą otoczenia wobec nowego pola otwartego dla nadziei, drgnęło nowym życiem. Nie wiem dokładnie, czego się spodziewałam, ale w każdym razie czegoś miłego. Może nie dzisiaj, nie za miesiąc, ale w nieokreślonej przyszłości.

Wstałam, ubrałam się starannie, chociaż jak najskromniej, gdyż w całej mojej garderobie nie miałam niczego, co by nie było najprościej uszyte. Lubiłam jednak schludność i staranność w ubiorze. Nie leżało w mej naturze zaniedbywanie powierzchowności, nie dbanie o wrażenie. Przeciwnie, pragnęłam zawsze wyglądać możliwie najlepiej i podobać się o tyle, o ile mogłam, nie będąc urodziwą. Żałowałam niekiedy, że nie jestem ładniejsza. Pragnęłam mieć żywszą cerę, prosty nos, drobne, rumiane usta. Odczuwałam to jako nieszczęście, że jestem taka mała i blada, że mam rysy tak nieregularne i ostre. Pragnęłam być wysoka, okazała, mieć pięknie rozwiniętą figurę... I skąd się brały we mnie te pragnienia i żale? Trudno by na to odpowiedzieć. Ja sama wtedy nie umiałabym dać sobie na to jasnej odpowiedzi. A przecież był po temu powód — logiczny i naturalny. Bądź co bądź, gdy przyczesalam włosy bardzo gładko i włożyłam czarną sukienkę, która, choć skromna na modłę kwaków⁹³, miała przynajmniej tę zaletę, iż doskonale leżała, gdy przypięłam czysty biały kołnierzyk, pomyślałam, że wyglądam dosyć przyzwoicie, by móc się pokazać pani Fairfax, a mojej nowej uczennicy nie odstraszyć antypatycznym wyglądem. Otworzyłam tedy okno, ułożyłam wszystko w porządku na toalecie i wyszłam.

Minąwszy długą, matą zasną galerię, zeszedłam po śliskich, dębowych stopniach i weszłam do hallu. Tam zatrzymałam się na chwilę. Przyglądałam się obrazom na ścianach (jeden, pamiętam, przedstawiał marsowego mężczyznę w zbroi, a drugi damę w upudrowanej peruce i naszyjniku z pereł), brązowej lampie, zwieszającej się od sufitu, wiel-

Uroda

⁹³kwakier — członek protestanckiej grupy wyznaniowej. [przypis edytorski]

kiemu zegarowi, którego pudło było zrobione z kunsztownie rzeźbionego dębu i czarnego, polituowanego hebanu. Wszystko wydawało mi się wielce okazałe i wszystko mi imponowało, bo też tak mało byłam przyzwyczajona do wszelkich wspaniałości! Drzwi hallu, do połowy szklane, były otwarte. Stałam w progu. Piękny był poranek jesienny. Wczesne słońce świeciło pogodnie nad żółknącymi laskami i jeszcze zielonymi polami. Wyszedszy na trawnik, podniosłam wzrok i obejrzałam front domu. Był na trzy piętra wysoki, rozmiarami nie ogromnej, ale znacznej wielkości: dwór szlachecki, nie wielkopańska siedziba. Biegające dokoła dachu blanki⁹⁴ nadawały mu wygląd małowiczny. Szary front odbijał od zielonego tła drzew, dźwigających mnóstwo wronich gniazd. Ich kraczące mieszkanki unosiły się teraz w powietrzu, przelatując ponad trawnikiem i ogrodem, by opaść na wielkiej łące poza niskim płotem, gdzie rząd potężnych, starych drzew cierniowych, silnych, sękatych i szerokich jak dęby, od razu wyjaśnił mi etymologię nazwy miejscowości⁹⁵. Dalej widniały wzgórki. Nie były one tak wyniosłe jak te, które otaczały Lowton, ani tak skaliste, i nie tworzyły zapory odgraniczającej od żyjącego świata — ciche i spokojne, jednak zamykające Thornfield w jakimś odosobnieniu, jakiego nie byłabym się spodziewała w pobliżu tak ruchliwej miejscowości jak Millcote. Małe osiedle, którego dachy wyglądały spośród drzew, rozpostarło się na pochyłości jednego pagórka. Miejskowy kościół wznosił się bliżej Thornfield, szczyt jego starej wieży sterczał nad kępą drzew pomiędzy domem a bramami.

Radowałam się jeszcze spokojnym widokiem i miłą świeżością powietrza, przysłuchiwałam się z przyjemnością krakaniu wron. Jeszcze oglądałam szeroki, siwy front, zastanawiając się nad tym, jaki to wielki dom dla samotnej jego mieszkanki, małej staruszki, pani Fairfax, gdy pani ta ukazała się we drzwiach.

— Co widzę? Już pani wyszła? — powiedziała. — Ranny ptaszek z pani.

Zbliżyłam się do niej, powitała mnie serdecznym pocałunkiem i uściskiem ręki.

— Jak się pani podoba Thornfield? — zapytała.

Powiedziałam jej, że podoba mi się bardzo.

— Tak — odpowiedziała — to ładne miejsce. Lękam się tylko, że zakradną się tu nieporządki, jeżeli pan Rochester nie zastanowi się i nie zamieszka tu na stałe albo przynajmniej jeżeli częściej tu nie będzie zaglądał. Wielkie domy i piękne ogrody wymagają obecności właściciela.

— Pan Rochester! Któż to jest? — zawołałam.

— Właściciel Thornfield — odpowiedziała spokojnie. — To pani nie wiedziała, że on się nazywa Rochester?

Naturalnie, że nie wiedziałam, nigdy o nim przedtem nie słyszałam. Ale staruszka widocznie uważała istnienie jego za fakt ogólnie wiadomy, o którym każdy instynktownie wiedzieć musi.

— A ja myślałam — powiedziałam dalej — że Thornfield należy do pani.

— Do mnie? Dziecko moje, co za pomysł! Ja tu jestem tylko gospodynią-zarządczynią. To prawda, że jestem w dalekim pokrewieństwie z Rochesterami ze strony matki, a właściwie nie tyle ja, ile mój zmarły mąż. Mój mąż był duchownym, plebanem w Hay, tej małej wiosce, tam na wzgórzu, a ten kościół blisko bram to był jego kościół. Matka obecnego pana Rochesterera była z domu Fairfax, stryjeczno-stryjeczna siostra mojego męża. Ale ja nic sobie nie robię z tego powinowactwa i rzeczywiście jest ono dla mnie niczym. Uważam się po prostu za zwykłą zarządczynię. Mój chlebodawca jest zawsze grzeczny, a ja też niczego więcej nie wymagam.

— A ta mała dziewczynka, moja uczennica?

— To jest pupilka pana Rochesterera. Polecił mi wyszukać dla niej nauczycielkę. Sądzę, że ją chce wychowywać tu, w kraju. A oto właśnie ona idzie z boną!

Tak więc wyjaśniła się zagadka. Ta uprzejma, dobrotliwa, malarzka wdowa nie była żadną wielką panią, była osobą zaleźną, tak jak i ja. Nic na tym w moich oczach nie straciła, przeciwnie, ucieszyło mnie to tylko. Równość pomiędzy nią a mną stawiała się rzeczywistsza, nie wynikała tylko z łaskawości z jej strony. Tym lepiej, będę się czuła swobodniej na swoim stanowisku.

⁹⁴blank a. blanka — zębaty występ w zwieńczeniu muru obronnego. [przypis edytorski]

⁹⁵etymologia nazwy miejscowości — (ang.) *thorn* oznacza cierń, (ang.) *field* pole, zatem Thornfield to pole cierniowe. [przypis edytorski]

Gdy tak rozmyślałam, mała dziewczynka, wyprzedzając towarzyszkę, biegła ku nam przez trawnik. Przyjrzałam się mojej uczennicy, która, zdaje się, z początku mnie nie zauważyła. Było to dziecko jeszcze, może siedmio- albo ośmioletnie, delikatnie zbudowane, z bladą twarzą i drobnymi rysami. Obfite włosy opadały jej w lokach do pasa.

— Dzień dobry, Adelo — przemówiła pani Fairfax. — Pójdź i przywitaj się z tą panią, która cię będzie uczyła, ażebyś wyrosła z czasem na mądrą kobietę.

Mała zbliżyła się.

— *C'est là ma gouvernante!*⁹⁶ — rzekła, wskazując mnie palcem i zwracając się do bony. Ta odpowiedziała:

— *Mais oui, certainement.*⁹⁷

— Czy to są cudzoziemki? — zapytałam, ze zdumieniem usłyszawszy język francuski.

— Bona jest cudzoziemką, a Adela urodziła się na kontynencie, który dopiero przed kilku miesiącami opuściła. Gdy tu przybyła, nie umiała zupełnie mówić po angielsku. Teraz mówi trochę. Ja jej nie rozumiem, tak miesza angielski z francuskim, ale pani z pewnością potrafi dobrze ją zrozumieć.

Mnie, na szczęście, francuskiego uczyła Francuzka. A że starałam się zawsze jak najwięcej rozmawiać z panią Pierrot, przy tym przez siedem lat uczyłam się codziennie kawałka prozy francuskiej na pamięć, pracowałam nad akcentem, naśladowując wymowę swej nauczycielki, więc też osiągnęłam pewien stopień biegłości i poprawności w tym języku i nie obawiałam się trudności w porozumiewaniu się z Adelą. Mała przybliżyła się do mnie i podała mi rękę, ja zaś prowadząc ją na śniadanie, powiedziałam kilka zdań w jej własnym języku. Odpowiadała mi zrazu krótko, ale gdy siadłyśmy do stołu, mała, przypatrzawszy mi się badawczo przez jakie dziesięć minut swymi wielkimi, piwnymi oczami, zaczęła nagle bardzo szybko mówić:

— Ach! — zawołała po francusku. — Pani umie mówić moim językiem tak dobrze jak pan Rochester! Mogę rozmawiać z panią, tak jak z nim rozmawiam. I Sophie będzie mogła mówić do pani! Jak ona się ucieszy! Nikt jej tutaj nie rozumie, pani Fairfax umie tylko po angielsku. Sophie to moja bona, przybyła tu ze mną przez morze wielkim okrętem z kominem, który dymił, i jak jeszcze!... Ja chorowałam i Sophie także, a i pan Rochester chorował. Pan Rochester leżał na kanapie w ładnym pokoju, który nazywał salonem, a Sophie i ja miałyśmy łóżeczka gdzie indziej. Ja o mało nie wypadłam ze swego, było takie jak półeczka. A *mademoiselle*⁹⁸, jak się *mademoiselle* nazywa?

— Eyre, Jane Eyre.

— *Aire?* Ba! Nie umiem tego wymówić! No, i nasz okręt zatrzymał się rano, zanim jeszcze zupełnie jasny dzień nastał, przed wielkim miastem, gdzie były bardzo ciemne domy, a wszystkie zadymione. Wcale nie takie jak w ładnym, czystym mieście, skąd przybywałam. Pan Rochester przeniósł mnie na rękach przez deskę na ląd, a Sophie szła za nami. Potem wsiedliśmy wszyscy do powozu, który nas zawiózł do pięknego, wielkiego domu, większego niż ten i piękniejszego. Taki dom nazywa się hotel. Tam pozostaliśmy prawie tydzień. Ja i Sophie chodziłyśmy codziennie na spacer do wielkiego, zielonego miejsca, pełnego drzew. To miejsce nazywają parkiem. I było tam oprócz mnie wiele innych dzieci i staw z pięknymi ptakami, które karmiłam okruszynami.

— Czy pani ją rozumie, choć ona tak prędko trzepie? — zapytała pani Fairfax.

Rozumiałam ją bardzo dobrze, gdyż byłam przyzwyczajona do szybkiej mowy *madame* Pierrot.

— Pragnęłabym — ciągnęła dalej pocziwa staruszka — żeby jej pani zadała parę pytań o jej rodziców. Ciekawam, czy ich pamięta?

— Adelo — zapytałam — u kogo mieszkałaś wtedy, gdy byłaś w tym ładnym, czystym mieście, o którym mówiłaś?

— Dawno temu mieszkałam u mamy, ale mama poszła do nieba. Mama uczyła mnie tańczyć, śpiewać i mówić wierszyki. Wielu panów i wiele pań przychodziło do mamy z wizytami, a ja wtedy tańczyłam przed nimi albo siadywałam u nich na kolanach i śpiewałam im. Ja to lubiłam. Czy mam pani zaśpiewać coś teraz?

⁹⁶*C'est là ma gouvernante!* (fr.) — To jest moja guwernantka! [przypis edytorski]

⁹⁷*Mais oui, certainement.* — Ależ tak, z pewnością. [przypis edytorski]

⁹⁸*mademoiselle* (fr.) — panienska. [przypis edytorski]

Skończyła śniadanie, więc pozwoliłam jej przedstawić próbkę swych umiejętności. Zsunęła się z krzesła, przysłała do mnie i siadła mi na kolanach. Potem, złożywszy rączki poważnie przed sobą, strząsnąwszy w tył łoki i podniósłszy oczy do sufitu, zaczęła śpiewać arię z jakiejś opery. Była to skarga opuszczonej kobiety, która oplakuje zdradę swego kochanka, wzywa dumę na pomoc, a potem każe służebnej ubrać się w najpiękniejsze klejnoty i najbogatsze suknie i postanawia spotkać się z niewiernym mężczyzną wieczorem na balu, by mu okazać wesołością i zachowaniem, jak mało obeszała ją jego zdrada.

Temat wydał mi się dziwnie niedostosowany dla dziecka. Przypuszczam jednak, że cała pointa leżała w tym właśnie — usłyszeć słowa miłości i zazdrości, śpiewane usteczkami dziecka. Według mnie, był to pomysł w bardzo złym guście.

Adela śpiewała całkiem czysto, melodyjnie i z naiwnością swojego wieku. Skończywszy, zeskoczyła mi z kolan i powiedziała:

— A teraz, *mademoiselle*, powiem pani wierszyk!

Stała, jak należało, i zaczęła: „*La ligue des rats*”, *fable de La Fontaine*⁹⁹. Po czym zadeklamowała bajkę z przejęciem, modulując głos, zwracając uwagę na interpunkcję i z odpowiednią gestykulacją, istotnie niezwykłą jak na jej wiek — dowodziło to starannego wyuczenia.

— Czy to mama nauczyła cię tego wierszyka? — zapytałam.

— Tak i to ona właśnie w ten sposób go mówiła: „*Qu’avez-vous donc? lui dit un de ces rats; parlez!*”¹⁰⁰. Kazała mi rękę podnosić, o tak, żebym sobie przypomniała, że mam głos podnieść przy zapytaniu. A teraz, czy mam pani zatańczyć?

— Nie, tymczasem dosyć. Lecz gdy mama twoja poszła do nieba, jak mówisz, u kogo potem mieszkałaś?

— U pani Frédéric i jej męża. Opiekowała się mną, ale to nie żadna moja krewna. Ja myślę, że ona musi być biedna, gdyż nie miała tak ładnego domu jak moja mama. Ale ja tam nie byłam długo. Pan Rochester zapytał mnie, czy chciałabym wyjechać i mieszkać z nim w Anglii, a ja odpowiedziałam, że chciałabym, bo pana Rochesterą znałam już przedtem, zanim znałam panią Frédéric, a on zawsze był dla mnie dobry i dawał mi ładne sukienki i zabawki. Ale widzi pani, jak nie dotrzymał słowa! Przywiózł mnie do Anglii, a teraz sam wyjechał i ja go nigdy nie widzę.

Po śniadaniu udałam się z Adelą do biblioteki, którą — zdaje się — pan Rochester wyznaczył na pokój szkolny dla nas. Większość książek zamknięta była w oszklonych szafach. Jedna tylko była otwarta, a zawierała wszystko, co mogłoby być potrzebne z dziedziny elementarnej nauki oraz nieco tomów lekkiej literatury, poezji, biografii, podróży, kilka romansów itd. Prawdopodobnie pan Rochester uważał, że to jest wszystko, czego nauczycielka może potrzebować do własnej lektury. Istotnie, książki te zadowolily mnie na razie w zupełności. W porównaniu z tym, co niekiedy dorywczo mogłam zdobyć w Lowood, przedstawiały one dla mnie źródło rozrywki i wiedzy. W tym pokoju również znajdował się fortepian, zupełnie nowy, o doskonałym tonie, sztalugi do malowania i para globusów.

Adela była uczennicą dość posłuszną, choć nieskłoną do pilności i uwagi. Nie była wdrożona do pracy systematycznej. Czulałam, że byłoby nierozsądnie na początek przetrzymywać ją zbyt długo nad książką, toteż opowiadałam jej dużo, zadałam jej trochę do nauki, a że zbliżało się południe, pozwoliłam jej powrócić do bony. Następnie obiecywałam sobie wyrysować parę małych szkiców na jej użytek.

Idąc na górę po swoją tekę i ołówki, usłyszałam wołającą ku mnie panią Fairfax:

— Zapewne skończyła pani teraz poranne lekcje!

Znajdowała się w pokoju, którego drzwi były otwarte. Weszłam tam, gdy do mnie przemówiła. Był to duży, okazały pokój z orzechową boazerią na ścianach. Meble i portiery utrzymane w kolorze purpurowym, dywan turecki zdobił jego środek. Sufit bogato i artystycznie był rzeźbiony, piękny, choć trochę ciemny witraż dopełniał całości artystycznej tej sali. Pani Fairfax ocierała z kurzu godne podziwu, kryształowe naczynie, stojące na kredensie.

⁹⁹*La ligue des rats, fable de La Fontaine* (fr.) — bajka *Związek Szczurów*, której autorem jest francuski bajkopisarz, Jean de La Fontaine (1621–1695). [przypis edytorski]

¹⁰⁰*Qu’avez-vous donc? lui dit un de ces rats; parlez!* (fr.) — Co ci jest?, pyta jeden ze szczurów. Mówże! [przypis edytorski]

— Co za piękny pokój! — zawołałam, rozglądając się dokoła, gdyż nigdy jeszcze nie widziałam równie imponującego pomieszczenia.

— Tak, to jest pokój jadalny. Właśnie otworzyłam okno, żeby wpuścić trochę powietrza i słońca, bo w izbach rzadko zamieszkałych wszystko tak wilgotnieje. Tam, w salonie, czuć wprost piwnicą.

Wskazała szeroką arkadę na wprost okna, zawieszoną, tak jak i okno, szkarłatną zasłoną, która była teraz rozchylona. Wstąpiwszy po dwóch szerokich stopniach i zajrzawszy do środka, mniemałam, że oglądam jakąś czarodziejską krainę. Był to bardzo ładny salon, a tuż obok buduar¹⁰¹ — oba były wyłożone białym dywanem w girlandy barwnych kwiatów, oba o sufitach ze śnieżną sztukaterią¹⁰² białych gron winnych i liści, co dawało bogaty kontrast z karmazynowym kolorem kuszetek¹⁰³ i otoman. Nad białym, marmurowym kominkiem błyszcząły ozdoby z czeskiego szkła w kolorze rubinów. Szerokie zwierciadła między oknami odbijały to połączenie barw ognia i śniegu.

— W jakim porządku pani te pokoje utrzymuje! — zawołałam. — Ani odrobiny kurzu, choć nie ma pokrowców. Gdyby nie ten ostry chłód, można by myśleć, że są w codziennym użyciu.

— Bo widzi pani, chociaż pan Rochester rzadko tutaj bywa, to te odwiedziny bywają zawsze nagłe i niespodziewane. Zauważyłam, że go to drażni, gdy wszystko zastaje pozastłaniane, pozawijane i gdy za przybyciem znosić musi ruch i zamęt urządzania, pomyślałam więc, że najlepiej trzymać pokoje w gotowości.

— Czy pan Rochester jest wymagający i wybredny?

— Nie powiedziałabym, ale ma swoje pańskie gusty i przyzwyczajenia i chciałby, żeby odpowiednio do tego kierować sprawami.

— Czy pani go lubi? Czy jest ogólnie lubiany?

— O tak, ta rodzina zawsze tu była szanowana. Prawie wszystka ziemia w tej okolicy, jak daleko pani okiem sięgnie, od czasów niepamiętnych należała do Rochesterów.

— No dobrze, ale nie mówiąc o jego ziemi, czy pani jego lubi? Czy jest lubiany jako osoba?

— Ja nie mam powodu go nie lubić, więc go lubię. A sądzę, że dzierżawcy jego uważają go za sprawiedliwego i hojnego, ale pan Rochester nigdy długo wśród nich nie mieszkał.

— Tak, ale czy nie ma on jakichś swoich szczególnych właściwości? Słowem, jaki jest jego charakter?

— O! Charakter pana Rochester jest bez zarzutu. Jest on może trochę dziwny: wiele podróżował, widział, sądzę, kawał świata. Myślę, że musi być mądry, ale ja z nim nigdy wiele nie rozmawiałam.

— W czym i na ile jest dziwny?

— Nie wiem, to niełatwo opisać. Nic uderzającego, ale czuje się to, gdy do ciebie mówi. Nie zawsze można być pewnym, czy żartuje czy mówi serio, czy jest kontent czy przeciwnie. Słowem, trudno go do gruntu zrozumieć, ja przynajmniej nie potrafię. Ale to nie ma znaczenia, bo jest bardzo dobrym panem i zwierchnikiem.

Tyle tylko mogłam się dowiedzieć od pani Fairfax o jej i moim pracodawcy. Niektórzy ludzie nie potrafią naszkicować charakteru, zauważyć i opisać wybitnych rysów — czy to osób czy rzeczy. Poczciwa kobieta widocznie należała do tej kategorii. Moje pytania wprowadzały ją w zakłopotanie, ale nie potrafiłam nic z niej wyciągnąć. W jej oczach pan Rochester to był pan Rochester i koniec: szlachcic, właściciel ziemski — nic więcej. Nie pytała i nie szukała dalej, i dziwiła się widocznie, że ja pragnę posiść dokładniejsze pojęcie o jego osobie.

Wychodząc z sali jadalnej, zaproponowała mi pokazanie reszty domu. Chodziłam więc za nią na górę i na dół, podziwiając wszystko po drodze, bo też wszystko było dobrze urządzone i ładne. Wielkie pokoje frontowe wydały mi się szczególnie wspaniałe, niektóre zaś na trzecim piętrze, chociaż i ciemne i niskie, były interesujące przez swój staroświecki wygląd. Meble, należące pierwiej do apartamentów z pierwszego i drugiego piętra, przenoszono tutaj w miarę, jak się zmieniała moda. W słabym świetle, wpadającym przez wąskie okna, widziałam łoża sprzed stu lat, dębowe albo orzechowe szafy o dziwnych,

¹⁰¹*buduar* (daw.) — pokój do odpoczynku pani domu. [przypis edytorski]

¹⁰²*sztukateria* — dekoracja ścienna z gipsu lub stiuku. [przypis edytorski]

¹⁰³*kuszетка* (daw.) — kozetka, mała kanapa. [przypis edytorski]

rzeźbionych gałązkach palm i główek cherubinów, przypominające kształty arki przymierza, rzędy wiekowych krzesel, wąskich, o wysokich oparciach, jeszcze starsze taborety, na których poduszkowych siedzeniach znać było ślady na wpół wytartych haftów, snutyh palcami, które już od dwóch pokoleń były prochem trumiennym. Wszystkie te staroświeckie graty nadawały trzeciemu piętru Thornfield Hall pozór jakiejś ojczyzny przeszłości — grobowca pamiątek. Miła mi była ta cisza, ten mrok, oryginalność tych zakątków za dnia, bynajmniej jednak nie pragnęłabym spocząć nocą na którymś z tych szerokich, ciężkich łóżek. Niektóre z nich zamykały się na drzwi dębowe, inne ociemniały stare, angielskie, tkane kotary, pokryte grubą robotą, przedstawiające obrazy dziwnych kwiatów, dziwniejszych ptaków i najdziwniejszych ludzkich istot — zaiste, to wszystko wyglądało niesamowicie w bladym świetle księżycy.

— Czy to służące sypiają w tych pokojach? — zapytałam.

— Nie, służba zajmuje szereg mniejszych pokoi z tyłu domu, tutaj nikt nie sypia. Można by prawie powiedzieć, że gdyby Thornfield Hall miało swojego ducha, tutaj byłaby jego siedziba.

— I ja tak myślę. Zatem nie macie tu państwo żadnego ducha?

— Nie, ja nigdy o żadnym nie słyszałam — odpowiedziała, uśmiechając się, pani Fairfax.

— Ani żadnego podania o duchu? Żadnej legendy, żadnej historii o duchach?

— Chyba nie. A jednak słyszy się, że Rochesterowie był to swojego czasu ród gwałtowny i krewki, dość niespokojny. Może właśnie dlatego śpią teraz w grobach tak cicho.

— Tak... „po życia gorączone cicho teraz śpią”¹⁰⁴ — szepnęłam. — A dokąd pani teraz idzie? — zapytałam, widząc, że rusza z miejsca.

— Idę wyrzucić z górnego tarasu na dachu. Czy chce pani pójść ze mną i obejrzeć widok stamtąd?

Poszłam za nią, najpierw po bardzo wąskich schodach na strych, a stamtąd po drabince i przez klapę podnoszoną na dach domu. Znalazłam się teraz na równym poziomie z kolonią wron, mogłam zaglądać do ich gniazd. Oparta o parapet i patrząc daleko w dół, widziałam zarysy ogrodu, leżącego przede mną jak mapa. Widziałam jasny, aksamitny trawnik, otaczający z bliska szarą podstawę domu, pole, szerokie jak park, obsadzone tu i ówdzie starymi drzewami, las w złotobrazowych barwach, przecięty ścieżką, tak zarosniętą mchem zielonym, że była zieleńsza od drzew i liści, kościół przed bramami, drogę, łagodne wzgórki, wszystko to spoczywające w świetle jesiennego słońca, widnokraj, objęty pogodnym, lazurowym niebem, zasnuty perłowo-białymi obłoczkami. Gdy zawróciwszy, schodziłam przez drzwi w dachu, zaledwie mogłam trafić na drabinkę. Moim olśnionym oczom strych wydał się ciemny jak piwnica w porównaniu z błękitem nieba, z rozslonecznionym laskiem, pastwiskiem i zielonymi wzgórkami, na które patrzyłam z rozkoszą.

Pani Fairfax zatrzymała się chwilę, zajęta zamykaniem drzwi w dachu. Ja, po trosze po omacku, znalazłam wyjście z poddasza i zaczęłam spuszczać się po wąskich schodach ze strychu. Stałam na chwilę w długim korytarzu, na który prowadziły. Przegradzał on frontowe i tylne pokoje trzeciego piętra, był wąski, niski i ciemny, o jednym tylko małym okienku na najdalszym końcu. Ze swymi dwoma rzędami małych, czarnych, pozamykanych drzwi sprawiał wrażenie korytarza w zamku jakiegoś Sinobrodego¹⁰⁵.

Gdy cicho ruszyłam dalej, uderzył moje uszy odgłos, jakiego najmniej mogłam się spodziewać w miejscu tak spokojnym. Był to śmiech — dziwny, wyraźny, lecz niewesoły. Stałam. Śmiech ustał, lecz tylko na chwilę, znów zabrzmiał, ale głośniejszy, gdyż za pierwszym razem, chociaż wyraźny, był bardzo cichy. Teraz przeszedł w hałaśliwy wybuch, który zdawał się budzić echa we wszystkich tych zamkniętych pokojach, jakkolwiek najwyraźniej płynął z jednego, którego drzwi mogłabym wskazać.

— Pani Fairfax! — zawołałam, gdyż usłyszałam, że schodzi ona po schodach. — Czy pani słyszała ten głośny śmiech? Kto to się śmieje?

— Któraś służąca zapewne — odpowiedziała. — Może Grace Poole.

¹⁰⁴po życia gorączone cicho teraz śpią — fragment pochodzi z dramatu *Macbeth* Williama Shakespeare'a (1564–1616). [przypis edytorski]

¹⁰⁵*Sinobrody* — słynny żonobójca, tytułowy bohater baśni przypisywanej Charles'owi Perraultowi (1628–1703). [przypis edytorski]

Śmiech

— Czy pani słyszała? — powtórzyłam pytanie.

— Owszem, wyraźnie słyszałam. Ja ją często słyszę, szyje w jednym z tamtych pokoi. Czasami Leah jest z nią. Często, gdy pracują razem, bywają hałaśliwe.

Śmiech znowu się powtórzył cichą gamą i zakończył się szczególnym mamrotaniem.

— Grace! — zawołała pani Fairfax.

Nie spodziewałam się doprawdy, żeby jakaś Grace odpowiedziała — tak tragiczny, tak nadnaturalny wydał mi się ten śmiech. I gdyby nie to, że było to samo południe, że ani pora dnia, ani otoczenie nie sprzyjały zabobonnym nastrojom, byłabym się przełękła. Okazało się wszakże, że byłam niemądra, dziwiąc się tak bardzo i snując niejasne przypuszczenia. Najbliższe drzwi otworzyły się i wyszła służąca — kobieta trzydziestoletnia, przysadzista, krępa, ruda, nieładna. Trudno by sobie wyobrazić zjawisko mniej romantyczne.

— Za wiele hałasu, Grace — upomniała ją pani Fairfax. — Pamiętaj o zasadach.

Grace ukloniła się milcząco i wróciła do pokoju.

— Jest to osoba, którą wzięliśmy do szycia i do pomocy dla Lei, pokojowej — mówiła dalej wdowa. — Nie jest ona zupełnie bez zarzutu pod pewnym względem, ale na ogół nieźle się sprawia. A jakże tam dziś poszły lekcje z pani nową uczennicą?

Tym sposobem rozmowa, skierowana na Adelę, trwała dopóty, dopóki nie znalazłyśmy się w jasnej i pogodnej strefie na dole. W hallu Adela wybiegła na nasze spotkanie, wołając:

— *Mesdames, vous êtes servies!* — i dodała — *J'ai bien faim, moi!*¹⁰⁶

Istotnie — obiad był gotów i czekał na nas w pokoju pani Fairfax.

ROZDZIAŁ XII

Zapowiedź pogodnego bytowania, zaznaczona na wstępie spokojnym przyjęciem w Thornfield Hall, nie zawiodła mnie po dłuższym zaznajomieniu się z miejscem i jego mieszkańcami. Pani Fairfax okazała się taką, jaką się wydawała — kobietą równego usposobienia, dobrotliwą, średniego wykształcenia i przeciętnej inteligencji. Moja uczennica była dzieckiem żywym, rozpieszczano ją i pobażano jej, dlatego bywała niekiedy kapryśna. Ponieważ została powierzona wyłącznie mojej opiece i żadne inne nierozsądne wpływy nie przeszkadzały mi w pracy nad nią, zapomniała wkrótce o małych wybrykach, stała się posłuszna i chętna do nauki. Nie miała wielkich zdolności, wybitnych rysów charakteru ani szczególnie rozwiniętych uczuć lub upodobań, co by ją wznosiło ponad poziom równieśniczek. Ale nie było też w niej żadnych usterek ani złych skłonności, które by ją stawiały poniżej tego poziomu. Robiła odpowiednie postępy, miała dla mnie żywe, choć może nie nazbyt głębokie przywiązanie, a ja lubiłam ją dla jej prostoty, wesołego szczebiotu i chęci dogodzenia mi — dobrze nam było ze sobą.

To, co mówię, wydać się może zbyt chłodnym określeniem osobom głoszącym górnolotne teorie o anielskiej naturze dzieci i o obowiązku wychowawców odczuwania w stosunku do nich bałwochwalczego przywiązania. Ja jednakże nie piszę dla schlebienia rodzicielskiemu egoizmowi lub z chęci wygłaszania obłudnych frazesów i nonsensów — po prostu mówię prawdę. Dbałam sumiennie o dobro Adeli, o jej postępy i lubiłam tę małą osobkę zupełnie tak samo, jak byłam wdzięczna pani Fairfax za jej dobroć i w jej towarzystwie znajdowałam przyjemność odpowiednią do spokojnego uznania jej dla mnie i umiarkowanej skali jej umysłu i charakteru.

Niech mnie zresztą zgani, kto zechce, gdyż dodam jeszcze, że niekiedy, gdy poszłam przejść się sama po ogrodzie, gdy doszłam do bramy i wyjrzałam na drogę albo też, gdy Adela bawiła się z boną, pani Fairfax smażyła galaretki, a ja, wyszedłszy na trzecie piętro, uniosłam klapę na strychu i wydostałam się na dach — że wtedy, patrząc w dal ponad pola i wzgórza, na mglistą linię widnokręgu, wdychałam za siłą wzroku, która by sięgnęła poza te granice. Za siłą wzroku, która by dotarła do ruchliwego świata, do miast pełnych życia, o których słyszałam wprawdzie, lecz nie widziałam ich nigdy. Że wtedy pragnęłam więcej poznać i doświadczyć, więcej mieć stosunków z ludźmi, zaznajomić się z większą różnorodnością typów, niż było mi to dane tutaj. Ceniłam to, co było dobre w pani Fairfax

¹⁰⁶*Mesdames, vous êtes servies!* (...) *J'ai bien faim, moi!* (fr.) — Panie, podano do stołu! (...) Jestem bardzo głodna! [przypis edytorski]

i w Adeli, ale wierzyłam, że istnieją inne i żywsze rodzaje dobra, a to, w co wierzyłam, pragnęłam zobaczyć.

Kto może mieć mi to za złe? Wielu, niezawodnie, i ci nazwą mnie malkontentką. Nie moja jednak była to wina. Niepokój wewnętrzny poruszał mnie, niekiedy sprawiając ból. Wtedy doznawałam ulgi, chodząc wzdłuż korytarza trzeciego piętra tam i z powrotem, bezpiecznie, w ciszy i samotności, i pozwalając oczom duszy pieścić się tymi jasnymi wizjami, jakie się przed nimi jawiły — a były one liczne i promienne. Czułam ulgę, gdy serce biło mi radosnym tętnem, a najlepiej mnie koilo nasłuchiwanie snującej się w duszy nigdy niekończącej się powieści, którą tworzyła moja wyobraźnia, ciągnąc ją bez przerwy, powieści, tętniącej wypadkami, życiem, ogniem, uczuciem — wszystkim, czego pragnęłam, a czego w rzeczywistości nie posiadałam.

Daremną rzeczą mówić, że istoty ludzkie powinny zadowalać się spokojem. One potrzebują czynu, działania, a jeżeli znaleźć tego nie mogą, stwarzają to sobie. Miliony skazane są na cichszy los od mojego i miliony w milczeniu buntują się przeciwko swemu losowi. Nikt nie wie, ile buntów — prócz politycznych — fermentuje w tych tłumach zaludniających świat. Kobiety uważa się na ogół za bardzo spokojne, ale kobiety czują tak samo jak mężczyźni. Potrzebują używać swoje zdolności, potrzebują pola dla swych wysiłków nie mniej jak ich bracia. Cierpią, gdy są zbyt skrupowane, cierpią w bezzwłędnym zastoju zupełnie tak samo, jak cierpieliby mężczyźni. I ciasnotą umysłu grzeszą szczęśliwsi ich bliźni, jeżeli twierdzą, że powinny się ograniczyć do gotowania puddingów, robienia pończoch, grania na fortepianie i haftowania. Bezmyślnością jest potępiać je albo śmiać się z nich, jeżeli starają się więcej robić albo uczyć się więcej, niż zwyczaj orzekł, że dla ich płci wystarcza.

Chodząc tak w samotności, nierzadko słyszałam śmiech Grace Poole — ten sam wybuch, to samo ciche, powolne „Ha! Ha!”, które po raz pierwszy przejęło mnie dreszczem. Słyszałam także jej dziwaczne mamrotanie, dziwaczniejsze nawet niż śmiech. Były dni, gdy była całkiem milcząca, ale kiedy indziej zupełnie nie mogłam zrozumieć wydawanych przez nią odgłosów. Niekiedy zdawało mi się ją widywać: wychodziła z pokoju z miednicą i talerzem albo z tacą w ręku, schodziła do kuchni i zazwyczaj zaraz wracała, niosąc dzbanek portera. Widok jej działał zawsze jak tłumik na ciekawość, podnieconą jej głosowymi produkcjami — kobieta o rysach grubych i tępych, nie miała w sobie nic zajmującego. Próbowałam parę razy wciągnąć ją w rozmowę, ale była małomówna. Krótka odpowiedź zazwyczaj udaremniała wszelkie usiłowania dalszej pogawędki.

Inni domownicy, mianowicie John, jego żona, Leah, pokojowa i Sophie, bona francuska, byli to wszystko ludzie przyzwoici, ale pod żadnym względem nie wybitni. Z Sophie rozmawiałam po francusku i niekiedy dopytywałam ją o kraj rodzinny. Nie miała ona jednak daru opisywania ani opowiadania i dawała najczęściej odpowiedzi tak puste i mętne, że to raczej zniechęcało niż skłaniało do pytań.

Tymczasem upłynął październik, listopad i grudzień. Pewnego styczniowego popołudnia pani Fairfax poprosiła mnie o darowanie Adeli poobiednich lekcji z powodu kataru, jakiego się nabawiła. Zgodziłam się chętnie, zwłaszcza gdy Adela gorąco poparła tę prośbę, przypominając mi przez to, z jaką radością w latach dziecińczych witałam każdą trafiającą się rekreację. Był to piękny dzień, spokojny, chociaż bardzo zimny. Byłam zmęczona, przesiedziawszy w bibliotece całe długie przedpołudnie. Pani Fairfax właśnie napisała list, który czekał okazji na pocztę, więc włożyłam kapelusz i płaszcz i ofiarowałam się odnieść go do Hay. Odległość, dwie milki, stanowiła miły spacer w zimowe popołudnie. Usadowiwszy Adelę wygodnie na krzeselku przy kominku w saloniku pani Fairfax i podawszy jej do zabawy najlepszą lalkę woskową (którą zazwyczaj, zawiniętą w srebrny papier, trzymałam schowaną w szufladzie) oraz dla odmiany książkę z powiastkami, pocałowałam ją na pożegnanie i wyszłam.

Grunt był stwardniały, powietrze spokojne, droga samotna. Szłam szybko, dopóki się nie rozgrzałam, a wtedy zwolniłam kroku, by nacieszyć się i zastanowić nad przyjemnością, jaką mi dawała ta chwila i widok dookoła. Była godzina trzecia, zegar kościelny wybijał ją, gdy mijalam dzwonnice. Urok tej godziny leżał w bliskim zmierzchu, w nisko stojącym, blade promienie ślącym słońcu. Znajdowałam się o milę od Thornfield, na ścieżce znanej latem z obfitości róż polnych, jesienią z orzechów i jarzyn, a nawet teraz posiadającej pewne kolorowe skarby w postaci głogów. Ale najmiłszy czar zimowy polegał na zupełnej

Kobieta, Kondycja ludzka,
Pozycja społeczna, Obraz
świata, Bunt, Czyn

samotności i bezszelestnej ciszy. Powiew nie wydawał tu wcale odgłosu, nie było bowiem ani jednego krzaczka ostrokrzewu czy bluszczu, który by mógł zaszemrać, a obdarte z liści głogi i krzaki leszczyny ciche były jak te białe, zdeptane kamienie, którymi wysypany był środek ścieżki. Blisko i daleko, po obu stronach drogi widać było tylko pola, na których nie pasło się bydło, a małe, brunatne ptaszki, ruszające się niekiedy w bezlistnym żywopłocie, wyglądały jak rdzawe, zeschnięte liście, co zapomniały opaść...

Dróżka ta szła pod górę przez całą drogę do Hay. Doszedłszy do jej połowy, siadłam na przełazie, prowadzącym stąd na pole. Otulając się szczelnie płaszczem i chroniąc ręce w mufce, nie czułam zimna, choć mróz był porządny — dowodziła tego szyba lodu pokrywająca ścieżkę, na którą mała struga wody, obecnie zamarznęta, wylała była po raptownej odwilży parę dni temu. Z miejsca, gdzie siedziałam, mogłam patrzeć na Thornfield. Szare, blankami¹⁰⁷ uwieńczone mury dworu były głównym przedmiotem rzucającym się w oczy w dolinie pode mną. Lasy jego i drzewa z gniazdami wronimi wznosiły się na tle zachodniego nieba. Patrzyłam, dopóki słońce nie zaszło za drzewa i, czerwone i jasne, nie zatoneło w nich. A wtedy spojrzalam na wschód.

Spoza szczytu wzgórzka nade mną wynurzał się wschodzący księżyc — jeszcze błąd jak chmurka, nabierał światłości z każdą chwilą i świecił nad Hay, które, na wpół ukryte w drzewach, słało niebieskie dymy z nielicznych kominów. Było odległe o milę, ale w tej bezwzględnej ciszy mogłam dosłyszeć słabe odgłosy życia stamtąd idące. Ucho moje chwyciło także szmery płynących potoków — w jakich dolinach czy zagłębieniach, nie wiedziałam sama, ale wiele było wzgórków poza Hay i niewątpliwie wiele strumieni w wąwozach pomiędzy nimi. W ciszy wieczornej słyszało się plusk najbliższych i szum dalekich.

Jakiś szorstki odgłos wpadł nagle między te delikatne pluskoty i szmery, równocześnie daleko i wyraźnie. Głośny tupot i metaliczny chrzęst zgasiły cichutkie szepty płynących fal, tak jak w obrazie potężna masa skały albo surowy zarys wielkiego dębu, ciemno i silnie zaznaczony na przednim planie, zaciera powietrzną odległość lazurowego wzgórza, słonecznego widnokręgu i zmieszanych chmur, gdzie barwa stapia się z barwą.

Kroki rozległy się na ścieżce: koń nadchodził; zakręty drogi jeszcze go ukrywały, ale przybliżał się. Miałam właśnie zejść z przełazu, ale ponieważ ścieżka była wąska, zostałam na miejscu, żeby mnie mógł minąć. Młoda byłam wówczas i rozmaite fantazje wesołe i ponure snuły mi się w głowie. Wśród innych żyły tam także wspomnienia bajek, opowiadanych niegdyś w dzieciennym pokoju — tym, gdy wracały w pamięci, dojrzewająca młodość dodawała siły i wyrazistości, jakiej im wiek dziecięcy udzielić nie potrafił. Gdy się ten koń przybliżał, a ja czekałam, aż rychło się ze zmierzchu wyłoni, przypomniały mi się niektóre opowiadania Bessie o duchu imieniem Gytrash¹⁰⁸, który pod postacią konia, muła albo wielkiego psa straszył na pustych, samotnych drogach, a niekiedy nachodził spóźnionych podróżnych.

Koń był już bardzo blisko, ale jeszcze dla mnie niewidoczny. Wtedy w dodatku do tupotu kopyt usłyszałam szurgnięcie pod płotem i tuż blisko pod krzakami leszczyny przesunął mi się wielki pies, dzięki czarno-białemu zabarwieniu widoczny wśród drzew. Była to dokładnie jedna z postaci Bessie — Gytrash, stworzenie do lwa podobne, długowłose i wielkogłowe. Minęło mnie jednak całkiem spokojnie, nie zatrzymując się, by spojrzeć mi w twarz dziwnymi, nadpsimi oczami, jak się tego prawie spodziewałam. Szedł za nim koń, rosły wierzchowiec, a na nim siedział jeździec. Mężczyzna, ludzka istota, od razu spłoszył czar. Nikt nigdy nie dosiadał grzbietu Gytrasha, był zawsze sam, a duszki, o ile wiedziałam, choć mogły przyoblekać nieme ciała zwierząt, nigdy nie szukały schronienia w pospolitym kształcie ludzkim. Nie był to więc żaden Gytrash, tylko podróżny, który wybrał tędy krótszą drogę z Millcote. Przejechał, a ja poszłam dalej. Parę kroków uszłam zaledwie, gdy musiałam się obejrzeć, usłyszawszy dźwięk poślizgnięcia się, okrzyk: „A cóż to u pioruna?” i odgłos upadku. Jeździec i konia ujrzałam teraz na ziemi. Zwie-

Spotkanie

¹⁰⁷blanki a. krenelaż — zębownate zwieńczenie szczytów murów i baszt; element architektoniczny w budowach średniowiecznych o charakterze obronnym, później, szczególnie w XIX w. (neogotyki) ozdobnym; zęby (merlony) przedzielone prześwitami (miedzami) ułatwiały obronę w razie oblężenia: pomiędzy zębami byli rozstawieni łucznicy. [przypis edytorski]

¹⁰⁸Gytrash — legendarny, czarny pies, który na drogach płn. Anglii czyhał rzekomo na podróżnych. [przypis edytorski]

rzę pośliznęło się na zlodowiałej powierzchni ścieżki i wraz z jeźdźcem upadło. Pies zawrócił w podskokach, a widząc pana swego w tym położeniu i słysząc stękanie konia, rozszczękał się tak, że aż wzgórza odpowiadały mu echem. Zrazu węszył dokoła leżących, a potem podbiegł do mnie — nie mógł nic innego zrobić, wyraźnie wzywał mnie na pomoc. Usłuchałam go i zbliżyłam się do podróżnego, który tymczasem usiłował wydstać się spod konia. Wysiłki jego tak były energiczne, że pomyślałam, iż wielkiej sobie krzywdy widocznie nie zrobił. Zapytałam go jednakże:

— Czy odniósł pan jakieś obrażenia?

Zdaje mi się, że kłął pod nosem, choć nie jestem tego pewna. W każdym razie co tam wymawiał, co mu przeszkodziło odpowiedzieć mi od razu.

— Czy mogłabym może w czymś pomóc? — zapytałam znowu.

— Niech pani stanie na boku — odpowiedział, podnosząc się najpierw na kolana, a potem na nogi.

Usunęłam się, po czym zaczęło się dźwiganie, tupanie, chrzęst, nawoływanie przy wtórze takiego szczekania, że istotnie odstałam o kilka kroków. Nie mogłam się jednak zupełnie dać odpędzić, chcąc się wpierw przekonać, jak się to skończy. Rezultat ostatecznie wypadł szczęśliwie. Koń stanął, a pies na komendę: „Leżeć, Pilot!” uciszył się nareszcie. Teraz podróżny, nachyliwszy się, zaczął obmacywać stopę i nogę, jak gdyby badał, czy są całe. Widocznie bolały przy dotknięciu, gdyż przytrzymał się przelazu, skąd ja właśnie wstałam, i wreszcie usiadł.

Pragnęłam stać się użyteczna, więc przybliżywszy się, powiedziałam:

— Jeżeli pana coś boli i potrzebuje pan pomocy, mogę panu sprowadzić kogoś z Thornfield Hall albo z Hay.

— Dziękuję, dam sobie radę. Nie mam złamanych kości, to tylko zwichnięcie. — Znowu wstał i próbował nogę, ale przy tym mimo woli wyrwało mu się: „Ach!”

Światło dzienne niezupełnie jeszcze znikło, a i księżyc świecił jasno — widziałam go teraz wyraźnie. Postać otulał płaszcz do konnej jazdy z futrzanym kołnierzem i stalową kłamrą. W ogólnych zarysach mogłam dojrzeć, że jest to mężczyzna średniego wzrostu i bardzo szeroki w piersiach. Miał ciemną twarz o surowych rysach i zasępionym czole. Oczy jego i ściągnięte brwi miały w tej chwili wyraz rozdrażniony i gniewny. Był nie pierwszej młodości, ale nie sięgał jeszcze średniego wieku, mógł liczyć ze trzydzieści pięć lat może. Nie bałam się go i nawet nie bardzo mnie onieśmiała. Gdyby był przystojnym, o powierzchowności rycerza młodzieńcem, nie byłabym się odważyła stać tak przed nim, wypytywać go wbrew jego woli i ofiarowywać mu się z usługami nieproszona. Nie wiem, czy kiedy w życiu widziałam przystojnego młodzieńca, a nigdy w życiu z żadnym nie rozmawiałam. Miałam teoretyczne uznanie i respekt dla piękności, elegancji, wdzięku. Gdybym jednak ujrzała te zalety, wcielone w postać męską, odczułabym instynktownie, że nie mogłyby one sympatyzować z niczym, co było we mnie, i unikałabym tak, jak się unika ognia, pioruna i wszystkiego, co świeci jasno, ale jest antypatyczne.

Gdyby nawet ten nieznajomy się uśmiechnął i okazał mi dobry humor, gdy się do niego zwróciłam... Gdyby ofiarowaną mu pomoc odrzucił był wesoło i z podziękowaniem, byłabym sobie poszła, nie odczuwając powołania do wznawiania pytań. Jednakże wobec tego marsa, tej szorstkości podróżnego czułam się swobodnie. Nie ruszyłam się z miejsca, gdy ręką dał mi znak, bym poszła, i oświadczyłam:

— Nie mogę pomyśleć o pozostawieniu tu pana o tak późnej godzinie, na tej pustej drodze, dopóki nie zobaczę, że pan może wsiąść na konia.

Spojrzał na mnie, gdy to powiedziałam. Dotychczas nie wiem, czy zwrócił oczy w moją stronę.

— Sądzę, że pani sama powinna być już w domu — rzekł — jeżeli ma pani dom tu gdzieś w pobliżu. Gdzie pani mieszka?

— Tam na dole. Ja się wcale nie boję być na polu, chociaż późno, skoro księżyc świeci. Chętnie pobiegłabym do Hay, gdyby pan sobie życzył, idę tam list wrzucić na pocztę.

— Mieszka pani tam na dole? Czy pani ma na myśli ten dom z blankami? — tu wskazał Thornfield Hall, na które księżyc rzucał mgławie światło, rysując dom — wyraźny i bładny na tle lasu.

— Tak, właśnie.

- Czyj to jest dom?
- Pana Rochester.
- Czy pani zna pana Rochester?
- Nie, nigdy go nie widziałam.
- A więc on tam nie mieszka?
- Nie.
- Czy może mi pani powiedzieć, gdzie on jest?
- Nie wiem.

— Pani nie jest służącą we dworze, rzecz jasna. Pani jest... — Przerwał i powiódł okiem po moim ubraniu, które, jak zwykle, było nader proste: czarne wełniane okrycie, czarny filcowy kapelusz — panna służąca strojniej byłaby ubrana! — Wyraźnie nie mógł odgadnąć, kim jestem. Dopomogłam mu.

— Jestem nauczycielką — oświadczyłam.

— Ach, nauczycielką! — powtórzył. — A niechże mnie licho, że też zapomniałem!... Nauczycielka! — I znowu przypatrzył się mojemu ubraniu. Po chwili wstał z przelazu twarz skurczyła mu się z bólu, gdy próbował się poruszyć.

— Nie mogę prosić pani, by mi sprowadziła pomoc — rzekł — ale może pomoże mi pani sama trochę, jeżeli pani łaskawa.

— Jak najchętniej, proszę pana.

— Czy nie ma pani przy sobie parasola, który by mi mógł posłużyć za laskę?

— Nie mam, niestety.

— Niech pani spróbuje pochwycić cugle mojego konia i przyprowadzić go ku mnie. Czy pani się nie boi?

Bałabym się dotknąć konia, gdybym była sama, ale gdy mi polecił, byłam gotowa posłuchać. Położyłam mufkę na przelazie i zbliżyłam się do wysokiego rumaka. Staralam się pochwycić uzdę, ale koń, stworzenie uparte, nie pozwalał mi zbliżyć się do swojej głowy. Próbowałam, próbowałam, lecz nadaremnie, a przez cały ten czas śmiertelnie się bałam jego drepających, przednich nóg. Podróżny czekał i patrzył czas jakiś, aż się w końcu roześmiał.

— Jak widzę — rzekł — góra nie da się sprowadzić do Mahometa, toteż jedyne, co pani może zrobić, to dopomóc Mahometowi, ażeby mógł iść do góry. Muszę panią prosić, żeby pani tu podeszła.

Podeszłam.

— Niech pani wybaczy — mówił dalej — konieczność zmusza mnie do wysługiwania się panią.

Położył ciężką rękę na moim ramieniu i opierając się na mnie dość mocno, kulejąc doszedł do wierzchowca. Raz pochwyciwszy cugle, opanował go od razu i wskoczył na siodło, wykrzywiając się przy tym strasznie, gdyż uraziło to jego zwichniętą nogę.

— A teraz — powiedział, puszczając mocno zębami przygryzioną wargę — niech mi pani jeszcze tylko poda moją szpicrutę. Leży ona tam, pod plotem.

Znalazłam ją i podałam.

— Dziękuję. A teraz niech się pani śpieszy z listem do Hay i wraca jak najprędzej.

Pod dotknięciem ostrogi koń drgnął, wspiął się i skoczył pędem, pies za nim. Zniknęli...

„Jak wrzосу gałązka, którą w pustym polu
Wiatr dziki wirem unosi...”¹⁰⁹

Podniosłam mufkę i poszłam dalej. Zdarzenie zaszło i minęło dla mnie. Był to wypadek bez żadnego znaczenia, bez romantycznego zakroju, bez niczego ciekawego poniekąd. A jednak wniósł coś nowego w tej jednej godzinie jednostajnego życia. Pomoc moja była potrzebna i zażądano jej ode mnie; tej pomocy udzieliłam. Byłam rada, że coś uczyniłam, choć pospolity i przemijający był ten czyn — był jednak działaniem, a mnie znużyło istnienie wyłącznie bierne. A także ta nowa twarz była czymś jak nowy obraz w galerii

¹⁰⁹Jak wrzосу gałązka, którą w pustym polu Wiatr dziki wirem unosi... — cytat z wiersza Thomasa Moore'a (1779–1852) *Fallen is Thy Throne*. [przypis edytorski]

pamięci. I niepodobna była do wszystkich tam wiszących. Przede wszystkim, ponieważ była to twarz męska, a także, gdyż była ciemna, silna i surowa. Miałam ją wciąż przed oczyma, dochodząc do Hay i wrzucając list na pocztę. Widziałam ją przez cały czas, idąc szybko z góry na dół ku domowi. Doszedłszy do przełazu, zatrzymałam się na chwilę, rozejrzałam się dokoła i słuchałam, myśląc, co by to było, gdyby tętent kopyt końskich rozległ się znów na ścieżce i jeździec w płaszczu, z psem nowofundlandzkim¹¹⁰ podobnym do Gytrasha, stanął mi ponownie przed oczyma. Ujrzałam jednakże tylko płot i wierzbę o obciętych gałęziach, nieruchomo i prosto sterczącą w promieniach księżyca. Doleciał mnie leciuchny szmer wiatru, błędzącego chwilami wśród drzew dokoła Thornfield. Rzucając okiem w kierunku tego szmeru, dostrzegłam światło w jednym oknie — to mi przypomniało, że już późno, więc przyspieszyłam kroku.

Niechętnie wróciłam do Thornfield. Przejść jego próg znaczyło dla mnie wracać do zastoju, przebyć milczący hall, wejść po ciemnych schodach do samotnego pokoiku, a potem spotkać się ze spokojną panią Fairfax i spędzić z nią długi wieczór zimowy, z nią jedną tylko. Znaczyło to dla mnie zgasić zupełnie to lekkie podniecenie, które wzbudził we mnie spacer, istotę moją skrępować z powrotem niewidzialnymi więzami jednostajnego i nazbyt spokojnego istnienia — istnienia, którego nawet dobre strony bezpieczeństwa i dostatku przestawałam doceniać. Jakże bym dobrze się wtedy czuła, gdybym była rzucona w odmęt niepewności i wir walki o życie, by wśród ciężkich i bolesnych przeżyć nauczyć się pragnąć tego spokoju, wśród którego teraz tęskniłam! Tak jest, tyle dobrego, ile by zrobił długi spacer człowiekowi, znużonemu nieruchomym siedzeniem w nazbyt wygodnym fotelu — i tak jak on zapragnąłby ruchu w swoich warunkach, tak ja go zapragnęłam w moich.

Zatrzymałam się przy bramie, zatrzymałam się na trawniku, tam i z powrotem chodziłam po brukowanej ścieżce. Okiennice szklanych drzwi były zamknięte, nie mogłam zajrzeć do wnętrza. I oczy moje, i duszę moją odciągało coś od tej posępnej budowli — od tej szarej pustki, pełnej ciemnych celek, bo taką mi się teraz wydała — i ciągnęło do tego nieba, roztoczonego nade mną, niebieskiego oceanu bez plamy jednej chmurki. Księżyc sunął po nim uroczyście, tarcza jego, wypłynąwszy zza wzgórz, zdawała się spoglądać coraz dalej i dalej i zmierzać ku zenitowi, czarnemu prawie w swojej otchłannej głębi, w niezmierzonej swej dali. Za jego biegiem szły migotliwe gwiazdy, na które patrząc, czułam drżenie serca, żar we krwi moich żył... Drobnostki przywołują nas na ziemię — w hallu wybił zegar, to wystarczyło. Odwróciłam się od gwiazd i księżyca, otworzyłam boczne drzwi i weszłam.

Hall nie był ciemny ani też oświetlony jedynie wysoko zawieszoną, brązową lampą. Inny, ciepły blask zalewał korytarz oraz dolne stopnie dębowych schodów. To rumiane światło płynęło z wielkiego, jadalnego pokoju, którego podwoje były otwarte, ukazując wesoły ogień, oświetlający miło marmurowy kominek, purpurowe draperie i politurowane meble. Grono osób siedziało przed kominkiem. Zaledwie pochwyciłam okiem ten widok, zaledwie dosłyszałam wesołe, zmieszane głosy, wśród których odróżniłam głos Adeli, gdy drzwi się zamknęły.

Pośpieszyłam do pokoju pani Fairfax. I tam palił się ogień, ale nie było ani świecy, ani pani Fairfax. Zamiast tego ujrzałam tam samego, siedzącego prosto na dywaniku i wpatrzonego poważnie w płomień, wielkiego, czarnobiałego psa o długim włosie, podobnego do Gytrasha z polnej drogi. Tak był do niego podobny, że przystąpiłam bliżej i zawołałam: „Pilot!”. Pies wstał, podszedł i obwąchał mnie. Poglaskałam go, a on poruszył wielkim ogonem. Niesamowitym jednak wydał mi się stworzeniem tak w samotności — zwłaszcza że nie wiedziałam, skąd się tu wziął. Zadzwoiłam, gdyż potrzebowałam świecy, chciałam się też dowiedzieć czegoś o tym gościu. Weszła Leah.

— Co to za pies, Leah?

— Przyszedł z panem.

— Z kim?

— Z naszym panem. Z panem Rochesterem. Pan właśnie przyjechał.

— Rzeczywiście? A pani Fairfax jest z panem?

¹¹⁰pies nowofundlandzki a. *nowofundland* — rasa psów z grupy molosów. [przypis edytorski]

— Tak i panna Adela także. Są w jadalnym pokoju, a John pojechał po doktora, bo pan miał wypadek. Koń jego upadł i pan ma nogę zwichniętą w kostce.

— Czy koń upadł na drodze do Hay?

— Tak, zjeżdżając z góry, poślizgnął się na zamrożonej kałuży.

— Ach tak! Przynies mi świecę, proszę cię, Leah!

Leah przyniosła mi świecę. Weszła z nią i pani Fairfax, która mi powtórzyła nowiny, dodając, że doktor Carter przyjechał i jest teraz u pana Rochester. Następnie szybko wyszła, by zakrzętnąć się koło herbaty, a ja poszłam na górę złożyć rzeczy.

ROZDZIAŁ XIII

Pan Rochester tego wieczora z polecenia lekarza wcześniej się położył. Nazajutrz też nie wstał wcześniej. Po zejściu na dół musiał się zająć interesami. Administrator jego i niektórzy dzierżawcy przybyli i czekali na rozmowę z nim.

Adela i ja musiałyśmy teraz opróżnić bibliotekę, miała być codziennie potrzebna jako pokój przyjęć. Zapalono ogień w jednym pokoju na górze, a ja zaniósłam tam nasze książki i urządziłam w nim przyszłą szkołę. Zauważyłam przed południem, że Thornfield Hall było jakby odmienione. Już nie było tak cicho jak w kościele, co godzina lub dwie rozlegało się pukanie do drzwi, rozbrzmiewał odgłos dzwonka. Kroki także często słychać było z hallu, nowe głosy o różnym tonie rozmawiały na dole. Prąd zewnętrznego świata przepływał przez dom. Dom miał swojego pana i ja wołałam tę zmianę od monotonii ciszy.

Z Adelą tego dnia niełatwo poszło. Nie mogła skupić uwagi, wciąż biegła do drzwi i wychylała się przez poręcz schodów, próbując dojrzeć pana Rochester. To znowu wymyślała jakieś pozory, by zejść na dół, jak podejrzewałam, by zaglądnąć do biblioteki, gdzie wiedziałam, że nie jest bynajmniej potrzebna. Gdy zaś rozgniewałam się trochę i kazałam jej siedzieć cicho, nie przestawała wciąż opowiadać o swoim „*ami, monsieur*”¹¹¹ Edouard Fairfax de Rochester” i snuć przypuszczeń, jakie przywiózł dla niej podarki. Okazało się bowiem, że poprzedniego dnia powiedział jej, iż gdy przybędą rzeczy jego z Millcote, znajdzie się tam wśród nich pewna skrzynka, która ją powinna zainteresować.

— A to ma znaczyć — rzekła — że będzie tam wewnątrz prezent dla mnie, a może i dla pani, *mademoiselle*. *Monsieur* mówił o pani, zapytał mnie, jak się nazywa moja nauczycielka i czy to nie jest mała osóbką, dosyć szczupłą i trochę błada. Powiedziałam, że tak jest, gdyż to prawda, czyż nie, *mademoiselle*?

Z uczenniczką jadłam obiad, jak zwykle, w pokoju pani Fairfax. Popołudnie było wietrzne i śnieżne, spędziłyśmy je w szkolnym pokoju. O zmroku pozwoliłam Adeli odłożyć książki i robótkę i zbiec na dół. Bowiem po względnej ciszy, gdy już dzwonek drzwi wejściowych przestał się odzywać, wносиłam, że pan Rochester musiał zakończyć zajęcia. Pozostawszy sama, zbliżyłam się do okna, nic jednakże stamtąd nie mogłam zobaczyć. Zmrok i płatki lecącego śniegu przesłaniały wszystko, nawet krzaki na trawniku. Spuściłam storę i wróciłam do kominka.

Z żarzących się węgli zaczęłam układać szkic, trochę podobny do obrazu, przedstawiającego, jak pamiętałam, zamek Heideberski¹¹² nad Renem¹¹³, gdy weszła pani Fairfax i wejściem swoim zburzyła ognistą mozaikę, rozpraszając równocześnie ciężkie, niemiłe myśli, które zaczynały nachodzić moją samotność.

— Pan Rochester byłby rad, gdyby pani ze swoją uczenniczką zechciała wypić z nim herbatę dziś wieczorem w salonie — rzekła. — Tak bardzo był zajęty przez cały dzień, że nie mógł pierwiej postarać się o zapoznanie się z panią.

— O jakiej porze pan Rochester pija herbatę? — spytałam.

— O szóstej. Pan Rochester na wsi pilnuje się wczesnych godzin. Ale pani powinna by się przebrać. Pójdę z panią i pomogę zapiąć suknię. Tu jest świeca.

— Czy koniecznie powinnam się przebrać?

— Tak, to się należy. Ja się zawsze przebieram na wieczór, gdy pan Rochester tu bawi.

¹¹¹*ami, monsieur* (fr.) — przyjaciel, pan. [przypis edytorski]

¹¹²*zamek Heideberski* — zamek w Heidelbergu, niemieckim mieście w kraju związkowym Badenia-Wirtembergia. [przypis edytorski]

¹¹³*Ren* — jedna z najdłuższych rzek w Europie, tworząca granicę między Francją a Niemcami. [przypis edytorski]

Ta dodatkowa ceremonia wydała mi się trochę przesadna. Poszłam jednakże do pokoju i z pomocą pani Fairfax zmieniłam czarną, wełnianą suknię na czarną, jedwabną. Była to jedyna lepsza, jaką posiadałam, z wyjątkiem jedwabnej, jasnopopielatej — tę jednak wedle moich pojęć, wyniesionych z Lowood, uważałam za nazbyt piękną, by ją można nosić kiedy indziej niż przy pierwszorzędnym okazjach.

— Przydałaby się broszka — zauważyła pani Fairfax.

Przypięłam broszkę z perełką, którą mi panna Temple przy pożegnaniu ofiarowała na pamiątkę, po czym zeszyliśmy na dół. Nieprzyzwyczajonej do stykania się z obcymi, było mi trochę przykro stawić się na takie oficjalne zaproszenie przed panem Rochesterem. Puściłam panią Fairfax przodem, gdyżśmy wchodziły do jadalni, i trzymałam się w jej cieniu, gdy przechodziłyśmy przez pokój i przez arkadę, której kotara była teraz spuszczone — wstępowałyśmy do eleganckiego salonu umieszczonego za nią.

Dwie zapalone świece woskowe stały na stole i dwie nad kominkiem. Pławiąc się w świetle i w gorącu wspaniałego ognia, leżał Pilot, Adela klęczała tuż przy nim. Ujrzałam pana Rochester na wpół leżącego na kanapce, z nogą podpartą poduszką. Pełne światło ognia padało mu na twarz. Poznałam podróżnego o szerokich, kruczonych brwiach, jego kwadratowe czoło wydawało się jeszcze bardziej kwadratowe przy gładkim uczesaniu czarnych włosów. Poznałam jego wydatny nos, raczej charakterystyczny niż piękny, pełne nozdrza, świadczące o gwałtownym usposobieniu, surowe usta, brodę, szczękę — tak, to wszystko było bezwzględnie strasznie surowe i groźne. Postawa jego teraz, gdy nie miał na sobie płaszcza, wydała mi się zupełnie odpowiednia do charakteru twarzy: barczysta i krępa. Budowa jego była doskonała w atletycznym rozumieniu tego słowa — szeroka w piersiach, wąska w biodrach, jednakże nie był ani wysoki, ani zgrabny.

Pan Rochester musiał dostrzec wejście pani Fairfax i moje. Widocznie nie miał ochoty nas zauważyć, gdyż nie podniósł głowy, choć się zbliżyłyśmy.

— Oto panna Eyre, panie — rzekła pani Fairfax spokojnie, jak to ona zawsze. Ukłonił się, nie odrywając jeszcze oczu od grupy złożonej z psa i dziecka.

— Proszę, niech panna Eyre usiądzie — rzekł.

Było coś w przymuszonym, sztywnym ukłonie, w niecierpliwym, choć ceremonialnym tonie, co zdawało się wyrażać: „A cóż mi, u licha, do tego, czy panna Eyre tu jest czy jej nie ma? W tej chwili nie mam ochoty mówić do niej”. Siadłam swobodnie, rozwiązało się moje zakłopotanie. Przyjęcie, nacechowane skończoną uprzejmością, byłoby mnie prawdopodobnie zmieszało. Nie umiałabym się odwzajemnić, odpowiedzieć z gracją i elegancją. Ale szorstki kaprys nie zobowiązywał mnie do niczego, przeciwnie, przyzwoity spokój wobec wybryku złego humoru dawał mi pewną wyższość. A przy tym dziwaczność tego zachowania miała w sobie coś drażniącego. Czekałam z zainteresowaniem, co on dalej zrobi.

Trwał nadal jak posąg, to jest ani nie mówił, ani się nie poruszył. Pani Fairfax widocznie uważała, że trzeba, ażeby ktoś był miły, i zaczęła gadać. Pocziwie, jak zwykle, i jak zwykle raczej zdawkowo. Ubolewała nad nawałem interesów, które gnębiły go cały dzień, nad trudnością, jaką mu to musiało sprawiać wobec tego bolesnego zwichnięcia, a potem zaczęła wychwalać jego cierpliwość i wytrzymałość, że przetrwał to wszystko.

— Pani, ja bym się chętnie napił herbaty — to była jedyna odpowiedź, jaką otrzymała.

Zadzwoiła czym prędzej, a gdy przyniesiono tacę, zaczęła pilnie i pośpiesznie szkować filiżanki oraz łyżeczki. Adela i ja podeszłyśmy do stołu, ale pan domu nie opuścił swojej kuszetki.

— Czy będzie pani łaskawa podać filiżankę panu Rochesterowi? — zwróciła się do mnie pani Fairfax — Adela mogłaby wylać herbatę.

Spełniłam jej życzenie. W chwili, gdy pan Rochester brał z mej ręki filiżankę, Adela, uważając widocznie moment ten za odpowiedni do wstawienia się za mną, zawołała:

— Nieprawdaz, *monsieur*, że jest tam mały prezent dla *mademoiselle* Eyre, w pana kufereczku?

— Któż mówi o prezentach? — odpowiedział mruklawie. — Czy pani spodziewała się prezentu, panno Eyre? Czy pani przepada za prezentami? — I badawczo spojrzął mi w twarz oczami, które, jak zobaczyłam, były ciemne, gniewne i przenikliwe.

— Sama nie wiem — odpowiedziałam — brak mi w tym względzie doświadczenia. Na ogół ludzie uważają je za coś przyjemnego.

Dar, Nauczycielka, Uczeń

— Na ogół uważają? Ale co pani o tym sądzi?

— Musiałabym się zastanowić, panie, zanim bym mogła dać odpowiedź godną przyjęcia. Na podarunek można się zapatrywać rozmaicie, nieprawdaż? A należałoby rozważyć wszystkie względy, zanim by się coś orzekło o jego istocie.

— Panno Eyre, pani nie jest tak prostoduszna jak Adela. Ona głośno woła o „*cadeau*”¹¹⁴, jak tylko mnie zobaczy, pani kołuje i kluczy.

— Ponieważ mniej mam zaufania do własnych zasług niż Adela. Ona może się powoływać na prawo dawnej znajomości, a także na prawo zwyczajowe. Mówi, że pan miał zawsze zwyczaj obdarzać ją zabawkami, ja zaś, gdybym się miała na coś powoływać, doprawdy byłabym w kłopotcie, ponieważ jestem panu obca i nie uczyniłam nic takiego, co by mi dawało prawo do otrzymania podziękowania.

— O, niechże pani nie uderza w ton zbytycznej skromności! Przeegzaminowałem Adelę i widzę, że pani bardzo starannie nią się zajęła. Nie jest ona bardzo zdolna ani utalentowana, a jednak w krótkim czasie zrobiła duże postępy.

— Panie, teraz mi pan ofiarował „podarek”! Jestem panu wdzięczna, dziękuję, to dla nauczyciela najbardziej upragniona nagroda: pochwała postępów ucznia.

— Hm! — mruknął pan Rochester i pił dalej herbatę w milczeniu. — Przybliźcie się tu, do kominka — powiedział, gdy zabrano tacę i gdy pani Fairfax zasiadła do swojej roboty, a Adela oprowadzała mnie za rękę po pokoju, pokazując mi piękne książki i ozdobne drobiazgi na konsolach¹¹⁵ i szyfionierkach¹¹⁶.

Posłuchałyśmy oczywiście, Adela była gotowa usiąść mi się na kolanach, ale on kazał jej bawić się z Pilotem.

— Pani przebywa w moim domu od trzech miesięcy?

— Tak, panie.

— A przybyła pani...?

— Ze szkoły w Lowood, w hrabstwie X.

— Ach! Zakład dobroczynny. Jak długo tam pani była?

— Osiem lat.

— Osiem lat! Musi pani znać twarde życie. Ja myślałem, że dosyć połowy tego czasu, by zniszczyć najsilniejszy organizm! Nic dziwnego, że pani wygląda po trosze jak nie z tego świata. Zadawałem sobie pytanie, skąd pani wzięła taką twarz. Gdy mi się pani ukazała wczoraj wieczór na Hay Lane, przyszły mi nagle na myśl bajki o wrózkach i o krasnoludkach i prawie miałem ochotę zapytać, czy to pani urzekła mi konia. Jeszcze teraz nie jestem pewien, jak to z tym było. Kim są pani rodzice?

— Nie mam rodziców.

— I zapewne nigdy ich pani nie miała. Czy pani ich pamięta?

— Nie.

— Tak też przypuszczałem. A więc czekała pani na swoich pobratymców, siedząc tam na przelazie?

— Na kogo, panie?

— Na tych ludków zielono ubranych. Był to przecież odpowiedni dla nich wieczór księżycowy. Czy ja może przerwałem któryś z waszych tanecznych kręgów, że pani rozpostarła ten przekłety łód na mojej ścieżce?

Potrząsnęłam głową.

— Wszystkie krasnoludki opuściły Anglię już sto lat temu — rzekłam, mówiąc równie poważnie jak on. — I nawet na drodze ku Hay, nawet na sąsiednich polach nie znalazłby pan śladu po nich. Sądzę, że już żaden księżyc, ani letni, ani jesienny, ani zimowy, nie oświeci więcej ich harców i tanów.

Pani Fairfax opuszczała robótkę na kolana i podniosła brwi, dziwiąc się, co to za rozmowa.

— Ale proszę — podjął znowu pan Rochester — chociaż pani zapiera się rodziców, musi pani mieć przecież jakichś krewnych: wujów, stryjów, ciotki?

— Nie, nie znam żadnych.

— A rodzinny dom pani?

¹¹⁴*cadeau* (fr.) — prezent, podarek. [przypis edytorski]

¹¹⁵*konsola* (daw.) — tu: ozdobny stolik pod lustro. [przypis edytorski]

¹¹⁶*szyfionierka* (daw.) — tekturowe pudełeczko albo woreczek na robótki ręczne. [przypis edytorski]

— Nie mam domu.

— Gdzie bracia pani i siostry mieszkają?

— Nie mam ani braci, ani siostr.

— Kto panią tutaj polecił?

— Dałam ogłoszenie w gazecie, a pani Fairfax odpowiedziała na nie.

— Tak — wmieszała się dobra pani Fairfax, rozumiejąc teraz, na jakim gruncie stanęliśmy — i nie ma dnia, ażeby nie dziękowała Opatrzności, że tak pokierowała moim wyborem. Panna Eyre była dla mnie nieocenioną towarzyszką i pełną dobroci i staranności nauczycielką dla Adeli.

— Niech się pani nie trudzi wystawieniem jej świadectwa — odpowiedział pan Rochester — pochwały mnie nie skaptują¹¹⁷, na własnym sądzie polegam. Ta osoba zaczęła od tego, że konia mego doprowadziła do upadku.

— Jak to, panie? — rzekła pani Fairfax.

— Jej zawdzięczam to zwichnięcie.

Wdowa, nie rozumiejąc, słuchała zdumiona.

— Panno Eyre, czy mieszkała pani kiedyś w mieście?

— Nie, panie.

— Dużo pani bywała w towarzystwie?

— Jedynym moim towarzystwem były uczennice i nauczycielki w Lowood, a teraz mieszkańcy Thornfield.

— Czy dużo pani czytała?

— Tylko te książki, które przypadkiem wpadły mi w ręce, nieliczne i nie bardzo uczone.

— Prowadziła pani życie zakonnicy. Niewątpliwie musi pani być należycie wyćwiczona w praktykach religijnych. Brocklehurst, który, jak rozumiem, jest dyrektorem Lowood, to duchowny, nieprawdaż?

— Tak, panie.

— A wy, dziewczęta, prawdopodobnie uwielbiałyście go, tak jak klasztor pełen konnyc uwielbia swego kierownika?

— O, nie!

— Bardzo jest pani chłodna! Nie! Jak to?! Nowicjuszka miałaby nie uwielbiać swego pasterza! To brzmi jak bluźnierstwo.

— Bardzo nie lubiłam pana Brocklehursta. I nie ja jedna tak czułam. To szorstki i ostry człowiek, zarazem pompatyczny i wtrącający się we wszystko. Kazał nam włosy obciąć i przez oszczędność kupował nam złe igły i nici, tak że prawie nie mogłyśmy nimi szyć.

— To była źle rozumiana oszczędność — zauważyła pani Fairfax, która teraz znowu chwyciła nić naszej rozmowy.

— Głodził nas wtedy, gdy miał sam w ręku zarząd działem aprowizacyjnym, zanim wyznaczono komitet. I zanudzał nas długimi kazaniami raz na tydzień oraz codziennym, wieczornym czytaniem z książek jego pióra, traktujących o nagłych śmierciach, o sądach, o piekle... A to nam potem ze strachu spać nie pozwalało.

— Ile pani lat liczyła, dostawszy się do Lowood?

— Około dziesięciu.

— I przebywała tam pani osiem lat, więc teraz ma pani osiemnaście?

Potwierdziłam.

— Arytmetyka, jak pani widzi, przydaje się na coś. Bez jej pomocy nie mógłbym chyba pani wieku odgadnąć. Trudne to zadanie, gdy rysy i wyraz takie są zmienne jak u pani. A teraz, czego pani się nauczyła w Lowood? Czy umie pani grać?

— Trochę.

— Naturalnie, to zwykła odpowiedź. Niech pani pójdzie do biblioteki... Chciałem powiedzieć: niech pani będzie łaskawa (proszę mi darować mój ton rozkazujący, przywykłem do tego i nie mogę zmienić swych zwyczajów dla jednej nowej mieszkanki)... A zatem, niech pani pójdzie do biblioteki, weźmie ze sobą świecę, zostawi drzwi otwarte, siądzie do fortepianu i zagra coś.

¹¹⁷skaptować (daw.) — pozyskać. [przypis edytorski]

Poszłam, wedle tego, jak rozkazał.

— Dosyć! — zawołał po kilku minutach. — Gra pani *trochę*, to prawda, jak każda inna angielska pensjonarka. Może nawet lepiej niż niektóre, ale nie dobrze.

Zamknęłam fortepian i powróciłam. Pan Rochester mówił dalej:

— Adela pokazała mi dziś rano kilka szkiców, które, jak twierdziła, są pani dziełem. Nie wiem, czy je pani samodzielnie wykonała, prawdopodobnie nauczyciel pomagał pani?

— Ależ nie, naprawdę! — zawołałam.

— A! Urażona duma. No dobrze, niechże mi pani przyniesie swoją tekę, jeżeli mi pani zareczy, że jej zawartość jest dziełem pani. Tylko niech pani nie daje słowa, jeśli pani nie jest pewna. Ja umiem poznać się na poprawkach.

— Kiedy tak, to ja nic nie powiem, a pan niechaj sam osądzi.

Przyniosłam tekę z biblioteki.

— Proszę przysunąć stół — rzekł.

Przysunęłam stół do kanapki. Adela i pani Fairfax przysiadły się blisko, żeby także oglądać obrazki.

— Tylko się nie tłóczcie — rzekł pan Rochester. — Odbierajcie mi z ręki rysunki, gdy ja z nimi skończę, ale nie przysuwajcie waszych twarzy do mojej.

Powoli rozpatrywał każdy szkic i każdy malunek. Trzy odłożył osobno, resztę po obejrzeniu odsunął.

— Pani Fairfax to zabierze na tamten stół, niech pani to obejrzy z Adelą. A pani — (tu spojrział na mnie) — niech siada, gdzie siedziała, i odpowiada na moje pytania. Widzę, że wykonała to jedna ręka: czy to pani ręka?

— Moja.

— A kiedy pani znalazła czas na wykonanie tych rzeczy? To musiało zająć sporo czasu i nie mało myśli.

— Zrobiłam to podczas ubiegłych wakacji w Lowood, gdy nie miałam innego zajęcia.

— Skąd pani zaczerpnęła tematy?

— Z własnej głowy.

— Z tej głowy, którą widzę teraz na pani ramionach?

— Z tej samej.

— Czy ma ona w sobie jeszcze inne zapasy tego samego rodzaju?

— Myślę, że ma. Spodziewam się, że może lepsze.

Rozpostarł obrazki przed sobą i znowu oglądał je po kolei.

Były to trzy akwarele. Pierwsza przedstawiała nisko płynące chmury, sine, toczące się nad wzburzonym morzem. Jeden promień światła uwypuklał na wpół zatopiony maszt, na którym siedział kormoran — wielki, czarny, o skrzydłach zbryzganych pianą. W dziobie trzymał złotą bransoletę, wysadzaną szlachetnymi kamieniami. Poniżej ptaka i masztu nurzało się w wodzie ciało topielicy.

Drugi obrazek przedstawiał na pierwszym planie tylko ciemny szczyt wzgórza z trawą i kilkoma liśćmi, jakby poruszonymi wietrzykiem. Poza i ponad nim rozpościerała się przestrzeń nieba, ciemnognatowego jak o zmroku. Na niebo wypływało popiersie postaci kobiecej, namalowane w barwach tak ciemnych i delikatnych, jak tylko dobrać mogłam. Ciemne czoło wieńczyła gwiazda, rysy poniżej widoczne były jak przez warstwę mgły, oczy świeciły, ciemne i tęskne, cieniste włosy spływały jak chmura bez promieni, szarpana burza. Na szyi leżał słaby odblask jak gdyby światła księżycowego, ten sam odblask dotykał smugi cienkich chmurek, spomiędzy których wychylała się ta wizja Gwiazdy Wieczornej¹¹⁸.

Trzeci obrazek ukazywał wierzchołek góry lodowej na tle polarne go, zimowego nieba. Zorza słała swoje krwawe światła na dalekim widnokręgu. Na przednim planie olbrzymia głowa chyliła się ku górze lodowej i opierała się o nią. Dwie chude ręce, złączone poniżej czoła i dźwigające je, zasłaniały dolną część twarzy czarną zasłoną. Czoło zupełnie bezkrwiste, białe jak kość, a oko puste, martwe, pozbawione wyrazu oprócz szklanej rozpaczy — to jedno tylko było widoczne. Nad skroniami, wśród zwojów czarnej materii turbanu, świecił krąg białych płomieni, z plamami iskier żywszej barwy.

— Czy pani czuła się szczęśliwa, malując te obrazki? — zapytał nagle pan Rochester.

¹¹⁸ *Gwiazda Wieczorna* — planeta Wenus, widoczna po zachodzie nad horyzontem. [przypis edytorski]

— Pochłaniała mnie robota. Tak, byłam szczęśliwa. Malowanie było jedną z moich największych przyjemności.

— To jeszcze niewiele mówi. Mało pani znała przyjemności, sądząc po tym, co pani sama opowiadała. Ale wyobrażam sobie, że pani przebywała w jakiejś artystycznej krainie marzeń, mieszając i dobierając te dziwne kolory. Długo pani siadywała nad tym codziennie?

— Nie miałam innych zajęć, ponieważ były wakacje, więc też siedziałam nad tym od rana do wieczora. Długość dni letnich sprzyjała mojej chęci do roboty.

— I czuła się pani zadowolona z wyników swojej gorączkowej pracy?

— O, bynajmniej! Dręczył mnie kontrast pomiędzy pomysłem a wykonaniem. W każdym wypadku wyobraziłam sobie coś, czego nie potrafiłam osiągnąć.

— Niezupełnie. Pochwyliła pani cień swojej myśli, być może, że nie więcej. Nie miała pani dosyć artystycznej umiejętności i wiedzy, żeby nadać jej pełne życie, ale rysunki są, jak na pensjonarkę, szczególnie. Pomysły pochodzą z krainy bajek. Te oczy Gwiazdy Wieczornej musiała pani widzieć we śnie. Jak mogła im pani nadać to jasne spojrzenie, chociaż one same nie są wcale jasne, gdyż księżyc powyżej gasi ich promienie? A jakie ma znaczenie ta ich uroczysta głębia? Kto panią nauczył malować wiatr? Jest silny wiatr tam na niebie i na tym szczycie wzgórek. Gdzie pani widziała Latmos¹¹⁹? Bo to jest Latmos. No! Niech pani zabiera te rysunki!

Zaledwie zdążyłam zawiązać tasiemki teki, gdy spojrzawszy na zegarek, zawołał nagle:

— Dziewiąta godzina! Co pani robi, panno Eyre, żeby Adelę tak długo przetrzymywać? Niech ją pani zaprowadzi spać.

Adela poszła pocałować go, zanim wyszliśmy z pokoju. Zniósł ten kares¹²⁰, ale widocznie nie zrobiło mu to większej przyjemności, niż zrobiłoby Pilotowi, a może nawet mniejszą.

— A teraz wszystkim wam mówię „dobranoc” — rzekł, ruchem ręki wskazując drzwi, jak gdyby na znak, że ma dosyć naszego towarzystwa i pragnie nas odprawić.

Pani Fairfax złożyła swoją robotkę, ja wzięłam tekę, ukloniliśmy się, otrzymaliśmy w zamian zimny ukłon i wyszliśmy.

— Pani powiedziała, że pan Rochester nie jest dziwaczny, pani Fairfax — zauważyłam, gdy położywszy spać Adelę, przyszedł do niej do jej pokoju.

— Czy pani uważa, że jest?

— Tak mi się wydaje, jest bardzo nierówny i gwałtowny.

— Prawda, niewątpliwie musi się takim wydawać komuś obcemu, jednak ja tak się przyzwyczaiłam do jego manieri, że nigdy o tym nie myślę. Ale też, jeżeli ma jakieś dziwactwo w swym usposobieniu, trzeba mu to wybaczyć.

— Dlaczego?

— Po części, ponieważ to leży w jego naturze, a nikt z nas za swoją naturę nie odpowiada, a po części też dlatego, że ma niewątpliwie przykre myśli, które go dręczą i wpływają na nierówność jego humoru.

— Przykre myśli dotyczące czego?

— Zmartwień rodzinnych przede wszystkim.

— Ależ on nie ma rodziny.

— Teraz nie, ale miał... A przynajmniej krewnych. Stracił starszego brata kilka lat temu.

— Starszego brata?

— Tak. Obecny pan Rochester od niezbyt dawna jest właścicielem tej majątności, dopiero od dziewięciu lat mniej więcej.

— Dziewięć lat to czas dosyć długi. Czy tak bardzo kochał tego brata, że dotychczas po jego stracie jest niepocieszony?

— No nie, może nie. Zdaje mi się, że były jakieś nieporozumienia między nimi. Pan Rowland Rochester był niezupełnie sprawiedliwy względem pana Edwarda i może źle nastawił ojca wobec niego. Stary pan bardzo kochał pieniądze i dbał o to, by dobra rodzinne pozostały w jednym ręku. Nie chciał dzielić majątku, a jednak chodziło mu

¹¹⁹Latmos — w mitologii greckiej góra zapomnienia. [przypis edytorski]

¹²⁰kares (daw.) — czule słowo, pieszczotliwy gest. [przypis edytorski]

o to, aby i pan Edward był bogaty, dla podtrzymania znaczenia nazwiska. Toteż wkrótce po jego dojściu do pełnoletności poczyniono jakieś kroki, coś, co było nie bardzo ładne i co spowodowało wiele złego. Stary pan Rochester i pan Rowland wprowadzili pana Edwarda w jakieś bardzo przykre położenie, byle go uczynić bogatym. Na czym to przykre położenie polegało, tego ja się nigdy dokładnie nie dowiedziałam, ale on nie mógł znieść tego, co miał do ścierpienia. Niechętnie przebacza. Zerwał ze swoją rodziną i przez szereg lat prowadził bardzo niespokojne życie. Nie wiem, czy kiedy dłużej niż dwa tygodnie z rządu przemieszczał w Thornfield od czasu, gdy śmierć brata bez testamentu uczyniła go panem tej majątności. I w istocie, nic dziwnego, że unika starego domu.

— Dlaczego miałby go unikać?

— Może mu się wydaje ponury.

Odpowiedź była wymijająca. Byłabym wolała usłyszeć coś wyraźniejszego, ale pani Fairfax albo nie mogła, albo nie chciała dać mi szczegółowych objaśnień co do powodu i natury przejść pana Rochester. Twierdziła, że dla niej samej są one tajemnicą i że to, co wie, czerpie przeważnie z domysłów. Zrozumiałam, że pragnie zmienić temat, co też uczyniłam.

ROZDZIAŁ XIV

Przez kilka następnych dni niewiele widywałam pana Rochester. Rano był bardzo zajęty interesami, a po południu przyjeżdżali panowie z Millcote i sąsiedztwa i niekiedy zostawali na obiedzie. Gdy zwichnięta noga na tyle wydobrzała, że mógł dosiadać konia, zaczął dość dużo wyjeżdżać — prawdopodobnie oddawał wizyty, gdyż zazwyczaj wracał późną nocą.

W owym czasie nawet po Adelę rzadko posyłał, a cała moja z nim znajomość ograniczała się do przypadkowych spotkań w hallu, na schodach lub w galerii. Wtedy albo mnie mijał dumnie i chłodno, skinąwszy z daleka głową i musnąwszy mnie zimnym spojrzeniem, albo też niekiedy kłaniał się i uśmiechał dworsko i uprzejmie. Ta zmienność jego usposobienia nie obrażała mnie, ponieważ rozumiałam, że moja osoba nie gra w tym żadnej roli, że te zmiany nastroju wypływają z przyczyn zupełnie ze mną niezwiązanych.

Pewnego dnia, gdy miał gości na obiedzie, przysłał po moją tekę — niewątpliwie chciał zaprezentować jej zawartość. Panowie, jak mnie pani Fairfax objaśniła, odjechali wcześniej, zdążając na jakieś publiczne zebranie w Millcote. Ponieważ jednak wieczór był chłodny i wilgotny, pan Rochester nie pojechał z nimi. Wkrótce po ich wyjeździe zadzwonił. Poproszono Adelę i mnie na dół. Wyszczotkowałam włosy Adeli, uporządkowałam na niej ubranie, przekonałam się, że w moim zwykłym, prostym i skromnym kwakerskim stroju nie ma nic do poprawienia, nie wykluczając zaplecionych w warkocze włosów, i zeszyliśmy na dół. Adela była zaciekawiona, czy *le petit coffre*¹²¹ przybył nareszcie, gdyż skutkiem jakiejś pomyłki dotychczas pozostawał w drodze. Nadzieje jej zostały spełnione: gdy weszliśmy do jadalnego pokoju, stało tam na stole kartonowe pudełko. Adela rozpoznała je instynktownie.

— *Ma boîte! Ma boîte!*¹²² — zawołała, pędem zmierzając w stronę pudełka.

— Tak, oto jest twoja *boîte* nareszcie; zabierz ją do kącika, ty rodowita córko Paryża, i zabaw się wydobywaniem z niej wnętrzości — przemówił niski i raczej sarkastyczny głos pana Rochester, płynący z głębi olbrzymiego fotela przy kominku. — I pamiętaj — dodał — żebyś mnie nie nudziła szczegółami tego anatomicznego zabiegu. To, co robisz, rób w milczeniu: *tiens-toi tranquille, enfant, comprends-tu?*¹²³

Adela nie potrzebowała tego upomnienia. Już się była schroniła na kanapie ze swoim skarbem i pracowicie rozwiązywała sznurek, przytrzymujący wieko. Usunąwszy je i podniósłszy opakowanie z cienkiej bibułki, zawołała tylko:

— *Oh ciel! Que c'est beau!*¹²⁴ — i zastygła w podziw i zachwycie.

— Czy panna Eyre jest tutaj? — zapytał teraz pan domu, unosząc się w fotelu, by obejrzeć się na drzwi, przy których dotąd stałam.

¹²¹*le petit coffre* (fr.) — kuferek. [przypis edytorski]

¹²²*Ma boîte! Ma boîte!* (fr.) — Moje pudełko! Moje pudełko! [przypis edytorski]

¹²³*tiens-toi tranquille, enfant, comprends-tu?* (fr.) — uspokój się, dziecko, rozumiesz? [przypis edytorski]

¹²⁴*Oh ciel! Que c'est beau!* (fr.) — Wielkie nieba! Jakie to piękne! [przypis edytorski]

— A! Dobrze, niech się pani przybliży, niech pani tutaj usiądzie. — Przyciągnął fotelik do swojego. — Nie lubię gadulstwa dzieci — mówił dalej — jako stary kawaler nie znajduję nic miłego w ich szczebiotaniu. Nieznośne byłoby dla mnie spędzić cały wieczór *tête-à-tête*¹²⁵ z małym brzdącem. Niechże pani nie odsuwa tego fotelika, panno Eyre. Niech pani usiądzie tu właśnie, gdzie go umieściłem, jeśli pani łaskawa, chciałem powiedzieć... Ach, te grzeczności... Wciąż o nich zapominam. Ani też nie przepadam za prostodusznymi starszymi paniami. Nawiasem mówiąc, muszę pamiętać o mojej, nie wypada mi jej zaniedbywać. Jest ona Fairfax czy też zamężna z Fairfaxem, a zawsze to wspólna krew.

Zadzzwonił i kazał poprosić panią Fairfax, która przybyła niebawem z koszyczkiem do robótek w rękę.

— Dobry wieczór pani. Posłałem po panią, mając cel miłosierny na oku. Zakazałem Adeli mówić do mnie o prezentach, które otrzymała, a ona pęka od nawału hamowanych słów. Niechże pani będzie tak dobra wysłuchać ją i odpowiadać jej. Będzie to jeden z najlitościwszych uczynków, jakie pani kiedykolwiek spełniła.

Adela istotnie, skoro tylko ujrzała panią Fairfax, zaciągnęła ją do siebie na kanapę i tam wytrząsnęła na jej kolana skarby ze swojej *boîte* — porcelanowe, z kości słoniowej i wosku — sypiąc równocześnie objaśnieniami i zachwyty w łamanej angielszczyźnie.

— Teraz, kiedy spełniłem rolę dobrego gospodarza — ciągnął pan Rochester dalej — kiedy dałem gościom moim sposobność do zabawienia się ze sobą, powinno mi być wolno pomyśleć o własnej przyjemności. Panno Eyre, niechże się pani wysunie trochę bardziej naprzód, zanadto z tyłu pani siedzi. Nie mogę pani widzieć bez wykręcania się w tym wygodnym fotelu, a na to nie mam ochoty.

Zrobiłam, jak sobie życzył, choć byłabym wolała pozostać trochę w cieniu. Jednakże pan Rochester jakoś tak po prostu rozkazywał, że zdawało się rzeczą naturalną posłusznie się stosować do jego słów.

Znajdowaliśmy się, jak już wspomniałam, w jadalni. Świecznik, który zapalono do obiadu, wypełniał pokój świąteczną jasnością, obfity ogień płonął czerwonym blaskiem. Purpurowe portiere zwieszały się, bogate i sute, u wysokiego okna i jeszcze wyższej arkady. Ciszę przerywało tylko przygłuszone gadanie Adeli (nie ośmieliła się mówić głośno), a w przerwach uderzanie zimowego deszczu o szybę.

Pan Rochester, siedzący w adamaszkim pokrytym fotelu, wyglądał inaczej, niż gdy widziałam go pierwaj, nie tak surowo, o wiele mniej chmurnie. Uśmiech miał na ustach i oczy jego błyszczały. Nie jestem pewna, czy nie na skutek wina, ale przypuszczam, że bardzo to być mogło. Słowem, był w swoim poobiednim nastroju — przystępniejszy, swobodniejszy, a zarazem bardziej sobie folgujący¹²⁶ niż w tym porannym, zimnym i sztywnym. Pomimo to i tak dostatecznie groźnie wyglądał, oparty potężną głową o tył wyściełanego fotela, gdy światło ognia padało na jego jak w granicie kute rysy i wielkie, ciemne oczy. Miał bowiem wielkie, ciemne i bardzo piękne oczy, w których głębi jawiło się chwilami coś, co jeśli nie było błyskiem łagodności, to przynajmniej łagodność przywodziło na myśl.

Pan Rochester patrzył ze dwie minuty w ogień, a ja przez ten czas mu się przyglądałam. Nagle, podniósłszy oczy, pochwycił moje, utkwione w jego twarzy spojrzenie.

— Pani mi się przygląda, panno Eyre — powiedział — czy pani uważa, że jestem przystojny?

Gdybym się była zastanowiła, byłabym mu na to odpowiedziała coś konwencjonalnego i nieokreślonego. Jakoś jednakże odpowiedź wymknęła mi się, zanim się sama spstrzegłam:

— Nie, panie.

— A! Słowo daję! W pani jest coś dziwnego — powiedział. — Wygląda pani jak mała muszka, skromna, spokojna, poważna i prosta, gdy pani tak siedzi z rączkami złożonymi i oczami najczęściej utkwionymi w dywan (o ile ich pani nie zatopi przenikliwie w mojej twarzy jak przed chwilą). A gdy zadać pani pytanie albo zrobić uwagę, na którą musi pani

¹²⁵*tête-à-tête* (fr.) — sam na sam. [przypis edytorski]

¹²⁶*folgować* (daw.) — pozwalać (sobie). [przypis edytorski]

odpowiedzieć, bez ceremonii rąbie pani odpowiedź, jeżeli nie niegrzeczna, to co najmniej szorstką. Co pani przez to rozumie?

— Panie, dałam odpowiedź nazbyt prostą, bardzo pana przepraszam. Powinnam była odpowiedzieć, że to niełatwo dać nieprzemyślaną odpowiedź na zapytanie w kwestii powierzchowności, że gusta są przeważnie różne i że piękność małe ma znaczenie... Lub coś w tym rodzaju.

— Nic podobnego nie powinna była pani odpowiedzieć! Piękność małe ma znaczenie? Doprawdy! I tak, pod pozorem zacierania spełnionej twarzy, pod pozorem ugłaskiwania i ułagodzenia mnie, pakuje mi pani szczyrą pod ucho! Niechże pani dalej mówi: co się pani we mnie nie podoba, proszę? Sądzę, że wszystkie członki moje i wszystkie rysy są takie jak u innych ludzi?

— Panie Rochester, niech pan pozwoli, że odwołam pierwotną odpowiedź. Nie chciałam pana dotknąć, język mi się poślizgnął.

— Właśnie. I ja tak myślę, ale poniesie pani za to odpowiedzialność. Niech mnie pani krytykuje: czy moje czoło nie podoba się pani?

Odgarnął czarną falę włosów i odsłonił potężnie zakreślone, inteligentne czoło, na którym wszakże widniał brak w miejscu, gdzie powinna się być znajdować łagodna linia guza dobroćliwości.

— I cóż, łaskawa pani, czy jestem głupcem?

— O, to w żadnym razie! Ale powie pan może, że jestem niegrzeczna, jeżeli zapytam, czy jest pan filantropem?

— Masz sobie! Znowu ukłucie szczyrą, podczas kiedy udawała, że głaszcze mnie po głowie. I to dlatego, że powiedziałem, iż nie lubię towarzystwa dzieci i starych kobiet (ale o tym nie wolno głośno mówić!). Nie, moja panienko, ja nie jestem filantropem na szeroką skalę, ale mam sumienie — tu ukazał wypukłość, które mają świadczyć o tej właściwości, a które, na jego szczęście, dosyć były widoczne, nadając wybitną szerokość górnej części jego głowy. — A przy tym, miałem niegdyś pewną wrodzoną miękkość serca. Gdy byłem w pani wieku, byłem dość uczuciowym chłopcem, sprzyjałem pokrzywdzonym, opuszczonym i nieszczęśliwym. Ale odtąd rozmaicie los mną poniewierał. Tak mnie nawet wygniół swymi paluchami, że stałem się, pochlebiam sobie, twardy i giętki jak piłka gumowa, jednak nadal przepuszczalny przez parę pozostałych szczelin i z jednym wrażliwym punkcikiem w samym środku. Czy pozostaje mi wobec tego jeszcze jakakolwiek nadzieja?

— Jaka nadzieja, panie?

— Ostatecznego przeobrażenia się z powrotem z gumy w żywe ciało?

„Stanowczo wypił za wiele wina” — pomyślałam i nie wiedziałam, co na to dziwne zapytanie odpowiedzieć. Skądże ja mogłam wiedzieć, czy on może raz jeszcze się przeobrazić?

— Miała pani minę bardzo zakłopotaną. Chociaż pani nie jest ładna, tak jak ja nie jestem przystojny, jednak z tym wyrazem zakłopotania jest pani do twarzy. A przy tym jest ono pożądane, gdyż odrywa te badawcze oczy pani od mojej fizjonomii, a zatrudnia je kwiatami na dywanie. Więc niechże się pani dalej kłopotce i dziwi. Panienko, jestem dziś wieczór usposobiony towarzysko i rozmownie!

To oświadczywszy, wstał z fotela i stanął, oparłszy się ramieniem o marmurowy gzyms kominka. W tej postawie zarówno postać jego, jak i twarz widziało się wyraźnie — tę niezwykłą szerokość w piersiach, niemal nieproporcjonalną w stosunku do wysokości. Jestem pewna, że większość ludzi nazwałaby go brzydkim, jednakże było tyle nieświadomej dumy w jego postaci, tyle swobody w obejściu, taki wyraz zupełnej obojętności na własny wygląd zewnętrzny, a z drugiej strony tyle wyniosłego polegania na wartości innych zalet, że wynagradzało to brak fizycznej urody i sprawiało, że patrząc na niego, musiało się dzielić jego obojętności i w jakiś niewytłumaczony sposób wierzyć, że słusznie jest pewny siebie.

— Tak — powtórzył — jestem dziś wieczór usposobiony towarzysko i rozmownie i dlatego poprosiłem panią tutaj. Ogień i świecznik nie wystarczają mi jako towarzystwo, ani nawet Pilot, gdyż wszystko to nie umie gadać. Z Adelą już sprawa trochę lepiej stoi, chociaż także marnie, podobnie z panią Fairfax. Pani, jestem pewien, potrafiłaby mi dogodzić, gdyby tylko zechciała. Zaciekała mnie pani pierwszego wieczora, gdy panią

tu zaprosiłem. Odtąd prawie o pani zapomniałem, inne myśli wypędziły mi panią z głowy, ale dziś wieczór postanowiłem dać sobie swobodę, odegnąć to, co trapi, a przyzwać to, co miłe. Otóż sprawiłoby mi przyjemność wyciągnąć coś niecoś z pani, dowiedzieć się czegoś więcej o pani. A więc niech pani mówi.

Zamiast mówić, uśmiechnęłam się — i nie bardzo ulegle ani powolnie.

— Niech pani mówi! — nalegał.

— O czym mam mówić?

— O czym pani zechce. Zostawiam pani w zupełności wybór tematu i sposób jego traktowania.

Wobec tego siedziałam dalej, milcząc. „Jeżeli on myśli, że ja będę mówiła dla samego mówienia i popisywania się, to przekona się, że trafił pod fałszywy adres” — pomyślałam.

— Pani milczy, panno Eyre.

Milczałam dalej. Nachylił trochę głowę ku mnie i jedno szybkie spojrzenie zatopił w moich oczach.

— Uparta? — powiedział. — I dotknięta. Ach, nic dziwnego. Ja prośbę wyraziłem w sposób niemądry, niemal impertynencki. Panno Eyre, przepraszam panią. Fakt faktem, raz na zawsze, że ja pani nie chcę traktować jak kogoś niższego od siebie. To jest — (tu się poprawił) — że mam pretensję do takiej tylko wyższości, jaką daje dwadzieścia lat różnicy wieku i całe sto lat więcej doświadczenia. To jest słuszne, *et j'y tiens*¹²⁷, jakby powiedziała Adela. I na zasadzie tej wyższości, i tej też jedynie, pragnę, by pani pomówiła ze mną trochę i rozerwała mi myśli, które gorzknieją od kręcenia się dokoła jednego punktu, rdzewieją jak stary gwóźdź.

Raczył dać wytłumaczenie, przeprosił — nie byłam nieczuła na jego dobrą wolę, nie chciałam się też taka wydawać.

— Chętnie przyczyniłabym się do rozerwania pana, o ile bym potrafiła, bardzo chętnie. Ale nie mogę poruszać jakiegoś tematu, gdyż skąd mam wiedzieć, co by pana zainteresować mogło? Niech mi pan zadaje pytania, postaram się jak najchętniej odpowiadać na nie.

— A więc, przede wszystkim, czy zgadza się pani ze mną, że mam prawo mieć niekiedy wobec pani ton nieco rozkazujący, kategoryczny, że mam prawo być może czasem wymagający na podstawie powodów, które wymieniłem, a mianowicie, że mam lata, by być pani ojcem i wiele doświadczyłem w życiu, mając do czynienia z wieloma ludźmi i z wieloma narodami, przewędrowawszy z połowę kuli ziemskiej, podczas gdy pani żyła spokojnie wśród jednego typu ludzi i w jednym domu?

— Niech pan robi, jak się panu podoba.

— To nie jest odpowiedź, a raczej to odpowiedź bardzo drażniąca, ponieważ jest mocno wymijająca. Niech pani odpowie wyraźnie.

— Nie sądzę, żeby pan miał prawo rozkazywać mi jedynie dlatego, że jest pan starszy ode mnie albo że pan poznał więcej świata ode mnie. Prawo do wyższości zależy od tego, jaki pan pożytek wyciągnął z czasu swojego i doświadczenia.

— Hm! Łatwo to powiedzieć! Ale ja się na to nie zgadzam, gdyż nie poparłoby to wcale mojej sprawy, ponieważ ja marnie, jeśli nie wprost źle, wyzyskałem tak jedno, jak drugie. Pozostawiając więc już kwestię wyższości na boku, musi się pani jednak zgodzić na to, by od czasu do czasu przyjmować ode mnie rozkazy, nie czując się tonem rozkazującym dotknięta ani obrażona. Cóż, zgadza się pani?

Uśmiechnęłam się. Pomyślałam w duchu, że pan Rochester jednak jest dziwny. Zdaje się zapominać, że płaci mi 30 funtów rocznie za prawo wydawania mi rozkazów.

— Uśmiech jest w porządku — rzekł, chwytając natychmiast przelotny wyraz. — Ale ja czekam na słowa.

— Pomyślałam, proszę pana, że bardzo niewielu zwierzchników zadawałoby sobie trud dopytywania, czy ich rozkazy dotyczą albo obrażają ich płatnych podwładnych.

— Płatnych podwładnych! Co! To pani jest moją płatną podwładną? Doprawdy? Ach tak, zapomniałem o pensji. Dobrze, a więc czy na tej pieniężnej podstawie pozwoli mi pani występować czasem w roli pana i zwierzchnika?

¹²⁷ *et j'y tiens* (fr.) — zależy mi na tym; ma to dla mnie znaczenie. [przypis edytorski]

— Nie, panie, nie na tej podstawie, ale na tej, że pan zapomniał o niej i że dba pan o to, czy człowiek zależny czuje się dobrze w tej roli. Na tej podstawie zgadzam się jak najchętniej.

— I nie weźmie mi pani za złe, jeżeli poniecham wielu konwencjonalnych form i frazesów, nie będzie pani dopatrywała się w tym pominięciu ubliżającej impertynencji?

— O, z pewnością nie pomyłę się w tym względzie i braku formalności nie poczytam za ubliżanie i impertynencję. Lubię raczej nieformalność. Ubliżania i impertynencji nie zniosłby żaden człowiek wolny, nawet za zapłatę.

— Głupstwo! Większość ludzi wolnych zniesie wszystko za zapłatę. Toteż niech pani za siebie tylko mówi, a nie wdaje się w uogólnienia co do rzeczy, o których pani nic a nic nie wie. Pomimo to w myśli ściskam dłoń pani z podziękowaniem za tę odpowiedź, choć niezupełnie trafną, i to zarówno za treść odpowiedzi, jak i za ton jej wypowiedzenia. Ton był otwarty i szczerzy, nieczęsto się człowiek spotyka z takim tonem. Nie, przeciwnie, afektacja albo chłód, albo głupie, ordynarne niezrozumienie intencji bywają zwykłą nagrodą za szczerotę. Nie wiem, czy trzy na trzy tysiące nauczycielek prosto z pensji odpowiedziałyby mi tak, jak pani przed chwilą. Ale ja nie chcę pani schlebiać. Jeżeli jest pani inna niż większość, to nie pani w tym zasługa. To dar wrodzony. A zresztą, może ja ostatecznie za prędko wnioskuję: o tyle, o ile ja panią dotąd znam, może pani nie jest lepsza od reszty, może pani mieć nieznośne wady, równoważące parę dobrych zalet.

„I pan może jest taki sam!” — pomyślałam. Wzrok mój zetknął się z jego wzrokiem w chwili, gdy ta myśl przebiegła mi przez głowę. Odczytał ją widocznie z mojego spojrzenia, gdyż odpowiedział, jak gdybym ją była wypowiedziała słowami:

— Tak, tak, ma pani słuszność, ja wiele mam wad. Wiem o tym i nie myślę się ich wypierać, zapewniam panią. Bóg widzi, że nie powinienem być nadto szczerzy wobec innych. Mam przeszłość, mam szereg uczynków i rodzaj życia za sobą, które, gdy je oglądam w pamięci, zniewalają mnie do przenoszenia szyderstwa i krytyki z bliźnich na samego siebie. Wszedłem albo raczej zostałem wepchnięty (gdyż jak inni błądzący, lubię składać winę na zły los i wrogie okoliczności) na złą drogę, gdy miałem lat dwadzieścia jeden i nigdy odtąd nie odnalazłem tej właściwej. Mogłem być jednak być zupełnie inny, mogłem być być tak dobry jak pani, mądrzejszy, prawie równie nieskalany. Zazdroszczę pani spokoju duszy, czystego sumienia, pamięci bez zmazy. Dziewczątka, pamięć bez zmazy, bez zatrutej plamy, to musi być skarb nieoceniony, niewyczerpane źródło czystego, odświeżającego pokrzepienia. Czy tak nie jest?

— A jakaż była pamięć pańska, gdy pan miał lat osiemnaście, łaskawy panie?

— O! Wtedy była czysta, zdrowa. Nie wdarła się w nią jeszcze zepsuta woda, by zamienić ją w zgniłą kałużę. Byłem równy pani, gdy miałem lat osiemnaście, zupełnie równy pani. Natura chciała stworzyć ze mnie dobrego człowieka, panno Eyre, jednego z rodzaju tych lepszych, a widzi pani, że taki nie jestem. Pani chciałaby powiedzieć, że pani tego nie widzi, a przynajmniej pochlebiam sobie, że czytam to w pani oczach (a niechże pani strzeże swoich oczu, gdyż ja szybko chwytam ich mowę!). Więc niechże pani uwierzy moim słowom: nie jestem żadnym niegodziwcem. Tęgo niech pani nie przypuszcza, nie przypisuje mi jakichś takich szczytów zła, ale, szczerze w to wierzę, że wskutek raczej okoliczności niż skłonności wrodzonych jestem zwykłym, pospolitym grzesznikiem, wytartym we wszelakich drobnych i marnych rozrywkach, jakimi bogaci nicponie starają się życie zapewnić. Dziwi się pani, że się do tego przed nią przyznaję? Niechże pani wie o tym, że w biegu dalszego życia często stanie się pani mimowolną powiernicą tajemnic swoich znajomych. Ludzie instynktownie odkrywać będą, tak jak ja to uczyniłem, że pani silną stroną nie jest mówienie o sobie, ale słuchanie, gdy inni o sobie mówią. Odczują też, że pani słucha bez złośliwej pogardy dla ich niedyskrecji, ale z jakimś wrodzonym współczuciem, niemniej pocieszającym i zachęcającym przez to, że tak się nie narzuca i skąpe jest w objawach.

— Skąd pan to wie?... Jak pan to wszystko mógł odgadnąć?

— Wiem to dobrze. Toteż mówię dalej prawie tak swobodnie, jak gdybym spisywał myśli swoje w dzienniku. Mogłaby pani powiedzieć, że powinienem być być ponad okoliczności. Tak, powinienem być, powinienem. Ale, widzi pani, nie byłem. Gdy los mnie skrzywdził, nie miałem dosyć rozumu, by zachować zimną krew. Rozpacz mnie ogarnęła, a potem zaczął się mój upadek. Teraz, gdy jakiś rozpustny dureń budzi wstręt we mnie

Kondycja ludzka

marną rozwiązłością, nie mogę sobie pochlebiać, że jestem lepszy od niego. Zmuszony jestem wyznać, że on i ja jesteśmy na jednym poziomie. Żałuję, że się nie oparłem. Bóg widzi, że żałuję! Niech się pani obawia wyrzutu sumienia, gdy pokusa zbłądzenia stanie przed panią, panno Eyre! Wyrzut sumienia to trucizna życia.

— Powiadają, że żal leczy.

— Nie leczy wyrzutu sumienia. Poprawa mogłaby być uleczeniem, a ja byłbym zdolny do poprawy, jeszcze by mi starczyło siły, gdyby... Lecz na cóż się przyda myśleć o tym, gdy się jest skrępowanym, obciążonym, przeklętym, tak jak ja jestem? Zresztą, skoro szczęście zostało mi nieodwołalnie wzbronione, mam prawo wysysać z życia przyjemność. I wysysać ją będę, mniejsza o to, jakim kosztem...

— Ale wtedy upadnie pan jeszcze niżej.

— Być może. Choć dla czegoż miałbym upaść, gdybym mógł osiągnąć przyjemność słodką, świeżą? A mógłbym ją dostać tak słodką i świeżą jak ten miód, który pszczoła zbiera na wrzosowisku.

— Pszczoła użądli, miód będzie miał posmak goryczy.

— Skąd pani wie?... Nigdy go pani nie kosztowała. Jak bardzo poważną, jak bardzo uroczystą ma pani minę, a tak nie zna pani tej sprawy jak ta oto kamea¹²⁸ — tu wziął do ręki kameę z gzymsu kominka. — Nie wolno pani prawić mi kazań, neofitko, coś jeszcze nie przeżyła przedśionka życia i absolutnie nie znasz jego tajemnic.

— Ja panu tylko przypominam jego własne słowa: powiedział pan, że błąd sprowadza wyrzut sumienia, a wyrzut sumienia nazwał pan trucizną życia.

— Ale któż tu mówi o błędach? Nie zdaje mi się, by myśl, która mi teraz przebiegła przez głowę, miała być błędem. Sądzę, że było to raczej natchnienie niż pokusa; takie było pogodne, takie kojące, to wiem. Ot, wraca znowu! To nie żaden zły duch, zapewniam panią. A jeżeli, to przybrał szaty anioła światłości. Myślę, że powinienem wpuścić tak jasnego gościa, gdy szuka wejścia do drzwi mego serca.

— Niechaj mu pan nie ufa, to nie jest anioł prawdziwy.

— Jeszcze raz, skąd pani to wiedzieć może? Jakim instynktem rozróżnia pani rzekomo między upadłym serafem¹²⁹ otchłani a posłem wiekuistego tronu? Pomiędzy przewodnikiem a uwodzicielem?

— Sądziłam po twarzy pańskiej, która miała wyraz wzburzenia, gdy pan mówił, że myśl owa nawiedziła pana znowu. Jestem pewna, że narazi się pan na większe jeszcze cierpienia, jeśli jej pan posłucha.

— Bynajmniej. Niesie ona wieść najmiłszą w świecie. A zresztą, nie jest pani stróżem mojego sumienia, więc niech się pani nie niepokoi. Pójdź, przyjdź do mnie, miły wędrowniku!

Powiedział to, jak gdyby mówił do jakiejś zjawy, jemu tylko widomej. Po czym, złożwszy na piersiach ręce przedtem wyciągnięte, zdawał się tulić w objęciu niewidzialną istotę.

— Oto — zwrócił się znowu do mnie — przyjąłem pielgrzyma, bóstwo przebrane, jak gotów jestem wierzyć. Już teraz czuję dobry wpływ jego. Moje serce było dotychczas rodzajem kostnicy, odtąd będzie ołtarzem.

— Jeżeli mam prawdę powiedzieć, zupełnie pana nie rozumiem. Nie mogę podtrzymać rozmowy, gdyż przechodzi ona moje pojęcie. Jedno tylko wiem: powiedział pan, że nie jest pan tak dobry, jakby pragnął być, i że żałuje pan swych własnych uchybień. Jedno mogę zrozumieć: rzekł pan, że pamięć zbrukana to stała trucizna. Wydaje mi się, że gdyby pan szczerze usiłował, potrafiłby pan stać się godny własnego uznania i że gdyby od dziś dnia zaczął pan wytrwale udoskonalać myśli swe i czyny, uskładałby pan w niewiele lat zasób nowych i niezmazanych wspomnień, do których mógłby pan z przyjemnością powracać.

— Trafnie pomyślane, dobrze powiedziane, panno Eyre. Toteż ja w tej chwili energicznie brukuję drogę do piekieł.

— Jak to?

¹²⁸kamea — kamień z płaskorzeźbą jaśniejszą od tła. [przypis edytorski]

¹²⁹seraf a. serafin — anioł z najwyższego chóru anielskiego. [przypis edytorski]

— Brukuję ją dobrymi chęciami, które, ufam, będą trwałe jak kamień. To pewne, że towarzystwo moje i dążenia inne będą, niż dotychczas były.

— I lepsze?

— I lepsze. O tyle lepsze, jak czysty metal od nieczystej rudy. Pani zdaje się wątpić we mnie, ja w siebie nie wątpię. Ja wiem, jaki jest mój cel, wiem, jakie są moje pobudki. I w tej chwili wydaję prawo, niezmiennie, jak prawo Medów¹³⁰ i Persów¹³¹, że jedno i drugie jest słuszne.

— Nie mogą być słuszne, panie, jeżeli potrzebują nowego statutu, który by je legalizował.

— Są słuszne, panno Eyre, chociaż koniecznie potrzebują nowego statutu. Niebyswałe kombinacje okoliczności domagają się nowych, niebyswałych reguł.

— Jest to twierdzenie niebezpieczne, panie, ponieważ od razu się widzi, że może dać pole do nadużyć.

— Mądry sędzio! Tak też jest. Ale ja przysięgam na moje domowe bóstwa, że ja bym tego prawa nie nadużył.

— Człowiekiem pan jest i to ułomnym.

— Jestem, to prawda. I pani również — cóż z tego?

— Ludzie ułomni nie powinni przywłaszczać sobie władzy, którą tylko od Boga powołanym i doskonałym powierzyć można bezpiecznie.

— Jakiej władzy?

— Władzy orzekania o jakiejś niezwyklej, niesankcjonowanej drodze postępowania, że „jest słuszna”.

— „Jest słuszna”. O te słowa właśnie chodzi, pani je wyrzekła.

— Oby przeto była słuszna — odpowiedziałam, wstając, gdyż uważałam, że daremną rzeczą byłoby przedłużać dyskusję tak dla mnie niejasną. Zdawałam sobie też sprawę, że charakteru mojego rozmówcy przeniknąć nie mogę, a przynajmniej jeszcze nie na razie. Odczuwałam przy tym niepewność i nieokreślone niebezpieczeństwo.

— Dokąd pani idzie?

— Idę położyć Adelę spać, już minęła godzina.

— Pani się mnie boi, ponieważ mówię jak sfinks.

— Mowa pańska jest zagadkowa, ale chociaż mnie to oszałamia, nie boję się przecież.

— Boi się pani. Pani miłość własna boi się kompromitacji.

— Pod tym względem, to prawda, czuję lęk. Nie chciałabym powiedzieć czegoś niemądrego.

— A gdyby nawet powiedziała pani coś niemądrego, powiedziałaaby to pani tak poważnie i spokojnie, że ja, przez pomyłkę, wziąłbym to za coś mądrego. Czy pani się nigdy nie śmieje, panno Eyre? Niech się pani nie sili na odpowiedź. Ja widzę, że pani się rzadko śmieje, ale potrafi pani śmiać się bardzo wesoło. Niech mi pani wierzy, nie jest pani z natury tak bardzo surowa, tak jak ja nie jestem z natury człowiekiem zepsutym. Przymus, nabyty w Lowood, jeszcze się jakoś pani trzyma, panuje nad wyrazem twarzy, tłumi głos pani, krępuje swobodę ruchów. Pani się lęka w obecności mężczyzny, który jest dla pani bratem albo ojcem, albo zwierchnikiem, albo kimkolwiek bądź, uśmiechnąć się zbyt wesoło, mówić zbyt swobodnie albo poruszać się zbyt prędko... Z czasem jednak chyba nauczy się pani być naturalna ze mną, tak jak dla mnie jest rzeczą niemożliwą być z panią konwencjonalnym. A wtedy i twarz pani, i pani ruchy nabiorą więcej żywości i urozmaicenia niż przy obecnym, nieśmiałym skrępowaniu. Widzę u pani chwilami spojrzenie ciekawego ptaszka, wyzierającego spoza gęstych prętów klatki: żwawy, niespokojny, rezolutny więzień tam siedzi. Gdyby tylko był wolny, frunąłby pod obłoki. Więc koniecznie chce pani już iść?

— Panie, wybiła dziewiąta!

— Mniejsza z tym, niech pani chwilę poczeka. Adela jeszcze nie jest gotowa. Moja pozycja plecami do ognia, a twarzą do pokoju sprzyja obserwacjom. Rozmawiając z panią, przyglądałem się też chwilami Adeli. (Mam swoje powody, by uważać ją za ciekawę

Próźność

¹³⁰Medowie — lud zamieszkujący w starożytności pln.-zach. Iran. [przypis edytorski]

¹³¹Persowie — starożytny lud zamieszkujący obszar Iranu (dawnej Persji). [przypis edytorski]

studium, powody, które może... Nie, które wyjawię pani kiedyś.) Wyciągnęła ze swego pudła, z dziesięć minut temu, różową, jedwabną sukienkę. Zachwyty rozpromienił jej twarz, gdy ją rozwijała. Kokieteria płynie w jej żyłach, zaćmiewa jej mózg, sięga do szpiku kości. „Muszę ją przymierzyć!”, zawołała, „i to natychmiast”. I wypadła z pokoju. Teraz jest ze swoją Sophie i stroi się. Za parę minut powróci i wiem, co zobaczą: miniaturę Celine Varens, gdy się ukazywała na deskach przy podniesieniu kurtyny... Ale mniejsza z tym. Jednak w moje najczulsze uczucia uderzy teraz cios, takie mam przecucie. Niechże się pani zatrzyma, by się przekonać, czy mam rację.

Po niedługiej chwili drobne stopki Adeli zatupotały po podłodze hallu. Weszła przebrana, jak jej opiekun przepowiedział. Różowa, jedwabna sukienka, bardzo krótka, ale ogromnie szeroka w obwodzie, zastąpiła brązową wełnianą, którą wpierw miała na sobie. Wianuszek z pączków różanych wieńczył jej głowę. Na nogach miała jedwabne pończochy i małe, białe, atlasowe sandaalki.

— *Est-ce que ma robe va bien?* — zawołała, wysuwając się naprzód. — *Et mes souliers? Et mes bas? Tenez, je crois que je vais danser!*¹³²

I rozszerzając rączkami spódniczkę, tanecznym krokiem sunęła przez pokój. Przed panem Rochesterem zawirowała lekko na palcach, a potem u jego stóp przyklękła na jedno kolano, wołając:

— *Monsieur, je vous remercie mille fois de votre bonté.*¹³³

Po czym powstawszy, dodała:

— *C'est comme cela que maman faisait, n'est-ce pas, monsieur?*¹³⁴

— Dokładnie tak! — brzmiała odpowiedź. — I „*comme cela*”¹³⁵ wprowadzała angielskie złoto z mojej brytyjskiej kieszeni. Zielony wtedy byłem, oj, zielony, panno Eyre! Wiosna świeżość była we mnie taka, jaka dzisiaj jest w pani! Wiosna moja minęła, ale zostawiła mi w ręku ten francuski kwiatek, którego, w pewnych nastrojach, najchętniej bym się pozbył. Nie ceniąc już łodygi, na której zakwitł, a którą tylko dzięki złotemu proszkowi można było hodować, niezupełnie lubię ten kwiatek. Zwłaszcza gdy wygląda tak sztucznie, jak właśnie w tej chwili. Utrzymuję to dziecko i wychowuję je raczej zgodnie z rzymskokatolicką zasadą zadośćuczynienia za liczne grzechy, wielkie i małe, za pomocą jednego, dobrego uczynku. Wszystko to kiedyś wytłumaczę. Dobranoc.

ROZDZIAŁ XV

Pan Rochester kiedyś przy innej sposobności wytłumaczył mi to. Raz po południu przypadkiem spotkał się ze mną i z Adelą w ogrodzie, a gdy mała bawiła się wolantem¹³⁶ i dokazywała z Pilotem, zaproponował mi, bym się z nim przeszła po długiej alei bukowej, skąd można było mieć dziewczynkę na oku.

Powiedział mi wtedy, że Adela była córką francuskiej baletnicy operowej, Celine Varens, do której niegdyś pałał gorącym afektem, *une grande passion*¹³⁷, jak się wyraził. Ten afekt Celine, wedle swoich zapewnień, podzielała z większym jeszcze zapalem. Wierzył, że chociaż brzydki, był jej bożyszczem, wierzył, że ona przenosi jego budowę atlety nad wytworność Apollina Belwederskiego¹³⁸.

— I, panno Eyre, tak mi schlebiali te względy galijskiej¹³⁹ sylfidy¹⁴⁰, że zainstalowałem ją w pałacyku, sprawiłem jej całe wyposażenie, służbę, powóz, kaszmiry, diamenty, koronki itd. Słowem, zacząłem się rujnować w przyjęty sposób jak każdy inny zakochany żółtodziób. Jak gdyby mnie nie stać było na oryginalność, zamiast wytknąć sobie inną

Miłość, Kobieta „upadła”,
Zdrada

¹³²*Est-ce que ma robe va bien? (...) Et mes souliers? Et mes bas? Tenez, je crois que je vais danser!* (fr.) — I jak wyglądam w tej sukience? A moje buty? A pończochy? Patrzcie, chyba zatańczyć! [przypis edytorski]

¹³³*Monsieur, je vous remercie mille fois de votre bonté.* (fr.) — Panie, tysiącrotnie dziękuję za pańską dobroć. [przypis edytorski]

¹³⁴*C'est comme cela que maman faisait, n'est-ce pas, monsieur?* (fr.) — Tak robiła mama, prawda, proszę pana? [przypis edytorski]

¹³⁵*comme cela* (fr.) — dokładnie tak. [przypis edytorski]

¹³⁶*wolant* — tu: rodzaj dawnej gry. [przypis edytorski]

¹³⁷*une grande passion* (fr.) — wielka pasja, uczucie. [przypis edytorski]

¹³⁸*Apollin Belwederski* a. *Apollo Belwederski* — rzymska rzeźba Apolla z II wieku, prawdopodobnie kopia greckiego oryginału. [przypis edytorski]

¹³⁹*galijska* — tu: francuska. [przypis edytorski]

¹⁴⁰*sylfida* — tu: smukła, delikatna kobieta. [przypis edytorski]

drogę, wiodącą do hańby i zepsucia, kroczyłem starym, utartym szlakiem z głupią dokładnością, byle nie zboczyć o cal z ubitego toru. Spotkał mnie, tak jak na to zasługiwałem, los wszystkich innych zakochanych głuptasów. Zaszedłszy przypadkiem pewnego wieczora, gdy mnie się Celine nie spodziewała, nie zastałem jej w domu. Wieczór był ciepły, a że byłem zmęczony chodzeniem po Paryżu, więc usiadłem w jej buduarze, szczęśliwy, że mogę oddychać powietrzem poświęconym niedawną jej obecnością. Nie, ja przesadzam, ja nigdy nie myślałem, by była w niej jakaś poświęcająca cnota, trąciła ona raczej wonią perfumowanej pastylki niż świętości. Powietrze, przesycone zapachem kwiatów i perfum, zaczynało mnie dusić, więc otworzyłem okno i wyszedłem na balkon. Świecił księżyc, świeciły również lampy gazowe, było cicho i pogodnie. Na balkonie stał fotel, siadłem i wyjąłem cygaro... Jeśli pani pozwoli, teraz też jedno wypalę.

Tu pan Rochester zrobił przerwę. Wyjął i zapalił cygaro, i wypuściwszy kilka kłębow wonnego dymu w mroźne, bezsłoneczne powietrze, mówił dalej:

— Ja i cukierki lubiłem w owych czasach, panno Eyre. I właśnie kolejno chrupałem czekoladki i paliłem cygaro, przyglądając się ekipażom przejeżdżającym przez modne ulice ku pobliskiej operze, gdy w eleganckim, krytym powozie, zaprzężonym w parę pięknych angielskich koni, rozpoznałem *la voiture*¹⁴¹, którą ofiarowałem Celine. Powóz zatrzymał się, jak się tego spodziewałem, przed bramą pałacyku. Moja flama¹⁴² (to właśnie jest odpowiednia nazwa dla takiej operowej kochanki) wysiadła. Chociaż była otulona w płaszcz, zupełnie niepotrzebnie, nawiasem mówiąc, w tak ciepły, czerwcowy wieczór, poznałem ją od razu po maleńkiej nóżce, widocznej spod sukni, gdy zeskakiwała ze stopnia powozu. Wychylając się z balkonu, miałem właśnie szepnąć „*Mon ange!*”¹⁴³ tonem, naturalnie, dosłyszalnym jedynie dla ucha miłości, gdy jakaś druga postać wyskoczyła w ślad za nią, również otulona w płaszcz. Jednakże ta noga zabrzączała ostrogą o trotuar i głowa w męskim kapeluszu przesunęła się pod sklepioną bramą pałacyku. Pani, panno Eyre, nigdy nie odczuła zazdrości, nieprawdaż? Naturalnie, że nie, nie potrzebuję pani pytać, ponieważ pani nigdy nie zaznała, co to miłość. Obydwa te uczucia pozna pani jeszcze z doświadczenia. Dusza pani śpi, musi przyjść jeszcze ten wstrząs, który ją obudzi. Pani sobie wyobraża, że całe życie potoczy się tak spokojnie, jak dotychczas pani młodość. Płynąc przed siebie z zamkniętymi oczyma i zatkanyymi uszami, ani pani nie widzi skał podwodnych, ani nie słyszy rozbijających się o ich podstawę bałwanów. Ale ja pani mówię i niech pani zapamięta moje słowa: dojdzie pani kiedyś do skalistego przejścia w kanale, gdzie cały strumień życia rozbija się w wirach i zamęcie, w łoskocie i pianie. I albo ostre skały rozbiją panią na atomy, albo jakaś potężna fala dźwignie ją i uniesie spokojniejszym prądem, jak mnie w tej chwili. Lubię taki dzień, lubię to niebo stalowe. Lubię surowość i ciszę tego zmrożonego świata. Miłe jest mi Thornfield, jego staroświeckość, ustronność, stare drzewa, pełne wronich gniazd, i ciernie, i szara fasada domu, i rzędy ciemnych okien, odbijających to metalowe niebo. A jednak jakże długo nienawidziłem samej myśli o nim, stroniłem od niego jak od siedliska zarazy! Jak ja dotychczas nienawidzę...

Zgrzytnął zębami i zamilkł. Wstrzymał kroki i tupnął o stwardniałą ziemię, jak gdyby jakaś myśl nienawistna chwyciła go w kleszcze i trzymała tak, że nie mógł ruszyć z miejsca.

Wracaliśmy aleją, gdy w ten sposób stanął. Dom był przed nami. Podnosząc oczy do jego blanków, rzucił ponad nie spojrzenie, jakiego nigdy przedtem ani potem nie widziałam. Ból, wstyd, gniew, zniecierpliwienie, wstręt, nienawiść zdawały się staczać walkę w wielkich, rozszerzonych żrenicach pod kruczymi brwiami. Dziko zmagaly się te porywy, walcząc, który będzie górą... A jednak inne uczucie powstało i odniosło triumf — coś, co było twarde i sceptyczne, samowolne i zdecydowane. Uśmierzyło jego wzburzenie i stężalością powlokło mu twarz. Mówił dalej:

— Gdy milczałem, panno Eyre, toczyłem spór z moim losem. Stał tam pod tym bukiem, w postaci wiedzmy, jak jedna z tych, które ukazały się Makbetowi¹⁴⁴ na wrzosiwisku w Forres¹⁴⁵. „Miłe ci jest Thornfield?”, zapytała, podnosząc palec. A wtedy wypisała w powietrzu przestrożę, która płomiennymi zgłoskami przebiegła wzdłuż frontu domu,

Konflikt wewnętrzny

¹⁴¹*voiture* (fr.) — tu: pojazd. [przypis edytorski]

¹⁴²*flama* (daw.) — kochanka. [przypis edytorski]

¹⁴³*Mon ange!* (fr.) — Mój aniele! [przypis edytorski]

¹⁴⁴*Makbet* a. *Macbeth* — tytułowy bohater dramatu Williama Shakespeare'a (1564–1616). [przypis edytorski]

¹⁴⁵*Forres* — miasto w Szkocji. [przypis edytorski]

pomiędzy górnym a dolnym rzędem okien. „Niech ci będzie miłe, jeżeli zdołasz! Niech ci będzie miłe, jeśli się odważysz!”. „Będzie mi miłe”, odpowiedziałem, „Odważę się je lubić!”. I — dodał z uporem — dotrzymam słowa. Przełamie przeszkody na drodze do szczęścia, na drodze do dobroci... Tak, do dobroci. Pragnę być lepszym człowiekiem, niż dotychczas byłem, niż jestem. A jak lewiatan¹⁴⁶ złamał dzidę Hioba, strzałę i napierśnik¹⁴⁷ zbroi, tak ja zapory, które innym wydają się z żelaza i spiżu, zmiażdżę jak słomę i zmurszałe drewno!

Adela przebiegła mu drogę z wolantem.

— Idź sobie! — krzyknął ostro. — Trzymaj się z daleka, dziecko, albo wracaj do domu, do Sophie!

Ponieważ szedł dalej w milczeniu, odważyłam się przywołać go do punktu, w którym tak nagle zboczył.

— Czy zszedł pan z balkonu z chwilą, kiedy panna Varens weszła?

Lękałam się trochę, że się obruszy na to tak może nie w porę zadane pytanie. On tymczasem, jak gdyby się budził z chmurnego zamyślenia, zwrócił ku mnie oczy i rozpodził czoło.

— Ach, zapomniałem o Celine! Więc będę mówił dalej. Gdy ujrzałem moją nadobną przyjaciółkę, wchodzącą w towarzystwie kawalera, stary wąż zazdrości wpił się w serce. To dziwne! — zawołał, nagle odbiegając od rzeczy. — To dziwne, że ja panią wybieram na powierniczkę tego wszystkiego. A najdziwniejsze, że pani słucha mnie spokojnie, jakby to było najzwyczajniejszą rzeczą na świecie, że mężczyzna taki jak ja opowiada historię o swoich operowych kochankach takiej jak pani, młodej, niedoświadczonej dziewczynie! Ale ja już raz o tym wspominałem: pani, ze swoją powagą, rozsądkiem i ostrożnością, stworzona jest do odbierania zwierzeń. Zresztą wiem, z jaką duszą przestaje moja dusza. Wiem, że to dusza, której nie chwyta się zaraza. To wyjątkowa dusza, jedyna w swoim rodzaju. Na szczęście ja nie zamierzam jej skrzywdzić, a gdybym nawet zamierzał, ona nie przejęłaby niczego złego ode mnie. Im więcej przeto rozmawiamy ze sobą, tym lepiej, bo gdy ja nie mogę duszy twojej zatruć, pani moją duszę odświeża i rzeźwi.

To powiedziawszy, po chwili namysłu opowiadał dalej:

— Pozostałem na balkonie. „Niewątpliwie przyjdą do jej buduaru”, pomyślałem, „niechże sobie przygotuję zasadzkę”. Wsunąwszy rękę przez otwarte drzwi, zaciągnąłem na nie portierę, pozostawiając tylko szparę, przez którą mogłem prowadzić obserwację. Następnie przymknąłem drzwi, nie domykając ich zupełnie, tak, ażeby szept zakłóć miłosnych mógł do mnie dochodzić. Wtedy powróciłem na fotel, a w chwili gdy usiadłem, weszli oboje. Czym prędzej okiem przywarłem do szpary. Weszła pokojówka Celine, zaświeciła lampę, postawiła ją na stole i wyszła. Tym sposobem jasno mogłem widzieć tę parę. Oboje pozdejmowali płaszcze i oto stała tam „la¹⁴⁸ Varens”, strojna, w atlasach i klejnotach (moich darach oczywiście), a obok niej jej towarzysz w oficerskim mundurze. Poznałem w nim od razu pewnego wicehrabiego, pełnego nałogów idiotę. Spotykałem go niekiedy w towarzystwie. Nawet znienawidzić bym go nie potrafił, tak bezwzględnie nim pogardzałem. Zaledwie go poznałem, poczułem, że zazdrość kąsać mnie przestaje, gdyż równocześnie miłość moja dla Celine zgasła. Kobieta, która mogła mnie zdradzać z takim rywalem, nie była warta, by się o nią ubiegać. Zasługiwała jedynie na wzgardę, mniej jednakże niż ja, który się jej dałem oszukać. Tamci dwoje zaczęli rozmawiać. Rozmowa ich przyniosła mi ulgę ostateczną: płytka, bezduszna, interesowna, bez serca i bez sensu, mogła raczej znużyć niż do wściekłości doprowadzić słuchacza. Mój bilet wizytowy leżał na stole, to dało powód do rozmowy o mnie. Żadne z nich nie potrafiło obgadać mnie rzetelnie. Brakło im energii czy dowcipu, ale obmawiali mnie tak ordynarnie, jak tylko umieli, na swój małostkowy sposób. Celine zwłaszcza rozwodziła się z upodobaniem nad brakami w mojej powierzchowności, które nazywała kalectwem... A trzeba wiedzieć, że było w jej zwyczaju wpadać w gorące zachwyty nad moją „*beauté mâle*”¹⁴⁹, jak się wyrażała, w czym różniła się stanowczo od pani, która mi powiedziała, nie owijając w bawełnę,

¹⁴⁶lewiatan — biblijny potwór morski. [przypis edytorski]

¹⁴⁷napierśnik — część zbroi osłaniająca piersi. [przypis edytorski]

¹⁴⁸la (fr.) — tu: ta. [przypis edytorski]

¹⁴⁹beauté mâle (fr.) — męskie piękno. [przypis edytorski]

za drugim widzeniem, że nie uważa mnie za przystojnego. Ten kontrast uderzył mnie wtedy i...

W tej chwili Adela podbiegła znowu.

— *Monsieur*, John właśnie przyszedł powiedzieć, że jest pan administrator i pragnie się z panem zobaczyć.

— Ach! W takim razie muszę kończyć. Otworzywszy drzwi, wszedłem pomiędzy nich. Pozbawiłem Celine mojej opieki. Zapowiedziałem, że ma opuścić pałacyk. Ofiarowałem jej sakiewkę na natychmiastowe potrzeby. Nie zważyłem na krzyki, łzy, prośby, zapewnienia, histeryczne ataki. Z panem wicehrabią umówiłem się na spotkanie w Lasku Bulońskim¹⁵⁰. Nazajutrz rano miałem przyjemność zmierzenia się z nim. Wpakowałem kulkę w jedno z jego cienkich, chudych ramion i już myślałem, że skończyłem z całą tą paczką. Na nieszczęście jednak Celine na pół roku przedtem obdarzyła mnie tą dziewczynką, Adelą, twierdząc, że to moja córka. I może nią jest, chociaż nie widzę dowodów takiego brzydkiego ojcostwa, wypisanych na jej twarzy. Pilot jest bardziej podobny do mnie niż ona. W kilka lat po zerwaniu kobieta ta porzuciła dziecko i uciekła do Włoch z jakimś muzykiem czy śpiewakiem. Nie uznawałem naturalnego prawa Adeli do mojej opieki i nie uznaję go i teraz, gdyż nie jestem jej ojcem. Jednakże słysząc, że jest w zupełnej nędzy, wyciągnąłem biedactwo z brudu i błota wielkowiejskiego i przeflancowałem ją tutaj, żeby sobie rosła czysto na zdrowym gruncie angielskiego, wiejskiego ogrodu. Pani Fairfax wyszukała panią na jej wychowawczynię. Ale teraz, skoro pani wie, że to nieprawy potomek francuskiej baletnicy, może pani inaczej spojrzeć na swoje stanowisko i swoją wychowankę, może przyjdzie pani któregoś dnia do mnie z oznajmieniem, że znalazła pani inne miejsce, i poprosi mnie, bym się obejrzał za inną nauczycielką... No co?

— Nie, Adela nie jest odpowiedzialna ani za błędy matki, ani za pańskie. Nie mam powodu źle o niej myśleć, a teraz, gdy wiem, że nie ma rodziców, gdyż matka ją opuściła, a pan się jej wypiera, będzie mi jeszcze bliższa niż poprzednio. Jakże mogłabym przenosić rozpieszczone dziecko bogatej rodziny, niecierpiące swojej nauczycielki jak czegoś nieznośnego, nad samotną, małą sierotką, garnącą się do mnie jak do przyjaciółki?

— Ach, więc w tym świetle pani rzecz widzi! No dobrze, ale ja teraz muszę wracać do domu i pani także niech wraca. Ściemnia się.

Jednakże pozostałam jeszcze kilka minut dłużej z Adelą i Pilotem. Gonilam się z nią, rozegrałyśmy partię wolanta. Wróciwszy do domu i rozebrawszy ją z paltocika i kapelusza, wzięłam ją na kolana i tak pozwoliłam jej siedzieć z godzinę i pleść, co jej się żywnie podobało. Nie karcilam jej nawet, gdy sobie trochę za wiele pozwalała, do czego była skłonna, kiedy się na nią zbyt nie zwracało uwagi. Przebiła w niej płytkość charakteru, odziedziczona prawdopodobnie po matce, a tak niezgodna z duchowością angielską. Jednakże Adela miała swoje zalety, które gotowa byłam uznać jak najszybciej. Szukałam w jej twarzy i w rysach podobieństwa do pana Rochester, ale nie odnalazłam niczego takiego: żaden rys, żaden odcień wyrazu nie wykazywał pokrewieństwa. Żał mi jej było — gdyby tylko można było dowiedzieć, że jest do niego podobna, cenilby ją sobie więcej.

Dopiero po udaniu się na noc do swojego pokoju rozważyłam dokładnie to, co mi pan Rochester opowiedział. Wedle jego własnego wyznania, w treści tego przeżycia nie było prawdopodobnie nic tak dalece nadzwyczajnego: romans bogatego Anglika z francuską tancerką, jej zdrada — były to, niewątpliwie, w życiu towarzyskim rzeczy dość częste. Jednakże było coś stanowczo niezwykłego w paroksyzmie wzruszenia, jakie go nagle ogarnęło w chwili, gdy okazywał zadowolenie ze swego obecnego nastroju, gdy mówił o uroku, jaki zaczął odnajdywać w starym domu i jego otoczeniu. Dziwiąc się, rozmyślałam nad tym zajściem. Stopniowo jednak, nie mogąc go sobie na razie wytłumaczyć, przeszłam myślą do rozważania stosunku zwierchnika mojego do mnie. Zwierzenia wydały mi się holdem złożonym mojej dyskrecji — jako taki je przyjął i jako taki cenilam. Zachowanie jego względem mnie, teraz, od kilku tygodni, stało się równiejsze i bardziej jednostajne niż początkowo. Nigdy już nie miałam wrażenia, że mu zawadzam. Nie nachodziły go nastroje mrozącej wyniosłości. Jeśli mnie spotkał niespodziewanie, spotkaniu widocznie był rad. Miał zawsze słówko, a niekiedy uśmiech dla mnie. Gdy przychodziłam, przyzwana formalnym zaproszeniem, szczytył mnie taką serdecznością przyjęcia, że czułam, iż

¹⁵⁰Lasek Buloński — park położony w 16. dzielnicy Paryża, dawniej słynny z pojedynków. [przypis edytorski]

rzeczywiście posiadam umiejętność rozerwania go i że te wieczorne pogawędki przynoszą mu istotnie przyjemność, a mnie korzyść.

Ja, co prawda, stosunkowo mało mówiłam, ale lubiłam niezmiernie słuchać, gdy on opowiadał. Pan Rochester był z natury rozmowny. Lubił przed oczami nieznanymi świata roztaczać jego widoki i dzieje (nie widoki zepsucia ani grzeszne dzieje, ale te, które ciekawe były ze względu na wielką widowność, na znamionującą je szczególną dla mnie nowość). Ja zaś doznawałam żywej rozkoszy, przyjmując nowe myśli, które mi poddawał, wyobrażając sobie nowe obrazy, jakie kreślił, idąc myślą w ślad za nim przez nowo odkrywane mi światy, nigdy nieprzestraszona ani niezmięszana najłżejszą niewłaściwą aluzją.

Łatwość jego obejścia uwolniła mnie od przykrego skrępowania. Przyjacielska szczerść — równie właściwa, jak serdeczna — z którą mnie traktował, pociągała mnie ku niemu. Miałam niekiedy wrażenie, jakby raczej był krewnym moim niż zwierchnikiem. Przybierał niekiedy ton rozkazujący, ja tego jednak nie brałam do serca. Wiedziałam, że takie już jest jego obejście.

Poczułam się tak zadowolona i szczęśliwa, gdy to nowe zainteresowanie przybyło mi w życiu, że przestałam tęsknić za towarzystwem ludzi. Mój los dotąd, jak obrączka cieniutkiego księżycy w nowiu, zdawał się rosnać, poszerzać. Pustki istnienia wypełniły się, fizycznie poprawiło się moje zdrowie, przytyłam, nabrałam sił.

Czy pan Rochester był teraz brzydki w moich oczach? Nie. Wdzięczność i wiele innych związanych z nią miłych i pogodnych wrażeń uczyniły mi jego twarz ulubionym widokiem dla oczu. Obecność jego w pokoju rozgrzewała lepiej niż najsutszy ogień. Nie zapomniałam mimo to o jego wadach i zapomnieć o nich nie mogłam, gdyż często je przede mną odkrywał. Był dumny, sarkastyczny, szorstki dla wszystkiego co niższe. W cichości serca wiedziałam, że jego wielką dobroć względem mnie równoważyła niesprawiedliwa surowość wobec wielu innych ludzi. Humor miał kapryśny i to bez powodów. Nieraz, gdy przychodziłam, wezwana, by mu czytać, zastawałam go w bibliotece samego, z głową opartą na złożonych rękach. A gdy podnosił oczy, na twarzy jego zalegała ciężka, ponura, niemal złośliwa chmura. Wierzyłam jednak, że jego złe humory, szorstkość i dawniejsze niemoralne wybryki (mówię *dawniejsze*, gdyż obecnie, zdaje się, już ich nie miał) pochodziły z jakichś okrutnych powikłań losu. Wierzyłam, że był z natury człowiekiem o lepszych dążnościach, wyższych zasadach i czystszych zamiłowaniach niż te, które okoliczności w nim rozwinęły, wychowanie wszczepiło czy też los wzmagał. Myślałam, że są w nim doskonale pierwiastki, choć na razie nadpsute, powikłane. Nie mogę zaprzeczyć, że martwiłam się jego zmartwieniem, czymkolwiek by ono było, i że wiele bym za to była dała, by móc mu przynieść ulgę.

Chociaż już zgasiałam świecę i położyłam się do łóżka, nie mogłam usnąć — wciąż myślałam o wyrazie jego twarzy, gdy zatrzymał się w alei i powiedział, że los jego stanął przed nim i odmówił mu szczęścia w Thornfield.

— Dlaczego? — zadawałam sobie pytanie. — Co go od tego domu odstręcza? Czy znowu opuści go wkrótce? Pani Fairfax mówiła, że rzadko pozostaje tutaj dłużej niż dwa tygodnie z rządu, a teraz już osiem tygodni tu bawi. Jeżeli wyjedzie, jakżeż smutna nastąpi tu zmiana! Przypuśćmy, że byłby nieobecny przez wiosnę, lato i jesień, jak pozbawione radości wyda się światło słońca i piękne, pogodne dni.

Sama nie wiem, czy zasnęłam czy nie po tych rozmyślaniach. Tyle wiem, że zerwałam się zupełnie trzeźwa, usłyszawszy jakiś nieokreślony pomruk, dziwny i posępny, rozlegający się, wydało mi się, tuż nade mną. Żałowałam, że zgasiałam świecę, noc była strasznie ciemna. Ogarnęło mnie przygnębienie. Podniosłam się i siadłam na łóżku, nasłuchując. Odgłos ów ucichł.

Starłam się znów zasnąć, jednakże serce biło we mnie niespokojnie. Pierchnął mój spokój wewnętrzny. Zegar w hallu wybił drugą. Właśnie w tej chwili wydało mi się, że drzwi mojego pokoju coś dotknęło, jak gdyby czyjeś palce przesunęły się po desce, szukając drogi wzdłuż ciemnego korytarza. „Kto tam?” — zapytałam. Nie było odpowiedzi. Zimny strach przejął mnie dreszczem.

Nagle przypomniałam sobie, że mógłby to być Pilot, który, o ile drzwi od kuchni były przypadkiem otwarte, wymykał się niekiedy i przychodził przed próg drzwi pana Rochester. Nieraz go widywałam rano tam leżącego. Ta myśl uspokoiła mnie nieco, położyłam się. Cisza koi nerwy, a że nieprzerwany spokój panował teraz w całym domu,

Strach

zaczęłam odczuwać senność na nowo. Nie było mi jednak sądzone spać tej nocy. Zaledwie sen zaczął kleić mi powieki, pierzchnął, spłoszony odgłosem ścinającym krew w żyłach.

A był nim śmiech jakiś szatański — półgłosny, przytłumiony i głęboki, dochodzący, zdawałoby się, spod samych drzwi mojego pokoju. Łóżko moje głowami stało tuż przy nich, tak że w pierwszej chwili pomyślałam, iż ta szatańsko śmiejąca się zjawa stoi obok mojego posłania albo raczej czai się przy mojej poduszce. Wstałam i rozejrzałam się, niczego jednak dojrzeć nie mogłam. Gdy się wciąż jeszcze rozglądałam, niesamowity dźwięk powtórzył się — teraz wiedziałam, że płynie on zza drzwi. Odruchowo najpierw zerwałam się i zasunęłam rygiel, a potem znów zawołałam: „Kto tam jest?”

Coś odezwało się jakimś gardłowym głosem i jęknęło. Niebawem usłyszałam, że kroki oddalają się wzdłuż galerii ku schodom trzeciego piętra. W ostatnich czasach wprowadzono tam drzwi, by móc to piętro zamykać. Usłyszałam otwieranie i zamykanie tych drzwi i zaległa cisza.

„Czyżby to była Grace Poole? I czyżby ona była opętana przez diabła?” — pomyślałam. Nie mogłam już dłużej wytrzymać w samotności, chciałam pójść do pani Fairfax. Spiesznie narzuciłam na siebie suknię i szal, odsunęłam rygiel i drżącą ręką otworzyłam drzwi. Tuż za drzwiami, na chodniku galerii stał lichtarz z palącą się świecą. Zdziwiła mnie ta okoliczność, więcej jednak jeszcze zdumiałam się, spostrzegłszy, że powietrze jest zupełnie ciemne, jak gdyby pełne dymu. I rozglądając się w prawo i w lewo, by dojsć, skąd płyną te błękitne kłęby, poczułam silną woń spalenizny.

Coś lekko skrzyknęło. Były to otwarte drzwi pokoju pana Rochester — to stamtąd dym kłębami się wydzierał. Już nie myślałam o pani Fairfax ani o Grace Poole, ani o śmiechu. W jednej chwili byłam w pokoju. Ogniste języki tańczyły dokoła posłania, kotara nad łóżkiem stała w płomieniach. Otoczony żarem i dymem, pan Rochester leżał bez ruchu, głęboko uspiiony.

— Proszę wstać! Niech pan wstanie! — wołałam.

Potrząsnęłam nim, ale on tylko mruknął coś i odwrócił się: dym go odurzył. Nie było chwili do stracenia, już nawet prześcieradła zaczynały się palić. Skoczyłam po jego miednicę i dzbanek, na szczęście miska była obszerna, a dzbanek głęboki — jedno i drugie pełne wody. Dźwignęłam je, oblałam łóżko i śpiącego, pobiegłam do mojego pokoju, przyniosłam stamtąd drugi dzbanek z wodą, zlałam posłanie raz jeszcze i z Bożą pomocą udało mi się ugasić płomienie, które już je pożerały.

Syk gaszonego żywiołu, łoskot tłukącego się dzbanka, który wyslizgnął mi się z rąk, a nade wszystko zimna kąpiel, której nie pożałowałam, obudziły wreszcie pana Rochester. Chociaż było ciemno, wiedziałam, że już nie śpi, ponieważ słyszałam, jak jakieś dziwne przekleństwa miotał, poczuwszy, że leży w kałuży wody.

— Czy to potop? — wołał.

— Nie, panie — odpowiedziałam — ale był tu pożar. Niech pan wstaje, proszę, jest pan przemoczony do nitki. Przyniosę panu świecę.

— W imię wszystkich elfów w chrześcijańskim świecie, czy to Jane Eyre? — zapytał. — Co pani ze mną zrobiła, czarownico mała? Kto jest w pokoju prócz pani? Czy pani chciała mnie utopić?

— Przyniosę panu świecę i, na miłość boską, niechże pan wstaje. Tu ktoś uknuł zamach na pańskie życie, musi pan prędko zbadać, kto to i co jest w tym...

— No! Otóż i wstałem, ale, broń Boże, niechże pani jeszcze świecy nie przynosi. Niech pani poczeka parę minut, aż włożę na siebie suche ubranie, jeżeli znajdę coś suchego... O, tak... Oto mój szlafrok. A teraz niech pani biegnie!

Pobiegłam i przyniosłam świecę, która wciąż jeszcze stała na korytarzu. Wziął ją z mojej ręki, podniósł, obejrzał łóżko, całe szerniałe i osmolone, z przemokłą pościelą. Dywan koło łóżka pływał w wodzie.

— Co to jest? Kto to zrobił? — zapytał.

Opowiedziałam mu krótko o wszystkim, co zaszło: o tym dziwnym śmiechu, który posłyszałam na korytarzu, o krokach zdążających na trzecie piętro, o dymie i woni spalenizny, która zaprowadziła mnie do jego pokoju, o tym, co tutaj zastałam i o tym, jak wylałam na niego wodę, którą miałam pod ręką.

Słuchał bardzo poważnie. Twarz jego podczas mego opowiadania wyrażała więcej smutku niż zdziwienia. Nie od razu przemówił, chociaż skończyłam.

Pożar

— Czy mam poprosić panią Fairfax? — zapytałam.

— Panią Fairfax? Nie, po cóż, u licha, chciałaby ją pani wołać? Cóż ona pomoże? Niech sobie śpi spokojnie.

— W takim razie pójdę po Leah, obudzę Johna i jego żonę.

— Ależ nie, niech się pani nie rusza. Ma pani na sobie szal. Jeżeli pani nie dosyć ciepło, może pani włożyć mój płaszcz. Niech się pani w niego otuli i usiądzie w fotelu. Tak, włożę go na panią. A teraz niech pani na tym stołku oprze nogi, żeby ich nie zamoczyć. Opuszczę panią na kilka minut. Świecę zabiorę. Niech pani tu siedzi, dopóki nie wrócę, i niech pani zachowuje się cichutko. Ja muszę pójść na drugie piętro. Niechże się pani nie rusza, proszę pamiętać, i niech pani nikogo nie woła!

Wyszedł. Patrzyłam na oddalające się światło. Przeszedł przez galerię bardzo cicho, jak najciszej otworzył drzwi na schodach i zamknął je za sobą, a wtedy ostatni promień światła zgasł. Pozostałam w zupełnej ciemności. Nasłuchiwałam jakiegoś odgłosu, ale nic nie było słychać. Trwało to bardzo długo. Zaczęło mnie opanowywać zmęczenie. Zimno mi było pomimo płaszcza, a poza tym nie rozumiałam, po co mam czekać, skoro i tak nie mam budzić domu. Już miałam narazić się na niezadowolenie i odejść wbrew poleceniu pana Rochester, gdy światło znowu mignęło na ścianie korytarza i usłyszałam kroki na chodniku. „Myślę, że to on, a nie co gorszego” — przebiegło mi przez głowę.

Pan Rochester wszedł, blady i bardzo zasępiiony.

— Wykryłem wszystko — powiedział, stawiając świecę na umywalni. — Jest tak, jak przypuszczałem.

— To znaczy jak? — zapytałam.

Nie odpowiedział, stał z założonymi rękoma, patrząc w ziemię. W końcu po kilku minutach zapytał jakimś szczególnym tonem:

— Nie pamiętam... Czy pani mówiła, że widziała coś, otworzywszy drzwi swego pokoju?

— Nie, panie, zobaczyłam tylko lichtarz na podłodze.

— Ale słyszała pani jakiś śmiech niesamowity? Ten śmiech: czy słyszała już pani kiedyś coś podobnego?

— Tak, panie. Jest tam kobieta, która tutaj szyje, nazywa się Grace Poole. To ona się w ten sposób śmieje. To dziwna osoba.

— Ot właśnie. Grace Poole... Zgadła pani. Ona jest, jak się pani wyraziła, dziwna... Bardzo. No dobrze, ja się nad tym zastanowię. Tymczasem rad jestem, że pani jedyna, oprócz mnie, zna dokładnie szczegóły zajścia dzisiejszej nocy. Pani nie jest gadatliwym głuptasem, niech pani nic o tym nie mówi. Ja już jakoś wytłumaczę to, co się tutaj stało — tu wskazał łóżko — a pani niech teraz wraca do swojego pokoju. Ja zupełnie dobrze spędzę resztę nocy na kanapie w bibliotece. Już dochodzi czwarta, za dwie godziny służba będzie na nogach.

— A więc dobranoc panu — rzekłam, zabierając się do odejścia.

Wydał się zdziwiony — bardzo niekonsekwentnie, co prawda, gdyż sam dopiero co powiedział, że mam już pójść.

— Co? — zawołał. — Opuszcza mnie pani, i to w ten sposób?

— Pan powiedział, że mogę już odejść.

— Ale nie bez pożegnania, nie bez paru słów podziękowania i wdzięczności z mojej strony, nie w ten nagły, oschły sposób. Pani mi przecież ocaliła życie! Wyrwała mnie pani okropnej, pełnej mąk śmierci! I tak pani przechodzi koło mnie, jak gdybyśmy sobie byli zupełnie obcy! Przynajmniej rękę niech mi pani poda!

Wyciągnął rękę. Podałam mu swoją. Ujął ją najpierw jedną, potem obiema dłońmi.

— Ocaliła mi pani życie. Błogo mi, że winien jestem pani dług tak niezmierny. Więcej powiedzieć nie mogę. Nie ścierpiałbym nikogo w roli wierzyciela za takie dobrodziejstwo. Ale pani to co innego... Mnie pani dobrodziejstwa nie ciężą, panno Jane.

Umilkł i patrzył na mnie. Słowa, prawie widoczne, drżały mu na wargach, ale głos ich nie wypowiedział.

— Jeszcze raz dobranoc panu — rzekłam. — Nie ma żadnego długu, dobrodziejstwa, ciężaru czy wdzięczności w tym wypadku.

— Ja wiedziałem — mówił dalej — że kiedyś, w jakiś sposób dobro przez panią, panno Jane, na mnie spłynie... Wyczytałem to w twoich oczach, gdy po raz pierwszy cię ujrzałem. Ich wyraz i uśmiech nie... — tu znowu urwał — nie — mówił dalej szybko — nie nadaremnie tak błogo wzruszył samą głęb mojego serca. Ludzie mówią o wrodzonych sympatiach, słyszałem też o duchach dobrych. Są ziarna prawdy w najbardziej fantastycznych bajkach. Moja umiłowana wybawicielko, dobranoc!

Dziwna energia była w jego głosie, dziwny ogień w jego spojrzeniu.

— Cieszę się, iż tak się przypadkiem zdarzyło, że właśnie nie spałam — odparłam i znów chciałam odejść.

— Co? *Chce* pani iść koniecznie?

— Zimno mi, panie.

— Zimno? Tak... I stoisz w kałuży wody! Idź więc, panno Jane, idź!

Ale wciąż jeszcze trzymał moją rękę, a ja nie mogłam jej uwolnić. Przyszedł mi na myśl pewien fortel¹⁵¹.

— Zdaje mi się, że słyszę, że pani Fairfax się rusza — powiedziałam.

— A więc odejdz... Dobranoc! — wypuścił moją rękę, a ja poszłam do siebie.

Położyłam się z powrotem, ale nie było mowy o śnie. Dopóki dzień nie zaświtał, kołysałam się na niespokojnym morzu, gdzie bałwany troski toczyły się pod wierzchnią pianą radości. Zdawało mi się chwilami, że poza dzikim odmętym wód widzę brzeg rozkoszny. Raz po raz też rześki powiew, wzbudzony nadzieją, niósł triumfalnie ducha mego ku przystani. Nie mogłam jej jednak dosięgnąć, nawet wyobraźnią — przeciwny wiatr wiał od lądu i stale mnie odpychał. Rozum opierał się szaleństwu, zdrowy sąd walczył z żarem uczucia. Nazbyt rozgrzająca, żeby zasnąć, wstałam, gdy tylko dzień zaświtał.

ROZDZIAŁ XVI

I pragnęłam, i lękałam się zarazem zobaczyć pana Rochester'a nazajutrz po tej bezsennej nocy. Pragnęłam głos jego znów usłyszeć, ale lękałam się spotkania z jego oczami. Podczas rannych lekcji w każdej chwili spodziewałam się, że przyjdzie. Nieczęsto zaglądał do naszego szkolnego pokoju, ale niekiedy wstępował tam na parę minut, a tego dnia miałam wrażenie, że z pewnością przyjdzie.

Tymczasem rano minął jak zwykle. Nic nie przerwało zwykłego biegu nauki Adeli, tylko zaraz po śniadaniu usłyszałam ruch po stronie pokoju pana Rochester'a, strzępki rozmów pani Fairfax, Lei i kucharki (czyli żony Johna), a nawet szorstki głos samego Johna. Rozlegały się okrzyki: „Co za szczęście, że pan się nie spalił w łóżku!”, „Jak to zawsze niebezpiecznie trzymać świecę zapaloną w nocy!”, „Jak to dobrze, że nie stracił przytomności i pamiętał o dzbanku z wodą!”, „Dziwię się, że nikogo nie obudził!”, „Miejmy nadzieję, że się nie przeziębił, śpiąc na kanapie w bibliotece!” itp.

Po różnych opowieściach przyszły odgłosy szorowania, wycierania i porządkowania, a gdy schodziłam na dół na obiad, zobaczyłam przez otwarte drzwi, że wszystko już wróciło do porządku — łóżko jedynie pozbawione było zasłony. Leah stała przy oknie, czyszcząc szyby, okopcone dymem. Miałam ochotę zagadnąć ją, gdyż byłam ciekawa, jak pan Rochester wytłumaczył całą sprawę. Zbliżywszy się, ujrzałam jednak drugą osobę w pokoju — kobietę siedzącą na krześle przy łóżku i przyszywającą kółka do świeżej zasłony. Kobieta tą, ku mojemu zdumieniu, była Grace Poole.

Siedziała tam, spokojna i milcząca jak zwykle, w brązowej, wełnianej sukni, kraciatym fartuchu, białej chusteczce i czepku. Była pilnie zajęta swoją robotą i ta widocznie pochłaniała wszystkie jej myśli. Na jej pospolitej twarzy nie było znać bladej ani zgnębienia, jakie spodziewałam się ujrzeć na obliczu kobiety, która popełniła zamach morderczy i którą upatrzona jej ofiara odszukała kilka godzin temu w jej jaskini (tak przynajmniej sądziłam) i wyrzuciła jej zamierzoną zbrodnię. Zdumiałam się, osłupiałam. Spojrzała na mnie, podczas gdy ja wciąż na nią patrzyłam. Nie drgnęła, nie zmieniła się na twarzy, nic nie zdradzało wzruszenia, świadomości winy czy też obawy odkrycia. Powiedziała „Dzień dobry pani” — flegmatycznie, krótko jak zawsze — wzięła nowe kółko i nitkę i szła dalej.

¹⁵¹fortel (daw.) — podstęp. [przypis edytorski]

„Wystawię ją na próbę — pomyślałam — taka skrytość i bezczelność przechodzi ludzkie pojęcie!”

— Dzień dobry, Grace! — powiedziałam. — Czy się coś tutaj stało? Zdawało mi się, że słyszałam, jak wszyscy razem rozmawialiście tu przed chwilą.

— To tylko pan czytał w łóżku wczoraj w nocy. Zasnął, nie zgasiwszy świecy, i zasłona się zapaliła. Na szczęście jednak obudził się, zanim się pościel i drzewo zajęły, i udało mu się wodą z dzbanka ugasić płomień.

— Dziwna sprawa! — rzekłam po cichu, a potem, wpatrując się w nią, dodałam: — Czy pan Rochester nikogo nie obudził? Nikt nie słyszał ruchu w jego pokoju?

Podniosła znowu wzrok na mnie, ale tym razem jak gdyby błysk czujności pojawił się w jej oczach. Zdawało mi się, że bada mnie ostrożnie. Po chwili odpowiedziała:

— Służące tak daleko śpią, pani wie, trudno, żeby usłyszały. Pokoje pani Fairfax i pani najbliższe są pokoju pana, ale pani Fairfax powiada, że nic nie słyszała. Ludzie starsi miewają mocny sen. — Przerwała, a potem dodała, niby to obojętnie, ale z naciskiem i tonem znaczącym: — Ale pani jest młoda i przypuszczam, że pani ma lekki sen. Może pani słyszała jaki hałas?

— Tak jest, słyszałam — odparłam, zniżając głos, tak ażeby mnie Leah, wycierająca jeszcze szyby, nie dosłyszała — i początkowo myślałam, że to Pilot. Ale Pilot nie potrafi się śmiać, a ja jestem pewna, że słyszałam śmiech i to bardzo dziwny śmiech.

Wzięła nową nitkę, nawoskowała ją starannie, pewną ręką nawlokła igłę, po czym zauważyła z zupełnym spokojem:

— Trudno przypuszczać, proszę pani, żeby to pan się śmiał, skoro był w takim niebezpieczeństwie. Musiało się pani śnić.

— Nie śniło mi się — odpowiedziałam trochę porywczo, gdyż podrażnił mnie jej bezczelny spokój. Znowu popatrzyła na mnie tymi samymi badawczymi, tającymi coś oczyma.

— Czy pani powiedziała panu, że słyszała ten śmiech? — zapytała.

— Nie miałam sposobności rozmawiać z panem dziś rano.

— Nie przyszło pani do głowy, żeby otworzyć drzwi i wyrzucić na galerię? — pytała dalej.

Zdawało mi się, że mnie podpytuje, licząc na to, że mimo woli zdradzę się z jakąś informacją. Przyszło mi na myśl, że gdyby odkryła, iż ja wiem o jej winie, a choćby ją o nią posądzam, że wtedy wywarłaby na mnie jakąś złośliwą zemstę. Toteż pomyślałam, że należy się strzec.

— Przeciwnie — odpowiedziałam — zaryglowałam drzwi mojego pokoju.

— A więc nie zamyka pani codziennie drzwi swoich na zasuwkę, zanim się pani położy?

„Diablica! Ona chce poznać moje zwyczaje, by odpowiednio układać swe plany!” Oburzenie znowu przeważało względy przezorności, odpowiedziałam jej ostro:

— Dotychczas nieraz zaniedbywałam zasunąć rygiel. Nie sądziłam, by to było potrzebne. Nie wiedziałam, że w Thornfield można się obawiać jakichś niebezpieczeństw albo zamachów. Ale odtąd — te słowa wymówiłam z naciskiem — będę pilnie dbała, by się dobrze zabezpieczyć, zanim się odważę spocząć.

— I bardzo mądrze pani zrobi — odpowiedziała. — Ta okolica jest tak spokojna jak rzadko która. I od czasu, jak dom stoi, nigdy nie słyszałam, żeby tu na dwór napadali złodzieje albo włamywacze, choć jest tam sreber za setki funtów w schowku, jak wszystkim wiadomo. I, widzi pani, jak na tak wielki dom, bardzo tu mało jest służby, ponieważ pan nigdy tu dłużej nie mieszkał, a nawet kiedy przyjeżdża, jako kawaler niewiele usług potrzebuje. Ale ja zawsze myślę, że lepiej jest przesadzić, niż nie dosadzić. Łatwo jest drzwi zamknąć, a nigdy nie zawadzi odgrodzić się zasuniętym rygłem od jakiegokolwiek przypadku. Wielu ludzi, proszę pani, spuszcza się we wszystkim na Opatrzność, ale ja zawsze powiadam, że strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Tu zakończyła swoją przemowę — długą jak na nią i wypowiedzianą ze skromną miną prawdziwej kwakierki. Stałam jeszcze, wprost oniemiała wobec jej zadziwiającego panowania nad sobą i nieprzeniknionej obłudy, gdy weszła kucharka.

— Pani Poole — zwróciła się do Grace — obiad dla służących będzie zaraz gotów. Czy pani zejdzie na dół?

— Nie, niech pani tylko postawi na tacce mój kufel portera i kawałek puddingu, a ja sobie to sama zaniosę na górę.

— A mięsa kawałek życzy pani sobie?

— Na jeden kęs i odrobinę sera, to wszystko.

— A sago¹⁵²?

— Mniejsza o nie teraz, zejdę na dół przed herbatą i przyrządzę je sama.

Wtedy kucharka zwróciła się do mnie, oznajmiając, że pani Fairfax na mnie czeka; wobec tego wyszłam.

Opowiadanie pani Fairfax o spaleniu się zasłony puszczałam mimo uszu, głowę moją zaprzętał zagadkowy charakter Grace Poole i niezrozumiały dla mnie problem jej pozycji w Thornfield. Nie mogłam pojąć, dlaczego zaraz rano nie oddano jej do aresztu albo co najmniej nie wydalono ze służby. Przecież pan Rochester tak jakby wyjawiał w nocy przekonanie, że to ona jest zbrodniarką. Jakaż tajemnicza przyczyna wzbraniała mu ją zaskarżyć? Dlaczego i mnie zobowiązał do tajemnicy? Dziwne to było — odważny, mściwy i dumny pan zdawał się być pod władzą jednej z najniższych podwładnych tak dalece, że chociaż targnęła się na jego życie, nie śmiał jej otwarcie obwinić o zamach, a tym mniej ją za to ukarać.

Gdyby Grace była młoda i ładna, miałabym pokusę pomyśleć, że jakieś czulsze względy niż przezorność i obawa przemawiają tutaj na jej korzyść. Trudno jednakże było myśl tę dopuścić, pamiętając, jak skąpo obdarzona została przez naturę. „A jednak — rozmyślałam — była ona niegdyś młoda, młoda równocześnie z młodym wtedy jej panem. Pani Fairfax powiedziała mi kiedyś, że Grace już od wielu lat przebywa w tym domu. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek mogła być ładna, ale czy ja wiem? Może w braku powabów zewnętrznych posiadała oryginalność i siłę charakteru... Pan Rochester lubi typy zdecydowane i ekscentryczne. Grace w każdym razie jest ekscentryczna. I cóż, jeżeli dawniejszy kaprys (wybryk zupełnie możliwy przy takiej jak jego naturze, gwałtownej i upartej) oddał go pod jej władzę, a ona teraz na postępowanie jego wywiera tajemny wpływ, rezultat dawnego błędu, wpływ, którego on nie śmie lekceważyć, a spod którego otrząsnąć się nie może? Gdy w przypuszczeniach doszłam do tego punktu, stanęła mi nagle w myśli jak żywa kwadratowa, płaska figura pani Poole, jej nieładna, sucha, nawet ordynarna twarz, tak że powiedziałam sobie: „Nie! To niemożliwe! Moje przypuszczenie nie może być trafne! A jednak — podszeptął mi tajemniczy głos, ten, który do nas z głębi serca mówi — i ty nie jesteś piękną, a może się panu Rochesterowi podobasz. W każdym razie nieraz czułaś, jak gdyby tak było. A ostatniej nocy, przypomnij sobie jego słowa, przypomnij sobie jego wzrok, przypomnij sobie jego głos!”.

Dobrze pamiętałam wszystko: mowa, spojrzenia, ton — wszystko to w tej chwili odżyło. Byłam właśnie w pokoju szkolnym, Adela rysowała. Nachyliłam się nad nią, by poprowadzić jej ołówek. Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Co pani jest, *mademoiselle*? — zapytała. — Palce pani drżą jak liść, a policzki ma pani czerwone. Ależ tak, czerwone jak wiśnia!

— Gorąco mi się zrobiło, Adelo, od tego nachylenia!

Rysowała dalej, a ja dalej rozmyślałam.

Czym prędzej wypędziłam z myśli szkaradne przypuszczenie obciążające Grace Poole, było mi wstrętne. Porównywałam się z nią i doszłam do wniosku, że jesteśmy wielce różne. Bessie Leaven powiedziała, że jestem prawdziwą damą. I prawdę powiedziała, była we mnie wrodzona dystynkcja. A teraz wyglądałam o wiele lepiej niż wtedy, kiedy mnie Bessie widziała. Przytyłam, więcej miałam rumieńca, więcej życia, ponieważ jaśniejsze miałam nadzieje, więcej głębokiej radości.

„Wieczór nadchodzi — pomyślałam, popatrzwszy w okno — nie słyszałam dziś ani głosu, ani kroków pana Rochester w domu, ale z pewnością zobaczę go, nim noc zapadnie. Bałam się spotkania rano, teraz go pragnę, gdyż oczekiwanie, dotychczas zawiedzione, zamieniło się w niecierpliwość”.

Gdy już zmrok zapadł zupełnie, a Adela poszła do dzieciennego pokoju pobawić się z boną, pragnienie zobaczenia pana Rochester spotęgowało się jeszcze we mnie. Nasłu-

¹⁵²sago — papka przyrządzana z mączki z pnia niektórych palm i sagowców albo z mąki kartoflanej. [przypis edytorski]

chiwałam, czy nie odezwie się dzwonek na dole. Nasłuchiwałam, czy Leah nie nadejdzie z wezwaniem dla mnie. Chwilami wydawało mi się, że słyszę kroki jego samego i wtedy patrzyłam na drzwi, oczekując, że się otworzą i on w nich stanie. Drzwi nie otwierały się, ciemność tylko wpływała oknem. Jednakże nie było jeszcze późno — szósta zaledwie — a nieraz bywałam proszona o siódmej, nawet o ósmej. Przecież nie spotka mnie chyba zupełny zawód dziś właśnie, dziś, kiedy mam mu tyle do powiedzenia! Pragnęłam wznowić temat Grace Poole i usłyszeć, co mi odpowie. Zamierzałam zapytać go po prostu, czy wierzy w to, że to ona istotnie urządziła ten ohydny zamach ubiegłej nocy, a jeżeli tak, dlaczego niegodziwość jej zataja? Nie dbałam o to, że może rozgniewać go moja ciekawość. Znałam przyjemność gniewania go i uspokajania z kolei. Lubiłam to nade wszystko, a nieomylny instynkt chronił mnie zawsze od przeciągnięcia struny. Na prowokację nigdy się nie ważyłam, a w ostatecznym momencie lubiłam przekonywać się o własnej zręczności. Zachowując wszelkie formy uszanowania, właściwego mojej pozycji, umiałam staczać z nim utarczki słowne swobodnie i bez obawy — to dogadzało tak jemu, jak i mnie.

Nareszcie schody zaskrzypiały pod czyimiś krokami. Ukazała się Leah, ale jedynie po to, by mi oznajmić, że herbata czeka w pokoju pani Fairfax. Tam przeto poszłam, rada, że nareszcie mogę zejść na dół, gdyż wyobrażałam sobie, że to mnie zbliżało do pana Rochester.

— Musi być pani spragniona herbaty — zaczęła zacna staruszka, gdy weszłam. — Tak mało jadła pani na obiad. Lękam się, czy pani nie jest niezdrowa dzisiaj. Taka pani rozpalona, jakby pani miała gorączkę.

— O, jestem zupełnie zdrowa! Nigdy nie czułam się lepiej.

— To niechże pani tego dowiedzie dobrym apetytem! Czy nie nalałaby pani z imbryka, a ja tymczasem przerobię do końca ten drut?

Dokończywszy, wstała i poszła spuścić roletę, dotychczas podniesioną — przypuszczam, że dla wykorzystania światła, chociaż już teraz zmrok zgęstniał i było zupełnie ciemno.

— Pogodną noc dzisiaj mamy — rzekła, wyjrzawszy przez szybę — chociaż nie świecą gwiazdy. Pan Rochester na ogół miewa dobry dzień do podróży.

— Do podróży?... Czy pan Rochester gdzieś wyjechał? Nie wiedziałam, że go nie ma w domu.

— O, wyjechał zaraz po śniadaniu! Pojechał do Leas, majątku pana Eshtona, dziesięć mil za Millcote. Zdaje mi się, że tam jest duży zjazd gości: lord Ingram, sir George Lynn, pułkownik Dent i inni.

— Czy pani spodziewa się dziś wieczór powrotu pana Rochester?

— Nie, ani też jutro. Myślę, że prawdopodobnie zabawi tam z tydzień albo i dłużej. Gdy ten modny, wyższy świat zbierze się razem, otacza ich taka elegancja i wygoda, tak sobie uprzyjemniają czas rozrywkami i zabawą, że niespieszno im się rozłączać. Panowie zwłaszcza bywają często bardzo pożądanymi przy takich okazjach. A pan Rochester jest tak utalentowany i ożywiony w towarzystwie, że musi być chyba ulubieńcem wszystkich. Panie za nim przepadają, choć powie pani może, że powierzchowność ma niezbyt piękną. Jednakże ja myślę, że jego wykształcenie i zalety towarzyskie, a może też bogactwo i dobra krew, wynagradzają pewne niedostatki urody.

— Czy są tam panie w Leas?

— Jest pani Eshton i jej trzy córki, bardzo eleganckie panienki. I są tam córki baroneta¹⁵³ Ingrama, Blanche i Mary, podobno bardzo piękne osoby. Ja nawet właściwie widziałam Blanche, sześć czy siedem lat temu, gdy była osiemnastoletnią dziewczyną. Przyjechała tu na wielką zabawę, którą w święta Bożego Narodzenia wydawał pan Rochester. Gdyby pani widziała wtedy jadalnię, jak bogato była przystrojona, jak jarząco oświetlona! Zdaje mi się, że było tam z pięćdziesiąt osób, panów i pań, wszyscy z najpięrszych rodzin hrabstwa, a pannę Ingram uważano za królową wieczoru.

— Mówi pani, że ją widziała? Jakże ona wygląda?

— Tak jest, widziałam ją. Drzwi jadalni były na oścież otwarte, a że to było Boże Narodzenie, pozwolono służbie zgromadzić się w hallu i słuchać, jak panie śpiewają i grają.

¹⁵³baronet — najniższy dziedziczny angielski tytuł szlachecki. [przypis edytorski]

Pan Rochester chciał, żebym weszła, więc siadłam w spokojnym kąciku i przyglądałam się towarzystwu. Nigdy nie widziałam świetniejszego obrazu: panie były wspaniale poumierane, większość, zwłaszcza młodsze, były ładne, ale panna Ingram była niewątpliwie królową.

— Jakże ona wyglądała?

— Wysoka, piękna figura, spadziste ramiona, długa, pełna wdzięku szyja, cera śniada, matowa, gładka, szlachetne rysy, oczy może podobne do oczu pana Rochester: wielkie i czarne, a tak błyszczące jak jej klejnoty. A przy tym tak śliczne miała włosy, kruczoczarne i tak korzystnie uczesane, korona z grubych warkoczy z tyłu, a z przodu długie, lśniące loki. Ubrana była na białą, jasnożółta szarfa obejmowała jedno jej ramię, przechodziła przez piersi i przewiązana była z boku w pasie, spadając długimi, frędzlą obszytymi końcami poniżej kolan. Miała też we włosach jasnożółty kwiat, stanowiący dobry kontrast z kruczymi puklami.

— Zapewne bardzo ją podziwiano?

— Tak, istotnie. Nie tylko dla urody, ale i dla jej talentów. Była jedną z tych pań, które śpiewały. Któryś z panów akompaniował na fortepianie. Z panem Rochesterem śpiewała duet.

— Z panem Rochesterem? Nie wiedziałam, że on śpiewa!

— O! Pan Rochester ma piękny głos basowy i jest nadzwyczaj muzykalny.

— A panna Ingram jaki ma rodzaj głosu?

— Bardzo bogaty i silny. Ślicznie śpiewała, rozkoszą było ją słyszeć. A potem grała. Ja się nie znam na muzyce, ale pan Rochester się zna, a słyszałam, jak mówił, że wykonanie było wybitnie dobre.

— I ta piękna i utalentowana panna jeszcze nie wyszła za mąż?

— Zdaje się, że nie. Przypuszczam, że ani ona, ani jej siostra nie mają wielkiego majątku. Majątki starego lorda Ingrama objęte były przeważnie majoratem¹⁵⁴ i najstarszy syn prawie wszystko dostał.

— Ale ja się dziwię, że ktoś z bogatej szlachty nie upodobał jej sobie, na przykład pan Rochester. Przecież on jest bogaty, nieprawdaż?

— O tak! Ale widzi pani, zachodzi tutaj znaczna różnica wieku. Pan Rochester ma prawie czterdzieści lat, a ona zaledwie dwadzieścia pięć.

— Cóż stąd? Mniej równe małżeństwa zawierają ludzie codziennie.

— To prawda. Jednak ja sobie nie wyobrażam, żeby pan Rochester myślał o czymś podobnym. Ale pani nic nie je, zaledwie skosztowała pani cośkolwiek prócz herbaty.

— Istotnie, zanadto pić mi się chce, żebym mogła jeść. Czy mogę panią poprosić o jeszcze jedną filiżankę?

Chciałam powrócić do możliwości związku pomiędzy panem Rochesterem a piękną Blanche, jednakże weszła Adela i rozmowa potoczyła się innym torem.

Znalazłszy się sama we własnym pokoju zastanowiłam się nad tym, czego się dowiedziałam. Zajrzałam w głąb serca, zbadalam myśli swe i uczucia. I te, które błąkały się, rozbujane, po bezdrożach wyobraźni, usiłowałam pewną ręką zapędzić z powrotem pod bezpieczny schron zdrowego rozsądku.

Stawiona przed własny trybunał — gdy pamięć wskazała przyczyny, budzące nadzieje, pragnienia, uczucia, jakie nosiłam w sercu od ostatniej nocy, gdy wytłumaczyła ogólny stan duszy, jakiemu folgowałam od ostatnich prawie dwóch tygodni, gdy rozum, wystąpiwszy, złożył spokojnie, po swojemu, zeznania proste, nieubarwione, wykazujące, jak odrzucałam to, co rzeczywiste, a chłonełam chciwie to, co wymarzone — wydałam na siebie sąd taki:

Nie było na świecie głupszej istoty od Jane Eyre, nie było na świecie bardziej niedorzecznej idiotki, karmiącej się słodkimi kłamstwami, połykającej truciznę jak gdyby to był nektar.

„Ciebie — mówiłam sobie — miałby wyróżnić pan Rochester? Ty miałabyś posiadać dar podobania mu się? Ty mogłabyś mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie? Daj spokój!

¹⁵⁴majorat — dawna zasada dziedziczenia, zgodnie z którą cały majątek otrzymywał najstarszy syn lub najbliższy krewny. [przypis edytorski]

Mierzi mnie twoja głupota! I ty znajdowałaś przyjemność w pewnych objawach przychylności, dwuznacznych objawach, gdy darzy nimi mężczyzna wyższego rodu, światowiec, osobę zależną od siebie i niedoświadczoną? Jakże ty śmiałaś, biedna, niemądra ofiara! Czyż nawet własny interes nie mógł cię nauczyć rozumu? Powtarzałaś dziś rano krótką scenę z ubiegłej nocy? Zakryj twarz i wstydź się! Powiedział coś na pochwałę twoich oczu, czy tak? Ślepe szczenię! Otwórz oczy i spójrz na twój własny, przeklęty brak rozumu! Niedobrze, gdy kobieta słucha pochlebstw zwierchnika, który nie może mieć zamiaru pojąć ją za żonę. A szaleństwo popelnia kobieta, pozwalająca, by w sercu jej rozpalila się miłość tajemna, która, nieodwzajemniona i nieznama, pochłonie jej życie, a odkryta i odwzajemniona, musi ją jak błędny ogień zaprowadzić na bagniste pustkowia, skąd nie ma powrotu.

Usłysz przeto, Jane, wyrok: jutro postawisz przed sobą zwierciadło i wyrysujesz kredkami własny portret, wiernie, nie łagodząc żadnego błędu. Nie opuścisz ani jednej ostrej linii, nie wygładzisz ani odrobiny brzydkiej nieforemności. Podpiszesz go: «Portret nauczycielki, bez stosunków, biednej i brzydkiej».

Następnie weź płytkę z najgładszej słoniowej kości — masz właśnie taką, przygotowaną w pudle rysunkowym. Weź paletę, zmieszaj najświeższe, najpiękniejsze, najjaśniejsze farby, wybierz najdelikatniejsze pędzelki, narysuj najpiękniejszą twarz, jaką sobie możesz wyobrazić. Wymaluj ją w najsztubtelniejszych odcieniach i najłagodniejszych barwach, odpowiednio do opisu Blanche Ingram, jakiego ci dostarczyła pani Fairfax. A nie zapomnij o kruczonych lokach, o oczach wschodniego typu... Co to! Chciałabyś wzorować oczy na oczach pana Rochester! Do porządku! Bez mazgajstwa! Bez czułościowości! Precz z żałami. Uznaję tylko rozum i stanowczość! Przypomnij sobie dostojne, harmonijne rysy, grecką szyję i biust. Uwidocznij odkryte, okrągłe, śnieżnobiałe ramię i delikatną rękę. Nie opuść pierścienia z brylantami, lekkiej koronki i lśniącego atlasu, wdzięcznej szarfy ani złotej róży. Nazwij ten portret: «Blanche, dystygowana panna wysokiego rodu».

Ilekcóż w przyszłości zdarzyłoby ci się mieć złudzenie, że pan Rochester ci sprzyja, wydobać obydwie te portrety i porównaj je. A potem powiedz: «Pan Rochester mógłby prawdopodobnie pozyskać miłość tej szlachetnej damy, gdyby chciał się o nią starać. Czy to możliwe, żeby mógł choćby pomyśleć o tej ubogiej i nic nieznaczącej plebejusze?».

Zrobię to — postanowiłam. A powziąwszy ten zamiar, uspokoiłam się i zasnęłam.

Dotrzymałam słowa. Godzina czy też dwie wystarczyły mi na naszkicowanie własnego portretu kredkami, a w mniej niż dwa tygodnie ukończyłam miniaturę przypuszczalnej Blanche Ingram. Piękna była twarz na tym idealnym portrecie, a gdy ją porównałam z realistycznym, kredkowym, kontrast uderzył znamiennie. Ta praca przyniosła mi pożytek: zajęła mi głowę i ręce, dodała mocy i stałości nowym uczuciom, które pragnęłam utrwalić w sercu.

Przyszedł niebawem czas, gdy mogłam powinszować sobie zdrowej nauczki, narzuconej moim uczuciom i w ten sposób ujętym w karby. Dzięki temu potrafiłam znieść pewne wydarzenia z przyzwoitym spokojem, na co, gdybym była nieprzygotowana, prawdopodobnie nie byłabym się zdobyła nawet zewnętrznie.

ROZDZIAŁ XVII

Minał tydzień, ale od pana Rochester nie było wiadomości. Dziesięć dni minęło, a on jeszcze nie wracał. Pani Fairfax powiedziała, że wcale by się nie dziwiła, gdyby z Leas pojechał prosto do Londynu, a stamtąd na kontynent i nie pokazał się w Thornfield wcześniej niż za rok. Nieraz już wyjeżdżał nagle i niespodziewanie. Słyszając to, zaczęłam odczuwać dziwny chłód i ściskanie w sercu. Pozwoliłam sobie rzeczywiście doznać nieznośnego uczucia zawodu. Jednakże oprzytomniawszy, wspomniałam zasady i przywołałam uczucia swe do porządku. I aż dziw, jak przewyciężyłam chwilowe zachwianie się, jak wyperswadowałam sobie, że nie mam powodu interesować się żywiej sprawami pana Rochester. I nie dlatego upokarzałam się w niewolniczym poczuciu niższości. Przeciwnie, powiedziałam sobie tylko:

„Nic cię nie łączy z właścicielem Thornfield, prócz tej pensji, którą ci wypłaca za nauczanie dziewczynki, oraz wdzięczności za pełne szacunku i uprzejmości traktowanie, do którego masz prawo, o ile spełniasz obowiązek. Bądź pewna, że to jedyny łącznik

Portret

Miłość, Pozycja społeczna

między nim a tobą, który on na serio uznaje. Toteż nie obieraj sobie pana Rochester'a za przedmiot najłodszych uczuć, uniesień, mąk i tak dalej. On nie jest z twojej sfery. Trzymaj się swojej własnej i nie zlewaj miłości całego serca, duszy i siły na kogoś, kto tego daru nie pragnie i tylko by nim pogardził”.

Spokojnie prowadziłam dalej zajęcia. Niekiedy snuły mi się po głowie mgliste przypuszczenia, czy by nie było lepiej opuścić Thornfield. Mimo woli układałam ogłoszenia i zastanawiałam się nad możliwością uzyskania nowej posady. Nie uważałam za potrzebne hamować tych myśli. Mogły sobie kielkować, by z czasem przynieść owoc.

Pan Rochester już z górą dwa tygodnie był nieobecny, gdy poczta przyniosła pani Fairfax list.

— To od pana — powiedziała, spojrzawszy na adres. — Teraz zapewne dowiemy się, czy mamy się spodziewać jego powrotu czy też nie.

A podczas gdy ona, złamawszy pieczęć, przeglądała pismo, ja w dalszym ciągu piłam kawę. Była gorąca i temu przypisywałam, że mnie tak strasznie twarz zaczęła palić. Ale dlaczego ręka mi drżała, tak że mimo woli rozlałam połowę, nad tym wołałam się nie zastanawiać.

— No, ja czasami myślę, że u nas jest za dużo spokojnie. Ale teraz zrobi się dość rojno i gwarno, przez jakiś krótki czas przynajmniej — rzekła pani Fairfax, wciąż jeszcze trzymając list przed oczami.

Zanim pozwoliłam sobie zapytać o wyjaśnienie, zawiązałam tasiemki od fartuszka Adeli, przypadkiem rozplątane, po czym dolawszy jej mleka i podawszy jeszcze jedną bułeczkę, powiedziałam od niechcenia:

— Pan Rochester zapewne jeszcze nie wróci tak prędko?

— Owszem, wraca. Píše, że za trzy dni, to znaczy w czwartek. I w dodatku nie sam. Już sama nie wiem, ilu tych eleganckich gości z Leas ma przybyć wraz z nim. Każę mi przygotować wszystkie najlepsze gościnne pokoje i uporządkować bibliotekę i salony. I mam się postarać o więcej pomocniczek kuchennych z hotelu w Millcote i skąd będę mogła. A panie przywiozą swoje panny służące, panowie zaś swoich służących. Tak więc będziemy tego mieli pełen dom.

To powiedziawszy, pani Fairfax przełknęła szybko śniadanie i pośpieszyła od razu zabrać się do dzieła.

Trzy następne dni były bardzo pracowite. Sądziłam zawsze, że wszystkie pokoje w Thornfield są doskonale czyste i dobrze urządzone, okazało się jednak, że się myliłam. Trzy kobiety wzięto do pomocy i ani przedtem, ani potem nie widziałam nigdy takiego szorowania, szciotkowania, mycia, trzepania dywanów, zdejmowania i zawieszania obrazów, czyszczenia zwierciadeł i świeczników, palenia w gościnnych pokojach, wietrzenia pościeli. Adela jak szalona biegała wśród tego wszystkiego, przygotowania do zjazdu gości i nadzieja ich przybycia przyprawiała ją wprost o ekstazę. Chciała, żeby bona przejrzała wszystkie jej „*toilettes*”¹⁵⁵, jak nazywała swoje sukienki, odświeżyła te, które były „*passées*”¹⁵⁶, przewietrzyła i odprasowała nowe. Ona sama wierciła się tylko i kręciła po frontowych pokojach, wskakiwała na łóżka i zeskakiwała z nich, kładła się na materacach i na stosach poduszek, nagromadzonych przed buchającym w kominkach ogniem. Od lekcji została zwolniona, pani Fairfax zagarnęła mnie sobie do pomocy, zatem cały dzień byłam w spiżarni i kuchni, pomagając (a może przeszkadzając) jej i kucharce. Uczyłam się przyrządzać leguminy, ciastka serowe i ciasto francuskie, oczyszczać zwierzynę i garnirować półmiski z deserem.

Przybycia towarzystwa spodziewano się w czwartek po południu, na obiad o szóstej. W tym poprzedzającym zjazd okresie nie miałam czasu zajmować się urojeniami — i zdaje mi się, że byłam równie czynna i wesoła jak wszyscy, z wyjątkiem Adeli. Pomimo to wesołość moją tłumilo niekiedy coś nagle i wbrew mej woli spychało mnie z powrotem w sferę wątpliwości, domysłów i ciemnych przypuszczeń. A działało się to, ile razy ujrzałam drzwi na schodach prowadzących na trzecie piętro (w ostatnich czasach stale zamykane) otwierające się powoli i przepuszczające Grace Poole w gładkim czepeczku, białym fartuchu i chusteczce. Gdy widziałam, jak sunie wzdłuż korytarza spokojnym krokiem,

¹⁵⁵*toilettes* (fr.) — tu: toalety, stroje. [przypis edytorski]

¹⁵⁶*passées* (fr.) — tu: używane, stare. [przypis edytorski]

tłumionym miękkimi pantoflami, jak zagląda do przewróconych „do góry nogami” pokoi gościnnych, może tylko, by rzucić słówko porządkującej kobiecie, jak należy do glancu doprowadzić kratę przed kominkiem, wyczyścić gzyms marmurowy nad nim albo wywabić płamę z obicia na ścianie... W ten sposób schodziła do kuchni raz na dzień, zjadała obiad, wypalała fajeczkę przy ogniu i wracała, niosąc sobie na pociechę kufel portera do swej posepnej, górnej siedziby. Z dwudziestu czterech godzin jedną tylko spędzała w towarzystwie pozostałej służby, przez resztę czasu pędziła żywot w jakimś niskim, dębowym pokoju trzeciego piętra, siedząc tam i szyjąc, i prawdopodobnie śmiejąc się sama do siebie niesamowicie — osamotniona jak więzień w celi.

Najdziwniejszą rzeczą było to, że nikt w domu, prócz mnie, nie zwracał uwagi na jej zwyczaje, nie zdawał się im dziwić. Nikt nie zastanawiał się nad jej stanowiskiem ani nad jej zajęciami. Nikt nie litował się nad jej samotnością i odosobnieniem. Raz, co prawda, usłyszałam część rozmowy pomiędzy Leą a jedną z najętych kobiet, rozmowy dotyczącej Grace. Leah coś powiedziała, czego nie dosłyszałam, a wtedy kobieta zapytała:

— Dobrą pensję musi dostawać, wyobrażam sobie?

— Tak — odpowiedziała Leah. — Rada bym taką otrzymywać. To nie znaczy, żebym się na moją skarżyła... Tu nie ma skąpstwa w Thornfield, ale moja pensja to nawet nie piąta część tego, co dostaje pani Poole. Toteż ona odkłada. Co kwartał chodzi do banku w Millcote. Nie dziwiłabym się, gdyby już uzbierała dosyć, by móc się niezależnie utrzymać, gdyby miała ochotę odejść. Jednakże myślę, że przyzwyczaiła się do miejsca, a przy tym nie ma jeszcze lat czterdziestu, a silna jest i zdolna do wszystkiego. Za wcześniej jeszcze dla niej porzucać pracę.

— To zręczna osoba, taka się przynajmniej wydaje — zauważyła kobieta.

— Ach!... Ona się dobrze zna na tym, co ma do roboty. Nikt by tego lepiej nie potrafił — odpowiedziała Leah znacząco. — I nie każdy też umiałby ją zastąpić... Za te wszystkie pieniądze, które bierze.

— O, co to, to z pewnością! — brzmiała odpowiedź. — Ciekawa jestem, czy pan...

Kobieta chciała dalej mówić, ale w tym momencie Leah odwróciła się, spostrzegła mnie i natychmiast trąciła towarzyszkę.

— Czy ona nie wie? — dosłyszałam szept.

Leah potrząsnęła głową i rozmowa się urwała. Zrozumiałam z tego jedynie, że w Thornfield jest jakaś tajemnica i że od udziału w niej jestem rozmyślnie wykluczona.

Nadszedł czwartek, wszelką robotę ukończono poprzedniego wieczora. Porozkładano dywany, pozawieszano zasłony przy łóżkach, rozłożono śnieżnobiałe kapy, urządzono stoliki toaletowe, meble powycierano, kwiaty włożono do wazonów. Pokoje gościnne i salony nabrały takiej jasności i świeżości, jaką tylko rękami ludzi można było osiągnąć. I hall także wyczyszczono, a wielki, rzeźbiony zegar, podobnie jak stopnie i balaski schodów, błyszczał wypolerowany jak szkło. W jadalnym pokoju kredens jaśniał od sreber, a w salonie i buduarze poustawiano wszędzie egzotyczne kwiaty.

Godziny poobiednie upływały. Pani Fairfax włożyła swoją najlepszą czarną, jedwabną szatę oraz rękawiczki i przypięła złoty zegarek, jej bowiem rolą było przyjmowanie towarzystwa, prowadzenie pań do ich pokoi itd. I Adela także chciała się wystroić, chociaż przypuszczałam, że małą ma szansę być przedstawiona gościom, tego dnia przynajmniej. Jednakże, chcąc jej dogodzić, pozwoliłam, by ją Sophie ubrała w krótką, sutą, muślinową sukienkę. Ja zaś nie potrzebowałam się przebierać, nie będę przecież wezwana do opuszczenia szkolnego pokoju — mojego sanktuarium, gdyż tym teraz się stał, „bardzo miłym schronieniem w okresie zawieruchy”.

To był łagodny, wiosenny, pogodny dzień — jeden z tych, które ku końcowi marca lub na początku kwietnia wstają, jaśniejąc nad ziemią jak zwiastuny lata. Chylił się teraz ku końcowi, lecz jeszcze i wieczór był ciepły, tak że siedziałam nad robótką w pokoju szkolnym przy otwartym oknie.

— Już późno — rzekła pani Fairfax, wchodząc ubrana w szeleszczące jedwabie. — Jestem zadowolona, że zadysponowałam obiad na siódmą, choć pan Rochester wspomniał o szóstej, bo już teraz jest po szóstej. Posłałam Johna, aby wyjrzał przez bramę, czy widać ich na drodze. Stamtąd widzi się długi odcinek w kierunku Millcote.

Podeszła do okna.

— A otóż i on! No i cóż, Johnie — rzekła, wychylając się — czy są jakieś wieści?

— Jadą, proszę pani — odpowiedział. — Za dziesięć minut tu będą.

Adela skoczyła do okna. Ja podążyłam za nią, stając z boku, tak ażeby ukryta za firanką móc widzieć, będąc sama niewidzianą. Te dziesięć minut dłużyły mi się bardzo. Nareszcie rozległ się turkot kół. Czworo jeźdźców galopowało ku podjazdowi, a za nimi jechały dwa otwarte powozy. Wypełniały je wiatrem unoszone woale i powiewające pióra. Dwaj jeźdźcy byli to młodzi, eleganccy panowie, trzecim był pan Rochester na karym wierzchowcu Mesrou. Pilot w susach biegł przed nim. Przy boku pana Rochester a jechała dama i oboje wyprzedzali całe towarzystwo. Karmazynowa amazonka damy sięgała prawie do ziemi, jej długi woal unosił się z wietrzykiem, z jego przejrzystymi fałdami mieszały się i przeświecały przez nie kruczoczarne loki.

— Panna Ingram! — zawołała pani Fairfax i pośpieszyła objąć swój posterunek na dole.

Kawalkada, sunąc wzdłuż zakrętu podjazdowej drogi, niebawem znikła za węglem domu, straciłam ich z oczu. Adela teraz napierała się, chcąc zejść na dół, ale ja wzięłam ją na kolana i zapowiedziałam, że pod żadnym pozorem nie wolno jej myśleć o pokazywaniu się paniom ani teraz, ani kiedy indziej, dopóki wyraźnie jej nie zawezwą. Pan Rochester bardzo by się gniewał. Wylała parę łez, usłyszawszy ten zakaz, ale gdy przybrałam bardzo poważną minę, zdecydowała się obezwzględnie je w końcu.

Wesoły gwar dolatywał teraz z hallu: głębokie tony panów i srebrzyste głosy pań mieszały się harmonijnie, a spośród wszystkich wyróżniał się — choć nie głośny, ale dźwięczny — organ mowy pana domu, witającego miłych gości. Po chwili na schodach rozległy się lekkie kroki i wnet na korytarzu zabrzmiał wesoły, przytłumiony śmiech, otwierano i zamykano drzwi, a potem na czas pewien zapanowała cisza.

— *Elles changent de toilettes*¹⁵⁷ — rzekła Adela, która nasłuchując, uważnie śledziła każdy ruch, i westchnęła.

— *Chez maman*¹⁵⁸ — ciągnęła dalej — gdy byli goście, ja za nimi chodziłam wszędzie, do salonu i do ich pokoi. Często przypatrywałam się, jak panny służące ubierały i czesały swoje panie, i to było takie zajmujące! *Comme cela on apprend*¹⁵⁹.

— Musisz być głodna, Adelo?

— Ależ tak, *mademoiselle*, od pięciu czy sześciu godzin nic nie jadłyśmy.

— To dobrze. Teraz, gdy panie są w swoich pokojach, odważę się zejść na dół i zdobyć dla ciebie coś do zjedzenia.

Wysunęłam się ostrożnie ze swego schronienia i spuściłam się na dół tylnymi schodami, prowadzącymi prosto do kuchni. Tutaj buchał ogień i wrzał ruch, zupa i ryba już były na wydaniu, a kucharka chyliła się nad rozpaloną blachą zdenerwowana i zaczerwieniona, jak gdyby się sama wnet miała zapalić. W hallu dla służby dwóch stangretów i trzech obcych służących stało lub siedziało dokoła ognia, panny służące musiały być zajęte przy swoich paniach. Nowa służba, najęta w Millcote, krzątała się i kręciła wszędzie. Przemykając się przez ten chaos, dotarłam wreszcie do podręcznej spiżarki, tam zabrałam zimne kurczę, chleb, trochę ciastek, dwa talerze, nóż i widelec. Z tym łupem pośpiesznie zawróciłam. Już byłam w galerii i zamykałam tylne drzwi za sobą, gdy wzmożony gwar ostrzegł mnie, że panie zaczynają wychodzić ze swoich pomieszczeń. Nie mogłam dostać się do szkolnego pokoju bez minięcia niektórych drzwi i bez narażenia się, że mnie zobaczą z ładunkiem wiktuałów. Toteż zatrzymałam się w tamtym końcu, który nie miał okien i był ciemny, o tej porze zupełnie ciemny, gdyż słońce już zaszło i mrok zapadał.

Teraz zaczęły się wynurzać jedna po drugiej, każda z nich wychodziła lekko i wesoło, błyszcząc w półmroku bogatym strojem. Przez chwilę stały zgromadzone razem na drugim końcu galerii, rozmawiając półgłosem z miłym ożywieniem. Następnie zeszły ze schodów nieomal tak cicho jak jasna mgła, co stacza się po skłonie pagórka. Ich zbiorowy wygląd wywarł na mnie wrażenie takiej arystokratycznej wytworności, jakiej dotychczas nie widziałam.

Zastałam Adelę wyglądającą z drzwi szkolnego pokoju, które szeroko otworzyła.

— Co za piękne panie! — zawołała po angielsku. — Och, jak ja bym chciała do nich pójść! Czy pani myśli, że pan Rochester przyśle po nas może później, po obiedzie?

¹⁵⁷*Elles changent de toilettes* (fr.) — Przebierają się. [przypis edytorski]

¹⁵⁸*Chez maman* (fr.) — U mamy. [przypis edytorski]

¹⁵⁹*Comme cela on apprend* (fr.) — Tak się uczymy. [przypis edytorski]

— Nie, doprawdy myślę, że nie. Pan Rochester czym innym jest zajęty. Nie myśl już dziś o tych paniach, może zobaczysz je jutro. A tutaj masz obiad.

Była naprawdę głodna, więc kurczę i ciastka zajęły na razie jej uwagę. Dobrze się stało, że zdobyłam ten prowiant, gdyż inaczej ona, ja i Sophie, której dałam część naszego posiłku, byłybyśmy prawdopodobnie zostały bez obiadu. Wszyscy na dole byli zbyt zajęci, żeby pamiętać o nas. Deser podano dopiero po dziewiątej, a jeszcze o dziesiątej wciąż tam i z powrotem biegali lokaje, nosząc tace i filiżanki kawy. Pozwoliłam Adeli nie kłaść się znacznie dłużej niż zwykle, gdyż oświadczyła, że nie mogłaby zasnąć, słysząc ciągle otwieranie i zamykanie drzwi na dole i kręcących się ludzi. A przy tym, dodała, mogłoby przyjść zaproszenie od pana Rochester, gdy ona już byłaby rozebrana — „*et alors quel dommage!*¹⁶⁰”.

Opowiadałam jej różne historyjki, dopóki chciała słuchać, a potem dla odmiany wyszłam z nią na korytarz. Lampa w hallu była teraz zapalona, a mała, przechyliwszy się przez balustradę, śledziła, jak służba chodzi i wraca. Późnym wieczorem dźwięki muzyki popłynęły z salonu, dokąd przeniesiono fortepian. Siadłam z Adelą na górnym stopniu schodów, ażeby się przysłuchiwać. Po chwili czyjś głos zmieszał się z bogatymi tonami instrumentu, to jakaś pani śpiewała bardzo dźwięcznie. Po śpiewie solo nastąpił duet, a potem radosny gwar, szmer wesołej rozmowy wypełniał przerwy. Słuchałam długo, nagle złapałam się na tym, że ucho moje pracuje wyłącznie nad rozróżnieniem zmieszanych dźwięków i wyłowieniem z tego zamętu głosu pana Rochester. Gdy zaś pochwyciło go niebawem, pracowało dalej nad składaniem w słowa dźwięków, niewyraźnych wskutek oddalenia...

Zegar wybił jedenastą. Spojrzałam na Adelę, która głowę oparła o moje ramię. Powieki jej ocieżyły, toteż wzięłam ją na ręce i zaniósłam do łóżka. Dochodziła pierwsza, gdy panie i panowie powrócili do swoich pokoi.

Dzień następny był równie udany jak poprzedni. Poświęcono go na wycieczkę do jakiejś urokliwej miejscowości w sąsiedztwie. Towarzystwo wyruszyło wcześniej przed południem, jedni konno, inni powozami. Przyglądałam się ich wyjazdowi i powrotowi. Panna Ingram jak poprzednio, pan Rochester galopował przy jej boku. Oboje jechali w pewnym oddaleniu od reszty. Pokazałam to pani Fairfax, stojącej obok mnie przy oknie.

— Mówiła pani, że nie jest prawdopodobne, ażeby ci państwo myśleli o pobraniu się — rzekłam. — A jednak widzi pani, że pan Rochester widocznie woli pannę Ingram od wszystkich innych panien.

— Tak by się zdawało, niewątpliwie ona mu się podoba.

— A on jej — dodałam. — Niech pani patrzy, jak pochyła głowę ku niemu, jak gdyby poufnie z nim rozmawiała. Chciałabym zobaczyć jej twarz, jeszcze jej dotąd nie widziałam.

— Zobacz ją pani dziś wieczorem — odpowiedziała pani Fairfax. — Wspomniałam przypadkiem panu Rochesterowi, że Adela tak bardzo pragnie być przedstawiona paniom. A on na to odpowiedział: „O! Niechże przyjdzie do salonu po obiedzie. I niech pani poprosi pannę Eyre, żeby jej towarzyszyła”.

— Tak, powiedział to z prostej grzeczności. Nie potrzebuję tam iść, jestem pewna — odpowiedziałam.

— Niech pani pozwoli: ja na to zauważyłam, że pani, nieprzywykłej do towarzystwa, zapewne nie będzie miło ukazać się przed tak wesołym gronem samych obcych ludzi. Wtedy odpowiedział prędko, jak to on: „Głupstwo! Jeżeli nie będzie chciała, niech jej pani powie, że ja sobie tego specjalnie życzę. A jeżeli się będzie opierała, niech pani powie, że przyjdę i sam ją sprowadzę”.

— Nie narażę go na tyle trudu — odpowiedziałam. — Pójdę, skoro nie może być inaczej, ale nie sprawia mi to przyjemności. A pani tam będzie?

— Nie, wymówiłam się i przyjął moją wymówkę. Powiem pani, jak trzeba zrobić, żeby uniknąć żenującego publicznego wejścia, co jest ze wszystkiego najbardziej nieprzyjemne. Niech pani przyjdzie do salonu, podczas gdy będzie jeszcze pusty, zanim panie odejdą od stołu. Niech sobie pani wybierze jakiś spokojny kącik. Nie potrzebuje pani pozostawać

¹⁶⁰*et alors quel dommage!* (fr.) — a wtedy co za szkoda! [przypis edytorski]

długo po przyjściu panów, chyba że pani będzie wolała zostać. Niech tylko pan Rochester zobaczy, że pani jest, a potem może się pani wymknąć, nikt tego nie zauważy.

— Czy ci goście długo tutaj zostaną? Jak pani sądzi?

— Może ze dwa albo trzy tygodnie, z pewnością nie dłużej. Po wielkanocnej przerwie sir George Lynn, który świeżo został wybrany posłem z okręgu Millcote, będzie musiał pojechać do miasta i objąć swój mandat. Przypuszczam, że pan Rochester będzie mi towarzyszył. Dziwię się i tak, że przedłużył pobyt w Thornfield.

Z pewnym drżeniem spostrzegłam, że zbliża się godzina, w której wypadnie mi zjawić się z moją uczenniczką w salonie. Adela przeżyła cały dzień w podnieceniu, dowiedziawszy się, że wieczorem ma być przedstawiona paniom. Otrzeźwiała dopiero, gdy bona zaczęła ją ubierać. Wtedy ważność tego procederu uspokoiła ją prędko i gdy kędziory jej ułożono w długie loki, gdy przebrano ją w różową, atlasową sukienkę, zawiązano długą szarfę i włożono koronkowe mitenki, przybrała minę poważną niczym sędzia. Nie trzeba jej było upominać, by nie zmieła ubrania. Gdy już była gotowa, usiadła cicho, wyprostowana na swym małym krzeselku, starannie przedtem uniósłszy atlasową spódniczkę, żeby jej nie pognieść, i zapewniała mnie, że nie ruszy się stamtąd, dopóki ja się nie ubiorę. Załatwiłam się z tym prędko, włożyłam najstrojniejszą suknię (srebrnopopielatą, sprawioną na ślub panny Temple i odtąd nigdy nie noszoną), szybko przyglądziłam włosy, przypięłam jedyną swoją ozdobę, broszkę z perelką, i byłam gotowa. Zeszliśmy na dół.

Na szczęście było tam drugie wejście do salonu, oprócz tego przez jadalnię, gdzie wszyscy siedzieli przy stole. Zastałyśmy salon pusty. Suty ogień palił się w marmurowym kominku, a świece woskowe świeciły jasno wśród wykwintnych kwiatów zdobiących stoły. Karmazynowa zasłona zwieszała się u arkady. Choć draperia ta wątlą stanowiła przegrodę od zgromadzonego w przyległej jadalni towarzystwa, wszyscy rozmawiali tam tak przyciszonym głosem, że nic nie można było dosłyszeć prócz stłumionego szmeru.

Adela, wciąż jeszcze pod wpływem uroczystego nastroju, usiadła, nic nie mówiąc, na podnóżku, który jej wskazałam. Ja sama schroniłam się w zagłębienie okna, siadłam tam i wzięwszy jakąś książkę z najbliższego stołu, próbowałam czytać. Adela przyniosła sobie stołeczek do moich nóg. Niebawem trąciła mnie w kolano.

— Czego chciałaś, Adelo?

— *Est-ce que je ne puis pas prendre une seule de ces fleurs magnifiques, mademoiselle? Seulement pour compléter ma toilette?*¹⁶¹

— Za wiele myślisz o swojej „toilette”, Adelo, ale możesz dostać kwiatek.

I wyjąwszy różę z warkocza, przypięłam kwiat do jej paska. Westchnęła z niewymownym zadowoleniem, jak gdyby teraz czara jej szczęścia dopełniła się. Odwróciłam twarz, ażeby ukryć uśmiech, którego nie mogłam powstrzymać. Było coś śmiesznego i przykrego zarazem w tym poważnym, wrodzonym przejęciu się sprawami stroju małej paryżanki.

Dał się teraz słyszeć cichy odgłos wstawania od stołu. Rozsunięto portierę nad arkadą, za nią ukazał się pokój jadalny ze świecznikiem, siejącym blask na wspaniałą zastawę deserową ze sreber i kryształ. Grono pań stanęło pod arkadą. Weszły, a portiera opadła za nimi.

Było ich tylko osiem, ale gdy wchodziły gromadką, sprawiły na mnie wrażenie o wiele liczniejszej grupy. Niektóre były bardzo wysokiego wzrostu. Wiele z nich było ubranych na biało, a wszystkie wystrojone były suto i szeroko, co zdawało się zwiększać ich postacie, jak otok¹⁶² mgły zwiększa księżyc. Wstałam i ukloniłam im się. Jedna czy dwie pochyliły głowy w ukłonie, inne tylko wpatrywały się we mnie.

Rozproszyły się po pokoju, przypominając mi lekkością i kołysaniem ruchów stado białych, pierzastych ptaków. Niektóre rzuciły się w półleżącej pozycji na kanapy i niskie kuszetki, inne pochyliły się nad stołami, oglądając książki i kwiaty. Reszta zgromadziła się dokoła kominka. Wszystkie mówiły tonem niezbyt głośnym, ale jasnym, który widocznie był im zwyczajny. Ich nazwiska poznałam później, ale równie dobrze mogę je wymienić teraz.

¹⁶¹*Est-ce que je ne puis pas prendre une seule de ces fleurs magnifiques, mademoiselle? Seulement pour compléter ma toilette?* (fr.) — Czy mogę wziąć jeden z tych pięknych kwiatów, panienko? Tylko po to, żeby dopełnić moją toaletę? [przypis edytorski]

¹⁶²*otok* — tu: obramowanie. [przypis edytorski]

Przede wszystkim była tam pani Eshton z dwiema córkami. Była to widocznie ładna niegdyś kobieta, a i teraz trzymała się dobrze. Z córek jej starsza, Amy, była raczej mała, naiwna, dziecięca z twarzy i obejścia, o zręcznej, ponętnej figurce. W białej, muślinowej sukni z niebieską szarfą było jej bardzo ładnie. Druga, Louisa, była wyższa i elegantszą miała postawę, twarz bardzo ładną, z tego rodzaju, który Francuzi nazywają *minois chiffonné*¹⁶³. Obydwie siostry miały cerę białości lilii.

*Lady*¹⁶⁴ Lynn była wysoką i tęgą kobietą około czterdziestki. Trzymała się bardzo prosto, minę miała wyniosłą, była bogato ubrana w atlasową suknię mieniącą się barwy. Jej ciemne włosy świeciły połyskiem pod cieniem błękitnego pióra, przypięte diademem z klejnotów.

Pani pułkownikowa Dent mniej była okazała, ale wydała mi się bardziej dystygowana. Figurę miała szczupłą, twarz bladą, miłą i jasne włosy. Jej czarna, jedwabna suknia, szarfa z bogatej, zagranicznej koronki i perły więcej mi się podobały niż tęczowa promienistość utytułowanej damy.

Jednakże trzy najwybitniejsze — po części może dlatego, że najwyższe — postaci w tym gronie były to: wdowa, *lady* Ingram oraz córki jej Blanche i Mary. Wszystkie trzy były bardzo wysokiego jak na kobiety wzrostu. Sama pani mogła mieć lat czterdzieści kilka do pięćdziesięciu. Figura jej dotąd pozostała piękna, włosy (przy świetle świec przynajmniej) nie straciły czarnej barwy, zęby zachowały się doskonale. Większość ludzi nazwałaby ją wspaniałą kobietą jak na jej wiek. I taką też była, niewątpliwie, pod względem fizycznym. Ale za to z jej twarzy i z obejścia bił wyraz niemożliwej prawie do zniesienia pychy. Rysy miała rzymskie i podbródek, spływający na szyję jak kolumna. To wszystko wydało mi się nie tylko nadęte, ale nawet przeorane dumą. Na tej samej zasadzie broda wznosiła się wysoko, w pozycji prawie nienaturalnie wyprostowanej. Miała również ostre, o twardym wejrzeniu oczy. Przypomniało mi to panią Reed. Mówiąc, cedziła słowa, głos miała głęboki, o modulacjach bardzo pompatycznych i dogmatycznych, słowem: nieznośnych. Karmazynowa, aksamitna suknia i turban szalowy z jakiejś złotem przetykanej indyjskiej materii nadawały jej (sądzę, że tak sobie to wyobrażała) dostojność istic cesarską.

Pycha

Blanche i Mary były jednakowego wzrostu — proste i wysokie jak topole. Mary była zbyt szczupła, za to Blanche miała budowę Diany¹⁶⁵. Przyglądałam się jej, naturalnie, ze szczególnym zaciekawieniem. Najpierw pragnęłam się przekonać, czy powierzchowność jej zgadza się z opisem pani Fairfax, następnie, czy w ogóle podobna jest do swej z głowy zaczerpniętej, fantazyjnej podobizny, przeze mnie wymalowanej, a wreszcie — muszę to powiedzieć — czy jest taka, jaka wedle mojego pojęcia mogłaby się podobać panu Rochesterowi.

Co do samej postaci, to odpowiadała dokładnie zarówno mojemu portrecikowi, jak opisowi pani Fairfax. Piękny biust, spadziste ramiona, pełna gracji szyja, ciemne oczy i czarne loki, wszystko to było... Ale jej twarz? Jej twarz była odbiciem twarzy matki — młodzieńcza, żadną zmarszczką niedotknięta podobizna, to samo niskie czoło, te same rzymskie rysy, ta sama duma. Nie była to jednak duma nasepiona! Śmiała się wciąż, był to śmiech ironiczny i taki też był zwykły wyraz jej warg, dumnie wygiętych.

Powiadają, że geniusz jest zarozumiały. Nie wiem, czy panna Ingram była geniuszem, ale była zarozumiała, uderzająco zarozumiała doprawdy. Zaczęła rozprawiać o botanice z miłą panią Dent. Zdaje się, że pani Dent nie studiowała botaniki, chociaż, jak mówiła, lubiła kwiaty, „zwłaszcza polne i leśne”. Panna Ingram, owszem, uczyła się jej i z jakąż miną zasypywała słuchaczkę katalogiem nazw! Spostrzegłam od razu, że ona, jak to mówią, chce „wpakować”¹⁶⁶ panią Dent, wyzyskując jej niewiedzę. To „pakowanie” może było sprytne, ale stanowczo nie było ani poczciwe, ani delikatne. Zagrała na fortepianie. Wykonanie było świetne; śpiewała, głos miała piękny. Z matką rozmawiała po francusku, mówiła biegle i z dobrym akcentem.

¹⁶³*minois chiffonné* — twarz o rysach delikatnych, ale niezbyt regularnych, uroda pełna niewymuszonego wdzięku, oryginalna. [przypis edytorski]

¹⁶⁴*lady* (ang.) — pani. [przypis edytorski]

¹⁶⁵*Diana* — rzymska bogini łowów, fauny i flory, płodności i Księżycy. [przypis edytorski]

¹⁶⁶*wpakować* (pot.) — wrobić, przyczynić się do stworzenia trudnej, niezręcznej sytuacji. [przypis edytorski]

Mary miała twarz łagodniejszą i bardziej otwartą niż siostra. I rysy jej były delikatniejsze, a cera o parę odcieni jaśniejsza (panna Blanche Ingram była smagła jak Hiszpanka). Ale Mary brakowało ożywienia, twarz była bez wyrazu, oczy bez blasku. Nie miała nic do powiedzenia, a raz zająwszy miejsce, pozostawała tam nieruchoma jak posąg w niszy. Obydwie siostry ubrane były całkowicie na biało.

I czyż teraz wydało mi się, że na pannę Ingram mógłby paść wybór pana Rochester? Nie wiedziałam, nie znałam gustu jego co do piękności kobiecej. Jeżeli lubił majestatyczność, Blanche była doskonałym jej uosobieniem. Przy tym była wykształcona i pełna życia. Większość mężczyzn musiałaby ją podziwiać, pomyślałam, a że i on ją podziwiał, zdawało mi się, że już miałam tego dowód. Ażeby usunąć ostatni cień wątpliwości, pozostawało mi tylko jeszcze zobaczyć ich razem.

Nie przypuszczaj czasem, czytelniku, że Adela przez cały ten czas siedziała bez ruchu na stołeczku u moich nóg. Nie, gdy panie weszły, wstała, podeszła ku nim, ukłoniła się z godnością i poważnie powiedziała:

— *Bonjour, mesdames.*¹⁶⁷

A wtedy panna Ingram spojrzała na nią drwiąco z góry i zawołała:

— O, cóż to za laleczka?

Lady Lynn zauważyła:

— To zapewne pupilka pana Rochester, ta Francuzeczka, o której mówił.

Pani Dent dobrotliwie wzięła ją za rękę i pocałowała. Amy i Louisa Eshton krzyknęły równocześnie:

— Co to za miluchne dziecko!

I zaraz też zawołały ją do siebie na kanapę, gdzie teraz siedziała, wciśnięta pomiędzy obie siostry, trzepiąc to po francusku, to łamaną angielszczyzną i skupiając na sobie uwagę nie tylko panien, ale pani Esthon i *lady Lynn*. Zajmowano się nią, więc czuła się w siódmym niebie.

Nareszcie wniesiono kawę i poproszono panów. Siedzę w cieniu — jeżeli można mówić o cieniu w tym jasno oświetlonym salonie — firanka na wpół mnie zakrywa. I znowu odsłania się arkada, wchodzi. Panowie sprawiają wrażenie imponujące. Wszyscy są ubrani czarno, przeważnie wysocy, niektórzy młodzi. Henry i Frederick Lynn to bardzo szykowni młodzieńcy, a pułkownik Dent piękny oficer. Pan Eshton, sędzia, ma wygląd dystygowany, włosy ma już zupełnie siwe, ale brwi i bokobrody jeszcze czarne, co nadaje jego twarzy charakter „szlachetnego ojca” ze sceny teatralnej. Lord Ingram, podobnie jak siostry, jest bardzo wysoki i jak one bardzo przystojny. Ma jednakże, tak jak Mary, minę apatyczną i obojętną. Zdaje się, że bardziej odznacza się długością członków niż żywością krwi i siłą mózgu.

A gdzie jest pan Rochester?

Wchodzi ostatni. Nie patrzę na arkadę, ale widzę go wchodzącego. Staram się skupić uwagę na swoim szydełku, na oczkach sakiewki, którą robię. Pragnę myśleć tylko o swojej robotce, widzieć tylko srebrne perełki i jedwabne nici, leżące na kolanach. Tymczasem widzę dokładnie jego postać i przemożnie narzuca mi się wspomnienie tej chwili, gdy go widziałam po raz ostatni. Gdy po wyświadczeniu mu tej, jak on to nazwał, tak bardzo ważnej przysługi, stałam przed nim, a on trzymał moją rękę i patrzył mi w twarz oczyma, mówiącymi o przepełnionym wzruszeniem sercu. Jak bliska jemu czułam się w owej chwili! Cóż się odtąd stało, że tak się zmienił jego do mnie i mój do niego stosunek? Gdyż teraz... jakże dalecy i obcy sobie byliśmy! Tak bardzo obcy, że nawet się nie spodziewałam, żeby podszedł do mnie i przemówił. Nie zdziwiłam się, gdy nie spojrzawszy na mnie, siadł w drugim końcu salonu i zaczął rozmawiać z paniami.

Zaledwie spostrzegłam, że uwagę zwrócił na nie, że mogę patrzeć niezauważona, natychmiast wbrew woli podniosłam oczy na jego twarz. Nie mogłam się opanować, wzrok pobiegł ku niemu i utkwiał w nim. Patrzyłam i znajdowałam bolesną przyjemność w patrzeniu, przyjemność, jaką mógłby odczuwać ginący z pragnienia człowiek, który, wiedząc, że źródło, do którego się doczołgał, jest zatrute, nachyla się i pomimo wszystko pije boski napój.

Miłość, Piękno, Wzrok

¹⁶⁷ *Bonjour, mesdames.* (fr.) — Dzień dobry paniom. [przypis edytorski]

Wielce prawdziwe jest powiedzenie, że „piękno leży w oku patrzącego”. Pozbawiona rumieńca, śniada twarz mojego zwierzchnika, jego kwadratowe, potężne czoło, szerokie czarne brwi, głębokie oczy, wybitne rysy, zdecydowanie zarysowane, surowe usta — wszystko to, świadczące o energii, stanowczości i silnej woli, nie było piękne wedle wszelkich reguł. Dla mnie jednak ta twarz była więcej niż piękna, miała przykuwający urok, miała na mnie wpływ ujarzmiający. Nie chciałam go kochać. Ciężko walczyłam, by wypłenić z serca ziarno kielkującej miłości, a teraz, za pierwszym spojrzeniem, ziarna te puszczały pędy silne i zielone! Brał moją miłość, nie patrząc nawet na mnie.

Porównywałam go z jego gośćmi. Czymże był dorodny wdzięk Lynnów, niedbała wykwintność lorda Ingrama, nawet rycerska dystynkcja pułkownika Denta wobec poczucia wrodzonej wartości i swoistej mocy pana Rochester? Nie przemawiała do mnie ani ich powierzchowność, ani ich wyraz, chociaż mogłam sobie wyobrazić, że oczom wielu patrzących wydawać się mogli sympatyczni, przystojni, imponujący wręcz, pan Rochester zaś — człowiekiem o surowych rysach i melancholijnym wyglądzie. Widziałam, jak się uśmiechali, jak się śmiali — jakie to było czcze! Światło świec miało tyle w sobie duszy co ich uśmiech, dźwięk dzwonka więcej znaczenia niż ich śmiech. Widziałam, jak się pan Rochester uśmiechnął: surowe jego rysy złagodniały, oczy zabłysły i zajaśniały miło, spojrzenie ich było badawcze i zarazem słodkie. Rozmawiał w tej chwili z Louisą i z Amy Eshton. Zdziwiłam się, że nie zaniepokoiło ich to spojrzenie, które mnie wydało się tak przejmujące. Myślałam, że spuszcza oczy, że rumieniec wybije im na twarz, jednakże rada byłam widząc, że tak zupełnie są niewzruszone. „Nie jest on dla nich tym, czym jest dla mnie — pomyślałam. — Nie jest on w ich rodzaju. W moim raczej, sądzę... Tak, jestem tego pewna... Czuję się mu pokrewna, rozumiem mowę jego twarzy i ruchów! Chociaż sfera i majątek tak bardzo nas dzielą, mam coś w mózgu i sercu, we krwi i w nerwach, co łączy mnie z nim duchowo. Czy ja powiedziałam kilka dni temu, że nie mam z nim nic wspólnego prócz tej zapłaty, którą z rąk jego biorę? Czy zabroniłam sobie myśleć o nim w jakimkolwiek innym świetle, jak tylko jako o płacącym mi zwierzchniku? Błuznierstwo przeciw naturze! Każde dobre, szczere, silne uczucie mej duszy samorzutnie skupia się dokoła niego. Wiem, że muszę ukrywać swoje uczucia, zgnieść wszelką nadzieję, że muszę pamiętać, iż jestem dla niego prawie niczym. Bo jeżeli mówię, że jestem »z jego rodzaju«, to nie rozumiem przez to, iżbym miała jego moc oddziaływania, jego urok przyciągania. Rozumiem tylko, że mam z nim pewne wspólne zamiłowania i pewne uczucia. Muszę więc powtarzać sobie wciąż, że jesteśmy rozdzieleni na wieki. A jednak, dopóki myśli, dopóki tchu w piersiach stanie, muszę go kochać”.

Roznoszono kawę. Panie od chwili, gdy weszli panowie, ożywiły się jak kanarki. Potoczyła się rozmowa żwawa i wesoła. Pułkownik Dent i pan Eshton dysputują o polityce, żony ich przysłuchują się. Dwie dumne arystokratki, *lady* Lynn i *lady* Ingram, gawędzą ze sobą. Sir George Lynn, bardzo gruby, czerstwy, wiejski obywatel, stoi przed ich kanapą z filiżanką w ręku i raz po raz wtrąca słówko. Młody Frederick Lynn siadł obok Mary Ingram i pokazuje jej ilustracje w jakimś wspaniałym tomie. Ona patrzy, uśmiecha się niekiedy, ale mówi niewiele. Wysoki, flegmatyczny lord Ingram opiera się złożonymi rękoma o tył fotela małej, żywej Amy Eshton. Ona podnosi na niego oczy i szczebioce jak sroczka. Widać, że woli go od pana Rochester. Henry Lynn zagarnął w posiadanie niskie siedzenie u stóp Louisy, Adela je z nim podziela. Młodzieniec stara się rozmawiać z nią po francusku, a Louisa śmieje się z jego błędów. Z kim Blanche poszuka sobie pary? Stoi samotna przy stole, schylona z gracją nad albumem. Zdaje się czekać, by to jej poszukano, ale nie chce czekać zbyt długo. Sama sobie wybiera towarzysza.

Pan Rochester, opuściwszy panny Eshton, stoi przy kominku równie samotnie jak ona przy stole. Blanche staje naprzeciw niego po drugiej stronie kominka.

- Panie Rochester, ja myślałam, że pan nie lubi dzieci?
- Istotnie, nie lubię.
- A więc cóż pana skłoniło do obarczania się taką lalczką? — tu wskazała Adelę.
- Gdzie ją pan wyszukał?
- Ja jej wcale nie szukałem, zrzuciono mi ją na barki.
- Trzeba ją było posłać do szkoły.
- Nie mogłem sobie na to pozwolić, szkoły są takie kosztowne!

Miłość, Kondycja ludzka,
Pozycja społeczna

— Jak to? Zdaje mi się, że pan trzyma dla niej guwernantkę, widziałam z nią jakąś osobę przed chwilą. Czy poszła sobie? O nie! Jest tam jeszcze za firanką, przy oknie. Pan jej płaci, naturalnie, to chyba nie kosztuje mniej? Więcej raczej, bo musi pan je obie w dodatku utrzymywać.

Lękałam się, czy lepiej powiedzieć, że spodziewałam się, iż ta wzmianka o mnie skieruje wzrok pana Rochester'a w moją stronę. Mimo woli przesunęłam się głębiej w cień. Ale on wcale nie odwrócił oczu.

— Nie zastanawiałem się nad tym — odpowiedział obojętnie, patrząc prosto przed siebie.

— Nie, wy, mężczyźni nigdy nie zastanawiacie się nad kwestią oszczędności i zdrowego rozsądku. Chciałabym, by pan usłyszał, co mama potrafi na temat guwernantek opowiedzieć. Mary i ja miałyśmy ich swojego czasu coś ze dwanaście, połowa były to nieznośne kreatury, reszta śmieszne postacie. A wszystkie czupiradła, nieprawdaż, mammo?

— Czy do mnie mówisz, moja jedyna?

Panna, tak pieszczotliwie nazwana, powtórzyła pytanie z odpowiednim objaśnieniem.

— Moja najdroższa, nie mów mi o guwernantkach. Samo to słowo działa mi na nerwy. Wycierpiałam męki z powodu ich braku umiejętności i kaprysów. Bogu dziękuję, że skończyłam z nimi raz na zawsze!

Tu pani Dent nachyliła się ku nabożnej damie i szepnęła jej coś na ucho. Przypuszczam, po odpowiedzi sądząc, że zwróciła jej uwagę, iż jedna z tej wyklinanej rasy jest tu obecna.

— *Tant pis*¹⁶⁸! To jej nie zaszkodzi! — odpowiedziała wspaniała dama. A potem ciszej, jednak zawsze dosyć głośno, tak że mogłam ją usłyszeć, dodała: — Ja ją zauważyłam. Znam się na fizjonomiach, a na jej twarzy widzę wypisane wszystkie wady jej klasy.

— I jakie to mianowicie, zdaniem pani? — zapytał pan Rochester głośno.

— Powiem panu samemu do ucha — odpowiedziała, kiwając po trzykroć turbanem majestatycznie a znacząco.

— Ale moja ciekawość zwietrzeje, niech ją pani teraz zaspokoi.

— Niech pan zapyta Blanche, ona jest bliżej pana niż ja.

— O, niech go mama nie odsyła do mnie! Ja mam tylko jedno słowo do powiedzenia o całej tej rzeszy: to plaga. Nie twierdzę, że ja sama wiele od nich ucierpiałam, bo umiałam odwrócić karty. Co za figle Theodore i ja plataliśmy naszym pannom Wilson, paniom Grey i *madame* Joubert! Mary zawsze była zanadto śpiąca, by odważnie wziąć udział w jakimś spisku. Najlepsza zabawa była z *madame* Joubert. Panna Wilson było to biedne, chorowite stworzenie, płacliwe i smutne, słowem, nie warto było znęcać się nad nią. A pani Grey była gruboskórna i niewrażliwa, nie można jej było niczym dotknąć. Ale biedna *madame* Joubert! Widzę jeszcze jej wściekłą pasję, gdy doprowadziliśmy ją do ostateczności, wylewając herbatę, krusząc chleb z masłem, rzucając książkami o sufit i wygrywając piekielne koncerty linijką o stół czy pogrzebaczem o popielnik przed piecem. Theodore, czy pamiętasz te wesołe czasy?

— A jakże, a jakże — przeciągle odpowiedział lord Ingram. — Jakże bym nie miał pamiętać! A biedna stara krzyczała, okropnie kalecząc nasz język: „Ach wy, niegodziwa dzieciśka!”. Wtedy my prawiliśmy jej kazanie, że jest zarozumiała, chcąc nas uczyć, takie mądrale, skoro sama jest ignorantką.

— Tak. A, Tedo, przypomnij sobie, jak ja ci pomagałam prześladować twego guwernera, pana Vininga o smętnym obliczu, „pastora w pączku”, jak go nazwaliśmy. On i panna Wilson pozwolili sobie na zakochanie się w sobie, tak się przynajmniej Tedowi i mnie wydawało. Podchwytaliśmy różne czule spojrzenia i westchnienia, uważając je za dowody wzniosłego sentymentu, i możecie państwo uwierzyć, że otoczenie skorzystało naprędce z naszego odkrycia. Użyliśmy tego jako rodzaju dźwigni do podważenia i wyrzucenia z domu tego, co nam ciążyło i zawadzało. Kochana mateczka, jak tylko zmiarkowała, co się święci, uznała, że to sprawa niemoralna. Nieprawdaż, moja pani matko?

¹⁶⁸*tant pis* (fr.) — tym gorzej (dla niej); co z tego. [przypis edytorski]

— Z pewnością, moja najmilsza. I miałam zupełną słuszność. Możesz mi wierzyć, jest tysiąc powodów po temu, ażeby czułych stosunków między guwernantkami a guwernerami ani przez chwilę nie tolerować w dobrze prowadzonym domu. Najpierw...

— Och, litości, mam! Oszczędź nam wyliczania! *Au reste*¹⁶⁹, my wszyscy je znamy: niebezpieczeństwo złego przykładu dla niewinnej młodzieży, roztargnienie i skutkiem tego zaniedbywanie obowiązków przez osoby zainteresowane, wzajemny sojusz i poparcie, stąd płynąca pewność siebie, zuchwałość, bunt i generalna klapa. Czy mam słuszność, baronowo Ingram na Ingram Park?

— Moja lilijko, masz słuszność teraz, tak jak zawsze.

— Zatem dosyć o tym, zmieńmy przedmiot rozmowy.

Amy Eshton, czy nie słysząc tego powiedzenia czy nie zważając na nie, dorzuciła łagodnym, dziecięcym głosem:

— I my z Louisą psociliśmy nauczycielce, ale to było takie dobre stworzenie, wszystko znosiła, nic jej nie mogło zniecierpliwic. Nigdy się na nas nie gniewała prawda, Louiso?

— Nie, nigdy. Mogłyśmy robić, co nam się podobało: gospodarować na jej biurku i w jej koszyczku z robótkami, przewracać wszystko do góry nogami w jej szufladach. A taka była dobra, że dawała nam wszystko, o co tylko poprosiłyśmy.

— Przypuszczam, że teraz — rzekła panna Ingram, sarkastycznie krzywiąc usta — czeka nas wyciąg z pamiętników o wszelakich istniejących guwernantkach. Żeby uniknąć tej klęski, wnoszę ponownie o podjęcie nowego tematu. Panie Rochester, czy pan popiera mój wniosek?

— Pani, ja popieram panią w tym punkcie, tak jak we wszystkich innych.

— Więc na swoją odpowiedzialność biorę ten wniosek. *Signor*¹⁷⁰ Eduardo, czy jest pan dziś wieczór przy głosie?

— *Donna*¹⁷¹ Bianca, jeśli pani rozkaże, będę.

— Zatem, *signor*, do pana zwracam monarsze wezwanie, byś nastroił płuca, gdyż potrzebuję ich na swe królewskie usługi.

— Któż by nie chciał być Rizzim¹⁷² takiej boskiej Maryi¹⁷³?

— Rizzim? Nic mi po nim! — zawołała i potrzęsła głową ze wszystkimi lokami, zmierzając do fortepianu. — Moim zdaniem grajek David musiał być niemrawym chłopakiem, wołę mrocznego Bothwella¹⁷⁴. W moich oczach mężczyzna jest niczym, jeżeli nie ma w nim trochę diabła. A niech sobie historia mówi, co chce, o Bothwellu. Czuję, że był to właśnie ten rodzaj dzikiego, srogiego bandyty, bohatera, którego bym zgodziła się obdarzyć swoją ręką.

— Słyszycie, panowie! Któryż z was jest najpodobniejszy do Bothwella? — zawołał pan Rochester.

— Sądziłbym, że przede wszystkim pan — odpowiedział pułkownik Dent.

— Słowo daję, wdzięczny panu jestem — brzmiała odpowiedź.

Panna Ingram, która tymczasem z dumną gracją zasiadła przy fortepianie, szeroko roztaczając śnieżne fałdy sukni, zaczęła teraz jakieś świetne preludium, rozmawiając równocześnie. Zdawało się, że tego wieczora dosiadła swego wysokiego konia — tak słowa jej, jak ton obliczone były na wzbudzenie nie tylko podziwu, ale i zdumienia słuchaczy. Widocznie chciała ich olśnić świetnością i śmiałością.

— Och, jakże się brzydzę dzisiejszą młodzieżą! — zawołała, przebiegając pasażami po instrumencie. — Biedne, słabe stworzenia, niezdolne wyjść poza bramy ojcowskiego parku, a nawet tak daleko nieodwazające się puścić bez pozwolenia i opieki mamusi! Istoty

Uroda, Kobieta, Mężczyzna

¹⁶⁹*au reste* (fr.) — zresztą. [przypis edytorski]

¹⁷⁰*signor* (wł.) — pan. [przypis edytorski]

¹⁷¹*donna* (wł.) — pani, kobieta. [przypis edytorski]

¹⁷²*Rizzio, David* a. *Riccio, David* (ok. 1533–1566) — nadworny śpiewak i faworyt Marii Stuart (1542–1587). [przypis edytorski]

¹⁷³*Maria I Stuart* (1542–1587) — królowa Szkotów od 1542 do 1567 r. [przypis edytorski]

¹⁷⁴*Bothwell, James Hepburn* (1534–1578) — 1. Diuk Orkney i 4. Earl Bothwell, trzeci mąż królowej Marii I Stuart (1542–1587), oskarżony o zabicie jej poprzedniego męża, Henrygo Stuarta; mimo formalnego uniewinnienia budzące kontrowersje małżeństwo Bothwella z królową podzieliło państwo i spowodowało jego ucieczkę do Norwegii wobec rodzącej się rebelii; aresztowany, spędził resztę życia w więzieniu w Danii. *Bothwell* to tytuł sztuki (drugiej części trylogii) angielskiego poety Algernona Charlesa Swinburne'a (1837–1909), opublikowany w Londynie w 1874 r. [przypis edytorski]

tak przejęte dbałością o swoje ładne twarzyczki, białe rączki, małe nóżki. Jak gdyby mogło coś zależeć od urody u mężczyzny! Jak gdyby piękność nie była wyłącznym przywilejem kobiety, jej prawowitym posagiem i dziedzictwem! Przyznaję, że brzydka *kobieta* to plama na jasnej powierzchni świata. Ale *panowie* niech tylko dbają o siłę i męstwo, niechże sobie wezmą za cel polowanie, strzelanie i walkę. Reszta nie jest warta grosza. Taka byłaby moja dewiza, gdybym ja była mężczyzną.

— Jeżeli wyjdę za mąż — mówiła dalej po pauzie, której nikt nie przerwał — postanawiam, że mąż mój nie będzie moim rywalem. Nie zniosę współzawodnictwa o tron, wymagać będę niepodzielnego hołdu. Zachwyty swoich nie wolno mu dzielić pomiędzy mnie a kształt, który ujrzy w swoim zwierciadle. Panie Rochester, niech pan teraz śpiewa, będę panu akompaniowała.

— Do usług, pani — odpowiedział.

— Tu oto jest pieśń Korsarza. Niech pan wie, że ja przepadam za korsarzami, i dlatego niech pan śpiewa *con spirito*¹⁷⁵.

— Rozkaz z ust panny Ingram zaprawiłby ogniem dzbanek mleka z wodą.

— Więc niechże się pan stara. Jeżeli mi się śpiew pana nie spodoba, zawstydzę pana, pokazując, jak się takie rzeczy *powinno* śpiewać.

— Jest to obiecywanie nagrody za nieudolność. Będę się teraz starał, żeby mi się nie udało.

— Niech się pan strzeże! Jeśli pan będzie rozmyślnie błędził, obmyślę za to odpowiednią karę.

— Pani powinna być miłosierna, gdyż ma w swej mocy karę, której śmiertelny człowiek nie zniesie.

— Proszę wytłumaczyć! — rozkazała.

— Niech pani daruje, zbyt ciężka rzecz tłumaczyć. Własne pani poczucie musi jej mówić, że jeden mars jej czoła równa się karze śmierci.

— Niech pan śpiewa! — powiedziała i dotknąwszy klawiszy, zaczęła akompaniament w brawurowym tempie.

„Teraz na mnie pora, mogę się wymknąć”, pomyślałam. Ale tony, które zabrzmiały, zatrzymały mnie. Pani Fairfax powiedziała, że pan Rochester ma piękny głos — i tak też było. Dźwięczny, potężny głos, w który wkładał uczucie i siłę, którym trafiał do serca, szczególnie budząc wrażenia. Czekałam, dopóki ostatnie, głębokie, pełne wibracje nie przebrzmiały, dopóki tok rozmów, przerywanych na chwilę, nie popłynął znowu, a wtedy opuściłam zaciszny kącik i wymknęłam się bocznymi drzwiami, które na szczęście znajdowały się blisko. Stamtąd wąski korytarzyk prowadził do hallu. Przechodząc przezeń, spostrzegłam, że pantofel mi się rozwiązał. Zatrzymałam się, by go zawiązać i przyklekłam u stóp schodów. Usłyszałam, że otwierają się drzwi jadalni, jakiś pan wyszedł. Podniósłszy się szybko, znalazłam się na wprost niego. Był to pan Rochester.

— Jak się miewa panna Jane? — przywitał mnie.

— Bardzo dobrze, dziękuję panu.

— Dlaczego nie podeszła i nie przemówiła do mnie w salonie?

Pomyślałam, że właściwie ja to pytanie mogłabym jemu zadać, ale nie chciałam sobie na to pozwolić. Odpowiedziałam:

— Nie chciałam panu przeszkadzać, pan wydawał się zajęty gośćmi.

— Co pani robiła podczas mej nieobecności?

— Nic szczególnego, uczyłam Adelę jak zwykle.

— I pomizerniała pani, dużo pani bleedsza, niż była przedtem, co od pierwszego spojrzenia spostrzegłem. Co pani dolega?

— Nic a nic, panie.

— Czy nie zaziębiła się panna Jane owej nocy, kiedy to mnie na wpół zatopiła?

— Ani trochę.

— Niech pani wróci do salonu, za wcześniej pani ucieka.

— Jestem zmęczona, panie.

Popatrzył na mnie dłuższą chwilę.

— I trochę przygnębiona — powiedział. — Dlaczego? Proszę mi powiedzieć!

Muzyka, Śpiew

¹⁷⁵*con spirito* (wł.) — tu: z duszą, z pełnym zaangażowaniem, żywo, z ogniem. [przypis edytorski]

Miłość

— Ależ nic mi nie jest, nic. Nie jestem wcale przygnębiona.

— A ja twierdzę, że tak. Tak bardzo przygnębiona, że jeszcze parę słów, a lzy puściłyby się z pani oczu... Już tam nawet są, błyszczą, płyną, a jedna kropelka zleciała z rzęsy i upadła na podłogę. Gdybym miał czas i nie bał się śmiertelnie jakiegoś plotkarza, sługi przechodzącego, dowiedziałbym się, co to wszystko ma znaczyć. No dobrze, dziś ja już pannie Jane daruję. Ale niech pani wie, że tak długo, jak moi goście bawić tutaj będą, będę oczekiwał, by pani co wieczór ukazywała się w salonie. Życzę sobie tego, niech pani tego nie zaniedbuje. A teraz proszę iść do siebie i przysłać bonę po Adelę. Dobranoc, moja...

Przerwał, przygryzł usta i opuścił mnie nagle.

ROZDZIAŁ XVIII

Wesołe teraz nastąpiły dni w Thornfield Hall. Ruch trwał od rana do nocy. Jakaż odmiana od tych pierwszych trzech miesięcy ciszy, jednostajności i samotności, które spędziłam pod tym dachem! Zdawało się, że wszelkie smutne uczucia wygnane zostały z tego domu, wszelkie posępne nastroje zapomniane. Nie można było teraz przejść galerii, niegdyś tak cichej, ani minąć pokoi frontowych, dawniej tak pustych, żeby nie napotkać fertycznej¹⁷⁶ panny służącej albo sztywnego lokaja.

Kuchnia, kredens kamerdynera, hall służących, hall wejściowy — wszystkie te kąty tętniły życiem, a w salonach tylko wtedy panowała pustka i cisza, gdy błękit nieba i blask słoneczny tej pogodnej, wiosennej pory wywabiał towarzystwo do ogrodu. Nawet i wówczas, gdy popsuła się pogoda i deszcz nieprzerwanie padał kilka dni, nic nie zatruwało wesołości. Bawiono się tym zwawiej w pokoju, gdy przyszło przerwać zabawy na świeżym powietrzu. Ciekawa byłam, co też będą robili pierwszego wieczora, gdy zaczęto proponować zmianę programu zabawy. Była mowa o „odgrywaniu szarad”, w niewiedzy swojej nie rozumiałam jednak, co to znaczy. Zawołano służbę, przesunięto stoły w jadalni, światła umieszczono inaczej. Krzesła ustawiono w półkole przed arkadą. Podczas gdy pan Rochester i inni panowie kierowali tymi przygotowaniem, panie biegały na górę i na dół i zwoływały swoje służące. Proszono panią Fairfax o objaśnienie, jakie dom ma zasoby szali, ubrań i draperii wszelkiego rodzaju. Przetrząsnięto szafy na trzecim piętrze i zawartość ich — brokatowe spódnice, atlasowe kaftany, czarne stroje, kawałki koronek itd. — służące znosiły całymi naręczami. Wybrawszy, co potrzebne, kazano resztę zanieść do buduaru w obręb salonu.

Pan Rochester tymczasem zwołał znowu panie dookoła siebie i wybierał pomiędzy nimi niektóre do swojej drużyny. „Panna Ingram, naturalnie, do mnie należy” — powiedział, po czym wezwał jeszcze obie panny Eshton i panią Dent. Popatrzył na mnie. Byłam przypadkiem blisko, gdyż zapinałam zatrząsk bransoletki pani Dent.

— Czy chce pani zagrać? — zapytał.

Potrząsnęłam głową. Nie nalegał, czego się trochę obawiałam. Pozwolił mi wrócić spokojnie na zwykłe miejsce.

„Aktorzy” wycofali się teraz za zasłonę. Druga część towarzystwa z pułkownikiem Dentem na czele zasiadła na ustawionych w półkole krzesłach. Pan Eshton, popatrzawszy na mnie, zaproponował widocznie, żeby mnie poproszono o przyłączenie się do nich, jednakże *lady* Ingram zaoponowała natychmiast.

— Nie — usłyszałam. — Ona mi wygląda na zanadto głupią, żeby móc brać udział w grze tego rodzaju.

Po niedługiej chwili odezwał się dzwonek i zasłonę rozsunięto. Pod arkadą ukazała się barczysta postać sir George’a Lynna, udrapowanego w białe prześcieradło. Przed nim, na stole, leżała otwarta, wielka księga. Obok stała Amy Eshton, otulona w płaszcz pana Rochester, z książką w ręku. Ktoś niewidoczny potrząsnął wesoło dzwoneczkiem. Wtedy Adela (która wyprosiła sobie, by mogła należeć do gry po stronie swego opiekuna) wyskoczyła naprzód, syjąc dookoła kwiaty z koszyka, zawieszzonego na ręku. W ślad za nią ukazała się wspaniała postać panny Ingram, ubranej na białą, w długim woalu na głowie i z wiankiem róż nad czołem. Obok niej szedł pan Rochester. Oboje ukłękli, podczas gdy

¹⁷⁶fertyczny — zwinnie, ruchliwy. [przypis edytorski]

pani Dent i Louisa Eshton, również ubrana na białe, stanęły za nimi. Nastąpiła teraz ceremonia, odegrana bez słów, w której łatwo było odgadnąć pantomimę ślubu. Gdy się to skończyło, pułkownik Dent z towarzyszami naradzali się szeptem przez chwilę, po czym pułkownik Dent zawołał:

— *Bride*¹⁷⁷. — Pan Rochester uklonił się i zasłona zapadła.

Dość długo trzeba było czekać, zanim się znów rozsunęła. Gdy to nastąpiło, ukazała się scena przygotowana pracowniej niż poprzednia. Salon, jak to już zaznaczyłam, wznosił się o dwa stopnie nad poziom jadalni. Otóż na drugim stopniu, może z łokieć w głąb pokoju, pojawił się wielki, marmurowy basen, w którym poznałam ozdobę oranżerii (stał tam zawsze, otoczony egzotyczną roślinnością, i pływały w nim złote rybki), skąd z pewnym trudem musiano go przetransportować, gdyż był ogromny i ciężki.

Na podłodze obok basenu siedział pan Rochester, ubrany w szale, w turbanie na głowie. Jego czarne oczy, ciemna cera i silne rysy odpowiadały doskonale kostiumowi — wyglądał jak prawdziwy wschodni emir. W tej chwili ukazała się panna Ingram. I ona także ubrana była na sposób wschodni: szkarłatną szarfę miała przewiazaną w pasie, a haftowaną chustkę owiniętą dokoła głowy. Jej piękne, kształtne ramiona były odkryte, jednym z nich, wzniesionym, podtrzymywała dzbanek, wdzięcznie postawiony na głowie. Tak postać jej, jak twarz oraz ogólny wygląd nasuwały na myśl jakąś księżniczkę Izraela z czasów patriarchalnych — i taką też postać niewątpliwie miała przedstawiać.

Nachyliła się nad basenem, jak gdyby dla napełnienia dzbana, znowu go podniosła i ustawiła na głowie. Mężczyzna, siedzący przy studni, zdawał się teraz przemawiać do niej, prosił ją o coś. Ona opuściła dzban na rękę i dała mu się napić. Wtedy on z zanadrza szaty dobył puzderko, otworzył je i ukazał wspaniałe bransolety i kolczyki. Ona odegrała zdziwienie i podziw. Klęcząc, złożył te skarby u jej nóg. Niedowierzenie i zachwyt wyraziły się w jej minach i gestach. Obcy umieścił bransolety na jej ramionach, a kolczyki w uszach.

Tak, Eleazar¹⁷⁸ i Rebeka¹⁷⁹. Brakowało tylko wielbłądów.

Zgadujący skupili się znowu, widocznie nie mogli się pogodzić co do wyrazu czy sylaby, które ten obraz miał podsunąć. Pułkownik Dent w ich imieniu poprosił o „żywy obraz całości”. Wobec tego zasłona znowu zapadła.

Za trzecim jej rozsunięciem ukazała się tylko część salonu. Resztę zakrywał parawan, zawieszony jakąś ciemną, ordynarną draperią. Marmurowy basen odsunięto, na jego miejscu stał prosty stół sosnowy i krzesło kuchenne. Te przedmioty widziało się przy ciemnym świetle latarki rogowej, gdyż wszystkie woskowe świece pogaszono.

W tym nędznym otoczeniu siedział mężczyzna z opartymi na kolanach, zaciśniętymi rękoma, z oczyma utkwionymi w ziemię. Poznałam pana Rochester, chociaż usmolona cera, ubiór w nieporządku (surdut zwieszał się ściągnięty z jednego ramienia, jak gdyby prawie zdarty z niego w walce), zuchwała, chmurnie zmarszczona twarz i potargane włosy zmieniały go prawie nie do poznania. Gdy się poruszył, zadźwięczał łańcuch — na rękach miał kajdany.

— *Bridewell*¹⁸⁰ — zawołał pułkownik Dent i szarada została rozwiązana.

Potrwało dobrą chwilę, zanim „aktorzy” przebrali się i wrócili do jadalni. Pan Rochester prowadził pannę Ingram. Prawiła mu komplementy, wychwalała jego grę.

— Czy pan wie — mówiła — że z tych trzech ról najwięcej mi się pan podobał w ostatniej? O, gdyby pan żył trochę wcześniej, jaki wspaniały dżentelmen-rozbójnik na publicznych drogach byłby z pana!

— Czy wszystka sadza zmyta z mojej twarzy? — zapytał, zwracając się ku niej.

— Niestety, tak! A szkoda! Tak panu dobrze było, przy pańskiej cerze, w tej charakterystyce na lotra!

— Więc podobałby się pani taki bohater-awanturник, rozbójnik?

¹⁷⁷ *Bride* (ang.) — panna młoda. [przypis edytorski]

¹⁷⁸ *Eleazar* — postać biblijna ze Starego Testamentu, syn Aarona i Eliszeby, arcykapłan. [przypis edytorski]

¹⁷⁹ *Rebeka* — postać biblijna, żona Izaaka, matka Ezawa i Jakuba; opisana scena stanowi nawiązanie do starotestamentowej opowieści. [przypis edytorski]

¹⁸⁰ *Bridewell* — nazwa londyńskiego więzienia; (ang.) *bride* to panna młoda, a (ang.) *well* to studnia, źródło. [przypis edytorski]

— Po włoskim bandycie najmilszym typem byłby mi taki angielski bohater gościńca, przewyższyć mógłby go tylko wschodni pirat.

— Trudno, czymkolwiek jestem, proszę pamiętać, że pani jest moją żoną. Godzinę temu w obecności wszystkich tych świadków zostaliśmy poślubieni. — Zaczęła się śmiać i zarumieniła się.

— A teraz, Dent, twoja kolej! — powiedział pan Rochester.

Gdy zaś pułkownik ze swoją paczką wyszedł, on z partnerami zajął opróżnione krzesła. Panna Ingram usiadła po jego prawej ręce, reszta zgadujących umieściła się po obu ich stronach.

Nie zważałam tym razem na aktorów. Uwagę moją pochłonęli widzowie. Moje oczy, poprzednio wpatrzone w arkadę, teraz nieodparcie przyciągało półkole krzesel. Jaką szaradę przedstawił pułkownik Dent ze swoimi, jakie wyrazy wybrali, jak zagrali, tego już nie pamiętam, ale wciąż mam przed oczami narady po każdej odegranej scenie. Widzę, jak pan Rochester zwraca się do panny Ingram, a panna Ingram do niego. Widzę, jak ona pochyła ku niemu głowę, że aż krucze jej loki dotykają niemal jego ramienia i muskają policzek. Słyszę ich szepty, widzę wymieniane spojrzenia — i nawet uczucia, pobudzone tym widokiem, stają mi w pamięci.

Powiedziałam już, że pokochałam pana Rochester. Nie mogłam przestać kochać go teraz po prostu tylko dlatego, że się przekonałam, iż przestał mnie widzieć, że mogłam całe godziny spędzać w jego obecności, a on na mnie nawet nie spojrzął, że widziałam, iż całą jego uwagę, wszystkie jego starania zagarnęła wielka dama, która przechodząc, unikała dotknięcia mnie krajem swojej szaty, która, jeśli kiedy ciemne i władcze jej oko spoczęło na mnie przypadkiem, odwracała je czym prędzej jak od przedmiotu niegodnego uwagi. Nie mogłam przestać go kochać, pomimo pewności, iż wkrótce poślubi tę właśnie kobietę, chociaż patrzyłam codziennie na jej dumną pewność jego zamiarów i byłam stałym świadkiem jego starań o rękę panny Ingram, starań niedbałych w swoim rodzaju — gdyż raczej kazał się szukać, niż poszukiwał — ale starań zdobywczych przez swą dumę i ujmujących niedbałością.

Nie było w tych wszystkich okolicznościach niczego takiego, co by mogło ochłodzić miłość, wygnać ją z serca, choć wiele było powodów do rozpacz. I do zazdrości — pomyślisz, czytelniku. Ale ja nie byłam zazdrosna, a przynajmniej bywałam bardzo rzadko. Panna Ingram nie mogła budzić zazdrości, gdyż była z rodzaju kobiet zbyt ostatnich. Daruj mi, czytelniku, ten pozorny paradoks, ale ja to, co mówię, mówię na serio. Stwarzała doskonale pozory, ale nie była naturalna. Była osobą piękną, wykształconą, błyskotliwą, ale umysł jej był ubogi, a serce oschłe z natury. Nic samorzutnie nie kwitło na tym gruncie, żaden niewymuszony, swoisty owoc nie radował świeżością. Nie była dobra, nie była oryginalna. Powtarzała pięknie brzmiące frazesy z książek, nigdy nie miała własnego zdania. Uderzała w wysoki ton sentymentów, ale nie znała uczuć litości ani współczucia. Nie było w niej ani czułości, ani prawdy. Aż nazbyt często zdradzała się z tym, dając niewłaściwie folgę złośliwej antypatii względem Adeli — to odpychając ją z dodatkiem niemilego epitetu, jeśli się do niej przypadkiem zbliżyła, to niekiedy nakazując jej wyjść za drzwi, a zawsze traktując ją zimno i kwaśno. Były jeszcze inne oczy, oprócz moich, które śledziły te objawy charakteru, śledziły je uważnie, bacznie, bystro. Tak jest, przyszły mąż, pan Rochester sam wykonywał nad wybraną bezustanny nadzór. I to właśnie ta jego bystrość i ostrożność, ta doskonała, jasna świadomość wad, ten widoczny brak miłości w stosunku do niej — to właśnie było źródłem nieustannej mej męki.

Rozumiałam, że zamierza ożenić się z nią może dla względów rodzinnych, może politycznych, ponieważ stanowisko jej i stosunki mu odpowiadały. Czułam, że nie dał jej miłości swojej i że ona nie ma danych po temu, by skarb ten u niego pozyskać. I to był punkt drażliwy, to podsycało we mnie i karmiło gorączkę: że ona go nie może oczarować.

Gdyby była od razu odniosła zwycięstwo, a on ugiął się i szczerze serce złożył u jej stóp, byłabym twarz zakryła, i (wyrażając się obrazowo) umarła dla nich. Gdyby panna Ingram była kobietą dobrą i szlachetną, obdarzoną gorącym uczuciem, siłą, dobrocią, rozumem, musiałabym stoczyć walkę śmiertelną z dwoma wrogami: zazdrością i rozpacz. A potem, zdusiwszy własne serce, podziwiałabym ją, uznałabym jej doskonałość i byłabym spokojna przez resztę życia. Ale tak, jak w istocie stały rzeczy, widzieć pannę Ingram

Miłość niespełniona

Rozpacz

Miłość

wysilającą się na oczarowanie pana Rochester'a i wciąż chybiającą celu w nieświadomości, że chybia, widzieć, jak daremnie wyobraża sobie, że każdy pocisk trafia do celu i zaślepiona pyszni się powodzeniem, podczas gdy duma jej i zarozumiałość odpycha coraz dalej i dalej tego, którego pragnęła przyciągnąć — obserwowanie tego budziło trudne do opanowania podniecenie.

A to dlatego, że gdy ona chybiała, ja rozumiałam, jak mogłaby osiągnąć powodzenie. Strzały, które wciąż odbijały się od piersi pana Rochester'a i nieszkodliwe padały u jego nóg, pewniejszą ręką wiedzione, mogłyby utkwic w jego dumnym sercu, wywołać miłość w surowym jego oku, złagodzić sarkastyczną twarz albo — lepiej jeszcze — bez żadnej broni ciche odnieść zwycięstwo.

„Czemu ona nie może mieć więcej wpływu na niego, skoro ma szczęście tak blisko z nim przestawać? — zadawałam sobie pytanie. — Z pewnością ona nie kocha go naprawdę, a przynajmniej nie kocha go prawdziwym uczuciem! Gdyby go kochała, nie potrzebowałaby siać tych obfitych uśmiechów, ciskać bezustannych spojrzeń, zdobywać się na sztuczne miny, te wdzięczące się bez końca pozy. Zdaje mi się, że po prostu siedząc spokojnie przy jego boku, mówiąc niewiele i mniej szafując spojrzeniami, mogłaby bardziej zbliżyć się do jego serca. Widziałam na jego twarzy wyraz, o, jakże różny od tej twardej oschłości, która osiada tam teraz, gdy ona z takim ożywieniem go zaczepia. Ale wtedy ten wyraz przychodził sam z siebie, nie wywoływały go uwodzące sztuczki ani wyrachowane zabiegi. Należało tylko wysłuchać go, odpowiedzieć, jeżeli pytał, bez pretensji, przemówić do niego w razie potrzeby, bez minoderii¹⁸¹ — a wtedy wyraz ten pogłębiał się, nabierał dobrotliwości, serdeczności i ogrzewał jak promień słoneczny. Jakże ona zdoła podobać mu się, gdy się pobiorą? Myślę, że nie potrafi. A jednak można to osiągnąć i żona jego mogłaby, wierzę w to silnie, być najszczęśliwszą kobietą pod słońcem”.

Nie zganiłam dotąd ani jednym słowem powziętego przez pana Rochester'a zamiaru ożenku dla interesu i stosunków. Była to zrazu dla mnie przykra niespodzianka, gdy odkryłam, że taki jest jego cel. Miałam go za człowieka niezdolnego do rządzenia się w wyborze żony tak pospolitymi motywami. Im dłużej jednak zastanawiałam się nad pozycją, wychowaniem itd. obu stron, tym mniej czułam się w prawie sądzić i ganić tak jego, jak pannę Ingram za to, że postępują w myśl pojęć i zasad, wpojonych im niewątpliwie od dzieciństwa. Cała ich klasa hołdowała tym zasadom, przypuszczałam przeto, że mają powody do cenięcia tych reguł, powody, których ja nie umiałam zgłębić. Zdawało mi się, że gdybym była mężczyzną o jego pozycji, przygarnęłabym do serca tylko taką żonę, którą mogłabym kochać. A że to oczywiście zapewniłoby szczęście mężczyźnie, więc muszą być chyba jakieś powody, mnie nieznane, które się ogólnemu postępowaniu w ten sposób sprzeciwiają. Gdyby nie to, byłam pewna, że wszyscy postępowaliby tak, jak ja bym postąpiła.

Ale i pod innymi względami, nie tylko pod tym, stawałam się coraz bardziej pozbłażliwa dla mojego zwierzchnika. Zapominałam o wszystkich jego błędach, których się przedtem dopatrywałam tak bacznie. Dawniej starałam się badać wszystkie strony jego charakteru, brać złe razem z dobrym i zważywszy jedno i drugie, osądzać sprawiedliwie. Teraz nie widziałam w nim nic złego. Nie raził mnie już jego sarkazm, nie obruszała szorstkość, widziałam w tym tylko pewną właściwość, samym kontrastem podnoszącą jego zalety. A to coś nieokreślonego — czy był to ponury czy smutny, podstępny czy zrozpaczony wyraz? To coś, co jawiło się niekiedy w jego oku i znikało, zanim można było zmierzyć dziwną głębię, częściowo odsłoniętą. To coś, wobec czego lęk mnie ogarniał i drzenie, jak gdybym chodząc wśród wzgórz wulkanicznych, poczuła nagle grunt chwiejący się pod nogami i rozwierającą się przepaść. To coś od czasu do czasu i teraz widywałam, zawsze z bijącym sercem, lecz już nie nerwowo zdrętwiała. Zamiast pragnąć unikać, pragnęłam tylko móc odważyć się odgadnąć. I myślałam, że szczęśliwa jest panna Ingram, gdyż będzie mogła niebawem patrzeć w tę przepaść do woli, badać jej tajniki i ich istotę.

Podczas tych refleksji na temat mojego zwierzchnika i jego przyszłej żony, kiedy ich jedynie widziałam, słyszałam tylko ich rozmowę, reszta towarzystwa bawiła się doskonale. *Lady Lynn* i *lady Ingram* w dalszym ciągu konferowały na uroczystych sesjach,

¹⁸¹*minoderia* — wdzięczenie się. [przypis edytorski]

kiwając ku sobie turbanami, podnosząc ręce w górę gestami zdziwienia, tajemniczości czy grozy — odpowiednio do poruszanego tematu. Wyglądały jak dwie olbrzymie lale. Łagodna pani Dent rozmawiała z poczciwą panią Eshton. Te dwie obdarzały mnie niekiedy grzecznym słówkiem lub miłym uśmiechem. Sir George Lynn, pułkownik Dent i pan Eshton rozprawiali o polityce, o sprawach lokalnych hrabstwa albo o kwestiach prawnych. Lord Ingram flirtował z Amy Eshton, Louisa grała i śpiewała z jednym z panów Lynnów, a Mary Ingram słuchała spokojnie dworskich komplementów drugiego. Niekiedy wszyscy jak gdyby za wspólną zgodą zawieszali swoją grę na stronie i słuchali głównych aktorów, gdyż, ostatecznie, pan Rochester i związana z nim panna Ingram byli duszą ożywiającą towarzystwo. Jeżeli pan Rochester na jakąś godzinę opuszczał pokój, wśród jego gości odczuwało się wyraźną nudę. Wracając, wnosił świeży bodziec ożywienia i rozmowy.

Brak jego ożywczego wpływu dał się specjalnie odczuć pewnego dnia, gdy interesy zawezwały go do Millcote. Nie spodziewano się go z powrotem aż do późnego wieczora. Po południu padał deszcz, skutkiem czego trzeba było odłożyć spacer do obozu Cyganów, rozłożonego od niedawna na pastwisku za wioszczką Hay. Niektórzy z panów poszli odwiedzić stajnie, młodszy z pannami grali w pokoju bilardowym. Dwie starsze damy, panie Lynn i Ingram, pocieszały się spokojną partyjką w karty. Blanche Ingram, odrzuciwszy ze wzgardliwym milczeniem kilka prób pani Dent i pani Eshton wciągnięcia jej do rozmowy, najpierw półgłosem zanuciła parę sentymentalnych piosenek przy fortepianie, a potem, przyniósłszy sobie jakąś powieść z biblioteki, dumna i milcząca rzuciła się na kanapę, zdecydowana czytaniem zabić nudne godziny oczekiwania. W pokoju i w całym domu panowała cisza, tylko od czasu do czasu wesołe głosy bilardzistów dolatywały z góry.

Ściemniało się. Zegar ostrzegwał, że już czas ubierać się na obiad, gdy Adela, która klęczała przy mnie w zagłębieniu okna, zawołała nagle:

— *Voilà monsieur Rochester, qui revient!*¹⁸²

Odwrociłam się, a panna Ingram zerwała się z kanapy i rzuciła się naprzód. Inni także podnieśli oczy, nasłuchując, równocześnie bowiem rozległ się turkot kół i pluskot końskich kopyt na mokrym żwirze. Zbliżał się powóz pocztowy.

— Co mu się stało, że w ten sposób wraca? — rzekła panna Ingram. — Siedział na Mesrourze (swoim karym koniu), gdy wyjeżdżał, nieprawdaż? I Pilot był z nim. Gdzie on podział te zwierzęta?

Mówiąc to, swoją wysoką postać i obfitą suknię tak przybliżyła do okna, że ja musiałam się odchylić w tył, aż mi w krzyżu zatrzęszczało. Cała przejęta, nie zauważyła mnie zrazu, ale gdy mnie spostrzegła, wydeła usta i przysunęła się do drugiej szyby. Powóz zatrzymał się, woźnica zadzwonił, a jakiś pan, ubrany po podróżnemu, wysiadł. Nie był to jednak pan Rochester, ale wysoki, elegancko wyglądający mężczyzna — człowiek obcy.

— Ach, jakże to nieznośne! — zawołała panna Ingram. — Ty nudna smarkulo! — zwróciła się do Adeli — kto cię posadził w oknie, żebyś dawała fałszywe wiadomości? — i rzuciła na mnie gniewne spojrzenie, jak gdybym ja była coś winna.

Z hallu dolatywały odgłosy rozmowy i niebawem przybysz wszedł do salonu. Ukłonił się *lady* Ingram, uznając ją za najstarszą z pań obecnych.

— Zdaje mi się, że przybywam nie w porę, pani — rzekł — skoro mój przyjaciel, Rochester, jest nieobecny. Odbyłem jednak bardzo długą podróż i sądzę, że na zasadzie starej i bliskiej znajomości mogę sobie pozwolić zatrzymać się tutaj aż do jego powrotu.

Zachowanie jego było ugrzecznione. Akcent w mowie uderzył mnie jako trochę niezwykły — nie wprost cudzoziemski, a jednak niezupełnie angielski. Wiekiem zdawał się bliski panu Rochesterowi, mógł mieć od trzydziestu do czterdziestu lat. Cerę miał niezwykle ciemną. Był to przystojny mężczyzna, na pierwszy rzut oka. Przy bliższym natomiast przyjrzeniu się zauważyłam, że było w jego twarzy coś nieuchwytnego, coś, co się nie mogło podobać. Rysy miał regularne, ale jakby zbyt mało skupione, oczy wielkie i dobrze narysowane, ale wyraz w nich nieco przygasły, niemal nieobecny — tak mnie się przynajmniej wydało.

Dzwonek oznajmiający, że czas się ubierać, rozproszył towarzystwo. Dopiero po obie-

Uroda

¹⁸²*Voilà monsieur Rochester, qui revient!* (fr.) — A oto wraca pan Rochester! [przypis edytorski]

dzie zobaczyłam go znowu. Widać było, że czuje się zupełnie swobodnie. Ale fizjonomia jego jeszcze mniej mi się teraz podobała niż przedtem. Uderzył mnie w wyrazie jego twarzy równoczesny brak spokoju i martwota. Oko jego błękało się jakby bez celu — to nadawało mu szczególny wyraz, jakiego nigdy u nikogo nie widziałam. Jak na przystojnego i dobrotliwego, sądząc z pozoru, człowieka, dziwnie mnie czymś raził. Nie było mocy w tej gładkiej twarzy o pełnym owalu, nie było charakteru w tym orlim nosie i małych, wiśniowych ustach, nie było myśli na tym niskim, równym czole, nie było władnej woli w tym pustym, ciemnym oku.

Siedząc w kąci i patrząc na niego, oświetlonego pełnym światłem żyrandoli płonących nad kominkiem (zajął był fotel tuż przy ogniu i wciąż się jeszcze przysuwał, jak gdyby mu było zimno), porównywałam go z panem Rochesterem. Myślę (nie obrażając nikogo), że kontrast nie mógłby być większy między gładkim gąsiorem a dzikim sokołem, pomiędzy łagodną owcą a jej stróżem, kudłatym psem o mądrym, bystrym oku.

Mówił o panu Rochesterze jako o starym przyjacielu. Ciekawa musiała być ta ich przyjaźń — doskonale zobrazowanie starego powiedzenia, że przeciwieństwa się przyciągają.

Dwóch czy trzech panów siedziało obok niego, a ja chwyciłam niekiedy urywki ich rozmowy. Z początku niewiele mogłam zrozumieć z tego, co słyszałam, gdyż rozmowa Louisy Eshton i Mary Ingram, siedzących bliżej mnie, plątała się z fragmentami zdań dochodzących do mnie z oddali. Te dwie panienki obmawiały obcego gościa, obie nazywały go „pięknym mężczyzną”. Louisa powiedziała, że to „przemile stworzenie” i że go „uwielbia”, a Mary, jako wzór tego, co uważa za ideał piękności, wskazywała jego „ładne, małe usta i piękny nos”.

— A jakie on ma ładne czoło! — zawołała Louisa — takie gładkie... Nie z tych marszczących się, nieregularnych, jakich nie znoszę. I takie spokojne oczy, i uśmiech!

Wtedy, ku mojej radości, pan Henry Lynn zawezwał obie panienki w inny kąt pokoju, gdzie umawiano się w sprawie odłożonej wycieczki na pastwisko w Hay.

Teraz już mogłam skupić uwagę na rozmawiających przy kominku i zaraz też dosłyszałam, że nowo przybyły nazywa się Mason. A potem dowiedziałam się, że dopiero przyjechał do Anglii i że przybywa z jakiegoś gorącego kraju. To było niewątpliwie powodem, dlaczego tak ciemną miał cerę i garnął się do kominka, nie zdjąwszy okrycia w pokoju. Za chwilę nazwy Jamajka¹⁸³, Kingston¹⁸⁴ i Spanish Town¹⁸⁵ wyjaśniły mi, że Indie Zachodnie¹⁸⁶ są miejscem jego zamieszkania. Z niemalym też zdziwieniem zrozumiałam niebawem, że tam spotkał i poznał pana Rochesterę. Mówił, że przyjaciel jego nie znosił srogich upałów, huraganów i pór deszczowych tamtej strefy. Wiedziałam, że pan Rochester dużo podróżował, mówiła mi to pani Fairfax, ale myślałam, że wędrówki jego ograniczały się do Europy. Dotychczas nie słyszałam żadnej wzmianki o odwiedzaniu dalszych stron świata.

Rozważałam w myśli to wszystko, gdy dość niespodziewane zdarzenie przerwało wątek moich dumań. Pan Mason, który trząsł się z zimna, gdy ktoś drzwi otworzył, poprosił, by dołożyć węgla do ognia, jakkolwiek gorejące żuźle płonęły czerwienią i żarem. Służący, przyniósłszy węgiel, zatrzymał się wychodząc przy krześle pana Eshtona i powiedział mu coś po cichu, z czego dosłyszałam tylko słowa „stara kobieta” i „uprzykrzona”.

— Powiedz jej, że każe ją wsadzić do kozy, jeżeli się nie wyniesie — odpowiedział sędzia.

— Nie... Zaczekaj! — przerwał pułkownik Dent. — Nie każe jej odprawiać, Eshton! Możemy na tym skorzystać, lepiej poradźmy się pań. — I głośno mówił dalej: — Łaskawe panie, mówiłyście, że macie zamiar pójść na pastwisko w Hay, ażeby zwiedzić obóz cygański. A oto właśnie Sam powiada, że w tej chwili jest w hallu służących stara Cyganka, która prosi, żeby ją wprowadzić przed „szlachetne towarzystwo”, bo chciała by powróżyć. Czy macie ochotę ją zobaczyć?

Czarownica, Zabawa

¹⁸³Jamajka — państwo na Morzu Karaibskim. [przypis edytorski]

¹⁸⁴Kingston — stolicy Jamajki, państwa na Morzu Karaibskim. [przypis edytorski]

¹⁸⁵Spanish Town — miasto na Jamajce, w zespole miejskim Kingston. [przypis edytorski]

¹⁸⁶Indie Zachodnie — zbiorcza nazwa wysp leżących między Morzem Karaibskim a Oceanem Atlantyckim. [przypis edytorski]

— Przecież z pewnością, pułkowniku — zawołała *lady* Ingram — nie zechce pan popierać takiego nędznego oszustwa? Odprawcie ją natychmiast!

— Ale ja jej nie mogę wyperswadować, żeby się wyniosła — odpowiedział służący — i nikogo też ze służby nie słucha. Pani Fairfax teraz tam przyszła i błaga ją, żeby sobie poszła, ale Cyganicha zasiadła na krześle pod piecem i dowodzi, że nic jej stamtąd nie ruszy, dopóki nie otrzyma pozwolenia i nie zobaczy się z państwem.

— Czego ona chce? — zapytała pani Eshton.

— „Chce powróżyć państwu”, powiada i zaklina się, że musi wróżyć i wróżyć będzie.

— Jak ona wygląda? — zapytały obie panny Eshton równocześnie.

— Szkaradnie brzydka baba, panienko. Prawie tak czarna jak Murzynka.

— A więc prawdziwa czarownica! — zawołał Frederick Lynn. — Dajcie ją tu, naturalnie! Dajcie ją tu!

— Ależ tak! — dorzucił jego brat. — Co by to była za szkoda stracić taką okazję ubawienia się!

— Moi kochani chłopcy, co wam w głowie? — zawołała pani Lynn.

— Ja nie mogę w żaden sposób pozwolić na taki nierozsądny krok! — oświadczyła *lady* Ingram.

— Przepraszam, ale może mama pozwoli — rozległ się wyniosły głos Blanche z taboretu przy fortepianie, gdzie dotąd siedziała milcząca, przeglądając różne nuty. — Jestem ciekawa usłyszeć coś o swoich losach w przyszłości, toteż, Samie, sprowadź tę starą czarownicę.

— Moja ukochana Blanche, pamiętaj...

— Tak, tak... Pamiętam wszystko, co mama chce. I muszę mieć swoją wolę... Spiesz się, Samie!

— Tak!... Tak!... Tak!... — zawołali wszyscy młodzi, panny i panowie. — Niechaj przyjdzie... To będzie świetna zabawa!

Służący jeszcze się wahał.

— Ona tak ordynarnie wygląda — zauważył.

— Idź! — krzyknęła panna Ingram i służący poszedł.

Podniecenie natychmiast ogarnęło całe towarzystwo. Rozgorzała batalia żarcików i prze-komarzań, gdy Sam powrócił.

— Ona tak nie chce przyjść — oznajmił. — Powiada, że nie jest powołana do tego, żeby się prezentować przed „pospolitą gromadą” (tak się wyraziła). Chce, żebym ją wprowadził do osobnego pokoju, a wtedy, mówi, niech ci, co chcą, abym im wróżyła, wchodzą tam pojedynczo po kolei.

— Więc teraz widzisz, moja królewska Blanche — zaczęła *lady* Ingram — że ona sobie za wiele pozwala. Bądźże rozsądna, moje anielskie dziecko i...

— Zaprowadź ją do biblioteki, to się samo przez się rozumie — przerwało „anielskie dziecko”. — I ja też nie jestem powołana do słuchania jej wobec „pospolitej gromady”, chcę ją mieć tylko dla siebie. Czy pali się ogień w bibliotece?

— Tak, proszę pani... Ale ona wygląda na taką...

— Przestań pleść, zakuta głowo! I rób, co ci każe!

Znowu Sam zniknął, a zaciekawienie, podniecenie i oczekiwanie wzrosło do najwyższej potęgi.

— Jest już gotowa — oznajmił wchodząc służący. — Chciałaby wiedzieć, kto będzie jej pierwszym gościem.

— Sądzę, że lepiej, bym ja wpierw jej się przypatrzył, zanim któraś z pań do niej pójdzie — powiedział pułkownik Dent.

— Powiedz jej, Samie, że jeden pan przyjdzie.

Sam poszedł i wrócił.

— Ona powiada, proszę pana, że panów mieć nie chce, że niech się nie trudzą i nie przychodzą do niej, ani też — dodał, z trudem powstrzymując śmiech — nie chce widzieć starszych pań... Tylko młode i... Niezamężne.

— A, do licha! Baba ma dobry gust! — zawołał Henry Lynn.

Panna Ingram podniosła się uroczyście.

— Ja pierwsza pójdę! — oświadczyła tonem, który byłby odpowiedni dla wodza na straconym posterunku, rzucającego się w nierówną walkę na czele garstki ludzi.

— O moja najlepsza! O, moja najdroższa! Stój!... Zastanów się! — wołała jej matka, ale Blanche przesunęła się obok niej w dumnym milczeniu, wyszła przez drzwi, które dla niej pułkownik Dent trzymał otwarte, i usłyszeliśmy, że wchodzi do biblioteki.

Zapanowała teraz względna cisza. *Lady* Ingram uważała, że sytuacja wymaga załamania rąk, co też uczyniła. Panna Mary oświadczyła, iż czuje, że nigdy się nie odważy. Amy i Louisa Eshton chichotały z cicha i miały minki trochę wystraszone.

Minuty upływały bardzo powoli, doliczono się piętnastu, zanim się drzwi biblioteki znowu otwały. Panna Ingram wróciła do nas przez arkadę.

Czy będzie się śmiała? Czy poczyta to wszystko za żart? Wszystkie oczy pobiegły ku niej ze spojrzeniem żywego zaciekawienia, a ona wszystkim tym oczom odpowiedziała wzrokiem odpychającym i zimnym. Nie wydawała się ani podniecona, ani wesoła. Sztynnym krokiem poszła na swoje miejsce i zajęła je w milczeniu.

— No i cóż, Blanche? — zapytał lord Ingram.

— Co ona ci powiedziała, siostrze? — chciała wiedzieć Mary.

— Co o tym myśleć? Jak się czujesz? Czy to prawdziwa wróżka? — dopytywały panny Eshton.

— Powoli, powoli, moi kochani — odpowiedziała panna Ingram — pozwólcież mi odetchnąć. Doprawdy, waszą ciekawość i łatwowierność nietrudno pobudzić. Można by pomyśleć, sądząc po znaczeniu, jakie wy wszyscy, nie wyłączając mojej drogiej mamy, przywiązujecie do tej sprawy, że wy stanowczo wierzycie, iż my tu mamy w domu prawdziwą czarownicę, będącą w stosunkach z prawdziwym, rogatym diabłem. Ja tylko widziałam Cyganicę-włóczęgę. Odbyla na moją intencję zwykle, oklepane praktyki chiromanckie¹⁸⁷ i to mi powiedziała, co tacy ludzie zwykle mówią. Mojej zachciance stało się zadość, a teraz myślę, że pan Eshton dobrze by zrobił, gdyby, tak jak groził, zamknął jutro staruszkę do kozy.

Panna Ingram wzięła książkę do ręki, zagłębiła się w fotelu i w ten sposób ucięła wszelką dalszą rozmowę. Przyglądałam jej się prawie przez pół godziny, przez cały ten czas ani razu nie obróciła stronicy, a twarz jej z każdą chwilą chmurzyła się bardziej, przybierając wyraz niezadowolenia, skwaszenia i zawodu. Z tego przedłużającego się nastroju chmurnego milczenia wносиłam, że ona sama, chociaż głosiła obojętność, niepotrzebną wagę przywiązywała do czegoś, co jej powiedziano.

Tymczasem Mary Ingram, Amy i Louisa Eshton oświadczyły, że nie mają odwagi pójść każda z osobna, a jednak wszystkie pójść pragnęły. Rozpoczęto tedy negocjacje przez ambasadora Sama. Po dłuższej bieżaninie tam i z powrotem, od czego Sama musiały rozboleć nogi, surowa Sybilla¹⁸⁸ z wielką trudnością zgodziła się w końcu, by panny wszystkie trzy razem ją odwiedziły.

Ich wizyta nie odbyła się tak cicho, jak wróżba panny Ingram. Dolatywał nas z biblioteki to śmiech histeryczny, to lekkie okrzyki, a po jakichś dwudziestu minutach usłyszeliśmy otwieranie drzwi i panny, biegnąc pędem przez hall, wszystkie trzy wpadły do salonu, jak gdyby od zmysłów odchodzące, półprzytomne ze strachu.

— Jestem pewna, że w niej jest coś niesamowitego! — wołały jedna przez drugą. — Takie nam rzeczy powiedziała! Wie o nas wszystko! — I padły, zdyszane, na foteliki, które im panowie podsunęli śpiesznie.

Gdy nalegano, prosząc o dalsze wyjaśnienia, panienki opowiedziały, że wróżka powiedziała im o tym, co one mówiły i robiły, dziećmi jeszcze będąc, że opisywała książki i ozdoby, jakie miały w domu w buduarach, pamiątki, jakie od różnych krewnych dostały w upominku. Twierdziły, że nawet myśli ich odgadywała, że szepnęła każdej do ucha imię osoby przez nią najwięcej na świecie lubianej i powiedziała im, czego sobie najgoręcej życzą.

Tutaj panowie zaczęli poważnie upraszać, by ich bliżej objaśniono co do dwóch ostatnich punktów. To natręctwo jednak przyniosło im tylko za całą odpowiedź rumieńce, wykrzykniki, drżenia i śmieszki. Matrony tymczasem szły na pomoc z solami trzeźwiącymi i wachlarzami, raz po raz powtarzając, jak to źle, że panny nie posłuchały ich przestróg

¹⁸⁷ *chiromancki* — dotyczący chiromancji, czyli wrózenia z linii dłoni. [przypis edytorski]

¹⁸⁸ *Sybilla* — w mitologii greckiej wieszczka przepowiadająca przyszłość. [przypis edytorski]

zawczasu. Starsi panowie śmiali się z tego, młodszy zaś starali się usłużyć poruszonymi pięknościami.

Podczas całego tego zamieszania, gdy wzrok mój i słuch pochłaniała rozgrywająca się przede mną scena, usłyszałam czyjeś chrząknięcie tuż blisko. Obejrzałam się. Stał przy mnie Sam.

— Proszę pani, Cyganka mówi, że jest w pokoju jeszcze jedna panna, która dotąd u niej nie była, i zaklina się, że nie pójdzie, dopóki wszystkich nie zobaczy. Pomyślałam, że to zapewne o panią chodzi, bo zresztą nie ma nikogo innego. Co mam jej powiedzieć?

— O, pójdę, owszem, dlaczego by nie? — odpowiedziałam.

Rada byłam z niespodziewanej możliwości zaspokojenia mocno pobudzonej ciekawości. Wysunęłam się z pokoju, niezauważona przez nikogo, gdyż całe towarzystwo skupiło się dookoła drżącego trio, i zamknęłam spokojnie za sobą drzwi.

— Jeżeli sobie pani życzy — rzekł Sam — będę na panią czekał w hallu, a jeżeli by ona panią przestraszyła, niech pani tylko zawoła, to wejdę.

— Nie, Samie, wracajcie do kuchni, ja się ani trochę nie boję.

I rzeczywiście nie bałam się, ale byłam mocno zaciekawiona i podniecona.

ROZDZIAŁ XIX

Wszedłszy do biblioteki, ujrzałam Sybillę (jeśli to była Sybilla?) siedzącą spokojnie na fotelu przy kominku. Miała na sobie czerwony płaszcz i czarny kapelusz cygański o szerokich krezach¹⁸⁹, spuszczonej na twarz na kształt budki pod węzłem pasiastej chustki, związanej pod brodą. Zgaszona świeca stała na stole. Cyganka pochylała się nad ogniem i przy świetle płomieni zdawała się czytać w małej, czarnej książeczce, podobnej do modlitewnika. Mruczała przy tym półgłosem wyrazy, tak jak to czyni wiele starych kobiet. Nie od razu przestała, chociaż weszłam do pokoju. Zdawało się, że chce doczytać do końca ustępu.

Stałam na dywaniku i grzałam sobie ręce, gdyż zziębłam w salonie. Czułam się teraz tak spokojna jak zazwyczaj. W powierzchowności Cyganki nie było nic niepokojącego. Zamknęła książkę i powoli podniosła oczy, opuszczone krey kapelusza częściowo zasłaniały jej twarz. Mogłam jednakże dojrzeć, gdy ją podniosła, że jest to twarz szczególna. Cała była brunatna i czarna, kosmyki kołtuna sterczały spod białej przewiązki, obejmującej jej podbródek i połowę policzków czy raczej szczęk. Śmiałe spojrzenie skierowała prosto na mnie.

— Tak więc, panienko, chcesz, żebym ci przyszłość wywróżyła? — przemówiła głosem równie stanowczym jak jej spojrzenie i szorstkim jak rysy twarzy.

— Nie dbam o to, matko. Możecie mówić, jeśli wam się podoba, ale ostrzegam was, że nie wierzę.

— Zuchwałstwo przemawia przez ciebie. Spodziewałam się tego po tobie, słyszałam to w twoich krokach, gdy przechodziłaś przez próg.

— Czy tak? Macie, matko, bystre ucho.

— Tak jest. I bystre oko, i bystry rozum.

— Tego wszystkiego potrzeba w waszym zawodzie.

— Prawda, zwłaszcza gdy ma się do czynienia z klientami takimi jak ty. Dlaczego nie drżysz?

— Bo nie jest mi zimno.

— Dlaczego nie bledniesz?

— Bo nie jest mi niedobrze.

— Dlaczego nie chcesz radzić się mojej sztuki?

— Bo nie jestem niemądra.

Staruszka ukryła śmiech pod kapeluszem i bandażem, po czym wyciągnęła krótką, czarną fajeczkę i zapaliwszy ją, zaciągnęła się dymem. Po pewnej chwili wyprostowała zgarbione plecy, wyjęła fajkę z ust i, wpatrzona w ogień, powiedziała powoli:

— Jest ci zimno, jest ci niedobrze i jesteś niemądra.

— Proszę mi tego dowieść — odpowiedziałam.

¹⁸⁹kreza — tu: wystająca część kapelusza, otaczająca jego główkę. [przypis edytorski]

— Owszem, dowiodę. I to w kilku słowach. Jest ci zimno, ponieważ jesteś sama, żadne zetknięcie nie krzesze z ciebie tego ognia, który jest w tobie. Jest ci niedobrze, ponieważ najlepsze z uczuć danyh człowiekowi, najwyższe i najslodsze, trzyma się od ciebie z daleka. Jesteś niemądra, ponieważ, jakkolwiek cierpisz, nie chcesz go przyzwwać skinieniem, nie chcesz posunąć się krokiem tam, gdzie ono na ciebie czeka.

Przytknęła znowu do ust krótką fajeczkę i energicznie zaczęła palić.

— Moglibyście to samo powiedzieć prawie każdej młodej kobiecie żyjącej samotnie, w zależności w wielkim domu.

— Mogłabym to powiedzieć, ale czy mówiąc to o każdej, powiedziałabym prawdę?

— O każdej w tym co ja położeniu.

— Tak, właśnie w tym rzecz. Ale znajdź mi choć jedną dokładnie w takim jak twoje położeniu.

— Łatwo byłoby znaleźć ich tysiące.

— Nie wiem, czy znalazłabyś mi choć jedną. Wiedz, że znajdujesz się w bardzo szczęśliwym położeniu, bardzo blisko szczęścia. Wystarczy ci tylko po nie sięgnąć. Materiały wszystkie są gotowe, jednym ruchem można je połączyć. Los nieco je oddalił, jednak wystarczy zbliżyć je, a wyniknie szczęście.

— Nie rozumiem zagadek. Nigdy żadnej łamigłówki nie odgadłam w życiu.

— Jeśli chcesz, żebym mówiła wyraźniej, pokaż mi swoją dłoń.

— Należy ją posrebrzyć?

— Naturalnie.

Dałam jej szylinga. Włożyła go do starej stopy od pończochy, dobytej z kieszeni, zawiązała, schowała z powrotem, po czym kazała mi wyciągnąć rękę. Usłuchałam. Przybliżyła twarz do mojej dłoni i przyglądała się, nie dotykając jej zgoła.

— Zbyt delikatna — rzekła. — Nie mogę niczego wyczytać z tego rodzaju dłoni. Prawie pozbawiona linii. A zresztą, cóż można znaleźć na dłoni? Los nie tam się pisze.

— Wierzę wam — powiedziałam.

— Nie — ciągnęła dalej — los pisze się na twarzy: na czole, dokoła oczu, w oczach samych, w liniach ust. Uklęknij i podnieś głowę.

— A! Teraz przechodźcie do rzeczywistości — rzekłam, czyniąc, co nakazała. — Zaczynam teraz po trosze wam wierzyć.

Uklękłam o jakieś pół łokcia od niej. Poruszyła ogień w piecu, tak że strumień światła trysnął z potraconych węgli. Blask jednakże — tak jak ona siedziała — pogrążył tylko jej twarz w jeszcze głębszym cieniu, moją za to oświecając.

— Ciekawa jestem, z jakimi uczuciami przyszedł tu dziś wieczór do mnie — przemówiła, popatrzawszy na mnie badawczo przez chwilę. — Ciekawa jestem, jakie myśli krążą w twojej głowie, gdy tam siedzisz godzinami wśród tych eleganckich ludzi, którzy ci się jak obrazki w latarni magicznej przesuwiają przed oczami. Obcy ci, bez żadnej z tobą sympatycznej łączności, jak gdyby doprawdy tylko cieniami ludzi byli, a nie prawdziwymi osobami.

— Bywam często zmęczona, niekiedy śpiąca, a ponadto smutna.

— W takim razie musisz mieć jakąś tajemną nadzieję, która cię podtrzymuje i cieszy, szepcząc o przyszłości?

— O, nie! Co najwyżej mam nadzieję, że z zarobionych pieniędzy oszczędzę tyle, by kiedyś w wynajętym przeze mnie domku otworzyć własną szkołę.

— Marny to pokarm dla ducha i niedostateczny. A siedząc tam pod oknem (jak widzisz, znam twoje zwyczaje)...

— Dowiedzieliście się od służących.

— Ach! Wyobrażasz sobie, że jesteś bardzo bystra. Zresztą, być może... Prawdę mówiąc, mam ja jedną znajomą wpośród służących, Grace Poole...

Usłyszawszy to imię, zerwałam się na równe nogi.

„Czy tak?... Czy tak? — pomyślałam — więc jednak jest jakaś diabelska sztuka w całej tej sprawie!”

— Nie lękaj się — ciągnęła dalej dziwna istota — pani Poole to bardzo bezpieczna osoba, dyskretna i spokojna, każdy może jej zaufać. Ale, jak mówiłam, siedząc tam pod oknem, o niczym nie myślisz, tylko o przyszłej szkole? Czy nikt cię nie interesuje z całego tego towarzystwa, ulokowanego przed tobą na kanapach, fotelach i krzesłach? Czy nie

ma tam żadnej twarzy, którą byś badała? Żadnej osoby, którą byś śledziła z ciekawością przynajmniej?

— Lubię obserwować wszystkie twarze i wszystkie osoby.

— I nigdy nie wyróżniasz jednej spośród reszty? Albo może dwóch?

— Owszem, często. Gdy gesty albo spojrzenia jakiejś pary stają się wymowne, bawi mnie patrzenie na nich.

— Na co najchętniej lubisz patrzeć?

— O, nie mam wielkiego wyboru! Jeden na ogół u nich temat: zaloty. I jedna i ta sama zapowiedź końcowej katastrofy: małżeństwo.

— A ty lubisz ten monotony temat?

— Osobiście nic mnie on nie obchodzi, jest dla mnie niczym.

— Niczym jest dla ciebie? Gdy panna, młoda, pełna życia i zdrowia, wybitnie piękna i obdarzona darami fortuny oraz pozycji siedzi i uśmiecha się do oczu pewnego pana, którego ty...

— Którego ja... Co?

— Którego ty znasz... I o którym dobrze może myślisz?

— Ja nie znam tych panów tutaj. Nie wiem, czy z którymś zamieniłam dwa słowa. Co do tego, czy dobrze o nich myślę, to jednych uważam za szanownych, godnych, poważnych, starszych, a innych za młodych, szykownych, przystojnych i pełnych życia. Ale to pewne, że mogą wszyscy przyjmować, czyje zechcą, uśmiechy. Dla mnie nie ma to żadnego znaczenia.

— Nie znasz tutejszych panów? Nie zamieniłaś z żadnym z nich dwóch słów? Czy możesz to powiedzieć o panu tego domu?

— Nie ma go w domu.

— Głęboka uwaga! Nader dowcipne igranie słowami! Pojechał dziś rano do Millcote i wróci wieczorem lub jutro. Czy ta okoliczność wykreśla go z listy twoich znajomych, czy dlatego przestał on niejako istnieć?

— Nie, ale ja nie mogę zrozumieć, co ma wspólnego pan Rochester z tematem, który wprowadziliście.

— Mówiłam o paniach, uśmiechających się do panów, a ostatnimi czasy tyle uśmiechów spłynęło do oczu pana Rochester, że te aż się przelewają, jak dwie przepelnione filiżanki. Czy ty tego nie zauważyłaś?

— Pan Rochester ma prawo cieszyć się towarzystwem gości.

— Nikt mu nie zaprzecza tego prawa, ale czy nie zauważyłaś, że wśród wszystkich tutaj pogłosek o małżeństwie, o nikim tak żywo i stale nie mówi się jak o panu Rochesterze?

— „Chętne ucho słuchacza podnieca język opowiadającego”.

Powiedziałam to raczej do samej siebie niż do Cyganki, której dziwna mowa, zachowanie się i głos, zdołały mnie tymczasem oszołomić, jakby to był rodzaj snu. Jedno po drugim padały z jej ust niespodziewane zdania, aż omotała mnie siecią jakiejś tajemniczej zagadkowości. Nie pojmowałam, co za duch niewidzialny pilnował serca mojego, z dnia na dzień śledząc jego bicie, notując każde uderzenie tętna.

— Chętne ucho słuchacza! — powtórzyła — tak jest, pan Rochester godzinami przesiadywał z uchem nachylonym ku uroczym ustom, które z taką rozkoszą mówiły i mówiły. I pan Rochester tak chętnie przyjmował miódowe słówka, i taki wdzięczny za nie się wydawał. Czyś to zauważyła?

— Wdzięczny? Nie przypominam sobie, bym wdzięczność była odkryła w jego twarzy.

— Odkryła! A zatem zastanawiałaś się, badałaś. I cóż odkryłaś, jeżeli nie wdzięczność? Nie odpowiedziałam.

— Widziałaś miłość, nieprawdaż? I patrząc w przyszłość, widziałaś go żonatego, a jego żonę szczęśliwą?

— Hm... Niezupełnie. Wasza wróżbiarska mądrość myli się niekiedy.

— A więc cóż ty, u diabła, widziałaś?

— Mniejsza z tym. Przyszłam tutaj, ażeby pytać, a nie by się spowiadać. Czy to wiadomo, że pan Rochester ma się ożenić?

— Tak jest, z piękną panną Ingram.

— Czy wkrótce?

— Sądząc z pozorów, tak należy wnioskować. I z największą pewnością (choć ty w swym zuchwalstwie zdajesz się w to wątpić) będzie z nich jak najszczęśliwsza para. On musi kochać taką piękną, szlachetną, dowcipną, wykształconą kobietę. I ona go prawdopodobnie kocha. A jeżeli nie jego osobę, to przynajmniej jego sakiewkę. Wiem, że uważa Rochesterę z jego dobrami za pierwszorzędną partię, chociaż (niech mi to Bóg przebaczy!) z godzinę temu powiedziałam jej w tej kwestii coś, wobec czego dziwnie spoważniała. Kąciki jej ust opadły o pół cala. Radziłabym jej czarnemu konkurentowi mieć się na baczności. Jeśli się zjawi inny, z dłuższym czy czystszy wykazem dochodów, pana Rochesterę czeka koszyk¹⁹⁰...

— Ależ, matko, ja nie przyszłam tutaj słuchać wróżb o przyszłości pana Rochesterę. Przyszłam dowiedzieć się czegoś o mojej własnej. A dotąd nic mi o tym nie powiedzieliście.

— Twój los w przyszłości jest jeszcze wątpliwy. Badałam twoją twarz: jeden rys w niej przeczy drugiemu. Los odmierzył dla ciebie wielką miarę szczęścia, to wiem. Wiedziałam to, zanim tu przyszłam dziś wieczór. Odłożył ją starannie po jednej stronie dla ciebie. Widziałam, jak to czynił. Od ciebie tylko zależy wyciągnąć rękę i wziąć, co ci przeznaczone, ale czy ty to uczynisz, oto zagadka do rozwiązania. Uklęknij jeszcze raz.

— Nie każcie mi klęczeć długo, ogień mnie piecze.

Uklękłam. Nie nachyliła się ku mnie, patrzyła tylko, oparta w fotelu. Zaczęła szeptać:

— Płomień tańczy w jej oku, oko błyszczy jak rosa. Łagodne jest i pełne uczucia. Uśmiecha się, słysząc mój żargon, wrażliwe jest. Wrażenie za wrażeniem przemyka po czystej jego sferze. Gdy przestaje się uśmiechać, jest smutne. Bezwiedne znużenie ciąży na jego powiece, to oznacza melancholię, wypływającą z samotności. Odwraca się ode mnie, unika dalszego badania, drwiącym spojrzeniem zdaje się przeczyć prawdzie odkryć, które już zrobiłam. Zdaje się przeczyć zarzutowi uczuciowości i smutku. Duma jego i rezerwa utwierdzają mnie tylko w moim przekonaniu. Oko jest przychylnie. Co do ust, usta lubią niekiedy śmiać się wesoło. Skłonne są dzielić się wszystkim, co przez myśl przechodzi, choć sądzę, że milczałyby o niejednym, czego doświadcza serce. Ruchliwe, wrażliwe, nie po to stworzone, by zaciskać się w wieczystym milczeniu samotności. To są usta, które powinny mówić wiele i uśmiechać się często, i ludzkie uczucia mieć za słuchacza. Ten rys także jest przychylny. Jedyne wroga pomyślnego wyniku widzę tylko w czole, które to zdaje się mówić: „Potrafię żyć sama, jeżeli poczucie własnej godności i okoliczności zażądają tego ode mnie. Mam w głębi duszy skarb wrodzony, który zdoła utrzymać mnie przy życiu, gdyby wszelkie z zewnątrz płynące radości były mi wzbronione lub ofiarowane jedynie za cenę, której zapłacić nie mogę”. Czoło oświadcza: „Rozum stoi pewnie i dźwierży cugle, i nie pozwoli uczuciom ponosić i pędzić ku dzikim przepaściom. Niech sobie namiętności, pogańskie plemię, szaleją wściekle, niechaj pragnienia snują w wyobraźni uludne mary, ale zdrowy sąd będzie miał zawsze i w każdym sporze ostatnie słowo i rozstrzygający głos w każdej decyzji. Może przyjąć wicher, trzęsienie ziemi, pożar, ale ja zawsze słuchać będę wskazań tego cichego głosu, który tłumaczy rozkazy sumienia”. Dobrze mówisz, szlachetne czoło, wola twoja zostanie uszanowana. Ułożyłem swoje plany i mienię je słusznymi. Stosowałem się w nich do wymagań sumienia, do wskazań rozumu. Wiem, jak prędko zwiędłaby młodość, zmarniałby kwiat, gdyby czara ofiarowanego szczęścia kryła choć trochę mętów wstydu, choć najłżejszy posmak wyrzutu sumienia. I nie chcę poświęcenia, żalu, zatrąty, o nie! Pragnę ogrzać, nie zmrozić, zyskać wdzięczność, nie krwawe lzy... Nie, nawet nie słone. Żniwem moim muszą być uśmiechy, słowa pieśzczołiwe, słodka... Dosyć. Zdaje mi się, że śnię w jakiejś rozkosznej gorączce. Pragnąłbym teraz przedłużyć tę chwilę w nieskończoność — ale nie śmiem. Dotychczas opanowywałem się całkowicie. Grałem swoją rolę tak, jak sobie przypisałem, że ją zagram. Grać dłużej byłoby może ponad moje siły. Niech pani powstanie, panno Eyre, niech mnie pani opuści; przedstawienie skończone.

Gdzie ja byłam? Sen to czy jawa? Czy może śniłam? Czy sen ten trwał jeszcze? Głos starej kobiety zmienił się, jej akcent, jej gesty, wszystko tak mi było znajome jak własna twarz w zwierciadle. Wstałam, ale nie odeszłam. Spojrzałam, poprawiłam ogień i znowu spojrzałam, ale ona ściągnęła kapelusz i bandaż mocniej na twarz i znowu skinęła, że

Czarownica, Przebranie,
Podstęp

¹⁹⁰koszyk (daw.) a. kosz — tu: odmowa w odniesieniu do propozycji małżeństwa. [przypis edytorski]

mam odejść. Płomień oświecił wyciągniętą rękę. Rozbudzona teraz, goniąc za odkryciem, od razu zauważyłam tę rękę. Nie była to wyschła starcza ręka, lecz dłoń zaokrąglona, giętka, o gładkich, kształtnych palcach. Szeroki pierścień błysnął na małym palcu, a w tym pierścieniu rozpoznałam szlachetny kamień, setki razy oglądany. I znowu spojrzałam na twarz, ta już nie odwracała się ode mnie — przeciwnie, kapelusz i bandaż były zrzucone, głowa swobodna.

— I cóż, panno Jane, czy poznaje mnie pani? — zapytał głos dobrze znajomy.

— Niech pan tylko zdejmie ten czerwony płaszcz, a wtedy...

— Ale sznurek splątał się w węzeł, pomóż mi.

— Niech go pan zerwie.

— Ot, co! „Precz, wy, pożyczane szaty!”¹⁹¹.

I pan Rochester ukazał się bez przebrania.

— Ależ, panie, co za dziki pomysł!

— Ale dobrze wykonany, co? Nieprawdaż?

— Wobec pań musiał pan dobrze grać.

— A z tobą nie?

— Ze mną nie grał pan roli Cyganki.

— Jakąż więc rolę grałem? Czy własną?

— Nie, jakąś niewyraźną. Krótko mówiąc, myślę, że pan chciał ze mnie coś wydobyć albo mnie na coś naciągnąć. Prawił pan niedorzeczności, żeby mnie na niedorzeczności namówić. To niezbyt ładnie, łaskawy panie.

— Przebaczysz mi to, panno Jane?

— Nie wiem, dopóki się nad tym wszystkim nie zastanowię. Jeżeli, po namyśle, przekonam się, że nie naplotłam jakichś wielkich głupstw, będę się starała przebaczyć panu. Ale to nie było słusznie ze strony pana.

— Ach, zachowałeś się bardzo właściwie, bardzo ostrożnie, bardzo rozsądnie.

Zastanowiłam się i doszłam do przekonania, że ogółem biorąc, tak też i było. Pociężyło mnie to, ale bo też uważałam i byłam ostrożna od samego początku rozmowy. Podejrzewałam jakąś maskaradę. Wiedziałam, że Cyganki i wróżbiarki nie wyrażają się w ten sposób, jak ta rzekoma stara baba. Przy tym zauważyłam, że mówi sztucznie zmienionym głosem i że starannie twarz ukrywa. Myśl moja jednakże krążyła dokoła Grace Poole, tej żyjącej zagadki, tej tajemniczej dla mnie istoty. Nie pomyślałam nawet o panu Rochesterze.

— Nad czym to panna Jane дума? — zapytał. — Co oznacza ten poważny uśmiech?

— Zdziwienie i zadowolenie z siebie. Pozwoli mi pan teraz usunąć się, nieprawdaż?

— Nie, jeszcze chwilę. Powiedz mi, co tam ludzie robią w salonie?

— Przypuszczam, że rozprawiają o Cygance.

— Usiądź! Powiedz mi, co o mnie mówili.

— Lepiej, żebym się już nie zatrzymywała, musi być blisko jedenastej. Ach, ale czy też pan wie, że obcy jakiś gość przybył tu podczas nieobecności pańskiej?

— Obcy gość? Nie, któż to być może? Ja nie oczekiwałam nikogo. Czy odjechał?

— Nie, powiedział, że zna pana od dawna i że może sobie pozwolić zainstalować się tutaj aż do pańskiego powrotu.

— A niechże go licha! Tak powiedział?! Czy podał swoje nazwisko?

— Jego nazwisko brzmi Mason, panie, a przybywa z Indii Zachodnich, zdaje mi się, że z Spanish Town na Jamajce.

Pan Rochester stał przy mnie. Ujął był moją rękę z zamiarem poprowadzenia mnie do krzesła. Gdym mówiła, ścisnął mi tę rękę konwulsyjnie, a uśmiech na ustach jego zamarł, jak gdyby skurcz zatamował mu oddech.

— Mason!... Indie Zachodnie! — powiedział tonem automatu, nastawionego na te jedyne słowa. — Mason... Indie Zachodnie! — powtórzył.

Trzy razy wymówił te słowa, błędąc coraz bardziej. Zdawało mi się, że traci przytomność.

— Czy panu słabo? — zapytałam.

¹⁹¹Precz, wy pożyczane szaty! — cytat z *Króla Leara*, tragedii Williama Shakespeare'a (1564–1616). [przypis edytorski]

— Panno Jane, cios mnie dosięgnął. Dosięgnął mnie cios, panno Jane! — Zatoczył się.

— O, niech się pan na mnie wesprze!

— Panno Jane, ofiarowałaś mi ramię swoje już raz, wesprę się na nim i teraz...

Podprowadziłam go do krzesła. Prosił, żebym usiadła przy nim. Trzymając rękę moją w obu swoich, głaskał ją, patrząc na mnie równocześnie wzrokiem jak gdyby strwożonym i wielce strapionym.

— Moja mała przyjaciółko! — mówił — o, gdybym mógł znaleźć się gdzieś na jakiejś spokojnej wyspie z tobą jedną tylko, a troska, niebezpieczeństwo i ohydne wspomnienia gdyby mogły być mi odjęte!

— Czy mogłabym być panu pomocna? Życie bym oddała, by móc usłużyć panu.

— Panno Jane, jeśli pomoc będzie mi potrzebna, zwrócę się do ciebie. To ci przyrzekam.

— Dziękuję! Niech mi pan powie, co mam zrobić... Spróbuję przynajmniej zrobić, co pan każe.

— Tymczasem przynieś mi, panno Jane, kieliszek wina z jadalni. Będą tam teraz siedzieli przy kolacji. I powiedz mi, czy Mason jest z nimi i co robi.

Poszłam. Zastałam całe towarzystwo w jadalni przy kolacji. Nie siedzieli przy stole, wszystko ustawione było na kredensie — każdy brał, co mu się podobało. Jedli, stojąc tu i tam grupkami, z talerzami i kieliszkami w ręku. Wszyscy wydawali się w doskonałym humorze, śmiano się i rozmawiano z ożywieniem. Pan Mason stał przed kominkiem, gawędząc z pułkownikiem i z panią Dent i zdawał się równie wesół jak wszyscy. Nalałam wina do kieliszka (widziałam, że panna Ingram patrzy na mnie, marszcząc czoło; uważała widać, że zanadto sobie pozwalam) i powróciłam do biblioteki.

Niezmierna bladeść pana Rochesterera minęła, wyglądał znowu stanowczo i surowo. Wziął z mojej ręki kieliszek.

— Za twoje zdrowie, duchu pomocny! — powiedział. Połknął wino i oddał mi kieliszek. — Co oni tam robią, panno Jane?

— Śmieją się i rozmawiają.

— Czy nie mają min poważnych i tajemniczych, jak gdyby coś dziwnego usłyszeli?

— Bynajmniej, żartują, wesołość ich ponosi.

— A Mason?

— I on się śmiał.

— Gdyby wszyscy ci ludzie weszli tutaj gromadą i opluli mnie, co byś ty zrobiła, panno Jane?

— Wypędziłabym ich z pokoju, panie, gdybym mogła.

Uśmiechnął się słabo.

— Ale gdybym ja poszedł do nich, a oni tylko popatrzyliby na mnie chłodno, poszeptali między sobą drwiąco i zaczęli się wynosić po kolei, zostawiając mnie samego, co wtedy? Czy poszłabyś razem z nimi?

— Myślę, że chyba nie. Milej by mi było pozostać z panem.

— Ażeby mnie pocieszać?

— Tak, panie, ażeby pana pocieszać, o ile by to było w mojej mocy.

— A gdyby oni za to, że trwasz przy mnie, obrzucili cię pogardą?

— Prawdopodobnie nic bym o tej ich pogardzie nie wiedziała, a gdyby nawet, nie dbałabym o nią wcale.

— Tak więc dla mnie potrafiłabyś stawić czoło obmowie?

— Potrafiłabym to uczynić dla każdego przyjaciela, który by wart był, ażebym przy nim stała, tak jak z pewnością pan wart jest tego.

— Wróćże tam teraz do pokoju, podejdź spokojnie do pana Masona i szepnij mu do ucha, że Rochester wrócił i pragnie się z nim zobaczyć. Przyprowadź go tutaj, a potem zostaw nas samych.

— Dobrze, panie.

Spełniłam jego rozkaz. Całe towarzystwo wytrzeszczało na mnie oczy, gdy szłam wśród nich prosto do miejsca, gdzie stał pan Mason. Powtórzyłam mu, co miałam polecenie. Wyszedł za mną z pokoju, wpuściłam go do biblioteki, a potem poszłam na górę.

Przyjaźń, Wierność

O później godzinie, gdy już czas jakiś leżałam w łóżku, usłyszałam gości wracających do swoich pokoi. Rozróżniłam głos pana Rochester'a i usłyszałam, jak mówił:

— Tędy, proszę cię, tędy. To jest twój pokój.

Mówił wesoło, swobodny ton głosu uspokoił mnie. Wkrótce zasnęłam.

ROZDZIAŁ XX

Zapomniałam dnia tego zaciągnąć zasłonę koło łóżka, co zwykle czyniłam, a także spuścić storę u okna. Toteż gdy księżyc w pełni posunął się tak daleko, że przez niezasloniętą szybę oświecił moje posłanie, blask jego mnie obudził. Zbudzona w głębi nocy, otworzyłam oczy i popatrzyłam na twarz księżycy — srebrnobiałą, czystą jak kryształ. Piękna była, lecz zbyt uroczysta. Uniosłam się i wyciągnęłam rękę, chcąc zaciągnąć zasłonę.

Wielki Boże! Co za krzyk!

Noc, jej spokój, jej ciszę rozdarł dziki, ostry, przeraźliwy głos, wstrząsający domem od końca do końca.

Puls mój się zatrzymał, serce bić przestało, wyciągnięta ręka zdrętwiała. Krzyk zamarł i nie powtórzył się więcej. W istocie, żadne stworzenie, które by krzyk tak okropny wydało, nie mogłoby powtórzyć go prędko, żaden potężny kondor z gniazda swojego na szczytach Andów¹⁹² po tak przeraźliwym krzyku nie mógłby go ponowić, nie odpocząwszy przed nowym wysiłkiem.

Głos ten płynął z trzeciego piętra, gdyż dochodził z góry. I na górze też — tak, w pokoju tuż nad moim sufitem — posłyszałam teraz śmiertelną walkę; śmiertelną wydawała się, sądząc po hałasie. Równocześnie na wpół zduszony głos zawołał po trzykroć z rzędu:

— Na pomoc! Na pomoc! Na pomoc!

— Czyż nikt nie pójdzie? — zawołałam, a wtedy, podczas gdy borykanie się i dziki tupot trwały dalej, doleciało mnie przez sufit i ściany wołanie:

— Rochester! Rochester! Na miłość boską, przyjdź tutaj!

Drzwi jakies otworzyły się, ktoś biegł, ktoś pędził wzdłuż korytarza. Na podłodze nade mną usłyszałam inne kroki i coś upadło. Teraz nastąpiła cisza.

Zarzucałam na siebie ubranie, chociaż groza mną wstrząsała, i wyszłam z pokoju. Wszyscy śpiący pobudzili się. Okrzyki i szepty przerażenia słychać było we wszystkich pokojach, otwierały się drzwi jedne za drugimi. To jedna osoba wyglądała, to znowu druga — korytarz się zapełnił. Panowie i panie, wszyscy powstawali. W zamieszaniu ze wszystkich stron rozległy się pytania: „Ach, co to jest?”, „Czy się komu co złego stało?”, „Co się stało?”, „Przynies świecę!”, „Czy to pożar?”, „Czy to rozbójnicy?”, „Dokąd my uciekniemy?”. Gdyby nie światło księżycy, byłiby wszyscy w zupełnej ciemności. Biegali tam i z powrotem, skupili się w gromadę. Ktoś kłął, ktoś się potykał i zataczał, zamęt był nieopisany.

— Gdzież, u licha, jest Rochester? — zawołał pułkownik Dent. — Nie widzę go w łóżku!

— Tutaj jestem! Tu! — odkrzyknięto mu w odpowiedzi. — Bądźcie wszyscy państwo spokojni, już idę.

Otworzyły się drzwi na końcu korytarza i ukazał się pan Rochester ze świecą w ręku — wracał z trzeciego piętra. Jedna z pań podbiegła natychmiast ku niemu i chwyciła go za ramię. Była to panna Ingram.

— Cóż to za straszny wypadek się zdarzył? — przemówiła. — Niech pan mówi. Niech pan nam najgorsze powie od razu!

— Tylko niech mnie panie nie przewrócą albo nie uduszą — odpowiedział, gdyż teraz uczepliły się go obydwie panny Eshton, a dwie starsze damy w obszernych białych szlafrokach płynęły prosto na niego jak okręty z rozwiniętymi żaglami.

— Wszystko w porządku! Wszystko w porządku! — wołał. — To po prostu scena z *Wiele hałasu o nic*¹⁹³. Panie, usuńcie się, bo stanę się niebezpieczny!

I niebezpieczny się wydawał rzeczywiście. Jego czarne oczy ciskały błyskawice. Opalowując się z wysiłkiem, dodał:

¹⁹²Andy — łańcuch górski w Ameryce Południowej. [przypis edytorski]

¹⁹³*Wiele hałasu o nic* — komedia autorstwa Williama Shakespeare'a (1564–1616). [przypis edytorski]

— Jedna ze służących miała zmorę nocną, nic więcej. Jest to osoba wrażliwa, nerwowa. Wydało jej się przez sen, że widzi jakąś zjawę czy coś podobnego, i ze strachu dostała ataku nerwowego. A teraz muszę prosić, żebyście państwo powrócili do sypialń, bo dopóki w domu nie zapanuje spokój, nie można się nią należycie zająć. Panowie, bądźcie łaskawi dać paniom dobry przykład. Panno Ingram, jestem pewien, że pani okaże się wyższa ponad niemądre strachy. Amy, Louiso, wracajcie do swych gniazdek jak para posłusznych gołąbków. *Mesdames* — tu zwrócił się do dwóch matron — zaziębcie się, jak Bóg na niebie, jeżeli dłużej stać będziecie w tej zimnej galerii.

I tak — to łagodząc, to rozkazując — zdołał na koniec zapędzić wszystkich do sypialń. Ja zaś, nie czekając na rozkaz, usunęłam się do swojej, niezauważona przez nikogo.

Nie miałam mimo to zamiaru kłaść się do łóżka. Przeciwnie, ubrałam się starannie. Odgłosy, które mnie doszły po owym krzyku, i słowa wypowiedziane słyszałam prawdopodobnie ja jedna tylko, gdyż płynęły one z pokoju położonego nad moim. Sądząc z nich jednak, byłam pewna, że nie sen służącej z taką grozą wstrząsnął całym domem i że wyjaśnienie podane przez pana Rochestera było zwykłym wymysłem dla uspokojenia gości. Ubrałam się przeto, ażeby w razie potrzeby być gotowa. Ubrawszy się, siedziałam długi czas przy oknie, patrząc na cichy ogród i osrebrzone pola w oczekiwaniu sama nie wiem czego. Zdawało mi się, że jakieś zdarzenie musi nastąpić po tym dziwnym krzyku, tej walce i tym wołaniu.

Tymczasem nie, powrócił spokój. Wszelki szept, wszelki ruch ustawał stopniowo i może jakąś godzinę później zapanowała w Thornfield Hall cisza jak na pustyni. Noc i sen objęły dom w posiadanie. Tymczasem księżyc kłonił się już ku zachodowi. Zamiast siedzieć w chłodzie i w ciemności, pomyślałam, że raczej wyciągnę się ubrana na łóżku. Odeszłam od okna i jak najciszej przeszłam po dywanie. W chwili, gdy nachylałam się, by zdjąć trzewiki, ostrożna ręka cicho zapukała do drzwi.

— Czy jestem potrzebna? — zapytałam.

— Czy panna Jane wstała? — zapytał głos, którego się spodziewałam, głos pana Rochestera.

— Tak, panie.

— I jest ubrana?

— Tak.

— Więc proszę wyjść, ale spokojnie.

Uśledzałam. Pan Rochester stał na korytarzu, trzymając świecę.

— Jesteś mi potrzebna — rzekł — pójdz tędy, ale nie śpiesz się i nie rób hałasu.

Miałam na nogach cienkie pantofle, mogłam więc stąpać po chodniku cicho jak kot. Pan Rochester szedł wzdłuż korytarza i po schodach, aż w końcu zatrzymał się w niskim, ciemnym korytarzu nieszczęsnego trzeciego piętra. Ja szłam za nim i stanęłam przy jego boku.

— Czy nie masz gąbki w swoim pokoju? — zapytał szeptem.

— Mam, owszem.

— A sole... Sole trzeźwiące?

— I te mam także.

— Więc wracaj i przynieś jedno i drugie.

Poszłam, zabrałam oba przedmioty i powróciłam. Pan Rochester czekał, trzymał w ręku klucz. Zbliżywszy się do jednych z tych małych, czarnych drzwi, wsunął go w zamek. Zatrzymał się jednak i znów zwrócił się do mnie:

— Czy nie zrobi ci się słabo na widok krwi?

— Sądzę, że nie, jednak nie byłam dotąd nigdy wystawiona w tym na próbę.

Uczulam dreszcz, gdy to mówiłam, nie zrobiło mi się jednak ani zimno, ani słabo.

— Pokaż mi rękę — rzekł — nie możemy ryzykować omdlenia.

Podalam mu rękę.

— Ciepła i spokojna — zauważył.

Przekręcił klucz i otworzył drzwi.

Ujrzałam pokój, który — pamiętałam — widziałam już przedtem, wtedy, kiedy pani Fairfax oprowadzała mnie po domu. Zawieszony był makatami, w jednej części jednak tkanina była teraz odgarnięta i zobaczyłam drzwi, wówczas niewidoczne. Drzwi te były otwarte, światło jaśniało w pokoju w głębi. Słyszałam płynący stamtąd chrapliwy pomruk,

przypominający warczenie psa. Pan Rochester, postawiwszy świecę, powiedział do mnie: „Poczekaj chwilę”, po czym wszedł do wewnętrznego pokoju. Powitał go wybuch śmiechu — hałaśliwy zrazu, a kończący się tym, właściwym Grace Poole, diabelskim „Ha! Ha!”. A więc ona tam się znajdowała... Pan Rochester coś zarządził, nic nie mówiąc, chociaż słyszałam zwracający się do niego cichy głos. Wyszedł i zamknął drzwi za sobą.

— Przyjdź tutaj, panno Jane! — zwrócił się teraz do mnie.

Przeszłam na drugą stronę wielkiego łóżka, które z opuszczonymi firankami zasłaniało znaczną część pokoju. Fotel stał w głowach łóżka, a w nim siedział mężczyzna, całkowicie ubrany z wyjątkiem ściągniętego surduta. Siedział cicho, z głową w tył przechyloną i zamkniętymi oczyma. Pan Rochester oświecił go świecą — poznałam w jego bladej, na pozór martwej twarzy obcego przybysza, pana Masona. Zauważyłam, że bielizna jego z jednego boku i na ramieniu przesiąknięta była krwią.

— Potrzymaj mi świecę — rzekł pan Rochester.

Usłuchałam. Przyniósł z umywalni miednicę z wodą

— I to mi przytrzymaj.

Zrobiłam, jak kazał. Wziął gąbkę, zanurzył ją w wodzie i zwilżył nią trupio bladą twarz. Zażądał ode mnie buteleczki z solami i przytknął ją do nozdrzy zemdlonego. Pan Mason niebawem otworzył oczy i jęknął. Pan Rochester rozpiął koszulę rannego, którego barki i ramię były obandażowane, zebrał gąbką krew, szybko ściekającą kroplami.

— Czy jest bezpośrednio niebezpieczeństwo? — szepnął pan Mason.

— Cóż znowu! Nie, to zwykle zdraśnięcie. Nie przerażaj się tak, człowieku, trzymaj się! Sprowadzę ci teraz chirurga, ja sam. Do rana, mam nadzieję, będzie cię można stąd wywieźć. Panno Jane — zwrócił się do mnie.

— Słucham.

— Będę cię musiał zostawić w tym pokoju z tym oto panem na godzinę, a może na dwie. Będziesz zbierała gąbką krew, jeśli się znów pokaże, tak jak ja to czynię. Gdyby mu się słabo robiło, podasz mu do ust tę szklankę z wodą, która tu na półce stoi, i podsuniesz mu pod nos sole. Nie mów do niego pod żadnym pozorem, a ty, Richardzie, naraziłbyś na niebezpieczeństwo życie, gdybyś mówił do niej. Jeżeli otworzysz usta albo poruszysz się, nie odpowiadam za następstwa.

Biedny człowiek znowu jęknął. Zdawało się, że nie śmie się ruszyć, strach przed śmiercią czy przed czymś innym paraliżował go po prostu. Pan Rochester wsunął mi zakrwawioną gąbkę do ręki, a popatrzywszy przez chwilę, jak jej używam, rzucił jeszcze te słowa: „Pamiętaj! Żadnej rozmowy!” i wyszedł z pokoju. Dziwnego doznałam uczucia, gdy klucz zgrzytnął w zamku i zamarł odgłos oddalających się kroków.

Więc oto byłam tutaj, na trzecim piętrze, zamknięta w jednej z tych tajemnych celek. Dokoła mnie noc, błądy i krwawy widok przed oczyma, a drzwiami zaledwie odgradzona ode mnie — morderczyni. Tak, to było przerażające. Resztę mogłam znieść, ale drżałam na myśl, że Grace Poole może wypaść i rzucić się na mnie.

Muszę jednakże wytrwać na stanowisku. Muszę śledzić tę twarz widmową, te sine, milczące wargi, którym nie wolno się poruszyć, te oczy — to zamknięte, to otwierające się, to błędzące po pokoju, to utkwione we mnie, a zawsze powleczone tępotą grozy. Muszę raz po raz zanurzać rękę w miednicy pełnej zakrwawionej wody i ocierać krew kapiącą. Muszę patrzeć na to, jak światło słabej świecy przygasa nad moją robotą, jak ciemniejszą cienie na haftowanej, zabytkowej makacie dokoła mnie, czarne pod zasłonami wielkiego, starego łóżka, dziwnie drżące nad drzwiami wielkiej szafy naprzeciw, której front, podzielony na dwanaście pól, dźwigał grubo rzeźbione głowy dwunastu apostołów, gdy na szczycie ponad nimi wznosił się hebanowy krzyż z konającym Chrystusem.

I w miarę, jak przewalająca się ciemność z przemian z błyskami światła błąkały się to tu, to tam, wylaniał się z cienia to brodaty św. Łukasz¹⁹⁴o pochylonym czole, to św. Jan¹⁹⁵o długich, falujących włosach, to znów jawiła się diabelska twarz Judasza¹⁹⁶, nabierała życia i zdawało się, że lada chwila przedzierzgnie się w oblicze arcy-zdrajcy — samego szatana.

¹⁹⁴św. Łukasz a. Łukasz Ewangelista — współpracownik apostoła Pawła, autor trzeciej Ewangelii. [przypis edytorski]

¹⁹⁵św. Jan — jeden z dwunastu apostołów Jezusa, autor Ewangelii i Apokalipsy św. Jana. [przypis edytorski]

¹⁹⁶Judasza — jeden z apostołów; wydał Jezusa Chrystusa w ręce żydów. [przypis edytorski]

Wśród tego wszystkiego musiałam nie tylko czuwać, ale nasłuchiwać, wyęzć słuch, czy nie usłyszę ruchów tej dzikiej bestii czy też szatana, w owej przez drzwi sąsiadującej norze. Jednakże od chwili wyjścia pana Rochester'a jakby czar jakiś ją uciszył, przez całą noc usłyszałam jedynie trzy odgłosy w długich odstępach czasu: skrzypnięcie czyjegoś kroku, chwilowe wznowienie chrapliwego, psiego pomruku i głęboki ludzki jęk.

A wtedy własne myśli zaczęły mnie dręczyć. Jakaż to zbrodnia żyła tutaj, wcielona w tym ustronnym domu, której ani wygnać, ani opanować nie mógł jego właściciel? Jaka tajemnica, wybuchająca to ogniem, to krwią w późnych godzinach nocnych? Cóż to za stworzenie było, co ukryte w twarzy i postaci zwykłej kobiety odzywało się raz głosem drwiącego demona, to znów krzykiem drapieżnego ptaka szukającego padliny?

A ten człowiek, nad którym się pochylałam, ten zwykły, spokojny cudzoziemiec — co go wplątało w tę sieć pełną grozy? Dlaczego napadła go ta furia? Co mu kazało błąkać się po tej części domu o tak niezwykłej porze, kiedy powinien był we śnie spoczywać? Słyszałam, jak pan Rochester wskazywał mu pokój na dole — cóż go tu sprowadziło? A dlaczego teraz taki był uległy, chociaż doświadczył gwałtu czy też zdrady? Dlaczego tak spokojnie godził się na ukrycie, którego żądał pan Rochester? Ale dlaczego pan Rochester żądał tego ukrycia? Na gościa jego uczyniono zamach, niedawno na własne jego życie ohydnie nastawano, a on tak jedno, jak drugie, zasłaniał tajemnicą i puszczał w niepamięć. Zauważyłam poprzednio, że pan Mason ulegał panu Rochesterowi, że tegoż gwałtowna wola władała bezwzględnie biernością tamtego. Upewniło mnie o tym te parę słów, które zamienili. Widoczne było, że w dawniejszych ich stosunkach bierne usposobienie jednego było pod stałym wpływem czynnej energii drugiego. Gdzież więc źródło tego przerażenia, z jakim pan Rochester usłyszał o przybyciu pana Masona? Dlaczego samo imię tej uległej osoby, którą jak dziecko samym słowem mógł prowadzić, poraziło go kilka godzin temu jak grom?

O! Nie mogłam zapomnieć wyrazu jego i bledzi, gdy szepnął: „Panno Jane, dosięgnął mnie cios... Cios mnie dosięgnął, panno Jane!”. Nie mogłam zapomnieć, jak drżała ta ręka, którą oparł na moim ramieniu. A nie mogła to być drobna sprawa, skoro zdołała tak pognębić śmiałość ducha, tak wstrząsnąć potężną postacią Rochester'a.

„Kiedyż on wróci? Kiedyż on wróci?” — wołałam w głębi duszy, gdy noc się przeciągała, a mój krwawiący pacjent słabł, wzdychał i jęczał. A tu ani dzień nie nadchodził, ani pomoc nie przybywała. Już kilka razy przysuwałam szklanekę z wodą do zbieleńszych warg Masona, raz po raz podawałam mu sole trzeźwiące. Wysiłki moje wydawały się jednak bezskuteczne. Czy to cierpienie fizyczne czy moralne, czy też utrata krwi sprawiły — czy wszystko to razem — dość, że siły jego wyczerpywały się prędko. Jęczał i wyglądał tak słabo, zagubiony i bezwładny, że obawiałam się, iż umiera, a nawet mówić do niego nie było mi wolno.

Świeca, wypalona do końca, zgasła nareszcie. Ujrzałam wtedy smugi szarego światła po brzegach story, świtało. Zaraz też usłyszałam szczekanie Pilota w odległej budzie na podwórzu i odżyła we mnie nadzieja. Nie na darmo, w pięć minut później zgrzyt klucza i lekkie skrzypnięcie drzwi obwieściły kres mego czuwania. Nie mogło ono trwać więcej niż dwie godziny, a jednak zdawało mi się, że okres kilku tygodni nie dłużyłby się bardziej.

Pan Rochester wszedł do pokoju, a z nim chirurg, po którego pojechał.

— A teraz, Carter, śpiesz się — zwrócił się pan Rochester do chirurga. — Daję ci tylko pół godziny na opatrzenie rany, założenie bandażu, sprowadzenie pacjenta na dół i wszystko.

— Czy jednak będzie go można ruszyć?

— Bez wątpienia, to nic poważnego. Jest zdenerwowany, trzeba w nim podtrzymać ducha. Dalej, bierz się do roboty.

Pan Rochester odsunął ciężką portierę, podniósł płócienną storę i wpuścił, ile było można, dziennego światła. Zdziwiłam się i ucieszyłam, widząc, jak świt się posunął, a różowe pręgi zaczynają rozświecać wschód nieba. Następnie pan Rochester zbliżył się do Masona, którego już chirurg wziął w obroty.

— No i cóż, mój pocziwco, jak się czujesz? — zapytał.

— Zamordowała mnie, lękam się — brzmiała słaba odpowiedź.

Tajemnica, Zbrodnia,
Zbrodniarz

— Nic podobnego! Nie traćże odwagi! Od dziś za dwa tygodnie śladu po tym nie będzie. Straciłeś trochę krwi i to wszystko. Carter, zapewnij go, że nie ma niebezpieczeństwa.

— Mogę to sumiennie uczynić — powiedział Carter, który tymczasem rozwinął bandaż. — Tylko żałuję, że nie mogłem być tu trochę wcześniej, nie byłby tak bardzo krwawił... Ale co to? Ciało na ramieniu jest rozszarpane, nie tylko przecięte. To nie jest rana zadana nożem, tu były zęby w robocie!

— Ugryzła mnie — szepnął pacjent. — Szarpała mnie jak tygrysyca, gdy Rochester wydarł jej nóż.

— Nie powinienes był ustępować, powinienes był od razu z nią walczyć — powiedział pan Rochester.

— Ale w tych warunkach cóż można było zrobić? — odparł Mason. — Ach, to było straszne! — dodał, wstrząsając się. — A ja się tego nie spodziewałem, taka się z początku wydawała spokojna!

— Przestrzegałem cię — odpowiedział jego przyjaciel — mówiłem: strzeż się, gdy się do niej będziesz zbliżał. Zresztą mogłeś być zaczekać do jutra i pójść tam razem ze mną. To było czyste szaleństwo urządzić te odwiedziny dziś w nocy i to samemu.

— Myślałem, że będę mógł jakiś wpływ dobry wyrzucić.

— Myślałeś! Myślałeś! Doprawdy, gdy cię słucham, tracę cierpliwość. Przy tym wszystkim ucierpiałeś i jeszcze pewnie dosyć będziesz cierpiał przez to, żeś nie posłuchał mej rady, więc już nic więcej nie powiem. Carter... Spiesz się! Spiesz się! Słońce wszędzie niedługo, a ja go muszę stąd wyprowadzić.

— Zaraz, panie, ramię już obandażowałem. Teraz muszę opatrzyć tę drugą ranę na przedramieniu. I tu, zdaje mi się, pracowały jej zęby.

— Ssała krew, powiedziała, że wysię ze mnie serce — szepnął Mason.

Widziałam, jak się pan Rochester wzdrygnął. Dziwnie mocny wyraz wstrętu, obrzydzenia i nienawiści wykrzywił jego twarz. Powiedział jednak tylko:

— No, bądźże cicho, Richardzie, i nie rób sobie nic z jej bredzenia. Nie powtarzaj tego.

— Chciałbym zapomnieć — brzmiała odpowiedź.

— Zapomnisz, jak tylko opuścisz ten kraj. Gdy wrócisz do Spanish Town, będziesz mógł o niej myśleć jak o umarłej i pochowanej. Albo raczej: nie potrzebujesz wcale o niej myśleć.

— Niepodobieństwem będzie zapomnieć tę noc!

— Nie jest to żadne niepodobieństwo. Zdobądźże się raz, człowieku, na trochę energii! Dwie godziny temu myślałeś, że już po tobie, a oto teraz żyjesz w najlepszą i rozmawiasz. Ot widzisz! Carter już prawie skończył swą robotę, teraz ja ciebie przyzwyczaję ogarnę. Panno Jane — tu zwrócił się do mnie po raz pierwszy od powrotu — weź ten klucz, idź na dół do mojej sypialni, stamtąd prosto naprzód do mojej ubieralni, otwórz górną szufladę komody i wydobądź czystą koszulę i krawat. Przynieś je tutaj, a spraw się zrecznie.

Poszłam. Zgodnie z jego wskazówkami znalazłam wymienione rzeczy i wróciłam z nimi.

— A teraz, panno Jane — powiedział — przejdź na drugą stronę łóżka, podczas gdy ja go będę ubierał, ale nie wychodź z pokoju, możesz być jeszcze potrzebna.

Usunęłam się, tak jak rozkazał.

— Czy nikł się nie ruszał na dole, gdy tam schodziłaś, panno Jane? — spytał pan Rochester.

— Nie, panie, było wszędzie bardzo cicho.

— Gładko cię wyprowadzimy, Dicku. Tak będzie lepiej, zarówno dla ciebie, jak dla tego tam nieszczęsnego stworzenia. Długo się o to starałem, by nie przyszło do publicznego odkrycia, i nie chciałbym, żeby do tego dojść miało na koniec. Proszę cię, Carter, pomóż mu włożyć kamizelkę. Gdzieś ty zostawił płaszcz futrzany? Nie możesz bez tego mili ujechać, ja wiem, w tym przeklętym, zimnym klimacie. W twoim pokoju? Panno Jane, pobiegnij, proszę, do pokoju pana Masona... Sąsiaduje z moim. Przynieś płaszcz, który tam zobaczysz.

Znowu pobiegłam i wróciłam, niosąc ogromny płaszcz, podbity i obłożony futrem.

— A teraz, panno Jane, mam nową posyłkę dla ciebie — powiedział mój niezmordowany zwierzchnik. — Musisz znów polecieć do mojego pokoju. Co za szczęście, że się suwasz na aksamitnych podszwach. Pospolity posłaniec na nic by się w tym wypadku nie przydał. Musisz otworzyć środkową szufladę w moim stoliku toaletowym i wyjąć stamtąd małą buteleczkę i szklaneczkę, które tam znajdziesz. Ale żywo!

Poleciałam i przyniosłam żądane przedmioty.

— Dobrze! A teraz, doktorze, pozwolę sobie zadać lekarstwo ja sam, na moją własną odpowiedzialność. Dostałem ten kordiał¹⁹⁷ w Rzymie od włoskiego szarlatan, draba, którego ty byś kopnął. Nie można tego używać we wszystkich wypadkach, ale dobre jest w niektórych razach, tak jak teraz na przykład. Panno Jane, trochę wody!

Wyciągnął małą szklaneczkę, a ja napełniłam ją do połowy z karafki stojącej na umywalni.

— Dosyc. A teraz zwilż brzeg buteleczki.

Zrobiłam to. Odmierzył dwanaście kropli karmazynowego płynu i podał to Masonowi.

— Wypij, Richardzie, to ci na jakąś godzinę doda otuchy, której ci potrzeba.

— Czy tylko mi to nie zaszkodzi? Czy nie wywołuje zapalenia?

— Pijże! Pij! Pij!

Pan Mason usłuchał, ponieważ oczywiście opierać się byłoby rzeczą daremną. Był już teraz ubrany i blady, bez śladów krwi i zabrudzenia. Pan Rochester pozwolił mu posiedzieć trzy minuty po zażyciu lekarstwa, po czym ujął go pod ramię.

— Teraz jestem pewien, że potrafisz utrzymać się na nogach — rzekł. — Spróbuj.

Pacjent powstał.

— Carter, ty weź go pod drugie ramię. Bądź dobrej myśli, Ryszardzie. No, rusz się... Tak... O, widzisz!

— Czuję się lepiej — zauważył pan Mason.

— Byłem tego pewien. A teraz, panno Jane, idź, proszę, przed nami tylnymi schodami. Otwórz drzwi od bocznego korytarza i powiedz woźnicy pocztowego ekwipażu, którego zobaczysz na podwórzu albo tuż za bramą, gdyż powiedziałem mu, żeby terkończącymi kołami niejechał po bruku, ażeby był gotów, że idziemy. Ale, ale... Panno Jane, gdyby się tam ktoś kręcił, stań u stóp schodów i chrząknij.

Wybiło już tymczasem wpół do szóstej i słońce wzejść miało za chwilę. W kuchni jednakże zastałam jeszcze ciemności i ciszę. Drzwi od bocznego korytarza były zaryglowane. Otworzyłam je, jak mogłam najciszej. Wszędzie na podwórzu panował spokój, ale bramy były szeroko otwarte i stała tam karetka pocztowa z zaprzęgniętymi końmi i woźnicą na koźle. Zbliżyłam się i powiedziałam mu, że panowie już idą. Skinął na to głową, ja zaś rozejrzałam się uważnie dokoła i nasłuchiwałam. Cisza wczesnego ranka zalegała wszędzie, zasłony nad oknami pokoi służących były jeszcze zaciągnięte, małe ptaszki ćwierkały w ubielonych kwiatami drzewach sadu, których gałęzie, jak białe girlandy, przewieszały się przez mur, zamykający z jednej strony podwórze. Konie powozowe tupały raz po raz w zamkniętych stajniach, nad wszystkim innym panowała cisza.

Teraz ukazali się panowie. Mason, podpierany z obu stron przez pana Rochester'a i chirurga, szedł stosunkowo swobodnie. Pomogli mu wsiąść do powozu, Carter poszedł w jego ślady.

— Polecam go twojej opiece — powiedział pan Rochester do doktora. — Nie wypuść go z twego domu, dopóki zupełnie nie wydobrzeje. Przyjadę za dzień albo dwa przekonac się, jak on się miewa. Richardzie, jakże się czujesz?

— Świeże powietrze orzeźwia mnie, Edwardzie.

— Doktorze, zostaw okno po jego stronie otwarte, nie ma wiatru. Bywaj zdrów, Dicku!

— Edwardzie...

— Czego sobie życzysz?

— Daj jej dobrą opiekę, każ ją traktować jak najłagodniej i najczulej, każ ją... — tu przerwał i rozplakał się.

— Robię wszystko, co mogę, robiłem to i będę robił — brzmiała odpowiedź.

¹⁹⁷kordiał (daw.) — mocny trunek lub lek na serce. [przypis edytorski]

Zamknął drzwiczki i ekwipaż ruszył.

— Ale dałby Bóg, żeby się to wszystko raz mogło skończyć! — dodał pan Rochester, zamykając i utwierdzając ciężkie bramy podwórzowe.

Po czym ruszył roztargniony wolnym krokiem ku drzwiom w murze okalającym sad. Mniemając, że już mu jestem niepotrzebna, zamierzałam wrócić do domu, gdy znów usłyszałam wołanie: „Panno Jane!”. Otworzył drzwi i stał przy nich, czekając na mnie.

— Pójdźmy odetchnąć przez chwilę świeżością — rzekł. — Ten dom to po prostu więzienie, czy tego nie odczuwasz?

— Mnie się on wydaje wspaniałą rezydencją.

— Urok niedoświadczenia masz na oczach — powiedział — widzisz ten dom przez zaczarowane szkła. Nie potrafisz dopatrzeć się, że pozłota to błoto, jedwabne draperie to pajęczyny, że marmur to ordynarny lupek, politurowane drzewo to nędzne heblowiny i chropawa kora. Ale *tutaj* — wskazał na liściaste otoczenie dokoła nas — tu wszystko jest rzetelne, miłe i czyste.

Szedł wzdłuż ścieżki, po jednej stronie obsadzonej bukszpanem, jabłonią, gruszami i czereśniami, po drugiej obwiedzionej grządką różnych kwiatów, lewkonii, goździków, prymul, bratków, zmieszanych z polnymi różyczkami i różnymi wonnymi ziołami. Były tak świeże, jak tylko być mogły, po szeregu kwietniowych deszczyków i słonecznych prześwitleń w ten uroczy, wiosenny poranek. Słońce właśnie wypływało na zaróżowione od wschodu niebo, a promienie jego oświecały kwiatem i rosą obsypane drzewa owocowe i cieniste ścieżki pod nimi.

— Panno Jane, czy mam ci dać kwiatek?

Zerwał na wpół rozwiniętą różę, pierwszą na krzaku i podał mi.

— Dziękuję panu.

— Czy lubisz wschód słońca? Niebo z tymi lekkimi, wysokimi chmurkami, które z pewnością rozwieją się w miarę, jak dzień będzie się ogrzewał? Pogodne, wonne powietrze?

— O, bardzo.

— Dziwną noc spędziłaś, panno Jane.

— Tak, panie.

— I pobladłaś od tego. Czy bałaś się, gdym cię zostawił samą z Masonem?

— Bałam się, żeby ktoś nie wyszedł z tamtego pokoju w głębi.

— Ależ ja zamknąłem drzwi, a klucz miałem w kieszeni. Byłbym bardzo niedbałym pasterzem, gdybym był zostawił owieczkę, moją najmilszą owieczkę, niestrzeżoną, tak blisko jaskini wilka. Byłaś zupełnie bezpieczna.

— Czy Grace Poole będzie tu dalej mieszkała, panie?

— O, tak! Nie zaprzataj sobie nią głowy, wygnaj tę sprawę z myśli.

— Jednakże zdaje mi się, że życiu pańskiemu grozi niebezpieczeństwo, dopóki ona tu pozostaje.

— Nie bój się, będę się strzegł.

— Czy niebezpieczeństwo, którego się pan wczoraj lękał, minęło?

— Nie mógłbym za to ręczyć, dopóki Mason nie opuści Anglii, a i wtedy nawet nie. Życie oznacza dla mnie, panno Jane, stanie na skorupie krateru, która może pęknąć i w każdej chwili wybuchnąć ogniem.

— Jednakże pan Mason wydaje się człowiekiem, którego łatwo prowadzić. Wyraźnie ma pan wielki wpływ na niego, on nigdy się panu nie sprzeciwi ani rozmyślnie nie skrzywdzi pana.

— O nie! Mason mi się nie sprzeciwi ani też świadomie i rozmyślnie nie wyrządzi mi krzywdy, ale bez złego zamiaru mógłby w jednej chwili, jednym nieostrożnym słowem, pozbawić mnie jeżeli nie życia, to szczęścia na zawsze.

— Niech mu pan powie, żeby był ostrożny, niech mu pan powie, czego się pan obawia i niech go pan nauczy, jak ma unikać niebezpieczeństwa.

Roześmiał się sarkastycznie, chwycił moją rękę i natychmiast odsunął ją od siebie.

— Gdybym mógł to zrobić, ty naiwne stworzenie, gdzieżby było niebezpieczeństwo? Zniknęłoby od razu. Odkąd znam Masona, wystarczy, bym mu powiedział: „Zrób to”, a on to natychmiast zrobi. Ale w tym wypadku ja mu nie mogę dawać rozkazów, nie mogę mu powiedzieć: „Strzeż się, byś mi krzywdy nie wyrządził, Richardzie”, gdyż on w żaden

sposób nie może wiedzieć, że mi się krzywda stanie. Teraz wyglądasz na zdziwioną, jak wobec zagadki, ale ja jeszcze dalej zagadkowo mówić będę. Jesteś moją przyjaciółką, nieprawdaż?

— Lubię przysłużyć się panu i słuchać go we wszystkim, co słuszne.

— Tak, właśnie. Ja widzę, że tak jest. Widzę szczerze zadowolenie w ruchach twych, w oczach, w twarzy, gdy mi pomagasz i dogadzasz, pracując dla mnie i ze mną we wszystkim, co, jak się tak charakterystycznie wyraziłaś, *jest słuszne*. Bo gdybym zażądał od ciebie czegoś, co byś uważała za niesłuszne, nie byłoby tego lekkonogiego biegania, tego zręcznego pośpiechu, tego żwawego spojrzenia i ożywionej cery. Przyjaciółka moja spojrzalaby wtedy na mnie, spokojna i blada i powiedziałaaby: „Nie, panie, to niemożliwe, ja tego zrobić nie mogę, ponieważ to jest niesłuszne”. I byłaby niewzruszona, stała jak gwiazda. Tak, tak, i ty nasz władzę nade mną i mogłabyś mi krzywdę wyrządzić, ale ja nie śmiem ci pokazać miejsca, gdzie mogłabyś zadać ranę, gdyż, choć taka wierna i przyjacielska, przebiłabyś mnie od razu.

— Jeżeli nie ma pan powodu więcej się lękać pana Masona niż mnie, to zaiste bezpieczeństwo pańskie jest zupełne.

— Bóg by to dał, żeby tak było! Tutaj, panno Jane, jest altanka, usiądź.

Altankę stanowiło sklepienie zagłębienie w murze, oplecione bluszczem, wewnątrz było proste siedzenie. Pan Rochester zajął je, zostawiając dla mnie miejsce przy sobie, ja jednakże stałam.

— Usiądź — powtórzył. — Ławka jest dosyć długa, dość na niej miejsca dla dwojga. Nie lękasz się chyba usiąść obok mnie, co? Czy uważałabyś to za niesłuszne, panno Jane?

Zamiast odpowiedzieć, usiadłam. Czułam, że niemądrze byłoby odmawiać.

— A teraz, moja przyjaciółeczko, podczas gdy słońce spija rosę, podczas gdy wszystkie kwiaty w tym starym ogrodzie budzą się i rozwijają, ptaki pisklętom swoim znoszą śniadanie, a wczesne pszczoły zaczynają swoją dzienną pracę, przedłożę ci sprawę, którą postaraj się uważać za swoją własną. Przede wszystkim jednak popatrz na mnie i powiedz, czy czujesz się swobodna, czy nie lękasz się, że błędzę, zatrzymując cię, albo że ty błędzisz, pozostając.

— Nie, panie, jestem swobodna i zadowolona.

— A więc, panno Jane, wezwij na pomoc wyobraźnię. Wyobraź sobie, że już nie jesteś dziewczęciem dobrze wychowanym i opanowanym, ale rozpuszczonym chłopcem, którego rozpieszczano od dzieciństwa. Wyobraź sobie siebie w dalekim, obcym kraju. Przypuśćmy, że popełniasz tam wielki błąd. Mniejsza o to, jakiej natury i z jakich powodów, ale taki, którego następstwa musisz ponosić przez całe życie i który zatruwa całe twoje istnienie. Zwracam uwagę, że nie nazwałem go zbrodnią, nie mówię tu o rozlewie krwi ani innym zawinionym czynie, który stawiałby sprawę w kolizji z prawem. Wyrzuciłem się „błąd”. Rezultaty tego, coś uczyniła, stają się dla ciebie z czasem wprost nieznosne. Przedsiębiorzysz środki, by uzyskać ulgę, niezwykle środki, ale ani przeciwne prawu, ani nacechowane winą. Pomimo to jesteś nieszczęśliwa, gdyż nadzieja opuściła cię u samego wstępu do życia. Słońce twe w południe uległo zaćmieniu i czujesz, że tak zostanie aż do zachodu. Gorzkie, nikczemne wspomnienia stały się jedynym pokarmem twojej pamięci. Tułasz się, to tu, to tam, szukając odpoczynku na obczyźnie, szczęścia w uciechach bezdusznych, zmysłowych uciechach, co oszałamiają myśl i mrożą uczucie. Z sercem znużonym i oschłą duszą wracasz do domu po latach dobrowolnego wygnania. Zawierasz nową znajomość, jak i gdzie, o to mniejsza. W tym nowym znajomym znajdujesz wiele dobrych i jasnych zalet, których na próżno szukałaś przez lat dwadzieścia, a tak świeże są one, tak zdrowe, bez plamy i bez skazy... Takie towarzystwo wskrzesza życie, odradza. Czujesz, że teraz wracają dni lepsze, podnioslejsze pragnienia, czystsze uczucia. Pragniesz na nowo rozpocząć życie, spędzić jego pozostałe dni w sposób godniejszy istoty nieśmiertelnej. Dla osiągnięcia tego celu, czy masz prawo przeskoczyć zaporę obyczajową, prostą, konwencjonalną przeszkodę, której ani sumienie twoje nie uświęca, ani twój sąd nie uznaje?

Zamilkł, czekając na odpowiedź. I cóż ja mogłam odpowiedzieć? O, gdyby jaki dobry duch chciał mi podszepnąć trafną, zadowalającą ripostę! Daremne pragnienie! Wietrzyk

Wspomnienia, Przemiana,
Konflikt wewnętrzny

zachodni szeptał w bluszczach dokoła mnie, ale żaden dobrotliwy Ariel¹⁹⁸ nie przemówił do mnie jego tchnieniem. Ptaki śpiewały wśród gałęzi, ale śpiew ich, chociaż słodki, nie kształtował się w wyrazy.

Tu znowu pan Rochester zadał pytanie.

— Czy taki błędzący grzesznik, teraz żalem zdjęty, pragnący spokoju, ma prawo, wbrew opinii świata, przywiązać do siebie na zawsze to miłe, wdzięczne, mądre stworzenie, zdobywając przez to własny spokój duszy i odrodzenie życia?

— Panie — odpowiedziałam — ani odpoczynek tułacza, ani poprawa grzesznika nie powinny nigdy zależeć od istoty bliźniej. Ludzie umierają, filozofom często braknie mądrości, chrześcijanom dobroci. Jeżeli ktoś, kogo pan znał, cierpiał i błędził, niechaj spojrzy wyżej ponad swoich bliźnich, szukając tam siły do poprawy i pociechy kojącej cierpienie.

— Ale narzędzie, narzędzie! Bóg, który spełnia dzieło, wyznacza narzędzie. Ja sam, mówię ci to teraz bez osłonek, byłem człowiekiem wykołejonym, błędzącym, grzesznym. I wierzę, że ku uleczeniu swemu znalazłem narzędzie w...

Przerwał. Ptaki śpiewały dalej, liście lekko szeleściły. Aż dziwnie mi było, że nie przerywały śpiewów i szeptów, by pochwycić najbliższe słowo wyznania, ale długo musiałyby czekać, gdyż długo trwało milczenie. Na koniec podniosłam oczy na milczącego towarzysza, a on przenikliwie wpatrywał się we mnie.

— Przyjaciółeczko — przemówił zmienionym zupełnie tonem, podczas gdy i twarz jego przybrała inny wyraz, tracąc łagodność i powagę, a przyoblekając szorstkość i sarkazm — zauważyłaś moje tkliwe uczucia dla panny Ingram. Czy nie sądzisz, że, gdybym się z nią ożenił, ona by mnie niesłuchanie skutecznie powiodła ku odrodzeniu?

Podniósł się szybko, poszedł sam aż na drugi koniec ścieżki, a wracając, nucił jakąś melodię.

— Panno Jane, panno Jane — rzekł, stając przede mną — strasznie pobladłaś wskutek tego czuwania. Czy nie przeklinasz mnie za to, że ci zakłóciłem spokój?

— Miałabym pana przeklinać? Nie, panie.

— Więc podaj mi rękę na potwierdzenie tego. O, jakie zimne paluszki! Ciepłsze były, kiedy dotknąłem ich w nocy przed drzwiami tajemniczego pokoju. Panno Jane, kiedy znów będziesz czuwać wraz ze mną?

— Kiedy będę mogła być użyteczna, panie.

— Na przykład w przeddzień mojego ślubu! Jestem pewien, że wtedy nie będę mógł spać. Czy przyrzekniesz mi, że posiedzisz ze mną i dotrzymasz mi towarzystwa? Do ciebie mogę mówić o mojej ślicznej, gdyż teraz ty ją widziałas i znasz ją.

— Tak, panie.

— Wyjątkowa piękność, nieprawdaż, panno Jane?

— Tak, panie.

— Okazała kobieta, prawdziwie okazała, panno Jane: brunetka, wielka i pełna. Włosy takie jak jej musiały mieć damy Kartaginy¹⁹⁹... Masz sobie! Oto Dent i Lynn zaszli do stajni! Wracaj przez ogród, przez tę furtkę.

Poszłam w jedną stronę, on poszedł w drugą i usłyszałam, jak na podwórzu mówił wesoło:

— Mason wstał najwcześniej z was wszystkich dziś rano. Wyjechał przed wschodem słońca. Ja wstałam o czwartej, żeby go pożegnać.

ROZDZIAŁ XXI

Przecucia, sympatie i znaki są to trzy dziwne zjawiska, które razem tworzą tajemnicę, do której ludzkość jeszcze nie znalazła klucza. Nigdy nie wyśmiewałam przecuć, gdyż doświadczałam ich sama. Wierzę, że istnieją niezrozumiałe dla nas, śmiertelników, sympatie, jak na przykład sympatia między krewnymi, którzy albo wcale, albo mało się znają. Istnienie takich uczuć stwierdza bodaj pochodzenie ich z jednego źródła. A znaki? Czyż możemy wiedzieć? Może to po prostu dowody wyższej sympatii dla człowieka?

¹⁹⁸ *Ariel* — anioł opisany w Starym Testamencie. [przypis edytorski]

¹⁹⁹ *Kartagina* — starożytne miasto-państwo w płn. Afryce, położone na wybrzeżu Morza Śródziemnego. [przypis edytorski]

Będąc jeszcze małą dziewczynką, może sześciolatką, słyszałam, jak raz Bessie Leaven opowiadała Marcie Abbot, że śniła o małym dziecku i że sen o dzieciach to nieomylny znak zmartwienia dla tego, który śni, albo dla jego krewnych. To wyjaśnienie byłoby mi może wyszło z pamięci, gdyby następujący zaraz potem wypadek nie był go utrwalił. Bessie nazajutrz wezwano do domu do umierającej siostrzyczki.

W ostatnich czasach często przypominało mi się to opowiadanie i ten wypadek, przez cały bowiem poprzedni tydzień rzadko minęła noc, która by mi nie przyniosła snu o małym dziecku. To piastowałam je na rękę, to kołysałam na kolanach, to przyglądałam się bawiącemu się stokrotkami na trawniku albo maczającemu rączki w bieżącej wodzie. Jednej nocy było to dziecko płaczące, innej znowu śmiejące się, raz tuliło się do mnie, kiedy indziej uciekało ode mnie. Jakikolwiek jednak zdradzało humor, jakikolwiek był jego wygląd, przez siedem nocy z rzędu zjawiało się z chwilą, gdy wstępowałam w krainę snów. Niemily był ten dziwny powrót jednego pojęcia, jednego obrazu, i czułam się zdenerwowana, gdy nadchodziła godzina spoczynku. Z takiego snu o małym dziecku zbudziłam się owej księżycowej nocy, gdy usłyszałam ten straszny krzyk. Po obiedzie zaś następnego dnia zawezwano mnie na dół, zawiadamiając, że w pokoju pani Fairfax jest ktoś, kto chce się ze mną widzieć. Przyszedszy tam, ujrzałam czekającego na mnie człowieka, z pozoru służącego dworskiego. Ubrany był w głęboką żalobę, a kapelusz, który trzymał w rękę, otoczony był krepą.

— Zapewne pani nie przypomina mnie sobie, panienko — zaczął, wstając, gdy weszłam — nazywam się Leaven. Służyłem jako stangret u pani Reed, gdy pani była w Gateshead, osiem czy dziewięć lat temu, i dotychczas tam służę.

— O, Robercie! Jak się macie? Bardzo dobrze was pamiętam, pozwalaliście mi czasem przejechać się na karym kucyku panny Georgiany. A jakże się miewa Bessie? Wyście się z Bessie ożenili, nieprawdaż?

— Tak, panienko. Moja żona ma się doskonale, dziękuję. Dała mi jeszcze jedno ma-lutkie ze dwa miesiące temu, troje teraz mamy. I zdrowi są oboje: matka i dziecko.

— A we dworze wszystko dobrze, Robercie?

— Bardzo mi żal, że nie mogę dać panience lepszych o państwu wiadomości: bardzo tam źle u nich teraz, wielkie mają zmartwienie.

— Przecież chyba nikt nie umarł? — rzekłam, spojrzawszy na jego czarne ubranie.

On także popatrzył na krepę dokoła swego kapelusza i odpowiedział:

— Pan John umarł, wczoraj minął tydzień, w swoim mieszkaniu w Londynie.

— Pan John?

— Tak jest.

— I jakże jego matka to znosi?

— Bo, widzi panienko, to nie jest zwyczajne nieszczęście. On prowadził hulaszczkę życie, przez te ostatnie trzy lata dopuszczał się dziwnych wybryków, a śmierć jego była skandalem.

— Słyszałam od Bessie, że nie prowadził się dobrze.

— Nie prowadził się dobrze! Nie mógł się gorzej prowadzić, stracił zdrowie i zrujnował majątek wśród najgorszych towarzyszy i najgorszych kobiet. Wpadł w długi i dostał się do więzienia. Matka uratowała go dwa razy, ale jak tylko znalazł się na wolności, wracał do dawnych kompanów i dawnych przyzwyczajzeń. Nie miał mocnego rozumu, a lotry, wśród których żył, nabierały go, że to wszelkie pojęcie przechodzi. Ze trzy tygodnie temu przyjechał do Gateshead i chciał, żeby pani oddała mu wszystko. Pani odmówiła. I tak środki jej od dawna były uszczuplone z winy jego rozrzutności. Toteż wyjechał z powrotem, a wkrótce przyszła wiadomość, że nie żyje. Jak umarł, Bóg to wie... Mówią ludzie, że sam sobie życie odebrał.

Milczałam. Straszne to były wieści. Robert Leaven mówił dalej:

— Pani już od pewnego czasu szwankowała na zdrowiu. Utyła bardzo, ale sił jej brakło, a strata pieniędzy i strach przed ubóstwem zupełnie ją podcięły. Wiadomość o śmierci pana Johna i o tym, jaka ta śmierć była, zbyt nagle do niej doszła. To spowodowało atak paraliżu. Na trzy dni odjęło jej mowę, ale ostatniego wtorku było jej jakby lepiej. Zda-wało się, że chce coś powiedzieć, wciąż dawała znaki mojej żonie i coś bełkotała. Dopiero wczoraj Bessie zrozumiała, że pani wymawia imię panienki. Na koniec zrozumiała inne wyrazy: „Sprowadźcie Jane... Sprowadźcie Jane Eyre, chcę z nią pomówić”. Bessie nie jest

Choroba

pewna, czy pani jest przy zdrowych zmysłach i czy te słowa coś znaczą, ale powtórzyła je pannom Reed i radziła, żeby posłać po panią. Panny odkładały to z początku, ale matka ich tak się zaczęła niepokoić i tyle razy powtarzała „Jane, Jane”, że zgodziły się w końcu. Ja wczoraj wyjechałam z Gateshead, ale jeżeli panienka może być gotowa, rad bym panią zabrać ze sobą jutro rano.

— Dobrze, Robercie, będę gotowa. Zdaje mi się, że powinnam pojechać.

— I ja tak myślę, panienko. Bessie powiedziała, że jest pewna przyjazdu panienki. Ale panienka zapewne będzie musiała poprosić o urlop, zanim będzie mogła wyjechać?

— Naturalnie i zaraz też to uczynię.

Zaprowadziwszy go do hallu służących, poleciłam go opiece Johna i jego żony, a sama poszłam poszukać pana Rochester.

Nie było go w dolnych pokojach, nie było go na podwórzu, w stajniach ani w ogrodzie. Zapytałam panią Fairfax, czy go widziała. Tak, zdawało jej się, że gra w bilard z panną Ingram. Pośpieszyłam przeto do pokoju bilardowego. Dolatywał stamtąd stuk kul i gwar głosów. Pan Rochester, panna Ingram, obydwie panny Eshton i ich wielbiciele uczestniczyli w grze. Potrzebowałam zdobyć się na trochę odwagi, by przerwać tak interesującą partię. Nie mogąc jednak odwiekać sprawy, przybliżyłam się do pana domu, stojącego obok panny Ingram. Gdy się przysuwałam, panna Ingram obróciła się i spojrzała na mnie z góry. Oczy jej zdawały się pytać: „Co tu może chcieć to pełzające stworzenie?”, gdy zaś cichym głosem przemówiłam: „Panie Rochester...”, uczyniła ruch, jakby miała ochotę drzwi mi pokazać. Pamiętam, jak wyglądała w tej chwili, a wyglądała wdzięcznie i uderzająco ładnie: miała na sobie ranną toaletę z jasnoniebieskiej krepy i błękitny, gazowy szalik owinięty dokoła głowy. Była wielce ożywiona grą, a podrażniona pycha nie zeszpeciła wyrazu jej dumnych rysów.

— Czy ta osoba ma do pana interes? — zapytała pana Rochester, a wtedy on obejrzał się, chcąc się przekonać, kto to taki ta „osoba”.

Po twarzy jego przemknął wyraz zaciekawienia, jeden z tych jego dziwnych, dwuznacznych wyrazów, odłożył kij i wyszedł za mną z pokoju.

— No i cóż, panno Jane? — zapytał, oparty plecami o drzwi szkolnego pokoju, które był zamknął za sobą.

— Jeżeli pan łaskaw, chciałabym prosić o urlop na wyjazd na tydzień, a może na dwa.

— Po co? Dokąd chcesz jechać?

— Odwiedzić chorą osobę, która po mnie przysłała.

— Jaką chorą osobę? Gdzie ona mieszka?

— W Gateshead, w hrabstwie X.

— W hrabstwie X? To sto mil stąd! Któż to być może, kto z takiej odległości przysłał po ludzi i każe się odwiedzać?

— Na nazwisko jej Reed... To pani Reed.

— Reed z Gateshead? Był taki Reed z Gateshead, sędzia.

— To wdowa po nim, panie.

— A co ty, panno Jane, masz z nią wspólnego? Skądże ją znasz?

— Pan Reed był moim wujem, bratem mojej matki.

— Doprawdy? Nigdy mi o tym nie mówiłaś. Zawsze twierdziłaś, że nie masz żadnych krewnych.

— Żadnych, którzy by się chcieli do mnie przyznać. Wuj Reed umarł, a wdowa po nim wyrzekła się mnie.

— Dlaczego?

— Ponieważ byłam biedna, byłam dla niej ciężarem i nie lubiła mnie.

— Ale Reed pozostawił dzieci. Musisz mieć kuzynów. Sir George Lynn mówił wczoraj o młodym Reedzie z Gateshead, jednym z najgorszych nicponiów w mieście, a Ingram wspominał o pannie Georgianie Reed, również z Gateshead, wielce podziwianej piękności rok czy dwa lata temu w sezonie londyńskim.

— John Reed także już nie żyje, panie Rochester. Zrujnował siebie i po części swoją rodzinę. Przypuszczają, że popełnił samobójstwo. Te wiadomości takie wrażenie wywarły na matce, że dotknęła ją apopleksja.

— I cóż ty jej dobrego możesz zrobić? To nie ma sensu, panno Jane! Nigdy by mi nie przyszło do głowy pędzić sto mil, ażeby odwiedzić starą kobietę, która może umrzeć, zanim do niej dojedziesz. A przy tym, powiadasz, że się ciebie wyparła.

— Tak, ale to było dawno temu, kiedy jej stosunki inaczej się układały. Nie miałabym spokojnego sumienia, gdybym teraz nie spełniła jej życzenia.

— Jak długo chcesz tam zostać?

— Jak będę mogła najkrócej.

— Przrzeknij mi, że zostaniesz tam tylko tydzień...

— Wolalabym nie dawać słowa, może musiałabym je złamać.

— W każdym razie *powrócisz*, panno Jane, pod żadnym pozorem nie dasz się u niej zatrzymać na stałe?

— O nie! Z pewnością powrócę, jeśli wszystko będzie dobrze.

— A kto z tobą pojedzie? Przecież nie pojedziesz sto mil sama?

— Nie, panie, przysłała po mnie swojego stangreta.

— Czy to człowiek godzien zaufania?

— O tak, od dziesięciu lat służy w tej rodzinie.

Pan Rochester rozmyślał chwilę.

— Kiedy byś chciała pojechać?

— Jutro wcześniej rano, panie.

— No dobrze. Będzie panna Jane potrzebowała pieniędzy. Nie możesz puszczać się w podróż bez pieniędzy, a przypuszczam, że wiele ich nie masz. Ja pannie Jane dotychczas nie płaciłem pensji. Ile też masz całego majątku, Jane? — zapytał, uśmiechając się.

Wyciągnęłam sakiewkę — skromna była jej zawartość.

— Pięć szylingów, panie.

Wziął sakiewkę, wytrząsnął sobie cały skarb na dłoń i śmiał się, jak gdyby jego szczupłość go bawiła. Zaraz wyciągnął portfel.

— Weź to — rzekł, podając mi banknot.

Był to banknot pięćdziesięciofuntowy, a był mi winien tylko piętnaście funtów. Powiedziała mu, że nie mogę wydać reszty.

— Ja nie potrzebuję reszty, przecież wiesz. Bierz swoją pensję.

Nie chciałam przyjąć więcej, niż mi się należało. Zmarszczył się zrazu, ale wnet, jak gdyby sobie coś przypomniał, powiedział:

— Słusznie! Słusznie! Lepiej ci teraz wszystkiego nie dawać, zostałabyś tam może ze trzy miesiące, gdybyś miała całe pięćdziesiąt funtów. Oto masz dziesięć. Czy to dosyć?

— Tak, panie, ale teraz winien mi pan jest jeszcze pięć.

— To wracaj po nie, masz u mnie czterdzieści funtów.

— Panie Rochester, może dobrze będzie, jeżeli wspomnę panu o jeszcze jednej sprawie, skoro mam po temu sposobność.

— O jeszcze jednej sprawie? Ciekaw jestem usłyszeć jakiej.

— Pan mi tak jakby oznajmił, nieprawdaż, że niezadługo zamierza się pan ożenić?

— Prawda. I cóż stąd za wnioski?

— W tym wypadku, panie, Adela powinna pójść do szkoły. Pan z pewnością uzna tę konieczność.

— Ażeby ją usunąć z drogi mojej przyszłej żonie, która w przeciwnym razie przesłaby po niej bez dalszych ceremonii. Tak, niewątpliwie to myśl rozsądna. Adela, jak mówisz, musi iść do szkoły, a panna Eyre, naturalnie, musi iść prosto... Do diabła?

— Niekoniecznie, panie, ale muszę sobie poszukać posady gdzie indziej.

— Czas na to! — zawołał, zmieniając głos i wykrzywiając twarz zarazem dziwnie i śmiesznie.

Patrzył na mnie przez dobrą chwilę.

— I stara pani Reed, i panny, jej córki, będą zapewne prośzone o wyszukanie ci posady?

— Nie, panie, nie jestem z krewnymi w takich stosunkach, żeby mnie to upoważniało do prośnienia ich o jakąś grzeczność, ale dam ogłoszenie.

— Wejdiesz prędzej na piramidy egipskie! — mruknął. — Żebyś mi się nie ważyła dawać ogłoszenia! Żałuję, że nie dałem ci tylko jednego suwerena²⁰⁰, zamiast dziesięciu funtów. Oddaj mi dziewięć funtów, panno Jane, ja ich potrzebuję.

— I ja również, panie — odpowiedziałam, chowając ręce z sakiewką za siebie. — Nie mogę się w żaden sposób obejść bez tych pieniędzy.

— Skąpe stworzonko! — rzekł. — Odmawia mi, gdy ja proszę o pieniądze! Daj mi pięć funtów, panno Jane!

— Nie dam ani pięciu szylingów, panie, ani pięciu pensów²⁰¹ nawet.

— Pozwól mi tylko spojrzeć na te pieniądze.

— Nie, panie, nie można panu ufać.

— Panno Jane!

— Czego pan sobie życzy?

— Przyrzeknij mi coś.

— Przyrzeknę panu wszystko, czego będę mogła dotrzymać.

— Więc przyrzeknij mi, że nie dasz ogłoszenia i że mnie powierzysz wyszukanie posady. Już ja ci ją znajdę.

— Chętnie to uczynię, jeżeli mi pan w zamian przyrzeknie, że i ja i Adela opuścimy dom, zanim żona pańska do niego wejdzie.

— Bardzo dobrze! Bardzo dobrze! Na to mogę ci dać słowo. Zatem panna Jane jedzie jutro?

— Tak, z samego rana.

— Czy zejdiesz do salonu po obiedzie?

— Nie, panie, muszę się przygotować do drogi.

— Więc musimy się pożegnać na czas pewien?

— Chyba tak, panie.

— I jakże to ludzie odprawiają taką pożegnalną ceremonię, panno Jane? Naucz mnie, ja nie bardzo wiem.

— Mówią sobie „do widzenia” albo, jeżeli wolą, używają innego zwrotu.

— Więc powiedz.

— Do widzenia, tymczasem.

— A co ja mam odpowiedzieć?

— To samo, jeśli pan zechce.

— Do widzenia, tymczasem, panno Eyre. Czy to już wszystko?

— Jak to?

— Wydaje mi się to skąpe, oschłe i nie po przyjacielsku. Wolałbym jakoś inaczej. A gdyby tak coś dodać do tego rytuału? Gdyby, na przykład, dołączyć uścisk dłoni. Ale nie... To by mnie także nie zadowoliło. Więc ty mi tylko powiesz: „do widzenia”?

— To wystarczy, panie, tyleż życzliwości można zawrzeć w jednym serdecznym słowie, jak w wielu.

— Zapewne, ale to brzmi sucho i zimno... „Do widzenia”.

„Jak długo on tu stać będzie, plecami podpierając drzwi? — zadawałam sobie pytanie.

— Chciałabym zacząć pakowanie...”. Tu odezwał się dzwonek obiadowy. Pan Rochester wyskoczył z pokoju nagle, ani słowa nie dodając. Już go więcej tego dnia nie widziałam, a nazajutrz rano wyjechałam, zanim on wstał jeszcze.

Około piątej godziny po południu pierwszego maja stanęłam w Gateshead przed lożą portiera. Wstąpiłam tam, zanim się udałam do dworu. Bardzo tam było czysto i ładnie. U okien wisały białe firaneczki, podłoga bez jednej plamy, przy piecu krata i galeryjka aż świeciły blaskiem, a ogień palił się jasno. Bessie siedziała przy ogniu, piastując swoje najmłodsze, a mały Robert z siostrzyczką bawili się spokojnie w kąciaku.

— Chwała Bogu! Wiedziałam, że pani przyjedzie — zawołała pani Leaven, widząc mnie w wejściu.

— Tak, Bessie — rzekłam, ucałowawszy ją — i mam nadzieję, że nie przybywam za późno. Jak się miewa pani Reed? Przecież żyje, jak ufam?

²⁰⁰suweren — tu: angielska złota moneta o wartości 1 funta (20 szylingów). [przypis edytorski]

²⁰¹pens — drobna moneta angielska. [przypis edytorski]

— Żyje i przytomniejsza jest, i spokojniejsza niż poprzednio. Doktor mówi, że może się to jeszcze przeciągnąć z jakiś tydzień albo dwa, ale nie spodziewa się, żeby mogła ostatecznie wyzdrowieć.

— Czy wspominała mnie w ostatnich czasach?

— Jeszcze dziś rano mówiła o pani i wyrażała życzenie, żeby pani przyjechała, ale teraz śpi, a przynajmniej spała dziesięć minut temu, gdy zachodziłam do dworu. Pani pogrążona jest jakby w letargu prawie przez całe popołudnie, ale budzi się o szóstej albo siódmej. Czy zechce pani odpocząć tutaj z godzinkę, a potem ja bym poszła tam z panią?

W tej chwili wszedł Robert i Bessie, ułożywszy śpiące dziecko w kołysce, poszła go powitać. Następnie nalegała, bym zdjęła kapelusz i napiła się herbaty, gdyż twierdziła, że jestem blada i zmęczona. Rada przyjęłam jej gościnność i pozwoliłam zdjąć z siebie płaszcz podróżny tak biernie jak niegdyś, gdy dzieckiem będąc, dawałam się jej rozbierać.

Szybko odżyły we mnie wspomnienia dawnych czasów, gdy patrzyłam, jak się Bessie krząta, jak ustawia na tacy najlepsze filiżanki, kroi chleb, przyrządza masło, przypieka grzanki, a wśród tego wszystkiego to kłapnie, to szturchnie małego Roberta albo Jane — jak niegdyś mnie. Bessie zachowała żywe usposobienie, podobnie jak dawną lekkość ruchów i urodę.

Gdy już herbata była gotowa, chciałam przybliżyć się do stołu. Bessie jednak nie pozwoliła mi się ruszyć, mówiąc rozkazującym jak dawniej tonem. Oświadczyła, że mam siedzieć przy kominku, a ona mi wszystko poda. Umieściła tedy przede mną mały okrągły stolczyk, na nim filiżankę i talerz z grzankami, zupełnie tak jak niegdyś w dzieciennym pokoju, gdy fetowała²⁰² mnie niekiedy ściągniętym chyłkiem smakołykiem. Uśmiechałam się i byłam jej posłuszna jak za dawnych czasów.

Bessie była ciekawa, czy czuję się dobrze w Thornfield Hall i jakiego rodzaju osobą jest pani. Gdy jej zaś powiedziałam, że jest tam tylko pan, dopytywała, czy to miły dżentelmen i czy go lubię. Powiedziałam jej, że to mężczyzna raczej brzydki, ale prawdziwy dżentelmen, że traktuje mnie życzliwie i że jestem zadowolona. Następnie zaczęłam jej opisywać wesołe towarzystwo, które ostatnimi czasy bawiło w domu. Bessie słuchała tych szczegółów z zainteresowaniem.

Na takiej rozmowie godzina szybko zeszła. Bessie podała mi kapelusz i okrycie, i w jej towarzystwie udałam się do dworu. Z nią to przecież prawie dziewięć lat temu szłam tą ścieżką, którą teraz zmierzałyśmy do dworu. W ciemny, mglisty, zimny poranek styczniowy opuściłam nieprzyjazny mi dach ze zropanym i rozgorzonym sercem, czując się niejako wyrzutkiem i potępioną. Szłam szukać tej chłodnej przystani w Lowood, tego dalekiego i nieznanego celu. Ten sam nieprzyjazny dach wznosił się oto znów przede mną, przyszłość moja wciąż jeszcze była wątpliwa, a serce mnie bolało. Wciąż jeszcze czułam się niejako wędrowcem na ziemi, więcej jednak czułam ufności w siebie i własne siły, a mniej dojmującego strachu przed uciskiem. I również ta otwarta rana krzywd moich zagoiła się już teraz zupełnie, a zarzewie nienawistnej urazy wygasło.

— Pójdzie pani najpierw do bawialni — oświadczyła Bessie, prowadząc mnie przez hall. — Młode panie tam są.

W chwilę potem już byłam w tym pokoju. Każdy mebel w nim wyglądał tak samo jak owego ranka, gdy mnie po raz pierwszy przedstawiono panu Brocklehurstowi. Nawet zauważyłam przed kominkiem ten sam dywanik, na którym on stał. Na półkach z książkami — wydało mi się — że widzę oba tomy Bewicka *Brytyjskich ptaków* na dawnym miejscu na trzeciej półce, a tuż nad nimi *Podróże Guliwera* i *Noce Arabskie*²⁰³. Nie zmieniły się martwe przedmioty, lecz to, co żyło, zmieniło się nie do poznania.

Ujrzałam przed sobą dwie młode osoby — jedną bardzo wysoką, prawie tak wysoką jak panna Ingram, bardzo chudą, o śniadej twarzy i surowym wyrazie. Było coś ascetycznego w jej wyglądzie, a wrażenie to zwiększała nadzwyczajna prostota jej gładkiej, czarnej, wełnianej sukni, krochmalonego, płóciennego kołnierzyka, włosów szesanych ze skroni i zakonna ozdoba, sznur hebanowych pereł z krzyżem. Byłam pewna, że to jest Eliza, chociaż mało podobieństwa do dawnej Elizy odnajdowałam w tej wydłużonej i bezbarwnej twarzy.

²⁰²fetować — podejmować wystawnie, świętować obecność. [przypis edytorski]

²⁰³Noce Arabskie a. *Księga tysiąca i jednej nocy*, a. *Baśnie z tysiąca i jednej nocy* — zbiór około 300 baśni, podań i opowieści arabskich z IX–X w. [przypis edytorski]

Drugą oczywiście była Georgiana, ale nie taka, jaką pamiętałam — wiotkie, subtelne, jedenastoletnie dziewczętko. Teraz miałam przed oczyma rozkwitłą, bardzo pełną pannę, jasną, jak z wosku ulaną, o ładnych i regularnych rysach, omdlewających niebieskich oczach i wijących się blond włosach. Kolor jej sukni również był czarny, ale krój jakże był różny od kroju sukni jej siostry, o ile obfitszy i ozdobniejszy. Wyglądała modnie i stylowo, podczas gdy tamta przypominała purytankę.

W każdej z sióstr odnalazłam po jednym rysie matki, ale tylko po jednym. Chuda i blada starsza córka miała twarde, piwne oczy pani Reed, kwitnąca i rozkoszna młodsza — jej zarys szczęki i brody, może nieco złagodzony, ale nadający jakąś trudną do opisanania twardość twarzy, skądinąd tak zmysłowej i pełnej. Obydwie, gdy się przybliżyłam, powstały, żeby mnie przywitać. Obydwie, zwracając się do mnie, tytułowały mnie „panną Eyre”. Eliza powitanie swoje wygłosiła krótkim, urywanym tonem, bez uśmiechu, po czym z powrotem usiadła, wpatrzyła się w ogień i zdawało się, że zapomniała o mnie. Georgiana do swojego „Jak się pani miewa?” dodała kilka zdawkowych frazesów o mojej podróży, o pogodzie itp., wypowiedzianych nieco przymusowo, przy czym spod oka rzucała moc spojrzeń. Mierzyła mnie od stóp do głów, przenikając fałdy mego brązowego płaszcza i zatrzymując wzrok na skromnym przybraniu mego kapelusza. Młode panny potrafią niesłychanie umiejętnie dać komuś do poznania, że uważają go za „byłe kogo”, nie wymawiając tego wcale słowami. Pewnym lekceważeniem w spojrzeniu, chłodem obejścia, tonem od niechcienia wyrażają doskonale, co czują, nie popelniając wyraźnej niegrzeczności ani słowem, ani czynem.

Jednak wgardliwy uśmieszek, skryty czy otwarty, nie miał już teraz nade mną tej władzy co niegdyś. Siedząc z kuzynkami, dziwiłam się sama, że tak swobodnie się czuję wobec zupełnego ignorowania mnie przez jedną i na pół sarkastycznej grzeczności drugiej. Eliza nie sprawiała mi przykrości, Georgiana mnie nie wzruszała. Bo też miałam o czym myśleć. W ubiegłych paru miesiącach obudziły się we mnie uczucia tak potężne, że one równie silnych nie mogły we mnie wywołać. Cierpienia i radości były o wiele żywsze i pełniejsze niż wszystko, czym oddziaływać na mnie było w ich mocy, więc miny ich i tony pozostawiały mnie zupełnie obojętną.

— Jak się miewa pani Reed? — zapytałam, patrząc spokojnie na Georgianę, która uważała za właściwe zachnąć się z lekka na to pytanie, zadane wprost, jakby to było niespodziewanym zbytkiem poufałości z mej strony.

— Pani Reed? Ach, to znaczy mama. Czuje się nadzwyczaj marnie, wątpię, czy pani będzie mogła zobaczyć ją dziś wieczorem.

— Gdyby pani zechciała — rzekłam — przejść na górę i powiedzieć matce, że przyjechałam, byłabym pani bardzo wdzięczna.

Georgiana niemal podskoczyła i wytrzeszczyła na mnie szeroko niebieskie oczy.

— Wiem, że specjalnie życzyła sobie widzieć się ze mną — dodałam — a ja nie chciałabym ociągać się dłużej, niż koniecznie potrzeba, z wypełnieniem jej życzenia.

— Mama nie lubi, żeby jej przeszkadzano wieczorem — zauważyła Eliza.

Na to ja wstałam, chociaż nieproszona, spokojnie zdjęłam kapelusz i rękawiczki i powiedziałam, że pójdę odszukać Bessie, która zapewne będzie w kuchni, i poproszę ją, żeby się dowiedziała, czy pani Reed zechce mnie przyjąć dziś wieczorem czy nie. Poszłam i odnalazszy Bessie, wysłałam ją z tym zleceniem. Następnie przedsięwzięłam dalsze kroki. Dotychczas było moim zwyczajem unikać w postępowaniu wszelkiego zuchwalstwa. Rok temu, gdybym była doznała takiego przyjęcia, postanowiłabym zaraz nazajutrz rano opuścić Gateshead. Teraz zrozumiałam, że czyniąc to, postąpiłabym niedorzecznie. Odbylam tak daleką podróż, ażeby odwiedzić ciotkę, muszę więc pozostać u niej, dopóki nie doczekam albo poprawy jej zdrowia, albo śmierci. Z pychą czy głupotą jej córek nie mogę się liczyć, muszę się od nich uniezależnić. Toteż zwróciłam się do gospodyni — poprosiłam ją, żeby mi wskazała pokój, powiedziałam jej, że prawdopodobnie zabawię tu z tydzień albo dwa, i prosiłam, żeby kuferek mój zaniesiono do mego pokoju, dokąd też sama się udałam. Na schodach spotkałam się z Bessie.

— Pani nie śpi — rzekła. — Powiedziałam jej, że pani tu jest. Pójdźmy i przekonajmy się, czy pozna panią.

Nie potrzeba mi było wskazywać drogi do dobrze znajomego pokoju, wszakże niegdyś tak często bywałam tu wzywana, by usłyszeć burę albo otrzymać karę. Wyrzedziłam

Rodzina, Grzeczność,
Pogarda

Wspomnienia, Przemoc,
Dzieciństwo, Spotkanie

Bessie i cicho otworzyłam drzwi. Zasłonięta lampa stała na stole, gdyż już się ściemniało. Oto ujrzałam tam, jak dawniej, wielkie łóżko z kremowymi firankami, toaletę, fotel i podnózek, na którym setki razy kazano mi klękać, by przeproszać za winy niepopelnione. Obejrzałam się, szukając okiem pewnego znajomego mi kącika, jak gdybym się spodziewała, że ujrzę postrach dawnych dni — wiszącą tam różgę, gotową wyskoczyć, by oćwiczyć moją drżącą dłoń albo kurczący się ze strachu kark... Zbliżyłam się do łóżka, rozsunałam firanki i pochyliłam się nad wysoko usłanymi poduszkami.

Dobrze pamiętałam twarz pani Reed i chciwie szukałam znajomego obrazu. Jakże to szczęśliwie, że czas gasi mściwe pragnienia i ucisza podszepty wściekłości i wstrętu! Opuściłam tę kobietę w rozgoryczeniu i nienawiści, a wracałam teraz do niej bez innych wzruszeń oprócz litości nad wielkością jej cierpienia i silnego pragnienia zapomnienia, przebaczenia krzywd wszelkich, pogodzenia się i przyjaznego uścisku ręki.

Dobrze znana mi twarz była oto przede mną: surowa, nieubłagana jak zawsze. To samo szczególne oko, którego spojrzenia nic zmiękczyć nie mogło, wpatrywało się we mnie. Ta sama nieco podniesiona, władcza, despotyczna brew ocieniała jej wzrok. Jakże często mierzyło mnie jej oko z groźbą i nienawiścią! Jak odżywało wspomnienie strachów i strapień dziecka, gdy oglądałam teraz twarde rysy jej twarzy. A jednak nachyliłam się i pocałowałam ją. Spojrzała na mnie.

— Czy to Jane Eyre? — zapytała.

— Tak, to ja, ciotko. Jak się droga ciotka miewa?

Ślubowałam niegdyś, że już jej nigdy ciotką nie nazwę. Pomyślałam, że to nie grzech poniechać tego ślubu i złamać go teraz. Palce moje ujęły jej rękę, leżącą na koldrze. Gdyby była rękę moją uściśnęła życzliwie, byłabym w tej chwili doznała prawdziwej przyjemności. Ale niewrażliwe natury nieprędko łagodnieją, a wrodzona antypatia niełatwo daje się wykorzenić. Pani Reed usunęła rękę i raczej odwracając twarz ode mnie, zauważyła, że gorąco jest tej nocy. I znowu popatrzyła na mnie z tak lodowatym chłodem, że uczułam od razu, iż zdanie jej o mnie i uczucia dla mnie niezmienione są i niezienne pozostaną. Poznałam po jej kamiennych oczach, niedostępnych dla czułości, nieumiejących roztajać we łzach, że postanowiła aż do końca uważać mnie za istotę z gruntu złą, ponieważ uwierzyć w dobroć we mnie nie sprawiłoby jej szlachetnej przyjemności, a tylko wzbudziłoby przykrość i zawstydzenie.

Zabolało mnie to, a potem rozgniewało. W końcu obudziło się we mnie postanowienie zapanowania nad nią wbrew jej naturze i wbrew jej woli. Łzy cisnęły mi się do oczu, jak w latach dzieciństwa. Powstrzymałam je. Przysunęłam sobie krzesło i siadłam w głowach łóżka, nachyliłam się nad poduszką.

— Ciotka posłała po mnie — powiedziałam — i otóż jestem. Mam zamiar pozostać tu, aż się przekonam, że zdrowie ciotki się poprawia.

— Ach, naturalnie. Czy widziałaś się z moimi córkami?

— Owszem, widziałyśmy się.

— Dobrze, więc powiedz im, że życzę sobie, byś tu pozostała, dopóki nie będę mogła pomówić z tobą o pewnych rzeczach, na których mi zależy. Dziś wieczorem już za późno i trudno mi je sobie przypomnieć. Ale było coś, co chciałam powiedzieć... Niech się zastanowię...

Błędny wzrok i zmieniona wymowa świadczyły, jakiemu rozstrojowi uległ jej silny niegdyś organizm. Kręcąc się niespokojnie, poprawiała koldrę na sobie. Łokieć mój, oparty o brzeg łóżka, przypadkiem ją przytrzymał. To ją od razu zirytowało.

— Podnieś się! — rzekła. — Dlaczego mnie drażnisz, przytrzymując koldrę? Czyś ty Jane Eyre?

— Tak, ja jestem Jane Eyre.

— Więcej kłopotu miałam z tym dzieckiem, niżby ktokolwiek uwierzył. Taki ciężar na mnie zwalić... I tyle utrapienia, co ona mi sprawiała co dzień, co godzina, tym swoim niezrozumiałym usposobieniem, tymi nagłymi wybuchami i bezustannym i nienaturalnym śledzeniem każdego mojego ruchu! Doprawdy, przecież ta dziewczyna przemawiała raz do mnie zupełnie jak wariatka albo jak sam szatan, żadne dziecko nigdy tak nie mówiło i nie wyglądało jak ona. Rada byłam, kiedy jej się pozbyłam z domu. Co oni z nią

Zło, Dobro, Oko, Łzy

zrobili w Lowood? Zaraza tam wybuchła i wiele uczennic zmarło, a ona nie. Ale ja powiedziałam, że umarła, żałuję, że nie umarła!

— Dziwne życzenie, pani Reed. Dlaczego jej pani tak nienawidzi?

— Nigdy nie lubiłam jej matki, gdyż była to jedyna siostra mojego męża i bardzo przez niego kochana. Gdy rodzina wyparła się jej z powodu megaliansu, on się temu sprzeciwił, a gdy przyszła wiadomość o jej śmierci, płakał jak głuptas. Uparł się posłać po dziecko, chociaż go błagałam, żeby je raczej oddał do mamki i płacił na jego utrzymanie. Znienawidziłam je od pierwszego wejrzenia: chorowite, piszczące, skamlące stworzenie! Kwiliło to w kołysce jak noc długa, nie krzycząc zdrowo i głośno jak każde inne dziecko, ale popiskując i pojękując... Reed litował się nad nim, nieraz je niańczył i roztkliwiał się nad nim więcej niż kiedykolwiek nad własnymi dziećmi w tym wieku. Starał się usposobić moje dzieci przyjaźnie do tej małej żebraczki, ale kochaneczki nie mogły jej znieść, a on się gniewał na nie, gdy okazywały jej antypatię. W ostatniej chorobie kazał sobie wciąż dzieciaka przynosić do łóżka, a na godzinę przed śmiercią wymógł na mnie uroczyste przyrzeczenie, że będę chowała i zatrzymam to stworzenie. Równie chętnie dałabym sobie narzucić bębna²⁰⁴ nędzarki z przytułku, ale on był słaby, słaby z natury... John ani trochę nie jest podobny do ojca i to mnie cieszy. John wdał się we mnie i w moich braci... To całkowity Gibson. Och, jakżebym chciała żeby przestał mnie dręczyć listami o pieniądze! Ja nie mam już pieniędzy... Nic mu dać nie mogę, popadamy w biedę. Muszę odprawić połowę służby i zamknąć część domu... Albo dom wynająć. Nigdy się na to nie będę potrafiła zdobyć... Ale jakże mamy dalej ciągnąć? Dwie trzecie moich dochodów idzie na opłacenie procentów od długów. John strasznie gra i zawsze przegrywa, biedny chłopak. Lichwiarze go napastują. Podupadł, zmarniał, wygląda okropnie. Wstydzę się za niego, gdy go widzę!

Podniecała się coraz bardziej.

— Może bym ja lepiej teraz wyszła — zwróciłam się do Bessie, stojącej po drugiej stronie łóżka.

— Może by było lepiej, panienko. Pani często w ten sposób mówi, gdy noc nadchodzi, rano bywa spokojniejsza.

Podniosłam się.

— Nie odchodź! — zawołała pani Reed. — Ja jeszcze coś chciałam powiedzieć. John mi grozi... On ciągle mi grozi swoją śmiercią albo moją. I często śni mi się, że go widzę na katafalku, z wielką raną na szyi albo z twarzą opuchniętą, zsiniałą. Przyszła na mnie ciężka godzina, straszne mam zmartwienie. Co mogę zrobić? Skąd mam wziąć pieniądze?

Bessie usiłowała teraz ją nakłonić do zażycia proszku nasennego. Chora z trudem dała się namówić. Niebawem jednak uspokoiła się i zapadła w stan półsenny. Wtedy wyszłam z pokoju.

Więcej niż dziesięć dni upłynęło, zanim przyszło znów między nami do rozmowy. Pani Reed w dalszym ciągu majaczyła albo zapadała w letarg, a lekarz zabraniał wszystkiego, co by w sposób przykry mogło ją podniecać. Ja tymczasem, jak mogłam, radziłam, sobie z Georgianą i Elizą. Bardzo były co prawda z początku zimne. Eliza potrafiła przesiedzieć pół dnia szyjąc, czytając lub pisząc, i nie odezwać się prawie wcale do mnie ani do siostry. Georgiana godzinami droczyła się z kanarkiem bez zwracania uwagi na mnie. Ja jednak postanowiłam okazać, że nie potrzeba, żeby się mną ktoś zajmował albo mnie bawił. Przywiozłam ze sobą materiały rysunkowe i te mi posłużyły do zabicia czasu.

Zaopatrzona w pudło z ołówkami i w kilka arkuszy papieru, siadałam opodal nich pod oknem i zajmowałam się szkicowaniem fantastycznych winietek, przedstawiających jakieś sceny, które mi się przypadkowo kształtowały w kalejdoskopie wyobraźni: to kawałek morza między dwiema skałami, to wschodzący księżyc i okręt, przesuwany się przez jego tarczę, to łąn trzciny i sitowia z wynurzającą się spośród nich głową najady²⁰⁵, uwieńczoną kwiatami lotosu, to znów krasnoludek, siedzący w ptasim gnieździe pod gałęzią kwitnącego głogu.

Pewnego ranka zaczęłam szkicować twarz. Co to za twarz będzie, sama nie wiedziałam. Wzięłam miękki, czarny ołówek, przycięłam jego gruby koniec i zaczęłam pracować.

Portret

²⁰⁴*bēben* — daw. pogardliwe a. rubaszne określenie dziecka. [przypis edytorski]

²⁰⁵*najada* — w mitologii greckiej każda z nimf źródeł, potoków etc. [przypis edytorski]

Niebawem nakreśliłam na papierze szerokie, wypukłe czoło i kwadratowy niższy zarys twarzy. Pod takim czołem trzeba dać silnie zaznaczone, prosto biegnące brwi. A potem, naturalnie, wyraźnie określony nos o mostku prostym i pełnych nozdrzach. Dalej usta, widocznie ruchliwe, bynajmniej nie małe. Następnie silną brodę, z bruzdą przez środek. Oczywiście należało się tu jeszcze trochę czarnych bokobrodów i włosów, bujnie postrzępionych nad skroniami i falujących nad czołem. A teraz oczy. Pozostawiłam je na sam koniec, ponieważ wymagały najstaranniejszej pracy. Kształt nadałam im dobry, narysowałam je wielkie, o rzęsach długich i ciemnych, o wielkich, błyszczących źrenicach. „Dobrze, a jednak niezupełnie! — pomyślałam, oceniając całościowe wrażenie — więcej im potrzeba siły i więcej życia”. Toteż pogłębiłam cienie, ażeby światłem jaśniej zabłysły... kilka trafnych dotknięć ołówka pomyślnie dopełniło dzieła. I otóż miałam przed sobą twarz przyjaciela. Cóż więc mogło mi to szkodzić, że te panny tyłem odwracają się do mnie? Patrzyłam na mój obrazek i uśmiechałam się do tej żywej podobizny. Byłam cała przejęta i zadowolona.

— Czy to portret kogoś znajomego? — zapytała Eliza, która przybliżyła się, niezauważona przeze mnie.

Odpowiedziałam, że to taka fantazyjna głowa i szybko rysunek wsunęłam pod inne papiery. Skłamałam, rzecz jasna — była to w rzeczywistości bardzo wierna podobizna panna Rochester. Ale cóż to ją obchodziło albo kogokolwiek, oprócz mnie jednej? I Georgiana przysunęła się, żeby popatrzeć. Inne rysunki podobały jej się bardzo, ale o tym wyraziła się, że to „brzydki mężczyzna”. Obu im zaimponowała moja umiejętność. Ofiarowałam się naszkicować ich portreciki i obie kolejno pozowały mi do szkicu. Wtedy Georgiana wydobyła swój album. Obiecałam, że jej wymaluję do albumu obrazek akwarelą. To ją od razu wprawiło w dobry humor. Zaproponowała mi spacer po ogrodzie. Nie upłynęły dwie godziny, a już się toczyła poufna rozmowa. Uszczęśliwiła mnie opisem świetnej zimy, spędzonej dwa sezony temu w Londynie, podziwu, który tam wzbudzała, i uprzejmości, jakich była celem. Nie poskąpiła mi nawet wzmianek o utytułowanym wielbicielu, jakiego zdobyła. Po południu i wieczorem wzmianki te zostały dopełnione. Wysłuchałam sprawozdania z różnych rozmów, różnych scen sentymentalnych — słowem, Georgiana dnia tego zaimprovizowała na mój benefis²⁰⁶ cały tom romansu z życia modnego świata. Zwierzenia takie powtarzały się odtąd codziennie i toczyły się zawsze dokoła tego samego tematu — jej, jej miłości i jej żalów. Rzecz dziwna, że ani razu nie wspomniała o chorobie matki ani o śmierci brata, ani o obecnym, posępnym stanie interesów rodziny. Duszę jej całą pochłaniały wspomnienia minionych zabaw i wesołości oraz pragnienie dalszych w przyszłości rozrywek. W pokoju matki spędzała jedynie około pięciu minut dziennie.

Eliza nadal mówiła niewiele, widocznie nie miała czasu na rozmowę. Nigdy nie widziałam czynniejszej od niej osoby, jednakże trudno by powiedzieć, co właściwie robiła, a raczej odkryć rezultat jej pracowitości. Zrywała się bardzo wcześnie. Nie wiem, czym się zajmowała przed śniadaniem, ale po nim dzieliła sobie czas na regularne przedziały i każda godzina miała wyznaczone zadanie. Trzy razy dziennie wczytywała się w książeczkę, która, jak się przekonałam, była liturgią anglikańską. Zapytałam ją raz, co ją tak bardzo w tym tekście pociąga. Odpowiedziała, że „Rubryka” czyli przepisy, dotyczące urzędzenia nabożeństwa. Trzy godziny przeznaczala na haftowanie złotymi nićmi brzegów kwadratowego kawałka karmazynowego sukna, tak wielkiego, że starczyłoby na dywan. Na moje zapytanie, do czego to ma służyć, odpowiedziała, że jest to nakrycie na ołtarz do nowego kościoła w pobliżu Gateshead. Dwie godziny poświęcała na pisanie dziennika, przez dwie pracowała samotnie w ogrodzie warzywnym, a jedną wykorzystywała na regulowanie swoich rachunków. Robiła wrażenie, że nie potrzeba jej ani towarzystwa, ani rozmowy. Sądzę, że była po swojemu szczęśliwa. Ta rutyna wystarczała jej najzupełniej, a nic tak jej nie mogło dokuczyć, jak drobne wypadki krzyżujące ten zegarkowy tryb życia.

Powiedziała mi pewnego wieczora, usposobiona bardziej rozmownie, że zachowanie Johna i zagrażająca całej rodzinie ruina były dla niej źródłem głębokiego strapienia, ale że już teraz uspokoiła się i doszła do pewnego postanowienia. Własny majątek postarała się zabezpieczyć, a po śmierci matki — jest zupełnie nieprawdopodobne, zauważyła spo-

²⁰⁶na mój benefis — tu: na moją rzecz, z mojego powodu. [przypis edytorski]

kojnie, by matka mogła wyzdrowieć albo utrzymać się przy życiu czas dłuższy — miała zamiar wykonać plan dawno upragniony: poszukać schronienia, gdzie by nic nie mąciło jej punktualnych zwyczajów i gdzie bezpieczna zapora odgradzałaby ją od frywolnego świata. Zapytałam, czy towarzyszyłaby jej tam Georgiana.

„Oczywiście, że nie. Z Georgianą nie miała nic wspólnego, tak było zawsze. Za nic w świecie nie obciążałaby się jej towarzystwem. Georgiana powinna pójść swoją drogą, a ona pójdzie swoją”.

Georgiana, kiedy nie wylewała zwierzeń swych przede mną, spędzała czas przeważnie leżąc na kanapie, skarżąc się na nudy w domu i wdychając raz po raz, by ciotka jej, pani Gibson, zaprosiła ją do miasta. „O tyle lepiej byłoby — mawiała — gdybym się mogła na miesiąc albo dwa miesiące usunąć z domu, aż będzie po wszystkim”. Nie pytałam jej, co rozumie przez to „aż będzie po wszystkim”, ale sędzę, że miała na myśli spodziewany zgon matki i posępną ceremonię pogrzebową. Eliza na ogół nie zwracała uwagi na próżniacze niedołęstwo i utyskiwania siostry. Raz wszakże, odłożywszy książeczkę rachunkową na bok i rozwijając swój haft, udzieliła jej nagle takiej reprimendy:

— Georgiano, próżniejsze i głupsze od ciebie stworzenie z pewnością nigdy nie chodziło po świecie. Nie powinnaś się była urodzić, gdyż nie umiesz spożytkować życia. Zamiast żyć dla samej siebie, w sobie i ze sobą, jak każdy rozumny człowiek powinien, ty tylko szukasz, do czyjej siły mogłabyś swoją słabość przyczepić. A jeżeli nie znajdujesz nikogo, kto by był gotów brać na siebie ciężar takiej istoty tłustej, słabej, pustej i do niczego, krzyczysz, że cię maltretują, zaniedbują, żeś nieszczęśliwa. Przy tym życie musi być dla ciebie szeregami ciągłych zmian i podniecających wrażeń, inaczej świat, wedle ciebie, to więzienie. Chcesz, by cię podziwiano, by cię uwielbiano, by ci pochlebiano. Potrzeba ci muzyki, tańca, towarzystwa, bez tego nudzisz się, tęsknisz, zamierasz. Czyż nie masz tyle rozumu, żeby obmyślić sobie system, który by cię uniezależnił od czyjejś pomocy, od czyjejś woli poza twoją własną? Weź jeden dzień, podziel go na części, każdej z nich wyznacz zadanie. Nie pozostawiaj wolnych i niezajętych kwadransów, dziesięciu, pięciu minut. Obejmij cały czas. Każdą robotę z kolei wykonaj systematycznie, ściśle i dokładnie. Dzień ci upłynie, zanim się spostrzeżesz, że się zaczął, a nikomu nie będziesz zawdzięczała, że ci dopomógł przebyć choćby jedną zbędną chwilę. Nie potrzebowałabyś szukać niczyjego towarzystwa, rozmowy, sympatii, względności. Żyłabyś, słowem, tak, jak powinna żyć istota niezależna. Przyjmij moją radę: pierwszą i ostatnią, jaką ci daję, a wtedy nie będziesz potrzebowała ani mnie, ani nikogo innego, cokolwiek by się stało. Nie chcesz? Żyj dalej, jak dotąd, wiecznie czegoś pragnąc, utyskując i próżnując, a będziesz musiała znieść następstwa swej głupoty, choćby były najprzykrzejsze i trudne do wytrzymania. I to ci mówię wyraźnie. Słuchaj, gdyż powtarzać tego nie będę i stanowczo wedle tego postąpię: po śmierci naszej matki ja, co do ciebie, umyвам ręce. Z chwilą gdy trumnę jej wyniosą do podziemi kościelnych, między tobą a mną nastąpi rozbrat, jak gdybyśmy się nigdy nie znały. Nie wyobrażaj sobie, że ponieważ przypadkiem urodziłyśmy się z tych samych rodziców, ja zniosę, byś ty się przyczepiła do mnie jakimś urojonym prawem. I to ci mogę powiedzieć: nawet gdyby cała ludzkość, z wyjątkiem nas dwóch, została zmieciona z powierzchni Ziemi, i tak bym cię zostawiła twojemu losowi w starym świecie, a sama podążyła ku nowemu.

Zamilkła.

— Niepotrzebnie trudziłaś się wygłaszaniem tej tyrazy — odpowiedziała Georgiana. — Wszyscy wiedzą, że nie ma bardziej samolubnej od ciebie istoty bez serca, a ja wiem, jak ty mnie zazdrośnie nienawidzisz. Miałam tego próbkę już przedtem w tym „żarcie”, który mi urządziłaś w sprawie lorda Edwina Vere’a. Nie mogłaś ścierpieć, bym się wzniosła wyżej od ciebie, bym miała tytuł, bym była przyjmowana w kołach, gdzie ty byś się nie śmiała pokazać. Toteż postąpiłaś jak szpieg i donosiciel i zrujnowałaś moje widoki na zawsze.

Tu Georgiana wyciągnęła chusteczkę i przez godzinę potem wycierała nos, Eliza zaś siedziała zimna, niewzruszona i pilnie zapracowana.

Było dżdżyste i wietrzne popołudnie. Georgiana, czytając romans, zasnęła na kanapie. Eliza poszła na jakieś świąteczne nabożeństwo w nowym kościele, gdyż w sprawach religii była surową formalistką — żadna niepogoda nie powstrzymywała jej od punktualnego wypełniania dewocyjnych praktyk.

Głupota, Próżność

Pobożność

Pomyślałam, że dobrze by było pójść na górę i przekonać się, jak się miewa umierająca chora, która leżała tam prawie opuszczona. Nawet służące tylko niekiedy przypominały sobie o jej istnieniu; płatna pielęgniarka, słabo dozorowana, wymykała się z pokoju, gdy tylko mogła. Bessie pozostała wierna, miała jednak własną rodzinę i tylko czasem mogła przychodzić do dworu. Jak się tego spodziewałam, nie zastałam nikogo w pokoju chorej. Pielęgniarki też nie było. Pani Reed leżała spokojnie, jak w letargu. Jej sina twarz zapadła w poduszki, ogień na kominku dogasał. Dołożyłam węgla, poprawiłam posłanie łóżka, popatrzyłam chwilę na tę, która teraz patrzeć na mnie nie mogła, a potem podeszłam do okna.

Deszcz bił silnie o szyby, wiatr gwałtownie dmuchał. „Tu oto leży — pomyślałam — ludzka istota, dla której niebawem walki ziemskich żywiołów będą niczym. Dokąd polecą ten duch, walczący teraz o wyzwolenie z cielesnej powłoki, gdy się nareszcie wyswobodzi?”

Rozmyślając nad wielką tajemnicą, wspominałam Helen Burns, przypominałam sobie jej przedśmiertne słowa, jej wiarę, jej teorię o równości dusz bezcielesnych. Wciąż jeszcze nasłuchiwałam w myśli dobrze pamiętanego głosu, wciąż uprzytomniałam sobie jej błady, uduchowiony wygląd, wymizerowaną twarz i nieziemskie spojrzenie, gdy leżała spokojnie na śmiertelnym posłaniu i szeptała o swej tęsknocie do Ojca niebieskiego, gdy wtem słaby głos odezwał się z łóżka za mną: „Kto tu jest?”

Wiedziałam, że pani Reed już od szeregu dni zaniemówiła. Czyżby wracała do życia? Podeszłam ku niej.

— To ja jestem, ciotko.

— Kto taki... Ja? — odpowiedziała. — Kto ty jesteś? — I spojrzała na mnie zdziwiona i jakby przestraszona, ale wciąż jeszcze przytomna. — Ty mi jesteś zupełnie obca... Gdzie Bessie?

— Bessie jest u siebie w domu, ciotko.

— Ciotko? — powtórzyła. — Kto mnie nazywa ciotką? Nie jesteś żadną z Gibsonów. A jednak ja ciebie znam: ta twarz, te oczy i czoło... To wszystko jest mi dobrze znajome. Jesteś podobna... Tak, jesteś podobna do Jane Eyre!

Nie odpowiedziałam nic, bałam się wywołać wstrząsające wrażenie, gdybym oświadczyła, kim jestem.

— Tak — zaczęła chora znowu — lękam się, że to pomyłka: myśli mnie ludźką. Pragnęłam zobaczyć Jane Eyre i wyobrażałam sobie podobieństwo tam, gdzie go nie ma. Zresztą przez osiem lat ona musiała się bardzo zmienić.

Teraz ja bardzo ostrożnie zapewniłam ją, że jestem właśnie tą osobą, za którą mnie brała i którą pragnęła zobaczyć, a widząc, że mnie rozumie i jest zupełnie przytomna, wytłumaczyłam, że Bessie wysłała po mnie męża do Thornfield.

— Wiem, że jestem bardzo chora — powiedziała po chwili. — Kilka minut temu chciałam się obrócić, ale nie mam żadnej władzy w członkach. Może i lepiej, żebyśmy rzuciła ciężar z serca, zanim umrę. To, co sobie mało ważymy, dopóki zdrowie służy, ciąży bardzo w takiej godzinie jak obecna dla mnie. Czy jest tutaj pielęgniarka? Albo czy jest tutaj w pokoju ktoś więcej oprócz ciebie?

Zapewniłam ją, że jesteśmy same.

— Otóż ja ciebie dwa razy skrzywdziłam, czego teraz żałuję. Raz, łamiąc obietnicę, daną mężowi, że wychowam cię jak własne dziecko. Po raz drugi... — tu przerwała. — Ostatecznie, to może nie ma wielkiego znaczenia — szepnęła sama do siebie. — Zresztą, może wyzdrowieję... A tak się przed nią upokarzać to rzecz przykra.

Usiłowała poruszyć się na łóżku, ale daremnie. Zmieniła się na twarzy, targnęło nią widocznie jakieś wewnętrzne poczucie, może zwiastun bliskiego końca.

— Ostatecznie muszę przejść przez to. Wieczność przede mną. Trzeba jej to powiedzieć... Idź do mojego biurka, otwórz je i wyjmij list, który tam zobaczysz.

Posłuchałam jej wskazówki.

— Przeczytaj ten list — powiedziała.

List był krótki i brzmiał następująco:

„Pani! Proszę o łaskawe przysłanie mi adresu mojej bratanicy, Jane Eyre, i o doniesienie mi, jak ona się miewa. Mam zamiar napisać do niej wkrótce

Wiara

List

i prosić, żeby przyjechała do mnie na Maderę. Opatrzność pobłogosławiła mojej pracy i pozwoliła mi zbierać majątek. A ponieważ jestem bezżenny i bezdzietny, pragnę adoptować bratanicę za życia i uczynić ją spadkobierczynią mego majątku po śmierci. Z głębokim poważaniem. John Eyre, Madera”.

Data była sprzed trzech lat.

— Dlaczego ja się nigdy o tym liście nie dowiedziałam? — zapytałam.

— Ponieważ nie cierpiałem cię zbyt mocno, by przyłożyć rękę do zapewnienia ci dobrobytu. Nie mogłam zapomnieć o twoim postępku wobec mnie, Jane. O tej furii, z jaką niegdyś rzuciłaś się na mnie, o tym tonie, jakim oświadczyłaś, że nienawidzisz mnie jak nikogo na świecie. Nie mogłam zapomnieć tego nie-dziecinnego spojrzenia i głosu, jakim twierdziłaś, że wstrętna ci jest sama myśl o mnie, i dowodziłaś, że obchodziłam się z tobą z bezlitosnym okrucieństwem. Nie mogłam zapomnieć własnych uczuć, gdy się tak zerwałaś i wylewałaś jad twojej duszy. Bałam się wtedy i miałam wrażenie, jak gdyby zwierzę, które uderzyłam albo popchnęłam, spojrzało na mnie ludzkimi oczami i przeklinało mnie ludzkim głosem... Podaj mi trochę wody! Ach, śpiesz się!

— Droga ciotko — rzekłam, podając jej żądany napój — nie myśl już o tym wszystkim, usuń te wspomnienia z duszy. Wybacz mi moje namiętne uniesienia. Byłam wtedy dzieckiem, osiem czy dziewięć lat minęło od tego czasu!

Nie zważała na to, co powiedziałam, lecz napiwszy się wody i odetchnąwszy, mówiła dalej:

— Mówię ci, że nie mogłam tego zapomnieć. I zemściłam się. Żeby ciebie stryj adoptował, żebyś ty miała dojść do wygod i dostatku, tego ścierpieć nie mogłam. Napisałam do niego, iż żałuję, że spotyka go zawód, ale Jane Eyre nie żyje: umarła na tyfus w Lowood. Teraz ty postąpisz, jak zechcesz. Napisz, zaprzecz mojemu twierdzeniu, oskarż mnie o kłamstwo, jeśli ci się podoba. Urodziłaś się na moje udręczenie, ostatnie moje godziny zatrzymała męka wspomnienia o czynie, którego, gdyby nie ty, nigdy bym nie była popełniła.

— Gdyby tylko ciotka mogła już o tym nie myśleć, gdyby mogła odnieść się do mnie z dobrocią i przebaczeniem...

— Ty masz bardzo zły charakter — powiedziała — i taki, że go do dziś dnia nie mogę zrozumieć. Jakim sposobem przez dziewięć lat mogłaś cierpliwie i spokojnie znosić surowe traktowanie, aby potem w dziesiątym roku wybuchnąć tak wściekle i tak gwałtownie, tego nigdy nie zrozumieć.

— Mój charakter nie jest taki zły, jak ciotka sobie wyobraża. Jestem gwałtowna, ale nie mściwa. Wiele razy, jako małe dziecko, pragnęłam kochać ciotkę, gdyby mi ciotka tylko była pozwoliła. A i teraz gorąco pragnę, byśmy się pogodziły. Niech mnie ciocia pocałuje.

Przybliżyłam twarz do jej ust. Nie chciała jej dotknąć. Powiedziała, że jej duszno, gdy się nachylałam nad łóżkiem, i ponownie zażądała wody. Gdy ją znów położyłam — bowiem uniosłam ją i podtrzymałam ramieniem, podczas gdy piła — ujęłam jej łodowatą i spoconą rękę. Slabe palce jednakże cofnęły się przed moim dotykiem, a mgłą zachodzące oczy unikały mego wzroku.

— Niechże mnie ciotka, jak zechce, kocha czy nienawidzi — powiedziałam wreszcie. — Ja ciotce z serca przebaczam, niech Bóg jej przebaczy i przywróci spokój.

Biedna, cierpiąca kobieta! Za późno było dla niej, by zdobyć się na zmianę dotychczasowego myślenia i odczuwania: żyjąc, nienawidziła mnie zawsze, w godzinę śmierci nie umiała z tej nienawiści się otrząsnąć.

Weszła teraz pielęgniarka, a za nią Bessie. Pozostałam jeszcze godzinę w nadziei, że doczekam się jakiejś oznaki życzliwości. Próżna to była nadzieja. Chora szybko zapadała w odrętwienie, nie oprzytomniała więcej. O dwunastej w nocy skonała. Nie byłam obecna, by zamknąć jej oczy, nie była też obecna żadna z jej córek. Powiedziano nam nazajutrz rano, że już jest po wszystkim. Tymczasem ubrano ją i wystawiono. Poszliśmy ją z Elizą odwiedzić. Georgiana, która uderzyła w głośny płacz, oświadczyła, że nie odważy się iść z nami. Oto leżała przed nami Sarah Reed, silna i czynna niegdyś postać, teraz sztywna i spokojna. Jej twarde oko kryła zimna powieka, na czole i wyrazistych rysach leżało

Zemsta

Współczucie, Nienawiść

Trup, Śmierć

jeszcze teraz piętno jej nieubłaganej duszy. Dziwnym i uroczystym przedmiotem były dla mnie te zwłoki. Patrzyłam na nie, przejęta posępnym smutkiem i przykrością — nie budziły żadnych uczuć łagodnych, rzewnych, litościwych lub nadzieją osłodzonych, lecz jedynie drażniącą mękę na myśl o *jej* cierpieniach, nie o *mojej* stracie i posępną grozę bez lez nad okropnością takiej śmierci.

Eliza spokojnie przypatrywała się matce. Po kilkuminutowym milczeniu zauważyła:

— Z jej organizmem można było dożyć późnej starości, życie jej skróciły zmartwienia.

A wtedy chwilowy skurcz przebiegł po ustach Elizy. Gdy minął, odwróciła się i wyszła z pokoju, a ja za nią. Żadna z nas nie uroniła ani jednej łzy.

ROZDZIAŁ XXII

Pan Rochester dał mi tylko tydzień urlopu, miesiąc jednak upłynął, nim opuściłam Gatheshead. Pragnęłam wyjechać zaraz po pogrzebie, ale Georgiana błagała mnie, ażebym pozostała, dopóki nie wyjedzie do Londynu, dokąd nareszcie zaprosił ją wuj, pan Gibson, który był przyjechał, by zająć się pogrzebem siostry i załatwić sprawy rodziny. Georgiana twierdziła, że boi się pozostać sama z Elizą. Nie znajdowała u niej ani współczucia w przygnębieniu, ani uspokojenia w obawach, ani pomocy w przygotowaniach. Ja zaś znosiłam, jak mogłam, jej maloduszne utyskiwania i egoistyczne lamenty i starannie szyłam dla niej i pakowałam jej ubrania. To prawda, że kiedy ja pracowałam, ona próżnowała. Myślałam też w głębi duszy: „Gdybyśmy obie, kuzynko, musiały żyć zawsze razem, postawiłoby się sprawę zupełnie inaczej. Nie wzięłabym na siebie tej biernej roli, wyznaczyłabym ci dział pracy i zmusiłabym cię, byś ją wypełniła, bo nikt by tego za ciebie nie zrobił. Żądałabym także, byś nieco afektowane, niezupełnie szczerze skargi przemilczała. Jedynie dzięki temu, że nasz stosunek jest tak przypadkowy i krótkotrwały, że trafił na okres żałoby i smutku, jedynie dlatego zgadzam się na tyle cierpliwości i względy dla ciebie”.

Nareszcie pożegnałam Georgianę, lecz teraz Eliza z kolei poprosiła mnie, bym się jeszcze tydzień zatrzymała. Planom swoim, mówiła, musi poświęcić cały czas i uwagę. Zamierzała się udać w nieznany świat i cały dzień pozostawała w swoim pokoju, zapelniając kufry, opróżniając szuflady, paląc papiery i nie widując się z nikim. Prosiła mnie, bym dopilnowała domu, przyjmowała gości i odpowiadała na listy kondolencyjne.

Pewnego ranka oświadczyła, że zwraca mi swobodę.

— Jestem ci wdzięczna, kuzynko — dodała — za twoje cenne usługi i dyskretne zachowanie! Niemała to różnica żyć z kimś takim jak ty, a nie z Georgianą. Ty zadanie swoje w życiu wypełniasz i nie ciężysz nikomu. Jutro — ciągnęła dalej — wyjeżdżam na kontynent. Zamieszkać w zakładzie religijnym w pobliżu Lille. Ty byś go nazwała klasztorem. Tam znajdę ciszę i spokój. Mam zamiar poświęcić pewien czas na przestudiowanie dogmatów rzymskokatolickiego kościoła i na staranne zbadanie, jak działa ten system. Jeżeli się przekonam, że jest to system, jak po trosze przypuszczam, najlepiej obliczony na wprowadzenie regularności i porządku we wszelkie działania, wtedy przyjmę zasady kościoła rzymskiego i prawdopodobnie przywdzieję welon zakonny.

Nie wyraziłam ani zdziwienia wobec tego zamiaru, ani nie starałam się jej go odradzać. „To powołanie odpowiada ci jak najdokładniej — pomyślałam — niechże ci przyniesie zadowolenie!”.

Przy rozstaniu powiedziała:

— Żegnam cię, kuzynko Jane Eyre, życzę ci wszystkiego dobrego. Tobie nie brak rozsądku.

— I tobie go nie brak, kuzynko Elizo — odpowiedziałam — ale cały majątek, przypuszczam, po roku pochłonie ów zakład. Jednakże to nie moja sprawa, a jeżeli tobie to odpowiada, mnie mało to obchodzi.

— Masz słusność — odpowiedziała.

Po tych słowach rozeszły się nasze drogi. Ponieważ nie będę miała więcej sposobności powracać ani do niej, ani do jej siostry, mogę już tutaj napomknąć, że Georgiana zrobiła korzystną partię, wychodząc za bogatego, przeżytego światowca, a Eliza istotnie przywdziała habit i jest dziś przełożoną klasztoru, w którym przebyła nowicjat i który uposażyła swoim majątkiem.

Nie wiem, co czują ludzie powracający do domu po dłuższej czy krótszej nieobecności — nigdy tego nie doświadczyłam. Wiedziałam, co czułam jako dziecko, gdy wracałam do Gateshead po długim spacerze i dostawałam burę, że wyglądam na zziębniętą albo chmurną. Pamiętam, co czułam, gdy wracając z kościoła do Lowood, pragnęłam obfitego jedzenia i dobrego ognia i nigdy się z tym nie spotkałam. Żaden z owych powrotów nie był ani miły, ani upragniony, żaden magnes nie przyciągał mnie do miejsca mego zamieszkania — magnes, którego siła przyciągania roslaby w miarę zbliżania się do celu. Jaki będzie mój powrót do Thornfield, miałam się dopiero przekonać.

Podróż wydawała mi się nudna. Pięćdziesiąt mil jednego dnia, nocleg w hotelu, pięćdziesiąt mil drugiego dnia. Pierwszy dzień zszedł mi na rozmyślanie o pani Reed i jej ostatnich chwilach. Widziałam twarz jej zmienioną i bezbarwną, słyszałam jej dziwne brzęczący głos. Przesuwał mi się we wspomnieniu dzień pogrzebu, trumna, karawan, czarny orszak dzierzawców i służby, niewielu krewnych, otwarta otchłań grobowa podziemi, milczący kościół i uroczyste nabożeństwo. A potem pomyślałam o Elizie i Georgianie — jedną widziałam królową sali balowej, drugą mieszkanką celi zakonnej. Zastanawiałam się nad odrębnością ich osób i charakterów. Wieczorne przybycie do wielkiego miasta X rozwiła te myśli, a noc nadała im zupełnie inny kierunek. Leżąc w łóżku hotelowym, przeszłam od wspomnień do przewidywań przyszłości.

Wracałam do Thornfield, lecz jak długo tam pozostanę? Niedługo, tego byłam pewna. Miałam list od pani Fairfax. Towarzystwo we dworze rozjechało się, pan Rochester wyjechał do Londynu przed trzema tygodniami, ale wtedy spodziewano się powrotu jego za dwa tygodnie. Pani Fairfax przypuszczała, że pojechał poczynić przygotowania do ślubu, ponieważ mówił o kupnie nowego powozu. Pisała, że jego projekt poślubienia panny Ingram wciąż jeszcze wydaje jej się dziwny, że jednakże, sądząc po tym, co wszyscy mówią i co sama widziała, nie może dłużej wątpić o urzeczywistnieniu się jego zamiarów. „Byłabyś dziwnie upartym niedowiarkiem, gdybyś o tym powątpiewała — pomyślałam. — Nie, teraz o tym nie wątpię”.

Zadawałam sobie pytanie: „Dokąd się udam?”. Przez całą noc śniła mi się panna Ingram, nad ranem w żywym śnie ujrzałam ją, zamykającą przede mną bramy Thornfield i wskazującą mi palcem inną drogę. Obok zaś z założonymi na piersiach rękoma stał pan Rochester i śmiał się sarkastycznie — jak się zdawało, zarówno z niej, jak i ze mnie.

Nie oznajmiłam pani Fairfax dokładnie dnia swego powrotu, gdyż nie chciałam, by po mnie przysyłano konie do Millcote. Obiecywałam sobie przejść spokojnie pieszo ten kawałek drogi. Pozostawiwszy rzeczy pod opieką stróża hotelowego, puściłam się około szóstej wieczorem dobrze mi znajomą drogą do Thornfield. Biegła ona przeważnie polami i obecnie mało była uczęszczana.

Nie był to bardzo jasny ani wspaniały wieczór letni, choć dosyć pogodny i łagodny. Kosiarze wzdłuż drogi zbierali siano, niebo zaś, chociaż nie wolne od chmur, zapowiadało pogodę. Błękit jego tam, gdzie przeświecał, był czysty, a lekkie pasma obłoków płynęły wysoko. I zachód też był ciepły, nie chłodziła go wilgotna mgła. Wyglądało, jak gdyby ogień tam się palił, jak gdyby płonął tam ołtarz za zasłoną marmurkowych obłoczków, a z otworów świeciła czerwień złocista.

Z przyjemnością widziałam, że mi ubywa drogi, z taką przyjemnością, że raz przystanąłam, by się zapytać, co ta radość znaczy, i żeby sobie rozumnie przypomnieć, że nie do własnego domu powracam, nie do stałego miejsca pobytu, gdzie kochający przyjaciele wyglądają mnie i oczekują mojego powrotu. „Pani Fairfax z pewnością z uśmiechem spokojnie cię powita — powiedziała sobie. — A mała Adela będzie klaskać w ręce i skakać na twój widok. Ale ty wiesz bardzo dobrze, że o kim innym myślisz i że ten ktoś nie myśli o tobie”.

Ale cóż jest bardziej uparte od młodości? Cóż bardziej zaślepia od niedoświadczenia? Młodość i niedoświadczenie twierdziły, że dostateczną przyjemnością jest mieć szczęście znowu patrzeć na pana Rochester, choćby on na mnie nie patrzył, i dodawały: „Spiesz się! Spiesz się! Bądź z nim, dopóki możesz. Już niewiele dni, co najwyżej tygodni, a rozstaniesz się z nim na zawsze!”. A wtedy zdusiłam nową, rodzącą się mękę — potworne uczucie, którego uznać w sobie ani hodować nie chciałam — i podążyłam naprzód.

I w Thornfield koszono łąki, a raczej właśnie robotnicy, ukończywszy pracę, wracali do domu z grabiami na ramionach. Mam jeszcze jedno czy dwa pola do przejścia, a wtedy

Sen

Młodość

wejdę na drogę i dostanę się do bramy. Jak pełne róż są żywopłoty! Ale ja nie mam czasu na zrywanie kwiatów, spieszo mi do domu. Minęłam wysoki krzak głogu, widzę wąski przełaz z kamiennymi schodkami i widzę... Pana Rochester, siedzącego tam z książką i ołówkiem w ręku. Pisze.

Doprawdy, to przecież nie duch, a jednak czuję rozstrój nerwów i przez chwilę nie mogę się opanować. Co to ma znaczyć? Nie przypuszczałam, że tak drzeć będę, gdy go zobaczę, że stracę głos i możliwość poruszania się w jego obecności. Zawrócę, skoro tylko odzyskam władzę nad ciałem. Po cóż mam się okrywać śmiesznością? Znam inną drogę do domu. Ale cóż z tego, choćbym i dwadzieścia dróg znała? Wszakże on mnie już zobaczył...

— Witam! — woła i składa książkę i ołówek. — Więc powróciła panna Jane! Proszę bliżej, jeśli łaska!

Zdaje się, że się przybliżyłam, chociaż jak się to stało, nie wiem sama, tak sobie nie zdawałam sprawy z własnych ruchów i tylko o to dbałam, by wydać się spokojną, a przede wszystkim opanować twarz, która — czułam — buntuje się przeciw mej woli i dąży do wyrażenia tego, co chciałam ukryć. Ale mam przecież woalkę, jest spuszczone, jeszcze może mi się uda zachować, tak jak wypada, pozory spokoju.

— Więc to jest panna Jane Eyre? Czy przybywasz z Millcote i to na piechotę? Tak... Ot taka właśnie godna ciebie sztuczka: nie zażądać powozu, by z turkotem przez ulice i drogi przyjechać jak zwykły inny śmiertelnik, ale błąkać się w zmroku w sąsiedztwie twego domu, zupełnie jak gdybyś była snem albo cieniem. Cóż, u licha, działo się z tobą, panno Jane, przez ten ostatni miesiąc?

— Byłam u ciotki, która umarła, panie.

— Godna panny Jane odpowiedź! Dobrzy anieli, strzeżcie mnie! Ona przybywa z drugiego świata, stamtąd, gdzie mieszkają ludzie, którzy nie żyją, i mówi mi to, spotykając mnie samego w godzinie zmierzchu! Gdybym śmiał, dotknąłbym ciebie, by się przekonać, czyś z ciała, czyś cieniem, rusalko! Ale równie dobrze mógłbym chcieć dotknąć błędnego ognika na bagnisku. Włóczęga! — dodał, przerwawszy na chwilę swój wywód. — Opuścić mnie na cały miesiąc i zupełnie o mnie zapomnieć. Przysiągłbym, żeś zapomniała!

Wiedziałam, że przyjemność mi sprawi spotkanie z moim zwierzchnikiem, jakkolwiek przyjemność zatrutą obawą, że już niedługo przestanie nim być, oraz świadomością, że jestem dla niego niczym. Jednakże była zawsze w panu Rochesterze taka bogata moc uszczęśliwiania (ja to przynajmniej czułam), że już te okruczki, które rozsiewał dla przelotnych i obcych ptaków jak ja, stanowiły ucztę obfitą. Ostatnie jego słowa były dla mnie balsamem. Czyż nie oznaczały, że zależy mu trochę na tym, bym go pamiętała? A o Thornfield mówił, jako i o moim domu. O, gdybyż to był mój dom!

Pan Rochester nie ruszał się z przełazu, a ja nie śmiałam go prosić, żeby mnie przepuścił. Zapytałam go, czy był w Londynie.

— Owszem, ale to zapewne w jasnowidzeniu ktoś się o tym dowiedział.

— Pani Fairfax pisała mi o tym.

— I napisała także, po co pojechałem?

— O tak, panie! Wszyscy wiedzą, jaki pan tam miał interes.

— Musisz zobaczyć powóz, panno Jane, i musisz mi powiedzieć, czy uważasz, że będzie się podobał pani Rochester i czy nie będzie wyglądała jak królowa Boadicea²⁰⁷, oparta o te purpurowe poduszki. Chciałbym, panno Jane, zewnętrznie trochę więcej z nią harmonizować... Powiedz mi, jesteś przecież wróżką, czy nie możesz mi dać jakiego czarodziejskiego środka, napoju, cudownego zieleń czy czegoś w tym rodzaju, żeby ze mnie zrobić przystojnego mężczyznę?

— Na to magia nie ma środka, panie — odpowiedziałam, dodając w myśli: „Kochające oczy posiadają ten czar i dla takich oczu jesteś wystarczająco urodziwy, a surowość twej twarzy ma większą moc niż uroda”.

Pan Rochester odczytywał niekiedy moje niewypowiedzane myśli z trafnością dla mnie niezrozumiałą. W tym wypadku pominął moją ustną odpowiedź, tylko uśmiechnął się do mnie takim sobie właściwym uśmiechem, który się rzadko u niego pojawiał. Rzadko —

²⁰⁷ *Boadicea* a. *Boudika*, a. *Budyka* (ok. 30–61) — królowa Icenów zamieszkujących wschodnią Brytanię, która przewodziła powstaniu przeciwko Cesarstwu Rzymskiemu, symbol walki o wolność i bohaterka ludowa Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

w zwyczajnych okolicznościach. Była w tym uśmiechu cała słoneczność uczucia, ogarnął mnie nią teraz.

— Przejdź, panno Jane — rzekł, robiąc mi miejsce do przejścia przez przełaz — idź do domu i niech odpoczną twoje zdrożone nóżki u przyjacielskiego progu.

Pozostawało mi tylko usłuchać go w milczeniu, zbyt cicha była dalsza rozmowa. W milczeniu przeszłam przez przełaz i zamierzałam opuścić go spokojnie. Coś mnie jednak powstrzymało, jakaś siła zniewoliła mnie, żeby stanąć i obejrzeć się. Powiedziałam — czy też uczucie, którego nie mogłam opanować, przemówiło mimo mej woli:

— Dziękuję panu, panie Rochester, za wielką dobroć. Dziwnie jestem rada, że wracam znowu do pana, a gdziekolwiek pan jest, tam jest mój dom, mój jedyny dom.

Oddaliłam się tak szybko, że nawet gdyby chciał, byłoby mu trudno mnie dogonić. Adela, ujrawszy mnie, po prostu oszalała z radości. Pani Fairfax przyjęła mnie ze zwykłym przyjacielskim spokojem. Leah uśmiechnęła się, nawet Sophie z radością powiedziała mi „*Bonsoir*”²⁰⁸. Wszystko to było bardzo miłe — nic tak nie uszczęśliwia człowieka, jak poczucie, że się jest kochanym przez bliźnich i że obecnością swoją sprawia się im przyjemność.

Tego wieczora stanowczo odwróciłam oczy od przyszłości, zatkałam uszy, nie chcąc słyszeć głosu, który przypominał mi o bliskim rozstaniu i zbliżającym się cierpieniu. Po herbacie, gdy pani Fairfax zabrała się do swojej robótki, ja zajęłam niskie siedzenie obok niej, a Adela, kłęcząc na dywanie, przytuliła się do mnie, uczucie wzajemnego przywiązania otoczyło nas pierścieniem złotego spokoju. Modliłam się w duchu, by nas nic prędko nie rozłączyło, ale gdy na to niespodziewanie wszedł pan Rochester i patrząc na nas, zdawał się znajdować przyjemność w widoku tak przyjacielskiego gronka, gdy powiedział, że teraz zapewne pani Fairfax będzie kontenta, mając z powrotem adoptowaną córeczkę przy sobie, gdy dodał, że widzi, iż Adela jest „*prête à croquer sa petite maman anglaise*”²⁰⁹, zbudziła się we mnie wątpliwa nadzieja, że przecież może nawet po ślubie zatrzyma nas jakoś razem pod osłoną swojej opieki, niezupełnie wygnane ze słonecznej jego obecności.

Po moim powrocie do Thornfield Hall nastąpiły dwa tygodnie spokoju. Nic się nie słyszało o małżeństwie pana i nie robiono żadnych przygotowań w tym celu. Prawie codziennie pytałam panią Fairfax, czy nie słyszała o jakiejś decyzji. Odpowiadała stale przecząco. Raz powiedziała mi, że zapytała pana Rochester, kiedy zamysła przywieźć młodą panią do domu, lecz on odpowiedział jej tylko żartem i zagadkowym spojrzeniem, tak że nie wiedziała, jak ma go rozumieć.

Jedna rzecz szczególnie mnie zdziwiła, a mianowicie to, że nikt z rodziny Ingramów nie przyjeżdżał do Thornfield ani też pan Rochester nie składał wizyt w Ingram Park. To prawda, że odległość wynosiła dwadzieścia mil, bo Ingram Park leżało na pograniczu innego hrabstwa. Ale czym była taka odległość dla gorąco zakochanego? Dla tak sprawnego i niezmordowanego jeźdźcy, jak pan Rochester, stanowiłoby to spacer przedpołudniowy. Budziła się we mnie nadzieja, do jakiej nie miałam prawa: a nuż małżeństwo zerwane? A nuż mylił się głos ogółu? A nuż rozmyśliła się jedna albo druga strona? Przyglądałam się twarzy pana Rochester, chcąc z niej wyczytać, czy smutny jest czy gniewny? Nie pamiętam jednak takiego okresu, kiedy by twarz ta tak jednolicie wolna była od chmur wszelkich uczuć niedobrych. Jeżeli w chwilach, które wraz z moją uczenniczką z nim spędzaliśmy, zapadałam w przygnębienie, on stawał się nawet wesoły. Nigdy jeszcze tak często nie szukał mego towarzystwa, nigdy nie okazywał mi tyle dobroci. A ja, niestety, nigdy go jeszcze tak bardzo nie kochałam jak teraz.

ROZDZIAŁ XXIII

Wspaniałe, wczesne lato zaświeciło nad Anglią. Niebo tak czyste, słońce tak promienne, jak się je wtedy widziało w długim szeregu dni, rzadko kiedy nawet przez dzień jeden uszczęśliwia naszą falami otoczoną krainę. Było tak, jak gdyby gromadka dni włoskich nadleciała z południa i niby stado wspaniałych, przelotnych ptaków przysiadła odpocząć na skałach Albionu²¹⁰. Zwieziono siano, pola dokoła Thornfield zieleniły się bujnie, drogi

²⁰⁸*bonsoir* (fr.) — dobry wieczór. [przypis edytorski]

²⁰⁹*prête à croquer sa petite maman anglaise* (fr.) — gotowa do schrupania swojej angielskiej mamusi. [przypis edytorski]

²¹⁰*Albion* — starodawna, literacka nazwa Anglii. [przypis edytorski]

pobielają, spieczone słońcem, drzewa pokrył ciemny liść w pełnym rozkwicie, żywopłoty i lasy głęboką barwą listowia odbijały od słonecznego tonu skoszonych łąk.

Pewnego upalnego dnia Adela, znużona zbieraniem przez pół dnia dzikich malin na drodze do Hay, poszła spać razem ze słońcem. Pilnowałam jej, dopóki nie usnęła, a potem wyszłam do ogrodu.

Była to najmiłsza godzina z dwudziestu czterech w ciągu doby. „Dzień gorące ognie strwonił”, a chłodna rosa opadała na spragnione równiny i spieczone szczyty. Tam, gdzie słońce zaszło, wolne od przepychu chmur, roztaczała się purpura, płonąc jak krwawy klejnot lub rozżarzony ogień na szczycie jednego wzgórza i sięgając kolejnych w coraz łagodniejszych tonach poprzez połowę nieba. Wschód miał też swój własny urok pięknego, głębokiego szafiru i własny, skromny klejnot — wschodzącą, pojedynczą gwiazdę. Niebawem miał się poszczycić księżycem, ale ten tymczasem był jeszcze poniżej widnokregu.

Przechadzałam się czas jakiś po chodniku, gdy nagle delikatna, dobrze znajoma woń — woń cygara — zaleciała mnie z jednego z okien. Zobaczyłam, że szyba w bibliotece jest nieco uchylona. Wiedziałam, że stamtąd mogę być widziana, toteż przeszłam do sadu. Żaden zakątek w ogrodzie nie był tak zaciszny, tak rajski, jak ten — pełen był drzew i rozkwitłych kwiatów, z jednej strony bardzo wysoki mur odgradzał go od podwórza, z drugiej aleja bukowa osłaniała od drogi. Na końcu znajdował się płot nad rowem, jedyna przegroda od pustych pól. Wijąca się ścieżka, obsadzona krzewami, a kończąca się olbrzymim kasztanem z okalającą go ławeczką, prowadziła do płotu i rowu. Tutaj mogłam spacerować niewidziana. Wzruszona pięknem wieczoru, osiadającą rosą i ciszą, czułam, że w tym zakątku mogłabym przebywać wiecznie. Gdy jednak zaczęłam krążyć po kwiatowo-owocowej górnej części ogrodu, dokąd zwabiło mnie bardziej widoczne w tej wolnej przestrzeni światło księżyca, nagle wstrzymał moje kroki — nie odgłos żaden, nie widok — lecz znowu zapach ostrzegawczy. Dziki bez, akacje, jaśmin, goździki i róże od dawna już składały wieczorną ofiarę kadzidla, lecz tego nowego zapachu nie wydaje ani krzew, ani kwiat... Jest to — znam je dobrze — cygare pana Rochester. Oglądałam się dokoła i słucham. Widzę drzewa, obarczone dojrzewającymi owocami. Słyszę słowika, śpiewającego w pobliskim lasku. Nie widać żadnej poruszającej się postaci, nie słychać przybliżających się kroków. Jednakże zapach staje się silniejszy, muszę uciekać. Zmierzam do furtki, prowadzącej w gąszcz krzewów, i widzę, że wchodzi pan Rochester. Chronię się do błuszczowej altanki. „Przecież — myślę sobie — on długo zatrzymywać się tu nie będzie. Wróci niebawem tam, skąd przyszedł, a jeśli będę siedziała cicho, nie zobaczy mnie chyba”.

Zapach

Ale nie — ten wieczór widać zarówno jemu jest miły, jak i mnie, a ten staroświecki ogród taki ponętny. Przechadza się więc dalej, to podnosząc gałązki agrestu, by popatrzeć na obciążający je owoc wielki jak śliwki, to zrywając dojrzałą wiśnię pod murem, to nachylając się nad kępką kwiatów, by wchłonąć ich woń lub podziwiać kropelki rosy na płatkach. Wielka ćma brzęcząc przelatuje koło mnie, siada na roślinie u stóp pana Rochester, on dostrzega ją i schyla się, by ją dokładniej obejrzeć.

„Teraz plecami obrócony jest do mnie — pomyślałam — a przy tym jest zajęty. Może, idąc cicho, będę się mogła wymknąć niezauważona”.

Stąpałam po trawie brzegiem ścieżki, by nie zdradził mnie chrzęst kamyczków. On stał wśród grządek o jakieś dwa kroki od miejsca, którędy musiałam przechodzić, ćma widocznie zajmowała jego uwagę. „Uda mi się przejść” — myślałam. Gdy przekraczałam jego cień rzucony przez księżyc, odezwał się spokojnie, nie odwracając się wcale:

— Panno Jane, pójdź, zobacz tę stworę.

Zachowywałam się tak cicho! Przecież nie miał oczu na plecach. Czyżby cień jego odczuł moją obecność? Drgnęłam w pierwszej chwili, a potem przysunęłam się bliżej.

— Popatrz na jej skrzydła — rzekł — ona mi przypomina owada z Indii Zachodnich, nieczęsto widuje się w Anglii okazy tak wielkich i barwnych ciem nocnych. Ot masz, poleciała!

Ćma odfrunęła. I ja, zażenowana, cofnęłam się także. Jednak pan Rochester poszedł za mną, a gdy doszliśmy do furtki, powiedział:

— Zawróćmy, to wstyd w tak piękną noc siedzieć w domu. Z pewnością nikomu nie chce się iść spać, gdy w ten sposób zachód słońca schodzi się ze wschodem księżyca.

Jest to jedna z moich wad, że chociaż mój język jest niekiedy dość skory do odpowiedzi, bywają zdarzenia — gdy chodzi o znalezienie wymówki — iż haniebnie mnie zawodzi. A trafia się to najczęściej w takich okolicznościach, kiedy łatwe słowo lub prawdopodobne upozorowanie wybawiłoby mnie z przykrej, kłopotliwej sytuacji. Nie miałam ochoty spacerować o tej godzinie sama z panem Rochesterem po tym cienistym ogrodzie, nie mogłam jednak znaleźć powodu, dla którego bym go miała pożegnać. Szłam więc, ociągając się i szukając w myślach sposobu, jakby się tu wykręcić. On jednakże wydawał się tak spokojny i poważny, że zrobiło mi się wstyd mojego zmieszania. Zło — jeżeli w tym było jakieś zło — leżało widocznie tylko we mnie, jego umysł był tego nieświadomy i spokojny.

— Panno Jane — zaczął znowu, gdy wszedłszy na ścieżkę wśród krzewów, posuwaliśmy się w kierunku płotu nad rowem i kasztana — Thornfield to miłe miejsce latem, nieprawdaż?

— O tak, panie.

— Musiałaś się do pewnego stopnia przywiązać do tego domu, mając poczucie piękna przyrody i dużo zmysłu przywiązywania się.

— Toteż przywiązałam się istotnie.

— I chociaż nie rozumiem, jak to być może, ale zauważyłem, że i do tego głupiutkiego dziecka, Adeli, przywiązałaś się także, a nawet bodaj do tej prostodusznej niewiasty, pani Fairfax, również?

— Tak, panie, każda na inny sposób, ale obydwie są mi drogie.

— I żał by ci było rozstać się z nimi?

— O, żal.

— Szkoda! — powiedział. Westchnął i zamilkł. — Taki to już bieg rzeczy na świecie — ciągnął zaraz dalej. — Zaledwie człowiek zadomowi się gdzieś, gdzie mu dobrze, odzywa się głos: wstawaj i idź dalej, gdyż godzina wypoczynku minęła.

— Czy ja muszę iść dalej? — zapytałam. — Czy muszę opuścić Thornfield?

— Ja myślę, że musisz, panno Jane. Żał mi, panno Jane, ale myślę doprawdy, że musisz.

Był to cios, ale ja nie chciałam upaść pod tym ciosem.

— Dobrze, panie, będę gotowa i pójdę, gdy przyjdzie rozkaz wymarszu.

— Ten rozkaz przychodzi teraz, muszę go wydać dziś jeszcze.

— A więc pan się jednak żeni, panie Rochester?

— A właśnie. O to chodzi. Ze zwykłą swoją bystrością odgadła panna Jane.

— Czy ma to prędko nastąpić?

— Bardzo prędko, moja... To jest, panno Eyre. I proszę przypomnieć sobie, panno Jane, że kiedy pierwszy raz ode mnie czy od kogoś dowiedziałaś się, że mam zamiar na mój starokawalerski kark nałożyć świętą pętlę, wstąpić w święty stan małżeński, wziąć pannę Ingram w objęcia (Jest co objąć, naprawdę, ale to nic nie ma do rzeczy. Nie można mieć nigdy za wiele czegoś tak doskonałego jak moja piękna Blanche)... Otóż, jak mówiłem... Czy panna Jane mnie słucha? Nie odwracaj głowy, nie oglądaj się za ćmami! To była tylko biedronka, dziecko... Ot, pofrunęła do domu! Otóż chciałem ci przypomnieć, że to ty pierwsza powiedziałaś do mnie, z taktem, który tak w tobie szanuję, z tą przezornością, roztropnością i skromnością, stosowną w twej odpowiedzialnej i zależnej sytuacji, że na wypadek, gdybym się ożenił z panną Ingram, wy obie, ty i Adela, powinnyście się stąd wynieść. Pomijam, że ta uwaga rzuca pewien obraźliwy cień na charakter mojej ukochanej. Istotnie, gdy już będziesz daleko, panno Jane, będę się starał o tym zapomnieć. Zapamiętam tylko mądrość tej rady, która dała mi wskazówkę co do mojego postępowania. Adela musi pójść do szkoły, a panna Eyre musi sobie poszukać innej posady.

— Tak, panie, dam natychmiast ogłoszenie. A tymczasem, myślę... — chciałam dodać: „że mogę pozostać tutaj, aż znajdę inny dach, pod który się schronię”, lecz urwałam, nie chcąc ryzykować długiego zdania, gdyż czułam, że niezupełnie panuję nad głosem.

— Za miesiąc mniej więcej, jak sądzę, będę już żonaty — mówił dalej pan Rochester — a tymczasem sam rozejrzę się za zajęciem i schronieniem dla ciebie, panno Jane.

— Dziękuję panu. Przykro mi, że sprawiam...

— Ach, nie ma za co przepraszać! Uważam, że jeżeli pracownica spełniała swój obowiązek tak dobrze jak ty, ma prawo wymagać od pracodawcy pewnej pomocy, jeśli on ją dać może. Istotnie, już nawet słyszałem od mojej przyszłej teściowej o posiadaniu, która by może była odpowiednia: chodzi mianowicie o podjęcie się edukacji pięciu córek pani O'Gall w Bitternutt Lodge w Connaught²¹¹, w Irlandii. Spodoba ci się Irlandia, sądzę, powiadają, że ludzie są tam tacy serdeczni.

— To bardzo daleko, panie.

— Cóż to szkodzi? Dziewczyna tak rozsądna nie może się obawiać podróży ani odległości.

— Nie podróży, ale odległości. A przy tym... Morze odgradza...

— Od czego, panno Jane?

— ... od Anglii i od Thornfield, i...

— No?

— ... od *pana*, panie Rochester.

Powiedziałam to prawie mimo woli i również bez udziału wolnej woli popłynęły moje łzy. Płakałam jednak cicho, niedosłyszalnie, powstrzymywałam łkania. Myśl o pani O'Gall i Bitternutt Lodge zmroziła we mnie serce. Jeszcze bardziej myśl o tych falach morskich, które stanowić miały zaporę pomiędzy mną a moim zwierzchnikiem. Ale najbardziej bolesna była myśl o tym szerszym oceanie — oceanie bogactwa, sfery, zwyczajów — oddzielającym mnie od tego, którego całą istotą kochałam.

— To tak bardzo daleko — powtórzyłam.

— To prawda, istotnie, a gdy raz się dostaniesz do Bitternutt w Irlandii, ja ciebie już nigdy nie zobaczę, panno Jane, tego jestem najzupełniej pewny. Nigdy nie bywam w Irlandii, nie mam jakoś przekonania do tego kraju. W dobrej żyliśmy przyjaźni, nieprawdaż?

— Tak, proszę pana.

— A gdy przyjaciele są w przededniu rozstania, lubią spędzić blisko przy sobie trochę pozostałego im czasu. Pójdź! Pogawędzimy o tej podróży i o tym rozstaniu spokojnie z jakiegoś pół godzinki, podczas gdy tam na niebie gwiazdy zapalać się będą. Oto jest kasztan i ławeczka nad starymi jego korzeniami. Posiedźmy tu w spokoju dziś wieczór, choćby nie było nam sążone nigdy już zasiać razem.

Zmusił mnie, bym usiadła, i sam usiadł także.

— Daleka to droga do Irlandii, panno Jane, i mnie żal wysłać przyjaciółeczkę w tak męczącą podróż. Skoro jednakże nie mogę nic lepszego uczynić, cóż na to poradzę? Czy masz ty ze mną coś wspólnego, jak myślisz, panno Jane?

Nie mogłam się w tej chwili zdobyć na żadną odpowiedź, serce we mnie zamierało.

— Ponieważ — mówił dalej — ja niekiedy podlegam w stosunku do ciebie dziwnemu uczuciu, zwłaszcza gdy znajdujesz się blisko mnie, tak jak teraz: mam wrażenie, że gdzieś około moich lewych żeber mam umocowany sznur, silnym węzłem spojony z takimże sznurem, w takimże miejscu przytwierdzonym u ciebie. A jeżeli ten burzliwy kanał i przestrzeń tyłu mil stanie pomiędzy nami, ten łączący sznur może przerwać się, może pęknąć, a wtedy, odczuwam to nerwowo, ja zacząłbym krwawić wewnętrznie. A ty?... Ty byś mnie zapomniała.

— O, co to, to *nigdy*, proszę pana! Pan wie... — nie mogłam mówić dalej.

— Panno Jane, czy słyszysz, jak słowik tam śpiewa w lasku? Posłuchaj!

Słuchając, łkałam konwulsyjnie, gdyż już nie mogłam dłużej opanować uczuć — musiałam ulec. Dojmująca męka wstrząsała mną całą. Gdy przemówiłam, to jedynie po to, by wybuchnąć gwałtowną skargą, że w ogóle na ten świat przyszląm, że w ogóle Thornfield poznałam.

— Tak ci jest żal Thornfield porzucić?

Gwałtowność wzruszenia, pobudzona żalem i miłością, zbuntowała się we mnie, zażądała władzy, pełni lotu, prawa do życia, wzniesienia się i zapanowania nareszcie — tak, domagała się prawa głosu.

Miłość niespełniona,
Pozycja społeczna, Morze

Bunt, Miłość

²¹¹ Connaught a. Connacht — jedna z prowincji irlandzkich w zachodniej części kraju. [przypis edytorski]

— Żal mi porzucić Thornfield. Kocham Thornfield, kocham, gdyż tu żyłam życiem pełnym i błogim, chwilowo przynajmniej. Nikt mnie deptał. Nikt nie zmuszał do zaskorupiania się w sobie. Nie pogrzebano mnie z niższymi duszami, nie wykluczono od przestawiania z tym, co jasne, energiczne i wysokie. Żyłam z tym, co czczone, co nad wszystko przenoszące. Rozmawiałam z oryginalnym, potężnym, pozbawionym wszelkiej ciasnoty duchem. Poznałam pana, panie Rochester. Przeważenie i męka przejmują mnie na myśl, że koniecznie oderwać się muszę od pana na zawsze. Widzę konieczność mojego wyjazdu i jest mi tak, jak gdybym patrzyła na konieczność śmierci.

— W czym widzisz tę konieczność? — zapytał nagle.

— W czym? Pan sam ją przede mną postawił.

— W jakiej postaci?

— W postaci panny Ingram, szlachetnej i pięknej kobiety, pańskiej narzeczonej.

— Mojej narzeczonej! Jakiej narzeczonej? Ja nie mam narzeczonej.

— Ale będzie ją pan miał.

— Tak jest, będę ją miał!... Będę! — zaciął zęby.

— Więc też ja muszę odejść, sam pan to powiedział.

— Nie, musisz pozostać! Przysięgam — i tej przysięgi dotrzymam.

— A ja mówię panu, że muszę odejść! — zawołałam z uniesieniem. — Czy pan sobie wyobraża, że ja tu potrafię pozostać, stając się dla pana niczym? Czy pan mnie uważa za bezduszny automat, za maszynę bez czucia? Sądzi pan, że potrafiłabym znieść, gdyby mi mój kęs chleba wydzierano od ust i kroplę żywej wody wytrącano z czary? Ponieważ jestem biedna, nieznaną, nieładną i małą, myśli pan, że i duszy we mnie nie ma ani serca? O, jak się pan myli! Mam duszę, jak i pan, i także serce! Nie zwracam się teraz do pana tak, jakby nakazywał zwyczaj czy konwenans światowy, ale jak wolny duch do wolnego ducha, tak jak gdybyśmy, przeszedłszy przez śmierć i przez grób, stali przed Bogiem równi, bo i równi przecież jesteśmy!

— Równi jesteśmy? — powtórzył pan Rochester. — O, tak — dodał, obejmując mnie ramionami, przygarniając do piersi i przyciskając usta do moich ust. — Tak, Jane!

— Tak, panie — odpowiedziałam — a jednak nie tak, gdyż pan jest człowiekiem żonatym... Czy tak jakby żonatym. I to z kobietą niższą od pana, z którą pan nie ma nic wspólnego, którą nie wierzę, by pan kochał prawdziwie, gdyż widziałam i słyszałam, jak pan z niej drwił. Ja bym wzgardziła takim związkiem, dlatego uważam się za lepszą od pana. Niech mnie pan puści!

— Dokąd się wybierasz, Jane? Czy do Irlandii?

— Tak, do Irlandii. Wypowiedziałam to, co mam na sercu, a teraz mogę się udać gdziekolwiek.

— Jane, uspokój się. Nie wrywaj się jak dziki, oszalały ptak, który łamie własne pióra, miotając się w sieci.

— Nie jestem ptakiem, żadna sieć mnie nie więzi. Jestem wolną, ludzką istotą o niezależnej woli, a ta wola posłuży mi do opuszczenia pana.

Jeszcze jednym wysiłkiem uwolniłam się z jego objęć i stałam przed nim wyprostowana.

— Niechże twoja wola decyduje o twoim losie — powiedział. — Ofiaruję ci rękę swoją, serce i udział we wszystkim, co posiadam.

— Gra pan fałszem, z której ja się tylko śmieję.

— Proszę cię, byś spędziła życie przy moim boku, byś była drugim moim ja, moim najlepszym towarzyszem na ziemi.

— Do tej roli już pan uczynił wybór i musi przy nim pozostać.

— Jane, ucisz się na chwilę, jesteś nadmiernie rozdrażniona. I ja także będę milczał.

Powiew wiatru przeleciał wzdłuż ścieżki, zatrząsał gałęzmi kasztana i odleciał precz, w nieokreśloną dą, gdzie zamarł. Śpiew słowika był jedynym głosem rozlegającym się o tej godzinie. Słuchając go, rozplakałam się znowu. Pan Rochester siedział spokojnie, patrząc na mnie łagodnie i poważnie. Jakiś czas upłynął, zanim przemówił. Na koniec rzekł:

— Usiądź tu przy mnie, Jane. Wytłumaczmy sobie wszystko i zrozumiemy się wzajemnie.

Miłość, Wolność, Bunt,
Pozycja społeczna, Dusza

Wolność, Ptak, Kondycja
ludzka, Kobieta, Męczyzna

Miłość spełniona

— Ja już nigdy przy panu nie usiądę, oderwałam się i nie mogę powrócić.
— Ależ, Jane, ja ciebie proszę, zechciej być moją żoną. Ja tylko z tobą zamierzam się ożenić.

Milczałam. Myślałam, że żartuje ze mnie.

— Przyjdź, Jane, przyjdź tu bliżej.

— Narzeczona pańska stoi między nami.

Wstał i jednym susem znalazł się przy mnie.

— Tu jest moja narzeczona — rzekł, przyciskając mnie znów do siebie — Ponieważ tu jest człowiek mi równy, człowiek mi podobny. Jane, chcesz być moją żoną?

Ja wciąż jeszcze nie odpowiadałam, wciąż jeszcze wyrывałam się z jego objęcia, gdyż nie dowierzałam mu nadal.

— Czy powątpiewasz o mnie, Jane?

— Tak, panie.

— Nie wierzysz mi?

— Ani trochę.

— Czyż ja jestem kłamcą w twoich oczach? — zawołał namiętnie. — Ty mała sceptyczko, ja ciebie *muszę* przekonać. Jakaż ja miłość odczuwam dla panny Ingram? Żadnej. I ty o tym wiesz. Jakaż miłość ma ona dla mnie? Żadnej, przekonałem się o tym. Postarałem się, by doszła ją pogłoska, że mój majątek nie wynosi nawet trzeciej części tego, co przypuszczają, a potem stawilem się przed nią, by stwierdzić rezultat. Spotkało mnie oziębłe przyjęcie ze strony jej i jej matki. Nie chciałem, nie mógłbym ożenić się z panną Ingram. Ty... Ty dziwne, ty prawie nieziemskie stworzenie! Ciebie kocham jak własną duszę. Ciebie, biedną i nieznaną, małą i nieładną, bo taką jesteś. Ciebie błagam, byś przyjęła mnie za męża.

— Jak to mnie?! — zawołałam, zaczynając wierzyć w jego szczerłość wobec powagi, zwłaszcza wobec jego niegrzeczności. — Mnie, która na całym świecie nie ma przyjaciela, prócz pana, jeśli pan nim jest, która nie ma ani jednego grosza poza tym, co pan mi płaci?

— Ty, Jane, ty musisz być moja, zupełnie moja. Czy chcesz być moja? Odpowiedz, że chcesz, odpowiedz prędko!

— Panie Rochester, niech mi pan pozwoli popatrzeć w swoją twarz, niech się pan obróci do księżycy.

— Dlaczego?

— Ponieważ chcę czytać myśli w pańskiej twarzy. Niech się pan obróci!

— Proszę! Nie będzie ona bardziej czytelna niż zgnieciona, zagryziona kartka. Czytajże, tylko śpiesz się, bo ja cierpię.

Twarz jego była wielce wzburzona i bardzo mocno zarumieniona. Przebiegały po niej silne skurcze i dziwne błyski miał w oczach.

— O Jane! Jak ty mnie męczysz! — zawołał. — Swoim badawczym, a jednak wiernym i szlachetnym spojrzeniem dręczysz mnie!

— Jak to być może! Jeśli pan jest szczerzy, a propozycja jego uczciwa, ja dla pana mogę czuć tylko wdzięczność i serdeczne oddanie. To przecież dręczyć nie może!

— Wdzięczność! — zawołał i dodał gwałtownie: — Jane, przyjmij mnie prędko. Powiedz: Edwardzie... Po imieniu mi powiedz: Edwardzie, będę twoją żoną.

— Czy pan serio mówi? Czy pan mnie naprawdę kocha? Czy pan szczerze pragnie mieć mnie za żonę?

— Tak jest. A jeżeli dla upewnienia cię potrzeba ci przysięgi, tedy przysięgam ci.

— Jeśli tak, panie, będę pańską żoną...

— Żoneczko moja! Nazwij mnie: Edwardzie!

— Edwardzie drogi!

— Przyjdź do mnie... Przyjdź do mnie, jedyna moja — powiedział i dodał tonem głęboko wzruszonym, z twarzą przytuloną do mojej: — Daj mi szczęście, a będę dbał o twoje.

— Niech Bóg mi przebaczy! — dorzucił niebawem — a człowiek niech się do mnie nie wtrąca: moją jest i już jej nie oddam.

— Któż by się mógł wtrącać, panie? Ja nie mam krewnych, którzy by się do moich spraw mieszać mogli.

— Nie. I to właśnie jest najlepsze — odparł.

Oświadczyły

Gdybym mniej go kochała, akcent jego i ten wyraz triumfalnej radości byłby mi się wydał niesamowity. Siedząc jednak przy nim, obudzona z tej straszliwej zmyry rozstania, czując, że raj mi się otwiera, myślałam tylko o tym szczęściu, którym się połam. On raz po raz zapytywał:

— Czy jesteś szczęśliwa, Jane?

— O tak! — odpowiadałam za każdym razem.

Wtedy on szepnął:

— To odkupi!... To odkupi! Czyż nie znalazłem jej sierotę, bez przyjaciół, zmrożoną, niepocieszoną? Czyż nie będę jej strzegł i miłował ją, i pocieszał? Przecież miłość jest w sercu moim, stałość w mych postanowieniach. To zadośćuczyni przed trybunałem Najwyższego. Wiem, że Stwórca mój zezwala na ten czyn. Nie dbam o sąd świata. Opinii ludzkiej stawię czoło.

Ale co się działo tej nocy? Księżyc jeszcze nie zaszedł, a nas objął cień zupełny. Zaledwie mogłam dojrzeć twarz pana Rochester, chociaż tak blisko siedziałam. A co wyprawiał ten kasztan? Wił się, szumiał i jęczał, gdy wiatr hulał wzdłuż ścieżki i ogarniał nas potężnym tchnieniem.

— Musimy wracać — powiedział pan Rochester. — Nadchodzi burza. Mógłbym tak przesiedzieć z tobą, Jane, aż do rana.

„I ja również z tobą” — pomyślałam. Byłabym to może nawet powiedziała, gdyby nie to, że sina, jaskrawa iskra wyskoczyła z chmury, na którą właśnie patrzyłam, i rozległ się łoskot bliskiego pioruna, przeto tylko olśnione oczy schowałam na ramieniu pana Rochester.

Lunał deszcz. Pan Rochester śpiesznie poprowadził mnie wzdłuż ścieżki, przez ogród, do domu. Zanim jednakże przestąpiliśmy próg, byliśmy przemoczeni do nitki. Właśnie pan Rochester zdejmował ze mnie szal w sieni i wytrząsał wodę z moich rozpuszczonych włosów, gdy pani Fairfax wysunęła się z pokoju. Nie zauważyłam jej zrazu, nie zauważył też jej pan Rochester. Lampa paliła się w hallu. Zegar właśnie miał bić dwunastą.

— Śpiesz się zdjąć przemoczone ubranie — rzekł — a zanim pójdziesz, dobranoc ci, dobranoc, moje kochanie!

Ucałował mnie kilkakrotnie. Gdy podniosłam oczy, wysuwając się z jego objęcia, ujrzałam stojącą tuż obok wdowę — bladą, poważną i zdumioną. Uśmiechnęłam się tylko do niej i pobiegłam na górę. „Na wytłumaczenie musi jeszcze poczekać” — pomyślałam. A jednak, gdy dotarłam do swego pokoju, zrobiło mi się przykro, że ona, chociaż chwilowo, może źle zrozumieć to, co widziała. Radość jednakże zatarła wszelkie inne uczucia i chociaż głośno dął wicher, choć blisko i potężnie huczały grzmoty, często i strasznie błyskały pioruny, a ulewa lała strumieniem przez dwie godziny trwającej burzy, nie doświadczałam strachu ani uczucia grozy. Pan Rochester trzy razy podchodził do moich drzwi i pytał, czy czuję się spokojna, a to było pociechą i dawało mi siłę przemóc obawę.

Rano, zanim jeszcze wstałam, Adela wbiegła, by mi powiedzieć, że piorun tej nocy uderzył w wielki kasztan na końcu sadu i rozdarł go na dwoje.

ROZDZIAŁ XXIV

Wstając i ubierając się, rozmyślałam nad tym, co się stało, i pytałam siebie, czy to wszystko sen. Nie mogłam być pewna rzeczywistości, dopóki bym znów nie zobaczyła pana Rochester i z ust jego nie usłyszała wznowionych słów miłości i zapewnienia.

Układając włosy, przypatrzyłam się swej twarzy w zwierciadle i przekonałam się, że już nie jest brzydka: promieniała nadzieją, zabarwiło ją ożywienie, oczy jaśniały jakimś nowym blaskiem. Niechętnie niekiedy patrzyłam na mojego zwierchnika, w obawie, że mój wygląd nie może mu się podobać, ale teraz byłam pewna, że mogę śmiało wznieść ku niemu twarz, gdyż jej wyraz nie ostudzi jego przywiązania. Wyjęłam z komody prostą, ale czystą i jasną letnią sukienkę i włożyłam ją. Zdawało mi się, że nigdy w żadnej sukni tak dobrze mi nie było, ale też żadnej nie miałam na sobie w tak szczęśliwym będąc usposobieniu.

Nie zdziwiło mnie to bynajmniej, gdy zbiegłszy na dół do hallu, ujrzałam, że po nocnej burzy nastąpił słoneczny, czerwcowy ranek i że przez otwarte, szklane drzwi zalatuje świeży, wonny wietrzyk. Natura musi być radosna, kiedym ja taka szczęśliwa. Ścieżką ku

Natura, Burza, Noc

Burza, Miłość

Szczęście

domowi szła żebraczka z chłopczykiem, oboje bladzi, obszarpani. Pobiegłam ku nim i dałam im wszystkie pieniądze, jakie miałam przy sobie — jakieś trzy czy cztery szylingi. Czy oni źli czy dobrzy, niechże się cieszą w to moje wielkie święto. Wrony krakały, śpiewały weselsze ptaki, ale nic nie dorównywało szczęściem memu rozradowanemu sercu.

Zaskoczyła mnie pani Fairfax, wyglądając z okna z twarzą smutną i mówiąc poważnie:

— Panno Eyre, czy pani nie przyjdzie na śniadanie?

Podczas śniadania była spokojna i chłodna, ja jednak jeszcze nie mogłam wywieść jej z błędu. Musiałam czekać, aż pan Rochester da jej wyjaśnienia, poczekać też musiała i ona. Zjadłszy, pośpieszyłam na górę. Spotkałam Adelę, wychodzącą ze szkolnego pokoju.

— Dokąd idziesz? Czas już zacząć lekcje.

— Pan Rochester kazał mi iść do dziecinnego pokoju.

— Gdzie jest pan Rochester?

— Tutaj — i wskazała drzwi szkolnego pokoju.

Weszłam i oto on stał przede mną.

— Pójdź, powiedz mi „Dzień dobry” — rzekł.

Zbliżyłam się ochoczo i teraz nie chłodne słowo, nie uścisk ręki nawet stał się moim udziałem, ale uścisk i pocałunek. Takie się to wydawało naturalne i tak słodka była miłość jego i pieszczota!

— Jane, świetnie wyglądasz, taka uśmiechnięta i ładna, doprawdy ładna dziś rano — powiedział. — Czy to moja blada rusaleczka? Czy to moje ziarno gorczyczne? To małe, słoneczne dziewczątko z dołeczkami na twarzyczce, z różowymi usteczkami, jak atlas gładziuchnym, kasztanowatym włosom i promiennymi, orzechowymi oczami? (Miałam zielone oczy, czytelniku, ale trzeba mu darować pomyłkę, widocznie dzisiaj przedstawiało mu się niejedno w innych kolorach).

— To jest Jane Eyre, mój panie.

— A wkrótce Jane Rochester — dodał. — Za cztery tygodnie, Jane, nie później ani o dzień. Czy słyszysz?

Słyszałam i nie mogłam tego zupełnie pojąć, kręciło mi się w głowie. Uczucie, wzbudzone we mnie tym oświadczeniem, było czymś silniejszym niż sama radość — czymś, co wstrząsało i oguszało, był to nieledwie strach.

— Zarumieniłaś się, a teraz zbladłaś, Jane. Dlaczego?

— Ponieważ nadał mi pan nowe nazwisko: Jane Rochester, a to wydaje się tak dziwne.

— Tak, pani Rochester — powtórzył. — Młoda pani Rochester, młoda żona Fairfaxa Rochester.

— To nigdy stać się nie może, panie, to nie brzmi prawdopodobnie. Zupełne szczęście nigdy nie staje się udziałem ludzi na tym świecie. Czyż miałoby mi być sążone inne przeznaczenie niż reszcie mojego rodzaju? Wyobrazić sobie, żeby miał mnie spotkać los taki, to bajka, to sen na jawie.

— Który ja mogę urzeczywistnić i urzeczywistnię, zaczynając zaraz dzisiaj. Napisałem rano do mojego bankiera w Londynie, by wysłał mi pewne klejnoty, które ma na przechowaniu, dziedzictwo dla pań na Thornfield. Za dzień lub dwa, mam nadzieję, będę ci je mógł wysypać na kolana, gdyż każdy przywilej, każdy hołd, który bym złożył u stóp córki para²¹², gdybym się z nią żenił, będzie twoim.

— O panie!... Dajmy pokój klejnotom! Nie lubię słuchać, gdy się o nich mówi. Klejnoty dla Jane Eyre to brzmi tak nienaturalnie i dziwnie, ja wolę ich nie mieć.

— Sam ci kolię brylantową założę na szyję i diadem na czoło, gdzie będzie odpowiedni, gdyż natura sama wycisnęła piętno szlachectwa na tym czole, Jane. I zapnę ci bransolety dokoła tych delikatnych rączek, i te drobne paluszki obciążę pierścionkami.

— Nie, panie, nie! Myśl o czymś innym i mów o czymś innym. I w innym tonie. Nie przemawiaj do mnie, jak gdybym była piękną. Jestem tylko skromną, kwakerską nauczycielką.

— Jesteś piękną w moich oczach, piękną wedle pragnień mego serca, delikatną i zwiewną.

— Nikłą i nic nieznaczącą, chce pan powiedzieć. Pan śni albo pan szydzi. Na miłość boską, niech się pan nie bawi w ironię!

²¹²par — członek brytyjskiej Izby Lordów. [przypis edytorski]

— Sprawię, że i świat także uzna cię za piękność — ciągnął dalej, podczas gdy mnie istotnie nieswojo było z jego tonem, gdyż czułam, że albo sam się ludzi, albo mnie chce ludzić. — Ubiorę moją Jane w atłasy i koronki i będzie nosiła róże we włosach, i nakryję ukochaną głowę bezcennym welonem.

— A wtedy mnie pan nie pozna i nie będę już twoją Jane Eyre, lecz małpką w kurtce arlekina. Równie przykro byłoby mi widzieć pana w szychowym²¹³, aktorskim przebraniu, jak siebie w dworskiej toalecie. I nie nazywam pana ładnym, choć Kocham pana tak serdecznie, o wiele za serdecznie, by panu pochlebiać. Niechaj mi pan nie pochlebia.

On jednakże ciągnął swoje dalej, nie zważając na moje prośby.

— Dziś jeszcze zawiozę cię powozem do Millcote i musisz sobie wybrać kilka sukien. Powiedziałem ci, że pobierzemy się za cztery tygodnie. Ślub odbędzie się cicho, w tym oto kościele, a wtedy od razu cię porwę do miasta. Po krótkim pobycie zawiozę mój skarb w strony bliższe słońca, ku francuskim winnicom, ku włoskim płaszczynom. I Jane zobaczy, co jest sławnego w historii starożytnej i w nowszych dziejach, pokosztuje także życia miast i nauczy się cenić siebie przez sprawiedliwe porównanie z innymi.

— Będę podróżowała? Z panem?

— Będziesz przebywała w Paryżu, Rzymie i Neapolu²¹⁴, we Florencji²¹⁵, Wenecji²¹⁶ i Wiedniu. Całą przestrzeń, którą ja przewędrowałam, ty przemierzysz swoimi krokami. Gdzie ja odcisnąłem moje kopyto, tam i ty twoją nóżkę sylfa²¹⁷ postawisz. Dziesięć lat temu przeleciałem przez Europę na wół szalony, niesmak, nienawiść i wściekłość mając za towarzyszy. Teraz odwiedzę ją znów, uzdrowiony i oczyszczony, z prawdziwym aniołem w roli pocieszyciela.

Rozśmiałam się, gdy to powiedział.

— Nie jestem aniołem — oświadczyłam — i nie będę aniołem, póki życia, będę tylko sobą. Panie Rochester, niech się pan po mnie nie spodziewa ani niech pan ode mnie nie wymaga nic niebiańskiego, gdyż się pan tego nie doczeka, tak jak ja się tego nie doczekam od pana. I wcale się też tego nie spodziewam.

— A czego ty się po mnie spodziewasz?

— Przez bardzo krótki czas będzie pan może takim jak teraz, przez bardzo krótki czas. A potem pan ostygnie, stanie się pan kapryśny, będzie pan poważny i surowy, a ja będę miała dużo kłopotu, chcąc panu dogodzić. Gdy się pan jednak dobrze do mnie przyzwyczai, może mnie pan znów polubi. *Polubi* mówię, nie *pokocha*. Przypuszczam, że miłość pańska wypali się w sześć miesięcy, może prędzej. Czytałam w książkach, pisanych przez mężczyzn, że to najdalszy kres, do jakiego sięga zapal miłosny męża. Jednak pomimo wszystko, jako przyjaciółka i towarzyszka, mam nadzieję, że nigdy nie stanę się niemila mojemu drogiemu panu.

— Niemila! I polubić cię znowu! Ja myślę, że będę cię lubił i lubił, i lubił, i będziesz mi musiała przyznać, że nie tylko cię *lubię*, ale *kocham*. Prawdziwie, gorąco, stale.

— Ale czy nie jest pan kapryśny, panie drogi?

— Względem kobiet, które podobają mi się z twarzy jedynie, potrafię być diabłem wcielonym, gdy odkryję, że nie mają ani serca, ani duszy i że czeka mnie z ich strony płaskość, pospolitość, a może głupota, ordynarność i zły humor. W stosunku jednak do kogoś, kto jasne ma oko i wymowny język, gorącą duszę i charakter, który się nagina, ale nie łamie, giętki zarazem i stały... W stosunku do kogoś takiego jestem zawsze tkliwy i wierny.

— Czy spotkał się pan kiedyś z takim charakterem? Czy kochał pan kiedyś kogoś takiego?

— Kocham teraz.

— Ale przede mną. Czyż ja rzeczywiście odpowiadam pańskim trudnym wymaganiom?

— Nie spotkałem nigdy nikogo podobnego do ciebie, Jane, ty mi się podobasz i ty nade mną panujesz. Ulegasz na pozór, a mnie jest tak miłe to poczucie twojej ustepli-

²¹³*szychowy* (daw.) — odnoszący się do szychu, czyli pozornej świetności. [przypis edytorski]

²¹⁴*Neapol* — miasto na południu Włoch, stolica regionu Kampania. [przypis edytorski]

²¹⁵*Florencja* — włoskie miasto, stolica regionu Toskania. [przypis edytorski]

²¹⁶*Wenecja* — włoskie miasto, stolica regionu Wenecja Euganejska. [przypis edytorski]

²¹⁷*syf* — średniowieczny duch powietrza o czystej duszy. [przypis edytorski]

wości. Jednak podczas gdy owijam dokoła palca delikatną nić jedwabną, słodki dreszcz płynie od niej i przenika mi wprost do serca. Jestem pod twoim wpływem, jestem zwyciężony, a wpływ to nad wyraz słodki. Porażka, której doświadczam, ma w sobie urok czarowny, któremu nie dorównałby żaden triumf. Dlaczego się uśmiechasz, Jane? Co znaczy ta niezrozumiała, tajemnicza minka?

— Myślałam, panie (proszę mi darować tę myśl mimowolną), myślałam o Herkulesie²¹⁸ i o Samsonie²¹⁹, i o ich uwodzicielkach...

— Myślałaś o tym, ty mała...

— Cicho, panie! Nie bardzo to mądre było, co pan przed chwilą mówił, tak jak i tamci panowie niemądrze postępowali. Gdyby się jednakże byli poženili, pewną surowością małżonków byliby wynagrodzili sobie uległość kochanków. I z panem, lękam się, będzie to samo. Chciałabym wiedzieć, jakby mi pan odpowiedział za rok, gdybym poprosiła o łaskę, której byłoby panu niedogodnie albo nieprzyjemnie udzielić.

— Poproś mnie o cokolwiek teraz, Jane, choćby o jakąś drobnostkę. Pragnąłbym, żebyś mnie poprosiła...

— I owszem, chętnie poproszę, mam już gotową prośbę.

— Mów! Ale jeżeli będziesz patrzeć i uśmiechać się w ten sposób, ja gotów jestem z góry przysiąc, że cię posłucham jak ostatni głupiec.

— Ależ bynajmniej, panie Rochester, ja proszę tylko o to: niech pan nie posyła po te klejnoty, niech pan nie wieńczy mnie różami. Mógłby pan równie dobrze złotą koronką obszyć tę oto swoją prostą chustkę do nosa.

— Mógłbym równie dobrze „złocić czyste złoto”. Ja wiem. Prośbę twoją wysłuchano zatem ... Na razie. Cofnę zlecenie, wysłane mojemu bankierowi. Ale tyś mnie jeszcze o nic nie poprosiła, prosiłaś tylko, bym cofnął dar. Proś dalej.

— Dobrze więc, niech pan będzie tak dobry zaspokoić moją ciekawość, bardzo podrażnioną na pewnym punkcie.

— Co? Co? — podchwycił śpiesznie. Wyglądał na zaniepokojonego. — Ciekawość to rzecz niebezpieczna. Dobrze, że nie ślubowałem zgodzić się na każdą prośbę...

— Ależ, panie, tu nic nie grozi, choćby się pan zgodził.

— Powiedz więc, czego sobie życzysz, Jane. Wolałbym jednak, żebyś zamiast dopytywać może o jakąś tajemnicę, zażądała ode mnie połowy mojego majątku.

— Ależ królu Ahaswerusie²²⁰! Na cóż mi połowa twojego majątku? Czy pan myśli, że ja jestem żyd lichwiarz, szukający dobrej lokaty w ziemi? Wolę posiąść całe pańskie zaufanie. Przecież nie odmówi mi pan zaufania, dawszy mi swoje serce?

— Bierz całe moje zaufanie, które jest warte brania, Jane, ale na miłość boską nie pragnij niepotrzebnego ciężaru! Nie sięgaj po truciznę i nie poddawaj mnie zbyt ciężkiej próbie.

— Dlaczego nie, panie drogi? Właśnie mi pan opowiadał, jak bardzo pan lubi być zwyciężony, jak panu przyjemnie dać się przekonać. A gdybym tak skorzystała z tego wyznania, gdybym tak zaczęła naprzykrzać się i błagać, w razie potrzeby nawet dęsać się i płakać, po prostu dla wypróbowania swojej władzy?

— Spróbuj tylko. Żądam za wiele, wymagaj, a skończy się zabawa.

— Doprawdy? O, jak pan prędko daje za wygraną! Jakże surowo wygląda pan teraz. Grube brwi zbiegły się razem, a na czole zalega coś, co w poezji nazwano „piorunową chmurą”²²¹. Czy taka będzie mina pańska po ślubie?

— Jeżeli taka będzie *twoja* mina po ślubie, to ja, jako chrześcijanin, wyrzeknę się przestawania z jakąś taką wodnicą czy chochlikiem. Ale cóż to chciałaś wiedzieć, moje ty stworzonko? No, dalej... Gadaj!

²¹⁸*Herkules* — w mitologii rzymskiej jeden z herosów; w greckiej wersji mitu jego „uwodzicielka” to Dejanira. [przypis edytorski]

²¹⁹*Samson* — ostatni z Sędziów opisanych w Starym Testamencie; jego „uwodzicielka” to Dalila. [przypis edytorski]

²²⁰*Ahaswerus* — według Biblii król perski, jeden z bohaterów *Księgi Estery*, identyfikowany z Kserksesem. [przypis edytorski]

²²¹*piorunowa chmura* (ang. *blue-piled thunderloft*) — zwrotu tego użył szkocki poeta, Thomas Aird (1802–1876), w utworze *The Demoniac*. [przypis edytorski]

— Otóż to, teraz jest pan mniej niż grzeczny, a ja o wiele wolę szorstkość od pochlebstwa. Wolę być *stworzonkiem* aniżeli aniołem. Zapytać zaś chciałam o to: dlaczego tak się pan silił na wmówienie we mnie, że pan pragnie ożenić się z panną Ingram?

— Tylko tyle? Dzięki Bogu, że to nic gorszego! — Rozjaśniła mu się twarz, uśmiechnęła się do mnie i pogładził mnie po głowie, jak gdyby rad, że jakieś niebezpieczeństwo zostało odsunięte. — Sądzę, że mogę wyznać — mówił dalej — chociaż może trochę cię oburzę, Jane, a ja widziałem, jakim żarem potrafisz wybuchnąć, gdy się oburzasz. Płonęłaś cała w ową chłodną noc księżycową wczoraj, gdy podniosłaś bunt przeciwko losowi i domagałaś się równości ze mną. Jane, ale nawiasem mówiąc, to ty mi się oświadczyła!

— Wiem o tym, to prawda. Ale, jeżeli łaska, do rzeczy, mój panie... Panna Ingram?

— No cóż, udawałem, że się staram o pannę Ingram, ponieważ chciałem cię tak szalenie rozkochać w sobie, jak sam się szalenie w tobie kochałem, a wiedziałem, że zazdrość będzie mi najlepszym sprzymierzeńcem w osiągnięciu tego celu.

— Doskonale! A oto jaki pan mały! Przecież to skandal! Przecież to wstyd i hańba postępować w ten sposób. I nic się pan nie liczył z uczuciami panny Ingram?

— U niej wszelkie uczucia zastępuje pycha, a tę warto upokorzyć. Czy byłaś zazdrosna, Jane?

— Mniejsza z tym, panie Rochester, co panu po tej wiadomości? Niech mi pan jeszcze raz szczerze odpowie. Czy pan myśli, że panna Ingram nie będzie cierpiała skutkiem pańskiej nieuczciwej kokieterii? Czy nie będzie się czuła opuszczona i porzucona?

— To niemożliwe!... Przecież ci już powiedziałem, że przeciwnie, to ona mnie opuściła. Myśl o moim zadłużeniu ostudziła, a raczej zgasiła sentyment od razu.

— Ciekawą pan uknuł intrygę. Boję się, że pańskie zasady w niektórych punktach nieco szwankują.

— Jane, moje zasady nigdy nie były kształcone. Być może, że wykoślawiły się nieco z braku należytego kierunku.

— Jeszcze raz mówmy serio. Czy ja mogę cieszyć się tym wielkim szczęściem, jakie się stało moim udziałem, bez obawy, że ktoś inny cierpi tak gorzko, jak ja cierpiałam niedawno?

— Możesz, możesz, dziewczątko moje dobre. Nie ma na świecie istoty, która by mnie taką czystą miłością darzyła jak ty, bo to słodkie przeświadczenie noszę w duszy: wiarę w twoje uczucia, Jane.

Dotknęłam ustami ręki, która spoczywała na moim ramieniu. Kochałam go bardzo — więcej, niż słowami odważyłabym się wypowiedzieć, więcej, niżby słowa zdołały wyrazić.

— Załadaj jeszcze czegoś — rzekł po chwili. — To dla mnie największa przyjemność, gdy mnie prosisz, a ja ci ulegam.

Miałam znów gotową prośbę.

— Niech pan o swoich zamiarach powie pani Fairfax, ona mnie widziała z panem dziś w nocy w hallu i była zgorzozna. Niech jej pan wszystko wytłumaczy, zanim się z nią znów zobaczę. Przykro mi, że taka dobra kobieta fałszywie mnie sądzi.

— Idź do swego pokoju i włóż kapelusz — odpowiedział. — Chcę, byś dziś rano towarzyszyła mi do Millcote. A gdy będziesz się przygotowywała do przejażdżki, ja staruszka wszystko wyjaśnię. Co ona sobie wyobraziła, Jane?

— Myślę, że wyobraziła sobie, iż ja zapomniałam o mojej pozycji, a pan o swojej.

— Pozycja! Pozycja! Twoja pozycja jest w moim sercu, a biada tym, którzy by chcieli obrazić ciebie, teraz czy kiedykolwiek. Idź.

Ubrałam się szybko. Skoro zaś tylko usłyszałam, że pan Rochester wychodzi z saloniku pani Fairfax, pośpieszyłam tam czym prędzej. Staruszka czytała właśnie swój ranny ustęp *Pisma Świętego*, naukę na ten dzień. *Biblia* leżała przed nią otwarta, na niej spoczywały okulary. O tym zajęciu, przerwany wizytą pana Rochester, widocznie zapomniała. Oczy jej, utkwione w pustą ścianę naprzeciw, wyrażały zdumienie spokojnej duszy, poruszonej niezwykle wiadomością. Ujrawszy mnie, obudziła się niejako, usiłowała uśmiechnąć się i nawet zdobyła się na kilka słów powinszowania. Jednakże uśmiech zgasł, a zdanie niedokończone przerwała. Odłożyła okulary, zamknęła *Biblię* i odsunęła fotel od stołu.

Pozycja społeczna

— Taka jestem zdziwiona — zaczęła — że sama nie wiem, co mam pani, panno Eyre, powiedzieć. Przecież chyba nie śniło mi się... Czyżby? Czasami zdarza mi się, że się zdrzemnę, gdy jestem sama i przywidują mi się rzeczy, które się wcale nie zdarzyły. Zdawało mi się nieraz, gdy się tak zdrzemnęłam, że mój kochany mąż, który umarł piętnaście lat temu, przyszedł i usiadł koło mnie, a nawet, że słyszałam, jak mówił do mnie po imieniu: Alice, tak jak za życia. A teraz może mi pani powiedzieć, czy to istotnie prawda, że pan Rochester oświadczył się i chce się z panią żenić? Niech się pani ze mnie nie śmieje. Ale mnie się rzeczywiście zdawało, że on tu wszedł pięć minut temu i powiedział, że za miesiąc będzie pani jego żoną.

— Mnie to samo powiedział — odparłam.

— Naprawdę? I pani mu wierzy? I przyjęła go pani?

— Tak jest.

Spojrzała na mnie oszołomiona.

— Nigdy bym tego nie przypuszczała. To dumny człowiek. Wszyscy Rochesterowie byli dumni, a jego ojciec przy tym lubił pieniądze. I o nim także zawsze mówiono, że jest wyrachowany. Więc on zamierza ożenić się z panią?

— Tak mnie zapewnia.

Przyjrzała mi się od stóp do głów. Wyczytałam z jej oczu, że nie znalazła w mojej postaci dostatecznego uroku na wytłumaczenie tej zagadki.

— To przechodzi moje pojęcie! — ciągnęła dalej. — Ale oczywiście musi być prawdą, skoro pani to mówi. Co z tego wyniknie, nie umiałabym powiedzieć, rzeczywiście nie wiem. Równość pozycji i majątku bywa pożądana w takich wypadkach, a przy tym zachodzi tutaj różnica wieku prawie dwudziestu lat... Pan Rochester mógłby nieledwie być pani ojcem.

— Nie, doprawdy, pani Fairfax! — zawołałam podrażniona. — Nic podobnego! Pan Rochester wcale na mego ojca nie wygląda! Nikt, kto by nas razem widział, nie przypuściłby tego przez chwilę. Pan Rochester wygląda tak młodo i jest taki młody jak niejeden mężczyzna dwudziestopięcioletni.

— Czy on rzeczywiście z miłości chce się z panią żenić? — zapytała.

Tak mnie dotknęła swoim chłodem i wåtpliwościami, że mi łzy stanęły w oczach.

— Bardzo mi żal, że pani przykrość sprawiam — ciągnęła dalej wdowa. — Ale pani taka młoda i tak mało zna mężczyzn, że chciałabym panią przestrzec. Stare to przysłowie, że „Nie wszystko złoto, co się świeci”, a w tym wypadku boję się, by się coś nie znalazło, co byłoby różne od tego, czego się spodziewamy.

— Dlaczego? Czy ja jestem takim potworem? — rzekłam. — Czy to niemożliwe, żeby pan Rochester mógł mieć do mnie szczerę przywiązaną?

— Nie, pani jest bardzo miła i sporo pani wyładniała w ostatnich czasach, a pan Rochester z pewnością ma dla pani uczucie. Zawsze uważałam, że jest pani jakoś jego ulubienicą. Zdarzało się niekiedy, że ze względu na pani dobro niepokoiły mnie trochę te okazywane pani względy i miałam ochotę przestrzec panią. Było mi jednak niemiło nawet o możliwości czegoś złego napomknąć. Wiedziałam, że myśl taka dotknęłaby panią, może by obraziła. A pani była tak taktowna, tak prawdziwie skromna i rozumna, że sądziłam, iż można pani zaufać, że się pani sama potrafi ochronić. Wczorajszej nocy... Nie umiem pani powiedzieć, co przecierpiałam, szukając pani po całym domu i nie mogąc znaleźć ani pani, ani pana. A potem, o dwunastej, widząc panią wracającą z nim razem...

— No, już mniejsza z tym — przerwałam niecierpliwie. — Wystarczy, że wszystko jest w porządku.

— Spodziewam się, że wszystko w końcu będzie w porządku — powiedziała. — Ale proszę mi wierzyć, ostrożność jest tu konieczna. Niech pani się stara trzymać pana Rochester'a z daleka, niech pani sobie, zarówno jak jemu, nie ufa. Panowie z jego sfery nie mają zwyczaju żenić się z nauczycielkami.

Zaczęło mnie to doprawdy irytować. Na szczęście wbiegła Adela.

— Tak bym chciała, tak bym chciała pojechać do Millcote! Pan Rochester nie chce mnie wziąć, chociaż jest tyle miejsca w tym nowym powozie. Niech go pani poprosi, żeby mnie zabrał, *mademoiselle!*

— Owszem, poproszę, Adelo!

Małżeństwo, Pozycja społeczna, Obraz świata

I pobiegłam z nią, rada, że mogę pożegnać moją posępną mentorkę. Powóz był gotów, zajeżdżał właśnie przed front domu, a pan Rochester przechadzał się tam i z powrotem po bruku. Pilot za nim.

— Adela może mi towarzyszyć, nieprawdaż, proszę pana?

— Powiedziałem jej, że nie. Nie potrzeba mi bębnów!... Chcę jechać tylko z panią.

— Niech ją pan zabierze, jeśli pan łaskaw, panie Rochester! Tak będzie lepiej.

— Nie będzie lepiej, będzie nas krępowała.

Apodyktycznie wyglądał, apodyktyczny był jego głos. Chłód przestróg pani Fairfax i jej wątpliwości czułam jeszcze w sobie, niepewność zaciążyła nad moimi nadziejami. Opuszczało mnie poczucie władzy nad nim. Już byłam gotowa automatycznie posłuchać, nie upierając się dłużej, on jednak, pomagając mi wsiąść do powozu, spojrzął na moją twarz.

— Co się stało? — zapytał. — Cała słoneczność gdzieś się podziała. Czy rzeczywiście życzysz sobie, żeby ta mała pojechała? Czy sprawi ci to przykrość, jeżeli zostanie w domu?

— Wolalabym, żeby mogła pojechać.

— A więc lećże po kapeluszu i wracaj piorunem! — krzyknął na Adelę.

Mała popędziła co sił.

— Ostatecznie jeden ranek z przeszkodami tak wiele nie znaczy — zauważył pan Rochester — skoro niebawem mam pościć ciebie, twoje myśli, rozmowę i towarzystwo na całe życie.

Adela, umieszczona w powozie, zaczęła mnie całować, wyrażając w ten sposób wdzięczność za wstawienie. Natychmiast została wpakowana w kącik po drugiej stronie pana Rochester. Wyzierała stamtąd ku mnie, taki srogi sąsiad zbyt był krępujący. Do tego był w burzliwym humorze, nie śmiała się odzywać ze swymi spostrzeżeniami ani prosić o objaśnienia.

— Niech jej pan pozwoli usiąść koło mnie — prosiłam. — Panu będzie może przeszkadzała, a tu, po tej stronie jest tyle miejsca!

Podał ją jak małego pieska.

— Wkrótce oddam ją do szkoły — rzekł, ale teraz się uśmiechał.

Adela, słysząc to, zapytała, czy ma iść do szkoły „*sans mademoiselle*”²²².

— Tak — odpowiedział. — Absolutnie „*sans mademoiselle*”, gdyż ja wezmę *mademoiselle* na Księżyc i tam poszukam jaskini w jednej z tych białych dolin pomiędzy szczytami wulkanów, i *mademoiselle* będzie tam mieszkać ze mną, i tylko ze mną.

— Nie będzie tam miała nic do jedzenia, pan ją zgłodzi — zauważyła Adela.

— Będę dla niej zbierał mannę rankiem i nocą. Równiny i stoki gór na Księżycu białe są, Adelo, od manny.

— A jak będzie się chciała rozgrzać, z czego rozpali ogień?

— Ogień wybucha z gór księżycowych. Gdy jej będzie zimno, zaniosę ją na jakiś szczyt i położę nad brzegiem krateru.

— O, jak jej tam będzie źle, niewygodnie! A jej suknie przecież się zużyją, skądże weźmie nowe?

Pan Rochester udał zakłopotanie.

— Hm... — rzekł — co ty byś zrobiła, Adelo? Łam sobie głowę i wymyśl. A co byś powiedziała na suknię z białej i różowej chmurki, jak ci się zdaje? A z tęczy można by ładną szarfę wykroić.

— *Mademoiselle* daleko ładniejsza jest taka, jaka jest — orzekła Adela po chwili namysłu. — A zresztą znudziłaby się, gdyby miała mieszkać tylko z panem jednym na Księżycu. Gdybym ja była na miejscu *mademoiselle*, nigdy bym się nie zgodziła na pojechanie tam z panem.

— Ale ona się zgodziła, dała na to słowo.

— Ależ tam się dostać nie można, nie ma drogi na Księżyc, jest tylko powietrze. A ani pan, ani *mademoiselle* nie umieją fruwać.

— Adelo, popatrz na to pole.

²²²*sans mademoiselle* (fr.) — bez panienci. [przypis edytorski]

Byliśmy teraz poza bramami Thornfield, kołysząc się lekko na gładkiej drodze, na której po deszczu nie wznosił się kurz. Po obu jej stronach niskie żywopłoty i wysokie drzewa połyskiwały, zielone i odświeżone.

— Po tym polu, Adelo, przechadzałem się późno jednego wieczora ze dwa tygodnie temu, a był to ten wieczór, kiedyś ty mi pomagała zbierać siano na trawnikach w sadzie. A że byłem zmęczony grabieniem pokosów, siadłem odpocząć na przełazie w płocie. Tam wyciągnąłem małą książeczkę i ołówek i zacząłem coś pisać o nieszczęściu, jakie mnie spotkało dawno temu, i o tym, jak pragnę szczęścia w przyszłości. Pisałem bardzo prędko, choć już światło dzienne gasło, gdy coś zaczęło zbliżać się ścieżką i stanęło o dwa kroki ode mnie. Popatrzyłem na to zjawisko. Było to maleńkie stworzonko, a miało welon z nitek babiego lata na głowie. Skinąłem, dając mu znak, by się przybliżyło. Niebawem stanęło u moich kolan. Nie mówiłem do niego, ani ono do mnie nie mówiło słowami, ale czytałem w jego oczach i ono czytało w moich, i ta nasza rozmowa bez słów znaczyła: „To wróżka i przybywa z krainy czarów, przychodzi, aby mnie uszczęśliwić. Muszę z nią razem opuścić zwyczajny świat i udać się w miejsce samotne, takie jak Księżyc na przykład. Tu skinęła główką ku rogom księżyca wschodzącego nad Hayhill i powiedziała mi o alabastrowej grocie i srebrnej dolinie, gdzie moglibyśmy zamieszkać. Powiedziałem, że chętnie bym się tam udał, ale przypomniałem jej, tak jak i ty, że nie mam skrzydeł do latania. «O, to nic nie znaczy!», odpowiedziała wróżka. «Oto jest talizman, który usunie wszystkie trudności», i wyciągnęła ku mnie ładny, złoty pierścionek. «Włóż go», rzekła, «na czwarty palec mojej lewej ręki, a będę twoja, a ty będziesz mój. I porzucimy ziemię, i swoje własne szczęście tam znajdziemy». I znowu skinęła ku księżycowi”. Ten pierścionek, Adelo, jest w mojej kieszeni pod postacią złotego pieniądza, ale ja zamierzam wkrótce znowu go zamienić na pierścionek.

— Ale co to wszystko ma wspólnego z *mademoiselle*? Mnie wróżka nic nie obchodzi, pan mówił, że pan chce zabrać *mademoiselle* na Księżyc.

— *Mademoiselle* to wróżka — oświadczył tajemniczym szeptem.

Na to ja powiedziałam Adeli, żeby sobie nic nie robiła z jego żartów. Ona też wykazała isticie francuski sceptycyzm — nazwała pana Rochester'a *un vrai menteur*²²³ i zapewniła go, że ani trochę nie wierzy w jego *conte de fée*²²⁴. Dodała, że przede wszystkim nie ma wróżek, a gdyby nawet były, z pewnością jemu by się nie pokazywały, nie ofiarowałyby mu pierścionków, ani nie chciały mieszkać z nim na Księżycu.

Godzina spędzona w Millcote była dla mnie nieco męcząca. Pan Rochester zaprowadził mnie do sklepu z jedwabiami, tam kazał mi wybierać materiały na pół tuzina sukien. Czulałam się w najwyższym stopniu nieswojo, prosiłam, żeby odłożyć tę sprawę, lecz nie — chciał, by zaraz, teraz ją załatwić. Błagając energicznym szeptem, zdołałam wytargować, że zamiast sześciu będą dwie, te jednak postanowił sam wybrać. Z niepokojem widziałam, że oko jego błądzi wśród jaskrawych kolorów. Wybrał nareszcie jedwab w pięknym, ametystowym odcieniu i wspaniałym, różowym atlas. Energicznym szeptem oświadczyłam mu wtedy, że niechże mi od razu wybierze złotą suknię i srebrny kapelusz — ja i tak nigdy się nie odważę nosić tego, co on wybierze. Z nieskończoną trudnością, gdyż uparty był jak osioł, wyperswadowałam mu, by tamto zamienił na czarny atlas i perłowo-popielaty jedwab.

— Niech będzie na razie — przystał — z czasem i tak zobaczę cię barwną jak ukwiecony ogród.

Rada byłam, gdy udało mi się wyciągnąć go ze sklepu z jedwabiami, a potem od złotnika. Im więcej dla mnie kupował, tym więcej paliła mnie twarz uczuciem przykrości i poniżenia. Gdy już z powrotem wsiedliśmy do powozu, a ja odetchnęłam, rozgorączkowana i znużona, przypomniałam sobie to, o czym w pośpiesznym toku wypadków, smutnych i wesołych, zupełnie zapomniałam: list stryja mojego, Johna Eyre'a do pani Reed i jego zamiar adoptowania mnie i zapisania mi majątku. „To doprawdy byłoby ulgą dla mnie — pomyślałam — posiadać choć maleńki mająteczek. Nie potrafiłabym znieść tego, by mnie pan Rochester ubierał jak lalkę albo żeby, jak na drugą Danae²²⁵, złoty

Strój

Pozycja społeczna,
Dziedzictwo, Bogactwo,
Bieda, Kobieta, Mężczyzna,
Małżeństwo

²²³*un vrai menteur* (fr.) — prawdziwy kłamca. [przypis edytorski]

²²⁴*conte de fée* (fr.) — bajka, baśń. [przypis edytorski]

²²⁵*Danae* — postać z mitologii greckiej, z którą Zeus (pod postacią złotego deszczu) spłodził syna, Perseusza. [przypis edytorski]

deszcz sypał się na mnie codziennie. Napiszę do Madery, gdy wrócę do domu, doniosę stryjowi, że wychodzę za mąż i za kogo. Gdybym tylko miała nadzieję, że z czasem przysporzę panu Rochesterowi majątku, łatwiej zniósłabym to, że on mnie utrzymywać będzie”. Poczyszona trochę tą myślą (zamiar swój zresztą spełniłam tegoż dnia), odważyłam się zetknąć znowu z wzrokiem pana mojego i ukochanego, który uporczywie szukał moich oczu, chociaż odwracałam twarz i spojrzenie. Uśmiechnął się i pomyślałam, że jego uśmiech jest taki, jakim mógłby sułtan w chwili miłego rozradowania obdarzyć niewolnicę, złotem i klejnotami przezeń obsypaną. Ścisnęłam z całej siły jego rękę, szukającą mojej, i odsunęłam ją, zaczerwienioną od tego gwałtownego uścisku.

— Niech pan nie patrzy w ten sposób — rzekłam. — Jeżeli pan nie przestanie, nic innego nie włożę na siebie aż do ostatniej chwili, oprócz starych sukienek z Lowood. Do ślubu pójdę w tej lila muślinowej. Może pan sobie szlafrok zrobić z tego perłowego jedwabiu, a z czarnego atlasu nieskończoną liczbę kamizelek!

Rozśmiała się i zatarła ręce.

— Och, warto ją widzieć i słyszeć! — zawołał. — Czyż nie jest oryginalna? Czy nie jest z niej filutka? Nie zamieniłbym tej jednej, angielskiej dziewczyneczki na cały seraj²²⁶ sułtana, na wszystkie oczy gazeli czy kształty hurysek²²⁷!

Ta wschodnia aluzja znowu mi się nie spodobała.

— Ja panu bynajmniej nie myślę seraju zastępować — powiedziałam. — Nie uważam siebie za coś równoznacznego. Jeżeli się panu zachciewa czegoś w tym rodzaju, dajcie, niech pan co prędzej śpieszy do bazarów w Stambule²²⁸ i tam na zakup licznych niewolnic zużyje te niepotrzebne pieniądze, których widocznie nie ma pan na co wydać.

— A co tymczasem panna Jane będzie robiła, podczas gdy ja będę kupował tyle a tyle ton mięsa i tyle a tyle czarnych oczu?

— Będę się przygotowywała na misjonarkę, by głosić wolność niewolnicom, mieszkankom pańskiego haremu między innymi. Każę się tam wpuścić i podniosę bunt. I pana, srogiego baszę²²⁹, w mig skrępujemy własnymi rękami, a ja nie zgodzę się przeciąć pańskich więzów, dopóki pan nie podpisze ustawy tak liberalnej, jakiej dotąd nie podpisał żaden despot.

— Zgodziłbym się zdać na twoją łaskę, panno Jane.

— A ja bym się wcale nie okazała łaskawą, gdyby mnie pan błagał z takimi oczyma jak teraz. Gdyby pan patrzył w ten sposób, byłabym pewna, że cokolwiek by pan podpisał pod przymusem, pierwszym pana czynem po uwolnieniu byłoby pogwałcenie podpisanych warunków.

— No i czego ty byś, panno Jane, chciała? Czuję, że będziesz mi chciała narzucić jakąś prywatną umowę ślubną niezależnie od ceremonii kościelnej. Będziesz chciała zastrzec sobie, jak widzę, jakieś specjalne warunki. Jakież to?

— Chcę tylko mieć poczucie swobody, proszę pana. Nie chcę, by mnie przygniatały mnogie zobowiązania. Czy pan pamięta, co mi pan mówił o Celine Varens? O tych brylantach, kaszmirach, które jej pan dawał? Ja nie chcę być pańską angielską Celine Varens. Będę w dalszym ciągu nauczycielką Adeli, tym sposobem zarobię na swoje utrzymanie i mieszkanie, i na trzydzieści funtów rocznie prócz tego. Z tego będę sobie sprawiała ubranie, a pan mi nic nie będzie dawał, oprócz...

— No dobrze, oprócz czego?

— Oprócz uczucia. A jeżeli ja panu swoje dam w zamian, to dług będzie wyrównany.

— Przyznam się, że jeśli chodzi o chłodną arogancję i wrodzoną pychę, nic równego nie widziałem — odpowiedział. Dojeżdżaliśmy teraz do Thornfield. — Czy miałabyś ochotę zjeść dziś ze mną obiad? — zapytał, gdy przejeżdżaliśmy bramy.

— Nie, dziękuję panu.

— A dlaczego: „Nie, dziękuję panu”, jeśli wolno zapytać?

²²⁶seraj — tu: harem. [przypis edytorski]

²²⁷huryska a. hurysa — piękna, młoda dziewczica, będąca w raj u nagrodą dla wiernych wyznawców islamu. [przypis edytorski]

²²⁸Stambul — największe i najludniejsze miasto w Turcji; dawniej Konstantynopol, a wcześniej Bizancjum. [przypis edytorski]

²²⁹basza a. pasza — dostojnik w imperium osmańskim. [przypis edytorski]

— Nigdy z panem nie jadałam i nie widzę powodu, dlaczego bym miała teraz, dopóki...

— Dopóki co? Lubi panna Jane niedokończone zdania.

— Dopóki nie będę mogła inaczej.

— Czy przypuszcza pani, że jadam jak smok albo jak dziki człowiek, że lęka się być moją towarzyszką przy stole?

— Żadnych przypuszczeń w tym kierunku nie snułam, panie Rochester, ale pragnę, ażeby wszystko pozostało tak, jak było, przez ten miesiąc jeszcze.

— Porzucisz nauczycielską niewolę od razu.

— Bardzo pana przepraszam, ale nie zrobię tego. Będę dalej uczyła Adelę, tak jak dotąd. Będę panu schodziła z drogi przez cały dzień, tak jak się przyzwyczaiłam. Może pan po mnie przysłać wieczorem, o ile będzie pan miał ochotę zobaczyć się ze mną, a wtedy ja przyjdę, ale o żadnej innej porze dnia.

— Tak mi się chce zapalić, panno Jane, albo zażyć niuch tabaki wobec całego tego zamieszania, „*pour me donner une contenance*”²³⁰, jakby się wyraziła Adela. Na nieszczęście, nie mam przy sobie ani cygarnicy, ani tabakierki. Ale słuchaj — mówił szeptem. — Teraz to twój czas, mała tyranko, jednak mój nadejdzie niebawem, a gdy raz dobrze cię uchwycę, będę trzymał i, mówiąc obrazowo, przywieszę cię na łańcuszku, ot tak — tu dotknął łańcuszka od zegarka. — Tak, ty miłe maleństwo, będę cię nosił na piersiach, aby nie zgubić mojego klejnotu.

Powiedział to, pomagając mi wysiąść z powozu, a podczas gdy wysadzał Adelę, ja weszłam do domu i pośpieszyłam na górę.

Wieczorem, jak było do przewidzenia, zaprosił mnie do siebie. Ja tymczasem obmyślałam już zajęcie dla niego, postanowiwszy nie spędzać całego czasu na rozmowie w cztery oczy. Pamiętałam piękny głos jego i wiedziałam, że lubi śpiewać. Sama głosu nie miałam, grałam też, wedle wybrednych wymagań jego, niezbyt świetnie, ale nade wszystko lubiłam słuchać dobrej muzyki. Zaledwie też zmrok zajrzał do okna gwiazdzistym szafirem, wstałam, otworzyłam fortepian i poprosiłam, żeby mi zaśpiewał jakąś piosenkę. Bronił się trochę, ale ja nalegałam.

— Czy lubisz mój głos? — zapytał.

— Bardzo lubię. — Nie lubiłam schlebiać tej jego próżności, ale tym razem, ze względów oportunistycznych, gotowa nawet byłam ją podniecać.

— W takim razie, Jane, musisz mi akompaniować.

— Bardzo dobrze, drogi panie, spróbuję.

Istotnie spróbowałam, ale wnet usunął mnie z krzesła, nazywając „małym partaczem”. Zepchnąwszy mnie bez ceremonii na bok, czego właśnie chciałam, zajął moje miejsce i zaczął sam sobie akompaniować, umiał bowiem grać równie dobrze jak śpiewać. Usunęłam się do zagłębienia pod oknem i tam, patrząc na ciche drzewa i cieniem objęty ogród, słuchałam słodkiej melodii kolejnych zwrotek, śpiewanych miękko, głębokim głosem:

„Najszczerza miłość, co serce
Płomieniem swym rozpałała,
W krwi mojej każdej kropelce
Gorącym tętnem zabiła.

Każde jej przyjście — nadzieję,
Każde rozstanie — żal budzi;
Jeśli się spóźnia — boleję,
Nie przyjdzie? Lód serce studzi.

O wielkim szczęściu marzyłem:
Tak być — jak kocham — kochanym!
Do tego celu dążyłem
Z zapalem niepowstrzymanym.

²³⁰*pour me donner une contenance* (fr.) — aby dodać sobie znaczenia, powagi, wyrazistości. [przypis edytorski]

Lecz wielka przestrzeń — bezdroże —
Jej życie i moje dzieli,
Tak niebezpieczna jak morze
Z zieloną głębią topieli...

Dalsze strofki mówiły o przeszkodach zwalczonych i o grozie wyzywanych niebezpieczeństw, końcowe zaś brzmiały następująco:

Najmilsza rączkę mi swoją
W dłoń moją złożyła szczerze,
Przyrzekła, że dołączę z moją
Małżeńskie zwiąże przymierze.

Przysięgła, pocałowaniem
Stwierdziła przysięgi słowa,
Że ze mną z całym oddaniem
Życ i umierać gotowa.

Więc nie marzyłem daremnie,
Bogaty plon życia dany —
Gdyż ona kocha wzajemnie:
Jak kocham, jestem kochany!

Skończywszy pieśń, wstał od fortepianu i szedł ku mnie. Ujrzałam twarz jego płonąca, błyszczące, sokole oczy, namiętą tkliwość w każdym rysie twarzy. Przeleżałam się na chwilę, ale wnet nabrałam odwagi. Nie chciałam czulej sceny, nie chciałam demonstracyjnych wylewów uczucia, a przecież to mi groziło. Należało przygotować jakąś broń odporną. Wyostrzyłam dowcip. Gdy zbliżył się do mnie, zapytałam cierpko:

— Kogoż to pan Rochester zamierza wziąć za żonę?

— To bardzo dziwne pytanie z ust mojej ukochanej Jane!

— Doprawdy! A ja sądzę, że bardzo naturalne, a nawet konieczne. Mówił pan o swojej przyszłej żonie jako umierającej z nim razem. Co znaczy taki pogański pomysł? Ja wcale nie mam zamiaru umierać z panem razem, proszę o tym wiedzieć.

— Ach, przecież ja tylko pragnę, ja tylko modłę się o to, byś ty mogła żyć razem ze mną! Śmierć nie jest dla takich jak ty!

— Owszem, jest dla takich jak ja. Mam równie dobre prawo umrzeć, gdy przyjdzie moja godzina, jak pan je ma. Ale ja chcę doczekać swojej pory, nie mam zamiaru umierać jak indyjska wdowa na stosie!

— Czy przebaczysz mi tę myśl egoistyczną, czy dowiedziesz przebaczenia pocałunkiem na zgodę?

— Nie, przepraszam, ale wolę nie.

Tu usłyszałam, że jestem „stworzonkiem bez serca” i dowiedziałam się, że „inna kobieta zmięknęłaby jak воск, słysząc takie strofy, wyśpiewane na jej cześć”.

Zapewniłam go, że jestem z natury twarda, bardzo kanciasta i że sam się o tym nie raz przekona. I że przy tym postanowiłam odkryć przed nim różne nierówności swojego charakteru, zanim upłyną najbliższe cztery tygodnie. Powinien dokładnie wiedzieć, jaki zrobił interes, dopóki jeszcze czas wycofać się z niego.

— Czy uspokoisz się wreszcie, czy zaczniesz rozsądnie gadać?

— Uspokoić się mogę, jeśli pan sobie życzy, ale co do rozsądnego gadania, to pochlebiam sobie, że właśnie to czynię.

Kręcił się, sarkał, mruczał. „Bardzo dobrze — pomyślałam — możesz się dąsać, możesz się niecierpliwic, ile ci się podoba. Ale jestem pewna, że to najlepsza droga postępowania z tobą. Jesteś mi miły ponad wszelki wyraz, ale nie chcę wpaść w śmieszny sentymentalizm. A tą szpileczką gotowej odpowiedzi i ciebie powstrzymam nad krawędzią przepaści, dopomoże mi też jej ostrze do zachowania między mną a tobą odległości, pożądanej dla wspólnego naszego dobra”.

Po trosze, po trosze doprowadziłam go do dość silnego rozdrażnienia. Wtedy, gdy obrażony poszedł w drugi kąt pokoju, wstałam i powiedziawszy moim naturalnym, zwykłym, pełnym szacunku tonem: „Życzę panu dobrej nocy”, wysunęłam się bocznymi drzwiami i poszłam do siebie.

Tego systemu, raz go spróbowawszy, trzymałam się odtąd przez cały czas naszego „nowicjatu”. Z najlepszym zresztą rezultatem. Mój pan, to prawda, bywał często kwaśny i chropawy, ale na ogół, uważałam, że bynajmniej się nie nudzi i że, gdybym była uległa jak baranek i czuła jak synogarlica, wzmacniałabym tylko jego despotyzm, ale mniej bym mu się podobała, mniej zadowalała jego rozsądek, a nawet jego smak.

W obecności innych osób byłam zawsze, tak jak dawniej, pełna uszanowania i spokojna. Tylko w czasie wieczornych posiedzeń tak mu się sprzeciwiałam i dokuczałam. W dalszym ciągu kazał mnie zawsze prosić z chwilą, gdy zegar wybił siódmą, chociaż gdy teraz stawałam przed nim, nie miał dla mnie tych miodowych słówek „kochanie moje”, „moja najmilsza”. Dostawały mi się zamiast tego takie wyrazy, jak „impertynencka figura”, „złośliwy chochlik”, „odmieniec” itp. Zamiast pieszczot darzył mnie srogimi minami. Owszem, owszem, na razie stanowczo wołałam szorstkość od tkliwości. Widziałam, że w oczach pani Fairfax mam uznanie, jej obawy o mnie znikły. To utwierdziło mnie w przekonaniu, że postępuję słusznie. Pan Rochester skarżył się, że go zamęczam, i groził straszną zemstą w niedalekim czasie. Śmiałam się w duchu z jego gróźb. „Potrafię trzymać cię w rękę teraz — rozmyślałam — nie wątpię, że potrafię i później. Jeżeli zużyje się jeden sposób, trzeba będzie obmyślić inny”.

Ale ostatecznie zadanie moje nie było łatwe. Często byłabym wołała dogodzić mu, niż tak go dręczyć. Przyszły mój mąż stawał się dla mnie całym światem i więcej niż światem — nieledwie nadzieją nieba. W owych dniach Boga nie widziałam poza jego stworzeniem, gdyż z niego zrobiłam sobie bożyszcze.

ROZDZIAŁ XXV

Miesiąc narzeczeństwa upłynął, jego ostatnie godziny mijały. Nie można było powstrzymać dnia, który się zbliżał — dnia ślubu. Wszystkie też przygotowania były ukończone. Ja przynajmniej nie miałam już nic do roboty. Oto tam, w moim pokoju, stały wzdłuż ściany rzędem kuferki, spakowane, zamknięte, obwiązane. Jutro o tej porze daleko już będą w drodze do Londynu. I ja również — albo raczej nie ja, ale pewna Jane Rochester, osoba, której jeszcze nie znałam. Jeszcze tylko należało przybić karty z adresem, leżały te cztery kwadraciki w szufladzie. Pan Rochester sam wypisał adres: „Pani Rochester, Londyn, Hotel X” na każdej. Nie mogłam się zdecydować na ich przytwierdzenie. Pani Rochester! Taka przecież nie istniała, miała się dopiero narodzić jutro, około ósmej rano. Chciałam zaczekać, by się upewnić, czy przyszła na świat żywa, zanim bym jej przekazała tę całą własność. Dosyć, że w owej szafie naprzeciw mojej toaletki ubranie, mające być jej ubraniem, wyrugowało już moją starą, wełnianą sukienkę i słomiany kapelusz, gdyż nie do mnie przecież należał ten strój ślubny, ta perłowa sukienka jedwabna i cienki, zwiewny welon... Zamknęłam szafę, by ukryć ten dziwny strój widmowy, gdyż o tej wieczornej godzinie — była dziewiąta — w cieniu mojego pokoju błyszczał on istotnie poświatą jakiejś niezziemskiej zjawy. „Pozostawię cię w samotności, ty biały śnie — pomyślałam. — Taka się czuję rozgorączkowana. Słyszę, że wiatr wieje, wyjdę, pragnę się odświeżyć jego tchnieniem”.

Nie tylko pośpiech z przygotowaniami tak mnie rozgorączkował, nie tylko przewidywanie wielkiej zmiany — nowego życia, które się miało jutro rozpocząć. Obydwie te okoliczności miały niewątpliwie udział w wytworzeniu tego niespokojnego, podnieconego nastroju, jaki o tej późnej godzinie wypędzał mnie do ciemnego ogrodu. Lecz była i trzecia przyczyna, silniej od tamtych oddziaływająca na mnie.

Trąpiła mnie dziwna, niespokojna myśl. Zdarzyło się coś, czego nie mogłam zrozumieć. Nikt o tym nie wiedział i nikt tego nie widział prócz mnie. Było to minionej nocy. Pan Rochester był wtedy nieobecny w domu, jeszcze i teraz nie wrócił. Jakiś interes zawezwał go do małego majątku, złożonego z dwóch czy trzech ferm, który posiadał o trzydzieści mil stąd — interes, który musiał załatwić osobiście przed zamierzonym wyjazdem z Anglii. Czekałam teraz jego powrotu, pragnąc wywnętrzyć się przed nim

i znaleźć u niego rozwiązanie dręczącej mnie zagadki. Poszłam do sadu, zapędził mnie do tego stosunkowo zaciszego schronienia wiatr, który przez cały dzień dął od południa, nie przynosząc jednak ani kropli deszczu. Zamiast przycichnąć w nocy, zdawało się, że zwiększa jeszcze pęd i pogłębia szum. Drzewa chyliły się stale na jedną stronę, ledwie raz na godzinę prostując na chwilę gałęzie — tak bezustanny był pęd, naginający je ku północy. I chmury gnały od bieguna do bieguna szybko, jedne za drugimi, wielkimi gromadami. Owego lipcowego dnia nie ukazał się ani skrawek błękitu.

Nie bez pewnej dzikiej rozkoszy gnałam, pędzona wiatrem, topiąc troskę mojej duszy w bezmiernym strumieniu powietrznym, grzmącym w przestworzach. Przebiegłszy ścieżkę wśród krzewów, zatrzymałam się przed ruiną kasztana. Stał tam szerniały, rozdarty — pień, rozłupany przez środek, świecił straszną raną. Rozdarte połowy nie odłamały się od siebie, gdyż mocna podstawa i silne korzenie spajały je od spodu, jednakże wspólne życie uległo zniszczeniu. Soki już krążyć nie mogły, wielkie konary po obu stronach były martwe, a wichury zimowe niewątpliwie zwałą je na ziemię. Tymczasem jednak można było powiedzieć, że jeszcze tworzą jedno drzewo — ruinę wprawdzie, ale ruinę jako całość. Gdy na nie patrzyła, księżyc na jedną chwilę wyjrzał zza chmury. Jego krąg był krwawy, w połowie zamglony, zdawał się ciskać na mnie jakieś złowrogie spojrzenie i zaraz znów zasnuł się głęboką falą chmur. Wiatr ucichł na moment dokoła Thornfield, ale w oddali, nad lasami, nad wodami zawodził smętnym, ponurym jękiem. Smutno było go słuchać. Ruszyłam dalej.

Tu i tam błędziłam po sadzie, zbierałam jabłka, gęsto opadłe pod drzewami. Potem zajęłam się przebieganiem dojrzałych od niedojrzałych, odniosłam je do domu i schowałam w spiżarni. Poszłam do biblioteki przekonać się, czy rozpalono ogień, gdyż, chociaż to było lato, wiedziałam, że w taki chmurny dzień pan Rochester rad powita przyjazny kominek. Owszem, ogień już się palił dobrze. Przysunęłam fotel przed kominek, przysunęłam stół, spuściłam storę, kazałam przynieść świece, gotowe do zapalenia. Coraz bardziej niespokojna, po ukończeniu tych przygotowań nie mogłam usiedzieć na miejscu ani nawet pozostać w domu. Mały stojący zegar w pokoju i stary w hallu równocześnie wybiły dziesiątą.

— Jak późno się robi! — westchnęłam. — Pobiegnę ku bramom, księżyc ukazuje się chwilami, stamtąd widać duży kawał drogi. Może on już nadjeżdża. Spotkawszy go, oszczędzę sobie kilka minut niespokojnego oczekiwania.

Wiatr szumiał głośno w wielkich drzewach okalających bramy, ale droga, jak okiem sięgnąć na prawo i na lewo, była cicha i pusta. Kiedy księżyc wyzierał, przemykały po niej cienie chmur, poza tym chwilami przedstawiała tylko długą, bladą linię, bez żadnej poruszającej się po niej plamki.

Niemądra łza zaćmiła mi oczy, gdy patrzyłam, łza zawodu i niecierpliwości. Wytarłam ją, zawstydzona. Czekałam. Księżyc zamknął się szczelnie w swojej komorze, spuścił gęstą zasłonę chmur. Noc zapadała ciemna, deszcz, przygnany wichurą, zaczynał kropić.

— Ach, żeby już przyjechał! Ach, żeby już przyjechał! — zawołałam, zdjęta jakimś nerwowym lękiem. Spodziewałam się jego przyjazdu przed herbatą, a teraz już ciemno. Cóż może go zatrzymać? Czy spotkał go jakiś wypadek? Przypomniałam sobie znowu wydarzenie ostatniej nocy. Wytlumaczyłam je sobie jako przestrożę, jako zapowiedź nieszczęścia. Zdjął mnie lęk, że nadzieje moje może są zbyt jasne, by mogły się urzeczywistnić. A tyle szczęścia zaznałam w ostatnich czasach, że pomyślałam, iż dosięgło już ono zenitu — i odtąd musi go ubywać...

„Trudno, ja nie mogę wracać do domu — pomyślałam — nie mogę zasiąść przy kominku, gdy on jest wystawiony na niepogodę. Lepiej zmęczyć ciało niż dręczyć serce. Wyjdę na drogę”.

Ruszyłam z miejsca. Szłam szybko, ale nie uszłam daleko. Niebawem posłyszałam tupot kopyt końskich, jeździec się zbliżał w pełnym galopie. Pies biegł obok niego. Precz, złe przecucie! To on — siedzi na swoim Mesrourze, za nim zdąża Pilot. Zobaczył mnie, gdyż księżyc otworzył niebieskie okno wśród chmur i przepływał przez nie, jasny. Pan Rochester zdjął kapelusz i powiewał nim nad głową. Pobiegłam mu na spotkanie.

— A widzisz! — zawołał, wyciągając rękę i wychylając się z siodła. — Nie możesz się obejść beze mnie, to widoczne. Stań na czubku mego buta i podaj mi obie ręce. Wsiadaj!

Drzewo, Księżyc, Omen,
Natura, Proroctwo

Uśluchałam. Radość uczyniła mnie zwinną, wskoczyłam na siodło przed nim. Dostało mi się na powitanie serdeczne ucałowanie i trochę triumfujących przechwałek, które już, trudna rada, przełknęłam. Pohamował się w swym rozradowaniu, pytając:

— Ale czy się coś stało, Jane, żeś wyszła spotkać mnie o takiej godzinie? Czy stało się coś złego?

— Nie, ale myślałam, że pan już nigdy nie przyjedzie. Nie mogłam znieść czekania na pana w domu, zwłaszcza przy tym deszczu i wietrze.

— Deszcz i wiatr, doprawdy! Tak, ty ociekasz wodą jak syrena. Otul się moim płaszczem. Ale mnie się zdaje, że ty masz gorączkę, Jane. I twarz twoja, i ręce palają. Jeszcze raz cię pytam, czy się coś stało?

— Teraz już nic, ani się nie boję, ani nie jestem nieszczęśliwa.

— Ale bałaś się? Byłaś nieszczęśliwa?

— Tak, trochę, ale o tym wszystkim opowiem panu po trosze i zapewne ostatecznie wyśmiejemy mnie pan tylko.

— Wyśmieję cię serdecznie, niech tylko jutro przeminie. Do tego czasu nie śmiem, nie mam zupełnej pewności. Ty żeś przez ten ubiegły miesiąc śliska była jak węgorz i cierzysta jak dzika różyczka. Nie mogłem cię palcem dotknąć, tak kłulaś. A teraz wydaje mi się, że zbłąkane jagniątko tulę w objęciach. Wyszłaś z szopy, żeby odszukać swojego pastusza, czy tak, Jane?

— Tęskno mi było za panem, ale niech pan nie triumfuje. Otóż jesteśmy w Thornfield, niech mi pan pomoże zsiąść.

Postawił mnie na chodniku. Gdy John odebrał konia, a ja weszłam z nim do hallu, kazał mi prędko przebrać się w suche rzeczy i wrócić do niego do biblioteki. Jeszcze mnie zatrzymał, gdy zmierzałam ku schodom, i wymógł na mnie obietnicę, że niedługo zabawię, toteż pośpieszyłam się — w pięć minut byłam z powrotem. Zastałam go przy kolacji.

— Usiądź, Jane, i dotrzyмай mi towarzystwa. Da Bóg, będzie to twoja ostatnia wieczerza przed odjazdem stąd na długo.

Usiadłam, ale powiedziałam, że jeść nie mogę.

— Czy dlatego, że cię czeka podróż, Jane? Czy myśl o tym, że masz jechać do Londynu, tak ci odbiera apetyt?

— Ja dziś wieczorem, drogi panie, nie widzę jasno, co mnie czeka. Załedwie wiem, jakie myśli mam w głowie. Wszystko w życiu wydaje mi się nierealne.

— Oprócz mnie. Ja jestem dosyć realny, dotknij mnie!

— Pan więcej niż wszystko inne wydaje mi się jakąś zjawą, pan jest czystym snem!

Wyciągnął rękę, śmiejąc się.

— Czy to sen? — zapytał, podsuwając ją prosto przed moje oczy. Miał zaokrągloną, muskularną i silną rękę, jak też długie, silne ramię.

— Tak, chociaż jej dotykam, to sen — odpowiedziałam, odsuwając ją. — Czy pan już jeść więcej nie będzie?

— Nie, Jane, skończyłem.

Zadzwoiłam i kazałam sprzątnąć tacę. Gdy pozostaliśmy znów sami, poprawiłam ogień i zajęłam niski stołeczek u kolan mojego pana.

— Już dochodzi północ — rzekłam.

— Tak, ale pamiętaj, Jane, żeś mi przyrzekła czuwać ze mną w przeddzień ślubu.

— Tak i dotrzymam przyrzeczenia. Chętnie posiedzę jeszcze co najmniej z godzinę albo dwie, wcale nie mam ochoty kłaść się spać.

— Czy skończyłaś wszystkie przygotowania?

— Wszystkie, proszę pana.

— I ja z mojej strony również — powiedział. — Załatwiłem wszystko i wyjedziemy z Thornfield jutro, w pół godziny po powrocie z kościoła.

— Bardzo dobrze, drogi panie.

— Z jakim nadzwyczajnym uśmiechem wypowiedziałas te słowa: „Bardzo dobrze”, Jane! Jak ci palają rumieńce na każdym policzku! I jak dziwnie błyszczą oczy! Czy aby dobrze się czujesz?

— Chyba że tak.

— Chyba że tak! Co ci jest? Powiedz mi, co czujesz.

— Nie mogę, panie, żadne słowa nie potrafiłyby wyrazić mych uczuć. Pragnęłabym, ażeby ta godzina nie miała końca. Kto wie, jaki los przynieść może następna.

— To chorobliwe przywidzenia, Jane! Podnieciłaś się zbyt mocno albo przemęczyłaś!

— A pan, czy czuje się spokojny i szczęśliwy?

— Spokojny nie, ale szczęśliwy... Do głębi serca.

Podniosłam ku niemu wzrok, chcąc wyczytać na jego twarzy oznaki szczęścia — była zarumieniona, pełna ognia.

— Miej ufność we mnie, Jane — powiedział — ulżyj duszy, jeżeli ją ciężar jakiś przygniata, dzieląc go ze mną. Czego się obawiasz? Że nie okażę się dobrym mężem?

— To nawet przez myśl mi nie przeszło.

— Czy może lękasz się tej nowej sfery, w jaką masz wejść? Albo nowego życia, które cię czeka?

— Nie.

— Stawiasz mnie wobec zagadki, Jane. Twój wygląd i ton smutny, chociaż odważny, niepokoi mnie i przykroć mi sprawia. Pragnę wyjaśnienia.

— Więc niech pan słucha. Nie było pana w domu wczorajszej nocy.

— Tak, wiem. I wspominałaś przed chwilą, że coś się stało podczas mej nieobecności, prawdopodobnie nic ważnego, dość, że cię to zaniepokoiło. Niechże usłyszę, co to takiego. Czy pani Fairfax powiedziała coś może? Albo posłyszałaś jakieś plotki służących? Może coś uraziło twoje drażliwe poczucie godności?

— Nie, panie.

Zaczęła bić dwunasta. Zaczekałam, aż mały zegar wydzwonił ją srebrzyście, a wielki — ochryplym, wibrującym tonem. A potem ciągnęłam dalej:

— Przez cały wczorajszy dzień byłam bardzo zajęta i czułam się bardzo szczęśliwa wśród tej ciągłej krzątaniny. Wcale mnie bowiem nie prześladowa, jak pan przypuszcza, lęki co do tej przyszłej sfery itp. Uważam za wielkie szczęście cieszyć się nadzieją pożycia z panem, ponieważ pana kocham. Nie, panie, niech mnie pan teraz nie pieści. Niech mi pan pozwoli mówić swobodnie. Wczoraj pełna byłam ufności w Opatrzność i wierzyłam, że wypadki układają się zarówno dla dobra pańskiego, jak i mojego. Był to piękny dzień, jeśli pan pamięta. Spokojne powietrze i czyste niebo nie nasuwały ani cienia niepokoju o bezpieczeństwo i wygodę pana w podróży. Po herbacie przechadzałam się trochę po chodniku, myśląc o panu. Czułam pana w myślach tak blisko siebie, że prawie mi nie brakowało istotnej pańskiej obecności. Myślałam o przyszłości, o *twoim* życiu, panie, o tyle bardziej wszechstronnym i ruchliwym od mojego, jak głęb morza w porównaniu do strumyczka, który w nie wpada, do płytkiego łóżyska jego wąskiego koryta. Dziwiłam się, dlaczego filozofowie nazywają ten świat dziką pustynią, dla mnie kwitł on jak róża. O zachodzie słońca oziębiło się, niebo powlokło się chmurami i wróciłam do domu. Sophie zawołała mnie na górę, ażebym obejrzała ślubną suknię, którą właśnie przyniesiono, a pod nią, w pudle, znalazłam dar pański, ten welon, który w swojej książęcej hojności kazał pan przysłać z Londynu, postanowiwszy widocznie, skoro nie chciałam klejnotów, zmusić mnie fortelem do przyjęcia czegoś równie kosztownego. Uśmiechnęłam się, rozwijając go, i układałam w myśli, jak żartować będę z pana, jego arystokratycznych gustów i chęci przebrania plebejskiej narzeczonej za damę wysokiego rodu. Myślałam o tym, że zaniosę na dół do pana welon z gładkiego tiulu, który sama przygotowałam, jako nakrycie mojej nisko urodzonej głowy, i że zapytam, czy to nie wystarczy dla kobiety, która nie może przynieść mężowi w posagu ani majątku, ani piękności, ani stosunków. Widziałam wyraźnie, jaką pan będzie miał minę, słyszałam pańskie gwałtowne, republikańskie odpowiedzi i dumne twierdzenie, że nie potrzebuje pan ani majątku zwiększać, ani pozycji swej podnosić przez ożenek dla pieniędzy albo dla tytułu.

— Jak ty mnie dobrze znasz, ty czarownicy mała! — wtrącił pan Rochester. — Ale cóż znalazłaś w tym welonie oprócz haftów? Czy znalazłaś truciznę albo sztylet, że taką żalobną masz teraz minę?

— Nie, nie, mój panie. Oprócz subtelności i bogactwa wyrobu znalazłam tam tylko pychę Fairfaksa Rochestera, lecz to mnie nie przestraszyło, już oswoiłam się z tym demonem. Ale, panie, ściemniło się, wiatr się zerwał, chociaż nie taki gwałtowny, jak dzisiaj. Smutno, ponuro zawodził, o wiele bardziej niesamowicie. Zatęskniłam do pana. Weszłam do tego pokoju i widok pustego fotela i kominka bez płonącego ognia zionął ku

Sen, Dziecko, Samotność,
Miłość

mnie chłodem. Położyłam się spać, ale przez jakiś czas nie mogłam zasnąć. Trapił mnie niepokój, nurtowało podniecenie. Wichura wzmagala się i zdawało mi się, że zagłusza jakiś inny, posepny głos. Czy ten głos płynął z domu czy z zewnątrz, tego na razie nie mogłam rozróżnić, ale powracał, niewyraźny, a jednak żalosny, ilekroć przycichał wiatr. Nareszcie wytłumaczyłam sobie, że to gdzieś daleko pies wyje. Rada byłam, gdy w końcu przestał. Gdy zasnęłam, prześladowała mnie dalej we śnie ciemna, wietrzna noc. W dalszym też ciągu tak pragnęłam być z panem, odczuwałam takie dziwne, żalosne wrażenie, że przegradza nas jakaś zapora. Śniło mi się z początku, że szłam wzdłuż zakrętów jakiejś nieznannej drogi, otaczała mnie ciemność zupełna, deszcz mnie smagał. Krępował mnie ciężar, gdyż niosłam małe dziecko: bardzo małe stworzenie, za małe i za słabe, by mogło samo chodzić, a drżało ono w moich zziębniętych rękach i boleśnie kwiliło. Pomyślałam, że jest pan duży kawał drogi przede mną, toteż wyęczałam wszystkie siły, by pana dogonić. Czyniłam daremne wysiłki, by wymówić pańskie imię i błagać, by pan się zatrzymał. Jednakże byłam skrępowana w ruchach, a głos mój zamierał bez słów. Pan tymczasem, czułam to, odsuwał się z każdą chwilą coraz dalej, coraz dalej...

— I te sny jeszcze teraz ciążą ci na sercu, Jane, chociaż jestem tak blisko ciebie? Ty małe, nerwowe stworzenie! Zapomnij o przywidzeniach, myśl tylko o szczęściu, które jest na jawie. Powiadasz, że mnie kochasz Jane. Tak, ja o tym nie zapomnę i ty temu nie możesz zaprzeczyć. *Te* słowa nie zamarły, niewypowiedziane, na twoich ustach. Słyszałem je, wyraźne, jasne, może odrobinę zbyt uroczyste, ale jak muzyka słodkie: „Uważam za wielkie szczęście cieszyć się nadzieją pożycia z panem, ponieważ pana kocham”. Więc ty mnie kochasz, Jane? Powtórz mi to.

— Kocham, panie, kocham całym sercem.

— No tak, to dziwne — powiedział po paru minutach milczenia — ale to zdanie przeniknęło mnie boleśnie. Dlaczego? Chyba dlatego, że wymówiłaś je z taką powagą, z takim religijnym przejęciem, a wzrok twój, wzniesiony ku mnie, miał najgłębszy wyraz wiary, prawdy i oddania. To trochę tak, jak gdyby duch jakiś stanął przy mnie. Przybierz złośliwą minkę, Jane, tak jak to ty umiesz. Zdobądź się na ten przekorny, wyzywający uśmiezek. Powiedz, że mnie nie cierpisz, drażnij mnie, dokuczaj. Rób, co chcesz, tylko mnie nie wzruszaj. Wolalbym, byś mnie rozgniewała, niż nastrajała smutnie.

— Będę pana drażniła, będę panu dokuczała do syta, niech tylko dokończę swoje opowiadanie. Proszę mnie wysłuchać do końca.

— Myślałam, Jane, żeś mi już wszystko opowiedziała. Sądziłem, że źródłem twej melancholii był sen.

Potrząsnęłam głową.

— Jak to? Jest tam coś więcej? Ale ja nie uwierzę, żeby to było coś ważnego. Z góry przestrzegam cię, że będę niedowiarkiem. Mów dalej.

Zaniepokojona jego mina i trochę lękliwa niecierpliwość tonu zdziwiły mnie, mimo to mówiłam dalej.

— Śniło mi się potem, że Thornfield Hall było straszłą ruiną, schroniskiem nietoperzy i sów. Śniło mi się, że z całego okazałego frontu pozostał tylko cienki mur, bardzo wysoki i wyglądający bardzo krucho. Błądziłam w noc księżycową po zarosłym trawą wnętrzu. Tu potykałam się o marmurowy kominiek, tam o odłamek spadłego gzymsu. Owinięta w szal, wciąż nosiłam to nieznanne, małe dziecko. Nie mogłam go nigdzie położyć, choć bolały mnie ramiona i ciężar jego opóźniał moje kroki, musiałam je piastować. Z daleka, na drodze usłyszałam galop konia. Byłam pewna, że to pan, a pan wyjeżdżał na wiele lat i do dalekiego kraju. Wdrapywałam się na cienki mur z szalonym, niebezpiecznym pośpiechem, pragnąc ze szczytu jeszcze dojrzeć pana przez chwilę. Kamienie usuwały się spod moich nóg, gałęzie bluszczu, których się chwytalam, urywały się, dziecko w przerażeniu ścisnęło mnie za szyję i prawie mnie dusiło. Na koniec dostałam się na szczyt. Ujrzałam pana jak plamkę na białej linii drogi, plamkę coraz mniejszą i mniejszą. Wiatr wiał tak silny, że nie mogłam mu się oprzeć. Usiadłam na wąskim brzegu, uspokajałam na kolanach przestraszone dziecko. Pańska postać mignęła na zakręcie drogi. Pochyliłam się naprzód, żeby ostatni raz pana zobaczyć. Mur zaczął się kruszyć, dziecko zsunęło mi się z kolan, straciłam równowagę, spadłam i obudziłam się.

— No teraz, Jane, to już chyba koniec.

Sen, Prococtwo, Rozstanie

— Koniec wstępu, panie, opowiadanie dopiero przyjdzie. Przy przebudzeniu błysk światła olśnił mi oczy. Pomyślałam: „O, to już dzień!”. Omyliłam się jednak, było to tylko światło świecy. Przypuszczałam, że to Sophie weszła. Na toalecie stała świeca, a drzwi szafy, w której przed pójściem spać powiesiłam ślubną suknię i welon, były otwarte. Usłyszałam tam szelest i zapytałam: „Co tam Sophie robi?”. Nikt mi nie odpowiedział, ale jakaś postać wysunęła się zza szafy, wzięła świecę, podniosła ją do góry i oglądała suknię, wiszącą na wieszaku. „Sophie! Sophie!”, zawołałam znowu i znowu tylko milczenie... Siadłam na łóżku, pochyliłam się naprzód. Najpierw ogarnęło mnie zdziwienie, potem oszołomienie, a w końcu mróz przeszedł mi po kościach. Panie Rochester, to nie była Sophie, to nie była Leah, ani pani Fairfax. To nie była... Nie, byłam i jestem tego dotąd pewna... To nie była nawet ta dziwna kobieta, Grace Poole!

— Musiała to być jedna z nich — przerwał mój pan.

— Nie, panie, uroczyście pana zapewniam, że nie. Postaci, która teraz stała przede mną, nigdy dotąd nie widziałam w obrębie Thornfield Hall. Wzrost, cały zarys, wszystko to było dla mnie nowe.

— Opisz ją, Jane.

— Była to, panie, kobieta wysoka i tęga, z długimi, gęstymi, ciemnymi włosami, zwieszającymi się na plecy. Nie wiem, jakie miała ubranie na sobie. Było to coś białego i prostego, ale czy to była suknia, prześcieradło czy koszula, nie wiem.

— Czy widziałas jej twarz?

— Z początku nie. Ale po chwili wzięła mój welon z miejsca, gdzie wisiał, podniosła go w górę, patrzyła nań długo, a potem zarzuciła go sobie na głowę i obróciła się do zwierciadła. W tej chwili zobaczyłam odbicie jej twarzy i jej rysów zupełnie dokładnie w ciemnym, podłużnym lustrze!

— Jakież one były?

— Straszne i widmowe. O, panie, ja nigdy nie widziałam podobnej twarzy! Była to twarz bez koloru... Twarz dzika. Pragnęłabym zapomnieć o tych toczących wokół błędnie, zaczerwienionych oczach, o tej okropnej, sonej obrzmiałości rysów!

— Duchy, Jane, zazwyczaj bywają blade.

— Ten, panie, był fioletowy. Usta miał nabrzmiałe i ciemne, czoło zmarszczkami poryte, czarne brwi wysoko podniesione ponad krwią nabiegłymi oczami. Czy mam panu powiedzieć, jakie podobieństwo nasunęła mi ta twarz?

— Powiedz.

— Niemieckiego, diabelskiego widma: upiorzycy.

— Ach! I cóż ona zrobiła?

— Panie, zdjęła mój welon ze swej strasznej głowy, rozdarła go na dwie połowy i rzuciwszy na ziemię, deptała po nim.

— A potem?

— Odsunęła zasłonek okna i wyjrzała. Może zobaczyła, że świt już bliski, gdyż wzięwszy świecę, cofnęła się ku drzwiom. Tuż przy moim łóżku postać ta stanęła, ogniste oczy wpatrzyły się we mnie, przybliżyła świecę tuż do mojej twarzy i zdmuchnęła ją przed moimi oczyma. Czulałam, że ohydna jej twarz pochyła się nad moją i straciłam przytomność. Po raz drugi w moim życiu, tylko po raz drugi, straciłam przytomność z przerażenia.

— Kto był przy tobie, gdy odzyskałaś zmysły?

— Nikt, panie, tylko jasny dzień. Wstałam, oblałam zimną wodą głowę i twarz, napiłam się jej trochę. Czulałam, że jakkolwiek osłabiona, nie jestem chora i postanowiłam, że nikomu nie powiem o tym zjawisku, tylko panu jednemu. A teraz proszę, niech mi pan powie, kim jest ta kobieta, co to za jedna?

— To twój nadmiernie podnieconego mózgu, bądź pewna. Będę się musiał starannie opiekować tobą, mój skarbie. Nerwy takie, jak twoje, nie znoszą szorstkiego dotknięcia.

— Panie, proszę mi wierzyć, tu nerwy moje nie zawiniły. To było coś realnego, ten fakt istotnie zaszedł.

— A twoje poprzednie sny? Czy także były realne? Czy Thornfield Hall jest ruiną? Czy rozłączają nas niezwykłe przeszkody? Czy ja ciebie opuszczam bez łyzy, bez pocałunku, bez słowa?

— Dotychczas jeszcze nie.

Duch, Szaleniec

— Czy zamierzam to uczynić? Już zaczął się dzień, który nierozzerwalnie ma nas związać, a gdy raz zostaniemy połączeni, nie powtórzą się te imaginacyjne strachy, na to ci daję słowo.

— Imaginacyjne strachy, panie! Pragnęłabym uwierzyć, że to tylko to, pragnęłabym tego więcej teraz niż kiedykolwiek, skoro nawet pan wyjaśnić mi nie może tajemnicy tego okropnego gościa.

— Skoro ja tego uczynić nie mogę, Jane, nie mogła to być rzecz realna.

— Ależ panie, gdy powiedziałam sobie to samo, wstawszy dziś rano, i gdy rozejrzałam się po pokoju, czerpiąc odwagę i pociechę z miłego wyglądu rzeczy znajomych w pełnym świetle dnia, na podłodze ujrzałam to, co wyraźnie zadało kłam mojemu przypuszczeniu. Ujrzałam welon, rozdarty od krańca do krańca na dwie połowy!

Czułam, że pan Rochester drgnął i zatrząsł się. Szybko chwycił mnie w objęcia.

— Bogu niech będą dzięki — zawołał — że jeżeli coś złośliwego zbliżyło się do ciebie wczorajszej nocy, welon tylko na tym ucierpiał! Och, gdy pomyślę, co mogło się być zdarzyć!

Oddychał szybko i tak mnie silnie przyciskał do piersi, że tchu prawie nie mogłam złapać. Po paru minutach milczenia mówił dalej, już spokojnie:

— Ja ci to, Jane, wszystko wytłumaczę. To był pół sen, pół rzeczywistość. Pewna kobieta, nie wątpię w to, weszła do twojego pokoju. A tą kobietą była, musiała być, Grace Poole. Ty sama nazywaś ją dziwną istotą. Po tym wszystkim, co o niej wiesz, masz prawo tak ją nazywać. Co ona zrobiła mnie? Co zrobiła Masonowi? W stanie takiego pół snu, pół jawy zauważyłaś jej wejście i jej czynności. Ale tak byłaś rozgorączkowana, prawie w malignie, że przypisałaś jej wygląd diabelskiej zjawy, różny od jej prawdziwego obrazu. Długie, rozczochrane włosy, obrzękła, sina twarz, przesadnie wielki wzrost, to była złuda wyobraźni, to był wynik nocnej zmyry. Złośliwe podarcie welonu było rzeczywiste i to jest do niej podobne. Pojmuję, że chciałabyś mnie zapytać, dlaczego taką kobietę trzymam w moim domu. W rok po naszym ślubie powiem ci to, ale nie teraz. Czy jesteś zadowolona, Jane? Czy zgadzasz się na to moje rozwiązanie tajemnicy?

Zastanowiłam się i rzeczywiście wydało mi się ono jedynym możliwym. Zadowolili mnie ono nie zadowolili, ale chcąc zrobić przyjemność mojemu panu, udałam, że owszem. Ulgę mi to jednakże przyniosło, toteż odpowiedziałam mu zadowolonym uśmiechem. A ponieważ dawno już minęła pierwsza, zaczęłam się zabierać do odejścia.

— Czy Sophie śpi z Adelą w dziecinnym pokoju? — zapytał, gdy zapalałam świecę.

— Tak, panie.

— W łóżeczku Adeli znajdzie się dość miejsca dla ciebie. Musisz się dzisiaj przespać z nią razem, Jane. Nic dziwnego, że cię zdenerwował wypadek, o którym mi opowiedziałaś, toteż wolałbym, żebyś nie spała dziś sama. Przyrzeknij mi, że pójdziesz do dziecinnego pokoju.

— Uczynię to z największą chęcią, drogi panie.

— I zamknij drzwi bezpiecznie od środka. Obudź Sophie, gdy pójdziesz na górę, pod pozorem, że chcesz ją prosić, by cię jutro wcześniej obudziła, gdyż musisz być ubrana i zjeść śniadanie przed ósmą. A teraz już żadnych ponurych myśli... Odpędź smutki i troski, moja Jane. Czy słyszysz, jak przycichł wiatr, jak łagodnie szemrze? I deszcz już nie bije w szyby. Spójrz — rzekł, podnosząc storę — jaka piękna noc.

I tak też było. Połowa nieba była zupełnie czysta. Chmury, skupiając się teraz przed wiatrem, który zmienił się na zachodni, pomykały ku wschodowi w długich, osrebrzonych zwałach. Spokojnie świecił księżyc.

— No i cóż — powiedział pan Rochester, patrząc mi w oczy z pytającym spojrzeniem. — Jakże się teraz czuje moja Jane?

— Noc pogodna, panie, i ja również.

— I nie będziesz dziś śniła o rozstaniu i zgryzotach, ale o szczęściu w miłości i radośnym połączeniu!

Ta przepowiednia do połowy się tylko ziściła. Nie śniłam istotnie o smutkach, ale też nie o radości, gdyż nie spałam wcale. Z małą Adelą w objęciach, śledziłam sen dziecka — taki spokojny, beznamiętny, niewinny sen — i czekałam rychłego nadejścia dnia. Trzeźwa, pobudzona do życia, skoro tylko słońce wstało, podniosłam się i ja. Pamiętam, że Adela tuliła się do mnie, gdy ją opuszczałam. Ucałowałam ją, zdejmując jej rączki z mojej szyi,

i płakałam nad nią z dziwnym wzruszeniem, i uciekłam, lękając się, by łkanie moje nie przerwało jej zdrowego spoczynku. Wydała mi się symbolem minionego życia, a ten, na którego spotkanie miałam się teraz przystroić, ten z lękiem uwielbiany, uosabiał dla mnie nieznaną mi przyszłość.

ROZDZIAŁ XXVI

Sophie przyszła ubrać mnie o siódmej. Bardzo długo spełniała swoje zadanie, tak długo, że aż pan Rochester, zniercierpliwiony widać tym zwlekaniem, przysłał z pytaniem, dlaczego nie przychodzę. Przypinała mi właśnie broszkę do włosów welon (ten prosty, tiulowy). Jak mogłam najprędzej, wymknęłam się z jej rąk.

— Niech pani zaczeka — zawołała po francusku. — Niech się pani przejrzy w lustrze! Ani razu pani nie spojrzała!

Zawróciłam przeto od drzwi i ujrzałam jakąś postać w strojnej sukni i welonie, tak niepodobną do mnie, że wydała mi się niemal obrazem kogoś obcego. „Jane!”, usłyszałam wołanie i pośpieszyłam na dół. U stóp schodów powitał mnie pan Rochester.

— Marudna! — rzekł — mnie tu pali się w głowie z niecierpliwości, a ty tak zwlekasz!

Zaprowadził mnie do jadalni, obejrzał mnie bystro od stóp do głów, oświadczył, że jestem „Jasna jak lilia i nie tylko dumą jego życia, ale radością jego oczu”, po czym zapowiedział mi, że daje mi tylko dziesięć minut na zjedzenie śniadania, i zadzwonił. Zjawił się jeden z najętej służby, lokaj.

— Czy John ma już powóz gotowy?

— Tak, proszę pana.

— A kuferki czy zniesione na dół?

— Właśnie w tej chwili je znoszą.

— Ty idź do kościoła, przekonaj się, czy pan Wood (pleban) i kościelny już tam są.

Wracaj i powiedz mi.

Kościół, jak czytelnikowi wiadomo, był tuż za bramą. Służący niebawem powrócił.

— Pan Wood jest w zakrystii, proszę pana, ubiera się w komżę.

— A powóz?

— John zaprzęga konie.

— Nie będziemy go potrzebowali do kościoła, ale musi być gotów z chwilą, gdy powrócimy, wszystkie pudła i kuferki ułożone i przywiązane, a stangret na koźle.

— Słucham.

— Jane, jesteś gotowa?

Wstałam. Nie było družbów ani druhen, nie było żadnych krewnych, nikogo — prócz pana Rochester'a i mnie. Pani Fairfax stała w hallu, gdyśmy przechodzili. Byłabym chętnie do niej przemówiła, ale ręka moja była w żelaznym uścisku, ciągnął mnie krok, za którym ledwo zdołałam nadążyć, a widząc twarz pana Rochester'a, czułam, że nie zniesie pod żadnym pozorem ani sekundy opóźnienia. Nie wiem, czy kiedykolwiek inny pan młody wyglądał tak jak on — taki skupiony na jednym zamiarze, tak groźnie zdecydowany, a przy stanowczości na czole z takimi płomieniami i błyskami w oczach.

Nie wiem, czy była ładna pogoda czy słota. Idąc ścieżką, nie patrzyłam ani na niebo, ani na ziemię. Serce moje przeszło w oczy, a oczy moje tkwiły w nim. Chciałam ujrzeć tę rzecz niewidzialną, w której zdawał się topić spojrzenie nienawistne i groźne, odgadnąć te myśli, których sile przeciwstawił wyzwanie i opór.

Przed furtką cmentarza kościelnego przystanął. Spostrzegł, że jestem zupełnie bez tchu.

— O jakież ja jestem okrutny w miłości! — powiedział. — Zaczekaj chwilkę, oprzyj się o mnie, Jane!

I teraz już mogę sobie przypomnieć widok starego domu Bożego, wznoszącego się przede mną, jakąś wronę, okrążającą jego wieżę, a w głębi rumiane niebo poranne. Pamiętam też zielone mogiłki i nie zapominałam o dwóch postaciach obcych ludzi błądzących wśród tych zielonych wzgórków i odczytujących napisy na kilku omszałych kamieniach nagrobnych. Zauważyłam ich, ponieważ, zobaczywszy nas, poszli za tylną ścianę kościoła, skąd, byłam pewna, że bocznym wejściem wsuną do kościoła i będą świadkami ceremonii. Pan Rochester ich nie spostrzegł. Poważnie wpatrywał się w moją twarz, z której

widocznie krew chwilowo uciekła, gdyż czułam pot na czole, chłód ust i policzków. Gdy niebawem przyszedłam do siebie, poszedł ze mną z wolna ścieżką ku wejściu.

Weszliśmy do cichej, skromnej świątyni. Kapłan w białej komży czekał przy niskim ołtarzu, obok niego kościelny. Cicho było wokół. Dwa cienie tylko poruszały się w odległym kącie. Przypuszczenie moje było trafne, dwaj obcy wsunęli się przed nami i teraz, plecami do nas odwrócen, stali przed grobową niszą Rochesterów i przez barierkę przyglądali się staremu, marmurowemu grobowcowi, gdzie klęczący anioł strzegł szczątków Damera de Rochester, poległego pod Marston Moor²³¹ w wojnie domowej, i Elizabeth, jego żony.

Uklękliśmy przed ołtarzem. Słyszac ostrożne kroki za sobą, spojrzalam przez ramie. Jeden z obcych panów zbliżal się do ołtarza. Zaczal się obrzadek slubny. Kaplan odczytal wytłumaczenie sensu związku małżeńskiego, po czym, postapiwszy jeszcze krok naprzód, nachylił się lekko ku panu Rochesterowi i ciągnął dalej:

„Żądam tego i kładę na sumieniu wam obojgu (tak jak odpowiadać będziecie w dzień straszliwego sądu, gdy tajemnice serc wszelkich będą odkryte), ażebyście, jeżeli które z was wie o przeszkodzie, dla której nie możecie być prawnie małżeństwem związani, teraz to wyznali. Gdyż tego bądźcie pewni, że ci, którzy połączyli się inaczej, niż Słowo Boże dozwala, nie są połączeni przez Boga, ani też małżeństwo ich nie jest prawowite”.

Zatrzymał się, wedle zwyczaju. Czyż pauzę po tym zdaniu przerywa kiedykolwiek odpowiedź? Czy choćby raz na sto lat? Toteż duchowny, który oczu nie oderwał od książki i zatrzymał się tylko na chwilę, już wyciągał rękę ku panu Rochesterowi, już otwierał usta, by wypowiedzieć pytanie: „Czy masz wolną i nieprzymuszoną wolę pojąc tę kobietę za małżonkę?”, gdy wyraźny głos odezwał się w pobliżu:

— Małżeństwo zawarte być nie może. Oświadczam, że istnieje przeszkoda.

Kapłan podniósł wzrok na mówiącego i stał niemy, kościelny również. Pan Rochester zachwiał się, jak gdyby ziemia zatrzęsała mu się pod stopami. Stanąwszy mocniej i nie odwracając głowy ani oczu, powiedział:

— Proszę ciągnąć dalej.

Głębokie milczenie zapadło, gdy wymówił te słowa głębokim, lecz cichym tonem. Po chwili pan Wood przemówił:

— Nie mogę ciągnąć dalej, dopóki pierwej nie zbadam tego oświadczenia i nie przekonam się, czy to prawda czy fałsz.

— Małżeństwo nie może dojść do skutku — odezwał się głos za nami. — Mam możność udowodnić to, co twierdzą. Istnieje tu przeszkoda niepokonana.

Pan Rochester słyszał, ale nie zważał na to, co słyszy. Stał uparty, sztywny, bez ruchu, rękę tylko swoją pochwytał. Ach, jakież gorący, jakież silny był to uścisk! Błede, stanowcze, szerokie czoło jego wyglądało w tej chwili jakby z marmuru wykute! Jak błyszcząły jego oczy, przytomne i czujne wciąż, a jednak jakby oszalałe w głębi!

Widać było, że pan Wood nie wiedział, co ma począć.

— Jakiegoż rodzaju jest ta przeszkoda? — zapytał. — Może da się ją obejść, może jakoś wytłumaczyć?

— Wątpię — brzmiała odpowiedź. — Nazwałem ją „niepokonaną”, a mówię na pewnej podstawie.

Mówca wysunął się naprzód i oparł się o galerię. Ciągnął dalej, wymawiając każde słowo wyraźnie, spokojnie, dobitnie, chociaż nie głośno.

— Przeszkodą po prostu jest tu poprzednie małżeństwo. Pan Rochester ma żonę, w danej chwili żyjącą.

Wszystkie nerwy na dźwięk tych cicho wymówionych słów szarpnęły się we mnie, jak nigdy nie szarpnęły nimi huk pioruna. Mróz ani ogień nigdy tak gwałtownie na bieg krwi mej nie podziały. Opanowywałam się jednakże, nie groziło mi omdlenie. Spojrzałam na pana Rochester, wywołałam jego spojrzenie. Cała twarz jego była jak bezbarwna skała, w oczach lśniła iskra i taił się piorun. Nie zaprzeczał niczemu — zdawało się, że wyzywa świat cały. Bez słów, bez uśmiechu, jak gdyby nie rozpoznawał we mnie ludzkiej istoty, objął mnie tylko wpół ramieniem i przykuł do swego boku.

²³¹Marston Moor — chodzi o bitwę na Marston Moor (niedaleko wsi Long Marston w hrabstwie North Yorkshire), która miała miejsce 2 lipca 1644 podczas angielskiej wojny domowej. [przypis edytorski]

— Kto pan jesteś? — zapytał obcego.
— Nazywam się Briggs, jestem notariuszem z Londynu.
— I chce mi pan narzucić żonę?
— Chcę panu przypomnieć o istnieniu pańskiej małżonki, którą prawo uznaje, choć pan jej nie uznaje.

— Zechciej mi pan podać bliższe szczegóły, jakie jej imię, rodzina, jej miejsce zamieszkania.

— Oczywiście.

Pan Briggs wydobyl papier z kieszeni i przeczytał urzędowym, nosowym głosem:

— „Twierdzą i mogę przedstawić na to dowody, że 20 października roku... — tu była data o piętnaście lat wcześniejsza — Edward Fairfax Rochester z Thornfield Hall w hrabstwie X. i z Ferndean Manor w hrabstwie X. w Anglii pojął za żonę siostrę moją, Berthę Antoinettę Mason, córkę Jonasa Masona, kupca, i Antoinetty, jego żony, Kreolki²³², w kościele X. w Spanish Town, na Jamajce. Akt ślubny wniesiony został do ksiąg kościelnych tegoż kościoła, kopia jego jest obecnie w moim posiadaniu. Podpis: Richard Mason”.

— To, o ile to jest dokument autentyczny, może dowodzić, że byłem ożeniony, ale nie dowodzi, że kobieta, wymieniona tam jako moja żona, żyje dotychczas.

— Żyła trzy miesiące temu — odpowiedział prawnik.

— Skąd panu o tym wiadomo?

— Mam na to świadka, którego świadectwu nawet pan chyba nie zaprzeczy.

— Proszę, niech go pan przedstawi albo ruszaj pan do diabła!

— Najpierw go przedstawię, jest tutaj obecny. Panie Mason, bądź pan łaskaw przyjść tu bliżej.

Pan Rochester na dźwięk tego imienia zaciął zęby. Przebiegł po nim jakiś konwulsyjny dreszcz. Będąc tak blisko, tuż przy nim, odczułam ten wstrząs furii i rozpacz. Drugi z obcych, który dotychczas pozostawał w tyle, teraz postąpił naprzód. Błada twarz wychyliła się znad ramienia prawnika — tak, to był on, Mason. Pan Rochester odwrócił się i przeszył go wzrokiem. Oczy jego, jak często wspominałam, były czarne. Teraz w ich ponurej ciemni błyskały jakieś światła rdzawe, raczej krwawe. Twarz jego zarumieniła się, jak gdyby śniade policzki i blade czoło rozżarzyły się płomieniem ognia, płynącego od serca. Podniósł silne ramię i byłby uderzył Masona, byłby go rzucił na posadzkę kościoła i zabił może zapamiętałym ciosem, gdyby nie to, że Mason się cofnął, wydając słaby okrzyk: „O wielki Boże!”. Pogarda ostudziła gniew pana Rochester, pasja jego zamarlała jak pod mrozącym powiewem, zapytał tylko:

— I cóż ty masz do powiedzenia?

Zbielałe wargi Masona wyszeptały jakąś niezrozumiałą odpowiedź.

— Diabli nadali, że też ty nie potrafisz odpowiedzieć wyraźnie. Jeszcze raz pytam, co ty masz do powiedzenia?

— Panie, panie — przerwał duchowny — niech pan nie zapomina, że jest pan w świątyni! — Po czym, zwracając się do Masona, zapytał łagodnie: — Co panu o tym wiadomo? Czy żona tego pana żyje czy nie?

— Odwagi — nalegał prawnik — niechże pan mówi!

— Żyje i mieszka teraz w Thornfield Hall — wyraźniej już wykrztusił Mason. — Widziałem ją tego roku w kwietniu. Jestem jej bratem.

— W Thornfield Hall! — wykrzyknął kapłan. — Ależ to niemożliwe, jestem starym mieszkańcem tych stron, mój panie, a nigdy nie słyszałem o żadnej pani Rochester w Thornfield Hall!

Widziałam, jaki posępny uśmiech wykrzywił usta pana Rochester, gdy mruknął:

— Nie, na Boga! Postarałem się o to, by nikt nie słyszał o tym... czy też o niej pod tym nazwiskiem.

Zamyślił się, jak gdyby przez kilka minut sam ze sobą się naradzał. Po czym powziąwszy postanowienie, wyjął je:

²³²Kreolka, Kreol — w Ameryce Łacińskiej i na południu USA potomek europejskich kolonizatorów i emigrantów. [przypis edytorski]

— Dosyć tego! Niech wszystko wystrzeli od razu jak kula z lufy! Panie Wood, proszę zamknąć książkę i zdjąć komżę. Johnie Green — zwrócił się do kościelnego — wyjdźcie z kościoła, nie będzie dzisiaj ślubu.

Kościelny posłusznie wyszedł.

Pan Rochester mówił dalej śmiało, bez ogródek:

— Bigamia to brzydkie słowo... A ja zamierzałem popełnić bigamię, los jednakże mnie przechytrzył czy też Opatrzność mnie powstrzymała, może to ostatnie. W tej chwili nie o wiele lepszy jestem od diabła i jakby mi to mój tu obecny pasterz powiedział, zasługuję niewątpliwie na najsurowszy sąd boży, może na ognie piekielne, na wiekuiste potępienie. Panowie, mój plan został zburzony. To, co ten prawnik i klient jego mówią, jest prawdą: jestem żonaty, a kobieta, która została mi zaślubiona, żyje! Mówi pan, panie Wood, że nigdy pan nie słyszał o żadnej pani Rochester tam we dworze, przypuszczam jednak, że nieraz dawał pan posłuch pogłoskom o jakiejś tajemniczej wariatce, trzymanej tam pod kluczem i strażą. Niektórzy szeptali panu, że to moja przyrodnia siostra z nieprawego łoża, inni, że moja porzucona kochanka. Otóż teraz oznajmiam panu, że ona jest moją żoną, poślubioną przeze mnie piętnaście lat temu Berthą Mason, siostrą tego zucha, który teraz, blady, drżący na całym ciele, pokazuje, jakie odważne serce zdobyć może mężczyznę. Nabierz otuchy, Dicku! Nie bój się mnie! Tak, jak bym nie uderzył kobiety, tak bym nie uderzył i ciebie. Bertha Mason jest obłąkana i pochodzi z obłąkanej rodziny, idioci i wariaci przez trzy pokolenia. Matka jej, Kreolka, była nie tylko wariatką, ale i pijaczką, o czym się dowiedziałem już po ślubie, gdyż przedtem oni milczeli o tych tajemnicach rodzinnych. Bertha, jako posłuszna córka, naśladowała swoją rodzicielkę tak w jednym, jak w drugim. Uroczą miałem towarzyszkę — czystą, mądrą, skromną. Możecie sobie wyobrazić, jaki szczęśliwy był ze mnie człowiek. Jakie sceny bajeczne przeżyłem! Jakie niebiańskie miałem życie, żebyście tylko wiedzieli! Ale ja wam nie potrzebuję dawać bliższych wyjaśnień. Panie Briggs, panie Wood, Richardzie, zapraszam was wszystkich, przyjdźcie do mojego domu i odwiedźcie pacjentkę pani Poole, a *moją żonę!* Zobaczycie, jakiego rodzaju istotę, oszukany, pojąłem w małżeństwo, i osądzicie, czy miałem prawo czy nie zerwać taki związek i szukać współżycia z człowiekiem. To dziewczątko — ciągnął dalej, patrząc na mnie — tyle wiedziało, co i pan, panie Wood, o tej wstrętnej tajemnicy. Myślała, że wszystko załatwiam prawnie, że wszystko jest w porządku. Nie śniło się jej, że może być wciągnięta w fikcyjny związek z nieszczęśliwcem już związanym ze złą, obłąkaną i zbydlęconą istotą! Pójdźcie wszyscy, proszę, pójdźcie za mną!

Wciąż trzymając mnie silnie przy sobie, wyszedł z kościoła. Trzej panowie poszli za nami. Przed frontowymi drzwiami dworu stał powóz.

— Zabierz powóz do wozowni, Johnie — rozkazał pan Rochester chłodno. — Nie będzie dzisiaj potrzebny.

Gdyśmy weszli, pani Fairfax, Adela, Sophie i Leah wystąpiły naprzeciw nas z powitaniem i życzeniami.

— Idźcie każda w swoją drogę! — krzyknął pan domu. — Co mi po waszych życzeniach? Komu potrzebne? Nie mnie! O piętnaście lat są spóźnione!

Przeszedł i zaczął wstępować na schody, wciąż trzymając moją rękę i wciąż dając tym panom znaki, by szli za nim, co oni też czynili. Weszliśmy na pierwsze schody, przeszliśmy wzdłuż korytarza i stamtąd udaliśmy się na trzecie piętro. Niskie, czarne drzwi, otworzone kluczem pana Rochester, wpuściły nas do obwieszonego makatami pokoju z wielkim łóżkiem i malowaną szafą.

— Znasz to miejsce, Richardzie — zwrócił się pan domu do Masona — ona cię tutaj pogryzła i pchnęła nożem.

Podniósł zasłonę ze ściany, odkrywając drugie drzwi, te także otworzył. W pokoju bez okna palił się ogień, osłonięty wysoką i silną kratą, i lampa, zawieszona u sufitu na łańcuchu. Grace Poole nachylała się nad ogniem, widocznie gotując coś w garnuszku. W głębokim cieniu, w najdalszym końcu pokoju, postać jakaś biegała tam i z powrotem. Co to było — czy zwierzę czy ludzka istota — trudno było na pierwszy rzut oka rozpoznać. Posuwało się to, zdaje się, na czworakach, parskało i mruczało jak dziwne jakieś dzikie zwierzę. Jednakże ubrane było porządnie, a obfitość ciemnych, siwiejących włosów, rozczochranych jak grzywa, zakrywała głowę i twarz.

Tajemnica, Żona,
Szaleństwo

— Dzień dobry, pani Poole! — przemówił pan Rochester. — Jak się pani miewa? I jak się miewa dzisiaj pani pupilka?

— Mamy się nie najgorzej, dziękuję panu — odpowiedziała Grace, odstawiając ostrożnie garnuszek. — Trochę burkliwa, ale nie „szalejąca”.

Dziki krzyk zadał kłam tej korzystnej ocenie. Ubrana hiena podniosła się i stała, wysoka, na tylnych łapach.

— Ach! Panie, ona pana widzi! — zawołała Gracja — lepiej niechaj pan odejdzie.

— Tylko kilka chwil, Grace, musisz mi pozwolić na kilka chwil tylko.

— A więc niechże pan uważa... Na miłość boską, niechże pan uważa!

Wariatka ryknęła, odgarnęła z twarzy splątane włosy i patrzyła dziko na gości. Poznalam tę fioletową twarz, te obrzękłe rysy. Pani Poole zbliżyła się.

— Usuń się pani z drogi — rzekł pan Rochester, odpychając ją na bok — chyba ona teraz nie ma noża, a ja dobrze uważam.

— Nigdy się nie wie, co ona mieć może, panie. Jest taka przebiegła, możliwości człowieka przechodzi zglębienie jej chytrkości.

— Może byśmy już poszli — szepnął Mason.

— A idźże do diabła! — ofuknął go szwagier.

— Uważać! — krzyknęła Grace.

Trzej panowie cofnęli się równocześnie. Pan Rochester rzucił mnie poza siebie, wariatka skoczyła i ze złością chwyciła go za gardło, przykładając zęby do jego policzka. Zaczęła się walka, zmaganie. Była to wielka kobieta, wzrostem prawie dorównująca mężowi, a przy tym tęgą. Okazywała męską siłę w walce, parę razy omal że go nie zadusiła, mimo że on był tak atletycznie mocny. Mógł uwolnić się od niej jednym, dobrze wymierzonym ciosem, ale nie chciał bić, chciał tylko poskromić ją siłą. Na koniec opanował jej dłonie. Grace Poole podała mu sznur, skrępował ręce szalonej na plecach. Z pomocą dłuższego sznura, który był pod ręką, przywiązał ją do krzesła. Wszystko to odbywało się wśród najdzikich wrzasków i konwulsyjnych rzutów ciała obłąkanej. Pan Rochester, ukończywszy to zadanie, odwrócił się do widzów. Popatrzył na nich z uśmiechem gorzkim i zrozpaczonym.

— Taka oto jest *moja żona* — powiedział. — Taki jest jedyny małżeński uścisk, jaki znać mi wolno... Takie pieśczęty mają mnie cieszyć w wolnych chwilach! A tu oto jest *to* — tu rękę położył na moim ramieniu — co pragnąłem zdobyć. Ta młoda dziewczyna, która tak poważna i spokojna stoi u wrót piekła i przygląda się szatańskim harcom w skupieniu. Upragniona przeze mnie była taka odmiana... Panie Wood, panie Briggs, popatrzcież, jaka różnica! Porównajcież te czyste oczy z tamtymi czerwonymi galkami, tę twarz z tamtą maskarą, tę postać z tamtą bezkształtną masą ciała, a potem sądzcie mnie, kapłanie Ewangelii i stróże prawa i pamiętajcie, że jak będziecie sądzili, tak będziecie sądzeni! A teraz odejdźcie, proszę! Muszę zamknąć swój skarb.

Usunęliśmy się wszyscy. Pan Rochester pozostał jeszcze na chwilę, by wydać Grace Poole jakieś polecenie. Adwokat przemówił do mnie, gdy schodziliśmy ze schodów:

— Pani łaskawa — rzekł — wolna jest od wszelkiego zarzutu. Wuj pani ucieszy się, gdy się o tym dowie, o ile, naturalnie, jeszcze żyć będzie, gdy pan Mason powróci na Madere.

— Mój wuj! Co pan wie o nim? Czy go pan zna?

— Pan Mason go zna. Pan Eyre przez kilka lat był przedstawicielem jego firmy w Funchalu²³³. Gdy wuj pani otrzymał list z wiadomością o zamierzonym małżeństwie pani z panem Rochesterem, pan Mason przypadkiem był właśnie u niego. Pan Eyre wspominał o tej wiadomości, gdyż wiedział, że mój klient znał pana o tym nazwisku. Pan Mason, zdziwiony i zmartwiony, jak pani może sobie wyobrazić, wyjawiał rzeczywisty stan rzeczy. Wuj pani (przykro mi, że muszę to powiedzieć) jest obłożnie chory. Zważywszy na istotę jego cierpienia, urząd starczy już mocno posunięty, trudno się spodziewać, by się mógł jeszcze podźwignąć. Nie mógł zatem sam pośpieszyć do Anglii, by wypłatać panią z sieci, w jaką pani wpadła, ale błagał pana Masona, by nie tracąc czasu, poczynił odpowiednie kroki ku zapobieżeniu nieprawemu małżeństwu. Odesłał go do mnie po pomoc. Śpieszyłem się, jak tylko mogłem, i rad jestem, że się nie spóźniłem, jak i pani

²³³Funchal — portugalskie miasto na pld. wybrzeżu Madery. [przypis edytorski]

niewątpliwie. Gdybym nie był przekonany, że wuj pani umrze, zanim by pani zdążyła dostać się na Madere, radziłbym pani towarzyszyć panu Masonowi w jego powrotnej drodze. W obecnym jednakże położeniu myślę, że lepiej, by pani pozostała w Anglii, dopóki nie otrzyma dalszych wiadomości albo od pana Eyre'a, albo o nim. Czy czekamy tu jeszcze na coś? — zwrócił się do pana Masona.

— Nie, nie... Chodźmy już — odpowiedział tamten trwożliwie i nie czekając na pożegnanie z panem Rochesterem, wyszli obydwaj przez hall. Duchowny zatrzymał się jeszcze, by parę słów upomnienia czy nagany udzielić swemu dumnemu parafianinowi. Spełniwszy ten obowiązek i on się pożegnał.

Słyszałam, że odchodzi, stojąc w na wpół otwartych drzwiach mojego pokoju. Wtedy zamknęłam je, zasunęłam rygiel i zaczęłam — nie płakać, nie rozpaczać, na to zbyt jeszcze byłam spokojna, ale automatycznie zdejmować ślubną suknię i na jej miejsce przywdziawać wełnianą, którą myślałam wczoraj, że ostatni raz mam na sobie. A potem usiadłam. Czułam się słaba i zmęczona. Oparłam ramiona o stół i głowa mi na nie opadła. I teraz zaczęłam myśleć. Dotychczas tylko słuchałam, patrzyłam, poruszałam się, chodziłam tu i tam, gdzie mnie prowadzono lub ciągnięto, widziałam wypadki następujące jedno po drugim, jedno po drugim wyjaśnienie. Ale *teraz zaczęłam myśleć*.

Wypadki tego ranka miały przebieg całkiem spokojny — z wyjątkiem jednej krótkiej sceny z obłąkaną. Przejście w kościele nie było hałaśliwe, nie było wybuchu namiętności, głośnych sporów, kłótni, zuchwałych wyzywań, lez i lkań. Powiedziano kilka słów, zrobiono spokojnie zastrzeżenie ważności ślubu, padło kilka surowych, krótkich zapytań ze strony pana Rochesterera, dano odpowiedzi, wyjaśnienia, przedstawiono dowód. Mój pan otwarcie uznał prawdę, po czym obejrzano żyjący dowód. Ci, co przyszli, poszli sobie, a teraz było po wszystkim.

Byłam w moim własnym pokoju, jak zwykle — niby ta sama, bez widocznej zmiany. A jednak gdzież była Jane Eyre wczorajsza? Gdzie było jej życie? Gdzie były jej marzenia?

Jane Eyre, wczoraj płonąca, pełna nadziei kobieta — panna młoda — dziś była znowu zziębniętym, samotnym dziewczęciem. Życie jej było blade, widoki na przyszłość smutne. Mróz grudniowy przyszedł w pełni lata. Nadzieje moje wszystkie umarły pod obuchem strasznego wyroku, takiego, jaki padł niegdyś na wszystkich pierworodnych w krainie Egiptu. Spojrzałam na swe najmiłsze życzenia: leżały martwe, zimne, sine trupki, które już nigdy odżyć nie mogły. Spojrzałam na miłość moją — na to uczucie, własność mego pana, gdyż on je stworzył. Drżało w moim sercu jak chore dziecko w zimnej kołysce. Choroba i męka nim wstrząsała. Nie mogło szukać objęć pana Rochesterera, nie mogło zaczerpnąć ciepła z jego piersi. Ach, nigdy już nie będzie mogło do niego się zwrócić, gdyż wiara zawiodła, zaufanie znikło! Pan Rochester nie był już dla mnie tym, czym był pierwiej, gdyż nie był tym, za co go miałam. Nie chciałam przypisywać mu występku, nie chciałam powiedzieć, że mnie oszukał, ale pojęcie nieskazitelnej prawdy już się z wyobrażeniem o nim nie wiązało. Widziałam jasno, że muszę się usunąć z jego otoczenia. Kiedy, jak, dokąd? Tego nie rozróżniałam na razie, ale on sam, nie wątpiłam o tym, będzie mnie śpiesznie chciał wydalic z Thornfield. Rzeczywistego przywiązania, zdaje się, nie mógł czuć dla mnie, był to tylko namiętny kaprys. Ten został udaremniiony, teraz już nie będzie mnie pragnął... Bałabym się nawet spotkać z nim teraz, mój widok musiałby być dlań przykry. O, jakież było moje zaślepienie! Jak niewłaściwie postępowałam!

Oczy miałam zakryte, zamknięte. Falująca ciemność zdawała się mnie opływać, a za-stanowienie wpadało prądem czarnym, zmaconym. Pozostawiona samej sobie, osłabła, niezdolna do wysiłku, wyobrażałam sobie, że ległam w wyschłym łożysku wielkiej rzeki, że słyszę huczące w dalekich górach wody, że czuję, iż strumień nadpływa. Nie miałam dość woli, by wstać, nie miałam siły uciekać. Leżałam bezsilna i pragnęłam umrzeć. Jedna myśl tylko jeszcze kołatała we mnie żywa — pamięć o Bogu. Ona zrodziła niewypowiedzianą słowami modlitwę. Te słowa snuły się w ciemnicy mej duszy jak coś, co powinnam była wyszeptać, choć do wyrażenia brakło mi energii.

„Nie stój z dala ode mnie, bo klęska jest blisko, a nie ma wspomóżyciela”²³⁴.

²³⁴Nie stój z dala ode mnie, bo klęska jest blisko, a nie ma wspomóżyciela — Ps, 22, 12 (cytat za Biblią Tysiąclecia). [przypis edytorski]

Miłość, Kłamstwo,
Cierpienie, Marzenie,
Rozczarowanie, Trup

Modlitwa, Rozpacz

Niebezpieczeństwo było bliskie, a że nie zaniósłam modłów do nieba o odwrócenie go, przyszło — pełną, ciężką falą zalał mnie strumień. Cała świadomość mojego osieroconego życia, straconej miłości, zgaszonej nadziei, śmiertelnie ugodzonej wiary potężnie nade mną zawisła. Gorycz tej ciężkiej godziny nie da się wysłowić. Zaiste, „Woda mi sięga po szyję. Ugrzązłem w mule topieli i nie mam nigdzie oparcia, trafiłem na wodną głębinę i nurt wody mnie porywa”²³⁵.

ROZDZIAŁ XXVII

O pewnej godzinie po południu podniosłam głowę, a widząc, że słońce na ścianie zaznacza bliski już zachód, zadałam sobie pytanie: „I co ja teraz pocznę?”

Jednakże odpowiedź, jaką myśl moja dała: „Opuść Thornfield natychmiast”, była tak nagła, tak straszna, że zatkałam uszy. „Nie jestem żoną Edwarda Rochester, ale to jeszcze najmniejszy powód do żalu — mówiłam sobie. — Zbudziłam się wprawdzie z najpiękniejszych snów i przekonałam się, że próżne są i puste i to jest okropne, ale potrafiłabym to znieść i opanować się. Natomiast nieznosna jest myśl, że muszę go opuścić stanowczo, niezwłocznie, nieodwołalnie. Tego uczynić nie mogę”.

Lecz wtedy głos w moim wnętrzu powiedział mi, że mogę to uczynić, i przepowiedział, że to uczynię. Walczyłam z własnym postanowieniem, pragnęłam być słaba, by uniknąć nowych, dotkliwych cierpień, które widziałam, że mnie czekają...

„A więc niech mnie ktoś stąd wyrwie! — wołałam w duszy. — Niechaj mi ktoś dopomoże!”

„Nie, sama się stąd wyrwiesz, nikt ci nie pomoże, sama wydrzesz sobie prawe oko, sama odetniesz sobie prawą rękę. Serce twoje będzie ofiarą, a ty kapłanem, który je przebije”.

Wstałam nagle, przerażona samotnością, którą ten srogi sędzia nawiedzał, milczeniem, w jakim ten okropny głos rozbrzmiewał. Kręciło mi się w głowie, gdy powstałam. Jasne było, że osłabłam z podniecenia i głodu, nic bowiem dotąd nie miałam w ustach, nawet śniadania nie jadłam. I z dziwnie bolesnym skurczem serca pomyślałam teraz, że chociaż tak długo byłam tu zamknięta, nikt nie zapytał, jak się czuję. Nikt mnie nie poprosił, żebym zeszła na dół. Nawet mała Adela nie zapukała do drzwi ani nie odwiedziła mnie pani Fairfax. „Przyjaciele zawsze zapominają o tych, których szczęście opuściło” — szepnęłam, odsuwając rygiel i wychodząc. Potknęłam się o jakąś przeszkodę. W głowie miałam zawrót, wzrok mi się mącił, nogi się pode mną chwiały. Nieprędko mogłam przyjść do siebie. Upadłam, ale nie na podłogę, chwyciło mnie wyciągnięte ramię. Podniosłam oczy — to pan Rochester mnie podtrzymywał, siedząc na krześle pod progiem mojego pokoju.

— Wychodzisz nareszcie — powiedział. — Ja od tak dawna czekam tu na ciebie i słucham, ale żadnego poruszenia nie usłyszałem ani łkania. Jeszcze pięć minut tej śmiertelnej ciszy, a byłbym wyrwał zamek jak włamywacz. Tak, więc ty mnie unikasz? Zamykasz się i zamartwiasz się sama?! Wołałbym, byś przyszła i zasypała mnie gwałtownymi wyrzutami. Jesteś porywczą, spodziewałem się jakiejś sceny. Byłem przygotowany na gorący deszcz łez, tylko pragnęłam, byś wyplakała je na mojej piersi, a tymczasem przyjęła je nieczuła podłoga albo twoja przemoczona chusteczka. Ale ja się myślę... Tyś wcale nie płakała! Widzę wybladłą twarzyczkę i zgasłe oko, lecz ani śladu łez. Czyżby więc twoje serce krwią płakało, Jane? Jane, ani słowa wymówki? Żadnego gorzkiego, ostrego słówka? Nic, co by zraniło uczucie, ukłuło dumę, nic? Siedzisz spokojnie, tak jak cię usadziłem, i patrzysz na mnie zmęczonym, biernym wzrokiem. Jane, ja nigdy nie zamierzałem tak ciebie zranić. Gdyby człowiek, mający jedną tylko owieczkę, drogą mu jak własne dziecko, która by jadła chleb jego, piła z jego czarki i na piersiach jego sypiała, gdyby człowiek ten przez jakąś pomyłkę zabił ją w jatkach, nie mógłby krwawej pomyłki swojej żałować bardziej, niż ja żałuję mojej. Czy ty mi kiedykolwiek przebacysz?

Ależ tak, ja mu przebaczyłam w tej chwili, przebaczyłam mu natychmiast. Taki głęboki żal widniał w jego oczach, taka prawdziwa litość drżała w jego głosie, taka męska energia przebijała w każdym słowie, a przy tym taka niezmienna miłość płonęła w jego

²³⁵Woda mi sięga po szyję. Ugrzązłem w mule topieli i nie mam nigdzie oparcia, trafiłem na wodną głębinę i nurt wody mnie porywa — Ps 69, 2-3 (cytat za Biblią Tysiąclecia). [przypis edytorski]

twarzy i w każdym spojrzeniu, że przebaczyłam mu wszystko — jednakże nie słowami, nie zewnętrznie, tylko w głębi mego serca.

— Ty wiesz, że ze mnie lotr, Jane? — zapytał po chwili smutno, dziwiąc się, przypuszczam, mojemu milczeniu i mojej bierności, płynącym raczej z osłabienia niż z rozmyślnej woli.

— Tak, proszę pana.

— To powiedz mi to ostro, a bez ogródek, nie oszczędzaj mnie!

— Nie mogę, jestem zmęczona i źle się czuję. Prosiłabym o trochę wody.

Zadrżał, westchnął głęboko i wzięwszy mnie na ręce, zaniósł na dół. Zrazu nie wiedziałam, do którego pokoju, wszystko mi mgła zasłaniała przed oczyma. Niebawem jednak poczułam ożywcze ciepło ognia, gdyż choć to lato było, przejął mnie chłód lodowaty w moim pokoju. Podał mi do ust wina, przełknęłam je i to mnie ożywiło. Następnie zjadłam coś, co mi dał, i wkrótce przyszedł do siebie. Byłam w bibliotece, siedziałam w jego fotelu, on był tuż blisko... „Gdybym mogła skończyć teraz życie bez zbyt ostrego cierpienia, jak by to dobrze dla mnie było! — pomyślałam. — Nie potrzebowałabym zdobywać się na wysiłek zrywania więzów serdecznych, wiążących mnie z nim... Muszę go opuścić, jak się zdaje... Nie chciałabym go opuścić, nie mogę go opuścić”.

— Jak się teraz czujesz, Jane?

— O wiele lepiej, panie, wkrótce będzie mi zupełnie dobrze.

— Napij się jeszcze wina, Jane.

Posłuchałam, po czym on odstawił kieliszek na stół, stanął przede mną i popatrzył na mnie uważnie. Nagle obrócił się z bezsłownym okrzykiem jakiegoś namiętnego wzruszenia, poszedł szybkim krokiem na koniec pokoju i powrócił. Nachylił się ku mnie, chcąc mnie pocałować, jednakże ja pamiętałam, że pieszczoty już teraz są zakazane. Odwróciłam się i odsunęłam jego twarz.

— Co! Jak to? — zawołał żywo. — O, już wiem! Nie chcesz pocałować męża Berthy Mason? Uważasz, że moje uściski do kogoś innego należą?

— W każdym razie ja do nich nie mam prawa, proszę pana.

— Dlaczego, Jane? Ja ci oszczędzę trudu długiego gadania, odpowiem za ciebie... Ponieważ ja już mam żonę, odpowiedziałabyś. Czy odgadłem?

— W istocie.

— Jeżeli tak myślisz, musisz mieć dziwne o mnie wyobrażenie. Musisz mnie uważać za rozpustnika, intryganta, za podłego niegodziwca, który udawał bezinteresowną miłość, ażeby cię wciągnąć w rozmyślnie zastawioną pułapkę, ażeby obedrzeć cię z honoru i z szacunku dla samej siebie... Co ty mi na to odpowiesz? Widzę, że nie możesz nic powiedzieć, bo najpierw, jesteś tak słaba, że z trudem oddychasz. Po wtóre, jeszcze nie przyzwyczaiłaś się obwiniać mnie i oczerniać, a przy tym źródła łez są otwarte i gotowe wytrysnąć, gdybyś coś więcej mówiła. Ty zaś nie masz ochoty czynić wymówek i wyrzutów, robić scen. Myślisz nad tym, jak *działać*, *mówienie* uważasz za rzecz niepotrzebną. Ja ciebie znam, Jane... Toteż mam się na baczności.

— Proszę pana, ja nie chcę działać przeciwko panu... — odpowiedziałam, ale niepewny głos ostrzegł mnie, że należy przerwać zdanie.

— Nie w twoim rozumieniu słowa, ale w moim, układasz plany na moją zgubę. Przecież powiedziałaś, że jestem człowiekiem żonatym. Jako żonatego człowieka będziesz mnie unikała, trzymała się z dala ode mnie. Oto przed chwilą odmówiłaś mi pocałunku. Zamierzasz stać się dla mnie zupełnie obca, żyć pod tym dachem jako nauczycielka Adeli. Słowem, jeżeli przyjacielskie uczucie pociągnie cię kiedy do mnie, powiesz sobie: „Ten człowiek o mało nie zrobił ze mnie swojej kochanki, muszę być względem niego zimna jak lód, jak skała”. I zimna i twarda jak lód, jak skała staniesz się dla mnie.

Odchrząknęłam, starałam się opanować głos i odpowiedziałam:

— Wszystko się dla mnie zmieniło, proszę pana, i ja muszę się zmienić, to niewątpliwe. A na to, by uniknąć ciągłych buntów uczucia i ciągłych walk ze wspomnieniami jest tylko jeden sposób: Adela, proszę pana, musi dostać inną nauczycielkę.

— Ach, Adela pójdzie do szkoły, to już postanowiłem. Ani też nie myślę dręczyć cię ohydnymi wyobrażeniami i wspomnieniami Thornfield Hall, tego przeklętego miejsca, tego ciasnego, kamiennego piekła z tym żywym diabłem, gorszym od legionu złych du-

chów, które sobie wyobrażamy. Jane, ty tutaj nie pozostaniesz, ani ja. Źle zrobiłem, że cię w ogóle sprowadziłem do Thornfield Hall, wiedząc, co tu pokutuje. Domownikom zaleciłem ukrywać przed tobą, zanim cię jeszcze poznałem, wszelką wiadomość, jakie przekleństwo ciąży nad tym miejscem. Po prostu dlatego, że obawiałem się, iż Adela nigdy nie będzie mogła mieć nauczycielki, któż bowiem chciałby dzielić dach z taką mieszkanką? Moje plany nie pozwalały mi usunąć wariatki gdzie indziej, chociaż posiadam stary dom, Ferndean Manor, jeszcze bardziej ustronny, jeszcze bardziej ukryty niż ten, gdzie mogłem być ją bezpiecznie umieścić. Powstrzymały mnie jednak wyrzuty sumienia, bo to miejsce niezdrowo położone, w głębi lasów. Prawdopodobnie tamte wilgotne mury prędko by mnie uwolniły od ciężaru jej istnienia, jednakże każdy niegodziwiec ma swój rodzaj niegodziwości; w moim nie leży skłonność do powolnego mordowania nawet tego, czego najbardziej nienawidzę. Ukrywając jednakże przed tobą sąsiedztwo wariatki, postąpiłem jak ktoś, kto nakrywszy dziecko płaszczem, położyłby je w cieniu trującego drzewa upas²³⁶. Otoczenie tego szatana jest zatrute i zawsze było zatrute. Ale ja zamknę Thornfield Hall, zabiję gwoździami frontowe drzwi, deskami dolne okna, dam Grace Poole dwieście funtów rocznie, żeby mieszkała tu z *moją żoną*, jak ty tę okropną czarownicę nazywasz. Grace wiele robi dla pieniędzy, a będzie miała syna swego, który jest dozorcą w zakładzie w Grimsby²³⁷, do towarzystwa i do pomocy w razie ataków, gdy *mojej żonie* zachce się podpalać ludzi nocą w łóżkach, wbijać w nich noże albo ciało im odgryzać od kości.

— Panie — przerwałam mu — jest pan niemiłosierny dla tej nieszczęsnej kobiety. Mówi pan o niej z nienawiścią, z mściwością i wstrętem. To okrutne, przecież ona nie jest winna temu, że jest obłąkana.

— Jane, moje maleństwo kochane (tak cię będę nazywał, gdyż tym jesteś), ty sama nie wiesz, co mówisz. Ty znowu mnie fałszywie sądzisz. Ja nie dlatego jej nienawidzę, że jest obłąkana. Gdybyś ty była obłąkana, czy myślisz, że ja bym cię nienawidził?

— Myślę, że tak, panie.

— Więc mylisz się, nie znasz mnie wcale, nie wiesz, do jakiego rodzaju miłości jestem zdolny. Każdy atom twojego ciała jest mi tak drogi jak mój własny. W cierpieniu, w chorobie, zawsze byłby mi drogi. Umysł twój jest moim skarbem, a gdyby się zaćmił, skarbem moim by zawsze pozostał. Gdybyś szalała, krępowałaby cię moje ramiona, nie kaftan bezpieczeństwa, gdybyś rzuciła się na mnie tak dziko jak owa kobieta dziś rano, przyjąłbym cię uściskiem przynajmniej równie miłującym jak obezwładniającym. Nie cofałbym się przed tobą ze wstrętem jak przed tamtą. W twoich spokojnych chwilach nikt by nad tobą nie czuwał, nikt by cię nie pielęgnował prócz mnie, a otaczałbym cię niewyczerpaną tkliwością, choćbyś mi się najlżejszym nie odplącała uśmiechem. Nigdy bym w twoje oczy wpatrywać się nie przestawał, choćby mnie oczy te przestały poznawać... Ale czemuż tym torem myśli moje idą? Mówiłem o usunięciu cię z Thornfield. Wszystko, jak wiesz, przygotowane jest do natychmiastowego wyjazdu, jutro pojedziesz. Proszę cię tylko o zniesienie jednej jeszcze nocy pod tym dachem, Jane, a potem pożegnamy nędzę jego i strachy na zawsze! Mam miejsce, dokąd możemy się udać, a które będzie bezpiecznym zaciszem, schronieniem przed znienawidzonymi wspomnieniami, niepożądanym najściem ludzi, nawet przed fałszem i obmową.

— I niech pan zabierze Adelę ze sobą — przerwałam — będzie pan miał w niej towarzyszkę.

— Co ty mówisz, Jane? Powiedziałem ci, że pošlę Adelę do szkoły. Na co mi dziecko potrzebne do towarzystwa? I to nie moje własne dziecko, lecz tej francuskiej baletnicy. Dlaczego chcesz mi ją narzucić? Pytam, dlaczego przeznaczasz mi Adelę na towarzyszkę?

— Mówił pan o usunięciu się w zacisze, a zacisze i samotność są nudne, za nudne dla pana.

— Samotność! Samotność! — powtórzył zirytowany. — Widzę, że musi tu dojść do wyjaśnienia. Nie wiem, w jaki sfinksowy wyraz układa się twoja twarz. Ty masz podzielać moją samotność. Rozumiesz?

²³⁶ *upas* — trujące drzewo z rodziny morwowo-figowej. [przypis edytorski]

²³⁷ *Grimsby* — angielskie miasto w hrabstwie Lincolnshire. [przypis edytorski]

Potrząsnęłam głową. Trzeba było pewnej odwagi, by widząc go tak podnieconym, zdobyć się choćby na ten niemy znak przeczenia. Tak jak chodził szybko po pokoju, tak stanął nagle jak w ziemię wrosnięty. Popatrzył na mnie długo i wnikliwie, ja odwracałam oczy i starałam się wyglądać spokojnie i naturalnie.

— A ot i węzełek w stylu Jane — powiedział w końcu spokojniej, niż się, z wyglądu jego sądząc, spodziewałam. — Nic jedwabna nawijała się dotąd dość gładko, ale ja zawsze wiedziałam, że przyjdzie supełek, a wtedy łam sobie głowę! Otóż i jest. Teraz tylko utrapienie, irytacja, przykrości bez końca! Bóg widzi! Mam ochotę użyć cząsteczki siły Samsona i zerwać tę płataninę jak sznur!

Zaczął znowu chodzić, ale wkrótce przystanął, tym razem wprost przede mną.

— Jane, czy posłuchasz rozsądnego słowa? — nachylił się nade mną i mówił mi wprost do ucha. — Bo jeżeli nie, będę musiał uciec się do przemocy!

Głos jego był ochryply. Wyglądał jak człowiek gotowy zerwać niezdolne więzy i rzucić się na oślep w nieobliczalność nadużycia. Widziałam, że jeszcze chwila, jeszcze jeden poryw uniesienia, a stracę nad nim władzę. Tylko ta chwila, ten jeden moment czasu pozostawał mi na opanowanie go i powstrzymanie. Jeden ruch odpychający, ucieczka, strach byłyby przypieczętowały moją i jego zgubę... Ale ja się nie bałam, nie bałam się ani trochę. Miałam poczucie wewnętrznej mocy, możliwości wpływu i to mnie podtrzymywało. Ujęłam jego zaciśniętą pięść, rozprostowałam skurczone palce i przemówiłam łagodnie, uspokajająco:

— Niech pan usiądzie, będę z panem rozmawiała, dopóki pan zechce. Wysłucham wszystkiego, co pan ma mi do powiedzenia, bez względu na to, czy słowa pańskie będą rozsądne czy nie.

Usiadł, nie od razu jednakże mógł mówić. Walczyłam ze łzami już dosyć długo. Z wielkim trudem dotąd je powstrzymywałam, ponieważ wiedziałam, że przykrość mu sprawią. Teraz dałam im folgę. Jeżeli go zabolą, to tym lepiej... Rozplakałam się serdecznie.

Niebawem zaczął mnie poważnie prosić, bym się uspokoiła. Odpowiedziałam, że nie mogę, skoro jego taka pasja ponosi.

— Ależ ja się nie gniewam, Jane, ja tylko kocham cię tak bardzo... A ty bladą twarzą uzbroiłaś w taki stanowczy, lodowaty wyraz, że nie mogłem tego znieść. No, cicho już, cicho... I obetrzyj oczy.

Złagodzony głos jego dowodził, że się uspokoił, więc i ja stałam się spokojniejsza. Teraz usiłował oprzeć głowę na moim ramieniu, ale ja na to nie pozwoliłam. Wtedy chciał mnie przyciągnąć do siebie — i temu się sprzeciwiłam.

— Jane, Jane! — powiedział z akcentem tak gorzkiego smutku, że dreszcz przebiegł wszystkie moje nerwy — więc ty mnie nie kochasz, Jane? Więc ty ceniłaś tylko moją pozycję i pozycję mojej żony? A teraz, kiedy uważasz, że mężem twoim zostać nie mogę, cofasz się przed moim dotknięciem, jak gdybym był małpą albo ropuchą!

Zabolaly mnie te słowa, ale co mogłam zrobić, co mogłam powiedzieć? Powinnam była zapewne nic nie robić i nic nie mówić, dręczył mnie jednak wyrzut, że ranię jego uczucia, toteż nie mogłam opanować pragnienia złagodzenia rany.

— Owszem, kocham pana — powiedziałam — kocham więcej niż kiedykolwiek. Ale nie mogę okazywać uczucia, nie mogę mu ulegać i teraz po raz ostatni daję mu wyraz.

— Po raz ostatni, Jane? Jak to? Czy myślisz, że potrafisz żyć ze mną, widywać mnie co dzień, a jednak, jeżeli mnie nie przestaniesz kochać, być zawsze zimna i daleka?

— Nie, panie, jestem pewna, że tego bym nie potrafiła. I dlatego widzę, że jest jedna tylko droga, ale pan wpadnie w gniew, gdy ją wymienię.

— Ach, wymień ją! Ja wpadam w pasję, ty za to umiesz płakać.

— Panie Rochester, ja muszę pana opuścić.

— Na jak długo, Jane? Czy na pięć minut, żeby przyczesać trochę potargane włosy i obmyć rozgorączkowaną twarz?

— Muszę opuścić Adelę i Thornfield. Muszę się z panem rozłączyć na całe życie. Muszę rozpocząć nowe istnienie wśród obcych twarzy i w nowych warunkach.

— Naturalnie, powiedziałem ci, że musisz. Pomijam to szaleństwo o rozłączeniu się ze mną. Masz na myśli zapewne, że musisz stać się częścią mnie. Co do nowego istnienia, to wszystko jest w porządku. Będiesz jeszcze moją żoną, ja nie jestem żonaty. Będiesz

Łzy, Gniew

Rozstanie

panią Rochester: i w rzeczywistości, i z imienia. Do ciebie jednej będę należał, póki twe-
go i mego życia. Zamieszkaś w domu, który posiadam na południu Francji. Jest to biała
willa nad brzegiem Morza Śródziemnego²³⁸. Tam będziesz wiodła życie szczęśliwe, bez-
pieczne i bardzo niewinne. Nie lękaj się, nie chcę cię otumanić, nie chcę cię uczynić swoją
kochanką. Dlaczego potrząsasz głową? Jane, bądźże rozsądna, gdyż doprawdy burza się
we mnie zrywa!

Drżały mu głos i ręka, rozszerzały się nozdrza, ogniem błyszcząły oczy. Pomimo to
odważyłam się powiedzieć:

— Panie, pańska żona żyje. Jest to fakt, który pan sam uznał dziś rano. Gdybym żyła
z panem, tak jak pan tego pragnie, byłabym pańską kochanką. Nazywać to inaczej to
wykręt i fałsz.

— Jane, ja nie jestem człowiekiem spokojnym, zapomniałaś o tym. Nie jestem cier-
pliwy, nie jestem chłodny i beznamiętny. Przez litość nade mną i nad samą sobą dotknij
mojego pulsu, przekonaj się, jak bije, i strzeż się!

Wyciągnął do mnie rękę, krew odpłynęła z jego twarzy i warg, powlekała je siność.
Mnie ogarnęła rozpacz. Okrucieństwem było poruszać go tak do głębi oporem, którego
nie znosił, a jednak niepodobna było ustąpić. W tej ostateczności instynktownie wes-
tchnęłam o pomoc do Boga. „Panie Boże, dopomóż mi!” — szepnęłam mimo woli.

— Głupiec ze mnie! — zawołał nagle pan Rochester. — Mówię jej, że nie jestem
żonaty, a nie tłumaczę, dlaczego. Zapominam, że ona nic nie wie o charakterze tej kobiety
ani o okolicznościach, w jakich zawarłem ten przekłety związek. O, jestem pewien, że Jane
zgodzi się ze mną, skoro się dowie o wszystkim, o czym ja wiem! Złóż tylko rączkę twoją
w moją dłoń, Jane, ażebym czuł, tak jak widzę, że jesteś przy mnie, a w kilku słowach
przedstawię ci rzeczywisty stan rzeczy. Czy możesz mnie posłuchać?

— O tak, panie, jeśli pan zechce, mogę słuchać godzinami.

— Ja cię proszę tylko o minuty. Jane, czyś ty kiedyś słyszała, że ja nie byłem najstar-
szym synem w rodzinie, że miałem brata starszego od siebie?

— Przypominam sobie, że pani Fairfax mówiła mi o tym kiedyś.

— A czy ty kiedyś słyszałaś, że ojciec mój był skąpym i chciwym człowiekiem?

— Coś podobnego słyszałam także.

— Otóż, Jane, ojciec mój postanowił utrzymać majątek w całości. Nie mógł znieść
myśli o jego podziale i daniu mi części swoich dóbr. Wszystko, wedle jego woli, miał
dostać brat mój, Rowland. Ale również nie mógł znieść myśli, żeby drugi syn jego był
człowiekiem biednym. Trzeba było znaleźć dla mnie bogatą partię. Zawczasu oglądał się
za żoną dla mnie. Pan Mason, plantator i kupiec z Indii Zachodnich, był jego starym
znajomym. Ojciec wiedział, że ma wielkie posiadłości, że to człowiek bogaty, zasięgał
wiadomości. Dowiedział się, że pan Mason miał syna i córkę, dowiedział się od niego,
że zamierza dać córce trzydzieści tysięcy funtów posagu. To wystarczyło. Gdy skończy-
łem szkoły, posłano mnie na Jamajkę, ażeby tam poślubił żonę, o którą się już dla
mnie starano. Mój ojciec nic mi nie wspominał o jej pieniądzach, powiedział tylko, że
w Spanish Town słynie z piękności, i to nie było kłamstwem. Gdy ją poznałem, była to
piękna kobieta w stylu Blanche Ingram: wysoka, majestatyczna brunetka. Pokazywano
mi ją na zebraniach towarzyskich wspaniale ubraną. Rzadko widywałem ją samą, bardzo
mało rozmawiałem z nią na osobności. Pochlebiała mi i dla mojej przyjemności hojnie
roztaczała przede mną wdzięki swe i talenty. Wszyscy mężczyźni w jej otoczeniu zdawali
się ją podziwiać, a mnie zazdrościć. Byłem olśniony, podniecony i pobudzony zmysłowo.
A że byłem młody, naiwny i niedoświadczony, wyobraziłem sobie, że ją kocham. Jakie-
goż szaleństwa nie popełni mężczyzna, gdy go pobudzi idiotyczna rywalizacja towarzyska,
próżność i zaślepi niedoświadczenie młodości! Jej krewni zachęcali mnie, współzawod-
nicy podniecali, ona mnie pociągała. Małżeństwo zostało zawarte, zanim się obejrzałem.
Och, nie mam dla siebie szacunku, gdy myślę o tym kroku! Męka wewnętrznej pogar-
dy opanowuje mnie dziś jeszcze. Nie kochałem jej wcale, nie szanowałem jej, nawet jej
nie znałem. Nie wiedziałem, czy istnieje bodaj jedna zaleta w jej naturze. Nie zauważy-
łem w niej ani skromności, ani dobroci, ani szczerości, ani subtelności duszy i obojęt-
ności...

Wspomnienia,
Dziedzictwo, Syn, Ojciec,
Bogactwo, Skąpiec,
Małżeństwo

²³⁸ *Morze Śródziemne* — morze międzykontynentalne leżące pomiędzy Europą, Afryką i Azją. [przypis edy-
torski]

I ożeniłem się z nią, marna, ślepa zakuta głowa... Bo tym byłem! Mniej byłbym zgrzeszył, gdybym był... Ale niechaj nie zapominam, do kogo mówię... Matki mojej żony nigdy nie widziałem. Sądziłem, że nie żyje. Gdy upłynął miesiąc miodowy, dowiedziałem się prawdy. Ona żyła, lecz była wariatką, zamkniętą w domu obłąkanych. Był tam także młodszy brat, kompletny idiota, niemowa. Starszego, którego widziałeś (a którego nie mogę objąć tą nienawiścią, jaką ogarniam całą tę rodzinę, gdyż w słabej swej duszy ma on pewne zadatki uczuciowe, interesuje się stale nieszczęsną siostrą, a i do mnie przywiązany był jak pies)... Starszego prawdopodobnie czeka ten sam los. Ojciec mój i mój brat, Rowland, wiedzieli o tym wszystkim, ale myśleli tylko o tych trzydziestu tysiącach funtów i przyłączyli się do spisku przeciw mnie. Były to brzydkie odkrycia, jednakże z wyjątkiem oszukańczego zatajenia nie byłbym o nie robił wyrzutów mojej żonie, nawet gdy się przekonałem, że natura jej obca jest mojej zupełnie, że jej gusty są dla mnie rażące, jej umysł pospolity, niski i ciasny, dziwnie nienadający się do podniesienia wyżej, rozwinięcia nieco szerzej. Nawet gdy się przekonałem, że nie mogę z nią miło spędzić jednego wieczora, jednej godziny dnia, że przyjacielska rozmowa nie może istnieć między nami, gdyż jakkolwiek przeze mnie poruszony temat ona natychmiast podejmowała w sposób ordynarny i pusty, przewrotny i głupi. Nawet gdy przekonałem się, że nigdy nie będę posiadał spokojnego, dobrze prowadzonego domu, gdyż żadna służąca nie mogła znieść jej ciągłych gwałtownych i nierozsądnych wybuchów albo dokuczliwości jej bezsensownych i sprzecznych wymagań i rozkazów. Nawet wtedy jeszcze powstrzymywałem się. Unikałem nagan, wyrzutów, sporów, starałem się żal mój przetrwać w tajemnicy, opanowywałem głęboko odczuwaną antypatię. Jane, nie będę cię zaprzętał wstrętnymi szczegółami. W kilku słowach powiem ci, co mam do powiedzenia. Cztery lata przeżyłem z tą kobietą, przed upływem tego czasu ciężko dała mi się we znaki. Charakter jej dojrzał i rozwijał się z przerażającą szybkością, wstrętne nalogi rozwijały się i tak były silne, że tylko okrutną surowością można je było powstrzymać, a ja się do tego uciekać nie chciałem. Jak nikły był jej umysł, a jak olbrzymie złe skłonności! Jak straszne dla mnie następstwa tych skłonności! Bertha Mason, nieodrodna córka niecnej matki, ściągnęła na mnie wszystkie ohydne i poniżające męki, jakim podlegać musi mężczyzna, związany z żoną zarazem niewstrzemięźliwą i nieczystą. Brat mój w tym czasie umarł, a w końcu czwartego roku umarł i mój ojciec. Dość teraz byłem bogaty, a jednak, jak strasznie ubogi. Istota najbardziej ordynarna, nieczysta, zdeprawowana do cna, związana była ze mną, a prawo i społeczeństwo uważało ją ze mną za jedno. A nie mogłem się od niej uwolnić żadnym prawnym sposobem, gdyż doktorzy odkryli teraz, że *moja żona* jest obłąkana, jej nadużycia rozwinęły przedwcześnie zadatki choroby. Jane, widzę, że ci przykreść sprawia moje opowiadanie. Mienisz się na twarzy. Czy mam odłożyć resztę na inny dzień?

— Nie, panie, niech pan kończy. Mnie pana żal, mnie pana szczerze żal!

— Litość, Jane, to ze strony niektórych ludzi niepożądany i obraźliwy haracz, który ma się prawo odrzucić. Mówię o litości właściwej sercom twardym i samolubnym, złożonej z egoistycznej przykreści na widok cierpienia i pogardy dla cierpiących. Ale nie taka jest twoja litość, Jane. Nie to uczucie maluje się w tej chwili na twojej twarzy, jaśniej w twoich oczach, nie takim uczuciem bije twoje serce, drży ręka twoja w mojej. Twoja litość, kochanie moje, jest cierpiącą matką miłości... Przyjmuję ją, Jane, niech i jej córa swobodnie przybywa, wyciągam ku niej ramiona.

— A teraz proszę, niech pan mówi dalej, co pan uczynił, gdy pan się dowiedział, że ona jest obłąkana?

— Jane, wpadłem w ostateczną rozpacz. W oczach świata honor mój przez nią niewątpliwie był splamiony, jednakże postanowiłem być czysty we własnych. Zerwałem wszelką łączność z jej zbrodniczym postępowaniem, wszelką styczność z jej upośledzoną umysłowością. Pomimo to ludzie wiązali jej nazwisko i osobę ze mną. Widywałem ją i słyszałem codziennie, a przy tym pamiętałem, że byłem niegdyś jej mężem. To wspomnienie było wtedy i jest dotąd dla mnie niewypowiedziane wstrętne. Przy tym wiedziałem, że dopóki ona żyje, nie mogę poślubić innej, lepszej żony. A chociaż starsza ode mnie o pięć lat (jej rodzina i na punkcie jej wieku mnie okłamała), mogła żyć prawdopodobnie równie długo jak ja, będąc tak silna na ciele, jak była chora na umyśle. W ten sposób, mając lat dwadzieścia sześć, byłem pozbawiony wszelkiej nadziei. Pewnej nocy obudziły mnie jej krzyki (od czasu, gdy lekarz uznał ją za obłąkaną, przebywała oczywiście w odosobnieniu).

Szaleństwo, Żona,
Więzienie

Była to ogniem dysząca noc, jedna z takich, jakie zwykły poprzedzać huragan w owym klimacie. Nie mogąc spać, wstałem i otworzyłem okno. Powietrze było jak opary siarki, nie mogłem nigdzie znaleźć odświeżenia. Moskity wpadały brzęcząc do pokoju. Morze, które stamtąd mogłem słyszeć, grzmiało głucho jak trzęsienia ziemi, czarne chmury toczyły się nad nim. Zachodzący księżyc zapadał w fale; wielki, czerwony jak rozpalona kula armatnia, ostatnie krwawe spojrzenia rzucał na świat, drgający fermentem burzy. Byłem fizycznie pod wpływem atmosfery i widoku, a do uszu moich lały się przekleństwa, które wariatka wciąż wykrzykiwała. Z przekleństwami mieszała moje imię tonem takiej szatańskiej nienawiści, takim językiem! Żadna ulicznica nie miała nigdy wstrętniejszego słownika... Z odległości dwóch pokoi słyszałem każde słowo, cienkie ściany tamtejszego domu mało hamowały jej nieludzkie ryki. „To życie — powiedziałem w końcu — jest piekłem: piekielne jest to powietrze, piekielne te diabelskie głosy! Mam przecież prawo uwolnić się od tego. Cierpienia tego śmiertelnego istnienia opuszczą mnie wraz z tym ciałem, co obciąża moją duszę. Nie lękam się wiekuistego ognia, nie może być w przyszłości nic gorszego od mojej obecnej doli. Wyrwę się, pójdę, powrócę do Boga!” Mówiąc to, klęczałem i otwierałem walizkę, w której miałem parę nabitych pistoletów. Zamierzałem się zastrzelić. Zamiar ten jednakże trwał tylko przez chwilę. Byłem zdrow na umyśle, więc natężenie niewymownego bólu i rozpaczy, powodującej to życzenie i ten zamiar, przesiliło się i ustąpiło miejsca rozwadze. Świeży wiatr, płynący od strony Europy, przewiał nad oceanem i wpadł przez otwarte okno. Wybuchła burza, deszcz lał, grzmiało, błyskało się. Po burzy odświeżyło się powietrze. Wtedy powziąłem postanowienie. Chodząc pod kąpiącymi, pomarańczowymi drzewami mego wilgotnego ogrodu, pośród zmoczonych granatów i ananasów, podczas gdy świt krajów tropikalnych zapalał się dokoła mnie, rozumowałem w ten sposób... Ale teraz słuchaj, Jane, gdyż to prawdziwa mądrość pocieszyła mnie w tej godzinie i wskazała właściwą drogę. Łagodny wiatr od strony Europy wciąż jeszcze szemrał wśród odświeżonych liści, a Atlantyk grzmiał wolny, swobodny. Serce moje wyschłe, spieczone od dawna, rozszerzało się przy tym odgłosie, nabiegało żywą krwią, istota moja zatęskniła za odnowieniem, dusza zapagnęła źródła żywej wody. Odżywała we mnie nadzieja, czułem, że odrodzenie jest możliwe. Spod kwiecistej arkady na końcu mego ogrodu patrzyłem na morze, bardziej niebieskie od samego nieba. Stary świat był tam, poza nim, a jasne widoki tak się przedstawiały: „Idź — mówiła nadzieja — żyj znowu w Europie. Tam nikt nie wie, jakie splamione nosisz imię, jakie brudne brzemie dźwigasz na sobie. Możesz zabrać wariatkę ze sobą do Anglii. Zamknij ją pod odpowiednią opieką i z zachowaniem ostrożności w Thornfield, a potem podróżuj sam, dokąd zechcesz. I zawrzyj dowolnie nowe związki. Ta kobieta, która tak nadużyła twojej cierpliwości, tak skalala twoje imię, tak splamiła twój honor, tak ci młodość zatrula, nie jest twoją żoną, ani ty nie jesteś jej mężem. Dbaj o to, ażeby się nią opiekowano starannie, tak jak tego jej stan wymaga, a uczynisz wszystko, czego Bóg i ludzkość mogą od ciebie wymagać. Kim ona jest, jaki jest jej stosunek do ciebie, niechaj to zapadnie w otchłani niepamięci. Nie masz obowiązku wyjawiać tego żywej duszy. Umieść ją w bezpieczeństwie i wygodzie, osłoń upadek jej tajemnicą i opuść ją”. Wedle tego postąpiłem. Ojciec mój i brat nie powiadomili znajomych o moim małżeństwie, bowiem w najpierwszym liście, gdzie im donosiłem o jego spełnieniu, zaczynając już odczuwać przykre jego następstwa i ze stosunków rodzinnych wnosić, jaka mnie ohydna czeka przyszłość, nagląco prosiłem, by utrzymali je w tajemnicy. Bardzo też prędko ojciec mój zawstydziliby się niecnym postępowaniem tej, którą mi wybrał, i nie uznał jej za synową. Nie pragnął więc rozgłaszać ożenku, równie gorliwie jak ja chciał go ukryć. Zawiozłem ją zatem do Anglii. Straszna była ta podróż z takim potworem na okręcie. Rad byłem, gdy nareszcie dostarczyłem ją do Thornfield i bezpiecznie umieściłem w owym pokoju na trzecim piętrze, z którego tajnej, przyległej komory uczyniła jaskinię dzikiego zwierza, celę szatana. Pewną trudność sprawiło mi wyszukanie dla niej dozorczyni, gdyż trzeba było znaleźć osobę pewną i zaufaną. Jej szaleństwa bowiem mogły zdradzić moją tajemnicę. Miewała przy tym okresy przytomności, trwające dni, niekiedy tygodnie całe, które wypełniała wygadywaniem i pomstowaniem na mnie. Nareszcie umówiłem Grace Poole z zakładu w Grimsby. Ona i doktor Carter (ten, który owej nocy opatrywał rany Masona) to jedyne dwie osoby, którym powierzyłem tajemnicę. Pani Fairfax, być może, coś podejrzewała,

ale dokładnej znajomości faktów mieć nie mogła. Grace, ogółem biorąc, okazała się dobrą dozorczynią, jakkolwiek z winy po części jej nalogu, z którego, zdaje się, nic wyleczyć jej nie może, a który wypływa z jej męczącego zawodu, czujność jej nieraz zawiodła. Obląkana jest zarazem chytra i złośliwa, nigdy nie omieszkała skorzystać z chwilowych uchybień dozorczyń. Raz, wykradając nóż, którym zraniła brata, a dwa razy wykradając klucz od swojej celi i wychodząc z niej nocą. Za pierwszym razem dokonała próby spalenia mnie w łóżku, za drugim nastąpiły te okropne odwiedziny u ciebie. Błogosławię Opatrzność, która czuwała nad tobą, tak że szalona furię wylała na twój strój ślubny, który jej może nasunął niejasne wspomnienia dnia własnego ślubu. Ale o tym, co mogło się być zdarzyć, ja nie mogę myśleć spokojnie. Gdy pomyślę, że ten potwór, który dziś rano rzucił mi się do gardła, siną i purpurową twarzą zawisł nad gniazdkiem mojej gołąbki, krew mi się w żyłach ścina...

— A co pan zrobił, gdy ją pan tam umieścił? — zapytałam, gdy przerwał. — Dokąd się pan udał?

— Co zrobiłem, Jane? Zamieniłem się w błędny ogień. Dokąd się udałem? Na niespokojne wędrówki. Błądziłem po kontynencie, po wszystkich krajach Europy. Miałem stałe pragnienie wyszukać i znaleźć kobietę dobrą i inteligentną, przeciwieństwo tej furii, pozostawionej w Thornfield...

— Ależ pan się nie mógł ożenić.

— Postanowiłem i byłem przekonany, że mogę i że powinienem. Nie miałem pierwotnie zamiaru oszukiwać, tak jak oszukałem ciebie. Zamierzałem opowiedzieć moje dzieje po prostu i szczerze postawić moją propozycję. Wydawało mi się to tak zupełnie słuszne, że wolno mi kochać i być kochanym, że nie wątpiłem, iż znajdzie się kobieta chcąca i umiejąca zrozumieć moje położenie i przyjąć mnie, mimo ciężącego nade mną przekleństwa.

— No i cóż, panie?

— Gdy ty się dopytujesz, Jane, ja zawsze muszę się uśmiechnąć. Otwierasz oczy szeroko jak ciekawy ptaszek i przy tym od czasu do czasu poruszasz się niespokojnie, jak gdyby odpowiedzi nie dość prędko płynęły i jakbyś komuś chciała zajrzeć do dna serca. Zanim jednak będę mówił dalej, wytłumacz mi, co znaczy to twoje „No i cóż, panie?”. To małe zdanie często jest na twoich ustach i nieraz wyciągnęło mnie na nieskończone gadanie, sam dobrze nie wiem dlaczego.

— Rozumiem przez to: I co dalej? Jak pan postąpił? Co z tego wynikło?

— A właśnie! Co byś teraz chciała wiedzieć?

— Czy pan znalazł kogoś, kto się panu podobał? Czy pan ją poprosił, żeby za pana wyszła? I co ona odpowiedziała?

— Mogę ci powiedzieć, że znalazłem kogoś, kto mi się podobał, i że prosiłem ją, by za mnie wyszła. Ale co mi odpowiedziała, to dopiero będzie zapisane w księdze losu. Przez dziesięć długich lat błądziłem po świecie, mieszkając to w jednej stolicy, to w drugiej: niekiedy w Petersburgu²³⁹, częściej w Paryżu, czasami w Rzymie, Neapolu czy Florencji. Mając dużo pieniędzy i stare nazwisko, mogłem sobie dobierać towarzystwo, żadne koła nie były przede mną zamknięte. Szukałem mojego ideału kobiety pośród angielskich dam, francuskich hrabianek, włoskich *signorin*²⁴⁰ i niemieckich baronówien. Nie mogłem go znaleźć. Niekiedy przez przelotną chwilę mniemałem, że chwytam spojrzenie, słyszę ton, widzę kształt, który mi zapowiada ziszczenie marzenia, ale rozczarowywałem się prędko. Nie wyobrażaj sobie, że poszukiwałem doskonałości. Pragnąłem tylko czegoś, co by mi odpowiadało, pragnąłem przeciwieństwa Kreolki, ale pragnienie moje było daremne. Po między nimi wszystkimi nie znalazłem ani jednej, którą, gdybym był nawet najzupełniej wolny, znając ryzyko, okropność, cierpienia niedobrych związków, byłbym poprosił o rękę. Zawód mnie rozzuchwiał. Próbowałem oszołomić się rozrywkami, nigdy jednak rozpustą. Rozpusty nie cierpiałem i nie cierpię. To była domena mojej Messaliny²⁴¹. Zakorzeniony wstręt do niej powstrzymywał mnie nawet przed przyjemnościami. Wszelkie używanie życia, które by graniczyło z rozpasaniem, wydawało mi się zbliżeniem do niej

²³⁹ *Petersburg* — miasto w pln. Rosji. [przypis edytorski]

²⁴⁰ *signorina* (wł.) — panienska. [przypis edytorski]

²⁴¹ *Messalina* a. *Valeria Messalina* (ok. 17–48) — cesarzowa rzymska, małżonka Klaudiusza, znana nimfomanka. [przypis edytorski]

i jej nałogów, toteż go unikałem. Nie mogłem jednak żyć sam, zatem spróbowałem towarzystwa kochanek. Pierwszą, którą wybrałem, była Celine Varens. Znowu taki krok, za który we wspomnieniu człowiek sam sobą pogardza. Wiesz już, czym była i jak się mój stosunek z nią zakończył. Miała następczynię. Ale, Jane, widzę po twojej twarzy, że wyrabiasz sobie o mnie w tej chwili dość niekorzystne mniemanie. Uważasz mnie za lotrzyka bez serca i zasad, nieprawdaż?

— W istocie nie podoba mi się pan tak, jak kiedy indziej bywało. Czy nie wydawało się panu rzeczą co najmniej niesłuszną żyć w ten sposób najpierw z jedną kochanką, potem znów z inną? Mówi pan o tym jak o najzwyczajszej rzeczy.

— Bo tak się na to zapatrywałem. Ale to mi nie odpowiadało. Poniżający to był sposób życia, nigdy bym do niego nie chciał wrócić. Najmować kochankę to niewiele lepiej niż kupować niewolnicę, obydwie są często z natury, a zawsze z położenia swego, niższe. A żyć poufale z niższymi poniża człowieka. Nie lubię teraz wspominać o czasach, które przeżyłem z Celine i innymi.

Czułam prawdę tych słów i wysnułam wnioski, że gdybym kiedykolwiek mogła się tak dalece zapomnieć i zapomnieć o tych naukach, jakie zawsze we mnie wpajano, by pod jakimkolwiek pozorem, na mocy jakiegokolwiek usprawiedliwienia, pod wpływem jakiej bądź pokusy stać się następczynią tych biednych dziewcząt, on kiedyś patrzyłby na mnie z tym samym uczuciem, jakie teraz w myśli jego hańbiło ich pamięć. Nie wypowiedziałam tego przekonania, wystarczyło mi, że je odczułam.

— Jane, dlaczego nie mówisz teraz: „No i cóż, panie?”. Ja jeszcze nie skończyłem. Wyglądasz poważnie. Czytam naganę w twojej twarzy... Ale niechże przejdę do rzeczy. W styczniu tego roku, wolny od wszelkich kochanek, w szorstkim, zgorzkniałym nastroju, wytworzonym przez to bezużyteczne, wędrowne, samotne życie, zgryziony zawodem, skwaszony w stosunku do wszystkich ludzi, a zwłaszcza do kobiet (gdyż zacząłem uważać istnienie inteligentnej, wiernej, kochającej kobiety za puste marzenie), przyzwany interesami powróciłem do Anglii. W mroźne zimowe popołudnie dojeżdżałem do Thornfield Hall. Znienawidzone miejsce! Nie spodziewałem się tu spokoju ani przyjemności. Na przelazie w Hay Lane ujrzałem cichą, małą figurkę, siedzącą tam samotnie. Minąłem ją tak niedbale jak obciętą wierzbę naprzeciw niej. Nie miałem przeczucia, czym ona dla mnie się stanie, nic mi nie powiedziało, że to pani życia mojego, że to mój dobry duch czeka tam w skromnym przebraniu. Nie wiedziałem tego nawet wtedy, gdy wobec upadku Mesroura, zbliżyła się i poważnie ofiarowała mi pomoc. Dziecinne, drobne stworzonko! To tak, jak gdyby sikorka przyskoczyła mi do nogi z propozycją, że poniesie mnie na swym maleńkim skrzydełku. Byłem kwaśny, ale to stworzenie nie chciało odejść. Stało przy mnie dziwnie wytrwale, a patrzyło i mówiło z jakąś władczą powagą. Muszę przyjąć pomoc i to z tej ręki. I pomoc mi dano. Gdy raz dotknąłem tego wątłego ramienia, wstąpiło we mnie coś nowego, jak gdyby świeży sok żywotny wpłynął w moje żyły. Dobrze mi było, że się dowiedziałem, iż ta istotka musi wrócić do mnie, że należy do tego mojego domu tam w dole, gdyż czułem szczególny żal, że mi spod ręki uchodzi i niknie za płotem. Słyszałem, jak wracałaś do domu tego wieczora, Jane, choć ty zapewne nie domyśliłaś się, że ja myślę o tobie i wyglądam cię. Nazajutrz obserwowałem cię, sam niewidziany, przez pół godziny, kiedy bawiłaś się z Adelą w galerii. Była tego dnia śnieżycą, przypominam sobie, i wy nie mogłyście wyjść na spacer. Ja znajdowałem się w swoim pokoju, drzwi były otwarte, mogłem widzieć i mogłem słyszeć, co się działo. Adela czegoś od ciebie chciała, lecz wydawało mi się, że myśli twoje zajęte są czym innym. A jednak byłaś bardzo cierpliwa dla niej, Jane, mówiłaś do niej i zabawiałaś ją czas dłuższy. Gdy mała nareszcie odeszła, zapadłaś od razu w głęboką zadumę i zaczęłaś się powoli przechadzać po galerii. Raz po raz, mijając któreś z okien, przystawałaś i patrzyłaś na prószący śnieg, przysłuchiwałaś się jękom wiatru i znowu zaczynałaś cicho stąpać i marzyć. Nie mogły to być ponure dumania, gdyż raz po raz zjawiał się w twoich oczach błysk wesela, twarz jaśniała łagodnym podnieceniem, nieświadczącym bynajmniej o gorzkich, pesymistycznych rozmyśleniach. Wyraz twój raczej mówił o słodkich marzeniach młodości, wzlatującej na chętnych skrzydłach szlakiem nadziei ku idealnemu niebu. Głos pani Fairfax, która w tej chwili w hallu wołała na służącą, zbudził cię i jak ciekawie sama do siebie uśmiechnęłaś się, Jane! Mądry to był uśmiezek, bardzo bystry, zdawało się, że żartował z własnego zamyślenia. Jakby mówił: „Moje wizje to rzecz bardzo piękna, ale nie wolno

Wspomnienia, Miłość

mi zapominać, że są zupełnie nierzeczywiste. Mam zaróżowione niebo i zielony, kwietny raj w głowie, ale doskonale widzę, że przede mną leży uciążliwa do przebycia droga i że dookoła mnie gromadzą się ciemne chmury, grożące nawałnicą”. Zbiegłaś na dół i poprosiłaś panią Fairfax o jakiś zajęcie, zdaje się, że chodziło o tygodniowe rachunki gospodarskie czy coś podobnego. Rozgniewałem się na ciebie, że mi z oczu schodzisz. Niecierpliwie oczekiwałem wieczora, by móc cię zaprosić na dół. Podejrzewałem, że jest w tobie niezwykły jak dla mnie, zupełnie nowy charakter. Pragnąłem zgłębić go i poznać lepiej. Wszłaś do pokoju z wyrazem nieśmiałości i niezależności równocześnie. Skromniutko byłaś ubrana, podobnie jak teraz. Wyciągnąłem cię na rozmowę i wkrótce przekonałem się, że pełna jesteś dziwnych przeciwieństw. Ubranie twoje i zachowanie krępowała jakaś reguła przepisowa, chwilami uderzała w tobie niepewność, a przy wrodzonej dystynkcji zupełnie nieobycie towarzyskie. Widać było, że bardzo się boisz przedstawić niekorzystnie, popełniając jakiś błąd czy pomyłkę. Gdy się jednak zwracałem do ciebie, podnosiłaś ku mej twarzy oczy bystre, odważne, pełne ognia. Przenikliwość i moc była w każdym twym spojrzeniu. Naciskana pytaniami, znajdowałaś zawsze gotowe, trafne odpowiedzi. Bardzo prędko oswoiłaś się ze mną, ja myślę, że odczuwałaś łącznik sympatii pomiędzy sobą a swoim surowym i chmurnym zwierchnikiem, Jane, gdyż zadziwiająco prędko jakaś miła swoboda nadała spokój twemu zachowaniu. Mogłem sarkać, ile mi się podobało, nie okazywałaś wobec mego złego humoru ani zdziwienia, ani zaleknienia, ani urazy, ani przykrości. Przyglądałaś mi się i niekiedy uśmiechałaś do mnie z tym pełnym prostoty i mądrości wdziękiem, jakiego nie umiem opisać. To, co widziałem, zadowalało mnie i zarazem dodawało mi bodźca. Podobały mi się zalety odkryte w tobie, zapragnąłem poznać ich więcej. Jednakże dłuższy czas trzymałem cię z daleka, rzadko szukałem twego towarzystwa. Byłem epikurejczykiem²⁴² intelektualnym, pragnąłem przedłużyć przyjemność zawierania tej nowej, interesującej znajomości. Przy tym czas jakiś prześladowała mnie obawa, że jeżeli kwiat ten będę dotykał swobodnie, zwiędnie mi on przedwcześnie i utraci słodki wdzięk świeżości. Nie wiedziałem wtedy, że to nie kwiat przemijający, ale raczej promienna jego podobizna, wyrzeźbiona w trwałym klejnocie. Poza tym chciałem się przekonać, czy ty mnie będziesz szukać, jeżeli ja cię będę unikał; lecz nie, nie szukałaś mnie. Siedziałaś cicho w pokoju szkolnym, a jeżeli trafem mnie spotkałaś, przemykałaś się szybko, z lekkim ukłonem w dowód uszanowania. Zwykłym twoim wyrazem w owych czasach, Jane, był wyraz zamyślenia. Nie smutku, ale też i nie wesołości, gdyż miałaś mało nadziei i żadna cię nie spotykała przyjemność. Byłem ciekaw, co myślisz o mnie i czy w ogóle myślisz o mnie. I postanowiłem to zbadać. Zacząłem znowu zwracać na ciebie uwagę. Było coś radosnego w twoim spojrzeniu, coś pogodnego w twoim zachowaniu, gdy rozmawiałaś. Przekonałem się, że masz usposobienie towarzyskie; to ten milczący pokój szkolny i nuda twojego życia tak cię przygniatały. Pozwoliłem sobie na rozkosz okazania ci dobroci i uprzejmości, dobroć niebawem obudziła wzruszenie. Twoja twarz nabrała wyrazu słodczy, głos łagodności. Lubilem słyszeć swoje imię, wymawiane z akcentem radosnej wdzięczności. Cieszyłem się w owym czasie, Jane, gdy cię spotkałem przypadkiem. Ciekawe było zawahanie się w twym obejściu: rzucałaś mi spojrzenie lekko zakłopotane, niepewne, trochę zaciekawione. Nie wiedziałaś, w jakim jestem humorze, czy będę odgrywał rolę zwierchnika i będę surowy czy też przyjaciela i będę dobrotliwy. Znadto już wtedy byłaś mi droga, bym często mógł odgrywać rolę zwierchnika, gdy zaś wyciągałem rękę serdecznie, taki słoneczny rumieniec szczęścia oblewał twój twarzyczkę, że z trudem powstrzymywałem się od przyciśnięcia cię od razu do serca.

— Niech pan już nie wspomina o tych czasach, proszę pana — przerwałam, chyłkiem strącając kilka łez z oczu.

Mowa jego była dla mnie męką, wiedziałam, co muszę uczynić, co muszę uczynić wkrótce, a wszystkie te wspomnienia i wyjawiania uczuć utrudniały mi tylko zadanie na przyszłość.

— Przerwę je, Jane — odpowiedział. — Czyż potrzeba zastanawiać się nad przeszłością, gdy terażniejszość o tyle pewniejsza, a przyszłość o tyle jaśniejsza?

Zadrzałam, słysząc to otumaniające twierdzenie.

²⁴²epikurejczyk — zwolennik epikureizmu, doktryny filozoficznej, zgodnie z którą przyjemność prowadzi do szczęścia; także: osoba dążąca do nieskrępowanego korzystania z życia. [przypis edytorski]

— Widzisz teraz, nieprawdaż, jak stoi sprawa? — ciągnął dalej. — Spędziwszy młodość i wiek męski po części w niewypowiedzianej niedoli, a po części w ponurej samotności, po raz pierwszy znalazłem przedmiot prawdziwej miłości: znalazłem ciebie. Ty jesteś moim lepszym „ja”, ty jesteś moim dobrym aniołem. Silne uczucie przywiązuje mnie do ciebie. Uważam cię za dobrą, inteligentną, uroczą; gorące, poważne uczucie zrodziło się w moim sercu. Ku tobie ono dąży, ciebie wciąga w głąb i w źródło mego życia. Istnienie moje wije się wkoło ciebie i płonąc czystym, potężnym ogniem, stapia ciebie i mnie w jedno. Czując to i wiedząc, postanowiłem pojąć cię za żonę. Mówić mi, że już mam żonę, to puste drwiny. Ty wiesz teraz, że miałem tylko ohydneho demona. Źle zrobiłem, że próbowałem cię oszukać, ale lękałem się pewnego uporów, który masz w charakterze. Lękałem się uprzedzeń wpojonych od dzieciństwa, chciałem cię osiąść bezpiecznie, zanim bym zaryzykował zwierzenia. To było z mej strony tchórzostwem, powinienem był odwołać się do twej szlachetności i wspaniałomyślności od razu, tak jak to czynię teraz, powinienem był odsłonić przed tobą wyraźnie życie moje pełne męki, opisać ci głód i pragnienie wyższego, godniejszego istnienia, wykazać ci nie moje *postanowienia* (to za słabe słowo), ale nieodpartą we mnie *koniętność* kochania wiernie i dobrze, jeżeli będę nawzajem wiernie i dobrze kochany. Wtedy powinienem był prosić cię o przyjęcie mojego zobowiązania i o danie mi twojego, Jane, daj mi je teraz!

Milczałam.

— Dlaczego milczysz, Jane?

Szarpała mną męka nadludzka, jak gdyby kleszcze z rozpalonego żelaza ścisnęły we mnie wnętrze. Straszna chwila, pełna walki, czarna jak noc! Nigdy żadna żyjąca istota nie mogła pragnąć lepiej być kochaną, niż ja byłam kochana, a tego, który mnie w ten sposób kochał, ja po prostu ubóstwiałam. I oto muszę wyrzec się miłości i bożyszczą. Jedno straszne słowo obejmowało mój twardy obowiązek: „Uchodź!”

— Jane, czy rozumiesz, czego ja chcę od ciebie? Tylko tej obietnicy: „Będę twoja, panie Rochester”.

— Panie Rochester, ja *nie* będę twoja.

Znowu długie milczenie.

— Jane! — zaczął znowu tak łagodnie, że załamałam się w sobie pod uciskiem żalu, ale i lęku, gdyż ten cichy głos był jak dyszenie lwa, zrywającego się do skoku. — Jane, czy zamierzasz iść w świat jedną drogą, a mnie każesz iść inną?

— Tak, panie.

— Jane — mówił, nachylając się ku mnie i obejmując mnie — czy i teraz tak myślisz?

— Tak, panie.

— A teraz? — łagodnie całując moje czoło i policzek.

— I teraz, panie — odpowiedziałam, wyzwalając się z uścisku szybko i zdecydowanie.

— O, Jane, to boli! To... To jest niepokojące! Nie byłoby w tym nic złego, gdybyś mnie kochała!

— Ale postąpiłabym źle, słuchając pana.

Wyraz uniesienia przebiegł po jego twarzy. Podniósł brwi, powstał, ale hamował się jeszcze. Zadrżałam, lęk mnie ogarnął, mimo to trwałam w postanowieniu.

— Jedną chwilę, Jane! Spójrz na mój okropny los, gdy mnie opuścisz. Wszelkie szczęście opuści mnie wraz z tobą. Co mam uczynić? Dokąd się zwrócić po odrobinę nadziei?

— Niech pan uczyni to co i ja: niech pan zaufa Bogu i samemu sobie. Niech pan uwierzy w niebo. Niech pan ma nadzieję, że tam się spotkamy.

— Więc nie chcesz ustąpić?

— Nie.

— Więc skazujesz mnie na życie w upodleniu i na śmierć przeklętego? — mówił coraz głośniejsze.

— Radzę panu żyć bezgrzesznie i życzyć panu umierania w spokoju.

— Więc wydzierasz mi miłość, wydzierasz mi niewinność? Rzucasz mnie na pastwę niskich namiętności?

Miłość, Kłamstwo, Podstęp,
Strach

Konflikt wewnętrzny,
Miłość

— Panie Rochester, ja tego losu nie przeznaczam panu, tak jak sama po niego nie sięgam. Urodziliśmy się do walki i cierpienia, tak pan, jak i ja. To niech pan czyni. Zapomni pan o mnie, zanim ja zapomnę o panu.

— Kłamcę ze mnie czynisz, mówiąc tak, kalasz mój honor. Oświadczyłem, że nie mogę się zmienić, a ty w oczy mi mówisz, że się zmienię i to wkrótce. A jakiej wykrętności sądu, jakiej przewrotności pojęć dowodzi twoje postępowanie! Czy lepiej doprowadzić bliźniego do rozpacz czy przekroczyć marne ludzkie prawo, gdy nikomu się tym krzywdy nie czyni? Bo przecież ty nie masz krewnych ani znajomych, których byś obraziła, żyjąc ze mną?

To była prawda. Gdy to mówił, moje własne sumienie i mój własny rozum zdradziły mnie, chcąc przełamać opór jemu stawiany. Głośno przemawiały, prawie tak głośno jak samo uczucie, a to uczucie krzyczało rozpaczliwie: „Wysłuchaj go! Pomyśl, jak on cierpi, pomyśl, jakie mu grozi niebezpieczeństwo, pomyśl, czym będzie jego życie, gdy zostanie sam. Zważ, jak jest gwałtowny z natury, jakie nieobliczalne skutki pociąga rozpacz za sobą! Ach, pociesz go, ocal, ukochaj. Powiedz mu, że go kochasz, że będziesz należeć do niego. Kto na całym świecie dba o *ciebie*? Komu krzywdę wyrządzisz tym, co uczynisz?”

A jednak, niezwalczona, brzmiała odpowiedź: „Ja sama dbam o siebie. Im bardziej jestem samotna, im mniej będę miała przyjaciół i oparcia, tym bardziej strzec będę własnej godności. Trzymać się będę prawa, nadanego przez Boga, uznanego przez ludzi. Trzymać się będę zasad, przyjętych przeze mnie, gdy byłam zdrowa, a nie szalona jak teraz. Prawa i zasady nie są stworzone na okresy wolne od pokus, ale na takie właśnie chwile jak obecna, gdy ciało i dusza wznoszą się buntem przeciw ich surowości. Są one surowe, lecz pogwałcone nie zostaną. Gdybym dla osobistych względów mogła je złamać, jakaż byłaby ich wartość? Mają wartość — zawsze w to wierzyłam. A jeżeli nie mogę uwierzyć w to teraz, to dlatego, że jestem chora, zupełnie chora: w żyłach moich płynie ogień, serce moje bije tak szybko, że nie zliczę jego uderzeń. Dawno powzięte przekonania, postanowienia, to jedyne, przy czym w tej godzinie stać mogę, na nich się opieram”.

Tak myślałam, a pan Rochester z mojej twarzy wyczytał te myśli. Furia jego doszła do szczytu i zawładnęła nim na chwilę. Przeszedł przez pokój, chwycił moją rękę i opasał mnie ramieniem. Pochłaniał mnie płonącym wzrokiem. Fizycznie czułam się w tej chwili tak bezsilna jak źdźbło słomy wichrem porwane, ale duszę w sobie czułam niezachwianą i to mi dawało pewność bezpieczeństwa. Dusza, na szczęście, ma swego tłumacza — często bezwiednego, ale zawsze wiernego — jest nim oko. Podniosłam oczy ku jego oczom, a kiedy patrzyłam w jego twarz rozplomienioną, westchnęłam mimo woli — uścisk jego był bolesny, a nadmiernie wyczerpane siły już mnie opuszczały.

— Nie widział świat — odezwał się, zgrzytnąwszy zębami — nie widział świat czegoś węższego, a bardziej niepodległego. Wiotką trzcina wydaje mi się w ręku! — Tu potrząsnął mną. — Mógłbym ją zgiąć dwoma palcami. I cóż mi z tego, gdybym ją zgiął, złamał i skruszył? Z jej oka wyziera śmiała, mężna, wolna istota i stawia mi czoło nie tylko odważnie, ale z surowym triumfem. Zdobyć dom mógłbym, ale mieszkanka uciekłaby do nieba, zanim bym posiadał jej siedzibę. A ciebie przecież, duchu wolny, ciebie, coś obdarzony wolą, energią i cnotą, i czystością, ciebie ja pragnę, nie tylko twej kruchej powłoki. Sam, gdybyś zechciał, mógłbyś zlecieć ku mnie i do serca mego się przytulić. Schwytny wbrew twojej woli, unikniesz dotknięcia jak zapach lotny, zanim wchłonę woń twoją. O, przyjdź, Jane, przyjdź!

Mówiąc to, uwolnił mnie z żelaznego objęcia i tylko patrzył na mnie. O wiele trudniej było oprzeć się temu spojrzeniu niż gwałtowności uścisku, a jednak przecież nie mogłam ulec. Obroniłam się przed jego pasją, muszę uciekać przed jego bólem. Postąpiłam ku drzwiom.

— Odchodzisz, Jane?

— Odchodzę, panie.

— Opuszczasz mnie?

— Tak.

— Nie chcesz przyjść? Nie chcesz być moją pocieszycielką, moją odkupicielką? Moja głęboka miłość, mój żal serdeczny, moje gorące błaganie, to wszystko niczym jest dla ciebie?

Konflikt wewnętrzny,
Wolność, Prawo

Samotnik, Siła,
Sprawiedliwość

Oko, Dusza

Wolność, Odwaga

O, cóż za niewypowiedziany ból drżał w jego głosie! Jak ciężko było powtórzyć stanowczo: „Odchodzę”.

— Jane!

— Panie Rochester!

— Odejdź zatem, zgadzam się, ale pamiętaj, że zostawiasz mnie tutaj w męce. Idź do twego pokoju, zastanów się nad wszystkim, co ci powiedziałem, i rzuć okiem, Jane, na moje cierpienia, miej wzgląd na mnie.

Odwrócił się i padł twarzą na kanapę. „O, Jane! Nadziejo moja! Miłości moja, moje życie!” — w męce padały te słowa z jego ust. A potem usłyszałam głęboki, silny szloch.

Już byłam przy drzwiach, powróciłam jednak, powróciłam równie stanowczo, jak odchodziłam. Uklękłam przy nim, odwróciłam twarz jego od poduszki ku sobie, ucałowałam ją i ręką pogładziłam mu włosy.

— Niech cię Bóg błogosławi, drogi mój panie! — powiedziałam. — Niech Bóg cię chroni od nieszczęścia i od złego, niech cię prowadzi, pociesza i nagrodzi za twoją dobroć dla mnie!

— Twoja miłość byłaby mi najlepszą nagrodą — odpowiedział — bez niej serce moje pęka. Ale Jane da mi swoją miłość, tak, da mi ją, szlachetnie, wspaniałomyślnie!

Krew uderzyła mu do twarzy, ogniem błysnęły oczy. Zerwał się jednym skokiem, wyciągnął ramiona, ale ja uniknęłam uścisku i od razu wyszłam z pokoju.

„Bywaj zdrow!” krzychało we mnie serce, gdy go porzucalam. A rozpacz dodawała: „Żegnaj na zawsze!”.

Nie przypuszczałam, że tej nocy spać będę. Jednakże zasnęłam, zaledwie głowę przyłożyłam do poduszki. Sen przeniósł mnie w lata mojego dzieciństwa: śniło mi się, że leżę w czerwonym pokoju w Gateshead. Noc była ciemna, dziwny lęk ciążył mi na duszy. Światło, które niegdyś przyprawiło mnie o atak, teraz zdawało się posuwać w górę po ścianie i drżąc zatrzymało się na środku ciemnego sufitu. Podniosłam głowę, żeby na nie popatrzeć, dach rozwiął się, zamieniając się w chmury dalekie i mgliste, światełko było takie, jakim księżyc mający za chwilę wypłynąć prześwieca przez mgłę. Czekałam, aż rychło się pokaże, czekałam z dziwnym przeczuciem, jak gdybym jakieś słowa wyroczeni miała odczytać, wypisane na jego tarczy. Ukazał się wreszcie, ale nigdy jeszcze księżyc w ten sposób nie wydzierał się zza chmury. Najpierw ręka czyjaś przedarła się i odgarnęła ciemną zasłonę obłoków, potem nie księżyc, ale biała postać ludzka zajaśniała na błękicie, chyląc ku ziemi świetlane oblicze. Patrzyła, patrzyła na mnie. Przemawiała do mojego ducha, z niezmiernej dali płynął głos, lecz tak blisko szeptał w moim sercu:

„Moja córko, uciekaj przed pokusą”.

„Matko, uczynię to” — odpowiedziałam.

To samo powiedziałam, obudziwszy się z tego snu-widzenia. Noc jeszcze była, ale noce lipcowe są krótkie, zaraz po północy zaczyna świtać. „Nigdy nie dość wcześnie na zaczęcie tego, czego mam dokonać” — pomyślałam. Wstałam, byłam ubrana, gdyż nie rozbierałam się wcale, zdjęłam tylko trzewiki. Wiedziałam, gdzie znaleźć w szufladach trochę bielizny, bransoletkę, pierścionek. Szukając tych rzeczy, natrafiłam na naszyjnik z pereł, który, zmuszona, przyjął od pana Rochester'a kilka dni temu. Nie zabrałam go, nie był moją własnością, należał do tej urojonej panny młodej, która rozwiła się w powietrzu jak mgła. Resztę rzeczy zawięzałam w paczkę, sakiewkę zawierającą dwadzieścia szylingów (więcej nie posiadałam) włożyłam do kieszeni, zawiązałam słomiany kapelus, zapięłam szal i wykradłam się cicho z pokoju.

— Bywaj zdrowa, dobra pani Fairfax! — szepnęłam, przemykając pod jej drzwiami. — Bywaj zdrowa, Adelo, moje kochanie! — rzekłam, patrząc na drzwi dzieciennego pokoju. Nie mogłam nawet pomyśleć o wstąpieniu i uściskaniu małej. Musiałam wywieść w pole bystre ucho, bo czyż mogłam wiedzieć, czy nie nasłuchuje?

Byłabym przeszła bez zatrzymywania się obok drzwi pana Rochester'a, ale serce moje nagle przestało bić przed tym progiem, tak że musiałam przystanąć. Nie panował tam sen, słyszałam niespokojne kroki krążące po pokoju i raz po raz powtarzające się westchnienia. Niebo tam było — chwilowe niebo dla mnie, gdybym tylko zechciała. Trzeba mi tylko było wejść i powiedzieć:

Rozstanie, Ucieczka

Sen

„Panie Rochester, będę pana kochała i żyła z panem przez życie całe, aż do śmierci” — i kielich szczęścia dotknąłby ust moich. Pomyślałam o tym.

Ten dobry pan mój, który spać teraz nie może, niecierpliwie wyczekuje dnia. Przyśle po mnie rano, lecz mnie już nie będzie. Każe mnie szukać — na próżno. Poczuję, że jest opuszczony, że miłość jego odrzucono. Będzie cierpiał, może wpadnie w ostateczną rozpacz... I o tym pomyślałam. Ręka moja sięgnęła ku klamce, cofnęłam ją i posunęłam się dalej.

Strapiona do głębi schodziłam. Wiedziałam, co mam zrobić, i spełniałam to automatycznie. Poszukałam klucza od drzwi bocznych w kuchni, poszukałam buteleczki z oliwą i piórka, nasmarowałam klucz i zamek. Wzięłam trochę wody, trochę chleba, gdyż może będę musiała iść daleko, a źle by było, gdyby mnie siły, mocno nadszarpnięte w ostatnich czasach, zawiodły. Wszystkiego dokonywałam jak najciszej. Otworzyłam drzwi, wyszłam, zamknęłam je za sobą. Mroczny świt zalegał podwórze. Wielkie bramy były zamknięte na klucz, ale furtka w jednej z nich była tylko zatrzaśnięta na klamkę. Tamtędy się wysunęłam i teraz byłam poza obrębem Thornfield.

W odległości mili, za polami, ciągnęła się droga w kierunku przeciwnym do Millcote, droga nieznaną, o której nie wiedziałam, dokąd prowadzi. I tam ruszyłam. Ani jednej myśli nie mogłam teraz poświęcić przeszłości ani przyszłości. Przeszłość była tak niebiańsko słodka, tak śmiertelnie smutna, że wspomnianie jej podcinałoby we mnie odwagę, łamało energię. Przyszłość była to straszna pustka — coś niby świat po potopie.

Mijałam pola, płoty i drogi do wschodu słońca i po nim. Zdaje mi się, że był to piękny, letni poranek, w każdym razie wiem, że trzewiki moje wkrótce zwilgotniały od rosy. Nie patrzyłam jednak ani na wschodzące słońce, ani na uśmiechnięte niebo, ani na budzącą się naturę. Skazaniec, prowadzony na rusztowanie, nie myśli o kwiatach, które widzi po drodze, przed oczyma ma swój koniec i czekający go grób. A ja myślałam o tej tajemnej ucieczce, o bezdomnym tułaniu się i... Och! Z najwyższą męką myślałam o tym, co porzuciłam. Nie mogłam się myślom tym oprzeć. Widziałam go teraz, w jego pokoju, czekającego na wschód słońca i pełnego nadziei, że ja wkrótce przyjdę i powiem, że pozostanę z nim, że będę należeć do niego. Pragnęłam doń należeć, dyszałam chęcią powrotu — jeszcze nie było za późno, mogłam mu jeszcze oszczędzić gorzkiego bólu opuszczenia. Jeszcze dotąd ucieczki mojej, byłam tego pewna, nikt nie zauważył. Mogłam powrócić i stać się jego pocieszycielką, jego dumą, mogłam ochronić go od nieszczęścia, a może od zguby. Och, ta obawa że on teraz, opuszczony przeze mnie, może zejść z dobrej drogi, jakżeż mnie ona dręczyła! Ptaki zaczynały śpiewać w kępach drzew i krzakach. Ptaki wierne są towarzyszom swoim, są symbolem miłości. A czymże ja jestem? W tym serdecznym bólu, wśród tych gwałtownych wysiłków o zwycięstwo zasady, nienawidziłam samej siebie. Nie pocieszało mnie własne uznanie, ani nawet poczucie własnej godności. Skrzywdziłam, zraniłam, opuściłam pana mojego. We własnych oczach byłam sobie wstrętą.

A jednak nie mogłam zawrócić, krokiem jednym nie mogłam się cofnąć. Chyba sam Bóg mnie prowadził. Własną moją wolę, własne sumienie, namiętny żal podeptał i ubezwładnił. Plakałam rozpaczliwie, idąc w samotną drogę, szybko, szybko, jak w gorączce. Ogarnęła mnie słabość, upadłam, leżałam przez kilka minut na ziemi, przyciskając twarz do wilgotnej trawy. Trochę się lękałam, trochę miałam nadziei, że może tam umrę. Niebawem jednak podniosłam się. Zrazu posuwałam się naprzód na czworakach, wkrótce jednak wstałam, z gorączkowym, jak pierwej, postanowieniem dotarcia do drogi.

Gdy się tam w końcu dostałam, zmuszona byłam usiąść pod płotem, ażeby wypocząć. Siedząc tam, usłyszałam turkot kół i ujrzałam nadjeżdżający powóz. Wstałam i podniosłam rękę, powóz stanął. Zapytałam, dokąd jedzie. Woźnica rzucił nazwę odległej miejscowości, gdzie byłam pewna, że pan Rochester nie ma znajomych. Spytałam, za jaką kwotę mógłby mnie tam zawieźć. Powiedział mi, że za trzydzieści szylingów. Odparłam, że mam tylko dwadzieścia — no dobrze, niech będzie, niechże to wystarczy. Pozwolił mi wejść do środka, gdyż wehikuł był pusty. Wsiadłam, drzwiczki się zatrzasnęły i powóz ruszył.

Konflikt wewnętrzny

ROZDZIAŁ XXVIII

Minęły dwa dni. Jest letni wieczór. Woźnica wysadził mnie w miejscu, zwanym Whiteross. Nie mógł zawieźć mnie dalej za pieniądze, które mu dałam, a ja już nie miałam ani szylinga. Powóz tymczasem odjechał, jestem sama. W tej chwili spostrzegam, że zapomniałam paczki. Trudno, została tam i musi tam pozostać, tylko że teraz jestem ogołocona ze wszystkiego.

Whiteross to nie miasto, nawet nie osada. Jest to tylko kamienny słup, osadzony w miejscu, gdzie schodzą się cztery drogi — pobielony zapewne, by był widoczny z daleka i w ciemnościach. Cztery drogowskazy sterczą z jego szczytu. Dobrze znane nazwy miast, wypisane na nich, wskazują mi, w jakim hrabstwie się znalazłam. Jest to jedno ze środkowo-północnych, faliste, przecięte górami. Widzę to. Wielkie przestrzenie wrzosem zarosłych pagórków są za mną i po obu moich bokach, wzgórza wznoszą się daleko poza tą głęboką doliną łączącą u stóp moich. Zaludnienie musi tu być rzadkie, nie widzę też przechodniów na drogach. Te drogi ciągną się na wschód, zachód, północ i południe — białe, szerokie, puste. Wszystkie prowadzą przez wrzosowisko, a wrzosa, gęste i bujne, sięgają po same ich brzegi. Drogi są puste, jednak jakiś przypadkowy podróżny mógłby przechodzić tędy, a ja pragnę, by mnie żadne ludzkie oko nie widziało. Obcy mogliby się dziwić, co ja tu robię pod tym drogowskazem, stojąc widocznie bez celu jak ktoś zbłąkany. Może by mnie wypytywano, a to, co bym mogła odpowiedzieć, wydałoby się niewiarogodne i podejrzanе. Nic mnie nie łączy ze społeczeństwem ludzkim, nikt o mnie dbać nie może, nikt nie okaże mi życzliwości. Pozostaje mi tylko wspólna matka-natura, na jej łonie poszukam wypoczynku...

Puściłam się prosto w gęstwinę wrzosów, po kolana brodziłam w zaroślach. Udałam się do kotliny, gdzie mchem porosły złom granitu stanowił pewną ochronę, i usiadłam. Skala osłaniała mi głowę, nade mną roztaczało się niebo.

Pewien czas minął, zanim się nawet i tutaj poczułam spokojna. Lękałam się, że może w pobliżu pasie się bydło albo że jakiś myśliwy czy kłusownik może mnie tu odkryć. Widząc jednak, że obawy moje były płonne, uspokojona głęboką ciszą chylącego się ku nocy wieczora, nabrałam otuchy. Odzyskałam zdolność myślenia.

Co ja mam począć? Dokąd się udać? Daleką drogę musiałyby przemierzyć moje znużone, drżące nogi, zanim bym dotarła do zabudowań ludzkich. Musiałabym się dopraszać zimnego miłosierdzia, zanim bym uzyskała dach nad głową. Czy wysłucha ktoś, choćby niechętnie, mojego opowiadania? Czy nie oddali od progu, nie zaspokoiwszy moich potrzeb?

Dotknęłam ręką wrzosów — były suche i jeszcze ciepłe od upału letniego dnia. Na czystym niebie migotała dobrotliwie gwiazda. Natura wydała mi się dobra, życzliwa. Jak dziecko do matki garnęłam się do niej serdecznie, ona mi dzisiaj udzieli schronienia... Miałam jeszcze kawaleczek chleba, resztę z kromki, którą, przejeżdżając przez jakieś miasto w południe, kupiłam za pozostałego mi pensa, ostatnią monetę. Widziałam dojrzałe jagody, błyszczące jak czarne perły tu i ówdzie wśród wrzosów. Zebrałam ich garstkę i zjadłam z chlebem. Zaspokoiliam na razie głód dokuczliwy, chociaż nie nasyciłam się tą ucztą pustelnika. Skończywszy, zmówiłam wieczorne pacierze i ułożyłam się do snu.

Pod granitowym złomem wrzosa były bujne i wysokie, zatonęłam w nich prawie w zupełności, a nakryta złożonym szalem, nie odczuwałam chłodu. Byłabym odpoczęła wygodnie i dobrze, gdyby ciężki smutek serca nie bronił mi zasnąć. A smutek ten skarżył się otwartą raną, wewnętrznie krwawiącą — drżał lękiem o pana Rochester'a i o jego los, otaczał go żalostną litością, pragnął go nieustanną tęsknotą, a bezsilny, jak ptak o złamanych skrzydłach, trzepotał nimi w daremnych wysiłkach leczenia ku niemu.

Udręczona tą męką, uklęknęłam. Noc nadeszła, wzeszły gwiazdy. Wiemy, że Bóg jest wszędzie, ale z pewnością nigdy tak nie czujemy Jego obecności, jak wtedy, gdy patrząc na niebo, gdzie w milczącym biegu toczą się Jego światy, widzimy jasno Jego nieskończoność, wszechmoc, wszechobecność. Klęknęłam, by pomodlić się za pana Rochester'a. Pewna byłam, że Bóg, gdy zechce, ocali swe stworzenie. Źródło życia to zarazem Zbawiciel dusz. Pan Rochester był bezpieczny, gdyż był w ręku Boga... Uspokojona przytuliłam się znowu do łona ziemi i niebawem we śnie zapomniałam o zgryzotach.

Droga, Samotność

Natura, Cierpienie

Bóg, Niebo, Noc

Ale nazajutrz rzeczywistość odsłoniła przede mną nagie oblicze. Już dawno ptaszki wyleciały z gniazdek, już dawno pszczoły uwijały się, zbierając miód z wrzosów, zanim rosa obeschnie, gdy wstałam i rozejrzałam się dokoła.

Co za cichy, gorący, wspaniały dzień! Jaką złotą pustynię tworzyło pagórkowate wrzosowisko! Wszędzie jaśniał blask słoneczny! Zobaczyłam jaszczurkę przebiegającą po kamieniu i pszczołę kręcącą się wśród słodkich jagód. Ach, jakbym pragnęła stać się pszczołą lub jaszczurką i znaleźć tutaj odpowiednie pożywienie i stałe schronienie! Byłam jednakże ludzką istotą i ludzkie miałam potrzeby — nie mogę zatrzymywać się tutaj, gdzie nic nie znajdę dla ich zaspokojenia. Wstałam, spojrzałam raz jeszcze na miejsce mojego nocnego spoczynku i ruszyłam z powrotem.

Wróciwszy do Whiteross, poszłam drogą idącą w przeciwnym kierunku do biegu słońca, dopiekającego i stojącego już teraz wysoko. Szłam czas dłuższy, aż gdy już myślałam, że na razie dosyć, że mam już prawo odpocząć po szalonym zmęczeniu, usłyszałam dźwięk kościelnego dzwonu.

Spojrzałam w stronę dolatującego głosu i wśród romantycznych wzgórz, na których malowniczość już od godziny przestałam zwracać uwagę, ujrzałam wioseczkę i wieżę kościelną. Cała dolina po mojej prawej ręce pełna była pastwisk, łąnów zbożowych i lasków, błyszczący strumień płynął kręto wśród rozmaitych odcieni zieleni. Usłyszawszy turkot kół na drodze przed sobą, ujrzałam ładowny wóz, toczący się ciężko pod górę, a niedaleko jakiś człowiek pędził dwie krowy. Ludzkie życie, ludzka praca były w pobliżu. Trzeba mi iść naprzód, walczyć o życie i podejmować trudy podobnie, jak czynią to inni.

Około drugiej po południu dotarłam do wioski. Na końcu uliczki znajdował się sklepik, gdzie w oknie wystawiono parę bochenków chleba. Zapragnęłam bocheneczka. Posilona nim, kto wie, mogłabym odzyskać nieco energii. Bez tego trudno będzie iść dalej. Wróciło mi pragnienie odzyskania sił, skoro tylko znalazłam się wśród ludzi. Wstydziłabym się zemdleć z głodu. Czy nie miałam przy sobie czegoś, co bym mogła ofiarować w zamian za jedną z tych bułek? Zastanowiłam się. Miałam małą, jedwabną chusteczkę zawiązaną dokoła szyi i rękawiczki. Nie bardzo wiedziałam, jak postępują ludzie, przy ciśnięci ostateczną potrzebą. Nie wiedziałam, czy któryś z tych przedmiotów może być przyjęty. Prawdopodobnie nie, ale trzeba spróbować.

Głód

Weszłam do sklepiku, była tam kobieta. Widząc przyzwyczajoną ubraną osobę, grzecznie wysunęła się naprzód. „Czym można mi służyć?”. Wstyd mnie ogarnął, nie śmiałam wymówić słów przygotowanych, nie śmiałam proponować noszonych rękawiczek, zgniecionej chusteczki i zresztą czułam, że to będzie niedorzeczne. Poprosiłam ją więc tylko, by mi pozwoliła usiąść na chwilę, gdyż jestem zmęczona. Zawiedziona w oczekiwaniu znalezienia we mnie klientki, chłodno zgodziła się na moją prośbę. Wskazała mi krzesło, opadłam na nie. Strasznie chciało mi się płakać, czując jednak, jak bardzo byłoby to nie w porę, gwałtem powstrzymałam łzy. Po chwili zapytałam ją, czy jest we wsi krawcowa.

— O tak, są dwie czy trzy. Tyle właśnie, ile potrzeba.

Zastanowiłam się. Bez żadnych środków, bez grosza... Coś muszę zrobić. Ale co? Starać się o jakąś robotę? Ale gdzie?

— Czy pani nie wie o jakimś miejscu w sąsiedztwie, gdzie by potrzebowano służącej?

— Nie, nie wiem o żadnym.

— Czym się tu ludzie głównie zajmują? Co większość robi?

— Niektórzy pracują na roli, wielu w fabryce igieł i w odlewni pana Olivera.

— Czy pan Oliver zatrudnia także kobiety?

— Nie, to jest robota wyłącznie dla mężczyzn.

— A co tu robią kobiety?

— Nie wiem — odpowiedziała. — Jak się zdarzy, jedne to, drugie tamto. Biedni ludzie muszą sobie radzić, jak mogą.

Wydawała się znudzona moimi pytaniami. Przyszły jakieś sąsiadki, moje krzesło było widocznie potrzebne. Pożegnałam się.

Poszłam wzdłuż ulicy, przyglądając się po drodze wszystkim domom na prawo i lewo, nie mogłam jednak wymyślić żadnego pozoru, by wejść do któregoś z nich. Błądziłam po wiosce — to idąc, to wracając — z dobrą godzinę. Mocno wyczerpana i już teraz wielce zgłodniała, zeszałam na jakąś boczną drogę i siadłam pod płotem. Nim jednak upłynęło kilka minut, znowu byłam na nogach i znowu czegoś szukałam — pomocy gdzieś, a choćby

objaśnienia. Na końcu drogi stał ładny, mały domeczek, w bardzo miłym, ślicznie kwitnącym ogródku. Przybliżyłam się i zapukałam. Drzwi otworzyła łagodnie wyglądająca, czysto ubrana kobieta. Takim głosem, na jaki zdobyć się mogło pozbawione nadziei serce i omdlewające ciało — cichym i drżącym — zapytałam, czy tu nie potrzeba służącej.

— Nie — odpowiedziała — my nie trzymamy służącej.

— Czy nie może mi pani powiedzieć, gdzie bym mogła znaleźć zajęcie jakiegokolwiek rodzaju? — mówiłam dalej. — Jestem tu obca, nikogo nie znam. Potrzebuję roboty, wszystko jedno jakiej.

Nie było przecież jej rzeczą myśleć za mnie albo szukać dla mnie miejsca. Przy tym, w jej oczach, jakże wątpliwa musiała się wydawać moja rola, osoba i opowieść. Potrząsnęła głową, mówiąc, że „Przykro jej, że nie może mnie objaśnić” i bardzo delikatnie i grzecznie zamknęły się białe drzwi; zamknęły się przede mną. Gdyby trochę dłużej były otwarte, przypuszczam, że byłabym poprosiła o kawałek chleba, bo już do tej ostateczności dochodziłam.

Nie mogłam znieść powrotu do brudnej wioski, gdzie zresztą nie widziałam nadziei na pomoc. Wolałabym była zboczyć do lasu nieopodal i tam poszukać schronienia. Taką jednakże byłam słaba, strudzona, udęczona głodem, że sam instynkt kazał mi błąkać się dokoła siedzib ludzkich, gdzie jednak mogłabym znaleźć pożywienie. Zawsze jednakże odpędzała mnie od progu świadomość, że nie mam prawa wymagać, by ktoś się interesował moim losem. Tymczasem, gdy tak się błąkałam jak bezpański, głodny pies, upływały godziny popołudniowe. Przechodząc przez jakieś pole, ujrzałam przed sobą wieżę kościelną i śpiesznie ku niej podążyłam. Blisko cmentarza, w środku ogrodu stał dobrze zbudowany, mały domek, niewątpliwie mieszkanie proboszcza. Przypomniałam sobie, że obcy przybysze w miejscu, gdzie nie mają znajomych, a szukają zajęcia, zwracają się niekiedy do miejscowego duchownego po polecenie i pomoc. Przecież kapłan ma za zadanie pomagać przynajmniej radą tym, którzy pragną sami sobie pomóc. Zebrawszy odwagę i siły, dotarłam do tego domu i zapukałam do drzwi kuchennych. Otworzyła mi stara kobieta. Zapytałam, czy to plebania.

— Tak jest.

— Czy pleban w domu?

— Nie ma go.

— Czy wróci prędko?

— Nie, wyjechał z domu.

— Czy daleko?

— Nie bardzo, może będą ze trzy mile stąd. Wezwano go, bo ojciec jego umarł nagle. Jest obecnie w Marsh End i prawdopodobnie zostanie tam jeszcze ze dwa tygodnie.

— Czy jest jakaś pani w domu?

— Nie, ja tylko jestem. A ja jestem gospodyni.

Jeszcze raz zdjęłam z szyi chusteczkę, jeszcze raz pomyślałam o bocheneczkach chleba w sklepiku... Powróciłam do wioski, odnalazłam sklepik i weszłam, a chociaż i inni byli tam obecni, odważyłam się zapytać:

— Czy zechce mi pani dać bocheneczek chleba za tę chusteczkę?

Spojrzała na mnie z wyraźną podejrzliwością.

— Nie, ja nigdy nie sprzedaję towarów w ten sposób.

Już prawie zrozpaczona poprosiłam o chociaż pół bocheneczka, odmówiła znowu:

— Jakże ja mogę wiedzieć, skąd pani wzięła tę chusteczkę? — rzekła.

— A przyjęłaby pani moje rękawiczki?

— Nie! Co mi po nich?

Pod wieczór przechodziłam obok domu farmera. Przed otwartymi drzwiami siedział gospodarz i spożywał kolację złożoną z chleba i sera. Przystanąłam i powiedziałam:

— Czy nie dałby mi pan kawałka chleba? Jestem bardzo głodna.

Spojrzał na mnie zdziwiony, ale nie odpowiadając, odkrajał grubą kromkę z bochenka i podał mi ją. Przypuszczam, że nie wziął mnie za żebraczkę, tylko za jakąś ekscentryczną osobę, której się uśmiechnął czarny jego chleb. Oddalwszy się tak, żeby mnie nie mógł widzieć, usiadłam i zjadłam jego dar.

Nie mając nadziei znalezienia noclegu pod dachem, poszukałam go w lesie, o którym przedtem wspomniałam. Nędzną jednak noc spędziłam, spoczynek mój był przerywany,

Książd

Chleb, Głód

ziemia wilgotna, powietrze zimne. Przy tym kilka razy przechodzili tamtędy ludzie, więc ja raz po raz szukałam innego miejsca. Nie miałam zupełnie poczucia bezpieczeństwa i spokoju. Nad ranem rozpadał się deszcz, cały następny dzień był dżdżysty. Szukałam pracy i głodowałam jak poprzedniego dnia. Raz tylko nieco pożywienia dostałam do ust. Przed drzwiami jednej chaty ujrzałam małą dziewczynkę, mającą właśnie wyrzucić porcję zimnej owsianki do koryta świni.

— Czy nie dałabyś mi tego? — zapytałam.

Wytrzeszczyła na mnie oczy.

— Matko! — zawołała. — Tu jest kobieta, która prosi, żebym jej dała tę kaszę.

— Daj jej, jeżeli to żebraczka — odpowiedział głos z izby. — Wieprz tego nie potrzebuje.

Dziewczynka wytrzasnęła mi na rękę zgęstniałą masę, a ja pochłonęłam ją chciwie.

Dżdżysty mrok zapadał, gdy zatrzymałam się na samotnej ścieżce, wzdłuż której szłam już od godziny.

— Brakuje mi sił — mówiłam do siebie. — Czuję, że już nie zajdę daleko. Czyż znowu mam być wyrzutkiem bez dachu tej nocy? Chociaż taki deszcz pada, będę zmuszona położyć się na zimnej, przemokłej ziemi? Cóż mi innego pozostaje? Bo któż by mnie przyjął? Ale to straszne będzie z tym uczuciem głodu, osłabienia, chłodu i z tą pełną beznadziejnością. Najprawdopodobniej umrę, nim ranek nadejdzie. Dlaczegoż jednak nie mogę się pogodzić z tą myślą o śmierci? Czemu walczę o podtrzymanie tego życia bez jakiegokolwiek wartości? Dlatego, że wiem, a przynajmniej sądzę, że pan Rochester żyje... A przy tym umierać z głodu i zimna to los, przed którym wzdryga się natura. O Boże! Podtrzymaj mnie! O Boże, prowadź mnie!

Błądziłam wzrokiem po ciemnym, zamglonym krajobrazie. Oddaliłam się już znacznie od wioski. Różnymi przejściami i ścieżynami dotarłam znowu do drogi przerywanej pagórkowatą przestrzeń.

„Tam raczej wolę umrzeć — pomyślałam — niż na ulicy lub na uczęszczanej drodze!”. I szedłszy z drogi na torfiastą łąkę, zaczęłam upatrywać jakiegoś zagłębienia, gdzie bym się mogła ukryć spokojnie.

Jeszcze błądziło moje oko po odkrytej przestrzeni tego dzikiego widoku, gdy nagle w pewnym ciemnym punkcie, daleko wśród torfowisk i wzgórz zabłysło światelko. „To błędny ogień”, pomyślałam w pierwszej chwili i czekałam, aż rychło zniknie. Paliło się jednak zupełnie spokojnie, nie posuwając się ani naprzód, ani w tył. „Czy to może świeżo rozpalone ognisko?” — zadałam sobie pytanie. Czekałam, czy się nie powiększy, ale nie, ani się nie zwiększało, ani nie malało. „To może być światło świecy w jakimś domu — domyślałam się — ale jeżeli tak, to ja nigdy do niego nie dotrę. Jest zbyt daleko. A nawet gdyby tuż obok było, co mi z tego przyjdzie? Zapukałabym do drzwi po to, by je przede mną zamknięto”.

Upadłam tam, gdzie stałam, i przyleżałam twarzą do ziemi. Leżałam czas jakiś. Nocny wiatr szumiał nad wzgórzami i nade mną i zamierał, jęcząc w oddali. Deszcz rozpadał się na nowo, przenikając mnie do żywego ciała. Zziębnięta, drżałam. Podniosłam się niebawem.

Światelko świeciło ciągle — niezbyt jasno, ale stale — wśród deszczu. Starłam się iść znowu. Powoli, wyczerpana wlokłam się ku niemu na przełaj przez wielkie trzęsawisko, które zimną byłoby nie do przebycia, a i teraz, w pełni lata, mokre, ugięło się pod stopami. Tutaj dwukrotnie upadłam, podnosiłam się jednak za każdym razem i zbierałam siły. Światelko było moją ostatnią nadzieją, ku niemu dążyłam.

Przeszedłszy torfiastą łąkę, natrafiłam na biały ślad drogi czy ścieżki. Prowadziła prosto do światelka, które teraz widoczne było spoza kępy drzew, świerków, zdaje się, o ile mogłam w ciemności rozeznaczyć. Moja gwiazda przewodnia znikła, gdy się przybliżyłam, jakaś przeszkoda musiała mi ją zasłonić. Wyciągniętą ręką namacałam kamienie niskiego muru, na którym wznosiła się niby palisada. Od wewnątrz rósł wysoki, kłujący żywopłot. Szukałam dalej. Coś białego zabłysło przede mną — była to brama, a raczej furtka. Gdy jej dotknęłam, poruszyła się na zawiasach, z każdej jej strony stał czarny krzak, ostrokrzew albo cis.

Minąwszy furtkę i krzaki, ujrzałam przed sobą sylwetkę domu, czarną, niską i długą, ale moje przewodnie światło nie świeciło nigdzie. Ciemność panowała wszędzie.

Czyżby już mieszkańcy poszli na spoczynek? Szukając drzwi, zawróciłam koło węgła — i oto zabłysło znowu przyjazne światelko zza szyby bardzo małego, zakratowanego okienka, nisko osadzonego nad ziemią. Bluszcz czy inny pnącz gęsto liśćmi osłaniał tę część muru, gdzie ono widniało. Otwór był tak osłonięty i wąski, że uważano za zbyt ciężkie dać tu zasłonę lub okiennicę. Toteż nachyliwszy się i odgarnawszy gałązki, mogłam zobaczyć dobrze całe wnętrze. Ujrzałam izbę o czysto wyszorowanej, piaskiem posypanej podłodze, orzechową półkę z rzędem cynowych talerzy, odbijających blask i czerwień płonącego torfu. Zobaczyłam zegar, biały stół sosnowy i kilka krzesel. Świeca, której płomień był moim światłem przewodnim, paliła się na stole. Przy jej świetle starsza kobieta, o wyglądzie trochę pospolitym, ale niezmiernie czystą, robiła na drutach pończochę.

Widziałam wszystko tylko pobieżnie, nie było w tym nic nadzwyczajnego. Więcej zajmującą grupę ujrzałam przed kominem, siedzącą w różowym blasku i w ciepłe ogniska. Były to dwie młode, pełne wdzięku kobiety. Jedna siedziała na niskim, bujanym fotelu, druga niżej na stołeczku. Obydwie były w grubej żałobie, a ten czarny strój dziwnie podkreślał białosc ich szyi i twarzy. Stary wyżeł opierał potężną głowę na kolanach jednej z dziewcząt, druga piastowała kota.

Dziwne wrażenie sprawiały takie dwie osoby w skromnej kuchni! Kim one były? Nie mogły to być córki tej starszej kobiety przy stole, wyglądała bowiem na wieśniaczkę, a młode panie cechowała wytworność i elegancja. Nigdzie nie widziałam tych twarzy, a jednak, gdy się im przyglądałam, odnosiłam wrażenie, że w każdym rysie są mi znajome. Nie mogę ich nazwać ładnymi — zbyt były blade i poważne, by je tak nazwać można, a gdy się schylały nad książkami, miały wyraz tak zamyślony i skupiony, że nieledwie surowy. Na stolczku ustawionym pomiędzy nimi stała druga świeca i dwa grube tomy, do których zaglądały raz po raz, jak ktoś, kto tłumacząc, zerka do słownika. Cisza tam panowała taka, jak gdyby wszystkie te postacie były cieniami, a izba, oświetlona płomieniem, malowanym obrazem. W tej ciszy słyszałam trzask ognia, tykanie zegara gdzieś w ciemnym kącie, a nawet zdawało mi się, że dociera do moich uszu, jak druty starej kobiety trącają o siebie. Toteż gdy głos przerwał to dziwne milczenie, usłyszałam go od razu.

— Posłuchaj, Diano — odezwała się jedna ze studiujących panien. — Franz i Daniel są razem nocą i Franz opowiada sen, który go przeraził. Posłuchaj!

I cichym głosem przeczytała coś, z czego nie rozumiałam ani słowa, był to bowiem język wtedy mi nieznan: ani francuski, ani łaciński. Czy to było po grecku czy po niemiecku, tego nie wiedziałam.

— To jest mocne — rzekła, skończywszy. — Podoba mi się!

Druga panienka, która podniosła głowę, by słuchać, powtórzyła, patrząc w ogień, jeden wiersz z książki:

— „*Ich wäge die Gedanken in der Schale meines Zornes! Und die Werke mit dem Gewicht meines Grimms*”²⁴³. Wspaniale! Ten jeden wiersz wart jest stu stronic nadętej frazeologii.

Obydwie znowu zamilkły.

— Czy jest gdzieś taki kraj, gdzie gadają w ten sposób? — zapytała stara kobieta, podnosząc oczy znad swojej pończochy.

— Jest taki, Hannah, o wiele większy niż Anglia, gdzie tylko tak mówią.

— Doprawdy, ja nie wiem, jak oni tam jedni drugich mogą zrozumieć. A gdyby która z was tam pojechała, z pewnością rozumiałaby, co oni mówią?

— Zapewne rozumiałybyśmy trochę, ale nie wszystko, gdyż nie jesteśmy tak uczone, jak wy myślicie, Hannah. Nie umiemy mówić po niemiecku i nie umiemy czytać bez pomocy słownika.

— I na co wam się to przyda?

— Chcemy uczyć kiedyś tego języka, a przynajmniej jego początków, wtedy zapłacą nam lepiej niż teraz.

— Z pewnością. Ale już dajcie spokój nauce, dosyć zrobiliście jak na dziś wieczór.

— I ja tak myślę, bo jestem już zmęczona. A ty, Mary?

Niemiec

²⁴³ *Ich wäge die Gedanken in der Schale meines Zornes! Und die Werke mit dem Gewicht meines Grimms* (niem.) — *Ja ważę myśli na szali mojego gniewu, a czynię ciężarami mojej wściekłości* w przekładzie Michała Budzyńskiego (wyd. 1900 r.); cytat z dramatu *Zbójcy* Friedricha Schillera (1759–1805). [przypis edytorski]

— Śmiertelnie, ostatecznie to ciężka praca wkuwać jakiś język bez nauczyciela, tylko ze słownikiem.

— Prawda, zwłaszcza tak trudny jak niemiecki. Ciekawa jestem, kiedy Saint-John powróci.

— Z pewnością już niezadługo, jest właśnie dziesiąta. Taki deszcz pada! Hannah, bądź tak dobra i zajrzyj do bawialnego, żeby przekonać się, czy dobrze się tam pali.

Kobieta wstała, otworzyła drzwi, przez które niewyraźnie dojrzałam korytarz. Wkrótce usłyszałam poprawianie ognia w dalszym pokoju, zaraz też wróciła.

— Ach, dzieci! — powiedziała — teraz to mi tak ciężko wchodzić do tamtego pokoju. Tak tam smutno z tym pustym fotelem, odstawionym do kąta!

Otarła oczy fartuchem. Panienki, przedtem poważne, teraz posmutniały.

— Ale pan jest tam, gdzie mu lepiej — mówiła dalej Hannah — nie powinniśmy żałować, że go tu nie ma. A poza tym nikomu nie można życzyć lepszej, spokojniejszej śmierci.

— Powiadacie, że nawet o nas nie wspomniał? — zapytała jedna z panien.

— Nie miał czasu, dziecko, w minutę skończył życie. Trochę niedomagał dzień wcześniej, ale to nie było nic wielkiego. A gdy go pan Saint-John zapytał, czy nie chciałby, żeby po którąś z was posłać, wyśmiał go po prostu. Na drugi dzień, a to właśnie dwa tygodnie temu, skarżył się, że mu znowu trochę ciąży głowa, i poszedł spać. I już się więcej nie obudził. Prawie sztywny już był, kiedy wasz brat wszedł do pokoju i tak go zastał. Ach, dzieci! To ostatni z tego starego rodu, bo wy i pan Saint-John jesteście innego rodzaju niż tamci, którzy już odeszli. Wasza matka była do was podobna i też taka w książkach uczona. Ty, Mary, jesteś jej żywym obrazem, Diana podobniejsza jest do ojca.

Mnie one wydały się tak podobne, że nie rozumiałam, w czym stara służąca widziała różnicę. Obie miały jasną cerę i smukłe figury, obie — twarze inteligentne i dystyngowane. Jedna, co prawda, miała włosy ciemniejsze i różnie się też czesały. Mary swoje jaśniejsze pukle dzieliła na środku i czesała gładko, ciemne włosy Diany opadały na kark gęstymi kędziorami. Zegar wybił dziesiątą.

— Czas na wieczerzę, nieprawdaż? — zauważyła Hannah. — Czas dla was i dla pana Saint-Johna, jak przyjdzie.

I zabrała się do przygotowania kolacji. Panny wstały, widocznie zamierzały przejść do bawialnego. Ja do tej chwili tak pilnie im się przyglądałam, tak żywo zainteresowałam mnie ich wygląd i rozmowa, że prawie zapomniałam o własnym, nieszczęsnym położeniu. Teraz objawiło mi się znowu, jeszcze bardziej rozpaczliwe przez porównanie. Jaką niemożliwością wydało mi się wzruszenie mieszkanek tego domu moją niedolą, wzburzenie w nich wiary w prawdę moich potrzeb i cierpienie, skłonienie ich do udzielenia mi przytułku po długiej wędrówce! Szukając w ciemnościach drzwi i pukając do nich nieśmiało, nie miałam prawie żadnej nadziei. Otworzyła mi Hannah.

— Czego tam potrzeba? — zapytała zdziwionym głosem, oglądając mnie przy świetle świecy trzymanej w ręku.

— Czy mogłabym zobaczyć się z waszymi paniami? — zapytałam.

— Lepiej mnie powiedzieć, co jest do powiedzenia. Skąd to droga prowadzi?

— Jestem tutaj obca.

— Cóż za interes można mieć tu o tej godzinie?

— Pragnę noclegu w jakiejś szopie albo gdziekolwiek i kawałka chleba do zjedzenia...

Podjejrliwość — to, czego się najwięcej obawiałam — odmalowała się na twarzy Hannah.

— Dam kawałek chleba — powiedziała po chwili — ale nie możemy przyjmować włóczęgów na nocleg.

— Proszę mi pozwolić pomówić z paniami!

— Nie, ani myślę. A coż one dla was mogą zrobić? Nie powinniście się włóczyć o tej godzinie. To wygląda bardzo podejrzanie.

— Lecz dokąd ja pójdę, gdy mnie odpędzicie? Co zrobię ze sobą?

— O, głowę daję, że dobrze wiecie, dokąd pójść i co zrobić ze sobą. Bylebyście tylko nic złego nie robili, w tym rzecz. Tu macie pensa, a teraz idźcie sobie.

— Pens mnie nie nakarmi, a ja nie mam siły iść dalej. Nie zamykajcie drzwi, proszę was... O, nie zamykajcie, na miłość boską!

Śmierć

— Muszę, deszcz zacina do sieni...
— Powiedzcie waszym paniom. Pozwólcie mi się z nimi zobaczyć!
— Ani myślę. Nie jesteście tym, czym powinniście być, inaczej tak byście nie krzy-
czeli. Ruszajcie stąd!

— Ależ ja umrę, jeżeli mnie wypędzicie.

— Nie ma strachu. Wy tam musicie mieć jakieś złe zamiary, skoro kręcicie się do-
koła mieszkań ludzkich tak późno po nocy. Ale jeżeli macie tu gdzie blisko jakichś kam-
ratów²⁴⁴, włamywaczy lub coś podobnego, możecie im powiedzieć, że nie jesteśmy tu
w domu same kobiety, mamy pana, psy i strzelby.

Tu uczciwa, ale niewzruszona służąca zatrzasnęła drzwi i zasunęła rygiel.

To już był szczyt. Straszny ból, wybuch prawdziwej rozpacz, rozdarł mi serce. Padłam
na mokre schodki przed drzwiami, jęczałam, załamywałam ręce, płakałam w ostatecznej
męce. Och, to widmo śmierci! Och, ta ostatnia godzina, zbliżająca się z taką grozą! To
osamotnienie, to wygnanie ze społeczeństwa bliźnich! Nie tylko nadzieja mnie opuściła,
ale i męstwo. Jednak usiłowałam odzyskać równowagę wewnętrzną.

— Mogę jedynie umrzeć — powiedziałam — ale wierzę w Boga. Będę się starała
w milczeniu poddać Jego woli.

Te słowa nie tylko pomyślałam, ale wymówiłam szeptem, i postanowiłam do ostatka
cierpieć w milczeniu.

— Wszyscy musimy umrzeć — odezwał się jakiś głos tuż przy mnie — ale nie wszyscy
są skazani na powolny i przedwczesny koniec, jaki by panią spotkał, gdybyś tu zmariała
z głodu.

— Kto... czy co to mówi? — zapytałam, przerażona niespodziewanym głosem, a nie-
zdolna już wykrzesać nadziei na pomoc.

Ktoś stał blisko, w ciemnościach nocy nie mogłam rozróżnić, co to za postać. Nowo
przybyły głośno i długo zapukał do drzwi.

— Czy to pan, panie Saint-John? — zawołała Hannah.

— Tak... Tak! Otwierajcie prędko!

— Ależ pan musi być zmoczony i zziębnięty w taką szkaradną pogodę! Niech pan
wchodzi, siostry się tam o pana niepokoją, a mnie się zdaje, że tu jacyś źli ludzie się
kręcą. Była tu żebraczka... Ależ doprawdy! Ona jeszcze nie poszła! Tutaj się oto położyła.
Wstawajcie! Nie wstyd wam? Wynoście się, mówię wam!

— Cicho, Hannah, cicho! Ja mam coś do powiedzenia tej kobiecie. Wyście spełnili
sвій obowiązek, nie wpuszczając jej do domu, teraz pozwólcie mi spełnić mój i wpuścić
ją. Byłem blisko i słyszałem, coście obie mówiły. Zdaje mi się, że to szczególny wypadek,
w każdym razie muszę to zbadać. Wstań, młoda kobieto, i wejdź, proszę, do domu.

Posłuchałam go z trudem. Za chwilę stałam w tej jasnej, czystej kuchni, przed ko-
minem, trzęsąca się, omdlała prawie, zdając sobie sprawę, że muszę wyglądać jak widmo.
Obydwie panny, ich brat, pan Saint-John, i stara służąca — wszyscy mi się przyglądali.

— Saint-John, kto to? — usłyszałam pytanie.

— Nie wiem, zastałem ją przed progiem — brzmiała, odpowiedź.

— Taka bardzo blada — zauważyła Hannah.

— Tak, blada jak śmierć — ktoś odpowiedział. — Gotowa upaść... Trzeba, żeby
usiadła.

Istotnie, kręciło mi się w głowie. Zachwiałam się i padłam, ale padłam na podsunięte
krzesło. Byłam jeszcze przytomna, chociaż na razie mówić nie mogłam wcale.

— Może by ją trochę wody orzeźwiło? Hannah, dajcie trochę wody. Ależ biedaczka
wychudzona jest do szczytu! Jaka szczupła i jaka bezkrwista!

— Po prostu cień... Widmo!

— Ona jest chora czy tylko zagłodzona?

— Zdaje mi się, że tylko zagłodzona. Hannah, czy to mleko? Podajcie mi je. I kawałek
chleba.

Diana — poznałam ją po długich kędziorach, opadających na plecy, gdy się nade mną
schyliła — ułamała kawałek chleba, umaczała w mleku i podała mi do ust. Twarz jej była

Sługa, Żebrak, Strach,

Obyczaje

Rozpacz, Samotność, Wiara

²⁴⁴*kamrat* (daw.) — kompan, towarzys. [przypis edytorski]

blisko mojej, czytałam na niej litość, a w jej przyśpieszonym oddechu współczucie. Ta sama słodka litość brzmiała w jej prostych słowach, gdy powiedziała:

— Niech pani spróbuje to zjeść!

— Tak... Niech pani spróbuje — powtórzyła za nią Mary łagodnie, a ręka jej odsunęła mój przemoczony kapelusz i podtrzymała mi głowę.

Skosztowałam tego, co mi podawały. Zrazu słabo, ale po chwili z chciwością jadłam.

— Nie za dużo na początek... Nie pozwólcie — rzekł brat. — Chwilowo będzie miała dosyć.

I usunął kubek z mlekiem i talerz z chlebem.

— Jeszcze trochę, Saint-John... Patrz, jaki wyraz chciwości mają jej oczy.

— Dosyć tymczasem, siostrzo. Przekonaj się, czy może mówić teraz. Zapytaj ją, jak się nazywa.

Czułam, że już teraz mogę zdobyć się na słowa, więc też odpowiedziałam:

— Nazywam się Jane Elliot. — W obawie przed odkryciem już przedtem postanowiłam przybrać obce imię.

— A gdzie pani mieszka? Gdzie ma pani przyjaciół, znajomych?

Milczałam.

— Czy możemy posłać po kogoś, pani znajomego?

Potrząsnęłam głową.

— Co nam pani może o sobie opowiedzieć?

Jakoś od razu, z chwilą gdy przestąpiłam próg tego domu i zetknęłam się z jego mieszkańcami, przestałam czuć się wyrzutkiem, włóczęgą wzgardzoną przez cały świat. Przestałam czuć się żebraczką, poczułam się znowu sobą. Na pytanie zaś pana Saint-Johna — zbyt słaba, by móc na dłuższe opowiadanie się zdobyć — odpowiedziałam po chwili:

— Panie, nie mogę panu dzisiaj podać bliższych szczegółów.

— Ależ w takim razie — odparł — czego się pani spodziewa? Co ja dla pani mogę uczynić?

— Nic — odparłam. Siły moje starczyły tylko na krótkie odpowiedzi. Teraz Diana przemówiła:

— Czy pani przez to rozumie, że już daliśmy pani wszelką pomoc, jakiej pani potrzebuje? I że możemy wyprawić panią na pole w tę dżdżystą noc?

Spojrzałam na nią. Twarz jej była wyrazista, pełna charakteru i dobroci. Wstąpiła we mnie nagle odwaga. Odpowiadając uśmiechem na jej pełne współczucia spojrzenie, powiedziałam:

— Ja państwu ufam. Gdybym była bezpańskim, zbłąkanym psem, wiem, żebyście mnie nie odpędzili od ogniska dzisiejszej nocy. A tak, jak jest, nie lękam się w istocie. Zróbcie ze mną i dla mnie, co chcecie, tylko nie żądajcie ode mnie, ażebym wiele mówiła... Tchu mi brak... I skurcz mnie chwyta, gdy mówię.

Wszyscy troje popatrzyli na mnie w milczeniu.

— Hannah — przemówił w końcu pan Saint-John — niech pani tutaj tymczasem siedzi i o nic jej nie pytajcie. Za dziesięć minut dajcie jej resztę tego mleka i chleba. Mary, Diano, przejdźmy do bawialnego, tam omówimy tę sprawę.

Wyszli. Wkrótce jedna z pań powróciła, nie wiem, która. Ogarniał mnie rodzaj miłego otumanienia, gdym tak siedziała w błogim ciepłe ognia. Dała półgłosem kilka wskazówek Hannie. Niezadługo, z pomocą służącej, zdołałam wejść na schody. Zdjęto ze mnie ociekające wodą ubranie, niebawem znalazłam się w ciepłym, suchym łóżku. Podziękowałam Bogu, w niewypowiedzianym wyczerpaniu odczuwając przyływ wdzięcznej radości, i zasnęłam.

ROZDZIAŁ XXIX

Tylko mglista pamięć pozostała mi o następnych trzech dniach i nocach. Przypominam sobie niektóre odczucia i wrażenia, myśleć jednakże logicznie nie mogłam, a do jakiegokolwiek czynu byłam wprost niezdolna. Wiedziałam, że jestem w małym pokoiku i że leżę w wąskim łóżeczku. Do tego łóżka byłam jakby przyrośnięta, leżałam na nim bez ruchu jak kamień. Nie zważałam na bieg czasu, na przejścia od ranka do południa, od południa do wieczora. Spostrzegałam, gdy ktoś wchodził do pokoju albo gdy wychodził.

Wiedziałałam nawet, kto to taki. Rozumiałam, co mówili, o ile mówiący stał blisko mnie, jednakże nie mogłam odpowiadać. Otworzyć usta albo poruszyć się również było dla mnie niemożliwością. Hannah, służąca, była u mnie najczęstszym gościem. Jej przyjście zawsze niemiło mnie dotykało. Miałam wrażenie, że jest mi nierada, że nie rozumie ani mnie, ani mojej sytuacji, że jest do mnie uprzedzona. Diana i Mary zjawiały się u mnie w pokoju raz, czasem dwa razy dziennie. Szeptaly niekiedy do siebie tego rodzaju zdania:

— Jak to jednak dobrze, że wzięłyśmy ją do siebie.

— Tak, z pewnością znaleziono by ją nieżywą przed drzwiami, gdyby była tam całą noc pozostała. Ciekawa jestem, jakie przeszła koleje?

— Jakies dziwnie ciężkie, wyobrażam sobie, biedna, wymizerowana, błada wędrowniczka!

— To nie jest, zdaje mi się, po jej sposobie mówienia sądząc, osoba bez wykształcenia. Akcent ma zupełnie czysty, a i ubranie, które zdjęła, chociaż zabłocone i mokre, mało znoszone i z dobrego materiału.

— Ma szczególną twarz, taka wychudzona i mizerna, a jednak raczej mi się podoba, przy zdrowiu zaś i ożywieniu, wyobrażam sobie, że fizjonomia jej musi być miła.

Nigdy w rozmowach ich nie usłyszałam ani słowa żalu, że mnie przyjęły tak gościnnie, ani słowa podejrzliwości czy niechęci ku mnie. To mnie pocieszało.

Pan Saint-John zaszedł raz jeden, popatrzył na mnie i powiedział, że mój stan bezwładu wynika z reakcji na nadmierne i długotrwałe przemęczenie. Oświadczył, że nie potrzeba posyłać po doktora, że z pewnością sama natura najlepiej sobie poradzi. Powiedział, że każdy nerw został jakimś sposobem silnie nadwyrężony i że cały system potrzebuje jakiś czas odpoczywać we śnie. Choroby nie ma tu żadnej; wyobraża sobie, że szybko przyjdę do siebie, skoro tylko wejdę na drogę poprawy. Ten sąd wypowiedział spokojnym, cichym głosem i dodał po chwili tonem człowieka nieprzywykłego do obszernych objaśnień:

— Raczej niezwykła fizjonomia, niewątpliwie nie zdradza ani pospolitości, ani upadku.

— Wręcz przeciwnie — odpowiedziała Diana. — Prawdę powiedziawszy, Saint-John, serce mnie ciągnie do tego biedactwa. Ach, jak bym chciała, żebyśmy mogli na stałe się nią zająć!

— To mało prawdopodobne — odpowiedział. — Przekonasz się, że to panienka, która poróżniła się ze swoją rodziną i lekkomyślnie ją opuściła. Może nam się uda przywrócić ją rodzinie, o ile nie jest uparta. Jednakże widzę na jej twarzy linie siły, które każą mi wątpić, czy jest łatwa do prowadzenia. — Stał, przyglądając mi się przez kilka minut, po czym dodał: — Wydaje się rozumna, ale ładna bynajmniej nie jest.

— Ona taka chora, Saint-John!

— Chora czy zdrowa, zawsze będzie nieładna. Brakuje tym rysom zupełnie wdzięku, harmonii i piękna.

Trzeciego dnia poczułam się lepiej, czwartego mogłam już mówić, poruszać się, usiąść, obracać się na łóżku. Hannah przyniosła mi zupełną kaszkę i trochę grzanek około pory obiadowej, jak mi się wydało. Zjadłam z przyjemnością. Jedzenie było dobre, nie miało gorączkowego smaku, jaki zatruchił mi wszystko, co dotąd przelykałam. Po odejściu Hanny poczułam się stosunkowo silna, wstępowało we mnie życie. Dostyc miałam spoczynku, budziła się we mnie chęć ruchu i czynu. Zapragnęłam wstać, ale cóż mogłam włożyć na siebie? Wilgotne, zabłocone ubranie, w którym sypiałam na ziemi i upadałam w błoto? Wstyd mi było ukazać się moim dobrodziejom w takim stroju. Oszczędzono mi tego upokorzenia.

Na krześle przy łóżku leżały wszystkie moje rzeczy — czyste i suche. Czarna, jedwabna sukienka wisiała na ścianie, oczyszczona z błota, odprasowana, wyglądała zupełnie przyzwoicie. Nawet trzewiki i pończochy były wyczyszczone, możliwe do użycia. Była w pokoju woda i miednica, leżała szczotka i grzebień do włosów. Mimo osłabienia, odpoczywając co pięć minut, jako tako mogłam się ubrać. Ubranie wisiało na mnie luźno, gdyż mocno schudłam, zakryłam jednakże niedobory szalem i teraz, czysta i wyglądająca przyzwoicie, bez plamy brudu, bez śladu nieporządku, którego tak nie znosiłam i który zdawał się tak mnie poniżać, zesłam powoli po kamiennych schodach przy pomocy poręczy do niskiego korytarza, skąd od razu trafiłam do kuchni.

Strój

Kuchnię wypełniał zapach świeżego pieczywa, ciepła i dobrego ognia. Hannah piekła chleb. Upředzenia, wiadomo, najtrudniej jest wykorznić z serca. Hannah w istocie z początku była zimna i sztywna, później zaczęła trochę łagodnieć, a gdy ujrzała mnie wchodzącą, czystą i dobrze ubraną, uśmiechnęła się nawet.

— Co to, wstała pani? — rzekła. — Więc widać pani zdrowsza. Niech pani usiądzie na moim miejscu przy kominie, jeśli pani ma ochotę.

Wskazała mi bujany fotel. Usiadłam. Krzątała się, przyglądając mi się od czasu do czasu badawczo spod oka. Wyjmując kilka bochenków z pieca, zwróciła się nagle ku mnie i zapytała bez ogródki:

— Czy pani kiedy już chodziła na żebrzy, zanim pani tutaj przyszła?

Oburzyłam się w pierwszej chwili, ale przypomniałszy sobie, że doprawdy nie można się tu gniewać i że ja jej istotnie przedstawiłam się jako żebraczka, odpowiedziałam spokojnie, jednak z pewnym naciskiem:

— Mylicie się, biorąc mnie za żebraczkę. Ja nie jestem żebraczką, tak jak ani wy, ani wasze panienki nie jesteście żebraczkami.

— Ja tam nie rozumiem tego dobrze — powiedziała po chwili. — Pani to pewnie nie ma ani domu, ani pieniędzy?

— Nawet jeśli ktoś nie ma domu ani pieniędzy, to jeszcze niekoniecznie jest żebrakiem, tak jak wy to rozumiecie.

— Czy pani jest uczona w książkach? — zapytała niebawem.

— O tak. I to bardzo.

— Ale pani nie była na pensji, w szkole?

— Owszem, byłam przez osiem lat.

Otworzyła oczy szeroko.

— A więc dlaczego się pani sama utrzymać nie może?

— Utrzymywałam się sama i mam nadzieję, że i nadal utrzymywać się będę. A co to macie zrobić z tym agrestem? — zapytałam, gdy wydobyła koszyczek z owocami.

— Ciastka z tym będą.

— Dajcie mi to, ja wam oczyszczę.

— Nie, ja nie chcę, żeby się pani męczyła.

— Ale ja muszę coś zrobić, proszę was, dajcie mi to!

Zgodziła się, a nawet przyniosła mi czysty ręcznik, ażebym go rozpostarła na sukni, by jej, jak powiedziała, „nie powalać”.

— Pani nie była przyzwyczajona do roboty służących, ja to widzę po pani rękach — zauważyła. — Może pani była krawcową?

— Nie, mylicie się. Ale teraz mniejsza o to, czym ja byłam. Nie łamcie sobie więcej głowy nade mną i lepiej powiedzcie mi, jak się nazywa ten dom, w którym jesteśmy.

— Niektórzy nazywają go Marsh End, a niektórzy Moor House.

— A ten pan, który tu mieszka, nazywa się Saint-John?

— Nie, pan Saint-John tutaj nie mieszka, jest tu tylko chwilowo. Mieszka we własnej parafii, w Morton²⁴⁵.

— W tej wiosce o parę mil stąd?

— Tak jest.

— A kim jest pan Saint-John?

— Jest duchownym.

Przypomniałam sobie odpowiedź starej gospodyni na plebanii, gdy chciałam się zobaczyć z proboszczem.

— Więc to tutaj mieszkał jego ojciec?

— Tak, starszy pan Rivers tu mieszkał, a także jego ojciec i dziadek, i nawet pradziadek przed nim.

— Więc ten pan nazywa się Saint-John Rivers?

— Tak, Saint-John to jego chrzestne imię.

— A siostry jego to panny Diana i Mary Rivers?

— Tak jest.

— Ojciec ich nie żyje?

²⁴⁵Morton — angielska miejscowość i parafia w hrabstwie Derbyshire. [przypis edytorski]

— Umarł trzy tygodnie temu na apopleksję.
— Matki nie mają?
— Pani już wiele lat temu umarła.
— A wy u tej rodziny jesteście już dawno?
— Jestem u nich od lat trzydziestu. Wyniańczyłam ich wszystkich troje.
— To dowodzi, że musieliście być uczciwą i wierną służącą. Mówię wam to, chociaż byliście tak niegrzeczni, że nazwaliście mnie żebraczką.

Znowu popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

— Zdaje mi się — powiedziała — że mi się zupełnie w myślach pomieszało co do pani, ale tyłu się oszustów kręci, że musi mi pani przebaczyć.

— I chociaż — mówiłam dalej nieco surowo — chcieliście odpędzić mnie od drzwi w noc taką, że psa bylibyście nie odpędzili.

— No tak, to było niepocziwe, ale co człowiek może wiedzieć? Ja więcej myślałam o dzieciach niż o sobie. Biedaki! Toż przecie nie mają nikogo, kto by o nie dbał, prócz mnie. Muszę czasami ostro się postawić.

Przez kilka minut milczałam poważnie.

— Nie musi pani za bardzo źle o mnie myśleć — zauważyła znowu.

— Ale ja myślę źle o was — powiedziałam. — I powiem wam dlaczego. Nie tyle dlatego, że nie chcieliście mnie przygarnąć albo że uważaliście mnie za oszustkę, ile dlatego, że przed chwilą zrobiliście mi rodzaj zarzutu, że nie mam pieniędzy ani domu. Najlepsi ludzie nieraz bywali tak biedni jak ja teraz. A jeżeli jesteście chrześcijanką, nie powinniście uważać biedy za zbrodnię.

— To prawda, że nie powinnam — powiedziała. — I pan Saint-John mi to mówi, ja widzę, że zawiniłam... Ale bo też zupełnie inne mam teraz pojęcie o pani niż przedtem. Pani wygląda na osobę do gruntu porządną i przyzwoitą.

— No dobrze, już się na was nie gniewam. Podajcie mi rękę.

Złożyła swoją umączoną, twardą rękę w mojej dłoni. Serdeczny uśmiech rozjaśnił jej twarz i od tej chwili nastąpiła między nami przyjaźń.

Hannah oczywiście lubiła gawędzić. Podczas gdy ja przebierałam owoce, a ona wyrabiała ciasto, opowiadała mi w dalszym ciągu rozmaite szczegóły historii o nieboszczyku panu, o pani i o „dzieciach”, jak nazywała troje młodych.

Stary pan Rivers, mówiła, był dosyć prostym człowiekiem, chociaż prawdziwym panem z bardzo starego rodu. Marsh End należało do Riversów, odkąd dom ten istniał, a liczył sobie, twierdziła, przeszło dwieście lat, chociaż wydawał się taki mały i skromny — ani go porównać ze wspaniałym domem pana Olivera w Morton Vale. A jednak pamiętała ojca Billa Olivera, robotnika w fabryce igieł, podczas kiedy Riversowie byli szlachtą już za dawnych czasów Henryków²⁴⁶, o czym się każdy może przekonać, jeżeli zechce zajrzeć do rejestrów w zakrystii kościoła w Morton. Przyznawała jednak, że stary pan był taki jak inni ludzie, niewiele różny od innych, przepadał za polowaniem, gospodarką na roli i innymi wiejskimi zajęciami. Pani była inna. Bardzo wiele czytała, bardzo dużo pracowała nad książkami, a „dzieci” wdały się w matkę. Nikogo podobnego do nich nie ma w tych stronach ani nigdy nie było. Lubilo się to uczyć (wszyscy troje), zaledwie zaczęło mówić. Pan Saint-John, jak tylko podrośł, chciał iść do szkół i zostać kapłanem, a dziewczęta, gdy pokończyły szkoły, wzięły posady jako nauczycielki. Powiedziały jej bowiem, że ojciec ich przed kilku laty stracił dużo pieniędzy przez człowieka, któremu zaufał, a który zbankrutował, a ponieważ teraz nie jest tak bogaty, by dać i im majątek, one muszą pracować na siebie. Już od dawna niewiele przebywały w domu, a teraz przyjechały tylko na parę tygodni z powodu śmierci ojca. Ale one tak lubią Marsh End i Morton, i wszystkie te wrzosowiska, i pagórki dokoła! Były w Londynie i w wielu innych wielkich miastach, ale zawsze mówią, że nie ma jak dom. A tacy byli grzeczni jedni dla drugich, nigdy się między sobą nie gniewali i nie kłócili. Hannah nie widziała tak zgodnej rodziny.

Skończywszy przebierać agrest, zapytałam, gdzie są w tej chwili obie panie i ich brat.

— Poszli do Morton na spacer, ale za pół godziny wrócą na herbatę.

²⁴⁶czasy Henryków — prawdopodobnie chodzi o rządy Henryka VII (1457–1509) i Henryka VIII (1491–1547) z dynastii Tudorów. [przypis edytorski]

W oznaczonym czasie wrócili rzeczywiście. Weszli przez drzwi kuchenne. Pan Saint-John, zobaczywszy mnie, uklonił się tylko i przeszedł, obydwie panny zatrzymały się. Mary w kilku słowach życzliwie i spokojnie wyraziła mi, jaką jej to sprawia przyjemność, że widzi mnie już tak silną, iż mogłam zejść na dół. Diana ujęła moją rękę, potrząsając głową.

— Należało poczekać, aż ja pani pozwolę zejść — rzekła. — Jeszcze pani bardzo błada. I taka szczupła! Biedne dziecko... Biedne dziewczątko!

Diana miała głos brzmiący w moich uszach jak gruchanie gołębic i oczy, których spojrzenie sprawiało mi najwyższą przyjemność. Cała jej twarz miała dla mnie wdzięk nieporównany. Mary miała fizjonomię równie inteligentną, rysy równie ładne, jednakże wyraz jej był bardziej powściągliwy, a obejście, chociaż miłe, chłodniejsze. Diana patrzyła i przemawiała z pewną stanowczością, widać było, że to osoba mająca silną wolę. W mojej naturze leżało ulegać z przyjemnością wyższości zaznaczonej w ten sposób, jak ona to czyniła, i ugiąć się, gdzie mi sumienie i poczucie własnej godności pozwalało, przed wolą czynniejszą.

— A przy tym, co pani ma tu do roboty? — mówiła dalej. — To nie miejsce dla pani. My z Mary lubimy niekiedy siadywać w kuchni, ponieważ lubimy w domu swobodę i nie krępujemy się, ale pani jest gościem i pani miejsce jest w pokoju bawialnym.

— Mnie tutaj bardzo dobrze.

— Wcale nie, Hannah kręci się i osypuje panią mąką.

— A przy tym ogień jest tu za gorący dla pani — wtrąciła Mary.

— Ależ tak — dorzuciła siostra. — No, dalej, proszę być posłuszną.

I wciąż trzymając mnie za rękę, przymusiła mnie do wstania i zaprowadziła do pokoju.

— Tu niech pani siedzi — rzekła, umieściwszy mnie na kanapie — podczas gdy my się rozbierzemy i przygotujemy herbatę. To także przywilej, z którego korzystamy w naszym domeczku pod wzgórzami, że same przyrządzamy jedzenie, gdy mamy na to ochotę albo gdy Hannah piecze, porządkuje, pierze czy prasuje.

Zamknęła drzwi, pozostawiając mnie sam na sam z panem Saint-Johnem, siedzącym naprzeciw z książką czy gazetą w ręku. Przyjrzałam się najpierw bawialni, a potem jemu.

Bawialnia był to niewielki pokój, bardzo skromnie umeblowany, jednakże miły, bo czysty i schludny. Staroświeckie krzesła lśniły, a stół orzechowy błyszczał jak zwierciadło. Kilka dziwnych, starych portretów mężczyzn i kobiet z dawnych czasów zdobiło malowane ściany. Szafa o oszklonych drzwiach zawierała trochę książek i komplet staroświeckiej porcelany. Nie było tutaj ani jednego modnego mebla, żadnych zbytecznych ozdób, oprócz dwóch szkatulek do robótek i damskiego sekretarzyka z różanego drzewa, stojącego na bocznym stoliku. Wszystko — nie wyłączając dywanu i firanek — dowodziło, że jest wiekowe, lecz i porządnie utrzymane.

Panu Saint-Johnowi, siedzącemu nieruchomo, nieodrywającemu oczu od kartek czytanej książki i nieotwierającemu zaciśniętych ust, nietrudno się było przypatrzeć. Gdyby był posągiem, a nie człowiekiem, nie mogłoby być łatwiej. Był młody, mógł mieć dwadzieścia osiem do trzydziestu lat, wysoki, szczupły. Twarz jego przykuwała oko, była to twarz greckiego posągu, niezmiernie czysta w rysunku: zupełnie prosty, klasyczny nos, usta i broda Ateńczyka. W istocie rzadko twarz Anglika tak bardzo się zbliża do antycznego modelu. Nie dziw, że go raziła nieregularność moich rysów, skoro sam miał tak harmonijne. Jego oczy były wielkie, niebieskie, o ciemnych rzęsach. Wysokie czoło, blade jak kość słoniowa, przysłaniały częściowo niedbale opadające pukle jasnych włosów.

A jednak ten, którego opisuję, wcale nie sprawiał wrażenia człowieka miłego, ustępliwego, wrażliwego czy choćby równego z natury. Chociaż siedział teraz w spokoju, było coś w zarysach jego nozdrzy, ust i czoła, co, o ile sądzić mogłam, świadczyło o niepokoju czy twardości, czy też nadmiernej gorliwości w jego charakterze. Nie przemówił do mnie ani słowa, nawet nie spojrzął na mnie, dopóki nie powróciły jego siostry. Diana, wchodząc i wychodząc w trakcie przygotowywania herbaty, przyniosła mi ciastko.

— Niech pani to zje teraz — rzekła. — Musi pani być głodna. Hannah mówi, że od śniadania nic pani nie jadła, tylko trochę kaszki.

Nie odmówiłam, gdyż obudził się we mnie silny apetyt. Pan Rivers zamknął teraz książkę, zbliżył się do stołu i usiadłszy, utkwiał całe spojrzenie swoich niebieskich oczu we

mnie. Patrzył teraz bezceremonialnie, prosto, otwarcie, badawczo, co dowodziło, że nie przez nieśmiałość, ale rozmyślnie odwracał dotąd wzrok swój od gościa.

— Bardzo pani jest głodna — rzekł.

— To prawda, panie.

Miałam zawsze w zwyczaju krótko i prosto odpowiadać na krótkie frazy i pytania.

— To dobrze dla pani, że niewysoka gorączka przymuszała ją do wstrzemięźliwości przez ostatnie trzy dni. Byłoby niebezpiecznie, gdyby pani była ulegała zaraz od początku nadmiernemu apetytowi. Teraz już może pani jeść, chociaż zawsze jeszcze z pewnym umiarem.

— Mam nadzieję, że nie będę długo jadła na koszt pański — odpowiedziałam niezręcznie i niegrzecznie.

— Zapewne — odpowiedział chłodno — skoro nam pani tylko wskaże, gdzie mieszka pani rodzina, będziemy mogli napisać do niej, a pani będzie mogła wrócić do domu.

— Tego, muszę panu otwarcie powiedzieć, nie będę mogła uczynić, gdyż absolutnie nie mam ani domu, ani rodziny.

Wszyscy troje popatrzyli na mnie, ale bez nieufności. Odczułam, że nie ma podejrzliwości w ich spojrzeniach, było w nich raczej zaciekawienie. Mówię to zwłaszcza o obu panienkach. Oczy Saint-Johna, choć na pozór takie jasne, były zagadkowe. Używał ich raczej jako narzędzia do badania myśli innych niż jako sposobu ujawnienia swoich własnych. To połączenie przenikliwości i skrytości raczej wprawiało w zakłopotanie, niż dodawało odwagi.

— Czy pani przez to rozumie — zapytał — że pani z ludźmi nie ma żadnych stosunków?

— Tak jest. Żaden węzeł nie łączy mnie z nikim w świecie, nie mam prawa żądać, by mnie jakikolwiek dom w Anglii przyjął pod swój dach.

— Bardzo dziwne położenie w pani wieku.

Tu spostrzegłam, że spojrzał na moje ręce, złożone na stole przede mną. Zdziwiłam się, czego tam szuka. Słowa jego wyjaśniły mi to niebawem.

— Nie jest pani zamężna? Jest pani panną?

Diana rozśmiała się.

— Ależ, Saint-John, pani nie może mieć więcej niż siedemnaście, osiemnaście lat! — rzekła.

— Mam prawie dziewiętnaście, ale nie jestem zamężna. Nie.

Poczułam, że palący rumieniec występuje mi na twarz, gdyż wzmianka o małżeństwie obudziła gorzkie, niepokojące wspomnienia. Diana i Mary odwróciły wzrok od mojej zarumienionej twarzy, ale chłodniejszy i surowszy brat ich patrzył w dalszym ciągu, aż ból, który obudził, wycisnął mi łzy z oczu.

— Gdzie pani ostatnio mieszkała? — spytał teraz.

— Za wiele pytasz, Saint-John — szepnęła cicho Mary.

Lecz on przechylił się przez stół i domagał się odpowiedzi stanowczym i przesywającym wzrokiem.

— Nazwa miejscowości, w której mieszkałam, i osób, z którymi przebywałam, jest moją tajemnicą — odpowiedziałam zwięźle.

— Którą, moim zdaniem, ma pani prawo utrzymać, tak przed Saint-Johnem, jak przed kimkolwiek — zauważyła Diana.

— Jeżeli jednakże nic o pani nie będę wiedział, nie będę mógł pani dopomóc — powiedział. — A pani przecież potrzebuje pomocy, nieprawdaż?

— Potrzebuję jej i pragnę, by ktoś poczciwy wskazał mi sposób uzyskania pracy, jaką umiałabym wykonywać, a za którą wynagrodzenie dałoby mi chociaż najskromniejsze utrzymanie.

— Nie wiem, czy jestem kimś poczciwym, ale chętnie, o ile tylko będę mógł, pomogę pani w osiągnięciu tak uczciwego celu. Przede wszystkim więc niech mi pani powie, co pani dotąd robiła i co pani potrafi.

Wypiłam już teraz herbatę. Wielce mnie pokrzepił ten napój, dodał nowego bodźca nerwom, tak że mogłam już spokojnie przemawiać do tego przenikliwego, młodego sędziego.

— Panie Rivers — zaczęłam, zwracając się ku niemu i patrząc na niego tak jak on na mnie, otwarcie i bez nieśmiałości — pan i siostry pańskie wyświadczyliście mi wielkie dobrodziejstwo, największe, jakie człowiek może wyświadczyć bliźniemu: uratowaliście mnie od śmierci. To dobrodziejstwo daje wam nieograniczone prawo do mojej wdzięczności i, w pewnym stopniu, do mojego zaufania. Opowiem wam tyle, ile mogę, z dziejów przygarniętej przez was przybłądy... Tyle, ile mogę opowiedzieć bez narażania własnego spokoju, własnego bezpieczeństwa moralnego i fizycznego oraz bezpieczeństwa innych. Jestem sierotą, córką duchownego. Rodzice moi odumarli mnie małą. Wychowano mnie z łaski, kształcono w zakładzie dobroczynnym. Mogę nawet powiedzieć państwu nazwę tego zakładu, gdzie spędziłam sześć lat jako uczennica, a dwa jako nauczycielka: było to schronisko dla sierot w Lowood. Może pan o nim słyszał, panie Rivers? Wielebny Robert Brocklehurst jest jego skarbnikiem.

— O panu Brocklehurstcie słyszałem, a szkołę widziałem.

— Opuściłam Lowood prawie rok temu, ażeby zostać nauczycielką prywatną. Otrzymałam dobrą posadę i czułam się szczęśliwa. Miejsce to musiałam porzucić na cztery dni przed przybyciem tutaj. Powodu nie mogę i nie powinnam tłumaczyć, byłoby to niepotrzebne, niebezpieczne i brzmiałoby niewiarygodnie. Żaden zarzut na mnie nie spoczywa, jestem tak wolna od wszelkiej winy, jak którekolwiek z was trojga. Jestem nieszczęśliwa i nie od razu przestanę być nieszczęśliwa, gdyż katastrofa, która wyгнаła mnie z domu, będącego dla mnie rajem, była szczególnej i strasznej natury. Układając ucieczkę, dbałam tylko o dwie rzeczy: o pośpiech i o tajemnicę. Toteż musiałam pozostawić wszystko, co posiadałam, z wyjątkiem małej paczki, a tę w pośpiechu i strapieniu zapomniałam wyjąć z powozu, który dowiózł mnie do Whiteross. W te strony więc przybyłam ogołocona ze wszystkiego. Dwie noce spałam pod gołym niebem i błąkałam się około dwóch dni, nie przestępując ludzkiego progów. Dwa razy tylko przez cały ten czas miałam cośkolwiek w ustach. A gdy z głodu, wyczerpania i rozpaczki już ostatnim prawie tchem goniłam, pan, panie Rivers, nie pozwolił mi zginąć u drzwi swoich i dał mi ochronę pod swym dachem. Wiem o wszystkim, co pańskie siostry odtąd uczyniły dla mnie, gdyż nie byłam nieprzytomna, mimo pozornego bezwładu, i winnam ich samorzutnemu, szczeremu, serdecznemu współczuciu dług równie wielki jak pańskiemu ewangelicznemu miłosierdziu.

— Nie daj jej więcej mówić, Saint-John — powiedziała Diana, gdy umilkłam. — Przecież widać, ile ją takie podniecenie kosztuje. Niech pani przejdzie na kanapę, panno Elliott, i niech pani wygodnie usiądzie.

Mimo woli drgnęłam, usłyszawszy swoje przybrane nazwisko, zapomniałam o nim. Pan Rivers, którego uwadze nic najwyraźniej nie mogło ująć, spostrzegł to od razu.

— Pani powiedziała, że nazywa się Jane Elliott? — zauważył.

— Tak powiedziałam. Nazwisko to uważałam za właściwe przybrać chwilowo, ale nie jest ono moim prawdziwym. I dlatego, gdy je słyszę, brzmi ono dla mnie dziwnie.

— Prawdziwego nazwiska swego nie chce pani podać?

— Nie, obawiam się przede wszystkim wykrycia i unikam wszystkiego, co by do niego mogło doprowadzić.

— I ma pani słusność, jestem tego pewna — wtrąciła Diana. — A teraz, bracie, zostaw ją na chwilę w spokoju.

Jednakże Saint-John, pomyślawszy trochę, rozpoczął na nowo, spokojnie i dociekliwie, jak pierwiej:

— Pani nie chciałaby zależeć długo od naszej gościnności, pani pragnęłyby, ja to rozumiem, obejść się jak najprędzej bez współczucia moich siostr i przede wszystkim bez mojego *miłosierdzia* (zupełnie rozumiem tę różnicę i nie mam jej za złe, jest słuszną), pani pragnęłyby uniezależnić się od nas?

— Tak, panie, to już powiedziałam. Niech mi pan wskaże, jak mam pracować albo jak mam szukać pracy. O to tylko teraz proszę, a wtedy niech mi pan pozwoli pójść do najskromniejszej choćby chaty. Do tego czasu jednak niechaj mi pan pozwoli pozostać tutaj, boję się jeszcze jednej okropnej próby bezdomności i głodu.

— Ależ naturalnie, *zostanie* pani tutaj — rzekła Diana, kładąc białą dłoń na mojej głowie.

— *Zostanie* pani — powtórzyła Mary właściwym sobie tonem prostej szczeroci.

— Moje siostry, jak pani widzi, znajdują przyjemność w zatrzymywaniu pani — powiedział pan Saint-John — tak jak znajdowałyby przyjemność w zatrzymaniu i pielęgnowaniu na wpół zamarzłego ptaka, którego by im wiatr zimowy przywiał do okna. Ja zaś skłonniejszy jestem dać pani możliwość samodzielnego utrzymywania się i o to będę się starał. Jednakże, niech pani zauważy, obracam się w ciasnym kręgu. Jestem tylko plebanem biednej parafii wiejskiej, pomoc moja może być bardzo skromna. A gdyby pani miała pogardzać szczupłym polem pracy, niech pani poszuka skuteczniejszej pomocy niż ta, którą ja mogę ofiarować.

— Przecież ona już powiedziała, że gotowa jest wziąć się do wszelkiej uczciwej roboty, jaką tylko wykonywać potrafi — odpowiedziała Diana za mnie. — A ty wiesz, Saint-John, że co do pomocników, to tutaj nie ma wyboru. Zmuszona jest poprzestać na tak niezdolnym człowieku jak ty.

— Będę krawcową, robotnicą, służącą, piastunką, jeżeli nie mogę być czymś lepszym.

— Dobrze — odpowiedział pan Saint-John zupełnie chłodno. — Jeżeli tak pani myśli, przyrzekam, że pani dopomogę w swoim czasie i na swój sposób.

Zabrał się teraz z powrotem do książki, którą czytał przed herbatą. Ja zaś usunęłam się wkrótce, gdyż mówiłam tak dużo i byłam na nogach tak długo, jak tylko obecne moje siły pozwalały.

ROZDZIAŁ XXX

Im lepiej poznawałam mieszkanki Moor House, tym bardziej je lubiłam. Po kilku dniach na tyle odzyskałam zdrowie, że już nie potrzebowałam się pokładać, a nawet przejść się mogłam niekiedy. Mogłam z Dianą i Mary brać udział we wszystkich ich zajęciach, rozmawiać z nimi, ile zapragnęły, i pomagać im, w czym mi pozwoliły. Znajdowałam ożywczą przyjemność w tym stosunku — przyjemność pierwszy raz w życiu poznana, a polegającą na zgodzie pokrewnych upodobań, uczuć i zasad.

Lubiłam czytać to co i one, a co je cieszyło, sprawiało mi radość. Co one uznawały, i ja szanowałam. Kochały wielce swój ustronny domek. I dla mnie posiadał mocny i stały urok ten szary, mały, staroświecki budynek o niskim dachu, zakratowanych oknach, omszałych ścianach, z aleją starych świerków, krzywo wyrosłych pod naporem górskich wiatrów, z ogrodem ciemnym od cisów i ostrokrzewów.

Siostry lgnęły do purpurowych pagórków dokoła swego mieszkania, do głębokiej doliny, dokąd prowadziła od bramy kamienista ścieżka, wijąca się zrazu wśród paprocią zarosłych brzegów, a dalej wśród dzikich pastwisk, otoczonych polami wrzosowisk, gdzie pasły się stada szarych, górskich owiec z jagniętami o pokrytych puchem pyszczkach. Do tych widoków lgnęły z gorącym przywiązaniem. Umiały zrozumieć to uczucie i umiały podzielać jego siłę i prawdę. Odczuwałam pociągający urok tego miejsca — świąteczny nastrój jej osamotnienia. Oczy moje rozkoszowały się linią wzniesień i zboczy o różnym zabarwieniu, jakie wzgórzom i wklęsłościom terenu nadawały mchy, dzikie dzwonki, ukwiecone łączki, jaskrawe wrzosy i łagodne tony granitowych skał. Te szczegóły były dla mnie tym samym, czym dla nich — czystymi i słodkimi źródłami przyjemności. Silny wicher i łagodny wietrzyk, posępny lub pogodny dzień, wschód i zachód słońca, światło księżycowe i chmurne noce — wszystko to miało dla mnie taki sam powab jak i dla nich, takim samym napawało mnie czarem.

W domu zgadzałyśmy się równie dobrze. One obie więcej miały wiadomości i więcej czytały ode mnie, ja jednakże gorliwie podążałam ścieżką wiedzy, którą one już przeszły przede mną. Pochłaniałam książki, które mi pożyczały, wieczorem zaś rozkoszą było przedyskutować z nimi to, co w ciągu dnia przeczytałam. Myśl trafiała do myśli, zdanie przystosowywało się do zdania, słowem, zgadzałyśmy się doskonale.

Przewodniczącą naszej dobranej trójki była Diana. Fizycznie przewyższała mnie o wiele, była ładna i silna. W swej werwie życiowej miała taką pełnię nieprzerwanego rozpędu, że budziło to mój podziw i przechodziło pojęcie. Ja mogłam mówić przez chwilę, gdy zapadał wieczór, ale skoro pierwszy wylew żywych uczuć u mnie przemijał, siadałam najchętniej na stołeczku u nóg Diany, kładłam głowę na jej kolanach i słuchałam kolejno jej i Mary, podczas gdy zgłębiały gruntownie przedmiot, którego ja ledwo dotknęłam. Diana ofiarowała się uczyć mnie niemieckiego. Lubiłam się z nią uczyć, widziałam, że

Natura

rola nauczycielki dogadza jej i odpowiada, jak mnie rola uczennicy. Natyry nasze uzupełniały się — wynikiem tego było bardzo silne wzajemne przywiązanie. Siostry odkryły, że umiem rysować. Natychmiast swe ołówki i pudła z farbami oddały mi do usług. Moja umiejętność, w tym jednym punkcie wyższa od ich umiejętności, zadziwiła je i zachwycała. Mary godzinami siadywała i przypatrywała mi się, a potem zapragnęła brać ode mnie lekcje. Posłuszna, inteligentna i pilna była z niej uczennica. Przy takich zajęciach i miłym wzajemnym stosunku dni mijały jak godziny, a tygodnie jak dni.

Zażyłość, która wytworzyła się tak naturalnie i prędko pomiędzy mną a Mary i Dianą, nie rozciągała się na ich brata. Jedną z przyczyn dystansu między nami było to, że dość rzadko bywał w domu: znaczną część czasu poświęcał, zdaje się, odwiedzaniu chorych i biednych wśród rozrzuconej ludności swojej parafii.

Nic nie mogło go powstrzymać od tych wycieczek duszpasterskich. W deszcz czy pogodę, skoro tylko minęły godziny jego pracy, brał kapelusz i w towarzystwie starego ojcowskiego wyżła, Carla, wyruszał spełniać tę misję miłości czy obowiązku. Sama nie wiem, jak się na to zapatrywał. Niekiedy, w razie niepogody, siostry starały się go zatrzymać. Odpowiadał wtedy ze szczególnym uśmiechem, raczej uroczystym niż pogodnym:

— Gdyby trochę wiatru albo deszczu miało mnie od tych łatwych obowiązków powstrzymać, jakimże przygotowaniem byłoby takie lenistwo do mej przyszłości?

A wtedy Diana i Mary wzdychały tylko i zapadały w smutną zadumę.

Jednakże oprócz częstych nieobecności inna jeszcze przeszkoda stała na drodze do przyjaźnienia się z nim — pan Saint-John wydawał mi się zamknięty, żyjący w oderwaniu, pochmurnie zamyślony z natury. Gorliwy w kapłańskich obowiązkach, nieskazitelny w życiu i obyczajach, nie cieszył się, zdawało się, tą duchową pogodą, tym wewnętrznym zadowoleniem, jakie powinno być nagrodą każdego szczerego, chrześcijańskiego działacza. Często wieczorem, siedząc przy oknie, nad swoim sekretarzykiem i z papierami przed sobą, przestawał czytać albo pisać i z brodą opartą na rękę zapadał w jakieś głębokie zamyślenie. Myśli te były wzburzone i niespokojne, a poznać to było można po częstych błyskach i zmiennej grze światła w oczach.

Zdaje mi się przy tym, że przyroda nie była dlań tym skarbcem rozkoszy, jakim była dla jego siostr. Raz jeden dał wyraz w mojej obecności silnemu uczuciu wobec surowego uroku wzgórz i wrodzonemu przywiązaniu do ciemnego dachu i siwych murów, które nazywał rodzinnym domem. Było jednakże więcej posępnego smutku niż przyjemności w tonie, jakim uczucie to wyraził. Nigdy też nie błąkał się po wzgórzach, nigdy tam nie szukał niczego, nigdy nie poił się u źródła tych spokojnych radości, których one dostarczyć mogły.

Tak był zamknięty w sobie i mało mówny, że sporo czasu upłynęło, zanim zdarzyła mi się sposobność zajrzenia mu w głąb duszy. Pierwszy raz nabrałam o niej pojęcia, gdy usłyszałam jego kazanie w kościele w Morton. Pragnęłabym opisać to kazanie, ale to przechodzi moje siły. Nie potrafię nawet oddać wiernie wrażenia, jakie na mnie wywarło.

Zaczęło się spokojnie — i istotnie, o ile chodzi o wypowiedzenie i o skalę głosu, spokojne było do końca. Poważnie odczuta, lecz ściśle powstrzymywana żarliwość tchnęła w wyraźnych akcentach, w nerwowym toku mowy. Ta rosła w siłę — zwięzła, ściśła, opanowana. Przejmowała serce i zdumiewała umysł potęgą kaznodziei. Ani na serce, ani na umysł jednakże nie działała łagodząco. Wszystko przenikała tam dziwna gorycz, brak pocieszającej dobrotliwości. Surowe aluzje do doktryn kalwinistycznych — wybrani, predestynacja, potępieni — były częste, a każda wzmianka o tych kwestiach brzmiała jak wyrok potępienia. Gdy skończył, zamiast czuć się lepsza, spokojniejsza, kazaniem jego oświecona, odczułam tylko niewypowiedziany smutek. Zdawało mi się bowiem, nie wiem, czy i innym zarówno, że ten strumień wymowy wypływał z głębiny, gdzie leżał na dnie mętny osad zawodu, gdzie kłębiły się niepokojące impulsy nienasyconych pragnień i burzliwych aspiracji. Byłam pewna, że Saint-John Rivers, człowiek o czystym życiu, sumienny, gorliwy, nie znalazł jeszcze tego bożego spokoju, wyższego nad wszelkie pojęcie. „Tak samo on go nie znalazł — pomyślałam — jak ja przy swoich ukrytych a dręczących żalach za rozbitym bożkiem i straconym rajem, żalach, o których nie chciałam wspominać”.

Tymczasem upłynął miesiąc. Diana i Mary miały niebawem opuścić Moor House i wrócić do nowego życia i otoczenia. Były nauczycielkami w wielkim, modnym mieście

Dusza, Kapłan

południowej Anglii. Obie miały tam posady w rodzinach, których dumni członkowie widzieli w nich tylko skromne pracownice i nie bacząc na ich wysoką wrodzoną wartość, cenili tylko ich nabyte umiejętności, tak jak cenili sztukę swego kucharza albo dobrego smaku panny służącej. Pan Saint-John nic mi dotąd nie powiedział o przyobiecany zajęciu, naglącą jednakże stawała się dla mnie potrzeba znalezienia jakiegoś zawodu. Pewnego ranka, zostawszy na chwilę z nim sama w pokoju, przybliżyłam się do okna, gdzie pracował, i zamierzałam przemówić. Sama dobrze nie wiedziałam, w jakie słowa ubrać pytanie, gdyż zawsze trudno jest przełamać lód, który opancerza tego rodzaju natury, gdy on sam wyprowadził mnie z kłopotu, pierwszy rozpoczynając rozmowę.

— Chce mnie pani o coś zapytać? — zagadnął, podnosząc oczy.

— Tak, pragnęłabym się dowiedzieć, czy pan słyszał o jakimś zajęciu, którego bym się mogła podjąć.

— Znalazłem, a raczej obmyśliłem coś dla pani już trzy tygodnie temu, ale ponieważ widziałem, iż pani jest użyteczna i zadowolona tutaj, a siostry moje widocznie przywiązały się do pani i towarzystwo pani sprawia im niezwykłą przyjemność, uważałem za niewłaściwe płoszyć wzajemne wasze zadowolenie, dopóki ich bliski wyjazd z Marsh End nie uniemożliwi pani pobytu tutaj.

— A siostry pańskie mają wyjechać za trzy dni?

— Tak, gdy one wyjadą, ja powrócę na plebanię w Morton, Hannah będzie mi towarzyszyła, a ten stary dom zamkniemy.

Czekałam chwilę w nadziei, że będzie mówił dalej. Zdawało się jednak, że jego uwaga poszła w innym kierunku. Ze spojrzenia poznałam, że już nie myśli o mnie ani o mojej sprawie. Musiałam przywołać go z powrotem do tematu, który był dla mnie tak ważny.

— Jakie jest to zajęcie, które pan ma na widoku dla mnie, panie Rivers? Mam nadzieję, że ta zwłoka nie zwiększyła trudności otrzymania go?

— Ach, nie, ponieważ jest to zajęcie, którego danie zależy jedynie ode mnie, a przyjęcie od pani.

Zatrzymał się znowu. Wydało mi się, że nie ma ochoty mówić dalej. Zniecierpliwiłam się. Jakieś niespokojne poruszenie, jakieś nieco natarczywe spojrzenie, utkwione w jego twarzy, dały mu to poczuć równie skutecznie jak słowa, a mniej kłopotliwie.

— Tak pani pilno usłyszeć! — rzekł. — Ale ja szczerze pani powiem, że nic korzystnego do zaproponowania pani nie mam. Przypominam pani swe wyraźne zastrzeżenie, iż jeżeli dopomogę pani, to po trosze tak jak ten ślepy, co wiódł kulawego. Jestem niezamierzony, gdyż po zapłaceniu długów mego ojca całym pozostającym mi spadkiem będzie to podrujnowane domostwo, rząd krzywych świerków za domem i kawałek torfiastego gruntu z cisami i krzewami ostrokrzewu z frontu. Jestem nieznanym, Riversowie to stary ród, ale z trojga ostatnich jego potomków dwie na stanowiskach zależnych, wśród obcych zarabiają na kawałek chleba, a trzeci uważa się za obcego w kraju rodzinnym, obcego nie tylko za życia, ale i po śmierci. Tak jest. I los swój uważa za zaszczytny, i wzdycha do dnia, gdy przyjdzie mu dźwignąć krzyż rozstania, krzyż rozerwania wszelkich węzłów cielesnych, gdy głowa tego kościoła wojującego, do którego najpokorniejszych członków się zalicza, wyda mu rozkaz: „Wstań i pójdz za mną”.

Saint-John wypowiedział te słowa tak, jak wygłaszał kazania: głosem spokojnym, głębokim, bez rumieńca na twarzy, z błyszczącymi oczyma. Mówił dalej:

— Jako biedny i nieznanym mogę pani ofiarować tylko stanowisko skromne, graniczące z biedą. *Pani* będzie je może uważała za poniżające, gdyż widzę teraz, że przywykła pani do wytworniejszego życia, do towarzystwa ludzi wykształconych, ja jednakże sądzę, że nie poniża człowieka żadna praca, zmierzająca do doskonalenia naszych bliźnich. Uważam, że im twardszy, im mniej urodzajny zagon, który chrześcijański oracz ma uprawiać, im szczuplejsza zapłata za jego trud, tym większy honor i zasługa. W tego rodzaju okolicznościach przypada mu rola pioniera, a pierwszymi pionierami *Ewangelii* byli apostołowie, zaś wodzem ich Jezus, Odkupiciel, On sam.

— A więc — rzekłam, gdy znowu zamilkł — niech pan mówi, proszę.

Popatrzył na mnie, zanim znowu zaczął. Istotnie, zdawało się, że uważnie czyta w mojej twarzy, jak gdyby rysy i linie były literami na stronicy. Wnioski, wysnute z tego badania, wyraził częściowo w następujących uwagach.

Praca, Nauczycielka

— Sądzę, że pani przyjmie posadę, którą pani ofiaruję — rzekł — i zatrzyma ją pani przez jakiś czas, nie na stałe jednakże, tak jak i ja nie mógłbym na stałe zatrzymać ciasnego i zacieśniającego, spokojnego stanowiska angielskiego, wiejskiego proboszcza na uboczu. W pani naturze bowiem jest przymieszka równie szkodliwa dla spokoju, jak w mojej, jakkolwiek jest ona innego rodzaju.

— Niech pan to wytłumaczy! — nalegałam, gdy znowu przerwał.

— Dobrze i przekona się pani, jaka to marna propozycja, pospolita i krępująca. Ja długo w Morton nie pozostanę, teraz, skoro ojciec mój nie żyje, jestem panem siebie. Opuszczę te strony prawdopodobnie w ciągu roku. Dopóki jednak tu jestem, zrobię, co tylko w mojej mocy dla poprawy tej okolicy. Morton, gdy tutaj przybyłem dwa lata temu, nie miało szkoły. Dzieci biedaków pozbawione były wszelkiej nauki. Założyłem szkołę dla chłopców, teraz zamierzam otworzyć drugą dla dziewcząt. Nająłem budynek na ten cel z dwupokojową chatką dla nauczycielki. Pensja jej wynosiłaby trzydzieści funtów rocznie. Mieszkanie jest już umeblowane, bardzo skromnie, ale dostatecznie, dzięki dobroci pewnej damy, panny Oliver, jedynej córki jedynego bogatego człowieka w mojej parafii, pana Olivera, właściciela fabryki igieł i odlewni żelaza w dolinie. Ta sama osoba płaci za naukę i ubranie sieroty z przytułku pod warunkiem, że ta dziewczynka będzie pomagała nauczycielce w zajęciach około domu i szkoły, których ta, ucząc, nie będzie miała czasu wykonać sama. Czy chce pani być tą nauczycielką?

Zadał to pytanie pośpiesznie, widocznie spodziewał się jednak, że z oburzeniem, a przynajmniej ze wzgardą, odrzucę tę propozycję. Nie znając wszystkich moich myśli i uczuć, chociaż odgadywał niektóre, nie wiedział, jaki mi się wyda taki los. Istotnie, skromnie on się przedstawiał, ale dawał zaciszne, bezpieczne schronienie, a tego potrzebowałam. Wymagał twardej pracy, ale w porównaniu ze stanowiskiem nauczycielki w domu bogatych ludzi dawał niezależność. Lękałam się zależności od obcych, a tu nie groziło mi ani poniżenie, ani upokorzenie. Zdecydowałam się od razu.

— Dziękuję panu za tę propozycję i przyjmuję ją z całą ochotą.

— Ale pani mnie rozumie? — powiedział. — To wiejska szkoła, pani uczennicami będą tylko biedne dziewczęta, dzieci wieśniaków, co najwyżej córki farmerów. Robienie na drutach, szycie, czytanie, pisanie, rachunki... Oto wszystko, czego je pani będzie uczyła. Co pani zrobi ze swymi umiejętnościami? Co z całą dziedziną pani duszy: uczuciami, upodobaniami?

— Schowam je, dopóki mi nie będą potrzebne. Zaczekają.

— A więc pani rozumie, czego się pani chce podjąć?

— Rozumiem.

Uśmiechał się teraz i to nie gorzko ani nie smutno, ale pogodnie i z prawdziwym zadowoleniem.

— I kiedyż zamierza pani przystąpić do pracy?

— Przeniosę się tam jutro, a szkołę, jeśli pan sobie życzy, mogę otworzyć w przyszłym tygodniu.

— Bardzo dobrze, niech tak będzie.

Wstał i przeszedł przez pokój. Stanąwszy, popatrzył znów na mnie. Potrząsnął głową.

— Co się panu we mnie nie podoba, panie Rivers? — zapytałam.

— Pani nie zostanie długo w Morton. Nie, nie!

— Dlaczego? Na jakiej podstawie pan tak twierdzi?

— Czytam to w pani oczach, nie zapowiadają one utrzymania równej linii w życiu.

— Nie jestem ambitna.

Drgnął, usłyszawszy to słowo. Powtórzył:

— Nie. Co panią naprowadziło na myśl o ambicji? Kto jest ambitny? Ja wiem, że ja jestem ambitny, ale jakim sposobem pani to odkryła?

— Ja tylko o sobie mówiłam.

— No więc, jeżeli pani nie jest ambitna, jest pani... — przerwał.

— Jestem jaka?

— Chciałem powiedzieć: namiętna, ale może by pani źle zrozumiała to słowo i może by panią dotknęło. Ja przez to rozumiem, że ludzkie uczucia i sympatie potężną nad panią mają władzę. Jestem pewien, że pani nie potrafiłaby być długo zadowolona, spędzając

Konflikt wewnętrzny

wolne godziny w samotności, a czas pracy przy jednostajnym zajęciu, zupełnie bez podniety. Tak jak ja nie mogę być zadowolony — dodał z naciskiem — żyjąc tu, zagrzebany w bagnach, zduszony górami, wbrew naturze mojej od Boga mi danej, przy zdolnościach, jakimi mnie niebo obdarzyło, marnowanych bez pożytku. Słyszysz pani teraz, jak ja sam sobie przeczę. Ja, który zalecałem zadowolenie ze skromnego losu i pochylałem nawet zawód rębaczy drzewa i wozowodów w służbie bożej, ja, wyświęcony kapłan boży, szaleję prawie z niepokoju. Trudno, skłonności i zasady trzeba jakimś sposobem pogodzić.

Wyszedł z pokoju. W tej jednej godzinie dowiedziałam się o nim więcej niż przez cały poprzedni miesiąc, a jednak wciąż jeszcze był dla mnie zagadką.

Diana i Mary Rivers markotniały i cichły w miarę zbliżania się chwili pożegnania brata i domu. Staraly się nie dać tego poznać po sobie, jednakże smutek, który zwalczały, był tak silny, że nie dał się ukryć ani przezwyciężyć. Diana powiedziała mi, że będzie to inne rozstanie niż wszystkie dotychczasowe. Prawdopodobnie, co się tyczy Saint-Johna, będzie to rozstanie na lata, a może na całe życie.

— On poświęci wszystko dla dawno powziętego postanowienia — powiedziała — nawet rodzinne przywiązanie i silniejsze jeszcze uczucia. Saint-John wydaje się spokojny, Jane, ale on kryje w sobie gorączkę. Sądziłabyś, że jest łagodny, jednakże w niektórych sprawach nieubłagany jest jak śmierć. A najgorsze jest to, że sumienie nie pozwala mi odradzać mu tej surowej jego decyzji. Rzeczywiście, ja ani na chwilę zarzutu mu z tego robić nie mogę. To jest słuszne, szlachetne, godne chrześcijanina, ale serce mi od tego pęka!

I z pięknych jej oczu polały się łzy. Mary pochyliła nisko głowę nad robótką.

— Nie mamy już ojca — szepnęła. — Wkrótce zabraknie nam i domu, i brata.

W tej chwili zaszedł wypadek, którym los jakby chciał potwierdzić powiedzenie, że „Nieszczęście nigdy samo nie przychodzi”, i do zmartwienia ich dodać drażniącą przykrość zawiedzionej nadziei. Saint-John przechodził pod oknem, czytając jakiś list. Wszedł.

— Wuj John umarł — powiedział.

Widać było, że obie siostry tę wiadomość odczuły silnie, ale raczej jako bardzo ważną niż zasmucającą.

— Umarł? — powtórzyła Diana.

— Tak, umarł.

Badawczy wzrok utkwiła w twarzy brata.

— No i co? — zapytała głosem cichym.

— No i co, Dianio? — odpowiedział, nie tracąc marmurowego spokoju twarzy. — No i co? No i nic... Czytaj.

Rzucił jej list na kolana. Przejrzała go i podała Mary. Mary przeczytała go i oddała bratu. Wszyscy troje zamienili spojrzenia i wszyscy troje uśmiechnęli się niewesołym, zamyślonym uśmiechem.

— Amen! Jakoś mimo to przeżyjemy! — rzekła w końcu Diana.

— W każdym razie nie będzie nam przez to gorzej, niż było dotychczas — zauważyła Mary.

— Tylko że silnie narzuca się myśli obraz tego, *co by mogło być* — rzekł pan Rivers — w trochę zbyt silnym kontraście do tego, *co jest*.

Złożył list, zamknął go w sekretarzyku i znowu wyszedł.

Przez kilka minut nikt nic nie mówił. W końcu Diana zwróciła się do mnie:

— Jane, dziwisz się zapewne nam i naszym tajemnicom — rzekła — i myślisz, że jesteśmy istotami bez serca, skoro nas tak mało wzrusza śmierć naszego wuja. Ale myśmy go nigdy nie widzieli ani nie znali. Był to brat naszej matki. Nasz ojciec nasz pokłócił się z nim dawno temu. Za jego to poradą zaryzykował większą część majątku w spekulacji, która go zrujnowała. Czynili sobie wzajemnie wyrzuty, rozeszli się w gniewie i nie pogodzili się nigdy. Wuj nasz zaangażował się potem w szczęśliwsze interesy i jak się okazuje, zebrał fortunę dwudziestu tysięcy funtów. Nie był nigdy żonaty i nie miał innych bliskich krewnych oprócz nas i jeszcze jednej osoby, w tym samym stopniu spokrewnionej co i my. Ojciec mój zawsze miał nadzieję, że wuj wynagrodzi nam krzywdę, mimowolnym błędem wyrządzoną, i że zostawi nam majątek. Ten list powiadamia nas, że zapisał wszystko co do grosza tej innej krewniej, z wyjątkiem trzydziestu gwinei „do podziału między Saint-Johna, Dianę i Mary Rivers na zakup trzech żałobnych pierścionków”.

Konflikt wewnętrzny

List, Dziedzictwo

Miał prawo, naturalnie, zrobić, jak mu się podobało, jednakże taka wiadomość przygnębia chwilowo. Mary i ja uważałyśmy się za bogate, posiadające po tysiąc funtów każda, a dla Saint-Johna taka suma byłaby cenna, dając mu możliwość zrobienia wiele dobrego!

Po tym wyjaśnieniu nikt już o liście nie wspomniał. Nazajutrz opuściłam Marsh End i przeniosłam się do Morton. Następnego dnia Diana i Mary wyjechały, a po tygodniu pan Rivers i Hannah przenieśli się na plebanię. I tak stary dom opustoszał.

ROZDZIAŁ XXXI

Mój dom zatem — gdyż nareszcie znalazłam się u siebie w domu — jest to chata. Mały pokój, kuchnia o bielonych ścianach i piaskiem wysypanej podłodze, zawiera skromne umeblowanie: cztery malowane krzesła, stół, zegar, mały kredens z kilkoma talerzami, półmiskami i fajansowym serwisem do herbaty. Na górze pokój o tych samych rozmiarach co kuchnia, z białym, sosnowym łóżkiem i komodą małą, a jednak za wielką, bym ją wypełnić mogła moją skromną garderobą, chociaż dobroć moich miłych i zacnych przyjaciółek powiększyła jej zapas tym co niezbędne.

Nadszedł wieczór. Odprawiłam sierotkę, która służy mi za pomocnicę, zapłaciwszy jej pomarańczą. Siedzę sama przy kominku. Dziś rano szkółka wiejska została otwarta. Miałam dwadzieścia uczennic. Tylko trzy umieją czytać, żadna nie umie pisać ani rachować. Niektóre potrafią robić na drutach, a kilka z nich trochę szyje. Mówią rozwlekłym, miejscowym akcentem. Na razie mamy wzajemną trudność w zrozumieniu się wobec tych odrębności naszego języka. Niektóre z dziewcząt są źle wychowane, surowe, trudne do prowadzenia i ciemne. Ale inne są posłuszne, chętne do nauki i miłe. Nie wolno mi zapomnieć, że te prosto ubrane wieśniaczki są z krwi i ciała równie dobre jak potomkowie rodowej szlachty i że zarodki wrodzonej doskonałości, kultury, inteligencji, delikatnych uczuć mogą równie dobrze istnieć w ich sercach, jak w sercach wysoko urodzonych. Mam obowiązek rozwijać te zarodki, z pewnością da mi zadowolenie spełnianie tego zadania. Nie obiecuję sobie wiele uciechy z życia, które się przede mną otwiera, niewątpliwie jednak, gdy doprowadzę do ładu swoje myśli, gdy czynnie natężę wszystkie władze tak, jak powinnam, będę miała tyle radości, ile potrzeba, by żyć z dnia na dzień.

Czy bardzo byłam uradowana, zadowolona podczas godzin, które spędziłam w tamtym pustym, skromnym, szkolnym pokoju dziś rano i po południu? Nie chcąc samej siebie oszukiwać, muszę odpowiedzieć, że nie. Było mi ciężko. Czułam się... Idiotka ze mnie! Czułam się poniżona. Zadawałam sobie pytanie, czy nie uczyniłam kroku, który mnie obniżał, zamiast mnie podnieść w skali społecznej sfery. Przerazałam się małodusznie niewiedzą, ubóstwem i prostactwem. Ale nie będę się zbytecznie potępiała za te uczucia. Wiem, że są godne nagany, a to już wielki krok naprzód. Będę się starała je przezwyciężyć. Do jutra, mam nadzieję, zwalczę je częściowo, a za parę tygodni może zduszę je w sobie zupełnie. Za parę miesięcy, być może, widok postępów, zmiana moich uczennic na lepsze zamieni w radość mój dzisiejszy niesmak.

Tymczasem zadam sobie jedno jeszcze pytanie: co lepiej? Czy gdybym się była poddała pokusie, uległa namiętności, bez wysiłków bolesnych, bez walki, gdybym się była zaplątała w jedwabną sieć, zasnęła na kwiatkach, zakrywających pułapkę, by obudzić się w południowym klimacie, wśród zbytków rozkosznej willi, jako kochanka pana Rochester, upojona jego miłością... Gdyż on by mnie kochał, o tak... On by mnie bardzo kochał przez pewien czas. Kochał mnie — nikt mnie już nigdy tak kochać nie będzie. Nigdy już nie zaznam słodkiego hołdu świadzonego piękności, młodości, wdziękowi, gdyż nikt inny ich we mnie się nie dopatrzy. On mnie kochał i dumny był ze mnie, nikt inny takim uczuciem mnie nie obdarzy... Ale gdzież to ja się błąkam, co mówię, a przede wszystkim, co czuję? Zapytywałam siebie, czy lepiej by mi było być niewolnicą w rajku lenistwa w Marsylii²⁴⁷ — rozgorączkowaną złudną szczęśliwością w jednej godzinie, a dławiącą się gorzkimi łzami żalu i wstydu w następne? Czy też być wiejską nauczycielką, wolną i uczciwą, w zdrowym zakątku górskim w samym sercu Anglii?

Tak, czuję teraz, że miałam słuszność, trwając przy zasadach i przy prawie, a odpychając i hamując podszepty chwilowego szalu. Bóg mną pokierował, że dobrze wybrałam, opatrności Jego dziękuję za pomoc i za opiekę.

²⁴⁷Marsylia — miasto w pld. Francji, nad Morzem Śródziemnym. [przypis edytorski]

Dom

Praca, Szkoła, Nauczycielka,
Uczeń

Konflikt wewnętrzny

Doszedłszy w dumaniach do tego punktu, wstałam, otworzyłam drzwi i wyjrzałam. Słońce zachodziło. Ptaki śpiewały ostatnie piosenki, „Powietrze było łagodne, rosa, niby balsam, opadała...”²⁴⁸.

Patrzyłam przed siebie i myślałam, że jestem szczęśliwa, ale oto ze zdziwieniem spostrzegłam niebawem, że płaczę... I co mi te łzy wyciskało? Ten los okrutny, który mnie oderwał od mojego pana. Myśl o nim, że go już miałam nigdy nie zobaczyć, myśl o jego rozpacz, o furii gniewu z powodu mojej ucieczki... Może go to teraz ściąga z uczciwej drogi zbyt daleko, by ostateczny powrót był dlań możliwy... Na myśl o tym odwróciłam się od widoku cudnego, wieczornego nieba, zakryłam oczy i oparłam głowę o kamienne obramowanie drzwi. Wkrótce jednak podniosłam wzrok, gdyż posłyszałam jakiś ruch przy furtce zamykającej od strony łączki mały ogródek. To pies — stary Carlo, wyżeł pana Riversa, popychał furtkę nosem, a sam Saint-John opierał się o nią łokciami. Brwi miał ściągnięte, spojrzenie poważne, nieledwie surowe, utkwil we mnie. Poprosiłam go, by zechciał wejść.

— Nie, nie mogę się zatrzymać, przyniosłem pani tylko małą paczkę, którą moje siostry pozostawiły dla pani. Zdaje mi się, że jest w niej pudło z farbami, ołówki i papier.

Zbliżyłam się, by odebrać paczkę. Jakież pożądany był to dar! Saint-John badawczo mi się przyglądał — wydało mi się, że okiem surowym, ślady łez niewątpliwie były widoczne.

— Czy pierwszy dzień pracy wydał się pani cięższy, niż się pani spodziewała? — zapytał.

— O nie! Przeciwnie, myślę, że z czasem bardzo dobrze dam sobie radę z uczennicami.

— Ale może urządzenie pani, pani chatka, pani umeblowanie, może to zawiodło pani oczekiwania? Wszystkiego tego, co prawda, jest niewiele, ale...

Przerwałam mu:

— Moja chatka jest czysta i zaciszna, moje umeblowanie dostateczne i wygodne. Wszystko, co widziałam, napelnia mnie wdzięcznością, nie smutkiem. Nie jestem wcale tak niemądra, żeby żałować braku dywanu, kanapy albo srebrnych nakryć. A zresztą pięć tygodni temu nie miałam nic, byłam wyrzutkiem, żebraczką, włóczęgą. Teraz mam znajomych, dom i zajęcie. Podziwiam dobroć Boga, szlachetność moich przyjaciół, szczęśliwość mojego losu. Nie smucę się i nie żałuję.

— Ale odczuwa pani osamotnienie i ciężko pani? Ten mały domek, przed którym pani stoi, ciemny jest i pusty.

— Dotąd zaledwie miałam czas zaznać spokoju, tym bardziej nie zdążyłam niecierpliwie się w poczuciu osamotnienia.

— Bardzo dobrze, mam nadzieję, że pani istotnie czuje to zadowolenie, o którym pani mówi. W każdym razie własny pani rozsądek powie pani, że jeszcze za wcześniej poddawać się chwiejnym lękom żony Lota²⁴⁹. Co pani za sobą zostawiła, zanim panią poznałem, tego oczywiście nie wiem. Ale radziłbym pani opierać się wszelkim pokusom oglądania się wstecz. Niech pani wytrwale pracuje w obecnym zawodzie przynajmniej kilka miesięcy.

— Toteż ja to właśnie zamierzam — odrzekłam.

Saint-John mówił dalej:

— Ciężkie to zadanie opanowywać skłonności i odwracać prąd natury, ale wiem z doświadczenia, że można to osiągnąć. Bóg dał nam, w pewnej mierze, możność kształtowania naszego własnego losu. A gdy nasza energia zdaje się żądać pokarmu, którego otrzymać nie może, gdy wola nasza wycęza się ku ścięzce, którą nam iść nie dozwolono, nie potrzebujemy ani umierać z głodu, ani stać w miejscu z rozpaczą. Musimy tylko poszukać innego pokarmu dla ducha, równie silnego jak ten zakazany, a może czystsze- go, i wyrębać dla odważnej stopy drogę równie prostą i szeroką jak ta, którą los nam zatamował, chociaż może nie tak gładką. Rok temu ja sam byłem wielce nieszczęśliwy. Sądziłem bowiem, że popełniłem pomyłkę, obierając zawód kapłana. Jednostajne obowiązki tego zawodu nużyły mnie śmiertelnie. Rwałem się ku czynniejszemu życiu świa-

Kondycja ludzka, Kapłan,

Los

²⁴⁸ Powietrze było łagodne, rosa, niby balsam, opadała... (ang. *The air was mild, the dew was balm*) — nawiązanie do fragmentu utworu Waltera Scotta (1771–1832) *The Lady of the Lake: Canto III: The air was mild, the wind was calm, The stream was smooth, the dew was balm*. [przypis edytorski]

²⁴⁹ żona Lota — postać biblijna, małżonka Lota, bratanka patriarchy Abrahama, zamieniona w słup soli. [przypis edytorski]

ta, ku bardziej podniecającym trudom kariery literackiej, ku zawodowi artysty, pisarza, mówcy... Tak jest, serce polityka, żołnierza, czciciela chwały, miłośnika sławy żądnego władzy biło pod moją komżą wikarego. Zastanawiałem się, czułem się tak nieszczęśliwy, że pozostawało mi zmienić drogę życia lub umrzeć. Po okresie ciemności i walki padło światło, przyszła ulga. Dla mojego skrępowanego istnienia otworzył się nagle nieogarniony widnokrąg. Władze duszy mej otrzymały nakaz z nieba, że mają powstać, zebrać wszystkie siły, rozwinąć skrzydła i wstępować wzwyż. Bóg zlecił mi posłannictwo. By zanieść je daleko, by wypełnić je dobrze, wszystkiego potrzeba: zręczności i siły, odwagi i wymowy, najlepszych zalet żołnierza, statysty²⁵⁰ i mówcy, gdyż wszystko to się jednoczy w dobrym misjonarzu. Postanowiłem zostać misjonarzem. Od tej chwili stan ducha mojego się odmienił, więzy rozluźniły się i opadły ze mnie, wyzwoliły mnie, pozostawiając tylko obolałość, którą czas jedynie uleczy. Ojciec mój co prawda sprzeciwiał się temu postanowieniu, jednakże od jego śmierci nie potrzebuję zwalczać oporu. Jeszcze parę interesów załatwić, jeszcze znaleźć następcę na probostwo w Morton, jeszcze niektóre uczuciowe węzły zerwać albo przeciąć, jeszcze ostatnią walkę stoczyć ze słabością ludzką, walkę, w której wiem, że zwyciężę, gdyż ślubowałem sobie, że *chcę* zwyciężyć, a opuszczam Europę i zdążam na Wschód.

Powiedział to właściwym sobie, przyciszonym, ale dobitnym głosem. A gdy skończył, spojrział na zachodzące słońce, na które i ja patrzyłam. Oboje odwróceni byliśmy plecami ku ścieżce prowadzącej przez pole ku furtce. Nie słyszeliśmy żadnych kroków na zarosłej trawą dróżce i szmer wody, płynącej w dolinie, był jedynym odgłosem w tym miejscu i o tej godzinie. Toteż nie dziw, że drgnęliśmy, gdy wesoly głos, dźwięczny jak srebrny dzwoneczek, zawołał:

— Dobry wieczór, panie Rivers. I dobry wieczór tobie, stary Carlo! Pański pies przedej poznaje przyjaciół niż pan, łaskawy panie. Nastawił uszy i kręcił ogonem, gdy jeszcze byłam na końcu pola, a pan jeszcze teraz stoi plecami do mnie odwrócony.

To prawda. Chociaż pan Rivers drgnął przy pierwszym dźwięku tego muzycznego głosu, jak gdyby piorun rozdarł chmurę nad jego głową, stał wciąż jeszcze w tej samej pozycji, w jakiej go mówiąca zastała, z łokciem opartym o furtkę i twarzą skierowaną ku zachodowi. Odwrócił się na koniec, nie spiesząc się. A mnie się wydało, że zjawisko jakieś niezemskie stanęło obok niego. W odległości trzech kroków ujrzałam postać białą ubraną, młodzieńczą, wdzięczną, pełną, ale o pięknej linii. A gdy schylona dla popieszczenia Carla podniosła głowę i odrzuciła długi welon, ukazała twarz doskonałej piękności. Doskonała piękność to silne słowo, a jednak go nie cofam ani go nie zmieniam. Tak delikatne rysy, jak je umiarkowany klimat Albionu wytworzyć zdoła, tak czyste barwy róż i lilii, jak wilgotne jego wiatry i mgliste nieba wyhodować potrafią, usprawiedliwiały w tym wypadku to określenie. To młode dziewczę miało rysy regularne i delikatne, oczy wielkie, ciemne, ocienione długimi rzęsami, brew jak malowaną, białe, gładkie czoło, usta świeże, rumiane, ślicznie zarysowane, dołeczek na brodzie i piękne, bujne włosy — słowem, posiadała wszystkie uroki, które połączone tworzą ideał piękności. Z zachwytem patrzyłam na to śliczne stworzenie, podziwiałam ją z całego serca.

I cóż Saint-John Rivers myślał o tym ziemskim aniele? Zupełnie naturalnie zadałam sobie to pytanie, widząc, że odwraca się i patrzy na nią, i równie naturalnie poszukałam odpowiedzi na jego twarzy. On jednakże odwrócił już wzrok od jej oblicza i patrzył na skromny krzaczek stokrotek rosnących przy bramce.

— Śliczny wieczór, ale że też pani tak późno sama wyszła — powiedział, gniotąc nogą śnieżne główki zwiniętych kwiatów.

— Ach, ja dopiero dziś po południu wróciłam z S. — Tu wymieniła nazwę dużego miasta, odległego o jakieś dwadzieścia mil. — Papa mi mówił, że pan już otworzył szkołę i że przybyła nowa nauczycielka. Toteż po herbacie włożyłam kapelusz i przebiegłam przez dolinę, chcąc ją poznać. Czy to pani?

— Tak — odpowiedział Saint-John.

— Czy pani myśli, że będzie się pani podobało w Morton? — zapytała mnie ze szczerą i naiwną prostotą tonu, miłą, choć dziecinną.

— Sądzę, że tak. Mam ku temu wiele powodów.

²⁵⁰statysta (daw.) — mąż stanu, polityk. [przypis edytorski]

- Czy uczennice są tak uważne, jak się pani spodziewała?
- Najzupełniej.
- Czy podoba się pani domek?
- Bardzo.
- Czy ładnie go umeblowałam?
- Doprawdy, bardzo ładnie.
- A czy dobrą pomocnicę wyszukałam dla pani, wybierając Alice Wood?
- Dobrze pani wybrała. Jest pojętna i zręczna.

„To więc — pomyślałam — jest panna Oliver, bogata dziedziczka, uposażona, jak widać, zarówno od natury, jak i materialnie! Co za szczęśliwa konstelacja planet świeciła nad jej kołyską!”

— Zjrzą tu niekiedy i pomogę pani uczyć — dodała. — Odwiedziny od czasu do czasu będą dla mnie miłym urozmaicheniem, a ja lubię różnorodność. Panie Rivers, tak się wesoło bawiłam podczas pobytu w S. Ubiegłej nocy, a raczej dziś rano, tańczyłam do drugiej — opowiadała, śmiejąc się. — Od czasu rozruchów zakwaterowano tam pułk wojska, a oficerowie to najmiłsi w świecie ludzie, niech się schowają wobec nich nasi młodzi nożownicy i kupcy nożyczek.

Wydało mi się, że po ustach Saint-Johna przebiegł przykry grymas i że usta te mocno się zacisnęły, gdy w dolnej części twarzy osiadła jakaś surowa zaciętość. Oderwał oczy od stokrotek i zwrócił je na nią. Poważne, badawcze, znaczące było to spojrzenie. Odpowiedziała na nie znowu śmiechem, a śmiech tak dobrze pasował do jej młodości, jej dołeczków i błyszczących oczu!

Podczas gdy Saint-John stał milczący i poważny, ona znowu zaczęła pieścić Carla.

— Biedny Carlo mnie kocha — powiedziała. — On nie jest surowy, on nie jest zimny dla przyjaciół, a gdyby umiał mówić, nie milczałby z pewnością.

Gdy głaszcząc głowę psa, chyliła się z wrodzonym wdziękiem przed młodym i surowym jego panem, ujrzałam, że płomień zalewa twarz Saint-Johna. Uroczysta powaga jego spojrzenia roztopiła się w nagłym ogniu, oczy błysnęły przemożnym wzruszeniem. Tak zarumieniony i wzruszony dorównywał nieledwie jej urodzie prawdziwie męską pięknnością. Pierś jego podniosła się jednym głębokim westchnieniem, jak gdyby wielkie jego serce, znużone despotycznym uciskiem, odprężyło się wbrew woli i potężnym uderzeniem zabiło ku swobodzie. Ale on je poskromił, zdaje mi się, tak jak śmiały jeździec poskromiłby ponoszącego rumaka. Nie odpowiedział ani słowem, ani ruchem na miło robione mu wymówki.

— Papa powiada, że pan nigdy teraz do nas nie zagłąda — ciągnęła panienska. — W Vale Hall stał się pan zupełnie obcy. Papa jest sam dziś wieczorem i nieco słaby. Może mnie pan odprowadzi i odwiedzi go?

— To nie jest odpowiednia godzina do składania wizyt panu Oliverowi — odpowiedział Saint-John.

— Nieodpowiednia godzina! Twierdzą, że przeciwnie. To właśnie godzina, kiedy papa najbardziej potrzebuje towarzystwa, bo fabryka staje, a on nie ma nic do roboty. No, panie Rivers, niechże pan przyjdzie! Dlaczego pan taki dziki i tak zachmurzony?

Milczenie jego po tym zapytaniu wypełniła własną odpowiedzią.

— Zapomniałam! — zawołała, potrząsając piękną główką, jak gdyby sama sobą zgorzszona. — Taka jestem nieuważna i roztargniona! Niech mi pan wybaczy. Wyszło mi z pamięci, że to bardzo naturalne, iż pan nie ma ochoty gawędzić ze mną. Diana i Mary odjechały. Moor House jest zamknięty i pan taki osamotniony! Doprawdy, żal mi pana. Niech pan przyjdzie, niech pan odwiedzi papę!

— Nie dziś wieczór, panno Rosamond, nie dziś wieczór.

Pan Saint-John mówił prawie jak automat, on sam tylko wiedział, ile go kosztuje ta odmowa.

— Trudno, skoro pan taki uparty, będę musiała pana pożegnać, gdyż nie śmiem pozostać dłużej, rosa zaczyna opadać. Dobranoc!

Wyciągnęła rękę. Zaledwie jej dotknął.

— Dobranoc! — powtórzył głosem cichym i dalekim jak echo. Poszła, ale wnet powróciła.

— Czy pan zdrow? — zapytała.

Mogła śmiało zadać to pytanie, gdyż twarz jego była blada jak jej sukienka.

— Najzupełniej — odpowiedział — i ukloniwszy się, zawrócił od furtki.

Ona poszła w jedną stronę, on w drugą. Obejrzała się za nim dwa razy, lekko jak wóźka sunąc przez pole. On, idąc krokiem pewnym na przelaj, nie odwrócił się ani razu.

Ten widok cudzego cierpienia i ofiary oderwał myśli moje od wyłącznego rozmyślania o własnym bólu. Diana Rivers, określając brata, nazwała go „nieubłaganym jak śmierć”. I nie przesadziła.

ROZDZIAŁ XXXII

Pracowałam w wiejskiej szkółce tak pilnie i lojalnie, jak tylko mogłam. Była to naprawdę ciężka z początku robota. Mimo wszelkich wysiłków musiało upłynąć trochę czasu, zanim mogłam zrozumieć moje uczennice i ich natury. Zupełnie nieuczzone, z nierozwiniętymi zdolnościami, wydawały mi się beznadziejnie tępe. Na pierwsze rzut oka wszystkie wydawały mi się jednakowo tępe. Wkrótce jednak przekonałam się, że się mylę. Gdyśmy się raz poznały, gdy przestały mi się dziwić — mnie, mojemu językowi, moim przepisom i moim sposobom — zauważyłam, że niejedna z tych ociężałych, gapiących się prostaczków to całkiem bystra dziewczyna. Okazało się, że wiele jest uprzejmych i miłych, a niektóre odznaczały się taką wrodzoną grzecznością, godnością i wybitnymi zdolnościami, że zjednywały moją dobrą wolę i podziw. Te niebawem zaczęły znajdować przyjemność w pracy, w pilnowaniu porządku, w regularnym uczeniu się i w zdobywaniu spokojnego i przyzwoitego ułożenia. Szybkość ich postępów w niektórych wypadkach była zadziwiająca, co mnie napełniało prawdziwą i radosną dumą. Przy tym zaczęłam osobiście lubić niektóre z najlepszych dziewcząt i one mnie polubiły. Miałam pomiędzy uczennicami kilka córek farmerów, dziewcząt wyrosniętych, prawie dorosłych. Te już umiały czytać, pisać, szyć i rachować, uczyłam je początków gramatyki, geografii, historii i delikatniejszych robótek igłą. Pomiędzy nimi znalazłam wartościowe charaktery, kulturalne, spragnione wiedzy jednostki, z nimi spędziłam niejedną miłą wieczór w ich własnych domostwach. Rodzice ich otaczali mnie względami. Czułam się dobrze w atmosferze ich prostej i szczerzej życzliwości, którą odpłacałam uznaniem i szacunkiem.

Czułam, że staję się ulubienicą sąsiedztwa. Ile razy wyszłam, słyszałam ze wszystkich stron serdeczne pozdrowienia, witano mnie z przyjaznym uśmiechem. Życ wśród ogólnego uznania, choćby tylko ludzi prostych, to tyle, co „siedzieć w słońcu, słodko i spokojnie”. Pogodne uczucia zakwitają w duszy pod tymi promieniami. W tym okresie życia serce moje znacznie częściej wzbierało dziękczynieniem, niż upadało w zgnębieniu. A jednak, żeby wyznać całą prawdę, wśród tego spokoju i tej użytecznej działalności — po dniu spędzonym na uczciwej pracy z uczennicami i wieczorze na rysowaniu lub samotnym czytaniu — dziwnych snów doświadczałam nocą. Były to sny różnobarwne, niespokojne, pełne wzlotów idealnych, podniecające, burzliwe sny, gdzie wśród scen niezwykłych, pełnych przygód, ryzykownych i romantycznych, wciąż spotykałam pana Rochester, zawsze w jakimś przełomowym momencie. A wtedy poczucie, że jestem w jego objęciach, że słyszę jego głos, że oczami tonę w jego oczach, że dotykam ręki jego i twarzy, kochając go i kochana przez niego — poczucie, że spędzę całe życie przy jego boku — odżywało z całą pierwotną siłą i pierwotnym ogniem. Wtedy budziłam się. Wracała mi pamięć, gdzie jestem i jaki jest mój los. Podnosiłam się na łóżku, drząc i dygocąc, i wówczas cicha, ciemna noc była świadkiem spazmów rozpaczki i wybuchów żalu. Nazajutrz, punktualnie o dziewiątej rano otwierałam szkołę — spokojna, opanowana, gotowa podjąć wytrwale codzienne obowiązki.

Rosamond Oliver dotrzymała słowa, przychodziła mnie odwiedzać. Wstępowała do szkoły najczęściej w trakcie swej rannej przejażdżki. Podjeżdżała klusem przed drzwi na kucyku, za nią konno służący w liberii. Trudno sobie wyobrazić coś wdzięczniejszego niż jej postać w purpurowej amazonce, w aksamitnej, czarnej czapeczce, spod której wymykały się długie kędziory. Wchodziła do wiejskiej izby i przesuwiała się wśród zachwyconych rzędów wiejskich dziewcząt. Zazwyczaj przybywała w tej godzinie, kiedy pan Rivers wykladał katechizm. Spojrzenie odwiedzającej raniło zapewne głęboko serce młodego pastora. Rodzaj instynktu ostrzegł go o jej wejściu, choć jej nie widział, a mimo że wcale na drzwi nie patrzył, gdy ona się w nich ukazywała, na twarz jego wypływał rumieniec,

Sen

a marmurowe na pozór rysy, chociaż nie łagodniały, zmieniały się nie do poznania i samym spokojem silniej wyrażały powściągnany żar, niżby go zdradzić mogła gra mięśni twarzy i wymowa spojrzenia.

Oczywiście młoda dziewczyna знаła swoją władzę nad nim — on istotnie nie ukrywał, bo ukryć nie mógł, co się z nim dzieje. Mimo zaparcia się chrześcijańskiego, gdy zbliżała się i przemawiała, i uśmiechała się doń wesoło, zachęcająco, nawet miłośnie, ręka mu drżała, a oczy płonęły. W smutnym i zdecydowanym spojrzeniu można było wyczytać te słowa: „Kocham cię i wiem, że mam łaskę w twoich oczach. To nie powątpiewanie o powodzeniu zamyka mi usta. Gdybym ci ofiarował serce, sądzę, że przyjąłabyś je. Ale to serce jest już złożone na świętym ołtarzu, ogień dokoła niego przygotowany. Niebawem będzie ono już tylko ofiarą całopalną”.

A wtedy ona przybierała minę zawiedzionego dziecka, chmurka zamyślenia gasiła jej promienną żywość, wycofywała prędko rękę z jego dłoni i odwracała się w przelotnym gniewie od jego widoku, tak bohaterskiego i tak męczeńskiego. Saint-John niewątpliwie byłby świat oddał, by pójść za nią, odwołać, zatrzymać ją, gdy w ten sposób odchodziła, ale nie chciał poświęcić dla niej nieba ani dla rajy jej miłości wyrzec się jedynej nadziei — prawdziwego, wiekuistego Raju. Poza tym nie mógł zamknąć wszystkiego, co miał w swej naturze z wędrowca, marzyciela, poety, kapłana w obrębie jednej, jedynej pasji. Nie mógł i nie chciał wyrzec się rozległego pola walki misyjnej dla salonów i spokoju w Vale Hall. Dowiedziałam się o tym od niego samego, gdy kiedyś, pomimo powściągliwości, odważyłam się wtargnąć w jego zaufanie.

Panna Oliver odwiedzała mnie często w moim domku. Poznałam cały jej charakter, w którym nie było tajemnic ani udawania. Była zalotna, ale nie bez serca, wymagająca, ale nie bezdusznie samolubna. Rozpieszczano ją od dzieciństwa, lecz nie była tym doszczętnie popsuta. Była popędliwa, lecz pogodnego usposobienia, próżna (czyż to jej wina, skoro każde spojrzenie w zwierciadło ukazywało jej taki uroczy obrazek?), ale bez afekcji. Była szczodroliwa, wolna od pychy bogactwa, szczerza i naturalna, wystarczająco inteligentna, wesoła, pełna życia i niewiele myśląca. Słowem, była nader urocza, nawet w oczach chłodnego obserwatora jej własnej płci, takiego jak ja. Jednakże głębiej nie interesowała się niczym ani nie miała wybitnych zalet. Zupełnie inny rodzaj duszy od siostr Saint-Johna. Pomimo to lubiłam ją prawie tak, jak lubiłam Adele, z tym wyjątkiem, że w stosunku do dziecka, którego pilnujemy i uczymy, wywiązuje się bliższe przywiązanie niż w stosunku do równie pociągającej osoby dorosłej.

Rosamond Oliver upodobała mnie sobie. Powiedziała mi, że jestem podobna do pana Riversa, z tą jednakże różnicą, że „Ani w dziesiątej części nie taka ładna, choć miła i wcale niebrzydka osóbką, a on to już po prostu anioł”... Powiedziała mi, że jestem dobra, mądra, spokojna i stanowcza tak jak i on, że jestem cudem natury jako wiejska nauczycielka i że z pewnością, gdyby kto znał moją przeszłość, przekonałby się, że to musiał być prześliczny romans. Pewnego wieczora, gdy ze zwykłą swoją dziecinną ruchliwością i niewinną ciekawością gospodarowała w kredensie i w szufladzie stołowej mojej kuchenki, znalazła najpierw dwie francuskie książki, tom Schillera²⁵¹, gramatykę i słownik niemiecki, a potem moje materiały rysunkowe i kilka szkiców, w tym ołówkiem rysowaną główkę mojej uczenniczki i różne widoczki z natury z doliny Morton i otaczających ją wzgórz. Zrazu zdumiała się, potem przejął ją zachwyt.

— To pani rysowała? To pani umie po francusku i po niemiecku? O, jaka złota, jaka cudowna osóbką! Pani lepiej rysuje niż mój nauczyciel we wzorowej szkole w S. Czy nie chciałaby pani naszkicować mojego portretu, żebym go mogła pokazać papie?

— Z przyjemnością — odpowiedziałam, czując dreszcz artystycznej radości na myśl rysowania tak doskonałej modelki.

Miała wtedy na sobie ciemnoszafirową, jedwabną suknię, ramiona jej i szyja były odsłonięte. Jediną ozdobą były kasztanowate włosy, wijące się na ramionach z całym swobodnym wdziękiem naturalnych kędziorów. Wzięłam kartkę pięknego papieru i narysowałam starannie kontury. Obiecywałam sobie przyjemność wykończenia portreciku kolorami, a ponieważ już późno się robiło, powiedziałam jej, że musi przyjść pozować mi innego dnia.

²⁵¹ Schiller, Friedrich (1759–1805) — niemiecki poeta, filozof, historyk, estetyk i dramaturg. [przypis edytorski]

Panna Rosamond tak mnie opisała przed ojcem, że pan Oliver sam przyszedł z nią razem następnego wieczora. Był to wysoki, w średnim wieku mężczyzna, o grubych rysach, siwy. Przy jego boku śliczna córka wyglądała jak jasny kwiat obok omszałej wieżycy. Była to małowówna i może dumna osobistość, bardzo jednakże był dla mnie uprzejmy. Szkic portretu Rosamond ogromnie mu się spodobał, powiedział mi, że muszę zrobić z tego skończony portret kolorami. Usilnie prosił, ażebym przyszła nazajutrz spędzić wieczór w Vale Hall.

Poszłam tam. Jak się przekonałam, była to obszerna, ładna rezydencja, świadcząca jednoznacznie o bogactwie właściciela. Rosamond radowała się i cieszyła przez cały czas mojej bytności. Jej ojciec był uprzejmy i grzeczny, a gdy wdał się w rozmowę ze mną po herbacie, wyraził mi żywe uznanie za to, co zrobiłam dla szkoły w Morton. Dodał jednak, że lęka się, sądząc po tym, co widzi i słyszy, że posada ta nie jest dość dobra dla mnie i że niebawem porzucę ją dla odpowiedniejszej.

— To prawda — zawołała Rosamond — ona jest taka mądra, że mogłaby być nauczycielką w najlepszych rodzinach, papo.

Pomyślałam, że wolę być tu, gdzie jestem niż w którejś z najpierwszych rodzin w kraju. Pan Oliver wyrażał się o panu Riversie, o całej rodzinie Riversów, z wielkim szacunkiem. Mówił, że to bardzo stare nazwisko w tej okolicy, że przodkowie tego rodu byli bogaci, że całe Morton niegdyś należało do nich, że nawet teraz uważał, iż przedstawiciel tego rodu mógłby, gdyby chciał, zrobić świetną partię. Żałował szczerze, iż taki wzorowy i utalentowany młodzieniec postanowił opuścić kraj i udać się na misję, marnując cenne życie. Okazywało się przeto, że ojciec Rosamond nie stawiałby przeszkód jej połączeniu z Saint-Johnem. Pan Oliver widocznie uważał, że dobre urodzenie, stare nazwisko i świątobliwy zawód młodego pastora wynagradzają niezamożność.

Było to piątego listopada, na ten dzień przypadło święto. Moja mała służąca, dopomógłszy mi w uporządkowaniu domu, poszła sobie, zadowolona z pensa, którego jej za tę pomoc ofiarowałam. Wszystko dokoła mnie jaśniało czystością — wyszorowana podłoga, świecąca krata przy kominku, dobrze wytarte krzesła. I ja się nieco przystroiłam i teraz miałam przed sobą wolne całe popołudnie, które mogłam spędzić, jak chciałam.

Tłumaczenie kilku stron z niemieckiego zajęło mi godzinę, następnie wyciągnęłam paletę i pędzle i zabrałam się do milszego, bo łatwiejszego zajęcia: do wykończania miniatury Rosamond Oliver. Głowa była już gotowa, pozostawało jeszcze tło i draperia do wycieniowania — podkreślenie odrobiną karminu pełnych warg, dodanie tu i ówdzie połysku puklom włosów, wzmocnienie cienistych rzęs pod niebieskawą powieką. Zato piłam się w wykonywaniu tych subtelnych szczegółów, gdy usłyszałam naprzód silne stuknięcie, a potem drzwi otworzyły się i wszedł Saint-John Rivers.

— Wstąpiłem, aby się przekonać, jak pani spędza wolny dzień — przemówił. — Mam nadzieję, że nie na rozmyślanie? Nie, to dobrze. Rysując, nie będzie pani czuła samotności. Jak pani widzi, nie dowierzam pani jeszcze, choć jak dotychczas, dzielnie się pani sprawnia. Przyniosłem pani na pociechę książkę.

Tu położył na stole dzieło świeżo wydane, poemat, jeden z tych genialnych utworów, którymi tak często obdarzana bywała szczęśliwa publiczność owych czasów — czasów złotego wieku naszej literatury.

A gdy ja chciwie przeglądałam świetne karty *Marmiona*²⁵², Saint-John nachylił się, by się przypatrzeć mojemu rysunkowi. Nagle drgnął i prostując się, odskoczył. Nie powiedział ani słówka. Spojrzałam nań, unikał mego wzroku. Dobrze znałam jego myśli, umiałam czytać w jego sercu. W tej chwili czułam się spokojniejsza i chłodniejsza od niego, czułam, że chwilowo góruję nad nim. Przyszła mi chęć przyniesienia mu trochę ulgi, o ile to byłoby możliwe.

„Mimo mocy duchowej i panowania nad sobą — pomyślałam — on zbyt wiele bierze na siebie. Zamyka w sobie każde uczucie, każdy odruch bolesny, niczego nie wypowiada, niczego nie wyznaje, niczym się nie dzieli. Jestem pewna, że uspokoiłby się, gdyby pomówił trochę o tej ślicznej Rosamond, z którą, sądzi, że nie powinien się żenić. Wyciągnę go na pogawędkę”.

— Niech pan weźmie krzesło i usiądzie — zaczęłam.

²⁵²*Marmion* — poemat Waltera Scotta (1771–1832), wydany w 1808 r. [przypis edytorski]

Ale on, jak zwykle, odpowiedział, że nie może zostać dłużej. „Bardzo dobrze — odpowiedziałam w myśli — stój, jeśli wolisz, ale ja cię jeszcze teraz nie puszczę, stanowczo nie puszczę. Samotność jest co najmniej równie niedobra dla ciebie jak dla mnie. Poszukam, czy nie odnajdę tajnej sprężynki twego zaufania i jakiejś szczeliny w tej twojej marmurowej piersi, szczeliny, przez którą mogłabym wpuścić kropelkę balsamu współczucia”.

— Czy ten portrecik podobny? — zapytałam wprost.

— Podobny? Do kogo podobny? Nie przypatrzyłem się dokładnie.

— Owszem, przypatrzył się pan.

Drgnął, gdy mu tak nagle i śmiało zaprzeczyłam, spojrzał na mnie zdziwiony.

„O, to jeszcze nic — pomyślałam. — Nie dam się zbić z tropu odrobiną twojej sztywności, gotowa jestem pójść dużo dalej”.

— Przypatrzył się pan dobrze i dokładnie — ciągnęłam — ale nie mam nic przeciw temu, żeby pan się jeszcze raz przypatrzył.

Tu wstałam i wsunęłam mu portrecik do ręki.

— Bardzo dobrze wykonany obrazek — rzekł — bardzo łagodne, jasne tony, bardzo wdzięczny i czysty rysunek.

— Tak, tak, ja to wiem. Ale co mi pan powie o podobieństwie? Kogo to ma przedstawiać?

Opanowując pewne wahanie, odpowiedział:

— Pannę Oliver, zdaje mi się.

— Naturalnie. A teraz, żeby pana wynagrodzić za trafne odgadnięcie, obiecuję panu wymalować staranną i wierną kopię tego obrazka, o ile pan ją zechce przyjąć. Nie chciałabym bowiem tracić czasu i trudu na prezent, który by w oczach pana był bez wartości.

Patrzył w dalszym ciągu na obrazek. Im dłużej mu się przyglądał, tym mocniej trzymał go w ręku, tym silniej zdawał się go pragnąć.

— Jest podobieństwo! — szepnął. — Oko jest dobrze uchwycone, kolor, światło, wyraz są doskonale. Uśmiecha się po prostu.

— Czy by to pana pocieszało czy raniło posiadać podobny obrazeczek? Niech mi pan to powie. Gdy pan będzie na Madagaskarze²⁵³ albo w Kaplandii²⁵⁴, albo w Indiach, czy byłoby to pociechą posiadać taką pamiątkę? A może jej widok przywodziłby wspomnienia, które by tylko denerwowały i bolały?

Teraz ukradkiem podniósł oczy, spojrzał na mnie niezdecydowany, zmieszany. Znowu zaczął patrzeć na obrazek.

— Chciałbym go posiadać, to pewne, inna rzecz, czy by to było słuszne i rozumne.

Odkąd się upewniłam, że Rosamond rzeczywiście mu sprzyja i że ojciec jej prawdopodobnie nie sprzeciwiałby się ich małżeństwu, mniej egzaltowana w moich poglądach od Saint-Johna, czułam w sercu silną ochotę wspierania ich związku. Zdawało mi się, że jeżeliby Saint-John został właścicielem wielkiej fortuny pana Olivera, mógłby przy jej pomocy zdziałać nie mniej dobrego, niż skazując siły swoje i wielkie zdolności na zmarnowanie pod słońcem tropikalnego klimatu. W tym przekonaniu odpowiedziałam teraz:

— O ile sądzić mogę, byłoby słuszniej i rozumniej, gdyby pan od razu sięgnął po sam oryginał.

On tymczasem już zdążył usiąść, położył obrazek na stole przed sobą i oparłszy czoło na obu rękach, wpatrywał się w niego z miłością. Przekonywałam się, że nie był ani gniewny, ani dotknięty moją śmiałością. Uważałam nawet, że to szczere poruszenie przedmiotu, który uważał za nietykalny, swobodne jego traktowanie — zaczynało sprawiać mu nową przyjemność, przynosić niespodziewaną ulgę. Ludzie zamknięci często istotnie więcej potrzebują szczerego omówienia swoich uczuć i smutków niż ludzie wylewni. Najsurowszy na pozór stoik²⁵⁵ jest ostatecznie człowiekiem i wdzierając się śmiało i z dobrą wolą w taką milczącą duszę, wyrządza się jej niekiedy pierwszorzędną przysługę.

²⁵³Madagaskar — wyspiarskie państwo w Afryce. [przypis edytorski]

²⁵⁴Kaplandia — (ang.) Cape; prawdopodobnie leżący w pld. Afryce Przylądek Dobrej Nadziei. [przypis edytorski]

²⁵⁵stoik — wyznawca stoicyzmu, doktryny filozoficznej uznającej za najwyższe dobro cnotę, rozumianą jako życie według zasad rozumu. [przypis edytorski]

— Panna Rosamond panu sprzyja, jestem tego pewna — powiedziałam, stając za jego krzesłem — a jej ojciec szanuje pana. Przy tym jest to przemile dziewczątka, może trochę bezmyślne, ale pan miałby dość myśli za oboje. Powinien pan się z nią ożenić.

— Czy sprzyja mi naprawdę? — zapytał.

— Z pewnością, nikogo tak nie lubi jak pana. Mówi o panu ciągle, nie ma tematu, który by wolała albo którego by dotykała tak często.

— Bardzo mi miło słyszeć to, co pani mówi — rzekł — bardzo. Proszę, niechże pani jeszcze mówi przez kwadrans... Słucham pani.

Rzeczywiście wydobyl zegarek i położył na stole, by odmierzać czas.

— Ale na cóż ja mam mówić — odpowiedziałam — kiedy pan zapewne przygotowuje jakiś ciężki cios zaprzeczenia albo kuje nowy łańcuch dla ujarznienia swego serca?

— Niech pani sobie takich przykrych rzeczy nie wyobraża. Niech pani sobie raczej wyobrazi, tak jak ja sam to sobie wyobrażam, że ulegam, że opór we mnie topnieje, a miłość ziemską wzbiera w mej duszy jak świeżo otwarte źródło i zalewa błogą powodzią całe to pole, które tak starannie i z takim mozolem uprawilem i pracowicie obsiałem ziarnami dobrych intencji i pełnych umartwień zamiarów. A teraz zatopiła je słodka fala, młode kielki zalane, rozkoszna trucizna je pożera. Teraz widzę siebie w salonie w Vale Hall u stóp mojej młodej żony Rosamond. Ona przemawia do mnie słodkim głosem, patrzy na mnie oczami, które pani zręczna ręka tak dobrze odtworzyła, uśmiecha się do mnie tymi karminowymi wargami... Jest moja, ja jestem jej. To obecne życie, ten przemijający świat mi wystarcza. Cicho... Niech pani nic nie mówi... Serce moje pełne jest rozkoszy... Zmysły moje toną w zachwycie. Niech czas oznaczony minie spokojnie...

Uśluhałam go. Zegarek tykał, on oddychał cicho i prędko. Stałam w milczeniu. W ciszy upłynął kwadrans, Saint-John schował zegarek, położył obrazek na stole, wstał i stanął przed kominkiem.

— Otóż ten krótki okres czasu poświęciłem gorączkowej złudzie — powiedział. — Oparłem skroń o łono pokusy, kark mój dobrowolnie poddałem pod jej jarzmo, uwite z kwiatów. Dotknąłem ustami jej kielicha. Skroń moją parzył żar niezdrowy, pod kwiatami skrył się wąż jadowity, wino miało gorzki posmak. Jej obietnice są czcze, jej nadzieje fałszywe; rozumiem i wiem, że tak jest.

Patrzyłam na niego zdziwiona.

— To szczególne — mówił dalej — że chociaż kocham Rosamond Oliver tak gorąco, całą siłą pierwszej miłości, równocześnie mam spokojną, niezachwianą świadomość, że nie byłaby ona dobrą żoną dla mnie, że nie byłaby dobraną towarzyszką. Odkryłbym to po rocznym z nią pożyciu, po dwunastu miesiącach zachwyty i uniesienia nastąpiłoby całe życie rozczarowania i żalu. To wiem dobrze.

— Jakie to dziwne! — wtrąciłam mimo woli.

— Choć jest coś we mnie niezmiernie wrażliwego na jej urok — ciągnął dalej — nie mniej głęboko odczuwam jej wady. Są one tego rodzaju, że nie potrafiłaby brać szczerze udziału w żadnych moich dążeniach i w niczym ze mną współpracować. Rosamond umiejąca cierpieć? Rosamond pracownicą, kobietą-apostołem? Rosamond żoną misjonarza? Nigdy!

— Ależ pan nie potrzebuje zostać misjonarzem. Mógłby pan porzucić ten zamiar.

— Porzucić! Jak to? Miałbym porzucić powołanie? Moje wielkie dzieło! Mój fundament, założony na ziemi pod dom niebieski! Moje nadzieje, że będę zaliczony do grona tych, którzy wszystkie swoje ambicje zamknęli w tej jedynej, chwalebnej, że pracować będą nad poprawą bliźnich, niosąc światło w krainy ciemnoty, zastępując wojnę pokojem, niewolę wolnością, zabobon religią? Ja to miałbym porzucić? Ależ to mi jest droższe od własnej krwi w żyłach. Ku temu jedynie zmierzam, dla tego jedynie żyję.

Po dość długiej przerwie odezwałam się:

— A panna Oliver? Czy nic pana nie obchodzi jej zawód i cierpienie?

— Pannę Oliver stale otaczają konkurenci i pochlebcy, nie upłynie miesiąc, a obraz mój zatrze się w jej sercu. Zapomni o mnie i wyjdzie za mąż, prawdopodobnie za kogoś, kto ją o wiele bardziej uszczęśliwi, niż ja bym to uczynił.

— Chłodne to słowa, ale walka kosztuje pana. Mizernieje pan i chudnie.

— Nie. Jeżeli trochę chudnę, to z niepokojem o swoje widoki, dotąd nieustalone, o wyjazd ciągle opóźniany. Właśnie dziś rano otrzymałem wiadomość, że mój następ-

Religia, Ambicja

ca, którego przybycia już tak długo oczekuję, nie może być gotów prędzej niż za trzy miesiące, a może się to przeciągnąć do sześciu.

— Pan drży i rumieni się, ile razy panna Oliver wchodzi do izby szkolnej.

Znowu wyraz zdziwienia przebiegł mu po twarzy. Nie wyobrażał sobie, żeby kobieta mogła w ten sposób mówić do mężczyzny.

— Pani jest oryginalna — powiedział — niekonwencjonalna i śmiała. Ma pani przenikliwe spojrzenie. Niech mi jednak będzie wolno zapewnić panią, że pani po części źle tłumaczy moje wzruszenia. Pani uważa je za głębsze i potężniejsze, niż są w istocie. Obdarza mnie pani większym współczuciem, niż na to zasługuję. Gdy się rumienię, gdy drżę w obecności panny Oliver, wtedy ja sam nie lituję się nad sobą. Pogardzam własną słabością. Wiem, że jest na niskim poziomie: prosta gorączka zmysłów, nie żaden wstrząs duszy. Dusza moja niewzruszona jest jak skała, silnie osadzona na dnie niespokojnego morza. Niech mnie pani zna takim, jakim jestem: zimnym, twardym człowiekiem.

Uśmiechnęłam się niedowierzająco.

— Zdobyła pani szturmem moje zaufanie — mówił dalej — teraz niech ono pani służy. Jestem po prostu, z pierwotnej mojej natury, gdy ją obnażyć z tej krwią okupionej szaty, jaką chrześcijaństwo osłania kalectwo człowieka, zimnym, twardym, ambitnym człowiekiem. Rodzinne przywiązanie tylko, jako jedyne ze wszystkich uczuć, ma nad mną stałą władzę. Rozum, nie serce, jest moim przewodnikiem. Ambicja u mnie jest bezgraniczna, pragnienie wstępowania coraz wyżej, dokonywania więcej niż inni, jest nie-nasycone. Szanuję wytrzymałość, pracowitość, talent, gdyż tymi środkami ludzie osiągają wielkie cele i wstępują na wyniosłe wyżyny. Śledzę rozwój pani życia z zainteresowaniem, ponieważ widzę w pani okaz pilnej, porządnej, energicznej kobiety. Nie dlatego, iż bym głęboko współczuł z tym, co pani przeszła, albo litował się nad tym, że pani cierpi jeszcze.

— Kreśli pan w swojej osobie po prostu wizerunek pogańskiego filozofa — rzekłam.

— Nie. Jest różnica pomiędzy mną a deistami²⁵⁶: ja wierzę w *Ewangelię*. Chybiła pani w określeniu. Ja jestem nie pogańskim, lecz chrześcijańskim filozofem, wyznawcą wiary Chrystusa. Jako Jego uczeń przyjmuję Jego czystą, miłosierną, dobroczynną naukę. Jestem jej obrońcą, zaprzysiągłem jej szereg. Tyle dla mnie uczyniła religia, przyrodzone pierwiastki obróciła ku najlepszym celom, oczyszczając i kształcąc naturę. Lecz wykorzeniec jej nie mogła, jakoż i nie będzie ona wykorzeniona, „dopóki ten śmiertelny nieśmiertelności nie przyoblecze”²⁵⁷.

Powiedziawszy to, wziął kapelusz, leżący obok mojej palety. Jeszcze raz popatrzył na portrecik.

— Ona *jest* śliczna! — szepnął. — Słusznie nazwano ją „różą świata”, doprawdy!

— I cóż? Czy mam namalować drugi taki portrecik dla pana?

— *Cui bono*²⁵⁸? Nie potrzeba.

Zaciągnął na portrecik ćwiartkę cienkiego papieru, na którym zwykła byłam opierać rękę przy malowaniu, ażeby kartonu nie zabrudzić. Co on nagle zobaczył na tym pustym papierze, niepodobna było odgadnąć, ale coś uderzyło jego oczy. Porwał raptownie ćwiartkę papieru, popatrzył na jej brzeg, potem rzucił na mnie spojrzenie, niewypowiedziane dziwne i zupełnie niezrozumiałe — spojrzenie, ogarniające bystro mnie całą, postać moją, twarz, ubranie. Spojrzenie to przebiegło po mnie jak piorun, szybkie i jasne. Otworzył usta, jak gdyby chciał mówić, ale powstrzymał niewypowiedziane słowa.

— Co się stało? — zapytałam.

— Nic takiego — odpowiedział. A gdy kładł papier na swoje miejsce, widziałam, że oddał zręcznie wąski paseczek od brzegu. Skrawek zniknął w jego rękawicze, a wtedy, pośpiesznie skinąwszy mi głową, rzucił „Do widzenia!” i wyszedł.

— No proszę! To doprawdy przechodzi pojęcie! — zawołałam.

²⁵⁶deista — zwolennik deizmu, poglądu, zgodnie z którym Bóg jest stwórcą świata, ale nim nie kieruje. [przypis edytorski]

²⁵⁷dopóki ten śmiertelny nieśmiertelności nie przyoblecze — parafraza 1 Kor 15, 53:54: trzeba, ażeby to, co niszczy, przysodziło się w niezniszczalność, a to, co śmiertelne, przysodziło się w nieśmiertelność. A kiedy już to, co niszczy, przysodzi się w niezniszczalność, a to, co śmiertelne, przysodzi się w nieśmiertelność, wtedy sprawdzą się słowa, które zostały napisane: Zwycięstwo pochłonęło śmierć (cytat w przypisie za *Biblią Tysiąclecia*). [przypis edytorski]

²⁵⁸cui bono (łac.) — dla czyjej korzyści, na co to komu. [przypis edytorski]

Teraz z kolei ja obejrzałam papier, nic jednakże nie znalazłam prócz kilku kolorowych plam tam, gdzie próbowałam farby na pędzelku. Zastanawiałam się przez chwilę nad tą zagadką, ale widząc, że jej nie rozwiążę — pewna zresztą, że nie ma większego znaczenia — wygnałam ją z myśli i niebawem o niej zapomniałam.

ROZDZIAŁ XXXIII

Po odejściu Saint-Johna zaczął padać śnieg, zamieć trwała całą noc. Nazajutrz ostry wiatr sprowadził nowe opady, o zmroku dolina była zawiana i prawie niemożliwa do przebycia. Zamknęłam okiennice, położyłam chodniczek przed drzwiami, by śnieg nie mógł się pod nimi wciskać, poprawiłam ogień i posłuchawszy z godzinę zduszonej furii wichru, zapaliłam świecę. Wyciągnęłam *Marmiona* i zaczęłam czytać:

Książka

Dzień oświecił Norhamu²⁵⁹ wzgórek z zamkiem na szczycie,
Rzekę Tweed²⁶⁰, co głęboki nurt swój toczy obficie,
I gór Cheviot²⁶¹ wyżynę skalistą.
Grube mury zamkowe i wieżyca obronna,
I dokoła zamczyska wstęga wałów ochronna
Zajaśniały poświatą złocistą.²⁶²

Tonąc w muzyce wiersza, zapomniałam wkrótce o burzy.

Usłyszałam jakiś hałas. To wiatr, pomyślałam, tak szarpie drzwiami. Ale nie, to Saint-John Rivers, nacisnąwszy klamkę, wylał się z mroźnego huraganu, z wyjącej ciemnicy — i stał przede mną, wysoki, w zaśnieżonym płaszczu, biały jak góra lodowa. Zatrwożyłam się nieco, tak mało spodziewałam się tego wieczora jakiegoś gościa z zawianej doliny.

— Czy może jakieś złe wiadomości? — zapytałam. — Czy się coś stało?

— Nie. Jak bardzo łatwo pani się przestrasza — odpowiedział, zdejmując płaszcz i wieszając go przy drzwiach, ku którym z powrotem nogą podsunął chodniczek. Tupiąc, otrząsał śnieg z butów.

— Zabrudzę pani czystą podłogę — rzekł — lecz tym razem musi mi pani wybaczyć. — Przysunął się do ognia. — Ciężką miałem przeprawę, aby się tu dostać, mogę panią zapewnić — mówił, grzejąc ręce nad płomieniem. — W jednym miejscu zapadłem się do pasa, na szczęście śnieg jest jeszcze całkiem miękki.

— Ale dlaczego pan przyszedł? — nie mogłam powstrzymać pytania.

— Nie bardzo gościnne pytanie zadaje pani gościowi. Ale skoro pani pyta, odpowiem po prostu, że chciałem trochę z panią porozmawiać. Zmęczyły mnie nieme książki i puste pokoje. Przy tym od wczoraj doświadczam ciekawości osoby, która wysłuchawszy opowieści do połowy, niecierpliwie czeka dalszego ciągu.

Usiadł. Przypominałam sobie jego wczorajsze dziwne zachowanie i naprawdę zaczęłam się lękać, że może umyślił jego nie jest w zupełnym porządku. Jeżeli jednak był obłąkany, to był to obłąd wielce chłodny i spokojny. Nigdy nie widziałam takiego podobieństwa jego pięknej twarzy do rzeźby z marmuru jak właśnie w tej chwili, gdy odgarniał zwilżone włosy, a blask płomienia igrał swobodnie po jego bladym czole i równie bladym i strokskany obliczu. Czekałam, spodziewając się, że powie coś, co bym mogła zrozumieć. On tymczasem podparł brodę ręką, a palcami zakrył usta — namyślał się. Uderzyło mnie to, że ręka jego była równie wychudzona jak twarz. Fala litości, może nieproszona, napłynęła mi do serca. Pod jej wpływem powiedziałam:

— Chciałabym, ażeby Diana albo Mary mogła przyjechać i zamieszkać z panem. To źle, że pan jest tak zupełnie sam, a przy tym pan się tak naraża i nie dba o swoje zdrowie.

— Wcale nie — odpowiedział. — Dbam o siebie w miarę. Jestem teraz zdrow. Co się pani we mnie nie podoba?

²⁵⁹Norham — wieś w Anglii, w hrabstwie Northumberland. [przypis edytorski]

²⁶⁰Tweed — rzeka w płd. Szkocji. [przypis edytorski]

²⁶¹Cheviot — góra w Anglii, w paśmie Cheviot Hills. [przypis edytorski]

²⁶²Dzień oświecił Norhamu wzgórek z zamkiem na szczycie, rzekę Tweed, co głęboki nurt swój toczy obficie I gór Cheviot wyżynę skalistą. Grube mury zamkowe i wieżyca obronna, I dokoła zamczyska wstęga wałów ochronna zajaśniały poświatą złocistą. — fragment poematu *Marmion* Waltera Scotta (1771–1832). [przypis edytorski]

Powiedział to niedbale, z roztargnieniem i obojętnie, co mi dowiodło, że troskliwość moja, przynajmniej jego zdaniem, jest zbyteczna. Zamknęło mi to usta.

On tymczasem wciąż przesuwał palcem po górnej wardze, a wzrok jego sennie spoczywał na rozpalonym ognisku. Uważając, że należy coś powiedzieć, zapytałam, czy nie wieje na niego od drzwi za jego plecami.

— Nie, nie! — odpowiedział krótko i nieco sucho.

„Dobrze — pomyślałam — jeżeli nie chcesz mówić, to możesz milczeć. Zostawię cię w spokoju, wrócę do swej lektury”.

Niebawem Saint-John poruszył się, śledziłam jego ruchy. On jednak wyciągnął tylko portfel, dobył jakiś list, odczytał go w milczeniu, złożył, schował z powrotem i znowu popadł w zadumę. Niepodobna było czytać, mając taki żywy mebel przed sobą. Zniecierpliwiona nie mogłam usiedzieć spokojnie. Choćbym się miała narazić na szorstką odprawę, muszę mówić.

— Czy Diana albo Mary piisały w ostatnio?

— Nie, nie piisały od czasu tego listu, który pani pokazywałam tydzień temu.

— A czy nie zaszyły jakie zmiany w zamiarach pańskich? Czy nie dostanie pan wezwania do opuszczenia Anglii wcześniej, niż się pan spodziewał?

— Niestety nie, taki szczęśliwy los nie stanie się moim udziałem.

Nic nie wskórawszy, zmieniłam temat. Postanowiłam mówić o szkole i o uczennicach.

— Matka Mary Garret jest zdrowsza, Mary przyszła do szkoły dziś rano. Będę też miała od przyszłego tygodnia cztery nowe uczennice z odlewni, przyszyłyby dzisiaj, gdyby nie ta śnieżyca.

— Doprawdy!

— Pan Oliver płaci za dwie.

— Płaci?

— Pan Oliver zamierza na Boże Narodzenie wyprawić dla całej szkoły poczęstunek.

— Wiem o tym.

— Czy to pan mu tę myśl podsunął?

— Nie.

— A więc kto?

— Przypuszczam, że jego córka. To na nią patrzy, ona taka pocziwa.

— To prawda.

Znowu nastąpiła pauza, zegar wybił ósmą. To jakby go obudziło. Siadł prosto i zwrócił się do mnie:

— Niech pani odłoży na chwilę książkę, niech się pani przysunie trochę bliżej do ognia — rzekł.

Niezmiernie zdziwiona usłuchałam.

— Pół godziny temu — ciągnął dalej — mówiłem, że niecierpliwie czekam dalszego ciągu pewnej opowieści. Po namyśle doszedłem do wniosku, że lepiej będzie, jeżeli ja będę opowiadał, a pani będzie słuchaczką. Zanim zacznę, muszę panią uprzedzić, że opowieść ta wyda się pani może po trosze znajoma, ale mniejsza z tym, znajoma czy nowa dla pani, w każdym razie jest krótka. Dwadzieścia lat temu ubogi wikary, nie chodzi w tej chwili o jego nazwisko, zakochał się w córce bogacza. Ona, rozmiłowana w nim, poślubiła go wbrew woli rodziny, która skutkiem tego wyrzekła jej się natychmiast po ślubie. Zanim minęły dwa lata, młodzi małżonkowie zmarli oboje. Pochowano ich razem pod jednym grobowym kamieniem. (Widziałem ten grób na wielkim cmentarzu, okalającym ponurą, czarną od sadzy, starą katedrę przeludnionego przemysłowego miasta w hrabstwie X). Pozostawili córkę. Dziecko to, zaraz po urodzeniu, dobroczynność przygarnęła do swojego łona, zimnego jak te zasy śnieżne, w których omal że nie ugrzązłem dziś wieczór. Dobroczynność zaniósła sierotę do domu jej bogatych krewnych ze strony matki. Wychowywała ją wujenka, nazwiskiem (przechodzę teraz do nazwisk) Reed z Gateshead. Pani drgnęła, czy pani usłyszała jakiś hałas? To może tylko szczur skrobie pod podłogą w sąsiedniej szkole; była to stodoła, zanim ją kazałem przerobić na szkołę, a w stodołach szczury lubią się trzymać... Pani Reed przez dziesięć lat chowała sierotę u siebie. Czy dziecku było tam dobrze czy źle, nie wiem, bo mi tego nie powiedziano, ale po upływie tego czasu przeniosła ją wujenka do miejscowości dobrze pani znanej, gdyż mówię tu o szkole w Lowood, gdzie pani sama przebywała tak długo. Zdaje się, że tam

sprawowała się bardzo chwalebnie, z uczennicy została nauczycielką, tak samo zresztą jak pani... Istotnie, uderza mnie to, że tyle jest podobieństwa w jej dziejach z dziejami pani... Opuściła Lowood, żeby przyjąć miejsce nauczycielki. Otóż tu znowu podobne wasze losy: podjęła się wychowania pupilki niejakiego pana Rochester'a.

— Panie Rivers!

— Mogę odgadnąć pani uczucia — rzekł — ale niech je pani na chwilę opanuje, zaraz skończę. Niech pani cierpliwie posłucha do końca. O charakterze pana Rochester'a nic nie wiem, znam tylko ten jeden fakt: udał, iż ofiaruje uczciwe małżeństwo tej młodej dziewczynie, a ona dopiero przy ołtarzu odkryła, że on ma żonę żyjącą, chociaż wariatkę. Jak się następnie zachował, co mógł proponować, tu już tylko można snuć domysły. Gdy jednakże zdarzył się wypadek, który z konieczności wywołał poszukiwanie nauczycielki, okazało się, że uciekła, a nikt nie umiał powiedzieć kiedy, dokąd i jak. Opuściła Thornfield Hall nocą, wszelkie poszukiwania jej były nadaremne. Okolicę przetrząsnęto na szerokiej przestrzeni, lecz na żaden ślad wieści o niej nie można było trafić. Tymczasem odnalezienie jej stało się ważne i pilne, podano ogłoszenia w pismach. Ja sam otrzymałem list od niejakiego pana Briggs'a, notariusza, list podający mi te szczegóły, które właśnie opowiedziałem. Czy to nie dziwna opowieść?

— Jedno tylko niech mi pan powie — rzekłam. — Skoro pan wie tyle, będzie pan z pewnością mógł mi powiedzieć, co wiadomo o panu Rochesterze. Gdzie on jest? Co robi? Czy zdrowy?

— Nie wiem nic o panu Rochesterze, w liście tyle tylko o nim wspomniano, że opowiada o swym oszukańczym i bezprawnym zamiarze ożenku. Niech pani raczej zapyta, jak się nazywa ta nauczycielka i jaki to ważny wypadek wymaga jej odszukania.

— Więc nikt się nie udawał do Thornfield Hall? Nikt się nie widział z panem Rochesterem?

— Przypuszczam, że nikt.

— Ale pisano do niego?

— Naturalnie.

— I co on odpisał? Kto ma jego listy?

— Pan Briggs mi donosi, że odpowiedź na swoje zapytania otrzymał nie od pana Rochester'a, ale od pewnej pani. List był podpisany: Alice Fairfax.

Przejął mnie chłód, żal serce ścisnął. Najgorsze moje obawy wyraźnie się sprawdzały: pan Rochester najprawdopodobniej opuścił Anglię i w rozpaczę przeniósł się gdzieś na kontynent. I czymże zagłusza ciężkie cierpienia, jakiegoż upustu szuka tam dla silnych namiętności? Na to pytanie nie śmiałam sobie odpowiedzieć. O, mój biedny pan, niegdyś już prawie mój mąż, mój drogi Edward, tak go przecież często nazywałam!

— To musiał być niedobry człowiek — zauważył pan Rivers.

— Nie zna go pan, niech pan nie wypowiada sądu o nim — uniosłam się gorąco.

— Zgoda — odpowiedział spokojnie. — Co prawda, co innego mnie obchodzi, a nie ten pan. Muszę opowieść dokończyć. Skoro pani nie chce zapytać, jak się ta nauczycielka nazywa, muszę to pani sam powiedzieć. Niech pani zaczeka, mam tutaj to imię, zawsze najchętniej mieć ważne rzeczy wypisane czarno na białym.

I znowu z wolna wyciągnął portfel, otworzył go i przeszukał. Z jednej kieszonki wyciągnął skrawek papieru, pośpiesznie oddarty — poznałam po plamach ultramaryny i karminu brzeżek arkusika nakrywającego portret. Pan Rivers wstał, podsunął mi skrawek papieru przed oczy i wtedy przeczytałam, wypisane widocznie w jakiejś chwili roztargnienia moim własnym pismem, słowa „Jane Eyre”.

— Briggs pisał do mnie o Jane Eyre, ogłoszenia poszukują Jane Eyre, ja znałam Jane Elliott. Przyznaję, że miałem podejrzenia, ale dopiero wczoraj po obiedzie zamieniły się one w pewność. Pani przyznaje się do tego nazwiska i porzuca pani przybrane?

— Tak... Tak, ale gdzie jest pan Briggs? Może on o panu Rochesterze wie coś więcej od pana!

— Briggs jest w Londynie. Wątpię, czy on w ogóle wie cośkolwiek o panu Rochesterze, on się panem Rochesterem nie interesuje. A pani tymczasem zapomina o punktach ważnych, uganiając się za drobiazgami. Pani nie pyta, dlaczego pan Briggs pani poszukuje, jaki może mieć interes do pani.

— No dobrze, czegoż on chce ode mnie?

Dziedzictwo, Bogactwo,
Przemiana, Testament

— Chce panią tylko powiadomić, że umarł stryj pani, pan Eyre z Madery. Zostawił pani cały majątek i pani jest teraz bogata. Tylko tyle, nic więcej.

— Ja!... Bogata?

— Tak jest... Pani, bogata, prawdziwa dziedziczka.

Nastąpiło milczenie.

— Musi pani, oczywiście, dowieść swojej tożsamości — mówił po chwili dalej Saint-John. — Jest to krok, który nie przedstawia trudności, po czym może pani wejść w natychmiastowe posiadanie. Majątek pani umieszczony jest w papierach angielskich, Briggs ma testament i potrzebne dokumenty.

Otóż odwracała się nowa karta! Piękna to rzecz być przeniesioną jednym rzutem z niziny biedy na wyżyny bogactwa, ale nie od razu człowiek to pojmuje i nie od razu z tego korzysta.

A przy tym słowa „zapis” i „spadek” idą zawsze w parze ze słowami „śmierć” i „pogrzeb”... Mój stryj umarł, usłyszałam — jedyny mój krewny. Od chwili, gdy dowiedziałam się o jego istnieniu, stale cieszyłam się nadzieją, że kiedyś go zobaczę, teraz ta nadzieja rozwiła się zupełnie. A pieniądze jego dostawały się tylko mnie, nie mnie i jakiejś radującej się rodzinie, lecz tylko mnie samej. Niewątpliwie był to hojny dar losu, a niezależność będzie rzeczą cudowną. Tak, to czułam, na tę myśl rosło mi serce.

— No, nareszcie rozchmurza się pani — powiedział pan Rivers. — Myślałem, że Meduza²⁶³ spojrzała na panią i zamieniła ją w kamień. A może teraz zapyta mnie pani, ile pani właściwie posiada?

— No, ileż właściwie posiadam?

— Ach, bagatelkę! Nie warto o tym wspominać... Piszą, zdaje mi się, że dwadzieścia tysięcy funtów... Ale cóż to jest?

— Dwadzieścia tysięcy funtów?

Oto nowy zdumiewający fakt, liczyłam na jakieś cztery, pięć tysięcy... Ta wiadomość, dosłownie, zatamowała mi oddech na chwilę. Pan Saint-John (a nigdy nie słyszałam go śmiejącego się) śmiał się teraz.

— Doprawdy — rzekł — gdyby pani popełniła morderstwo, a ja bym pani powiedział, że zbrodnia jej została odkryta, nie mogłaby pani mieć bardziej przerażonej miny.

— To wielka suma, czy nie sądzi pan, że zaszła tu jakaś pomyłka?

— Nie ma żadnej pomyłki.

— Może pan źle cyfrę odczytał?

— Napisane jest literami, nie cyframi: dwadzieścia tysięcy.

Znowu poczułam się, jak ta osoba o przeciętnym apetycie, siadająca sama do uczty przy stole zastawionym potrawami na sto osób. Pan Rivers wstał i włożył płaszcz.

— Gdyby nie taka okropna noc, przysłałbym tu Hanne, by pani dotrzymała towarzysstwa. Wygląda pani tak nieszczęśliwie, że aż żal zostawiać panią samą. Ale Hannah, biedaczka, nie dałaby rady zaspom tak jak ja, ma za krótkie nogi. A ja już muszę panią opuścić wraz z jej smutkami. Dobranoc!

Nacisnął klamkę. Uderzyła mnie nagła myśl.

— Proszę, niech się pan jeszcze zatrzyma! — zawołałam.

— Po co?

— Chciałabym wiedzieć, dlaczego pan Briggs pisał o mnie do pana właśnie. Chciałabym wiedzieć, skąd on pana zna i skąd mógł przypuścić, że pan, mieszkając w tak ustronnej miejscowości, może dopomóc w odszukaniu mnie?

— Ach, jestem duchownym — odpowiedział — a duchowni często bywają pytani o takie rzeczy.

Znowu ujął klamkę.

— Nie, to mnie nie przekonuje! — zawołałam. I rzeczywiście, w pośpiesznej i niczego niewyjaśniającej odpowiedzi było coś, co zamiast zaspokoić moją ciekawość, jeszcze ją bardziej podniecało.

— To jakaś bardzo dziwna sprawa — dodałam — muszę się o tym czegoś więcej dowiedzieć.

²⁶³Meduza — w mitologii greckiej jedna z trzech potwornych siostr, Gorgon, której spojrzenie zamieniało wszystko co żywe w kamień. [przypis edytorski]

— Kiedy indziej.

— Nie, dziś! Dziś!

I gdy odwrócił się do drzwi, zagroziłam mu drogę. Wydawał się trochę zakłopotany.

— Ja pana stąd nie wypuszczę, dopóki mi pan wszystkiego nie powie — rzekłam.

— Wolalbym nie mówić o tym na razie.

— Powie pan wszystko! Musi pan mówić!

— Wolalbym, żeby to powiedziały pani Diana i Mary.

Oczywiście to wymawianie się doprowadziło zaciekawienie moje do szczytu. Musiałam usłyszeć całą prawdę i to niezwłocznie. Powiedziałam mu to.

— Ależ ja pani mówiłem, że jestem człowiekiem twardym — wymawiał się. — Mnie niełatwo przekonać.

— A ja jestem twardą kobietą, mnie niepodobna się oprzeć.

— A przy tym jestem zimny, żaden zapal mnie się nie ima.

— Za to ja jestem gorąca, a ogień rozpuszcza lód. Ten oto płomień stopił śnieg na pańskim płaszczu, tym samym woda spłynęła na podłogę, tak że ta podłoga wygląda teraz jak zdeptana ulica. Jeżeli pan chce, żebym panu wybaczyła zbrodnię zabrudzenia czystej podłogi mojej kuchni, niech mi pan powie to, co pragnę wiedzieć.

— No, dobrze więc, ulegam — powiedział — ulegam pani wytrwałości tak jak kamień ulega ciężarowi kropel wciąż kapiącej wody. Zresztą i tak kiedyś się pani dowie, więc ostatecznie wszystko jedno, teraz czy później. Pani imię i nazwisko jest Jane Eyre?

— Oczywiście, to jest ustalone.

— Może pani nie wie, że ja jestem pani imiennikiem? Przy chrzcie otrzymałem imiona Saint-John Eyre Rivers.

— Nie, w istocie nie wiem! Teraz sobie przypominam, że widziałam literę „E” przy pana nazwisku na książkach mi pożyczonych, ale nigdy nie pytałam, jakie imię ona oznacza. Cóż stąd? Przecież...

Urwałam, nie śmiałam dać wiary, a tym mniej wypowiedzieć myśli, która mi się nagle pojawiła, ucieleśniła i w jednej sekundzie stanęła jako silne prawdopodobieństwo. Okoliczności się zbiegały, składały i porządkowały, łańcuch dotychczas nagromadzonych luźnych ogniwi teraz wiązał się i prostował, każde ogniwo doskonale, związek zupełny. Wiedziałałam instynktownie, jak sprawa stoi, zanim Saint-John przemówił:

— Moja matka była z domu Eyre, miała dwóch braci: jednego duchownego, który ożenił się z panną Jane Reed z Gateshead, a drugiego Johna Eyre’a, kupca, zamieszkałego w Funchalu na Maderze. Pan Briggs, notariusz pana Eyre’a, napisał do nas w sierpniu, donosząc nam o śmierci wuja i o tym, że wuj pozostawił swój majątek córce po bracie z pominięciem nas, z powodu nigdy niewybaczonego sporu pomiędzy nim a moim ojcem. A parę tygodni temu, donosząc, że sukcesorka zaginęła, zapytywał, czy czego o niej nie wiemy. Imię, napisane przypadkowo na skrawku papieru, dało mi możliwość odnalezienia jej. Resztę pani wie.

Znowu zabierał się do odejścia, ale ja plecami zastawiłam drzwi.

— Niech mi pan pozwoli mówić — rzekłam. — Niech przez chwilę odetchnę i zastanowię się.

Przerwałam, on stał przede mną z kapeluszem w ręku, dosyć spokojny. Zaczęłam znowu:

— Więc matka pańska była siostrą mojego ojca?

— Tak jest.

— Była zatem moją ciotką?

Sklonił się.

— Mój stryj John był pańskim wujem Johnem? Pan, Diana i Mary jesteście dziećmi jego siostry, tak jak ja jestem dzieckiem jego brata?

— Niezaprzeczalnie.

— Wy troje zatem jesteście moim ciotecznym rodzeństwem, połowa krwi naszej płynie z jednego źródła?

— Jesteśmy krewnymi, tak jest.

Przypatrzyłam mu się. Tak więc, zdawało się, odnalazłam brata, brata, z którego mogłam być dumna, brata, którego mogłam kochać. I dwie siostry, których zalety były

Rodzina

takie, że nawet, gdy poznałam je jako zupełnie obce, powzięłam dla nich szczerą przywiązanie i podziw. O, jakież cudowne odkrycie dla biednej samotnicy! To naprawdę było bogactwo, bogactwo dla serca, kopalnia szczerych, czystych uczuć! To był błogosławiony dar niebios, jasny, żywy, uszczęśliwiający, niepodobny do ciężkiego daru złota — obfitego i pożądanego w swoim rodzaju, ale trzeźwiącego samym ciężarem. Klasnęłam w ręce z nagłej radości, serce silnie we mnie zabiło, drżałam cała.

— O, jakże się cieszę! Jak się cieszę! — zawołałam.

Saint-John uśmiechnął się.

— Czy nie mówiłem, że pani zaniedbuje rzeczy ważne, by uganiać się za drobnostkami? — zapytał. — Była pani spokojna, gdy pani oznajmiłem, że otrzymała pani majątek, a teraz rzecz bez znaczenia tak panią podnieca.

— Co też pan mówi! Może to nie mieć żadnego znaczenia dla pana. Pan ma siostry i nie dba o kuzynkę, ale ja nie miałam nikogo, a teraz troje krewnych albo dwie kuzynki, jeśli pan nie chce dać się zaliczyć, przyszły mi nagle na świat, dorosłe. Jeszcze raz powtarzam: jak ja się cieszę!

Chodziłam szybko po pokoju. Nagle przystanąłam, tłoczyły się w mej głowie myśli, nadbiegające prędzej, niż mogłam je objąć, zrozumieć i uładzić — myśli o tym, co może, co powinno być i będzie. I to niezadługo. Tym, którzy mi ocalili życie, których dotychczas tylko kochałam, mogłam teraz wyświadczyć dobrodziejstwo. Dźwigali jarzmo, mogłam ich uwolnić, byli rozłączeni, mogłam ich połączyć. Niezależność, dostatek, który mnie przypadł w udziale, mógł się stać także ich niezależnością, ich dostatkiem. Czyż nie było nas czworo? Dwadzieścia tysięcy funtów równo podzielonych, dawało po pięć tysięcy — aż nadto dla każdego. Sprawiedliwości stałoby się zadość, wzajemne szczęście byłoby zapewnione. Teraz mi to bogactwo przestawało ciążyć, teraz nie był to już spadek pieniężny jedynie, ale legat życia, nadziei, radości.

Jak wyglądałam, podczas gdy mnie te myśli brały szturmem w posiadanie, sama nie wiem. Zauważyłam jednak, że pan Rivers postawił za mną krzeselko i starał się delikatnie nakłonić mnie, bym usiadła. Prosił mnie także, bym się uspokoiła. Odsunęłam jego rękę i chodziłam dalej.

— Niech pan napisze jutro do siostr — rzekłam — i niech pan im powie, żeby natychmiast wracały do domu. Diana mówiła, że obie uważałyby się za bogate, mając każda po tysiąc funtów, toteż mając po pięć tysięcy każda, będą doprawdy miały się dobrze.

— Niech mi pani powie, gdzie mogę dla pani zdobyć szklankę wody — powiedział Saint-John. — Pani musi doprawdy opanować się i uspokoić.

— Co tam! A jaki wpływ wywrze ten spadek na pana? Czy zatrzyma to pana w Anglii i skłoni pana do ożenienia się z panną Oliver? I czy osiadzie pan na miejscu jak zwykły śmiertelnik?

— Pani mówi od rzeczy, w głowie się pani miesza. Ja zbyt nagle powiedziałem pani to wszystko, to panią wzruszyło i podnieciło ponad siły.

— Panie Rivers! Ja już tracę cierpliwość. Mówię zupełnie rozsądnie, to pan mnie nie rozumie albo raczej udaje, że mnie nie rozumie!

— Może gdyby pani jaśniej rzecz wytłumaczyła, ja lepiej bym zrozumiał.

— Wytłumaczyła! Co tu jest do tłumaczenia? Przecież pan musi rozumieć, że dwadzieścia tysięcy funtów, podzielonych równo pomiędzy siostrzeńca i trzy siostrzenice waszego wuja, a mojego stryja, daje po pięć tysięcy każdemu. Ja zaś chcę, żeby pan napisał do siostr i doniósł im, jaki na nie spadł majątek.

— Na panią, chce pani powiedzieć.

— Ja już swój pogląd na rzecz wyraziłam, nie potrafię go zmienić. Nie jestem brutalnie samolubna, ślepo niesprawiedliwa ani szatańsko niewdzięczna. Przy tym chcę mieć dom rodzinny i rodzinne związki. Lubię Moor House i będę mieszkała w Moor House. Kocham Dianę i Mary i chcę się z nimi połączyć na całe życie. Uśmiecha mi się posiadanie pięciu tysięcy funtów, będzie dla mnie dobrodziejstwem mieć taką sumę. Natomiast dręczyłoby mnie i ciążyłoby mi posiadanie dwudziestu tysięcy, które zresztą nigdy nie byłyby moimi po sprawiedliwości, chociaż mogłyby być prawnie. Oddaję wam tedy to, co dla mnie jest absolutnie zbyteczne. Proszę mi się nie sprzeciwiać, proszę już o tym nie dyskutować. Zgódźmy się pomiędzy sobą i zdecydujemy w tej sprawie od razu.

Dziedzictwo,
Sprawiedliwość, Dar

— Byłoby to działaniem pod pierwszym wrażeniem. Pani potrzebuje dni całych, żeby rozważyć taką sprawę, zanim słowo pani będzie można uważać za wiążące.

— Ach! Jeżeli pan tylko powątpiewa o mojej szczerości, to mnie głowa o to nie boli. Ale pan uznaje słuszność mojego zapatrywania?

— Pewną słuszność uznaję, ale jest to przeciwne wszelkim zwyczajom. Zresztą cała ta fortuna jest prawnie pani własnością. Wuj zdobył ją własną pracą, wolno mu było pozostawić ją, komu chciał, pozostawił ją pani. Ostatecznie słuszność pozwala pani ją zatrzymać, może pani z czystym sumieniem uważać ją za bezspornie swoją.

— Dla mnie — odpowiedziałam — jest to sprawa zarówno uczucia, jak sumienia. Ja muszę zaspokoić swoje uczucia, tak rzadko miałam po temu sposobność! Gdyby pan dowodził, sprzeciwiał się, męczył mnie przez rok, nie mogłabym wyrzec się cudownej przyjemności, która się do mnie uśmiechnęła, przyjemności odplacenia wielkiego długu i pozyskania sobie przyjaciół na całe życie.

— Tak pani teraz myśli — odparł Saint-John — ponieważ pani nie wie jeszcze, co to znaczy posiadać, a więc i korzystać z bogactwa. Pani sobie nie wyobraża, jakie znaczenie nada pani posiadanie dwudziestu tysięcy, jakie miejsce w towarzystwie pozwoli to pani zająć, jakie widoki to przed panią otworzy. Pani nie może...

— A pan — przerwałam — pan nie może sobie wcale wyobrazić, jak ja tęskniłam za siostrzaną i braterską miłością. Ja nigdy nie miałam rodzinnego domu, nigdy nie miałam siostr ani braci. Muszę ich mieć, chcę ich mieć teraz. Czy pan nie ma ochoty dopuścić mnie do tego, przyznać się do mnie?

— Jane, będę twoim bratem, siostry moje będą ci siostrami, nie licząc na tę ofiarę z twych słusznych praw.

— Bratem? Tak, na odległość tysięcy mil! Siostrami? Tak, wysługującymi się obcym! Ja bogata, dławiąca się złotem, na które nie zapracowałam, na które nie zasłużyłam! Wy bez grosza! Znakomita równość i braterstwo! Ścisła łączność! Serdeczne przywiązanie!

— Ależ, Jane, tęsknotę za węzłami rodzinnymi i szczęściem domowym możesz zaspokoić w inny sposób, niż w ten, który przewidujesz: możesz wyjść za mąż.

— To nonsens! Wyjść za mąż! Ja wcale nie pragnę wyjść za mąż! Ja nigdy nie wyjdę za mąż!

— Za wiele powiedziałaś. Takie ryzykowne twierdzenie dowodzi, jak bardzo w tej chwili jesteś podniecona.

— Wcale za wiele nie powiedziałam. Wiem, co czuję i jak wstrętna jest dla mnie myśl o małżeństwie. Nikt by się ze mną nie ożenił z miłości, a nie chcę być tylko przedmiotem pieniężnego targu. Zresztą nie nęcą mnie ludzie obcy, niesympatyzujący ze mną, dalecy, różni mi naturą. Potrzeba mi bliskich sobie i pokrewnych, takich, z którymi łączy mnie podobieństwo uczuć. Niech pan jeszcze raz powie, że chce mi być bratem. Gdy pan wymówił te słowa, czułam się zadowolona, szczęśliwa. Niech pan je powtórzy, jeśli pan może, niech pan je powtórzy szczerze!

— Sądzę, że mogę. Wiem, że zawsze kochałem siostry, i wiem, na czym polega przywiązanie moje do nich: na uznaniu ich wartości i podziwieniu dla ich talentów. I ty masz zasady i duszę bogatą, w upodobaniach i przyzwyczajeniach podobna jesteś do Diany i do Mary. Obecność twoja miła jest mi zawsze, w rozmowie z tobą już od pewnego czasu znalazłem zbawienną pociechę. Czuję, że łatwo i naturalnie mogę w sercu znaleźć miejsce dla ciebie jako dla mojej trzeciej i najmłodszej siostry.

— Dziękuję, to mnie na dziś zadowala. A teraz lepiej, żebyś już poszedł, gdyż pozostając dłużej, może byś mnie na nowo rozdrażnił nieufnym skrupulem.

— A szkoła, panno Eyre? Zapewne teraz trzeba będzie ją zamknąć?

— Nie. Zostanę tutaj, dopóki nie znajdzie się następczyni.

Uśmiechnął się z uznaniem: podaliśmy sobie ręce i pożegnał się.

Nie potrzebuję szczegółowo opowiadać, jakie jeszcze walki przyszło mi stoczyć, jakich argumentów musiałam używać, by sprawę spadku przeprowadzić tak, jak chciałam. Zadanie moje było bardzo trudne, ponieważ jednak moje postanowienie było niewzruszone, krewni moi zrozumieli w końcu, że ja nieodwołalnie chcę równego podziału, przeto w końcu ustąpili o tyle, że zgodzili się całą sprawę poddać arbitrażowi. Na sędziów obrabiliśmy pana Olivera i zdolnego prawnika, obaj zgodzili się z moim zdaniem. Wykonałam

swoje plany, akta własnościowe zostały przepisane: Saint-John, Diana, Mary i ja — każde z nas posiadało teraz własność.

ROZDZIAŁ XXXIV

Tymczasem zbliżało się Boże Narodzenie, nadchodził okres ogólnych wakacji. Zamknęłam szkołę w Morton, pamiętając, by nie robić tego pustą ręką. Powodzenie cudownie otwiera rękę, zarówno jak serce, a dać cośkolwiek, gdy się samemu otrzymało wiele, jest tylko daniem upustu niezwykle nagromadzeniu uczuć. Od dawna z przyjemnością odczuwałam, że wiele wiejskich uczennic mnie lubi. Przy rozstaniu potwierdziło się ono, okazywały bowiem przywiązanie wyraźnie i silnie. Sprawilo mi to głębokie zadowolenie, że rzeczywiście znalazłam miejsce w prostych ich sercach. Przynależało mi, że w przyszłości będą je co tydzień odwiedzała i dawała im w szkole godzinę lekcji.

Pan Rivers nadszedł w chwili, gdy wypuściwszy dziewczęta — było ich obecnie sześćdziesiąt — i zamknawszy drzwi, stałam, zamieniając parę słów specjalnego pożegnania z kilkoma najlepszymi uczennicami. Były to tak przyzwoite, uczciwe, skromne i do rzeczy dziewczęta, jakie tylko w brytyjskim, wiejskim ludzie można znaleźć. Bo też brytyjski wieśniak jest najlepiej wychowany, ułożony, najbardziej szanujący się spośród równych sobie w Europie. Widziałam później francuskie *paysannes*²⁶⁴, niemieckie *Bäuerinnen*²⁶⁵ — najlepsze z nich wydały mi się ciemne, ordynarne i głupie w porównaniu z moimi dziewczętami z Morton.

— Czy uważasz, że otrzymałaś nagrodę za okres pracy? — zapytał Saint-John, gdy dziewczęta odeszły. — Czy poczucie, że spełniłaś coś istotnie dobrego w życiu twym i pokoleniu, sprawia ci przyjemność?

— Niewątpliwie.

— A trudziłaś się tylko kilka miesięcy! Czyż życie, poświęcone zadaniu uszlachetniania ludzkości nie byłoby dobrze spędzone?

— Tak — odpowiadałam — ale nie mogłabym zawsze w ten sposób ciągnąć dalej. Potrzebuję rozwijać własne zdolności i cieszyć się nimi, a nie tylko kształcić je u innych. Chcę się nimi teraz nacieszyć, nie odwołuj ani duszy mojej, ani ciała do szkoły. Skończyłam z nią i jestem w pełnym nastroju wakacyjnym.

Miał minę poważną.

— Co takiego? Jakaś to nowa gorliwość cię przejmuje? Co zamierzasz robić?

— Chcę być czynna, tak czynna, jak tylko można. A przede wszystkim muszę cię prosić, byś uwolnił Hannę i wyszukał sobie jakąś inną służącą.

— Czy jej potrzebujesz?

— Tak, chcę, żeby się ze mną przeniosła do Morton House. Diana i Mary za tydzień będą w domu, a ja chcę, ażeby na ich przybycie wszystko było uporządkowane.

— Rozumiem. Myślałam, że zamierzasz wyfrunąć na jakąś wycieczkę. Tak będzie lepiej: Hannah przyjdzie do ciebie.

— A więc powiedz jej, żeby była gotowa na jutro. Tu jest klucz od szkoły, jutro rano oddam ci klucz od mojego domku.

Odebrał ode mnie klucz.

— Z wielką radością mi go oddajesz — rzekł. — Nie rozumiem dobrze, dlaczego ci tak lekko na sercu, ponieważ nie wiem, czym się teraz zamierzasz zająć. Jaki cel, jaką ambicję życiową masz przed sobą obecnie?

— Moim pierwszym celem będzie zabrać się do *wielkich porządków* (zechciej zrozumieć pełną siłę tego wyrażenia), do *wielkich porządków* w Moor House, od strychu do piwnic. Następnym, by przy pomocy wosku, terpentyny i rozmaitego sukna urządzić czyszczenie i tarcie, aż wszystko będzie błyszczeć. Trzecim: ustawić, jak należy, każde krzesło, stół, łóżko, ułożyć każdy dywan z matematyczną dokładnością. Następnie chcę cię prawie zrujnować na węgiel i torf, ażeby dobrze opalić wszystkie pokoje, a w końcu dwa dni ostatnie przed przyjazdem twych siostr poświęcimy z Hannah takiemu biciu jaj, wybieraniu rodzynek, tarcu korzeni, fabrykowaniu ciast świątecznych, przygotowywaniu materiałów na marcepany i innym kulinarnym rytuałom, o jakich słowa słabe

²⁶⁴*paysannes* (fr.) — chłopki. [przypis edytorski]

²⁶⁵*Bäuerinnen* (niem.) — wieśniaczki. [przypis edytorski]

Chłop

Święto, Dom

tylko dać mogą pojęcie komuś takiemu jak ty, niewtajemniczonemu. Słowem, wszystko ma być arcy-gotowe na przyjazd Diany i Mary przed czwartkiem, a moją ambicją jest przygotować im idealne wprost powitanie, gdy przybędą.

Saint-John uśmiechnął się lekko, mimo to był niezadowolony.

— Wszystko to bardzo dobre jak na teraz — rzekł — ale na serio, ufam, że gdy przeminie pierwszy pęd ożywienia, spojrzysz trochę wyżej ponad rodzinne czułości i gospodarskie uciechy.

— Najlepsze rzeczy w świecie! — przerwałam.

— Nie, Jane, nie. Ten świat nie jest miejscem używania, nie zapatruj się nań w ten sposób. Ani też nie jest miejscem spoczynku, nie wpadaj w lenistwo.

— Przeciwnie, zamierzam być bardzo pracowita.

— Jane, wybaczam ci, na razie. Daję ci całe dwa miesiące na nieograniczone radowanie się swoją nową pozycją i na rozkoszowanie się urokiem tego późno odnalezionego pokrewieństwa. Ale *potem* mam nadzieję, że zaczniesz wyżej patrzeć, ponad Moor House i Morton, i siostrzane towarzystwo, i samolubny spokój, i zmysłową wygodę kulturalnego dostatku. Mam nadzieję, że siła własnej energii zbudzi się znów w tobie i nie da ci spokoju.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

— Saint-John — rzekłam — mnie się zdaje, że ty jesteś trochę niepocziwy, mówiąc w ten sposób. Mam ochotę czuć się szczęśliwa jak królowa, a ty starasz się obudzić we mnie niepokój! I w jakim celu?

— Ażeby obrócić na użytek talenty powierzone przez Boga twojej pieczy, z których z pewnością kiedyś zażąda ścisłego rachunku. Jane, będę czuwał nad tobą bacznie i trwoźnie, ostrzegam cię. Staraj się powściągać niepomierny zapał, z jakim rzucasz się w pospolite przyjemności życia domowego. Nie czepiaj się tak uporczywie związków krwi, zachowaj wytrwałość i gorliwość dla okazji odpowiedniejszych, nie trwoń ich na płaskie, przemijające cele. Czy słyszysz?

— Owszem, tak zupełnie, jak gdybyś mówił po grecku. Czuję, że mam odpowiedni powód, by być szczęśliwa, i *będę* szczęśliwa. Do widzenia!

Jakoż byłam szczęśliwa w Moor House i ciężko pracowałam z Hanną. Hannah była zachwycona, widząc, jak umiem żartować wśród zamieszania w domu przewróconym do góry nogami, jak umiem szcztokować, odkurzać, czyścić i gotować. I rzeczywiście, po jakichś dwóch dniach najgorszego zamętu, miło było stopniowo wyprowadzać porządek z chaosu, który stworzyliśmy same. Już poprzednio odbyłam podróż do S. w celu zakupu niektórych nowych mebli, mając od kuzynek *carte blanche*²⁶⁶ na zaprowadzenie zmian w domu. Zwyczajną bawialnię i pokoje sypialne pozostawiłam prawie tak, jak były, wiedząc, że Dianie i Mary więcej sprawi przyjemności, gdy zobaczą znowu stare, skromne stoły, krzesła i łóżka niż jakieś eleganckie nowości. Coś nowego jednak było potrzebne, by powrót ich uświetnić. Ciemne, ładne dywany i franki, ustawienie pewnych, starannie wybranych sztuk starej porcelany i brązów, nowe pokrycia mebli, lustra i toaletki na gotowniach²⁶⁷ odpowiadały temu celowi. Pokoje wyglądały świeżo, lecz bez jaskrawości. Pewien nieużywany salonik i pokój sypialny umeblowałam całkiem na nowo, starym mahoniem z pąsowym obiciem, na korytarzach położyłam chodniki, na schodach dywaniki. Gdy wszystko było gotowe, pomyślałam, że Moor House jest tak doskonałym wzorem wesołej, skromnej elegancji wewnątrz, jak był w tej porze szczytem zimowego ogołocenia i opustoszałej, smutnej pustki na zewnątrz.

Oczekiwany czwartek nadszedł nareszcie. Spodziewaliśmy się gości pod wieczór i zanim mrok zapadł, napaliliśmy na górze i na dole. Kuchnia była w największym porządku, Hannah ubrana, ja również — wszystko było gotowe.

Saint-John przyszedł pierwszy. Prosiłam go, żeby się nie pokazywał w domu, dopóki wszystko nie będzie urządzone. I w istocie, sama myśl o zamęcie, niemiłym i pospolitym, wypłoszyła go skutecznie. Teraz zastał mnie w kuchni, pilnującą piekących się ciastek do herbaty. Zbliżywszy się do ogniska, zapytał, czy mam nareszcie dosyć tej roboty pokojówki. Na to poprosiłam, by mi towarzyszył i obejrzał ogólny rezultat mojej pracy.

²⁶⁶ *carte blanche* (fr.) — nieograniczone pełnomocnictwo. [przypis edytorski]

²⁶⁷ *gotownia* (daw.) — przebieralnia; toaletka. [przypis edytorski]

Z pewnym trudem nakłoniłam go do obejścia domu. Tyle że zaglądał w drzwi, gdy je otwierałam, a gdy przeprowadziłam go po całym domu, na piętrze i na dole, powiedział, że musiałam sobie zadać dużo kłopotu i trudu, by tak wielkie zmiany poczynić w tak krótkim czasie. Nie dodał jednakże ani słowa świadczącego, iż korzystna zmiana wyglądu jego domu sprawia mu przyjemność.

To milczenie uraziło mnie. Pomyślałam, że może poczynione zmiany zatarły pewne wspomnienia, które sobie ceniał. Zapytałam, czy tak jest istotnie, a niewątpliwie zadałam to pytanie głosem nieco zniechęconym.

— Bynajmniej. Uważam, przeciwnie, że dbałaś skrupulatnie o to, ażeby nic dawniejszego nie zmienić. Może nawet poświęciłaś na to więcej myśli, aniżeli było warto. Ile minut, na przykład, zajęło ci zastanowienie się nad urządzeniem chociażby tego pokoju? Ale, ale... Czy nie możesz mi powiedzieć, gdzie jest...

Tu podał mi tytuł poszukiwanej książki. Pokazałam mu tom na półce, wziął go i cofnąwszy się do kąta pod oknem, zagłębił się w czytaniu.

Otóż przyznaję, że to mi się nie podobało. Saint-John był dobrym człowiekiem; zaczęłam jednak odczuwać, że powiedział prawdę, mówiąc, że jest twardy i zimny. Ludzkie, miłe strony życia nie pociągały go wcale, spokojna radość dnia powszedniego nie miała dla niego powabu. Żył dosłownie tylko aspiracjami do spraw wielkich, to prawda. Ale nigdy, pomyślałam, nie zazna spokoju, nigdy nie zaakceptuje potrzeby odpoczynku i spokoju u innych. Patrząc na jego wysokie czoło, gładkie i blade jak z białego kamienia, na jego piękne rysy, skupione przy czytaniu, zrozumiałam nagle, że dobrym mężem by on nie był, że ciężka byłaby dola jego żony. Zrozumiałam, jak gdyby w natchnieniu, istotę jego miłości do panny Oliver. Przyznałam mu słuszność, że była to tylko miłość zmysłowa. Zrozumiałam, jak musi pogardzać sobą za podniecający wpływ, jaki ta miłość nań wywiera, jak musi pragnąć zduszenia jej i zgaszenia, jak musi wątpić, czy ta miłość prowadzi do stałego szczęścia jej lub jego. Pojęłam, że był on z tego materiału, z którego natura wykuwa bohaterów — prawodawców, mężów stanu i zdobywców. Tacy bohaterowie są jak silny fundament, na którym opierać się mogą wielkie sprawy, ale przy domowym ognisku aż nazbyt często bywają zimną, zawadającą kolumną, chmurną i nie na swoim miejscu.

„Ten pokój bawialny to nie jego sfera — rozmyślałam. — Himalaje²⁶⁸, gąszcze krainy Kafrów²⁶⁹, nawet zarażone bagniska na wybrzeżu Gwinei²⁷⁰ odpowiadałyby mu bardziej. Nie dziw, że unika spokoju życia domowego, bo to nie jego żywioł — w nim siły jego i talenty drzemią, nie mogą się rozwinąć i wykazać wartości. W walce i niebezpieczeństwie, tam, gdzie trzeba odwagi, energii, męstwa, tam będzie przemawiał, tam będzie działał jako przewodnik i zwierchnik. Przy tym ognisku mniej on znaczy niż dziecko. Ma słuszność, że wybrał karierę misjonarza, teraz go rozumiem”.

— Jada! Jada! — zawołała Hannah, otwierając drzwi bawialni. W tej samej chwili stary Carlo zaszczekał radośnie. Wybiegłam. Ciemno już było, ale słychać było turkot kół. Hannah nadeszła z latarnią. Powóz stanął przed furtką, naprzód wysiadła jedna znajoma postać, potem druga. W jednej chwili twarz wciskałam pod ich kapelusze, napotyając najpierw gładki policzek Mary, potem rozwiane loki Diany. One śmiały się, całowały mnie, całowały Hannah, pieściły Carla, który szalał z radości, dopytywały, czy wszystko dobrze, a gdy je zapewniłam, że jak najlepiej, pośpiesznie weszły do domu.

Zesztywniały od jazdy z Whiteross i zziębły na mroźnym, nocnym powietrzu, jednakże miłe ich twarzyczki rozpromieniły się w błogim świetle ognia. I gdy woźnica z Hanną wnosili kuferki, zapytały o Saint-Johna. W tej chwili wyszedł z bawialni. Od razu obie zarzuciły mu ręce na szyję. Złożył na twarzy każdej z nich po jednym spokojnym pocałunku, wypowiedział cicho parę słów powitania, stał przez chwilę, podczas gdy do niego mówiły, a potem, zauważywszy, że zapewne wkrótce przyjdą do bawialnego, cofnął się tam, niczym do bezpiecznego schronienia.

Zaprowadziłam kuzynki na górę. Zachwycone były odnowieniem i przyozdobieniem swoich pokoi: nową portierą, świeżymi dywanami, pięknymi, porcelanowymi wazonami.

²⁶⁸ *Himalaje* — najwyższy łańcuch górski na Ziemi, położony w Azji. [przypis edytorski]

²⁶⁹ *Kafir* (ang. *Caffre*) — pogardliwe określenie osoby czarnoskórej, używane w Afryce Południowej i na Jamajce albo pogardliwe określenie innowiercy w islamie. [przypis edytorski]

²⁷⁰ *Gwinea* — tu: region w zach. Afryce, położony wzdłuż wybrzeży Zatoki Gwinejskiej. [przypis edytorski]

Nie skąpiły słów zadowolenia i zachwytu. A mnie było przyjemnie czuć, że to, co urządziłam, odpowiadało dokładnie ich życzeniom i dodawało uroku ich radosnemu powrotowi do domu.

Miły był ten wieczór. Moje kuzynki, rozweselone, były tak rozmowne, tyle opowiadały, tyle robiły uwag, że ich ożywienie pokrywało małomówność Saint-Johna. On sam szczerze był rad siostrom, ale ich radosnego zapału nie umiał podzielać. W chwili, kiedy zabawialiśmy się w najlepsze — było to może w godzinę po herbacie — rozległo się stukanie do drzwi. Hannah weszła, oznajmiając, że przyszedł biedny chłopak i prosi, żeby pan Rivers odwiedził jego matkę, „której się już niewiele należy”.

— Gdzie ona mieszka, Hannah?

— Prosto pod Whiteross Brow, prawie cztery mile stąd, przez całą drogę idzie się torfowiskami.

— Powiedzcie mu, że pójdę.

— Z przeproszeniem, proszę pana, lepiej by pan nie szedł. To najgorsza droga tak po nocy. Nie ma tam żadnej ścieżki przez trzęsawisko. A poza tym to taka zimna noc, wiatr taki ostry. Lepiej by pan powiedział, że pójdzie jutro rano.

Saint-John tymczasem był już na korytarzu i zakładał płaszcz. Nie wymawiając się, nie szemrząc, wyruszył w drogę. Była wtedy godzina dziewiąta, wrócił dopiero o północy. Wyglodzony i zmęczony był porządnie, ale minę miał pogodniejszą, niż gdy wychodził z domu. Spełnił obowiązek, dokonał wysiłku, poczuł własną siłę w czynie i w poskramianiu siebie i bardziej był sam ze sobą w zgodzie.

Zdaje mi się, że cały następny tydzień cierpliwość jego mocno wystawiał na próbę. Był to tydzień świąteczny. Nie przedsiębrałyśmy żadnej stałej roboty, lecz spędzałyśmy czas na wesołym próżniactwie. Powietrze wzgórz rodzinnych, swoboda własnego domu, poczucie dostatniego losu — wszystko to oddziaływało na humor Diany i Mary jak ożywczy kordiał. Były wesołe od rana do wieczora. Rozmawiały ustawicznie, a ich rozmowa, dowcipna, treściwa, oryginalna miała dla mnie taki urok, że wolałam jej słuchać i brać w niej udział, niż robić cośkolwiek innego. Saint-John nie wymawiał nam ożywienia, ale stronił od nas. Rzadko bywał w domu, parafia jego była rozległa, ludność rozproszona, zawsze znajdował więc zajęcie, odwiedzając chorych i biednych.

Pewnego ranka przy śniadaniu Diana, która czas jakiś siedziała zamyślona, zapytała brata, czy zamiary jego czasem nie uległy zmianie.

— Nie uległy i nie mogą ulec — odparł. I powiadomił nas, że wyjazd jego z Anglii był już teraz stanowczo ustalony na rok następny.

— A Rosamond Oliver? — zapytała Mary.

Słowa te widać wymknęły jej się mimo woli, gdyż zaledwie je wyrzekła, uczyniła gest, jakby je chciała odwołać. Saint-John trzymał książkę w ręku — miał ten nieładny zwyczaj czytania przy jedzeniu — zamknął ją i podniósł oczy.

— Rosamond Oliver — powiedział — wyjdzie wkrótce za mąż za pana Granby'ego, jednego z najlepiej ustosunkowanych i szanowanych mieszkańców miasta S., wnuka i spadkobiercę sir Frederica Granby'ego. Wczoraj oznajmił mi to jej ojciec.

Siostry popatrzyły na siebie i na mnie, wszystkie trzy spojrzaliśmy na niego — opانونowany był i zupełnie pogodny.

— To małżeństwo musiało być pośpiesznie sklezione — zauważyła Diana.

— Nie mogli się znać długo.

— Tylko dwa miesiące, poznali się w październiku, na balu w S. Gdzie jednak nie ma żadnych przeszkód, jak w tym wypadku, gdzie związek jest ze wszech miar pożądanym, zwłoka jest niepotrzebna. Pobiorą się, gdy tylko dom w majątku, który im dziadek oddaje, będzie odświeżony na ich przyjęcie.

Gdy po raz pierwszy po tej wiadomości znalazłam się sam na sam z Saint-Johnem, miałam ochotę zapytać go, czy to wydarzenie sprawiło mu przykrość. Zdawało się jednak, że on mało potrzebuje współczucia, dlatego daleka od zaofiarowania mu go teraz, odczułam wstyd na wspomnienie tego, co kiedyś zaryzykowałam. Przy tym wyszłam z wprawy w rozmawianiu z Saint-Johnem — zamarzył znów pod powłoką powściągliwości, a wobec tego i moja szczerść zamarzła. Nie dotrzymał przyrzeczenia, że będzie mnie traktował na równi z siostrami. Stale zaznaczał drobne, ochładzające różnice między nami, co także nie przyczyniało się do większej serdeczności. Słowem, teraz, kiedy byłam uznaną jego

krewniaczką i żyłam z nim pod jednym dachem, czułam, że o wiele dalsi sobie jesteśmy, niż gdy widział we mnie tylko wiejską nauczycielkę. Gdy sobie przypominałam, jakim dawniej obdarzał mnie zaufaniem, pojąć nie mogłam jego obecnego, lodowatego chłodu.

Toteż niemało się zdziwiłam, gdy podniósłszy nagle głowę sponad książki, przemówił do mnie:

— Jak widzisz, Jane, stoczyłem walkę i odniosłem zwycięstwo.

Zaskoczona tym odezwaniem się, dopiero po chwili odparłam:

— Czy tylko jesteś pewien, że nie jesteś w położeniu tych zwycięzców, których triumfy kosztowały ich zbyt wiele? Czy drugie takie zwycięstwo nie zgubiłoby cię?

— Myślę, że nie. A gdyby nawet, nie miałyby to wielkiego znaczenia. Zresztą nigdy już nie będę potrzebował walczyć po raz drugi. Wynik starcia jest rozstrzygający: droga przede mną wolna, dziękuję za to Bogu!

Rzekłszy to, powrócił do swoich papierów i pogrążył się w milczeniu.

Gdy stopniowo nasze (tj. Diany, Mary i moje) wzajemne zadowolenie przeszło w spokojniejszy nastrój i powróciliśmy do dawnych zwyczajów i zajęć, Saint-John zaczął więcej przesiadywać w domu. Siadywał z nami w tym samym pokoju, niekiedy całymi godzinami. Mary rysowała, Diana zatapiała się w czytaniu poważnych ksiąg (ku mojemu zdumieniu i przerażeniu), ja kułam niemieczyznę, on zaś zagłębiał się w jakieś tajemnicze studium — uczył się wschodniego języka, który miał się okazać potrzebny podczas misji.

Tak zajęty w swoim kąciku, wydawał się dosyć spokojny i pochłonięty pracą. Jednakże te niebieskie oczy miały zwyczaj uciekać od cudzoziemskiej gramatyki i pomykać ku nam, a niekiedy przenikać nas z dziwnie wnikliwą obserwacją. Schwytane, cofały się natychmiast, po czym od czasu do czasu powracały znowu, badawcze. Dziwiłam się, nie rozumiejąc, co to znaczy. Dziwiłam się też temu zadowoleniu, jakiego nigdy nie omieszkiwał okazać przy drobnej nawet sposobności, mianowicie ilekroć wybierałam się na cotygodniowe odwiedziny szkoły w Morton. A jeszcze więcej zastanawiało mnie to, że gdy dzień był słotny, gdy padał śnieg albo deszcz, albo gdy dął silny wiatr, a siostry jego nalegały, bym nie wychodziła, żartował lekko z ich troskliwości i zachęcał mnie do spełnienia zadania bez względu na niepogodę.

— Jane nie jest takim słabeuszem, jakiego wy byście z niej chciały zrobić — mawiał wtedy. — Zniesie wiatr górski, zniesie trochę deszczu, parę płatków śniegu, tak jak każde z nas. Ma organizm zdrowy i odporniejszy na zmiany klimatu niż niejeden na pozór silniejszy.

Gdy zaś wracałam, niekiedy bardzo zmęczona, zbita wiatrem, przemoczona, nigdy nie śmiałam się uskarżać, gdyż wiedziałam, że utyskiwanie go drażni. Zawsze i wszędzie pochwalał męstwo i wytrzymałość, a słabość i miękkość potępiał.

Raz po obiedzie pozwolono mi jednakże zostać w domu, gdyż istotnie byłam zakatarzona. Siostry Saint-Johna w moim zastępstwie poszły do Morton, ja siedziałam i czytałam Schillera. Saint-John mozolił się nad wschodnimi manuskryptami. Przechodząc od tłumaczenia do wypracowania, przypadkiem rzuciłam okiem w jego stronę. I oto znalazłam się w promieniu spojrzenia tych wiecznie badawczych, niebieskich oczu. Od jak dawna przenikał mnie nimi na wylot, tego mnie wiem. Spojrzenie było tak bystre, a jednak tak zimne, że przez chwilę uczułam lęk zabobonny, jak gdybym siedziała w pokoju z czymś niesamowitym.

— Jane, co ty robisz?

— Uczę się niemieckiego.

— Wolałbym, żebyś porzuciła niemiecki, a uczyła się hindustańskiego²⁷¹.

— Czy serio to mówisz?

— Tak dalece serio, że musisz mnie posłuchać. Powiem ci dlaczego.

Tu zaczął mi tłumaczyć, że sam obecnie uczy się języka hindustańskiego, lecz boi się, że w miarę postępów gotów zapomnieć początków. Otóż bardzo by mu było na rękę mieć uczennicę, z którą mógłby powtarzać początki i tym sposobem wbić je sobie dobrze w pamięć. Wahał się pewien czas w wyborze pomiędzy mną a siostrami. W końcu wybrał mnie, ponieważ widział, że ja z nas trzech najdłużej przysiąść potrafię nad jakimś zada-

²⁷¹hindustański a. *hindustani* — język potoczny używany w Indiach płn. [przypis edytorski]

niem. Czy zrobię mu tę łaskę? — pytał. Może to poświęcenie nie będzie długo trwało, gdyż teraz już tylko trzy miesiące pozostają do jego odjazdu...

Saint-John należał do ludzi, którym trudno odmówić. Czułam, że każdą przyjemność czy przykrość jemu wyrządzoną głęboko i trwale zapisuje w pamięci. Zgodziłam się przeto. Diana dowiedziawszy się, że jej uczennica przeszła do brata, śmiała się i obie z Mary przyznały, że Saint-John nigdy by ich do podobnego kroku nie zdołał nakłonić.

— Wiedziałem o tym z góry — odpowiedział spokojnie.

Znalazłam w Saint-Johnie bardzo cierpliwego, pełnego względów, ale wymagającego nauczyciela — wiele się po mnie spodziewał. Gdy zaś spełniłam jego oczekiwania, on na swój sposób nie szczędził mi wyrazów uznania. Stopniowo uzyskał pewien wpływ na mnie, pozbawiający mnie swobody ducha. Jego pochwała i wyróżnienie krępowały mnie silniej niż jego obojętność. Nie mogłam już teraz rozmawiać i śmiać się swobodnie w jego obecności, ponieważ jakieś nieznośne, narzucające się poczucie przypominało mi, że Saint-John nie lubi ożywienia (przynajmniej we mnie). Byłam tak świadoma, że on pochwała tylko nastrój poważny i zajęcia poważne, że nie potrafiłam, chociaż nawet chciałam, gdy on był obecny, zachować się inaczej. Byłam jak urzeczona mrozącym jakimś urokiem. Gdy powiedział: „idź”, odchodziłam, „przyjdź”, przychodziłam, „rób to”, robiłam natychmiast. Ale nie kochałam tej niewoli, nieraz wzdychałam, żałując, że stałam się przedmiotem jego uwagi.

Pewnego wieczora przy rozejściu się stałyśmy dookoła niego, mówiąc mu „Dobranoc”. Pocałował każdą z siostr, jak to miał w zwyczaju, i również, jak to miał w zwyczaju, podał mi rękę. Diana, będąc w owej chwili w żartobliwym nastroju, zawołała nagle:

— Saint-John! Nazwałeś Jane swoją trzecią siostrą, ale nie traktujesz jej po bratersku. Powinieneś i ją całować!

I popchnęła mnie ku niemu. Pomyślałam, że Diana jest nieznośna, i zażenowałam się. Saint-John tymczasem pochylił głowę, jego grecka twarz znalazła się na poziomie mojej, oczy jego przenikliwie zapytały moich oczu. I pocałował mnie. Nie ma na świecie pocałunków marmurowych ani lodowatych, inaczej tak bym określiła pocałunek mojego kuzyna, duchownego. Ale mogą być pocałunki próbne, a jego pocałunek był takim pocałunkiem próbnym. Pocałowawszy, popatrzył na mnie, ciekawy wrażenia. Wrażenie było niewielkie, jestem pewna, że wcale się nie zarumieniłam. Może raczej pobladłam, gdyż w pocałunku tym odczułam niby pieczęć, przyłożoną do moich węgów. Odtąd Saint-John nigdy nie pomijał tej ceremonii, a powaga i spokój, z jakim ją przyjmowałam, zdawały się mieć pewien urok w jego oczach.

Ja zaś z każdym dniem coraz bardziej pragnęłam mu dogodzić. Ale też czułam coraz mocniej, że w tym celu muszę się zaprzeć połowy swej natury, zduścić połowę władz duszy, upodobania oderwać od pierwotnych skłonności i zmusić się do dążeń i zajęć, do których nie miałam wrodzonego powołania. Saint-John chciał mnie podciągnąć na wyżyny niedosiężne dla mnie, męką było dla mnie podążanie do mety, którą mi wskazywał. Osiągnięcie jej było dla mnie takim niepodobieństwem jak przekształcenie moich nieregularnych rysów na wzór jego klasycznych albo nadanie moim zielonym oczom błękitnej barwy morza i uroczystego spojrzenia jego własnych.

Jednakże nie tylko wpływ Saint-Johna dręczył mnie obecnie. W ostatnich czasach nie było mi trudno być smutną, robak załagał się w moim sercu i wysysał u źródła wszelką radość. Tym robakiem był niepokój i oczekiwanie.

Może ktoś pomyśli, że wśród tych zmian miejsca i losu zapomniałam o panu Rochesterze? Ani na chwilę. Myśl o nim towarzyszyła mi stale, gdyż nie była to mgła, którą słońce mogło rozproszyć, ani rysunek na piasku, który burza zwiąć mogła, ale imię wyryte na trwałym marmurze. Gorące pragnienie dowiedzenia się, co się z nim stało, szło w ślad za mną wszędzie. W Morton co wieczór ze szkoły wracałam do domku, ażeby o tym rozmyślać, a teraz w Moor House co wieczór zdążałam do sypialni, ażeby pograżać się w smutnych rozważaniach.

W toku mojej korespondencji z panem Briggsem zapytałam, czy nie wie, gdzie obecnie pan Rochester może przebywać i czy jest zdrow. Ale jak słusznie Saint-John przypuszczał, on o niczym, co dotyczyło pana Rochester, nie wiedział. Wtedy napisałam do pani Fairfax, błagając ją o wiadomości. Byłam pewna szybkiej odpowiedzi. Zdziwiłam

Pocałunek

Robak, Serce, Smutek

się, gdy minęły dwa tygodnie bez odpowiedzi, ale po upływie dwóch miesięcy, gdy poczta codzienna nie przynosiła nic dla mnie, ogarnął mnie najwyższy niepokój.

Napisałam powtórnie, przypuszczając, że może pierwszy mój list zaginął. Znowu odżyła nadzieja i znowu się zawiodłam. Nie doszedł do mnie ani jeden wiersz, ani jedno słowo. Po półrocznym daremnym wyczekiwaniu nadzieja moja zgasła i poczułam, że ogarniają mnie ciemności.

Piękna wiosna jaśniała dookoła mnie, ale ja się nią cieszyć nie mogłam. Zbliżało się lato, Diana starała się mnie rozweselić. Twierdziła, że źle wyglądam, i pragnęła zawieźć mnie nad morze. Sprzeciwiał się temu Saint-John, mówił, że nie potrzebuję rozrywki, ale zajęcia, gdyż obecne moje życie zbyt jest bezcelowe, a mnie właśnie celu w życiu potrzeba. Przypuszczam, że chcąc ten brak zapełnić, przedłużył lekcje hinduskiego i jeszcze usilniej wymagał gruntownego przygotowania, ja zaś, niemądra, ani nie pomyślałam o sprzeciwieniu się, po prostu nie mogłam mu się sprzeciwić!

Pewnego dnia przyszedł na lekcję bardziej niż zwykle przygnębiona z powodu głęboko odczutego zawodu. Hannah powiedziała mi rano, że jest list dla mnie, jednakże gdy zeszedł na dół, by go odebrać — prawie pewna, że to dawno oczekiwana wiadomość nadchodzi nareszcie — okazało się, że to tylko mało znaczący list w interesach od pana Briggsa. Gorzki zawód wycisnął mi kilka łez, a teraz, gdy siedziałam nad niewyraźnym, pełnym zakrętasów pismem hinduskiego pisarza, oczy moje znowu wezbrały łzami.

Saint-John wezwał mnie do siebie i kazał mi czytać. Starałam się posłuchać, ale głos mnie zawiódł, słowa moje przeszły w łkanie. Saint-John i ja byliśmy sami w bawialni. Diana ćwiczyła się w muzyce w saloniku, Mary pracowała w ogródku, gdyż dzień był piękny, majowy, jasny, słoneczny, lekko wietrzny. Towarzysz mój nie okazał zdziwienia na widok mojego wzruszenia, ani też nie zapytał mnie o powód, powiedział tylko:

— Poczekam kilka minut, Jane, aż się uspokoisz.

Gdy ja jak najspieszniej opanowywałam ten szloch, on siedział cicho i cierpliwie, oparty o stół, i patrzył na mnie jak lekarz, obserwujący okiem uczonego spodziewany i zupełnie zrozumiały przejaw choroby pacjenta. Zdusiwszy łkanie, otarłszy oczy i bąknąwszy coś o tym, że niezupełnie dobrze czuję się dziś rano, powróciłam do czytania. Udało mi się je dokończyć. Saint-John odłożył moje książki i swoje, zamknął sekretarzyk i powiedział:

— A teraz, Jane, pójdziesz na przechadzkę. I to ze mną.

— Zawołam Dianę i Mary.

— Nie, mnie dziś rano tylko jednej towarzyszyki potrzeba, a mianowicie ciebie. Ubierz się, wyjdź kuchennymi drzwiami, idź w górę przez dolinę. Ja cię za chwilę dogonię.

Nie znam nic pośredniego, nigdy w życiu nie znalazłam pośredniej drogi w stosunkach ze stanowczymi, twardymi charakterami, przeciwnymi mojemu — pomiędzy absolutną uległością a zdecydowanym buntem. Zawsze wiernie pilnowałam drogi uległości, dopóki z wulkaniczną nieledwie gwałtownością nie przerzucałam się w drugą ostateczność. Ponieważ w tych okolicznościach i w obecnym nastroju nic mnie nie skłaniało do buntu, więc zastosowałam się posłusznie do wskazówek Saint-Johna i w dziesięć minut później kroczyłam obok niego dziką ścieżką wijącą się wśród doliny.

Wietrzyk powiewał z zachodu, płynął od wzgórz, niosąc słodką woń kwietnych łąk. Niebo było jasne, błękitne, potok wzdłuż wąwozu, zasilony wiosennymi deszczami, płynął obfity i czysty, zapożyczając złote połyski od słońca, a szafirowe barwy od nieba. W miarę jak posuwaliśmy się i opuszczali ścieżkę, zaczęliśmy stąpać po miękkiej murawie, delikatnej i szmaragdowozielonej, usianej drobnym, białym kwieciem i tu i ówdzie gwiaździstym, żółtym. Wzgórza tymczasem zupełnie nas otoczyły, gdyż wąwóz w górnej części skręcał w sam ich środek.

— Odpocznijmy tutaj — odezwał się Saint-John, gdy dotarliśmy do pierwszych skał, stojących na straży u przejścia, za którym potok spadał kaskadą.

Usiadłam, Saint-John stał obok mnie. Wodził wzrokiem wwyż wąwozu i w dół po dolinie. Spojrzenie jego błędziło za biegiem strumienia i wracało, obejmując bezchmurne niebo, które ten strumień barwiło. Zdjął kapelusz, pozwolił wietrzykowi zburzyć sobie włosy i musnąć czoło. Zdawało się, że się jednoczy z duchem tego ustronia, oczyma coś żegnał.

Bunt

— Ujrzę to znowu — rzekł głośno — w snach, gdy spać będę nad brzegiem Gangesu²⁷². I jeszcze znowu w odleglejszej godzinie, gdy inny sen nachodzić mnie będzie, nad brzegiem ciemniejszej rzeki!

Dziwne słowa, dziwna miłość! Surowego patrioty namiętna miłość ojczyzny! Siadł, przez dłuższy czas nie rozmawialiśmy wcale, po czym Saint-John znów zaczął:

— Jane, za sześć tygodni wyruszam, zakupiłem miejsce na okręcie odchodzącym do Indii Wschodnich dwudziestego czerwca.

— Bóg się będzie opiekował tobą — odpowiedziałam — gdyż Jego dzieło podejmiesz.

— Tak — odparł — w tym moja chwała i radość. Jestem sługą nieomylnego Pana. Nie wychodzę pod kierownictwem ludzkim, podległy niedoskonałym prawom i błędzącym rządóm moich ułomnych bliźnich. Moim królem, moim prawodawcą, moim wodzem jest Najdoskonałszy. Mnie się dziwne wydaje, że otoczenie nie goreje pragnieniem zaciągnięcia się pod ten sam sztandar, uczestniczenia w tym samym przedsięwzięciu.

— Nie wszyscy mają twe siły, a byłoby szaleństwem, gdyby słabi chcieli maszerować w jednym rzędzie z silnymi.

— Ja nie mówię do słabych, ani też o nich nie myślę. Przemawiam jedynie do tych, którzy są godni dzieła i zdołają je wykonać.

— Takich licznie jest niewielu, a odkryć ich niełatwo.

— Prawdę mówisz, ale gdy się ich odnajdzie, należy ich budzić, skłaniać i wzywać do wysiłku, wytłumaczyć im, czym są dary, które posiadają, i dlaczego zostały im dane. Należy uszom ich wieścić wezwanie niebieskie, ofiarowywać im z Bożego zlecenia miejsce w zastępie Jego wybranych.

— Jeżeli są istotnie powołani do tego zadania, czyż własne serca nie powiedzą im najpierw o tym?

— A co twoje serce ci mówi? — zapytał.

— Moje serce milczy — odpowiedziałam zaskoczona i drżąca.

— Więc ja muszę za nie przemówić — ciągnął dalej nieubłagany głos. — Jane, udaj się ze mną do Indii, udaj się ze mną jako pomocnica moja i współpracowniczka.

Wąwóz i niebo zawirowały mi przed oczami, zachwiały się góry! Było mi, jak gdybym posłyszała wezwanie z nieba, jak gdyby jawił się poseł, jak ów w Macedonii²⁷³, i wygłosił: „Przepraw się do Macedonii i pomóż nam!”²⁷⁴ Ale ja nie byłam apostołem, nie mogłam ujrzeć posłańca, nie mogłam przyjąć jego wezwania.

— O, Saint-John! — zawołałam. — Miejże choć trochę litości!

Jednakże zwracałam się do człowieka, który pełniąc to, co uważał za swą powinność, nie znał ani litości, ani wyrzutu sumienia.

— Bóg i natura — ciągnął dalej — przeznaczili ciebie na żonę misjonarza. Nie powierzchownych, fizycznych, ale duchowych udzielono ci darów. Jesteś stworzona do pracy, nie do miłości. Żoną misjonarza musisz być i będziesz. Będziesz moja. Ja ciebie biorę nie dla swej przyjemności, ale dla służby mojego Pana.

— Nie jestem do tego zdolna, nie mam powołania — odparłam.

Nie rozdrażniły go te pierwsze zarzuty, gdyż je przewidywał. Istotnie, oparty plecami o głaz, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach i twarzą spokojną, był przygotowany na długi i męczący opór i uzbroił się w cierpliwość, mającą mu służyć do końca. Widziałam jednak, że postanowił walczyć aż do zwycięstwa.

— Pokora, Jane — mówił — to podstawa cnót chrześcijańskich. Słusznie mówisz, że nie jesteś zdolna do spełniania tego dzieła. Któż bowiem jest do tego zdolny? Albo kto, kiedykolwiek, prawdziwie powołany, uważał, że godny jest wezwania? Ja, na przykład, jestem tylko prochem i popiołem. Wraz ze świętym Pawłem²⁷⁵ uważam się za największego z grzeszników, temu poczuciu własnej marności nie daję się jednak pognębić. Znam Wodza, wiem, że jest równie sprawiedliwy jak potężny, a skoro wybrał słabe narzędzie do

²⁷² *Ganges* — rzeka w pld. Azji, przepływająca przez Indie i Bangladesz. [przypis edytorski]

²⁷³ *Macedonia* — tu: antyczna kraina na Półwyspie Bałkańskim. [przypis edytorski]

²⁷⁴ *Przepraw się do Macedonii i pomóż nam!* — Dz, 16, 19 (cytat za *Biblią Tysiąclecia*). [przypis edytorski]

²⁷⁵ *święty Paweł* a. *Paweł*, a. *Paweł Apostoł* (ur. ok. 5/10-ok. 64/67) — święty chrześcijański, męczennik za wiarę. [przypis edytorski]

spełnienia wielkiego zadania, z nieograniczonych bogactw swojej opatrności zasili skąpość środków do tego celu. Myśl tak jak ja, Jane, ufaj tak jak ja. Oprzyj się o Przedwieczną Skalę, nie wątp, że udźwignie ona ciężar ludzkiej słabości.

— Ja nie rozumiem życia misjonarza, nigdy się nie zastanawiałam nad pracą misyjną.

— W tym z całą pokorą mogę ci dać potrzebną pomoc, mogę kierować twoją pracą każdej godziny, stać obok ciebie stale, pomagać ci w każdej chwili. To mógłbym czynić na początek, wkrótce (gdyż wiem, co ty potrafisz) byłabyś równie silna i umiejętna jak ja sam i nie potrzebowałabyś mojej pomocy.

— Ależ moja moc... Czyż temu sprostasz? Ja tego nie czuję. Na twój głos nic się we mnie nie budzi, nic się nie porusza. Nie zapala się dla mnie najniklejsze światło, nie przyspiesza się tętno życia, nie odzywa się żaden głos doradczy ani krzepiący. O, chciałabym, żebyś zrozumiał, że dusza moja jest w tej chwili podobna do więzienia bez promyka światła, ze spętanym na dnie tego więzienia strachem, ze strachem, byś ty mnie nie przekonał, a ja żebym się nie podjęła tego, czego nie potrafię wykonać!

— Mam odpowiedź dla ciebie, posłuchaj. Obserwowałem cię od chwili, gdyśmy się poznali, obserwowałem cię bacznie przez dziesięć miesięcy. Doświadczałem cię w różny sposób i co widziałem? O czym się przekonałem? W szkółce wiejskiej widziałem, że potrafisz spełniać dobrze, punktualnie, uczciwie pracę nieodpowiadającą ani twym przyzwyczajeniom, ani skłonnościom. Widziałem, że spełniasz ją inteligentnie; trzymając w rękę władzę, umiałaś zjednywać serca. W spokojnym przyjęciu wieści o spadku po wuju znalazłem dowód, iż dusza twa wolna jest od chciwości, dobra materialnie nie miały mocy nad tobą. W stanowczej gotowości podziału bogactw na cztery części poznałem duszę, która znajduje upodobanie w ogniu i radości ofiary. W posłuszeństwie, z jakim na moje życzenie porzuciłaś studium interesujące ciebie i zajęłaś się innym, ponieważ mnie ono interesowało, w niezmiernym pilności, z jaką odtąd przy nim wytrwałaś, w niezachwianej energii i pogodnej cierpliwości, z jaką zwalczałaś jego trudności, widzę dopełnienie tych zalet, których poszukuję. Jane, jesteś posłuszna, pilna, bezinteresowna, wierna, stała i odważna, łagodna i bohaterska. Przestań sobie nie ufać, ja mogę ci zaufać bezwzględnie. Pomoc twoja jako przewodniczki szkół hinduskich, jako pomocniczki wśród kobiet hinduskich, będzie dla mnie nieoceniona.

Żelazne więzy zaciskały się dokoła mnie, przekonywanie działało powolnie, ale skutecznie. Chociaż zamykałam oczy, te jego ostatnie słowa otwierały niejako drogę, która wydawała mi się zaparta. Zadanie moje, które wydawało się tak nieokreślone, tak beznadziejnie nieujęte, w miarę, jak mówił, pod jego władczą ręką ustalało się i przybierało konkretny kształt. Poprosiłam, by mi dał kwadrans czasu do namysłu, zanim bym znów zaryzykowała odpowiedź.

— Bardzo chętnie — odpowiedział i powstawszy, poszedł trochę dalej wzdłuż wąwozu, rzucił się na kępę wrzosów i tam pozostał w milczeniu.

„*M o g e* zrobić to, czego on chce ode mnie, muszę to przyznać — dumalam — to jest, o ile życia mi starczy. Ale ja czuję, że moje nie potrwa długo pod słońcem Indii. I cóż? On o to nie dba, gdy przyjdzie mi umrzeć, on odda mnie z całą pogodą i świętością w ręce Boga, który mnie jemu powierzył. Przewiduję to jasno. Opuszczając Anglię, opuszczałabym ukochany, ale pusty kraj. Pana Rochester tam nie ma, a gdyby nawet był, czymże to jest, czym może być dla mnie? Ja teraz muszę żyć bez niego, niedorzecznością i słabością jest tak wegetować w oczekiwaniu jakiejś niemożliwej zmiany losów, która by mnie z nim połączyła. Oczywiście, muszę szukać (jak słusznie Saint-John powiedział) innego zainteresowania w życiu zamiast tego, które utraciłam. A czyż zajęcie, które on mi teraz ofiarowuje, nie jest najchwalebniejsze, jakie człowiek może przyjąć, a Bóg mu wyznaczyć? Nie jest ono dzięki trudom szlachetnym i wzniosłym rezultatom najodpowiedniejsze do wypełnienia pustki, jaką pozostawiły wydarte z serca uczucia i zniweczone nadzieje? Sądzę, że muszę powiedzieć „tak” — a jednak drzę. Niestety! Jeżeli pójdę z Saint-Johnem, zaprę się połowy siebie, jeżeli pójdę do Indii, pójdę na śmierć przedwcześnie, A czym wypełnię ten czas pomiędzy opuszczeniem Anglii dla Indii i Indii dla grobu? O, ja dobrze wiem! I to ja także bardzo jasno widzę. Wyteżając się dla zadowolenia Saint-Johna aż do bólu, *zadowolę go* do kresu najdalszych jego oczekiwań. Jeżeli pójdę z nim, to bezwzględnie *spełnię ofiarę*, której on wymaga. On mnie nigdy kochać nie będzie, ale będę miała jego uznanie. Okażę mu energię, jakiej jeszcze nie widział, zasoby, jakich nie

Konflikt wewnętrzny

podejrzewa. Tak — ja potrafię pracować równie twardo jak i on, i równie nie oszczędzając siebie.

Zgoda zatem na jego żądanie byłaby możliwa, gdyby nie jeden szczegół, jeden okropny szczegół... A to, że on żąda, bym została jego żoną, a serce małżonka nie byłoby dla mnie czulsze od tego ponurego olbrzyma, głazu, po którym tam w wąwozie stacza się strumień spieniony. On mnie ceni tak, jak żołnierz ceni dobry oręż — i tyle. Gdybym nie miała mu być poślubiona, nie martwiłabym się tą nieczułością. Ale czyż mogę mu pozwolić postąpić tak z wyrachowaniem, chłodno wykonać swoje zamierzenia, dopełnić ceremoniału zaślubin? Czyż mogę przyjąć od niego pierścień ślubny, znosić wszystkie formy miłości (których by niewątpliwie skrupulatnie pilnował) i wiedzieć, że nie ma w tym wcale duszy? Czy mogłabym znieść świadomość, że każda pieszczota, którą by mnie obdarzył, to poświęcenie dla zasady? Nie, takie męczeństwo byłoby potworne. Nie chcę się mu poddać. Jako jego siostra mogłabym mu towarzyszyć, lecz nie jako jego żona. Powiem mu to teraz”.

Obejrzałam się. Saint-John leżał jak przedtem, jak przewrócona kolumna, z twarzą zwróconą ku mnie. Oczy jego błyszczały, baczne i przenikliwe. Wstał i podszedł do mnie.

— Jestem gotowa udać się do Indii, jeżeli mogę udać się tam wolna.

— Twoja odpowiedź — rzekł — jest niewyraźna.

— Byłeś dotychczas moim przybranym bratem, a ja twoją siostrą. Pozostajemy w tym stosunku, lepiej będzie, jeżeli nie zawrzemy małżeństwa.

Potrząsnął głową.

— Przybrane rodzeństwo na nic się tu nie przyda. Gdybyś była moją prawdziwą siostrą, to co innego, zabrałbym cię i nie szukałbym żony. Ale tak, jak jest, albo nasz związek musi być poświęcony i przypieczętowany małżeństwem, albo w ogóle istnieć nie może. Praktyczne względy stoją na przeszkodzie wszelkiemu innemu rozwiązaniu. Czy tego nie rozumiesz, Jane? Zastanów się chwilę, twój zdrowy rozsądek niech ci wskaże drogę.

Zastanowiłam się, ale mój rozum wskazywał mi tylko fakt, że my się nie kochamy tak, jak mąż i żona kochać się powinni, zatem nie powinniśmy się pobierać. Powiedziałam to.

— Saint-John — dodałam — ja cię uważam za brata, ty mnie za siostrę, pozostajemy nimi nadal.

— Nie możemy... Nie możemy — odpowiedział krótko i stanowczo. — Powiedziałaś, że udasz się ze mną do Indii, pamiętaj, żeś to przyrzekła.

— Warunkowo.

— No, dobrze, dobrze. Głównej sprawie, wyjazdowi ze mną z Anglii, współpracy ze mną w przyszłej działalności, nie sprzeciwiasz się. Już tak, jak gdybyś przyłożyła rękę do pługa, zbyt jesteś stała, ażeby ją cofnąć. Teraz powinnaś jeden tylko cel mieć na oku: jak można najlepiej spełnić dzieło, które przedsięwzięłaś. Staraj się uprościć skomplikowane swoje zainteresowania, uczucia, myśli, pragnienia i cele. Zatop wszelkie względy w jednym jedynym zamiarze, w zamiarze spełnienia ze skutkiem, z mocą, misji wielkiego twego Pana. Do tego potrzeba ci pomocnika; nie brata, to luźny węzeł, lecz męża. I ja też nie potrzebuję siostry, siostra mogłaby mi być kiedyś odebrana. Potrzebuję żony, tej jedynej pomocnicy, na którą mogę skutecznie wpływać w życiu i którą mogę bezwzględnie zatrzymać do śmierci.

Zadrzałam, gdy to mówił, czułam, jak wpływ jego przenika mnie aż do szpiku kości.

— Poszukaj żony gdzie indziej, poszukaj odpowiedniejszej.

— Chcesz pewnie powiedzieć: odpowiedniejszej do mojego celu, do mojego powołania. Jeszcze raz ci powtarzam, że to nie dla pozbawionego indywidualności człowieka z egoistycznymi zmysłami szukam towarzyszkę, szukam jej dla misjonarza.

— Więc ja oddam misjonarzowi całą energię i siłę, wszakże on tego tylko potrzebuje, ale nie siebie, byłoby to tylko dodawaniem łupiny do orzecha. Ta mu jest na nic, ja ją zatrzymuję.

— Nie możesz i nie powinnaś. Czy myślisz, że Bóg się zadowoli połową ofiary? Ja w sprawie Boga przemawiam, pod Jego sztandar ciębie zaciągam. Nie mogę przyjąć na rzecz Jego połowicznego poddaństwa, musi być całkowite.

— Ach, ja oddam Bogu serce — odpowiedziałam — które *tobie* jest niepotrzebne!

Żona

Nie przysięgłabym, czy nie było trochę utajonego sarkazmu i w tonie mego zdania, i w uczuciu mu towarzyszącym. Milcząc dotychczas, bałam się Saint-Johna, ponieważ go nie rozumiałam. Z czcią na niego patrzyłam, ponieważ utrzymywał mnie w niepewności. Ile w nim było świętego, ile zwykłego śmiertelnika, do tej pory nie wiedziałam. Ale teraz, w tej rozmowie, wyjaśniało się niejedno, składniki jego natury odsłaniały się w mych oczach. Ujrzałam jego ułomności, zrozumiałam je. Zrozumiałam, że siedząc oto na tej kępcie wrzosów wobec tej pięknej postaci, stojącej przede mną, siedzę u stóp człowieka tak samo błędzącego jak ja. Zasłona opadała, odsłaniając twardość jego i despotyzm. Poczawszy w nim te właściwości, pojęłam jego niedoskonałość i nabrałam odwagi. Byłam wobec równego sobie. Mogłam się z nim spierać i, jeśli bym to uważała za dobre, opierać się nawet.

Saint-John milczał po tym moim ostatnim zdaniu. Odważyłam się spojrzeć nań. Oczy jego, zwrócone ku mnie, miały wyraz surowy, zdziwiony i badawczy, pytając jakby: „Czy ona pozwala sobie na sarkazm i to sarkazm względem mnie? Co to ma znaczyć?”

— Nie zapominajmy, że to sprawa poważna i uroczysta — powiedział po pewnej chwili. — Sprawa, o której nie wolno nam ani myśleć, ani mówić lekkomyślnie, bo byłby to grzech. Ufam, Jane, że ty serio mówiłaś, oświadczając gotowość oddania serca swego Bogu. Mnie tego tylko potrzeba. Jeżeli raz oderwiesz serce od człowieka, a oddasz je Stwórcy, rozszerzanie duchowego królestwa Pana na ziemi będzie twoją główną radością i twoim staraniem. Będziesz od razu gotowa uczynić wszystko, co cel ten może popierać. Zrozumiesz, jakiego bodźca tak twoim, jak moim wysiłkom doda nasz związek dusz i ciał w małżeństwie: jedyny związek, który losom i zamiarom istot ludzkich nadaje charakter trwałej wspólnoty. I pomijając wszelkie mało ważne kaprysy, pospolite trudności i subtelności uczuciowe, wszelkie skrupuły co do stopnia, rodzaju, siły czy czułości, czysto osobistych skłonności, pośpieszysz zawrzeć związek ten od razu.

— Tak sądzisz? — odpowiedziałam krótko.

I popatrzyłam na te rysy, piękne i harmonijne, ale groźne w cichej surowości, na czoło, władcze, ale nie otwarte, na oczy jasne, głębokie i przenikliwe, ale bez promyka łagodności, na wysoką, imponującą postać. I wyobraziłam sobie siebie w myśli, jako *jego żonę*. O! To by nigdy stać się nie mogło! Gdybym mogła być jego wikarym i towarzyszem, wszystko byłoby w porządku. W tej roli przepłynęłabym z nim oceany, pracowałabym w słoneczne upały Wschodu, na azjatyckich pustyniach. Podziwiałabym, konkurując z nim, jego odwagę, ofiarność i męstwo, poddawałabym się spokojnie jego zwierzchnictwu, uśmiechałabym się bez złośliwości, widząc nieuleczalną jego ambicję, odróżniałabym chrześcijanina od człowieka, ceniąc pierwszego, chętnie przebacząc drugiemu. Często cierpiałabym, bez wątpienia, związana z nim tylko w tej roli, ciało moje ciężkie zapewne ugniatałoby jarzmo, ale serce i dusza byłyby swobodne. Żyłoby we mnie moje „ja” niezmrózone — żyłyby moje przyrodzone uczucia, niezduzione niewolą, a ja do nich w godzinach samotności mogłabym uciekać. Miałabym w duszy zakątki wyłącznie swoje własne, do których on by nigdy nie zajrzał, w których osłonie zakwitałyby świeżo uczucia, nigdy jego surowością niemrózone, niedeptane jego miarowym marszem wojownika. Ale jako jego żona — zawsze być przy jego boku, zawsze hamowana, zawsze powstrzymywana, zmuszona tłumić stale żar natury, kazać mu palić się wewnątrz i nigdy nie wydać krzyku, chociażby więziony płomień trawił kolejno wnętrze — nie, *to* byłoby nieznośne.

— Saint-John! — zawołałam, gdy do tego punktu doszłam w rozmyślaniach.

— I cóż? — odpowiedział lodowato.

— Powtarzam, że chętnie zgadzam się pójść z tobą, jako twoja towarzyszką-misjonarką, ale nie jako twoją żoną. Nie mogę cię poślubić i być częścią twoją.

— Musisz się stać częścią moją — odpowiedział uparcie. — Inaczej cała umowa jest na nic. Jakże ja, mężczyzna poniżej trzydziestki, mogę zabierać ze sobą do Indii dziewczynę dziewiętnastoletnią, jeżeli nie jest mi ona poślubiona? Jakże możemy być zawsze razem, niekiedy w samotniach, niekiedy wśród dzikich plemion, nie będąc mężem i żoną?

— Bardzo dobrze — odparłam krótko — w takich okolicznościach równie dobrze, jak gdybym była prawdziwą twoją siostrą albo mężczyzną i duchownym, tak jak ty sam.

Bunt

Małżeństwo

Żona

Obyczaje, Kobieta,
Mężczyzna

— Wiadomo, że siostrą moją nie jesteś, nie mogę cię jako siostrę przedstawić. Czyniąc to, ściągnąłbym na nas oboje ubliżające podejrzenia. A zresztą, chociaż masz tęgi umysł męski, serce masz kobiety.

— Co z tego? — stwierdziłam trochę wzgardliwie. — Mam serce kobiety, ale nie w stosunku do ciebie. Dla ciebie mam tylko lojalność kolegi, towarzysza broni, szczerść, wierność, braterstwo, jeśli chcesz. Mam szacunek i uległość neofity jak dla swego przewodnika i kapłana. Poza tym nic więcej, nie obawiaj się.

— Tego mi potrzeba — rzekł, mówiąc do siebie — tego właśnie mi potrzeba. A przeszkody, które są na drodze, należy usunąć. Jane, ty byś nie pożałowała, gdybyś za mnie wyszła, bądź pewna. My *musimy* się pobrać. Powtarzam to: nie ma innego wyjścia. A niewątpliwie dosyć miłości zrodzi się po ślubie, by nawet w twoich oczach związek ten usprawiedliwić.

— Pogardzam twoim pojmowaniem miłości — powiedziałam, nie mogąc się powstrzymać — pogardzam twym sfalszowanym uczuciem. Tak, Saint-John, i tobą pogardzam, gdy mi je ofiarowujesz.

Utkwił wzrok we mnie, zaciskając wargi. Czy był zagniewany czy zdziwiony, niełatwo było poznać, on tak nadzwyczajnie umiał panować nad wyrazem twarzy...

— Nie spodziewałem się usłyszeć takiego zarzutu z twoich ust — rzekł. — Sądzę, że nie uczyniłem i nie powiedziałem nic takiego, co by zasługiwało na pogardę.

Wzruszyła mnie łagodność jego tonu i wyraz wyniosłego spokoju.

— Wybacz mi te słowa, Saint-John, ale to twoja własna wina, że się uniosłam. Wprowadziłeś temat, co do którego różnimy się zasadniczo, temat, o którym nigdy nie powinniśmy dyskutować. Sam wyraz „miłość” jabłkiem niezgody jest między nami. Gdyby chodziło o nią w rzeczywistości, co byśmy zrobili? Co byśmy czuli? Mój drogi kuzynie, porzuć projekt małżeński, zapomnij o nim!

— Nie — odpowiedział — to dawno powzięty projekt i jedyny, który wielkiemu dziełu mojemu zapewnić może powodzenie, ale ja już obecnie nie będę dłużej na ciebie nalegał. Jutro wyjeżdżam do Cambridge²⁷⁶: mam tam wielu przyjaciół, których pragnąłbym pożegnać. Nieobecność moja potrwa dwa tygodnie, przez ten czas rozważ moją propozycję i nie zapominaj, że jeżeli ją odrzucisz, zaprzecz się nie mnie, ale Boga. Bóg ci przede mną otwiera zawód szlachezny, jedynie jako moja żona możesz objąć to miejsce. Jeżeli odmówisz i nie zechcesz być żoną moją, ograniczysz się na zawsze do ścieżki samolubnej wygody i bezdusznej ciemnicy. Drżj, ażebyś wówczas nie była zaliczona pomiędzy tych, co się zaparli wiary i gorsi są niż niewierni!

Skończył. Odwracając się ode mnie, powiódł jeszcze raz okiem po rzece i wzgórzach... Ale tym razem zamknął uczucia we własnym sercu. Nie byłam godna, by je przede mną wypowiadał. Idąc obok niego ku domowi, czytałam jasno w jego skamieniałym milczeniu, co czuł do mnie: zawód surowej i despotycznej natury, która napotkała opór tam, gdzie liczyła na uległość, naganę chłodnego, nieugiętego sędziego, który odkrył w drugim uczucia i poglądy, jakich podzielać nie mógł. Słowem, jako człowiek byłby pragnął zmusić mnie do posłuszeństwa, a tylko jako szczerzy chrześcijanin znośił tak cierpliwie moją przewrotność i dawał mi tak długi czas do namysłu i do żalu.

Tego wieczora, pocałowawszy siostry, uważał za właściwe zapomnieć nawet ręki mi podać i milcząc wyszedł z pokoju. Chociaż go nie kochałam, miałam wiele przyjaźni dla niego — to rozmyślne pominięcie dotknęło mnie tak bardzo, że łzy stanęły mi w oczach.

— Widzę, że pokłóciliście się z Saint-Johnem podczas przechadzki — rzekła Diana. — Ale idź za nim, Jane. On się teraz zatrzymuje w korytarzu, spodziewając się, że wyjdiesz, on cię przeprosi.

Nie rządę się dumą w takich okolicznościach, wolę mieć pogodę w sercu niż nosić się godnie. Wybiegłam za nim, stał u stóp schodów.

— Dobranoc, Saint-John — rzekłam.

— Dobranoc, Jane — odpowiedział spokojnie.

— Więc podaj mi rękę — dodałam.

Jakimże zimnym, luźnym dotknięciem ujął moje palce! Był głęboko urażony, serdeczność nie mogła go rozgrzać ani łzy nie mogły go wzruszyć. O szczerym pogodzeniu

²⁷⁶ Cambridge — miasto we wsch. Anglii, stolica hrabstwa Cambridgeshire. [przypis edytorski]

się z nim nie było mowy, o ciepłym uśmiechu albo o dobrotliwym słowie. Chrześcijanin jednakże był cierpliwy i pogodny, a gdy go zapytałam, czy mi przebacza, odpowiedział, że nie ma w zwyczaju chować w pamięci urazy, że nie ma nic do przebaczenia, nie będąc obrażonym.

Po czym odszedł do swego pokoju. Wolałabym, żeby mnie uderzył.

ROZDZIAŁ XXXV

Saint-John nie wyjechał nazajutrz do Cambridge, jak to zapowiedział. Opóźnił wyjazd o cały tydzień, a przez ten czas dawał mi odczuć, jaką ostrą karę komuś, kto go obraził, wymierzać potrafi człowiek dobry, ale surowy, sumienny, lecz nieubłagany. Bez jednego otwarcie nieprzyjaznego postępkę, bez jednego słowa nagany dawał mi do zrozumienia, że wypadłam poza obręb promieni jego łaski.

Nie twierdzę, że Saint-John tchnął duchem niechrześcijańskiej mściwości, że gdyby był mógł, uczyniłby mi choć najlżejszą krzywdę. I z natury, i w myśl zasad wyższy był ponad marne zadowolenie zemsty. Przebaczył mi powiedzenie, że pogardzam nim i jego miłością, ale nie zapomniał tych słów — i póki życia, nie miał ich nigdy zapomnieć.

Nie powstrzymywał się od rozmowy ze mną, wzywał mnie nawet jak zwykle każdego ranka do wspólnej pracy. Podejrzewam jednak, że grzeszny człowiek w nim — bez udziału czystego chrześcijanina — znajdował przyjemność, choć mówił i działał na pozór jak zwykle, w usuwaniu z każdego słowa, z każdego gestu, tego życzliwego zainteresowania i uznania, które przedtem mowie jego i obejściu dodawało poważnego uroku. Wobec mnie w istocie przestał już być człowiekiem z krwi i kości, stał się posągami z kamienia. Jego oko jego było zimnym, świecącym, niebieskim klejnotem, język — mówiącą maszyną, niczym więcej.

Wszystko to było dla mnie torturą — wyrafinowaną, powolną torturą. Podtrzymywało we mnie tłumiony żar oburzenia i gryzący smutek, to wszystko trapiło mnie i wyczerpywało. Czułam, jak ten dobry człowiek, czysty jak woda w zacienionym źródle, gdybym była żoną jego, mógłby mnie zabić wkrótce, bez dobytka jednej kropli krwi z moich żył, bez wzięcia na kryształowe sumienie najlżejszego cienia zbrodni. Czułam to zwłaszcza, gdy niekiedy próbowałam go przejednać. Moja dobra wola nie napotykała dobrej woli u niego. On nie cierpiał nad tym oddaleniem, nie tęsknił do zgody. A chociaż nie jeden raz stronicę, nad którą schylaliśmy się oboje, skrapiały lzy moje, nie wywierały one na nim wrażenia, jak gdyby serce jego naprawdę było z kamienia albo z metalu. Równocześnie, w stosunku do siostr, był trochę cieplejszy niż zwykle. Jakby w obawie, że sam chłód nie przekona mnie dostatecznie, iż jestem zupełnie wygnana i wyklęta, dodawał dla podkreślenia tego siłą kontrastu. A czynił to, jestem przekonana, nie przez złośliwość, ale z zasady.

W przeddzień jego wyjazdu, zobaczywszy go przypadkiem przy zachodzie słońca w ogródku, wspomniawszy, że ten człowiek, choć tak obcy mi dzisiaj, ocalił mi przecież życie, wspomniawszy, że jesteśmy bliskimi krewnymi, poczułam chęć uczynienia ostatniej próby odzyskania jego przyjaźni. Wyszłam i zbliżyłam się doń, gdy stał oparty o furtekę ogrodową. Rzekałam bez wstępu:

— Saint-John, bardzo mnie martwi, że wciąż gniewasz się na mnie. Bądźmy przyjaciółmi!

— Ja sądzę, że jesteśmy przyjaciółmi — odpowiedział niewzruszony, nie przestając patrzeć na wschodzący księżyc.

— Nie, Saint-John, nie jesteśmy przyjaciółmi tak jak pierwej. Ty sam wiesz.

— Nie jesteśmy? To źle. Ja nic złego ci nie życzę, życzę ci tylko dobrze.

— Wierzę, Saint-John, gdyż jestem pewna, że ty byś nie potrafił życzyć źle nikomu. Ponieważ jednak jestem twoją krewną, pragnęłabym znaleźć u ciebie trochę więcej przywiązania niż tylko ten rodzaj ogólnej miłości bliźniego, jaką obejmujesz ludzi zupełnie obcych.

— Oczywiście — odpowiedział. — Twoje życzenie jest rozumne, a ja jestem daleki od uważania cię za kogoś obcego.

Te słowa, wypowiedziane chłodno i spokojnie, dostatecznie przykryły zawierają odprawę. Gdybym posłuchała podszeptów dumy i gniewu, byłabym go natychmiast opuściła,

Cierpienie, Smutek

jednakże w duszy mojej przemawiało coś silniej niż te uczucia. Miałam głęboką cześć dla zasad i uzdolnień mojego kuzyna. Przyjaźń jego miała dla mnie wartość, a jej utrata była dla mnie bolesnym ciosem. Nie chciałam tak prędko porzucać próby jej odzyskania.

— Czy my musimy rozstać się w ten sposób? Kiedy się udasz do Indii, pożegnasz mnie tak jak dziś, bez życzliwego słowa?

Teraz odwrócił się od księżycy i spojrzał wprost na mnie.

— Gdy ja się udam do Indii, Jane, mamże ja ciebie pożegnać? Jak to! To ty nie zamierzasz się udać do Indii?

— Powiedziałeś, że nie mogę, o ile nie zostanę twoją żoną.

— A ty nie chcesz zostać moją żoną? Trwasz w tym postanowieniu?

— Nie, Saint-John, ja nie będę twoją żoną. Trwam w tym postanowieniu.

— Jeszcze raz zapytuję, dlaczego ta odmowa? — rzekł.

— Przedtem powiedziałam, że dlatego, ponieważ mnie nie kochasz. Teraz odpowiem, iż dlatego, że mnie prawie nienawidzisz. Gdybym była twoją żoną, zabiłbyś mnie. Ty mnie teraz zabijasz.

Wargi jego i policzki zbladły, zupełnie zbieleły.

— Ja bym ciebie zabił, ja ciebie zabijam? Słów takich nie wolno używać: są gwałtowne, niekobiece i nieprawdziwe. Świadczą o niefortunnym stanie duszy, godne są surowej nagany, byłyby nie do przebaczenia, gdyby nie to, że mamy obowiązek przebaczać bliźniemu do siedemdziesięciu siedmiu razy.

Taki więc był cały wynik. Gorąco pragnąc wymazać mu z duszy ślady poprzedniej obrazy, wycisnęłam na tej wrażliwej powierzchni piętno nowej, wypaliłam je gorącym żelazem.

— Teraz ty mnie naprawdę będziesz nienawidził — powiedziałam. — Daremnie usiłowałabym cię przebłagać. Widzę, że raz na zawsze zrobiłam sobie wroga.

Świeżą ranę zadały te słowa — tym głębszą, że dotknęły prawdy. Pobladłe wargi drgnęły chwilowym skurczem. Poznałam, jaki stalowy gniew wyostrzyłam. Serce się we mnie krajało.

— Najzupełniej fałszywie tłumaczysz moje słowa — przemówiłam, chwytając jego rękę. — Nie miałam zamiaru ani cię dotknąć, ani ci przykrości sprawić... Doprawdy nie miałam zamiaru!

Gorzko zaiste się uśmiechnął, szybko i stanowczo wysunął rękę z mojej.

— A teraz, przypuszczam, odwołujesz w ogóle obietnicę udania się do Indii? — przemówił po dość długiej pauzie.

— Owszem, udam się tam jako twoja pomocnica — odpowiedziałam.

Nastąpiło bardzo długie milczenie. Jaka tam w tej przerwie toczyła się walka w jego duszy pomiędzy naturą ludzką a Łaską, tego nie wiem. Wiem tylko, że dziwne błyski migotały mu w oczach i dziwne cienie przelatywały po twarzy. W końcu przemówił:

— Już ci przedtem dowiodłem, jaki to nonsens, by niezamężna kobieta w twoim wieku chciała towarzyszyć za granicę niezonatemu, młodemu mężczyźnie. Wykazałem ci to w taki sposób, że, sądziłbym, powinno by cię to powstrzymać od powracania do tego pomysłu. Żałuję, żeś to uczyniła, ze względu na ciebie...

Przerwałam mu. Namacalna wymówka dodała mi od razu odwagi.

— Bądźże rozsądny, Saint-John, zaczynasz mówić od rzeczy. Udajesz, że cię razi to, co powiedziałam. Ciebie to naprawdę nie razi, gdyż przy twojej wyższości umysłowej nie możesz być ani tak tępy, ani tak zarozumiały, ażeby źle zrozumieć, co ja mam na myśli. Jeszcze raz powiem: będę twoim „wikarym”, jeżeli chcesz, ale nigdy nie będę twoją żoną.

Znowu pobladł, aż posiniał, ale tak jak przedtem doskonale opanował wzburzenie. Odpowiedział z naciskiem, chociaż spokojnie:

— Kobiety wikary, nie będący moją żoną, nie odpowiadały mi wcale. Ze mną zatem, jak się zdaje, nie możesz pojechać. Jeżeli jednak szczerze się ofiarowujesz, pomówię, będąc w mieście z misjonarzem, którego żona potrzebuje pomocnicy. Twój własny majątek uniezależni cię od pomocy towarzystwa i w ten sposób może ci jeszcze być oszczędzony dyshonor złamania obietnicy i dezercji z szeregu, do którego zobowiązałaś się należeć.

Ale ja nigdy nie związałam się formalną obietnicą ani zobowiązaniem, toteż mowa Saint-Johna tym razem była nazbyt twarda i despotyczna.

— Tu nie ma dyshonoru — odpowiedziałam — nie ma niedotrzymania obietnicy ani dezercji w tym wypadku. Nie jestem absolutnie niczym zobowiązana, by jechać do Indii, zwłaszcza z obcymi. Z tobą gotowa bym była się narazić, ponieważ cię podziwiam, ufam ci i jako siostra cię kocham, lecz jestem przekonana, że kiedykolwiek i z kimkolwiek bym pojechała, nie żyłabym długo w tamtym klimacie.

— Ach! Więc się boisz o siebie! — rzekł, ironicznie wykrzywiając wargi.

— To prawda. Bóg nie po to dał mi życie, ażebym je zmarnowała. A uczynić to, czego ty chcesz ode mnie, równałoby się, zaczynam sądzić, popełnieniu samobójstwa. Poza tym, zanim bym ostatecznie postanowiła opuścić Anglię, chcę się najpierw upewnić, czy nie mogę stać się bardziej pożyteczna, pozostając w kraju, niż porzucając ojczyznę.

— Co przez to rozumiesz?

— Daremną byłoby rzeczą ci to tłumaczyć. Jest jednakże sprawa, co do której od dawna dręczą mnie przykre wątpliwości, tak że nigdzie udać bym się nie mogła, dopóki bym ich jakimś sposobem nie usunęła.

— Wiem, do czego serce twoje ciągnie i do czego lgnie. Uczucie, które hodujesz, jest nieprawe i nieuświęcone. Od dawna powinnaś je była stłumić, a teraz powinnaś się rumienić, że o nim wspominasz. Masz na myśli pana Rochesterą?

Milczenie moje było wyznaniem prawdy.

— Czy chcesz odszukać pana Rochesterą?

— Muszę się dowiedzieć, co się z nim stało.

— Pozostaje mi więc tylko pamiętać o tobie w moich modlitwach i jak najusilniej błagać Boga za tobą, byś się istotnie nie stała jedną z odrzuconych. Zdawało mi się, że rozpoznałem w tobie jedną z wybranych. Ale Bóg widzi inaczej, a człowiek inaczej. *Jego* wola niech się stanie.

Otworzył furtkę i ruszył w stronę wozu. Niebawem zniknął mi z oczu.

Po powrocie do bawialni zastałam Dianę, stojącą przy oknie i bardzo zamyśloną. Była o wiele wyższa ode mnie, oparła mi rękę na ramieniu i nachyliwszy się, popatrzyła mi w twarz.

— Jane — powiedziała — wciąż ostatnio bywasz wzburzona i błada. Jestem pewna, że coś w tym jest. Powiedz mi, co tam knujecie z Saint-Johnem? Przyglądałam wam się teraz przez pół godziny. Przebac mi, że byłam takim szpiegiem, ale już od dawna wyobrażam sobie Bóg wie co. Saint-John to dziwny człowiek...

Przerwała, ja milczałam, niebawem zaczęła mówić dalej:

— Ten mój brat, jestem pewna, musi mieć jakieś szczególne zamiary względem ciebie. Od dawna wyróżnia cię, zwraca na ciebie uwagę i interesuje się tobą jak dotąd jeszcze nikim. W jakim celu? Chciałabym, żeby cię kochał. Czy on ciebie kocha, Jane?

Przyłożyłam chłodną jej dłoń do mego rozpalonego czoła.

— Nie, Diano, ani odrobinę.

— Więc dlaczego tak wodzi za tobą oczami i tak często zostaje sam na sam z tobą, i tak cię ciągle trzyma przy swoim boku? Mary i ja obie wywnioskowałyśmy, że pragnęłyby, ażebyś ty za niego wyszła.

— Istotnie prosił mnie, bym została jego żoną.

Diana klasnęła w ręce.

— Tego się właśnie spodziewałyśmy i o tym myślałyśmy. Więc wyjdiesz za niego, Jane, nieprawdaż? A wtedy on pozostanie w Anglii.

— Nic podobnego, Diano. Saint-John dlatego jedynie czyni mi tę propozycję, że chciałby zyskać odpowiednią współpracownicę w trudach misjonarskich.

— Jak to! Chciałby cię zabrać do Indii?

— A właśnie.

— Szaleństwo! — zawołała. — Jestem pewna, że nie wyżyłabyś tam dłużej niż trzy miesiące. Nie, nie pojedziesz tam. Przecież się chyba nie zgodziłaś?

— Powiedziałam mu, że nie chcę być jego żoną.

— I tym go zapewne dotknęłaś? — podsunęła.

— Głęboko. Obawiam się, że on nigdy mi nie przebaczy, jednakże ofiarowałam się towarzyszyć mu jako jego siostra.

— Popeliłaś kapitalne głupstwo. Pomyśl, jakiego podjął się zadania: bezustannego trudu tam, gdzie nawet silnych trud zabija, a ty jesteś słaba. Saint-John, ty go znasz,

wymagałby od ciebie niemożliwości. On by ci nie pozwalał na odpoczynek mimo nieznośnych upałów, a zauważyłam niestety, że czego on od ciebie zażąda, ty się silisz spełnić. Dziwię się, że zdobyłaś się na odwagę odmówienia mu ręki. Czy go nie kochasz, Jane?

— Jako męża nie.

— A jednak to taki piękny mężczyzna.

— A ja taka brzydka. Widzisz, Diano, nie byłibyśmy dobrani.

— Ty, brzydka? Wcale nie. Jesteś zbyt ładna i dobra, by się dać żywcom usmażyć w Kalkucie²⁷⁷.

I znowu zaczęła mnie poważnie zaklinać, bym porzuciła wszelką myśl wyruszenia z jej bratem.

— Będę musiała, istotnie, porzucić tę myśl — odpowiedziałam — bo gdy przed chwilą powtórzyłam, że gotowa jestem służyć mu za wikarego, okazał się zgorszony moją nieprzyzwoitością. Dał mi do zrozumienia, że uważa, iż postąpiłam niewłaściwie, ofiarując się towarzyszyć mu niezamężna, tak jak gdybym od początku nie spodziewała się znaleźć w nim brata i jakbym go za brata nie uważała.

— Dlaczego mówisz, Jane, że on ciebie nie kocha?

— Chciałabym, żebyś słyszała, co on sam o tym mówi. Wiele razy mi tłumaczył, że nie dla siebie, ale dla swojego zawodu szuka towarzyszkę. Powiedział mi, że jestem stworzona do pracy, nie do miłości. Co zresztą jest zapewne prawdą. Tylko że moim zdaniem, jeżeli nie jestem stworzona do miłości, to wynika z tego, że nie jestem stworzona do małżeństwa. Czy nie byłoby to dziwne, Diano, być na całe życie przykutą do człowieka, który by widział we mnie jedynie pożyteczne narzędzie?

— Byłoby to nienaturalne i niezdrowe, mowy o tym być nie może!

— A przy tym — ciągnęłam dalej — chociaż teraz mam dla niego tylko siostrzane uczucie, to jednak mogę sobie wyobrazić, że mogłabym, będąc zmuszona być jego żoną, powziąć ku niemu rodzaj miłości dziwnej, nieuchronnej i dręczącej, ponieważ on jest takim niezwykłym człowiekiem. W takim razie los mój stałby się niewypowiedzianie ciężki. On by wcale nie pragnął, bym ja go kochała, a gdybym okazywała uczucie, dałby mi do zrozumienia, że to rzecz zbyteczna, jemu niepotrzebna, we mnie niewłaściwa. Ja wiem, że on tak by postępował.

— A jednak Saint-John to dobry człowiek — rzekła Diana.

— On jest dobry i wielki, tylko, sam do wielkich celów zdążając, bezlitośnie zapomina o uczuciach i prawach ludzi małych. Toteż lepiej, by ci nikli, niż nieznaczący schodzili mu z drogi, ażeby ich w rozpędzie nie zdeptał. Ale otóż wraca! Pożegnaj cię, Diano.

I pośpieszyłam na górę, widząc, że Saint-John wchodzi do ogródka.

Musiałam się jednak spotkać z nim jeszcze przy kolacji. Wydawał się równie spokojny i zrównoważony jak zawsze. Myślałam, że nie zechce mówić do mnie i pewna byłam, że z projektem małżeńskim dał już za wygraną. Ale w obu przypuszczeniach omyliłam się. Zwracał się do mnie tak jak zawsze, tak jak zawsze przynajmniej w ostatnim czasie, z wyszukaną grzecznością. Wezwał niewątpliwie pomocy Ducha Świętego do opanowania gniewu, który w nim wzniciłam, a teraz wierzył w swoje przebaczenie.

Na czytanie wieczorne przed modlitwami wybrał dwudziesty pierwszy rozdział Objawienia. Zawsze było miło słuchać, gdy z ust jego padały słowa *Biblii*, nigdy jego piękny głos nie brzmiał tak słodko i pełno, nigdy szlachetna prostota jego zachowania nie sprawiała takiego wrażenia, jak gdy wygłaszał wyroki Boże. Dzisiaj głos ten przybrał ton jeszcze bardziej uroczysty. Saint-John, siedząc pośrodku rodzinnego kółka (majowy księżyc świecił przez niezastłonięte okna), pochylony nad wielką, starą księgą, odczytywał z kart jej wizje nowego nieba i nowej ziemi — obwieszczał, jak Bóg przyjdzie zamieszkać między ludźmi, obetrze łzy z ich oczu, zapowie, że już nie będzie ani śmierci, ani smutku, ani łez, ani bólu, gdyż wszystko, co było, minęło.

Następujące słowa dziwnie mnie przejęły, zwłaszcza gdy poznałam po lekkiej, nieokreślonej zmianie głosu, że wymawiając je zwrócił wzrok na mnie:

„Zwycięzca to odziedziczy i będę Bogiem dla niego, a on dla mnie będzie synem. A dla tchórzów, niewiernych, obmierzłych, zabójców, rozpustników, guślarzy, bałwo-

²⁷⁷Kalkuta — miasto w Indiach, stolica stanu Bengal Zachodni. [przypis edytorski]

chwalców i wszelkich kłamców: udział w jeziorze gorejącym ogniem i siarką. To jest śmierć druga²⁷⁸.

Odtąd wiedziałam, jakiego losu Saint-John się dla mnie obawiał. Spokojny, opanowany triumf, zaprawiony tęskną powagą, brzmiał w zapowiedzi ostatnich wspaniałych wierszy tego rozdziału. Czytający wierzył, że imię jego już jest zapisane w księdze żywota Baranka, i tęsknił do tej godziny, która go wpuści do tej stolicy, do której królowie ziemi wnoszą chwałę swoją i zaszczyty, która nie potrzebuje słońca ani księżyca, gdyż chwała Boża ją oświecła, a Baranek jest jej jasnością.

W modlitwie po odczytaniu tego rozdziału skupiła się cała energia Saint-Johna. Słuchając tej modlitwy, zrazu jej się dziwiłam. Gdy trwała dalej i rosła w siłę, zaczęła mnie wzruszać, w końcu napełniła mnie czcią. On tak szczerze czuł wielkość i dobroć swego zamierzenia. Ci, co słuchali, jak się modlił o powodzenie, również je musieli odczuwać.

Po skończonej modlitwie pożegnaliśmy się z Saint-Johnem, miał wyjechać nazajutrz rano bardzo wcześnie. Diana i Mary, ucałowawszy go, wyszły z pokoju, stosując się, zdaje mi się, do podszeptanego przez Saint-Johna życzenia. Ja podałam mu rękę i życzyłam dobrej drogi.

— Dziękuję ci, Jane. Jak powiedziałem, powrócę z Cambridge za dwa tygodnie, ten okres zatem pozostaje ci jeszcze do namysłu. Gdybym słuchał głosu dumy, już ani słowem nie wspomniabym o małżeństwie z tobą. Ale ja słucham głosu obowiązku i stale mam na oku główny mój cel: czynić wszystko dla chwały Boga. Pan mój był cierpliwy i ja cierpliwy będę. Nie mogę wydać cię na zgubę jak naczynie gniewu; żałuj, postanawiaj, póki czas jeszcze. Pamiętaj, że nakazano nam pracować, póki dzień, że ostrzeżono nas, iż „Nadchodzi noc, kiedy nikt nie będzie mógł działać”²⁷⁹. Pamiętaj o losie bogacza, który za życia dostąpił wszystkiego co dobre. Niech Bóg ci da siłę, ażebyś wybrała tę lepszą cząstkę, która ci odebrana nie będzie!

Wymawiając te ostatnie słowa, położył mi rękę na głowie. Mówił poważnie, łagodnie. Spojrzenie jego nie było, to prawda, spojrzeniem kochanka patrzącego na ukochaną, ale spojrzeniem pasterza odwołującego zbłąkaną owieczkę albo raczej anioła stróża strzegącego duszy, za którą jest odpowiedzialny. Wszyscy ludzie wybitni, czy są uczuciowi czy nie, czy są zapaleńcami, idealistami lub despotami, o ile tylko są szczerzy, mają swoje chwile wzniosłości, a wtedy podbijają i panują. Poczułam uwielbienie i cześć dla Saint-Johna, cześć tak silną, że poryw jej poniósł mnie od razu tam, dokąd dotrzeć wzbraniałam się tak długo. Wzięła mnie pokusa zaprzestać z nim walki, rzucić się w strumień jego woli i jego istnienia i tam zatracić własny byt. Czułam, że nieomal tak zniewala mnie on teraz, jak niegdyś, w odmienny sposób opanowywał mnie inny. Byłam szalona — tak wtedy, jak w tej chwili. Ustąpić wtedy byłoby występkiem przeciw zasadom, ustąpić teraz — występkiem przeciw rozumowi. Tak to widzę obecnie, gdy patrzę wstecz po upływie czasu. W owej chwili nie uświadamiałam sobie, że to szaleństwo.

Stałam bez ruchu pod dotknięciem ręki Saint-Johna jak pod dotknięciem wtajemniczającego mnie kapłana. Dotychczasowe odmowy były zapomniane, lęki przewyżnione, zmaganie się spętane bezwładem... To, co niemożliwe — moje małżeństwo z Saint-Johnem — szybko stawało się możliwością. Wszystko zmieniało się z gruntu nagłym przewrotem. Religia wołała, anieli wzywali, Bóg rozkazywał. Życie zwijało się jak kartka papieru, otwierały się bramy śmierci ukazując wieczność — zdawało się, że za bezpieczeństwo tam i szczęśliwość wszystko, co tutaj, można było poświęcić w jednym momencie. Ciemny pokój pełen był wizji...

— Czy mogłabyś się teraz zdecydować? — zapytał misjonarz.

Pytanie zadał tonem łagodnym, przyciągnął mnie ku sobie równie łagodnie. Och, ta łagodność! O ileż ona potężniejsza jest od siły! Mogłam się oprzeć gniewowi Saint-Johna, ale stawałam się giętka jak trzcina pod wpływem jego dobroci. Pomimo to wiedziałam przez cały ten czas, że nawet jeżeli ustąpię teraz, tym niemniej każe mi on kiedyś pożałować moich poprzednich buntów. Natury jego nie zmieniła jedna godzina uroczystej modlitwy, dodała jej tylko wzniosłości.

²⁷⁸Zwycięzca to odziedziczy i będę Bogiem dla niego, a on dla mnie będzie synem. A dla tchórzów, niewiernych, obmierzłych, zabójców, rozpustników, guślarzy, batwochwalców i wszelkich kłamców: udział w jeziorze gorejącym ogniem i siarką. To jest śmierć druga — Ap 21, 7-8 (cytat za Biblią Tysiąclecia). [przypis edytorski]

²⁷⁹Nadchodzi noc, kiedy nikt nie będzie mógł działać — J 9, 4 (cytat za Biblią Tysiąclecia). [przypis edytorski]

— Mogłabym się zdecydować, gdybym tylko była pewna — odpowiedziałam. — Gdybym tylko była przekonana, że Bóg tego chce, bym za ciebie wyszła, mogłabym zaraz tutaj przyrzec, że zostanę twoją żoną... Niech by potem, co chce, było!

— Moje modlitwy zostały wysłuchane! — zawołał Saint-John.

Przycisnął silniej ręką moją głowę, jak gdyby brał mnie na własność, otoczył mnie ramieniem, *prawie* jakby mnie kochał (mówię *prawie* — znałam różnicę, gdyż czułam, co to jest być kochaną, ale tak jak on wyrzuciłam miłość poza nawias i miałam na myśli tylko obowiązek). Zmagałam się teraz z niejasnością wewnętrznego widzenia, które wciąż jeszcze przesłaniały chmury. Szczerze, głęboko, gorąco pragnęłam uczynić to, co było słuszne, i to tylko, i jedynie. „Pokaż, pokaż mi drogę, o Panie!” modliłam się w duszy. Byłam tak podniecona jak jeszcze nigdy.

W całym domu panowała cisza, gdyż sądzę, że już wszyscy wtedy, z wyjątkiem Saint-Johna i mnie, udali się byli na spoczynek. Jedyna świeca dogasała, pokój zalewała poświata księżycy. Serce moje biło silnie i szybko, słyszałam jego uderzenia. Nagle stanęło, a jakieś nieopisane uczucie przejęło je na wskroś, przebiegając równocześnie do głowy i kończyn. To uczucie nie było podobne do prądu elektrycznego, ale było równie silne, równie dziwne, równie niepokojące. Podziało na moje zmysły w ten sposób, że najwyższa ich dotychczasowa aktywność wydawała się tylko bezwładem, z którego teraz budziły się wyostrzone. Oko i ucho nateęzały się w oczekiwaniu, podczas gdy całym ciałem wstrząsał dreszcz.

— Coś usłyszała? Co widzisz? — zapytał Saint-John.

Ja nic nie widziałam, ale usłyszałam gdzieś głos wołający:

— Jane! Jane! Jane!

I więcej nic.

— O Boże! Co to jest? — wykrztusiłam.

Mogłam była zapytać: „Gdzie to jest?”, gdyż wołanie nie wychodziło z pokoju ani z domu, ani z ogrodu. Nie płynęło z powietrza ani spod ziemi, ani z góry. Usłyszałam je, ale gdzie i skąd, nie sposób było wiedzieć. A był to głos ludzkiej istoty — znany, kochany, dobrze pamiętany głos Edwarda Fairfaksa Rochester. Mówił z bólem i żalem, dziwnie tęskno i natarczywie.

— Przychodzę! — odrzyknęłam. — Czekaj na mnie! O, przyjdę!

Skoczyłam ku drzwiom i wyrzalam na korytarz — był ciemny. Wybiegłam do ogrodu — był pusty.

— Gdzie jesteś? — zawołałam.

Wzgórki poza wąwozem odrzuciły słabym echem: „Gdzie jesteś?”. Nasłuchiwałam. Wiatr szeleścił cicho wśród świerków, wokół rozpościerała się pustka i stała cisza północna.

„Precz z zabobonną trwogą! — pomyślałam, gdyż czarny cis obok furtki wydał mi się ciemną postacią. — To nie szatańska złuda, to nie czary, to dzieło natury. Natura pobudzona nie cud działała, lecz najlepsze dzieło”.

Wyrwałam się Saint-Johnowi, który szedł za mną i chciał mnie zatrzymać. Teraz na *mnie* przyszła kolej wziąć górę. Oświadczyłam mu, że ma powstrzymać pytania i uwagi. Prosiłam, żeby mnie opuścił, gdyż chcę i muszę być sama. Usłuchał od razu. Kto ma energię, żeby dobrze rozkazywać, znajdzie zawsze posłuch niezawodny. Poszłam do swego pokoju, zamknęłam się tam, padłam na kolana i modliłam się po swojemu, nie tak jak Saint-John, ale skutecznie. Zdawało mi się, że przenikam bardzo blisko potężnego Ducha, dusza moja z wdzięcznością padła Mu do stóp. Wstałam po tej dziękczynnej modlitwie, uczyniłam postanowienie i położyłam się uspokojona, z duszą rozjaśnioną, pragnąc tylko, by dzień nastął prędko.

ROZDZIAŁ XXXVI

Zajaśniał dzień. Wstałam o świcie. Krzątałam się ze dwie godziny, układając rzeczy w pokoju, w komodach, w szafie tak, jak pragnęłam je pozostawić na przeciąg niedługiej nieobecności. Wtem usłyszałam, że Saint-John wychodzi ze swego pokoju. Zatrzymał się pod moimi drzwiami. Lękałam się, że zapuka, ale nie — tylko kawałek papieru podsunął pod drzwi. Podniosłam go i przeczytałam te słowa:

Miłość, Duch

Siła

„Zbyt nagle opuściłaś mnie wczoraj wieczorem. Gdybyś była chwilę dłużej pozostała, byłabyś położyła rękę na krzyżu chrześcijanina i na anielskiej koronie. Będę oczekiwał wyraźnej od ciebie odpowiedzi, gdy powrócę za dwa tygodnie. Tymczasem módl się i czuwaj, ażebyś nie uległa pokusie. Ufam, że duch jest silny, ale ciało, jak widzę, jest mdłe. Będę się modlił za ciebie w każdej godzinie. Twój Saint-John”.

„Duch mój — odpowiedziałam w myśli — gotów jest uczynić, co słuszne. A ciało moje, mam nadzieję, dosyć jest silne, by spełnić wolę Nieba, gdy raz tę wolę dokładnie rozpozna. W każdym razie dosyć będzie silne, by szukać wyjścia z tej chmury wątpliwości i znaleźć jasną pewność”.

Działo się to pierwszego czerwca. Ranek był chmurny i chłodny, deszcz bębnił w szyby mojego okna. Słyszałam, że otwierają się drzwi frontowe i że Saint-John wychodzi. Spojrzawszy przez okno, zobaczyłam go idącego przez ogród i kroczącego poprzez zamglone wrzosowiska drogą w kierunku Whiteross — tam miał wsiąść do dylizansu.

„Za kilka godzin i ja pójdę w ślad za tobą, kuzynie — pomyślałam — i ja mam złapać dylizans w Whiteross. I ja mam kogoś, kogo chciałabym zobaczyć, o kim chciałabym się czegoś dowiedzieć, zanim wyjadę z kraju na zawsze”.

Dwóch godzin jeszcze brakowało do śniadania. Chodziłam cicho po pokoju, rozważając zajście, które moim planom nadało obecny kierunek. Przypominałam sobie to wewnętrzne wrażenie, jakiego doświadczyłam, gdyż mogłam to sobie przypomnieć, choć było tak niewypowiedziane dziwne. Przypominałam sobie głos, który usłyszałam. Znów zadawałam sobie pytanie, skąd płynął, i znów daremnie. Zdawało mi się, że usłyszałam go w sobie, nie zaś z zewnątrz... Zadawałam sobie pytanie, czy to nie było po prostu wrażenie nerwowe albo złudzenie. Nie mogłam tego pojąć ani w to uwierzyć, było to raczej podobne do natchnienia. Przedziwny wstrząs czucia przyszedł jak trzęsienie ziemi i zachwiał fundamentami więzienia, otworzył drzwi do celi duszy i zdjął z niej więzy, zbudził ją ze snu, a ona zerwała się drżąca, nasłuchująca, przerażona. Wtedy zabrzmiało po trzykroć wołanie odzywające się w zdumionym uchu, w sercu, w duchu — i duch ten bez trwogi i bez drżenia radował się, jak gdyby w uniesieniu, że dane mu było uczynić skuteczny wysiłek, niezależnie od grubej cielesnej powłoki.

„Zanim minie kilka dni — mówiłam, kończąc dumania — będę coś wiedziała o tym, którego głos zdawał się mnie wzywać. Listy były bezskuteczne, zastąpię je osobistym dochodzeniem”.

Przy śniadaniu oznajmiłam Dianie i Mary, że udaję się w podróż i będę co najmniej cztery dni nieobecna.

— Sama jedziesz, Jane? — zapytały.

— Tak, a to, żeby zobaczyć... Albo zasięgnąć wiadomości o przyjacielu, o którego od pewnego czasu jestem niespokojna.

Mogły mi były powiedzieć — co niewątpliwie pomyślały — że sądziły, iż nie mam innych przyjaciół prócz nich, gdyż przecież często to mówiłam. Z wrodzonej jednak delikatności powstrzymały się od wszelkich uwag. Diana jedynie zapytała, czy czuję się dość dobrze, by móc się puszcząć w drogę. Zauważyła, że jestem bardzo błada. Odpowiedziałam jej, że nic mi nie dolega, oprócz niepokoju, a ten mam nadzieję wkrótce zażegnać.

Opuściłam Moor House o trzeciej po południu, a zaraz po czwartej stanęłam w Whiteross, czekając tam nadejścia dylizansu. W ciszy tych pustych dróg i samotnych wzgórz już z daleka usłyszałam, że nadjeżdża. Był to ten sam dylizans, z którego rok temu wysiadłam pewnego letniego wieczora w tym samym miejscu — jakże zrozpaczona, bez nadziei, bez celu przed sobą! Na dany znak dylizans się zatrzymał. Wsiadłam, już teraz nie potrzebując wszystkim, co posiadałam, opłacać jazdy. W drodze do Thornfield poczułam się niby gołąb pocztowy powracający do domu.

Była to podróż trwająca trzydzieści sześć godzin. Wyruszyłam z Whiteross we wtorek po południu, a wcześniej rano w czwartek dylizans stanął, by napoić konie przed przydrożną gospodą. Wznosiła się ona w otoczeniu, którego zielone płoty, szerokie pola i pastwiska na niskich pagórkach (jakże łagodnych zarysem i zielenią barwy w porównaniu do surowych wzgórz północno-środkowego kraju w Morton!) powitały mnie jak rysy

dobrze niegdyś znajomej twarzy. Tak, znałam charakter tego krajobrazu, byłam pewna, że jestem blisko celu.

— Jak daleko stąd do Thornfield Hall? — zapytałam stajennego.

— Idąc polami, okrągle dwie milki, proszę pani.

„Więc to już koniec mojej podróży” — pomyślałam.

Wysiadłam, oddałam kuferek pod opiekę stajennego i zamierzałam dalej iść pieszo. Rozjaśniający się dzień oświecił znak gospody „Pod godłem Rochesterów”. Serce zabiło we mnie głośno — więc jestem już na ziemi mojego pana! I znowu serce stanęło, ścisnęła je myśl:

„On sam, twój pan, może znajduje się po drugiej stronie Kanału²⁸⁰, skąd możesz wiedzieć? A zresztą, jeśli jest w Thornfield Hall, dokąd ty śpieszysz, kto jest tam przy nim? Wariatka, jego żona. I ty z nim nie masz nic wspólnego, nie śmiesz mówić do niego ani szukać jego obecności. Daremnie się trudziłaś, lepiej nie zapuszczaj się dalej. Rozpytaj ludzi w gospodzie, oni ci powiedzą, co potrzeba, oni twoje wątpliwości od razu rozproszą. Idź do tego tam człowieka i zapytaj, czy pan Rochester jest w domu”.

Myśl była rozsądna, a jednak nie mogłam się przymusić, aby jej posłuchać. Tak się obawiałam odpowiedzi, która by mnie zdruzgotała rozpaczą... Przedłużać wątpliwość to znaczyło przedłużać nadzieję. Pragnęłam choćby zobaczyć raz jeszcze znajome ściany... Oto był przede mną przełaz, tu były te same pola, przez które biegłam, oślepla, głucha, oszalała, gnana przez mściwą furję, ścigającą mnie owego ranka, gdy uciekałam z Thornfield. Zanim sama wiedziałam, co postanowiłam, już byłam prawie w połowie drogi. Jakże ja prędko zdążyłam! Jak biegłam chwilami! Jak wyteżałam wzrok, by dojrzeć pierwszy zarys dobrze znanych lasków! Z jakim uczuciem witałam pojedyncze znajome drzewa, przebłyki łąk i wzgórz pomiędzy nimi!

Na koniec ukazały się laski, wronie gniazda zaczęły się gęsto, głośno krakanie przeważało poranną ciszę. Ogarnęła mnie przedziwna szczęśliwość, śpieszyłam naprzód. Jeszcze jedno pole, jeszcze jedna droga, a oto mury podwórza, tylne zabudowania i drzewa z wronimi gniazdami jeszcze mi zasłaniają sam dwór. „Naprzód rzucić muszę okiem na dom z frontu, bo tam blanki jego uderzą oko od razu szlachetnym wyrazem, bo tam będę mogła odróżnić okno mojego pana. Może będzie stał w oknie? On wcześniej wstaje, może teraz przechadza się po sadzie albo po brukowanej drodze przed domem? Gdybym tylko mogła zobaczyć... Przez chwilę tylko! Przecież nie oszalałam chyba do tego stopnia, żeby do niego polecieć? Nie wiem... Nie jestem pewna. A gdyby nawet... Co wtedy? Bóg z nim! Co wtedy? Komu by się krzywda stała, gdybym raz jeszcze zaczerpnęła życia z jego spojrzenia? Ależ ja od zmysłów odchodzę, on może w tej chwili ogląda wschód słońca nad Pirenejami²⁸¹ albo na burzliwych morzach południowych...”

Przekradłam się wzdłuż niższego muru pod sadem i zawróciłam na rogu, w tym miejscu znajdowała się brama, wychodząca na łąkę, między dwoma filarami uwieńczonymi kamiennymi kulami. Spoza filaru mogłam spokojnie wyjrzeć i objąć okiem cały front domu. Wysunęłam głowę ostrożnie, pragnąc się przekonać, czy stopy w sypialniach już podniesione. Blanki, okna, długi front — wszystko mogłam widzieć z tego ukrytego stanowiska.

Spojrzałam ukradkiem, a potem długo patrzyłam i patrzyłam... Aż wypadłam z ukrycia i wybiegłam na łąkę. I nagle stanęłam przed frontem wielkiego budynku i długo, uparczywie weń się zapatrzyłam. Z lękliwą radością słałam spojrzenie ku okazałemu domowi — ujrzałam szerniałą ruinę...

Zbyteczne, zaiste, było skradanie się za bramę! Zbyteczne zaglądnienie, czy za kratką okien życie się nie rusza! Zbyteczne nasłuchiwanie, czy nie otwierają się drzwi lub czyjeś kroki nie trzeszczą na żwirze albo na bruku! Łączka, ogród, wszystko było zdeптane i opustoszałe, portal wejściowy zionął pustką. Front domu był taki, jakim go niegdyś we śnie widziałam: mur, podobny do skorupy, wysoki i kruchy z pozoru, podziurawiony oknami bez szyb. Ani dachu, ani blanków, ani kominów — wszystko to się zapadło.

I milczenie śmierci obejmowało całą tę samotnię. Nie dziw, że listy wysyłane na ten adres nie przynosiły odpowiedzi, równie dobrze można by je wysyłać do grobowych pie-

Nadzieja

Ruiny

Pożar

²⁸⁰Kanał — chodzi o La Manche, kanał morski oddzielający Wielką Brytanię od Francji. [przypis edytorski]

²⁸¹Pireneje — łańcuch górski na granicy Francji i Hiszpanii. [przypis edytorski]

czar pod kościołem. Poczerniałe kamienie świadczyły, jakiemu losowi uległ dwór: zniszczył go pożar. Lecz jakimże sposobem wzniecony? Co się wiąże z tym nieszczęściem? Jakież straty ono spowodowało oprócz zniszczenia w cegle, marmurze i drzewie? Czy pochłonęło jakieś życie ludzkie, oprócz strat materialnych? A jeżeli tak, to czyje? Straszne pytanie: nikogo tutaj nie było, kto by mi na nie mógł dać odpowiedź. Brakło nawet niemych świadków, milczących dowodów.

Chodząc dokoła skruszałych murów i po zniszczonym wnętrzu, przekonałam się, że katastrofa wydarzyła się już dość dawno. Zimowe śniegi widocznie wpadały przez puste arkady, zimowe deszcze przez okienne dziury, gdyż wśród przemokłych kup gruzu pod tchnieniem wiosny wystrzeliły łodygi roślinne. Trawa i chwasty puszczały się tu i ówdzie pomiędzy kamieniami i opalonymi belkami. Ale, ach! Gdzież się tymczasem podziewał nieszczęsny właściciel tej ruiny? W jakim kraju? Czy zdrów, czy cały? Mimo woli wzrokiem pobiegłam ku szarej wieży kościoła za bramą i zadałam sobie pytanie: „A może dzieli już wraz z przodkami ich marmurowe schronienie?”

Jakąś odpowiedź na te pytania muszę otrzymać. Jedynie w gospodzie znaleźć ją mogę — i tam też niebawem powróciłam. Gospodarz osobiście przyniósł mi śniadanie do pokoju. Prosiłam, żeby zamknął drzwi i usiadł, gdyż chciałam mu zadać kilka pytań. Gdy usłuchał, sama nie wiedziałam, od czego zacząć, tak strasznie bałam się usłyszeć złe nowiny. Gospodarz był mężczyzną w średnim wieku o przyzwoitej powierzchowności.

— Pan zna Thornfield Hall oczywiście? — zdołałam w końcu wykrztusić.

— Tak, proszę pani, mieszkałem tam niegdyś.

„Mieszkałeś? Nie za moich czasów — pomyślałam — jesteś mi obcy”.

— Byłem kamerdynerem nieboszczyka pana Rochestera — dodał.

— Nieboszczyka! — drgnęłam. — Więc pan Rochester nie żyje?

— Ja mówię o ojcu obecnego właściciela, pana Edwarda — wyjaśnił.

Odetchnęłam, krew żywej mi znów w żyłach popłynęła. Te słowa upewniły mnie, że pan Edward, *m ó j* pan Rochester (niech Bóg go ma w swojej opiece, gdziekolwiek się obraca!), żyje przynajmniej, skoro jest „obecnym właścicielem”. Radosne słowa! Teraz już mogłam słuchać stosunkowo spokojnie wszystkiego, co jeszcze miałam usłyszeć. Skoro nie leży on w grobie, mogłabym znieść, pomyślałam, nawet wiadomość, że jest na drugiej półkuli.

— Czy pan Rochester mieszka obecnie w Thornfield Hall? — zapytałam, wiedząc naturalnie, jaka będzie odpowiedź, ale odwołując proste pytanie o obecne miejsce jego pobytu.

— Nie, pani, o nie! Nikt tam teraz nie mieszka. Pani zapewne jest obca w tych stronach, inaczej byłaby pani słyszała, co się tu stało zeszłej jesieni... Thornfield Hall to zupełna ruina, spaliło się w samą porę żniw. Straszna katastrofa! Taka niezmierna moc cennych rzeczy zniszczona, zaledwie cośkolwiek z mebli dało się uratować. Ogień wybuchł w nocy, a zanim sikawki dojechały z Millcote, budynek cały stał w płomieniach. Straszny to był widok! Byłem jego świadkiem.

— W nocy! — szepnęłam. Tak, w Thornfield zawsze noc była porą fatalną. — Czy wiadomo, co wywołało pożar? — zapytałam.

— Zgadywali ludzie, proszę pani, zgadywali. Mogę nawet powiedzieć, że było to ponad wszelką wątpliwość stwierdzone. Może pani tego nie wie — tu przysunął się z krzesłem trochę bliżej do stołu i mówił cicho — że trzymano tam w domu pewną panią... Taką niespełna... Wariatkę, jednym słowem.

— Coś o tym słyszałam.

— Trzymano ją bardzo dokładnie zamkniętą, proszę pani. Ludzie nawet przez szereg lat nie byli zupełnie pewni, czy ona istnieje. Nikt jej nie widział, wiedzano tylko z pogłosek, że taka osoba jest we dworze, ale kto ona i co za jedna, trudno było odgadnąć. Mówiono, że pan Edward przywiózł ją z zagranicy, a niektórzy myśleli, że była jego kochanką. Ale dziwna rzecz stała się rok temu, bardzo dziwna rzecz.

Lękałam się, że przyjdzie mi teraz wysłuchiwać mojej własnej historii. Starłam się przywołać go do głównego toku opowieści.

— Więc cóż z tą panią?

— Ta pani — odpowiedział — okazało się, że była żoną pana Rochester! Odkrycie to nastąpiło w najdziwniejszy sposób. Była tam młoda panna we dworze, nauczycielka, w której się pan Rochester...

— Ale co do tego pożaru... — podsunęłam.

— Zaraz do tego dochodzę, proszę pani... W której się pan Edward zakochał. Służące mówiły, że nigdy nie widziały kogoś tak zakochanego jak on, jak cień snuł się za nią. Służące, które go śledziły, mówiły, że świata nie widział poza nią, bo zresztą nikt, oprócz niego, takiej w niej piękności nie widział. Była to mała, drobna osóbką, prawie jak dziecko. Ja sam nigdy jej nie widziałem, ale opowiadała mi o niej Leah, pokojówka. Leah ją bardzo lubiła. Pan Rochester miał około lat czterdziestu, a ta nauczycielka nawet niecałe dwadzieścia. Ale bo to, widzi pani, jak mężczyzna w jego wieku zakocha się w młodej dziewczynie, bywa niekiedy, jak urzeczony... No tak, i pan Rochester chciał się z nią ożenić.

— Tę część historii opowie mi pan później — przerwałam — teraz zależy mi przede wszystkim na dowiedzeniu się, z czego wyniknął pożar. Czy podejrzewano, że to ta wariatka, pani Rochester, przyłożyła rękę do tego?

— Odgadła pani, proszę pani, to rzecz zupełnie pewna, że to ona pożar wzniciła, nikt inny. Miała do opieki kobietę, nazwiskiem Poole, bardzo umiejętną w swoim zawodzie osobę i bardzo zresztą godną zaufania, tylko że miała jedną wadę, wadę zwykłą u wielu takich pielęgniarek i dozorczyń: miała stale buteleczkę i czasem potrafiła lyknąć o parę kropel za wiele. Można by jej darować, gdyż ciężkie tam miała życie, ale zawsze było to niebezpieczne, bo gdy pani Poole zasypiała mocno po napitku, wariatka, przebiegła jak czarownica, wykradała jej klucze z kieszeni, wychodziła z pokoju i snuła się po domu, wyrządzając złośliwe szkody, cokolwiek jej przyszło do głowy. Powiadają, że raz o mało nie spaliła męża swego w łóżku, ale ja o tym nic nie wiem. Tej nocy jednak najpierw zapaliła firanki i portiery w pokoju obok swojego, a potem zeszła na niższe piętro i dostała się do pokoju, który był przedtem pokojem nauczycielki (zdawałoby się, że coś o tym wiedziała, jak sprawy stoją, i miała do niej złość) i tam podpaliła łóżko. Na szczęście nikt tam nie spał. Nauczycielka uciekła dwa miesiące wcześniej, a chociaż pan Rochester poszukiwał jej jak czegoś najdroższego sobie w świecie, nie mógł się o niej niczego dowiedzieć. Zupełnie zdziwał, można by powiedzieć, że się wściekł, gdy go ten zawód spotkał. Nigdy nie był człowiekiem powściągliwym, ale teraz, gdy ją utracił, stał się niebezpieczny. A do tego chciał być zupełnie sam. Odesłał panią Fairfax, zarządczynię, do jej rodziny gdzieś daleko. Ale zrobił to ładnie, gdyż wyznaczył jej dożywotnią pensję, a ona na to zasłużyła, to była bardzo dobra kobieta. Pannę Adele, swoją wychowanicę, umieścił w szkole. Zerwał ze wszystkimi znajomymi, z całą okoliczną szlachtą i zamknął się jak pustelnik we dworze.

— Jak to! Więc nie wyjechał z Anglii?

— Miałby wyjechać z Anglii? Gdzieżby zaś! Nie chciał wychodzić za próg swego domu, chyba nocą. A wtedy to jak duch chodził i chodził po ogrodzie, po sadzie, zupełnie jak gdyby był zmysły postradał. Bo, wedle mojego rozumienia, tak też i było, gdyż tak żwawego, śmiałego, mądrego pana, jakim on był, zanim mu ta maleńka nauczycielka weszła w drogę, nie widziała pani chyba w życiu. Nie lubował się w winie, kartach czy zakładach na wyścigach, jak to wielu czyni. I nie był znów tak bardzo piękny, ale miał rzadką, prawdziwie męską odwagę i wolę. Bo widzi pani, ja go znałem od małego chłopca. Nieraz wzdychałem: bodajby w morzu byli utopili tę pannę Eyre, zanim przybyła do Thornfield Hall!

— Więc pan Rochester był w domu, gdy ten pożar wybuchł?

— Tak, owszem, był. I poszedł na strych, gdy wszystko gorzało na górze i na dole, i wyrzucił służące z łóżek, i sam im pomógł zejść na dół, a potem wrócił, żeby wariatkę żonę wydobyć z jej celi. A wtedy zawołano do niego, że ona jest na dachu, gdzie też stała wymachując rękoma nad blankami i wydając takie krzyki, że można ją było słyszeć z odległości mili. Ja sam ją słyszałem i widziałem na własne oczy. Była to wielka kobieta i miała długie, czarne włosy. Na tle płomieni widać je było, spływające na plecy. Byłem świadkiem i wielu innych oprócz mnie również, jak pan Rochester przez drzwi w dachu wychodził na dach. Słyszeliśmy, jak wołał: „Bertha!”. Widzieliśmy, jak zbliżał się do niej, a wtedy, proszę pani, ona wrzasnęła i padła z dachu na bruk.

— Nieżywa?

Pożar, Szaleniec,
Samobójstwo

— Nieżywa! Tak, nieżywa jak te kamienie jej mózgiem i krwią umazane.
 — Wielki Boże!
 — Tak, pani, to było straszne!
 Wzdrygnął się.
 — A później? — dopytywałam.
 — I cóż, proszę pani, później dom spalił się do fundamentów, pozostały tylko szczątki murów.
 — Czy jeszcze kto więcej stracił tam życie?
 — Nie, a może nawet byłoby lepiej...
 — Nie rozumiem pana...
 — Biedny pan Edward! — westchnął. — Czyż mogłem się kiedy spodziewać, że to zobaczę? Niektórzy mówią, że to sprawiedliwa kara za to, że ukrywał swoje pierwsze małżeństwo, a chciał pojąć drugą żonę, chociaż pierwsza żyła, ale ja go żałuję.
 — Pan przecież powiedział, że pan Rochester żyje! — wykrzyknęłam.
 — Tak, tak, żyje, ale wielu myśli, że lepiej by było, gdyby nie żył.
 — Dlaczego? Jak to? — zdreptałam. — Gdzież on jest? — zapytałam. — Czy w Anglii?
 — Tak... Tak... W Anglii. Z Anglii, myślę, wyjechać nie może, jest teraz związany z miejscem.
 Cóż to była za męka! A ten człowiek przedłużał ją jakby naumyślnie.
 — Jest całkowicie ślepy — rzekł w końcu. — Tak, pan Edward całkowicie zaniewidział.
 Lękałam się jeszcze gorszej wieści. Lękałam się, że zmysły postradał. Zbierając siły, zapytałam, co spowodowało to nieszczęście.
 — To wszystko z winy jego odwagi i mógłby ktoś powiedzieć, poniekąd z winy jego dobroci, proszę pani. Nie chciał opuścić domu, dopóki wszyscy przed nim nie wyszli. Gdy na koniec schodził po wielkich schodach, kiedy już pani Rochester rzuciła się była z blanków, rozległ się wielki łoskot i wszystko się zapadło. Wyjęto go spod gruzów żywego, ale srodze pokaleczono go. Któraś z belek upadła w ten sposób, że częściowo go osłaniała, ale jedno oko miał wybite, a rękę tak zmiażdżoną, że pan Carter, chirurg, musiał ją od razu amputować. Drugie oko zapalone i na to oko zaniewidział. Jest teraz bezradny, doprawdy, niewidomy i kaleka.
 — Gdzież jest pan Rochester? Gdzie obecnie mieszka?
 — W Ferndean, we dworze na fermie, którą posiada, trzydzieści mil stąd. Jest to ustronne, smutne miejsce.
 — Kto jest tam przy nim?
 — Stary John i jego żona, nie chciał mieć nikogo więcej. Powiadają, że jest do ostateczności zgnębiony.
 — Czy posiada pan jakiś ekwipaż?
 — Mamy tu powozik, proszę pani, bardzo porządny powozik.
 — Niechże pan każe natychmiast zaprzęgać. A jeżeli pański pocztarek²⁸² potrafi mnie dowieźć do Ferndean dziś jeszcze przed wieczorem, zapłacę panu i jemu dwa razy tyle, ile pan zwykle żąda za wynajem.

ROZDZIAŁ XXXVII

Dwór w Ferndean był to budynek dość stary, średniej wielkości, bez architektonicznych pretensji, głęboko ukryty w lesie. Słyszałam o nim dawniej. Pan Rochester często o nim mówił, a niekiedy tam jeździł. Jego ojciec kupił ten majątek ze względu na obfitość zwierzyny w okolicy. Byłby wynajął dom, ale nie mógł znaleźć lokatora. Ferndean przeto pozostało niezamieszkałe i nieumeblowane, z wyjątkiem dwóch czy trzech pokoi urządzonych dla wygody dziedzica, gdy tam przyjeżdżał na polowanie.

Do tego domu przyjechałam przed nocą. Ostatnią milkę przesłałam pieszo, odprawivszy powozik po zapłaceniu woźnicy przyobiecanej podwójnej stawki. Nawet z bliska nie można jeszcze było dojrzeć dworku, tak gęsto otaczał go dokoła ponury las. Żelazna brama, osadzona na granitowych słupach, wskazywała wejście. Minąwszy ją, znalazłam

²⁸²pocztarek (daw.) — roznosiciel przesyłek. [przypis edytorski]

się od razu w półcieniu gęstego szpaleru drzew. Zarośnięta trawą dróżka prowadziła brzegiem lasu wśród omszałych i sękatych pni pod sklepieniem z gałęzi. Posuwałam się tą drogą, mając nadzieję, że wkrótce dotrę do mieszkania. Tymczasem droga ciągnęła się, wiała i skręcała coraz dalej — ani śladu domu mieszkalnego albo ogrodu.

Już myślałam, że obrałam zły kierunek i że zablądziłam. Otaczał mnie mrok i cień leśny. Obejrzałam się — innej drogi nie było, wszędzie tylko pnie jak kolumny, gęste listowie, żadnego otwartego wyjścia.

Szłam dalej. Nareszcie zaczęła się przede mną otwierać droga, gęstwina drzew nieco rzędła. Po chwili ujrzałam sztachety, a potem dom, zaledwie przy tym słabym świetle dający się odróżnić od drzew, tak wilgotne i zielonkawe były jego ściany. Wszedłszy przez bramkę, stanęłam w obrębie zamkniętego ogrodu, który las obejmował półkolem. Nie było tam kwiatów ani grządek, jedynie zwirowa, szeroka ścieżka biegła dokoła trawnika, a wszystko to ciężką ramą otaczał las. Dom dwoma ostrymi szczytami zwrócony był do frontu, okna zakratowane i wąskie, drzwi frontowe również wąskie, prowadził do nich jeden stopień. Całość robiła wrażenie, jak się właściciel gospody wyraził, „ustronnego, smutnego miejsca”. Cicho tam było jak w kościele w dniu powszednim. Deszcz, kapiący na liście drzew, wydawał tam jedyny dosłyszalny odgłos.

— Czyż może być życie w tym domu? — zapytałam siebie.

Ależ tak — usłyszałam jakiś ruch, otworzyły się wąskie drzwi frontowe i ktoś widocznie zamierzał wyjść z domu.

Drzwi rozwarły się z wolna, jakaś postać ukazała się w zmierzchu wieczornym i stanęła na stopniu. Mężczyzna bez kapelusza wyciągnął rękę, by się przekonać, czy pada. Choć było ciemno, poznałam go — tak, to był mój pan, Edward Fairfax Rochester. On, nie kto inny.

Wstrzymałam kroki i oddech, stałam, patrząc na niego — przyglądając mu się, sama niewidziana i niestety niewidzialna dla niego. Było to nagłe spotkanie, ale takie, gdzie ból opanowywał radosne uniesienie. Bez trudu powstrzymałam okrzyk i odruch pośpieszenia ku niemu.

Postać jego miała ten sam silny, sprężysty zarys, co zawsze. Trzymał się prosto, włosy jego, jak pierwej, były kruczoczarne i rysy niezmienione. Rok czasu, pomimo najcięższej zgrzyzoty, nie potrafił strawić jego atletycznej siły ani podkopać potężnej pełni rozwoju. Ale w twarzy jego zobaczyłam zmianę, malowała się na niej rozpacz i ponura zaduma... Przyszedł mi na myśl jakiś skrzywdzony i spętany dziki zwierz albo ptak, do którego w jego milczącym bólu niebezpiecznie byłoby przystąpić. Orzeł w klatce o okrutnie oślepionych oczach mógłby tak wyglądać jak ten ociemniały Samson.

Lecz nie obawiałam się go w tej dzikości ani przez chwilę. Zgrzyzotę moją słodziła nadzieja, że wkrótce odważę się złożyć pocałunek na tym surowym czole i na tych ustach, tak boleśnie zaciśniętych. Ale jeszcze nie w tej chwili. Jeszcze teraz nie chciałam go zaczepiać.

Zszedł ze stopnia i posuwał się wolno, niepewnie ku trawnikowi. Gdzież się podział jego śmiały krok? Przystanął, jak gdyby nie wiedział, w którą stronę się obrócić. Podniósł rękę i rozwarł nią powieki. Spojrzał, wysilając się, ku niebu i w kierunku drzew. Widziałam, że dla niego wszystko było pustą ciemnicą. Wyciągnął prawą rękę (lewą, okaleczoną trzymał ukrytą na piersiach). Zdawało się, że chce dotykiem zbadać, co jest wkoło niego, wszędzie jednakże napotykał pustkę, gdyż drzewa były odległe od niego o kilka łokci. Zaprzestał daremnych prób, skrzyżował ręce na piersiach i stał spokojny i niemy na deszczu, który teraz obficie padał na jego odkrytą głowę. W tej chwili zjawił się skądś John i zbliżył się do niego.

— Czy mogę podać panu ramię? — zapytał. — Pada duży deszcz, czy nie wróciłby pan lepiej do domu?

— Zostaw mnie w spokoju — usłyszał za całą odpowiedź.

John odszedł, nie zauważywszy mnie. Pan Rochester próbował teraz chodzić — daremnie, wszystko było tak niepewne. Z trudem odnalazł drogę do domu, wszedł i zamknął drzwi za sobą.

Teraz przysunęłam się i zapukałam. Otworzyła mi żona Johna.

— Mary — powiedziała — czy to wy?

Spotkanie

Drgnęła, jak gdyby ujrzała ducha. Uspokoiłam ją. Na jej pośpieszne pytanie: „Czy to doprawdy pani o tak późnej godzinie na tym pustkowiu?”, ujęłam jej rękę, a potem poszłam za nią do kuchni, gdzie przy ogniu siedział John. Wytłumaczyłam im w kilku słowach, że słyszałam o wszystkim, co się stało, odkąd opuściłam Thornfield, i że przybyłam odwiedzić pana Rochester. Poprosiłam Johna, żeby poszedł na rogatkę, gdzie wysiadłam z dylżansu, i żeby mi przyniósł pozostawiony tam kuferek, a potem, zdejmując kapelusz i szal, zapytałam Mary, czy mogłabym tu we dworze znaleźć nocleg. Odpowiedziała, że chociaż z trudem, ale można to będzie urządzić. Wtedy oświadczyłam jej, że zostaję. Właśnie w tej chwili odezwał się dzwonek z pokoju.

— Skoro tam idziecie — rzekłam — powiedzcie waszemu panu, że pewna osoba pragnie się z nim widzieć, ale nie podawajcie mojego imienia.

— Wątpię, czy pan będzie chciał panią przyjąć — odpowiedziała — odmawia wszystkim.

Gdy powróciła, zapytałam, co powiedział.

— Że ma pani wymienić nazwisko i w jakim chce mówić interesie — odpowiedziała, po czym nalala wody do szklanki, którą postawiła na tacy razem ze świecami.

— Czy pan dlatego dzwonił? — zapytałam.

— Tak jest, pan zawsze każe wnosić świece, gdy się ściemnia, chociaż nie widzi.

— Dajcie mi tackę, ja ją zaniosę.

Odebrałam od niej tackę, pokazała mi drzwi bawialnego pokoju. Tacka trzęsła mi się w rękę, woda się wylewała, serce biło głośno i szybko. Mary otworzyła drzwi i zamknęła je za mną.

Bawialnia miała wygląd ponury, resztką zaniedbanego ognia dopalała się na komin-ku. Ujrzałam niewidomego mieszkańca tego pokoju, pochylonego nad ogniem, z głową opartą o wysoki, staroświecki gzyms komin-ka. Stary pies, Pilot, leżał na boku, odsunięty z drogi i skurczony, jak gdyby w obawie, że może być nieumyślnie nadeptany. Nadstawił uszu, gdy wchodziłam do pokoju, a potem zerwał się z radosnym skowytom i skoczył ku mnie, ledwie mi tacki nie wytrącił. Postawiłam ją na stole, poklepałam go i powiedziałam cicho: „Leżeć!”. Pan Rochester obejrzał się automatycznie, chcąc zobaczyć, co znaczy ten ruch, ponieważ jednak nic nie mógł zobaczyć, odwrócił się i westchnął.

— Podaj mi wodę, Mary — rzekł.

Zbliżyłam się do niego ze szklanką, już tylko do połowy napełnioną. Pilot szedł za mną wciąż podniecony.

— Co się dzieje? — zapytał pan Rochester.

— Leżeć, Pilot! — powtórzyłam.

Pan Rochester wstrzymał rękę, niosącą wodę do ust, nadsłuchując, ale wnet wypił i odstawił szklankę.

— To ty jesteś, Mary, nieprawdaż?

— Mary jest w kuchni... — odpowiedziałam.

Wyciągnął rękę szybkim ruchem, ale nie widząc, gdzie stoję, nie dotknął mnie.

— Kto to jest? Kto to jest? — zapytał, wyraźnie starając się zobaczyć tymi niewidzącymi oczami. Daremny, żalorny wysiłek. — Proszę odpowiedzieć! Proszę znów przemówić! — powiedział głośno i rozkazująco.

— Czy życzy pan sobie trochę więcej wody? Połowę tego, co było w szklance, wylałam — rzekłam.

— *Kto to jest? Co to jest? Kto mówi?*

— Pilot mnie poznał i John i Mary wiedzą, że tu jestem. Przybyłam dopiero dziś wieczór — odpowiedziałam.

— Wielki Boże! Co za złudzenie mnie nachodzi! Co za słodkie szaleństwo mnie ogarnęło!

— Nie złudzenie... Nie szaleństwo. Duch pański zbyt silny, by dać się omotać złudzeniu, zbyt zdrow, by ulec szaleństwu.

— A gdzież jest to, co mówi? Czy to tylko sam głos? Ach, ja *widzieć nie mogę*, ale muszę dotknąć, inaczej serce we mnie bić przestanie i krew mózg zaleje. Czymkolwiek, kimkolwiek jesteś, daj mi się dotknąć, bo skonam!

Szukał wyciągniętą ręką. Ujęłam tę błakającą się rękę i uwięziłam ją w obu moich dłoniach.

Spotkanie

— Jej własne paluszki! — zawołał — jej drobne, delikatne paluszki! A skoro tak, to musi być i ona sama!

Muskularna dłoń wyrwała się spod mojej straży. Chwycił ramię moje, moją szyję, objął mnie w pół, oplótł ramionami i przytulił mnie do siebie.

— Czy to Jane? Co to jest? To jej kształt, to jej wzrost...

— A to jej głos — dodałam. — Jestem tutaj cała. I serce moje jest tutaj. Niechaj Bóg pana błogosławi! Jestem szczęśliwa, że jestem znowu przy panu.

— Jane Eyre! Jane Eyre! — powiedział tylko.

— Panie mój drogi — odpowiedziałam — ja jestem Jane Eyre. Odnalazłam pana, wróciłam do pana.

— Czy doprawdy? Czy w żywym ciele? Moja żyjąca Jane?

— Pan mnie dotyka, pan mnie trzyma... I dosyć mocno przecież. Nie jestem zimna jak trup ani bezcielesna jak powietrze, nieprawdaż?

— Moje żyjące kochanie! To z pewnością są jej członki, a to jej twarzyczka. A jednak to niepodobna, żeby mnie po tym wszystkim, co przeszedłem, spotykało takie szczęście. To sen. Taki sen, jaki nachodził mnie niekiedy nocą. Wtedy tuliłem ją znów do serca, tak jak oto teraz, całowałem ją... O, tak... I czułem, że ona mnie kocha, i wierzyłem, że mnie nie opuści...

— Ja już od tej chwili nigdy pana nie opuszczę!

— Nigdy mnie nie opuści, mówi zjawisko niebiańskie? A przecież zawsze budziłem się i przekonywałem, że to była pusta złuda. I rozpacz odnajdowałem, i opuszczenie. Posępne moje życie, samotne, beznadziejne, dusza spragniona nigdy nie zaznała napoju ani głód serca pokarmu. Miła, słodka, senna zjawo, co tulisz się teraz w moich objęciach, i ty ulecisz, jak przed tobą wszystkie twoje siostry, ale ucałuj mnie, zanim pójdziesz, uściskaj mnie, Jane.

Przycisnęłam usta do jego niegdyś pełnych blasku, dziś bezpromiennych oczu. Odgarnęłam mu włosy z czoła i to czoło ucałowałam także. Zdawał się nagle rozbudzać, chwyciło go poczucie rzeczywistości.

— Więc to ty... To istotnie ty jesteś, Jane? Powróciłaś do mnie naprawdę?

— Powróciłam.

— Więc nie leżysz martwa w jakimś rowie albo na dnie jakiegoś strumienia? Ani nie błąkasz się, zbiedzony wyrzutek, pomiędzy obcymi?

— Nie, panie! Jestem teraz niezależną kobietą.

— Niezależna! Co przez to rozumiesz, Jane?

— Stryj mój na Maderze umarł i pozostawił mi pięć tysięcy funtów.

— Ach! To coś z dziedziny praktycznej... To jest coś rzeczywistego! — zawołał. — To by mi się śnić nie mogło. A przy tym ten jej głos szczególny, taki ożywczy i przekorny, a zarazem słodki, ten głos krzepi moje zwiędłe serce i życie w nim budzi... Więc jakżeż to, Jane! Jesteś teraz niezależną, bogatą kobietą?

— Zupełnie bogatą, mój panie. Jeżeli mi pan nie pozwoli mieszkać ze sobą, mogę sobie własny mój domek postawić tuż obok pańskich drzwi i będzie pan mógł przychodzić i siadywać w moim saloniku, gdy pan wieczorem zapragnie towarzystwa.

— Ale skoro jesteś bogata, Jane, masz teraz, niewątpliwie, przyjaciół, którzy się tobą zaopiekują i nie zniosą tego, ażebyś się poświęcała dla takiego ślepego kaleki jak ja.

— Ja już panu powiedziałam, że jestem niezależna i bogata: jestem panią siebie.

— I chcesz pozostać ze mną?

— Z pewnością: chyba, że pan mnie nie zechce. Będę pańską sąsiadką, pielęgniarką, gospodynią. Widzę, że pan samotny, będę pańską towarzyszką, będę panu czytała, chodziła z panem, siadywała z panem, usługiwała panu, będę pańskim okiem i pańską ręką. Nie smuć się tak, mój drogi panie, nie będziesz opuszczony, dopóki ja żyję.

Nie odpowiedział nic na to. Miał minę poważną, jak gdyby zamysłoną. Otworzył usta, zdawało się, że chce coś powiedzieć, lecz znowu je zamknął. Zażenowałam się trochę. Może zbyt pośpiesznie przeskoczyłam konwenanse, a on, podobnie jak Saint-John, widział niewłaściwość w mojej nierozwadze? W istocie, propozycję czyniłam w tej myśli, w tej nadziei, że on pragnie mieć mnie za żonę i że mi to powie — że mi to powie od razu. Ponieważ jednak żadnej na ten temat nie czynił wzmianki, tylko spochmurniał, przyszło

mi nagle na myśl, że omyliłam się może i że niemądrą w tej chwili odgrywam rolę. Toteż zaczęłam się łagodnie z jego objęć wysuwać, on jednakże przytulił mnie jeszcze mocniej.

— Nie... Nie... Jane, nie odchodź. Nie... Dotknąłem cię, słyszałem cię, odczułem szczęście dzięki twojej obecności, słodycz pociechy z ust twoich. Nie mogę wyrzec się tych źródeł radości. We mnie tak mało pozostało, muszę posiadać ciebie. Choć ludzie śmiać się będą, nazwą to niedorzecznością, egoizmem, dla mnie to nic nie znaczy. Sama dusza moja wzywa ciebie. Jeśli jej pragnień nie zaspokoisz, śmiertelnie się zemści na swej cielesnej powłóce.

— Dobrze, panie mój, ja zostanę z tobą, już to powiedziałam.

— Tak, ale mówiąc, że zostaniesz ze mną, może masz co innego na myśli, a ja co innego. Ty może zdecydowałaś się być koło mnie, usługiwać mi, czuwać nade mną jak dobrotliwa pielęgniareczka, gdyż dobre masz serce i szlachetną naturę, i to cię skłania do poświęceń dla tych, nad którymi się litujesz. A mnie to niezawodnie powinno by wystarczać. Ja zapewne powinien bym mieć teraz tylko ojcowskie uczucie dla ciebie, jak myślisz? No, powiedz mi...

— Będę myślała, co pan zechce. Chętnie będę tylko pańską pielęgniarką, jeśli pan uważa, że tak będzie lepiej...

— Ale ty nie możesz zostać na zawsze moją pielęgniarką, Jane, jesteś młoda, musisz kiedyś wyjść za mąż.

— Nie dbam o zamążpójście.

— Powinnaś dbać, Jane. Gdybym był tym, czym przedtem byłem, postarałbym się, abyś o to dbała... Ale... Taki ślepy pień!

Znowu zapadł w posępną zadumę. Ja, przeciwnie, poweselałam i nabrałam świeżej otuchy. Jego słowa pozwoliły mi zrozumieć, w czym leżała trudność. A że to dla mnie nie było trudnością, więc i poprzednie moje zakłopotanie minęło. Uderzyłam w żywszą nutę w rozmowie.

— Czas już, żeby się ktoś zabrał do przywrócenia panu bardziej ludzkiego wyglądu — rzekłam, rozdziałając jego gęste i dawno niestrzyżone kędziory. — Widzę bowiem, że pan się przemienia w lwa czy coś w tym rodzaju. I coś z Nabuchodonozora²⁸³, pasącego się na łące, ma pan w sobie, to pewne. Pańskie włosy przypominają mi orle skrzydła, a czy pańskie paznokcie urosły czy nie urosły jak ptasie szpony, tego jeszcze nie zauważyłam.

— Na tej ręce nie mam ani paznokci, ani dłoni — rzekł, wyciągając ukrytą na piersi okaleczoną kończynę. — Czy to nie okropny widok? Powiedz, Jane!

— Doprawdy, przykro na to patrzeć. I przykro widzieć oczy pańskie, i tę bliznę po oparzeniu na pańskim czole. Ale najgorsze, że za to wszystko musiałyby się może aż zanadto pana kochać, rozpieszczą i psuć...

— Ja myślałem, że ciebie wstręć ogarnie, Jane, gdy ujrzysz moją rękę i te blizny na twarzy.

— Tak pan myślał? Niech mi pan tego nie mówi, bo będę panu musiała powiedzieć coś niemilego o jego rozumie. A teraz niech mnie pan puści na chwilę, gdyż chciałabym ogień poprawić i kazać zamieść koło pieca. Czy pan mnie rozpozna, gdy dobry ogień się pali?

— Owszem, prawym okiem widzę żar, czerwoną mgłę.

— A świece pan widzi?

— Bardzo niewyraźnie, każda jest jak jasny obłoczek.

— A mnie pan może zobaczyć?

— Nie, wróżko moja, ale i tak jestem aż nazbyt szczęśliwy, że mogę słyszeć cię i dotknąć.

— Kiedy pan jada wiesz? —

— Nie jadam jej wcale.

— Ale dzisiaj musi pan coś zjeść. Ja jestem głodna i pan z pewnością również, tylko pan o tym nie myśli.

Przyzwawszy Mary, postarałam się prędko o uporządkowanie pokoju, przygotowałam mu też smaczny posiłek. Czułam się podniecona, łatwo i z przyjemnością rozmawiałam

²⁸³Nabuchodonozor — biblijny władca opisany w Księdze Daniela, który prawdopodobnie cierpiał na chorobę psychiczną zwaną boantrypią (chory wierzy, że jest wolem lub krową). [przypis edytorski]

z nim w czasie wieczerzy i długo jeszcze potem. Nie potrzebowałam krępować się, hamować wesołości i ożywienia wobec niego. Byłam z nim zupełnie swobodna, gdyż wiedziałam, że mu się podobam. Wszystko, co mówiłam albo czyniłam, zdawało się pocieszać go i ożywiać. Rozkoszna świadomość! Życiem i światłem mnie to przenikało, w jego obecności żyłam całą pełnią, on w mojej również. Chociaż niewidomy, uśmiechał się, radość zaświtała mu na twarzy i jej wyraz złagodniał, nabrał ciepła.

Po kolacji zaczął mi zadawać mnóstwo pytań, mianowicie gdzie byłam, co robiłam, jakim sposobem go odnalazłam. Ja jednakże dawałam mu tylko częściowe odpowiedzi, za późno już było tego wieczora wchodzić w szczegóły. Nie chciałam zresztą dotykać żadnej głębiej brzmiącej struny ani otwierać w sercu jego nowego źródła wzruszeń. Chwilowo jedynym moim celem było pokrzepić go i rozweselić. Ożywił się był i rozweselił, jak powiedziałam, ale jeszcze nie na stałe. Skoro tylko chwila milczenia przerywała rozmowę, zaczynał się niepokoić, dotykać mnie, a potem mówił:

— Jane, czyś ty naprawdę ludzka istota? Czyś tego pewna?

— Szczerze wierzę, że tak jest, panie.

— Jednak jakim sposobem, w ten smutny i ciemny wieczór, mogłaś się tak nagle pojawić przy moim opuszczonym ognisku? Wyciągnąłem rękę, żeby odebrać szklankę wody od służącej, a podałaś mi szklankę ty. Zapytałem o coś, spodziewając się, że odpowie mi żona Johna, a to twój głos przemówił do mojego ucha.

— Bo zamiast Mary weszłam do pokoju z tacką.

— I ta godzina, którą teraz spędzam z tobą, jest jakaś zaczarowana. Nikt nie może wiedzieć, jakie straszne, ponure, beznadziejne życie pędziłem od długich miesięcy... Nic nie robiąc, nie spodziewając się niczego, nie rozróżniając dnia i nocy. Czulem tylko wrażenie zimna, gdy pozwoliłem, by ogień wygasł, głodu, gdy zapomniałem jeść, a przy tym bezustanny smutek, a chwilami prawdziwy szal tęsknoty za moją Jane. Tak jest, goręcej pragnąłem, by ona mi była zwrócona niż utracony wzrok. I jak to być może, że Jane jest ze mną i mówi, że mnie kocha? Czy mi nie zniknie tak nagle, jak się zjawiała? Lękam się, że jutro już jej nie odnajdę.

Zwykła, codzienna uwaga, wyrrywająca go z toku dręczących myśli, byłaby, tego byłam pewna, najlepszym sposobem uspokojenia go w tym stanie umysłu. Przesunęłam mu palcem po brwiach, a zauważywszy, że są spalone, zapowiedziałam, że użyję środka, od którego odrosną tak szerokie i czarne, jak były dawniej.

— Na co się przyda tak czy inaczej czynić mi dobrze, duchu dobroczynny, skoro w jakiejś niefortunnej chwili znowu ode mnie odejdiesz, znikniesz jak cień, dokąd i jak, nie będę wiedział i już cię potem więcej nie odnajdę?

— Czy pan ma grzebyczek kieszonkowy przy sobie?

— Na co ci to, Jane?

— Chciałabym przeczesać tę splątana, czarną grzywę. Przyglądając się panu z bliska, widzę, że pan strasznie wygląda. Mówi pan, że ja jestem wróżką, ale to pewna, że pan podobniejszy jest do wilkołaka.

— Czy bardzo jestem brzydki, Jane?

— Bardzo, pan zawsze był brzydki, to wiadomo.

— Hm... Złośliwość w tobie nie wygasła, gdziekolwiek przebywałaś.

— A jednak przebywałam z bardzo dobrymi ludźmi, z ludźmi lepszymi od pana, sto razy lepszymi. Z ludźmi o zasadach i poglądach, jakich pan nigdy w życiu nie wyznawał, tak szlachetnych i wzniosłych.

— Z kimże ty, u licha, przebywałaś?

— Jeżeli tak się pan będzie kręcił, wyrwę panu włosy z głowy, a wtedy może przestanie pan wątpić, że istnieją rzeczywiście.

— Z kim przebywałaś, Jane?

— Już dziś wieczór pan tego ze mnie nie wyciągnie, musi pan poczekać do jutra. Jeżeli przerwę historię do połowy tylko opowiedzianą, będzie to, pan wie, rodzaj zadatku, że ukażę się panu przy śniadaniu, ażeby ją dokończyć. Ale, ale... Muszę pamiętać, ażeby nie zjawić się wtedy jedynie ze szklanką wody, muszę przynieść przynajmniej jedno jajko, nie mówiąc już o przysmażonej szynce.

— Ty drwiący odmienne z rodu wróżek, choć ludzie cię chowali! Od roku tak się nie czułem jak teraz, dzięki tobie. Gdyby Saul²⁸⁴ mógł być mieć ciebie za swego Dawida²⁸⁵, wypędzanie diabłów obyłyby się bez pomocy harfy.

— Dosyć! Już pan uczesany i wygląda przyzwoicie. Ale teraz pana pożegnam, byłam w podróży przez trzy ostatnie dni i jestem zmęczona. Dobranoc.

— Jeszcze słówko, Jane. Czy tam tylko kobiety były w tym domu, gdzie przebywałaś? Rozśmiałam się i uciekłam, i śmiałam się jeszcze, biegnąc po schodach.

— Doskonała myśl! — myślałam z radością. — Widzę, że przez pewien czas będę miała czym wypłaszać melancholię.

Nazajutrz rano bardzo wczesnie słyszałam, że już wstał, rusza się i chodzi po pokojach. Jak tylko Mary zeszła, usłyszałam szereg pytań: „Czy jest tutaj panna Eyre?”, a potem: „Który pokój jej daliście? Czy aby suchy? Czy panna Eyre wstała? Idź i zapytaj, czy jej czego nie potrzeba i kiedy zejdzie na dół”.

Zeszłam, skoro tylko mogłam przypuszczać, że zanosi się na śniadanie. Wchodząc do pokoju cichutko, mogłam mu się przypatrzeć, zanim on spostrzegł moją obecność. Żalony, doprawdy, był widok tego silnego ducha pod władzą cielesnego kalectwa. Siedział w fotelu — cicho, ale nie spokojnie, oczekujący widocznie. Wyraziste rysy powlekał stały już teraz smutek. Twarz przypominała zgaszoną lampę, czekającą, by ją ktoś znowu zapalił. Ale niestety! On sam nie mógł już teraz zapalić światła ożywionego wyrazu, mógł to uczynić tylko ktoś drugi, od kogo zależał. Zamierzałam być wesoła i swobodna, lecz ta bezradność silnego mężczyzny wzruszyła mnie do głębi. Mimo to zagadnęłam go, jak mogłam najżywiej:

— Jasny, słoneczny ranek mamy dzisiaj, deszcz ustał, wszystko tylko delikatnie lśni się jeszcze po nim. Wkrótce zaprowadzę pana na przechadzkę.

Obudziłam światło: jego twarz rozpromieniła się.

— Ach, więc jesteś tutaj naprawdę, skowronku mój! Przyjdź do mnie. Nie uleciałaś, nie znikłaś? Godzinę temu słyszałem jednego z twoich krewniaczków, śpiewał wysoko nad lasem, ale w piosence jego nie było dla mnie muzyki, tak jak wschodzące słońce nie miało dla mnie promieni. Wszelka melodia świata dla mnie osiadła na języczku mojej Jane (na szczęście nie jest on milczący z natury), promieniem słońca jest mi jej obecność.

Łzy poczułam w oczach, słysząc to przyznanie się do zależności. To tak, jak gdyby królewski orzeł, przykuty łańcuszkiem do miejsca, musiał błagać wróbla, ażeby go karmił. Nie chciałam jednak być płacziwa, otarłam słone kropelki i zakrzętnęłam się koło śniadania.

Czas przed południem spędziliśmy głównie na świeżym powietrzu. Wyprowadziłam go z wilgotnego i dzikiego lasu i wyszliśmy na wesołe pola. Opisywałam mu, jak wspaniale są zielone, jak deszcz odświeżył kwiaty i żywopłoty, jak przezczysty jest błękit nieba. Usadowiłam się tuż przy nim i pozwoliłam objąć się ramieniem. Pilot leżał obok nas, cisza panowała dokoła. Nagle mój pan, tuląc mnie w ramionach, wybuchnął:

— Okrutny, okrutny zbiegu! O, Jane, co ja czułem, gdy spostrzegłem, że uciekłaś z Thornfield i gdy nie mogłem nigdzie cię odnaleźć. Gdy, zbadawszy twój pokój, przekonałem się, że nie zabrałaś pieniędzy ani niczego, co by ci je mogło zastąpić! Naszyjnik z pereł, który ci ofiarowałem, leżał nietknięty w pudełku, kuferki pozostawiłaś zamknięte, sznurami związane, tak jak były przygotowane do podróży poślubnej. Zadawałem sobie pytanie, jak sobie da radę moje kochanie, tak ogołoczone ze wszystkiego, bez grosza? I jakże dałaś sobie radę? Opowiedz mi teraz.

Tak zachęcona, zaczęłam mu opowiadać zeszłoroczne przeżycia. Złagodziłam znacznie wspomnienia owych trzech dni wędrówki i głodu, chcąc mu oszczędzić daremnej przykrości. A jednak to trochę, co mu opowiedziałam, zraniło wierne serce jego głębiej, niż sądziłam. Dowodził, że nie powinnam go była opuszczać bez żadnych środków do życia, powinnam mu była powiedzieć o swym zamiarze. Powinnam mu była zaufać, nigdy nie byłby mnie zmuszał, bym została jego kochanką. Choć tak gwałtowny wydawał się w swojej rozpacz, w istocie kochał mnie z nadto szczerze i czule, by chcieć być moim tyranem. Byłby mi oddał połowę swego majątku, nie żądając nawet pocałunku

²⁸⁴Saul — postać biblijna, pierwszy król Izraela. [przypis edytorski]

²⁸⁵Dawid — postać biblijna, król Izraela i poeta, grywał Saulowi na harfie, by ulżyć mu w cierpieniu spowodowanym przez złego ducha. [przypis edytorski]

w zamian, bylebym nie odeszła sama w świat szeroki. Musiałam, był tego pewien, więcej przecierpieć, niż mu wyznaję...

— Już mniejsza z tym, co przecierpiałam, trwało to krótko.

I teraz zaczęłam mu opowiadać, jak zostałam przyjęta w Moor House, jak otrzymałam posadę nauczycielki itd., następnie, jak spadł na mnie majątek, jak odkryłam moich krewnych. Oczywiście imię Saint-Johna Riversa pojawiało często w moim opowiadaniu. Gdy skończyłam, pan Rochester to imię natychmiast podchwycił.

— Ten Saint-John zatem jest twoim kuzynem?

— Tak jest.

— Wspominałaś go często. Czy ty go lubisz?

— To bardzo dobry człowiek, panie, nie mogłabym go nie lubić.

— Dobry człowiek. Czy to znaczy, że jest to przyzwoity i godny, pięćdziesięcioletni mężczyzna czy też co innego?

— Saint-John, panie, ma dopiero dwadzieścia dziewięć lat.

— *Jeune encore*²⁸⁶, jak mówią Francuzi. Czy to osoba niskiego wzrostu, flegmatyczna i brzydka? Osoba, której dobroć polega raczej na braku wyraźnych win niż na dzielnym uprawianiu cnót?

— Saint-John jest niezmordowanie czynny. Żyje tylko pragnieniem spełniania wielkich, wzniosłych czynów.

— Ale umysł jego? Prawdopodobnie raczej ograniczony? Ma dobre chęci, ale wzruszasz ramionami, gdy słuchasz, co mówi?

— Saint-John mało mówi, panie, a to, co mówi, jest zawsze trafne. Umysł ma wybitny, powiedziałabym, że nie tyle wrażliwy, ile potężny.

— Jest to więc człowiek zdolny?

— Bardzo.

— I prawdziwie wykształcony?

— Nie tylko wykształcony, ale głęboko uczony.

— Ale jego maniere, zdaje mi się, że mówiłaś, iż jego maniere nie są w twoim guście, jest to zarozumiały pedant i trąci kaznodzieją?

— Nic nie mówiłam o jego manierach, ale musiałabym mieć bardzo zły smak, gdyby mi się nie podobały. Jest dobrze wychowany, taktowny i spokojny.

— Zapomniałam, jak opisywałaś jego wygląd. Jest to surowy wikary, duszący się w białym, ciasnym kołnierzyku, chodzący jak na szrudłach, w butach o grubych podszwach, co?

— Saint-John dobrze się ubiera. Jest to przystojny mężczyzna: wysoki, blondyn o niebieskich oczach i greckim profilu.

— A niechaj go diabli! — zaklął na boku, a do mnie powiedział: — Czy lubiłaś go, Jane?

— Tak, panie, lubiłam go, ale już mnie pan przedtem o to pytał.

Spostrzegłam, naturalnie, co się święci. Zazdrość go opanowała i ukłuła, ale to było ukłucie zbawienne, gdyż wyrwało go z dręczących szpon melancholii. Nie chciałam przeto natychmiast odpędzać smoka.

— Może by pani zechciała się odsunąć, panno Eyre — usłyszałam trochę niespodziewaną uwagę.

— Dlaczego, panie?

— Obraz, który pani w tej chwili nakreśliła, przedstawia kontrast trochę zanadto uderzający. Bardzo ładnie opisała pani urodziwego Apollina²⁸⁷, w myśli widzi go pani: wysokiego, niebieskookiego, o jasnych włosach i o greckim profilu. A czy pani spoczywają na Wulkanie²⁸⁸, prawdziwym kowalu, śniadym, o szerokich barach i kalece w dodatku.

— Nigdy mi to na myśl nie przyszło, ale pan doprawdy jest raczej podobny do Wulkana.

²⁸⁶*jeune encore* (fr.) — jeszcze młody. [przypis edytorski]

²⁸⁷*Apollin* a. *Apollo* — grecki i rzymski bóg piękna, światła, życia, śmierci, muzyki, wróżb, patron sztuki i poezji. [przypis edytorski]

²⁸⁸*Wulkan* — rzymski bóg ognia i rzemiosł metalurgicznych. [przypis edytorski]

— Więc proszę, niechże mnie pani opuści, ale zanim pani pójdzie — tu przytrzymał mnie silniejszym ujęciem niż dotąd — proszę mi łaskawie odpowiedzieć na parę pytań.

Umilkł.

— Na jakie pytania?

Teraz rozpoczął się egzamin.

— Saint-John dał ci posadę nauczycielki szkoły w Morton, zanim się dowiedział, że jesteś jego krewną?

— Tak, panie.

— Czy często go widywałeś? Czy odwiedzał szkołę niekiedy?

— Codziennie.

— Czy pochwalał twoje plany, Jane? Wiem, że musiały być mądre, gdyż z ciebie takie zdolne stworzenie!

— Owszem, pochwalał je.

— Z pewnością odnajdywał w tobie wiele rzeczy, których się nie spodziewał znaleźć? Pod pewnymi względami jesteś niezwykle wykształcona.

— Nic o tym nie wiem.

— Mówiłaś, że miałaś mieszkanie obok szkoły. Czy Rivers przychodził tam niekiedy odwiedzić cię?

— Czasami.

— Wieczorem?

— Raz czy dwa razy.

Tu nastąpiło milczenie.

— Jak długo mieszkałaś z Saint-Johnem i jego siostrami po odkryciu, że istnieje pokrewieństwo między wami?

— Pięć miesięcy.

— Czy Rivers wiele czasu spędzał z rodziną?

— Owszem, pokój bawialny służył za pokój do pracy tak dla niego, jak dla nas. On siedział pod oknem, a my przy stole.

— Czy dużo pracował?

— Bardzo dużo.

— Nad czym?

— Studiował język hindustański.

— A ty tymczasem co robiłaś?

— Z początku uczyłam się niemieckiego.

— Czy to on ciebie uczył?

— Saint-John nie zna niemieckiego.

— Czy niczego cię nie uczył?

— Owszem, trochę hindustańskiego.

— Rivers uczył cię hindustańskiego?

— Tak, panie.

— I swoje siostry także?

— Nie!

— Tylko ciebie?

— Tylko mnie.

— Czy prosiłaś go, żeby cię uczył?

— Nie.

— On sam chciał cię uczyć?

— Tak jest.

Znowu milczenie.

— Dlaczego chciał cię uczyć? Na cóż mógł się tobie przydać język hindustański?

— Saint-John pragnął zabrać mnie ze sobą do Indii.

— Ach! Oto dotarłem do jądra całej sprawy. Więc on chciał się z tobą ożenić?

— Prosił mnie, bym została jego żoną.

— To wymysł, to bezczelny wymysł, żeby mnie rozdrażnić.

— Bardzo pana przepraszam, ale to dosłowna prawda. Prosił mnie i tę prośbę powtarzał kilkakrotnie i z takim uporem, na jaki tylko pan potrafiłby się zdobyć.

— Panno Eyre, powtarzam, może mnie pani opuścić. Ileż razy mam pani to samo powtarzać? Dlaczego siedzi pani uporczywie przy mnie, kiedy ja pani powiedziałem, że ma pani się odsunąć?

— Dlatego, że mi tu dobrze.

— Nie, Jane, nie jest ci tutaj dobrze, gdyż serce twoje nie przebywa ze mną. Serce oddałaś kuzynowi swemu, Saint-Johnowi. Ach, do tej chwili myślałem, że Jane jest w zupełności i tylko moja! Wierzyłem, że mnie kocha; nawet wtedy, gdy mnie opuszczała, był to atom słodkości w kielichu gorzkości. Choć tak długo byliśmy rozdzieleni, choć tak gorącymi łzami oblałem nasze rozstanie, nigdy nie przypuszczałem, że gdy ja ją oplakuję, ona kocha innego! Ale daremnie narzekać. Jane, opuść mnie, odejdz i wyjdź za Riversa.

— Więc niech mnie pan odepchnie, gdyż nie opuszczę pana z własnej woli.

— Jane, ja tak lubię ton twojego głosu, który zawsze budzi we mnie nadzieję, bo brzmi tak szczerze. Słyszając go, przenoszę się wstecz o rok. Zapominam, żeś nowy zadzierzgnęła węzeł. Ale nie chcę być głupcem. Idź...

— Dokąd mam iść, panie?

— W swoją drogę... Z mężem, którego wybrałaś.

— A kto nim jest?

— Przecież wiesz, ten Saint-John Rivers.

— On nie jest moim mężem i nigdy moim mężem nie będzie. On mnie nie kocha, ani ja go nie kocham. On kocha (o ile potrafi kochać, ale inaczej, niż pan...) piękną, młodą pannę, Rosamond jej na imię. Chciał się ze mną ożenić jedynie dlatego, że sądził, iż byłabym odpowiednia na żonę dla misjonarza, którą by Rosamond nie była. Saint-John to dobry człowiek i wielki, ale surowy, a w stosunku do mnie zimny jak lodowiec. On nie jest podobny do pana, ja nie czuję się dobrze przy nim, obok niego ani z nim. Nie ma dla mnie pobłażliwości ani żadnych ciepłych uczuć. Nic go we mnie nie pociąga, nawet moja młodość. Widzi we mnie tylko kilka pożytecznych właściwości umysłu... Więc mamże pana opuścić i wracać do niego?

Zadrzałam mimo woli i instynktownie przygarnęłam się bliżej do mego ocieniałego, ukochanego pana. Uśmiechnął się.

— Co mówisz, Jane! Czy to prawda? Czy istotnie tak się mają sprawy między tobą a Riversem?

— Tak, panie mój! O, nie potrzebujesz być zazdrosny! Chciałam się z tobą odrobinę podroczyć, ażebyś się trochę otrząsnął ze smutku. Myślałam, że gniew lepszy będzie od zgrzyoty. Ale jeżeli pragniesz, bym cię kochała, gdybyś mógł pojąć, jak bardzo cię kocham, byłbyś dumny i zadowolony. Całe moje serce jest twoje, mój panie, do ciebie ono należy i z tobą pozostanie, gdyby nawet los wygnał mnie od ciebie na zawsze.

I znowu, gdy mnie całował, bolesne myśli zasępiły mu lica.

— Mój wzrok wygasł! Moje kalectwo... — szepnął z żalem.

Popieściłam go na pociechę. Wiedziałam, o czym myślał, i miałam ochotę przemówić za niego, ale nie śmiałam. Gdy odwrócił twarz na chwilę, ujrzałam łzę, spływającą spod przywartej powieki i staczającą się po policzku. Serce moje wezbrało.

— Nie lepszy jestem od starego piorunem strzaskanego kasztanu w Thornfield — zauważył. — Jakież prawo miałaby tamta ruina prosić pnącz młody, by świeżością zakrył jej zniszczenie?

— Nie jesteś żadną ruiną, panie mój, nie jesteś drzewem, strzaskanym piorunem, młody jesteś i mocny. Rośliny rosnąc będą dokoła ciebie, czy będziesz je o to prosił czy nie, gdyż cieszyć się będą twoim dobroczynnym cieniem. A rosnąc, ku tobie będą się chylić i dokoła ciebie oplatać, ponieważ siła twoja tak bezpieczne da im oparcie.

Uśmiechnął się znowu, widocznie pocieszały go moje słowa.

— Ty masz na myśli przyjaciół, Jane? — zapytał.

— Tak, przyjaciół — odpowiedziałam, wahając się trochę, miałam bowiem na myśli więcej niż przyjaciół, ale nie wiedziałam, jakiego innego mam użyć słowa. On mi dopomógł.

— Ach, Jane! Ale ja żony pragnę!

— Doprawdy, panie?

— Tak. Czy to dla ciebie nowina?

— Naturalnie, nic pan o tym przedtem nie wspominał.

— Czy to niepożądana nowina?
 — To zależy od okoliczności. Od tego, kogo pan wybierze.
 — Ty wybierz za mnie, Jane. Zgodzę się na twoją decyzję.
 — Niechże więc pan tę wybierze, która pana kocha najlepiej.
 — To już wolę wybrać tę, którą ja najlepiej kocham. Jane, chcesz być moją żoną?
 — Chcę, panie.
 — Żoną biednego ślepcy, którego będziesz musiała prowadzić za rękę?
 — Tak, panie, chcę.
 — Kaleki, o dwadzieścia lat starszego od ciebie, któremu będziesz musiała usługiwać?
 — Tak, panie, chcę.
 — Czy to prawda, Jane?
 — Najprawdziwsza prawda, panie.
 — O moje kochanie! Niechaj cię Bóg błogosławi i niech ci wynagrodzi!
 — Panie Rochester, jeżeli kiedykolwiek w życiu spełniłam dobry uczynek, miałam myśl dobrą, zmówiłam modlitwę szczerą i niewinną, powzięłam poczciwy zamiar, mam za to teraz nagrodę. Być twoją żoną to dla mnie największe szczęście w życiu.
 — Ponieważ miłujesz poświęcenie.
 — Poświęcenie! Cóż poświęcam? Głód w zamian za pokarm, oczekiwanie za zadowolenie. Mieć prawo objąć ramionami to, co cenię, przycisnąć usta do tego, co kocham, oprzeć się na tym, czemu ufam... Czy to znaczy spełniać poświęcenie? Jeżeli tak, to zaiste miłuję poświęcenie.
 — Ale trzeba będzie znosić moje kalectwa, Jane, ciągle patrzeć na moje braki...
 — Te dla mnie nie istnieją, panie mój. Kocham cię jeszcze bardziej teraz, kiedy mogę ci być rzeczywiście użyteczna, niż wtedy, kiedy dumny i niezależny gardziłeś wszelką inną rolą, oprócz roli dawcy i opiekuna.
 — Ja dotychczas nie cierpiałem pomocy, nie znosiłem, by mnie prowadzono. Teraz czuję, że będzie inaczej. Nie lubiłem brać w rękę dłoni sługi, ale miło jest poczuć, że rękę moją otaczają drobne paluszki Jane. Woląłem zupełną samotność niż ciągłą obecność ludzi najemnych, ale miłe usługi Jane będą źródłem ciągłej radości. Jane mi się podoba, ale czy ja jej się podobam?
 — O tak, panie, najzupełniej.
 — Skoro tak jest, nie mamy na co czekać, musimy się pobrać natychmiast.
 Wyglądał i mówił zwawo, budziła się w nim dawna gwałtowność.
 — Musimy się połączyć bez zwłoki, Jane, trzeba tylko wydostać licencję, a potem odbędzie się ślub.
 — Panie Rochester, właśnie spostrzegłam, że słońce dobrze się już przechyliło z południa i Pilot poszedł do domu na obiad. Niech mi pan pozwoli spojrzeć na swój zegarek.
 — Przypnij go sobie do paska, Jane, mnie on niepotrzebny.
 — Dochodzi czwarta, panie. Nie czuje pan głodu?
 — Pojutrze musi się odbyć nasz ślub, Jane. Mniejsza teraz o piękne suknie i klejnoty, wszystko to nie jest warte grosza.
 — Panie, słońce osuszyło kropelki deszczu. Wietrzyk ustał, zrobiło się gorąco.
 — Czy wiesz, Jane, że ja twój naszyjnik z perełek mam na szyi pod krawatem? Noszę go stale od dnia, gdy straciłem swój skarb jedyny, jako pamiątkę po tobie.
 — Wrócimy do domu przez las, ta droga w cieniu będzie miłsza.
 Snuł wątek myśli, nie zważając na mnie.
 — Jane! Ty mnie zapewne uważasz za niereligijnego łotra, ale serce moje właśnie teraz wzbiera wdzięcznością ku dobrotliwemu Bogu. Bóg nie tak widzi jak człowiek, ale o wiele jaśniej. Sądzi nie tak jak człowiek, ale o wiele mądrzej. Źle postąpiłem, byłbym skalał mój niewinny kwiatek, winę tchnął na jego czystość, Wszchemogący mi go odebrał. Ja w zuchwałym buncie nieledwie przeklinałem boskie zrządzenie, zamiast poddać się wyrokowi, bluźniłem mu. Boska sprawiedliwość poszła swoim torem, spadły na mnie nieszczęścia, musiałem przejść blisko śmierci. Jego kary są potężne, a dotknęła mnie taka, która upokorzyła mnie raz na zawsze. Ty wiesz, jak dumny byłem ze swej siły. Czymże jest ona teraz, gdy muszę się zdawać na obce przewodnictwo, jak dziecko okazujące swoją słabość rodzicom. W ostatnich czasach dopiero... W ostatnich czasach zacząłem widzieć

Miłość spełniona, Szczęście

Pokora

i uznawać rękę bożą w mej niedoli. Zaczęłam odczuwać wyrzut sumienia, żal, pragnienie pogodzenia się ze Stwórcą. Zaczęłam modlić się niekiedy, bardzo to krótkie były modlitwy, ale bardzo szczerze. Parę dni temu... Mogę nawet porachować dni... Przed czterema dniami, zeszłego poniedziałku w nocy, opanował mnie dziwny nastrój, żal zastąpił rozpacz, smutek posępne zgnębienie. Od dawna miałem wrażenie, że skoro nigdzie odnaleźć cię nie mogę, więc musisz już nie żyć. Późno owej nocy, było to może między jedenastą a dwunastą, zanim się udałem na spoczynek, błagałem Boga, by jeżeli to zgadza się z Jego wolą, zabrał mnie prędko z tego świata i dopuścił do tamtego, gdzie jeszcze mogłem mieć nadzieję połączenia się z Jane. Siedziałem w pokoju przy otwartym oknie, koło mnie balsamiczne powietrze nocne. Chociaż nie mogłem widzieć gwiazd, niewyraźna, świetlista mgielka zwiastowała mi obecność księżyca. Tęskniłem za tobą, Jane! Och, jak tęskniłem za tobą, duszą i ciałem! Pytałem Boga w męce i pokorze, czy nie dość długo jestem opuszczony, smutkiem dotknięty, udręczony, czy nie zaznam nareszcie szczęścia i spokoju. Uznawałem, że zasłużyłem na wszystkie cierpienia, skarżyłem się, że już więcej znieść nie mogę, i nagle, mimo woli, cała treść życzeń serdecznych wydarła mi się z ust słowami: „Jane! Jane! Jane!”.

— Czy pan wymówił te słowa głośno?

— Tak, Jane. Gdyby mnie kto był słyszał, pomyślałby, że zwariowałem, z tak szaloną wymówiłem je energią.

— A działo się to w poniedziałek nocą, około północy?

— Tak, ale czas tutaj nic nie znaczy. To, co nastąpiło potem, jest najdziwniejsze. Pomyślisz, że jestem zabobonny... Może trochę byłem i jestem przesądny, pomimo to jest to rzeczywiście prawda, prawda w każdym razie, że słyszałem to, o czym opowiadam. Otóż, gdy zawołałem: „Jane! Jane! Jane!”, odpowiedział mi głos. Skąd pochodził, nie wiem, ale czyj był, poznałem. Odpowiedział mi: „Przychodź! Czekaj na mnie!”. A w chwilę potem z wiatrem doleciał mnie szept: „Gdzie jesteś?”. Powiem ci, o ile potrafię, jaką myśl, jaki obraz słowa te nasunęły mojej duszy. Jednakże trudno jest wyrazić to, co chciałbym powiedzieć. Ferndean, jak widzisz, zagrzebane jest w gęstym lesie, odgłosy zapadają się głucho, zamierają bez echa. To „Gdzie jesteś?” zdawało się być wymówione wśród gór, gdyż słyszałem echo górskie, powtarzające te wyrazy. Chłodniejszy i świeższy wicher owiewał mi w tamtej chwili skronie, mogłem sobie wyobrazić, że w jakiejś dzikiej, samotnej okolicy Jane i ja spotykamy się. W duchu wierzę, że musieliśmy się spotkać wtedy. Ty z pewnością byłaś w tej godzinie pogrążona w nieświadomym śnie, Jane. Może to twoja dusza opuściła swoją siedzibę, by moją duszę pocieszyć, gdyż były to twoje słowa, jestem tego tak pewny, jak tego, że żyję.

Ja także w poniedziałek nocą, około północy, otrzymałam owo tajemnicze wezwanie. Tymi to właśnie słowami odpowiedziałam na nie. Wysłuchałam opowiadania pana Rochester, ale nie opowiedziałam nawzajem tego, co mnie spotkało. Ten zbieg rzeczy wydał mi się zbyt niepojęty, by go roztrząsać. Moje opowiadanie wywarłoby głębokie wrażenie na duszy słuchacza, a duszy tej, jeszcze na skutek cierpienia zbyt skłonnej do melancholii, nie służyłby głęboki cień nadprzyrodzonych możliwości. Zatrzymałam więc to, co wiedziałam, przy sobie, i rozważałam we własnym sercu.

— Nie możesz się przeto dziwić — mówił dalej mój pan — że gdy zjawiła się przy mnie wczorajszego wieczora tak niespodziewanie, trudno mi było uwierzyć, że jesteś czymś więcej niż głosem i zjawą, co rozplynie się w milczeniu i niebycie, jak ów północny szept i echo górskie. Teraz, dzięki Bogu, wiem, że jest inaczej. Tak, dziękuję Bogu!

Wstał i z czcią zdjąwszy kapelusz, chyląc ku ziemi niewidome oczy, stał w niemej modlitwie. Tylko ostatnie wyrazy wymówił dosłyszalnie:

— Dziękuję Stwórcy, Panu swemu, że sądząc mnie, nie zapomniał o miłosierdziu. Pokornie błagam Jezusa Odkupiciela, by dał mi siłę do prowadzenia czystszej niż dotychczas życia.

Po czym wyciągnął rękę, ażeby go mogła prowadzić. Ujęłam ją, przycisnęłam na chwilę do ust, a potem oparłam tę drogą rękę na swym ramieniu. Będąc o wiele niższa wzrostem od niego, mogłam mu służyć zarazem za podporę i za przewodnika. Weszliśmy do lasu i zawróciliśmy ku domowi.

ROZDZIAŁ XXXVIII. ZAKOŃCZENIE

Ślub

Zostałam jego żoną. Nasz ślub odbył się cicho: on, ja, duchowny i kościelny — nikt więcej nie był obecny. Gdy wróciliśmy z kościoła do domu, poszłam do kuchni, gdzie Mary gotowała obiad, a John czyścił noże, i powiedziałam:

— Mary, dziś rano odbył się mój ślub z panem Rochesterem.

Gospodyni i jej mąż byli oboje z rzędu tych przyzwoitych, flegmatycznych ludzi, z którymi bezpiecznie można podzielić się zadziwiającą wiadomością, nie narażając się na przebicie uszu jakimś przeraźliwym wykrzyknikiem, by następnie ogłuchnąć od potoku wymownych dziwowań. Mary spojrzała na mnie, ale nie wytrzeszczyła oczu. Łyżka, którą polewała parę piekących się na ogniu kurcząt, zawisła minutę w powietrzu, na równie długo John zawiesił czyszczenie noży. Jednakże Mary, schylając się znów nad rusztem, powiedziała tylko:

— Doprawdy, panienko? To niespodzianka!

Po chwili dodała:

— Widziałam, że panienka wychodziła z panem, ale nie wiedziałam, że państwo poszli do kościoła, żeby wziąć ślub.

I polewała dalej masłem kurczęta. John, gdy się ku niemu obróciłam, śmiał się cicho, ale od ucha do ucha.

— Mówiłem Mary, jak to będzie — rzekł — ja wiedziałem, co pan Edward — John był starym sługą i znał swego pana, gdy był jeszcze młodszym synem w domu, toteż często nazywał go po imieniu. — ja wiedziałem, co pan Edward robi. I byłem pewien, że długo czekać z tym nie będzie. I dobrze zrobił, podług mego zdania. Winszuję pani! — I wstawszy, uklonił się grzecznie.

— Dziękuję wam, Johnie. Pan Rochester polecił mi dać to wam i Mary.

Wsunęłam mu w rękę banknot pięćofuntowy i nie czekając dłużej, wyszłam z kuchni. Nieco później, przechodząc obok drzwi tego sanktuarium, posłyszałam te słowa:

— Ona z pewnością będzie lepsza dla niego niż któraś z tych wielkich pań. A poza tym, chociaż nie jest jedną z najpiękniejszych, nie jest brzydka i bardzo jest pocziwa. A w jego oczach była zawsze bardzo piękna, każdy mógł to widzieć.

Napisałam natychmiast do Moore House i do Cambridge, donosząc, co uczyniłam, i zarazem podając im obszernie motywy swego kroku. Diana i Mary pochwały krok mój bez zastrzeżeń. Diana oświadczyła, że zaczeka tylko, aż skończy się miesiąc miodowy, a wtedy przyjedzie mnie odwiedzić.

— Niech lepiej na to nie czeka, Jane — powiedział pan Rochester, gdy mu list jej przeczytałam — gdyż gotowa zbyt długo czekać. Nasz miesiąc miodowy trwać będzie przez całe życie, promienie jego zgasną dopiero nad twoim grobem albo nad moim!

Jak Saint-John przyjął tę wiadomość, nie wiem. Nie odpowiedział mi na list, w którym mu ją przesałam, dopiero w pół roku później napisał do mnie, nie wspominając jednakże imienia pana Rochester ani nie czyniąc wzmianki o moim zamążpójściu. List był spokojny i chociaż bardzo poważny, zarazem życzliwy. Utrzymuje odtąd regularną, chociaż nieczęstą korespondencję ze mną. Pisze, że spodziewa się, że jestem szczęśliwa, i ufa, że nie jestem z tych, którzy żyją w świecie bez Boga i dbają tylko o sprawy doczesne.

Co słyhać z małą Adelą, spytacie. Nie zapomniałam o niej. Wkrótce uzyskałam od pana Rochester pozwolenie na wyjazd i odwiedzenie jej w szkole, gdzie ją umieścił. Jej szalona radość na mój widok mocno mnie wzruszyła. Wyglądała blado i była szczupła, skarżyła się, że nie jest jej tam dobrze. Po zbadaniu okazało się, że regulamin w tym zakładzie jest nadmiernie surowy, a kurs nauk, jak dla dziecka jej wieku, zbyt obszerny. Zabrałam ją ze sobą do domu. Zamierałam być znowu jej nauczycielką, wkrótce jednak przekonałam się, że to jest niemożliwe. Czasu mego i starań ktoś inny teraz potrzebował: mój mąż pochłaniał je całkowicie. Toteż wyszukałam szkołę prowadzoną łagodniejszym systemem i niezbyt odległą, tak że mogłam Adelę często odwiedzać i raz po raz zabierać do domu. Starłam się, by nigdy nie zbywało jej na niczym. Wkrótce zadowoliła się w nowej siedzibie, czuła się tam bardzo dobrze i robiła duże postępy w nauce. W miarę, jak się rozwijała, zdrowe angielskie wychowanie poprawiło w znacznej mierze jej francuskie właściwości, a po skończeniu szkoły znalazłam w niej miłą i oddaną towarzyszkę, uległą, pogodnego usposobienia i dobrych zasad. Wdzięcznym przywiązaniem do mnie

i do moich reguł odpłaciła mi już dawno tę odrobinę dobroci, jaką jej kiedykolwiek mogłam wyświadczyć.

Moja opowieść zmierza do końca, jedno jeszcze słowo o mych przeżyciach małżeńskich, jeden krótki rzut oka na losy tych, których imiona najczęściej pojawiały się w tej opowieści, a odłożę pióro.

Jestem zamężna od lat dziesięciu. Wiem, co to znaczy żyć całkowicie dla tego i z tym, którego kocham nad wszystko w świecie. Uważam się za nieskończenie szczęśliwą, za szczęśliwą ponad wszelki wyraz, gdyż w całej pełni jestem życiem mojego małżonka, tak jak on jest moim. Nigdy żadna kobieta nie była bliższa ode mnie towarzyszowi swemu, nigdy bardziej kością jego kości i krwią krwi jego. Nigdy mnie nie nuży towarzystwo mojego Edwarda, ani jemu nie przykrzy się moje — tak jak nas nie nuży tętno serc naszych, bijących odrębnie w jego i w mojej piersi, toteż jesteśmy ciągle razem. Być razem to znaczy dla nas być zarazem wolnymi, jak w samotności, i wesołymi, jak w towarzystwie. Rozmawiamy, zdaje mi się, jak dzień długi. Rozmowa jest dla nas tylko żywszą i głośniejszą formą myślenia. Ja całe zaufanie w nim pokładam, on nawzajem we mnie, jesteśmy doskonale dobrani charakterami, stąd wynika doskonała zgoda.

Pan Rochester pozostał niewidomy przez pierwsze dwa lata naszego pożycia. Może to zbliżyło nas tak bardzo, spoiło nas tak ściśle, bo wtedy ja byłam jego wzrokiem, tak jak dotąd jestem jego prawą ręką. Byłam dosłownie (tak jak mnie nazywał) żrenicą jego oka. Widział przyrodę, widział książki przeze mnie, ja zaś nigdy nie nużyłam się patrzeniem dla niego, ujmowaniem w słowa wrażeń pola, drzewa, miasta, rzeki, chmury, promienia słonecznego, krajobrazu przed nami, pogody i udzielaniem dźwiękowo jego uchu tego, czego obrazowo okiem nie mógł wchłonąć. Nigdy też nie nużyło mnie czytanie mu ani prowadzenie go, dokąd chciał, czynienie, czego sobie tylko życzył. I znajdowałam przyjemność w tym usługiwaniu — pełną, głęboką, wcale nie smutną, ponieważ prosił o te usługi bez przykrego wstydu, bez bolesnego poczucia upokorzenia. Kochał mnie tak prawdziwie, że nigdy się nie zawahał korzystać z mojej pomocy. Wiedział, że kocham go tak czule, iż dając mu tę pomoc, dogadzam własnym najmilszym pragnieniom.

Pewnego ranka przy końcu drugiego roku, gdy pisałam list pod jego dyktando, zbliżył się i nachylił nade mną, mówiąc:

— Czy ty masz jakąś błyszczącą ozdobę dokoła szyi, Jane?

Miałam złoty łańcuszek od zegarka. Odpowiedziałam:

— Tak.

— A czy masz na sobie bładoniebieską suknię?

Tak było. Powiedział mi wtedy, że już od pewnego czasu wydawało mu się, że ciemność, otaczająca jedno oko, zaczyna się robić mniej gęsta, a teraz upewnił się o tym.

Pojechaliśmy do Londynu. Poradził się wybitnego okulisty i do pewnego stopnia odzyskał wzrok w tym jednym oku. Nie może obecnie widzieć bardzo dokładnie, nie może czytać wiele ani pisać, ale trafi wszędzie bez prowadzenia. Niebo i ziemia nie są już pustką dla niego. Gdy mu pierworodnego podano, mógł rozpoznać, że chłopczyk odziedziczył jego własne oczy, takie, jakimi niegdyś były — wielkie, pełne blasku i czarne. Wtedy znowu w pełni serca uznał, że Bóg sprawiedliwość złagodził miłosierdziem.

Mój Edward i ja jesteśmy więc szczęśliwi, tym bardziej, że szczęściem się cieszą również ci, których najwięcej kochamy. Diana i Mary Rivers wyszły za mąż. Kolejno w ciągu roku przyjeżdżają nas odwiedzić, a my jeździmy w odwiedziny do nich. Mąż Diany jest kapitanem marynarki, dzielnym oficerem i dobrym człowiekiem. Mąż Mary jest duchownym, przyjacielem szkolnym jej brata, z wykształcenia i zasad godzien rodziny, której został członkiem. Obydwaj, kapitan Fitzjames i pan Wharton, kochają swoje żony, wzajemnie przez nie kochani.

Saint-John Rivers opuścił Anglię i udał się do Indii. Wszedł na drogę, którą sobie wybrał, i idzie nią dotąd. Odważniejszy, bardziej niezmordowany pionier nigdy nie borykał się wśród skał i niebezpieczeństw. Wytrwały, wierny i oddany, gorliwy, pełen energii i prawdy, pracuje dla dobra swych bliźnich. Oczyszcza trudną ich drogę ku doskonałemu, rąbie jak olbrzym uprzedzenia wiary i kasty, jakie ją zarastają. Jest, być może, surowy, jest może wymagający, jest może także ambitny. Ale surowość jego to surowość rycerza chrześcijańskiego, który chroni orszak pielgrzymów od napaści szatana. Wymagający jest jako apostoł, który przemawia tylko w imię Chrystusa: „Jeśli kto chce pójść za Mną, niech

Miłość spełniona,
Małżeństwo

Rodzina, Dziecko, Szczęście

się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladowe”²⁸⁹. Ambitny jest jak duch silny, pragnący stanąć w pierwszym rzędzie odkupionych, tych, co stoją bez winy przed tronem Bożym, uczestniczą w ostatnich, potężnych zwycięstwach Baranka, tych, co są powołani, wybrani i wierni.

Saint-John się nie ożenił, nie ożeni się już nigdy. Sam dotychczas podejmował trud, a trudowi temu bliski koniec. Jasne słońce jego chyli się ku zachodowi. Ostatni list, który od niego otrzymałam, wycisnął mi z oczu ludzkie łzy, choć niebiańską radością nappełnił serce: wyrażał nadzieję pewnej nagrody, korony niebieskiej. Wiem, że obca ręka napisze do mnie wkrótce, donosząc, że dobry i wierny sługa poszedł wreszcie radować się u Pana. I dlaczego mam płakać? Lęk przed śmiercią nie zakłóci ostatniej godziny Saint-Johna, jasności duszy jego nie zamroczy chmura, z sercem niezłomnym, nadzieją, niezachwianą wiarą będzie umierał. Własne jego słowa mi to poręczają: „Pan mój — pisze — ostrzegł mnie. Codziennie coraz wyraźniej oznajmia mi: «Z pewnością przyjdę niebawem!». A ja co godzinę z coraz większym utęsknieniem odpowiadam: «Amen. O Panie Jezu, przybywaj!»”.

SŁÓW KILKA O CHARLOTTE BRONTË

Sieroctwo dotknęło Charlotte Brontë bardzo wcześnie. Gdy miała pięć lat (1821), zmarła jej matka. Cztery lata potem dziewięcioletnia dziewczynka po śmierci dwóch starszych siostr (w ciągu kilku tygodni) zostaje głową małej rodziny, złożonej z czworga bardzo zdolnych dzieci. Ojciec wprawdzie żyje, ale jako pięćdziesięcioletni prawie człowiek nie może być bliskim towarzyszem tego drobiazgu. Zresztą zajmują go mocno sprawy polityczne i religijne, którym poświęca swoje pióro, i absorbuje ciężka praca duszpasterska w parafii Haworth²⁹⁰. Domem opiekuje się wprawdzie ciotka Charlotte, siostra matki, ale przeniesiona z jasnego południa Anglii w mroczną, podgórską okolicę, czuje się w tej atmosferze nieswojo mimo całej dobroci, jaką wkłada w relację z podopiecznymi. Dzieci chowają się razem — trzy siostry i jeden brat, w pokoju, którego okna wychodzą na cmentarz, oddzielony tylko kawałkiem trawnika od domu. Na cmentarz, gdzie wkrótce wszyscy, z wyjątkiem jednej tylko Anne²⁹¹, spoczną. Spędzają razem cały dzień, jedzą i uczą się, bawią się bez żadnego towarzystwa z okolicy i przede wszystkim marzą. Z okien sypialnych rektorówki²⁹², wznoszącej się tuż przy kościele na samym szczycie stromego pagórka, dzieci widzą szereg owalnych wzgórz, tzw. *moors*²⁹³, porośniętych bujnymi trawami latem, pełnych złotego żarnowca na wiosnę i fioletowych wrzosów jesienią, z licznymi źródełkami, tryskającymi spod spotykanych tu i ówdzie skał. Ostry wiatr górski przynosił z sobą zapach bezmiernej swobody i szorstkiej prawdy natury, która znalazła odbicie w opisach przyrody Charlotte Brontë, ale przede wszystkim najpełniej wyraziła się w mistycznym, żywiołowym ujęciu w rysunku tła *Wichrowych wzgórz*²⁹⁴, powieści Emily²⁹⁵, siostry Charlotte. Dzieci przywiązały się niezmiernie do tego krajobrazu swobody, samotności i tajemnicy, a gdy wyjeżdżały stąd, cierpiały i popadały w nostalgię — musiały wracać do domu. Życie wszystkich czworga było krótkie. Troje z nich umarło w ciągu niespełna roku (1848–49): brat, Branwell²⁹⁶, doskonale zapowiadający się poeta, w trzydziestym pierwszym roku życia, Emily, autorka jedynej dochowanej, wyżej wspomnianej powieści, bodajże największej angielskiej powieści kobiecej XIX wieku, ledwie skończywszy lat trzydzieści, Anne, najmłodsza, mając lat niespełna dwadzieścia osiem, zostawiając po sobie dwie słabsze powieści, choć z pewnością rozwinęłyby się bujniej. Charlotte przeżyła ich o siedem lat, umarła w 1855 roku, dobiegłszy ledwo 39 lat. W tych

²⁸⁹ *Jeśli kto chce pójść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladowe* — Mt 16, 24 (cytat za *Biblią Tysiąclecia*). [przypis edytorski]

²⁹⁰ *Haworth* — historyczna miejscowość w hrabstwie West Yorkshire w Anglii. [przypis edytorski]

²⁹¹ *Brontë, Anne* (1820–1849) — angielska pisarka, siostra Charlotte. [przypis edytorski]

²⁹² *rektorówka* — probostwo w kościele anglikańskim. [przypis edytorski]

²⁹³ *moors* (ang.) — otwarte, nieuprawiane wyżyny, zwykle porośnięte wrzosowiskami. [przypis edytorski]

²⁹⁴ *Wichrowe wzgórza* — powieść Emily Brontë (1818–1848), opublikowana pod pseudonimem Ellis Bell w 1847 r. [przypis edytorski]

²⁹⁵ *Brontë, Emily* (1818–1848) — angielska powieściopisarka i poetka, siostra Charlotte. [przypis edytorski]

²⁹⁶ *Brontë, Branwell* (1817–1848) — angielski malarz, pisarz i poeta, brat Charlotte. [przypis edytorski]

krótkich żywotach było miejsce niemal tylko na naukę i na początki wykonywania zawodu nauczycielskiego, do którego sposobie się musiały córki niezamożnego duchownego. Toteż motyw nauki, szkoły, pensji, pracy nauczycielskiej, przeplatany z wątkiem nostalgii, wypełnia prawie całkowicie tak życie, jak twórczość czworga zdolnych dzieci pastora z Haworth.

Pierwsze silniejsze wrażenie z życia Charlotte to szkoła w Cowan Bridge²⁹⁷. Przebywała ona tam krótko, ale przecierpiała wiele i widziała cierpienia dwóch starszych siostr, które przypłaciły śmiercią pobyt w tym zakładzie wychowawczym dla córek niezamożnych duchownych. Myśl fundatora zakładu, w zasadzie dobra, i jego ofiara, niewątpliwie szczerza, zostały spacone przez zbytne doktrynerstwo. W dziewczynkach, przeznaczonych do późniejszej roli guwernantek, starano się wyrabiać zdolność do wyrzekania się wszelkich wygod świeckich i przyjemności. Przy nieumiejętnej kontroli ze strony fundatora i złej woli jednej z nauczycielek Cowan Bridge w okresie pobytu tam czterech córek pastora Brontë było bolesnym dziecięcym *inferno*²⁹⁸. Tyfus, który wybuchł w zakładzie, tak nadszarpał siły dziewcząt, że chociaż ojciec zabrał je do domu, Elizabeth i Maria zmarły po kilku miesiącach. Maria była podobno niezwykle zdolna, Charlotte kochała ją głęboko. Wykorzystała jej postać i śmierć do epizodu Helen Burns w pierwszej części *Dziwnych losów Jane Eyre*, gdyż Lowood to właśnie nieszczęsne Cowan Bridge. Zarzucano jej przesadę w traktowaniu tego tematu. Ale czyż artysta nie ma prawa oddać przeżycia swego w całej pełni? A niewątpliwie było ono tak bolesne jak epizod szkolny z życia Jane. Zresztą w owym czasie powstawanie podobnych, kolejnych zakładów nie było wykluczone i Charlotte Brontë stawiała tu w obronie dziewcząt pokrzywdzonych w imię dobrej woli i pożytku społecznego. Postawiła się na miejscu sieroty niemającej opiekuńczego domu, rozumiała, jak ciężka musiała być udręka takiej duszyczki, skoro cierpiała tak wiele ona, która przecież miała możliwość powrotu do własnego domu.

Teraz właśnie przyjął ją ten dom ukochany z powrotem. Pięć lat, do roku 1830, rodzzeństwo spędza razem. Po południu urządzają przedstawienia i piszą powieści. Dochowały się kajeciki Charlotte, wypełnione drobnym pismem, zawierające całe cykle powieści — systemem Balzaka²⁹⁹, który właśnie zaczynał swoją *Komedię ludzką*³⁰⁰ (Charlotte naturalnie nie wiedziała wtedy o nim nic, a i potem nie poznała jego twórczości), systemem niejako przez nią przeczuwanym, toczące się wokół tych samych postaci. Po roku 1830 znów szkoła. Jest to pensja panny Wooler³⁰¹ w Roe Head³⁰². Epizod to pełen znaczenia dla twórczości Charlotte. Krajobraz z Roe Head jest tłem powieści *Shirley*³⁰³. Jej zasadniczy motyw, sabotaż z lat 1812–13, jest bezpośrednio związany z tą okolicą; opowiadała o tym na tle swoich wspomnień panna Wooler. Ważniejsze od motywów literackich były przyjaźnie. Jedną z przyjaciółek, Mary Taylor³⁰⁴, wprowadza Charlotte do swej rodziny i ta rodzina, pod nazwiskiem York, znajdzie się w powieści *Shirley* jako typowa dla tamtych okolic rodzina średnio-ziemiańska, zainteresowana uprzemysłowieniem kraju — szczególnie w czasach Charlotte Brontë bardzo istotny. Druga przyjaciółka, Ellen Nussey³⁰⁵, jest jeszcze bliższa Charlotte; korespondencja z nią jest ważnym dokumentem w historii rozwoju powieściopisarki. Przyjaźni tej nie osłabił fakt odrzucenia przez Charlotte oświadczyn ze strony brata Ellen, młodego duchownego. Według wszelkich danych Henry Nussey jest pierwowzorem Saint-Johna Riversa z ostatniego epizodu *Dziwnych losów Jane Eyre*, tak jak trio panienek — Jane i siostry Rivers — jest wspomnieniem relacji trzech przyjaciółek z pensji panny Wooler.

I znów po dwóch latach pensji pobyt w domu. Charlotte ma szesnaście lat. Jest za młoda na nauczycielkę prywatną, doksztalca się w domu, uczy się rysować (refle-

²⁹⁷ *Cowan Bridge* — wieś w Anglii, w hrabstwie Lancashire. [przypis edytorski]

²⁹⁸ *inferno* (wł.) — piekło. [przypis edytorski]

²⁹⁹ *Balzac, Honoré de* (1799–1850) — powieściopisarz francuski. [przypis edytorski]

³⁰⁰ *Komedja ludzka* — cykl powieści i opowiadań, których autorem jest Honoré de Balzac (1799–1850). [przypis edytorski]

³⁰¹ *Wooler, Margaret* — w 1830 r. wraz z siostrami otworzyła i prowadziła szkołę w Roe Head. [przypis edytorski]

³⁰² *Roe Head School* — szkoła w Mirfield, w Anglii. [przypis edytorski]

³⁰³ *Shirley* — powieść Charlotte Brontë, opublikowana po raz pierwszy w 1849 r. [przypis edytorski]

³⁰⁴ *Taylor, Mary* (1817–1893) — angielska orędowniczka praw kobiet. [przypis edytorski]

³⁰⁵ *Nussey, Ellen* (1817–1897) — przyjaciółka Charlotte Brontë, z którą pisarka prowadziła ożywioną korespondencję. [przypis edytorski]

sem tego są niezbyt udane kompozycje do *Dziwnych losów Jane Eyre*) i pisze — teraz przede wszystkim wiersze. Zwraca się z prośbą o ocenę do ówczesnego poety laureata³⁰⁶, cenionego, choć nie genialnego poety, Southeya³⁰⁷, dobrego krytyka. Odpowiedź jest pozytywna, ale nie zachęca do dalszej pracy. W roku 1835 pierwsza posada — Charlotte zastępuje swoją dawniejszą przełożoną w niewielkiej pensji w Roe Head. Jest przy niej z początku Emily (którą jednak nostalgia pcha do domu), a potem Anne. W r. 1838 przychodzi chwila rozbitcia domu. Emily pozostaje w Haworth, Anne przyjmuje pracę, o której opowie wkrótce w powieści *Agnes Grey*³⁰⁸. Charlotte dostaje miejsce guwernantki w domu niejakich państwa Sidgwick. Z czasów tego kilkumiesięcznego zatrudnienia pochodzi owa sławna anegdota, jak to jedno z dzieci uderzyło Charlotte książką w czoło (reminiscencję tego zdarzenia znajdziemy w *Dziwnych losach Jane Eyre*, a Charlotte zatuszowała tę sprawę niewinnym kłamstwem i wywołała odruch wdzięczności w dziecku, które rzuciło się jej na szyję z okrzykiem: „Jak ja panią kocham!”. Na ten naturalny odruch matka obruszyła się i rzuciła cierpką uwagę: „Ależ, dziecko, kochać guwernantkę?”. Anegdota ta, opowiadana przez samą Charlotte Elizabeth Gaskell³⁰⁹ (współczesnej powieściopisarki, pierwszej biografce Charlotte), przedstawia symbolicznie ciężkie położenie tej masy kobiet, których jedyną alternatywą w kwestii utrzymania się przy życiu było wtedy albo wyjść za mąż, albo zostać nauczycielką prywatną. Brak innych środków zarobkowania umysłowego dotykał kulturalnie świeżą warstwę. Ojcowie tych panien guwernantek pierwsi dopiero dochodzili do posad umysłowych, stanowili warstwę średniej inteligencji, na którą i wtedy, i długo jeszcze potem, niemal do I wojny światowej, nie było miejsca w strukturze społecznej Anglii. Dla córek tych duchownych, lekarzy, właścicieli małych zakładów naukowych, skromnych prawników jedynie nauczycielstwo prywatne otwierało drogę samodzielnej pracy. Charlotte Brontë, poświęcając tej sprawie swą twórczość, ujmowała w ten sposób całościowo problem pracy kobiecej w tamtym czasie. Kwestia wisiała w powietrzu. W roku 1848 zagadnienie wychowania i wykształcenia kobiety uczyni osią poważnego poematu (*The Princess*³¹⁰) Tennyson³¹¹, uchodzący za nauczyciela swej epoki. Ta sama sprawa stanowi jeden z punktów programu grupy chrześcijańsko-społecznej, prowadzonej przez Charlesa Kingsleya³¹² i Fredericka Denisona Maurice'a³¹³. Maurice jest inicjatorem założenia seminarium dla nauczycielek prywatnych. I tak w 1849 r. powstaje pierwsze, wzorcowe seminarium żeńskie w Anglii — The Queens College for Ladies³¹⁴, w dwa lata po ukazaniu się *Dziwnych losów Jane Eyre*.

Powieści Charlotte Brontë nie są jednak tendencyjne. Nie mogła ich uczynić takimi autorka, która sama przeżyła omawiany problem. Osobiste doświadczenie nie pozwala na doktrynerstwo tendencji. Właśnie z połączenia subiektywnego przeżycia z ogólnym problemem powstają dzieła wielkie, a do nich należy niezaprzeczalnie historia Jane Eyre. Przeżycie doli guwernantki, w którym najważniejszy był fakt świadomości, iż doli tej nie można było zmienić, bolesne poczucie niemocy musiało z natury rzeczy być o wiele bardziej intensywne w duszy autorki niż w duszy przeciętnej ówczesnej młodej panny w takiej samej sytuacji. Poczucie marnowania czasu na szycie bielizny dziecięcej i cerowanie pończoch swych wychowanków było tak samo ciężkie dla pisarki jak świadomość, iż nie może zdobyć się na dobry humor, który według jej słów „należy, zdaje się, do warunków nabywanych wraz z pensją guwernantki”. Z tego borykania się z rzeczywistością wypływa też charakter powieści Charlotte Brontë — poruszając sprawę umysłowej pracy kobiecej, przestacza ją w problem zmagania się z rzeczywistością ze strony kobiety mło-

Pozycja społeczna, Kobieta,
Praca

³⁰⁶poeta laureat (łac. poeta laureatus) — oficjalny poeta dworski. [przypis edytorski]

³⁰⁷Southey, Robert (1774–1843) — angielski poeta romantyczny. [przypis edytorski]

³⁰⁸*Agnes Grey* — powieść Anne Brontë (1820–1849), opublikowana w 1847 r. pod pseudonimem Acton Bell. [przypis edytorski]

³⁰⁹Gaskell, Elizabeth (1810–1865) — angielska pisarka, biografka Charlotte Brontë. [przypis edytorski]

³¹⁰*The Princess* — poemat Alfreda Tennysona (1809–1892) z 1847 r. [przypis edytorski]

³¹¹Tennyson, Alfred — (1809–1892) — angielski poeta postromantyczny. [przypis edytorski]

³¹²Kingsley, Charles (1819–1875) — angielski duchowny, prozaik, poeta i dramaturg. [przypis edytorski]

³¹³Maurice, Frederick Denison (1805–1872) — angielski teolog, pisarz i eseista, jeden z twórców chrześcijańskiego socjalizmu. [przypis edytorski]

³¹⁴*The Queen's College for Ladies* a. *Queen's College* — prywatna szkoła dla dziewcząt w City of Westminster w Londynie, założona w 1848 r. [przypis edytorski]

dej, impulsywnej, pragnącej samodzielności dla swego wyrazu. Problem to bardzo stary i zapewnia jej powieściom, zwłaszcza *Dziwnym losom Jane Eyre*, wieczną trwałość.

Także i druga posada, o wiele lepsza pod względem serdeczności stosunków, nie mogła naturalnie zadowolić Charlotte, dążącej do samodzielności. Dla ratowania się postanowiła założyć w Haworth razem z siostrą niewielki pensjonat dla panien. Żeby zaś wykorzystać element przyciągający panienki do planowanej szkoły, postanowiły zapewnić przyszłym uczennicom doskonałą francuszczyznę i w tym celu udały się obie z Emilią do Brukseli dla dokończenia się w tym języku. W ten sposób doszła do skutku jedyna „przygoda” Charlotte, jej dwuletni pobyt w Brukseli. Nie trwał on bez przerw. W końcu pierwszego roku umarła niespodziewanie ciotka. Po jej pogrzebie powróciła do Brukseli już tylko Charlotte — i to nie w charakterze uczennicy, ale jako nauczycielka języka angielskiego na pensji państwa Héger³¹⁵.

Pobyt ten przyniósł jej bardzo wiele. Pierwszy raz żyjąc dłużej w otoczeniu odmiennym niż dotychczasowe, uzyskała możliwość porównania, której jej dotąd brakowało. Silniej jednak jeszcze wpłynęła na nią znajomość z panem Hégerem, jej nauczycielem języka francuskiego, człowiekiem bardzo wykształconym, dobrym pedagogiem i literatem, o żywym umyśle galijskim, który pojął od razu wysoką intelektualną wartość swej dziwnej uczennicy. Emanuel Paul z *Villette*³¹⁶ jest podobno jego doskonałym portretem, jak z kolei niezbyt pochlebnym portretem pani Héger jest *Madame Beck*, właścicielka pensjonatu z tejże powieści. Na ujemny jej wizerunek wpłynęła niechęć Charlotte do katolicyzmu, który wydawał się jej kierowany wyłącznie przez jezuitów³¹⁷, niecieszących się uznaniem w ówczesnej Anglii. Trzeba sobie przypomnieć, że lata pracy twórczej Charlotte Brontë to okres sporu między odradzającym się w Anglii katolicyzmem a zamierającym powoli anglikanizmem. Są to lata ruchu oksfordzkiego³¹⁸, licznego przechodzenia na katolicyzm za przykładem późniejszego kardynała Newmana³¹⁹, byłego kapłana anglikańskiego. Polemika na tym tle doprowadziła do ostrych starć (występy Kingsleya przeciw Newmanowi) i stosunek Charlotte do katolicyzmu jest całkowicie wytłumaczalny nastrojem tego okresu. Nie wpłynął zaś na ujemny rysunek pani Héger na pewno stosunek osobisty, z początku dobry, potem chłodny, ani uczucie niechęci związane z tym, że była ona żoną nauczyciela Charlotte. Bo jednak — choć tylko nieśmiało możemy to przypuszczać — w sercu Charlotte obudziło się uczucie do pana Hégera. Niewypowiedziane nigdy wprost, przebija ono w wyrazie uległości, dziwnej u tak samodzielnej istoty, jaką była Charlotte Brontë, w tonie jej kilku listów, pisanych do pana Hégera po powrocie do Anglii. Uczucie to pozwoliło jej przeżyć jedno z najpotężniejszych wrażeń: cierpienie miłości, której nie wolno się spełnić. Tragedia Jane i Rochesterera tutaj ma prawdopodobnie swe źródło.

Bruksela dopełniła wykształcenia Charlotte jako nauczycielki, kobiety i powieściopisarki. Z tych trzech stron życia tylko ostatnia miała wkrótce osiągnąć swoje wyżyny. Ale jeszcze kilka lat ciężkiej wędrówki do szczytu czekało prawie trzydziestoletnią już kobietę. Pięknie wydrukowany prospekt nowej szkoły pozostał jedynie dokumentem, nie przyciągnął ani jednej uczennicy. Męczące bezrobocie wypełnione jest przy tym bolesnym widokiem upadku moralnego ukochanego brata. Zawody życiowe, niepoahamowany temperament, zdolności wielkie, ale nieumiejętnie kierowane i nieujęte, sprowadziły Branwella z drogi pracy. Po kilku posadach coraz to gorszych wraca on do domu, obciążony *delirium tremens*³²⁰. Niezawodnie znajomość brutalnej strony życia, taka, jaką widzimy u Rochesterera, jest skutkiem obcowania Charlotte z tym tak gorąco kochanym, nieszczęśliwym bratem, ofiarą zdolności, nieopanowania i warunków życiowych.

³¹⁵Héger, Constantin (1809–1896) i Héger, Claire Zoé Parent (1814–91) — małżonkowie, którzy prowadzili szkołę prywatną w Brukseli. [przypis edytorski]

³¹⁶*Villette* — powieść Charlotte Brontë z 1853 r. [przypis edytorski]

³¹⁷jezuici a. *Towarzystwo Jezusowe* — papieski męski zakon apostołski, założony w 1540 r. [przypis edytorski]

³¹⁸ruch oksfordzki (ang. *Oxford Movement*) — w XIX w. stowarzyszenie członków Kościoła anglikańskiego, skupione wokół Uniwersytetu Oksfordzkiego, mające na celu reformę anglikanizmu. [przypis edytorski]

³¹⁹Newman, John Henry (1801–1890) — duchowny anglikański, a po konwersji katolicki, filozof, teolog, pisarz, lider ruchu oksfordzkiego. [przypis edytorski]

³²⁰*delirium tremens* (łac.) — psychoza występująca u nałogowych alkoholików w fazie abstynencji. [przypis edytorski]

Trzy siostry są znowu razem i razem wstępują na scenę poezji pod pseudonimami Curren, Ellis i Acton Bell (zachowując je i w późniejszej twórczości) jako autorzy zbiorowego tomiku poezji, wydanego w roku 1846. Krytyka przyjęła tomik przyjaźnie, publiczność nie czytała go wcale. Przedsięwzięcie zamiast spodziewanego dochodu materialnego przyniosło tylko straty, tak iż trzy młode poetki, mające już w biurkach powieści gotowe do druku, były zmuszone szukać na nie mecenasów. Sprawa była niełatwa. Wreszcie *Wichrowe wzgórza* autorstwa Emili i *Agnes Grey* Anne znalazły finansowanie na bardzo złych warunkach. *Professor* Charlotte wędrował dalej od jednej firmy do drugiej. Aż zupełnie niespodziewanie z nowego wtedy wydawnictwa Smith i Elder³²¹ przyszła pełna nadziei odpowiedź: przesłany rękopis jest za krótki na gust publiczności, jeśli jednak „autor” ma powieść trytomową, to firma podejmie się publikacji. W ciągu kilku tygodni znalazł się rękopis *Dziwnych losów Jane Eyre*, gotowy już w chwili owej odpowiedzi prawie zupełnie, w kancelarii firmy Smith i Elder. Przez kolejne trzy wieczory przeczytali go, pochłonięci impetem nowego talentu, kierownik literacki firmy, kierownik handlowy, pan Taylor (który potem oświadczył się o rękę Charlotte, ale podobnie jak dwaj poprzednicy nie zyskał jej uczucia) i wreszcie sam właściciel, pan George Smith, który nie dowierzał entuzjastycznym pochwałom swych pomocników. Powieść została zakupiona i wydana w ciągu sześciu tygodni, a w ciągu następnych sześciu wyprzedana całkowicie w pierwszym nakładzie (1847).

Krytyka, uznająca wielki talent „autora”, czyniła jednak zastrzeżenia co do moralności treści. To stanowisko krytyczne jeszcze się zaostrzyło, gdy zaczęto dowiadywać się, iż powieść wyszła spod pióra kobiety. Uważano, że Rochester, bigamista w intencji, nie został dostatecznie ukarany, nie traci bowiem kobiety, którą kochał, lecz przypadkowo nabawia się kalectwa. Ale właśnie ten zarzut potwierdza tragiczność pomysłu powieściopisarki. Nie istnieje możliwość wydania bezspornego sądu, czy jest czy nie ma winy w tej sprawie. Jest to konflikt uczucia, mocniejszego niż śmierć, z układem stosunków społecznych, na ogół słusznym, ale w tym indywidualnym wypadku niezasadnym. Jest to walka namiętności głębokiej, obejmującej całego człowieka z ciałem i duszą, z przeszkodą tylko formalnie istotną, a jednak niedającą się usunąć. Wina Rochester’a zostaje pomniejszona do możliwie małych rozmiarów, jeżeli w ogóle istnieje. Miłość do Jane odkupuje jego złe życie, któremu on tylko pośrednio był winien, a jego próbę ratowania żony trzeba przypisać wpływowi uczucia do małej nauczycielki. Rysunek Rochester’a i Jane, jakkolwiek mógłby być z punktu widzenia moralności społecznej traktowany, pokazuje nam głębokie wniknięcie w pasję ludzkiego serca, w namiętność mężczyzny i kobiety. Jest to owo zrozumienie pierwotności instynktów (cechujące przede wszystkim *Wichrowe wzgórza*), wyniesione przez siostry pisarki z zasłuchania się w szum wiatru górskiego, z obcowania z surową naturą rodzimych pagórków, z sieroctwa, w którym dorastały, z samotności i samorodności geniuszu. Stąd płynęła owa śmiałość w wypowiedzaniu się, śmiałość, która tak przerażała, a zarazem zachwycała pierwszych czytelników ich powieści. Z obcowania z pierwotną naturą wynika też główny wątek w zakończeniu historii Jane — motyw telepatii. W literaturze światowej jest to jeden z nielicznych przykładów użycia tego motywu w powieści w sposób przekonujący.

Drobne niezręczności w konstrukcji powieści zasłaniała krytyce współczesnej, jak i zasłania dzisiejszemu czytelnikowi, prawda przeżycia, zawarta w poszczególnych epizodach powieści, których wewnętrzna budowa jest arcydziełem. Powodzenie było zasłużone i przyniosło autorce cały szereg najlepszych i najmiłszych przyjaźni literackich, jak wielkiego powieściopisarza Thackeraya³²², Elizabeth Gaskell, historyka filozofii G. H. Lewesa³²³ i innych. Powodzenie to pozwoliło jej też pracować spokojnie nad następną powieścią i przetrwać, stworzywszy dla Charlotte cel istnienia, straszne lata 1848–1849, znaczone kolejnymi zgonami trojga rodzeństwa, zakończone jej pełnym osamotnieniem przy boku starego ojca. Ślady cierpienia i smutku widnieją bardzo wyraźnie w powieści, której bohaterka, Shirley, jest wyidealizowanym portretem Emili. Po tej publikacji przyszły lata względnie szczęśliwe, a przynajmniej spokojne. Odwiedziny w Londynie,

³²¹Smith, Elder and Co. — brytyjskie wydawnictwo założone przez George’a Smitha (1789–1846) i Alexandra Eldera (1790–1876), publikujące od 1826 roku. [przypis edytorski]

³²²Thackeray, William Makepeace (1811–1863) — brytyjski pisarz, dziennikarz i satyryk. [przypis edytorski]

³²³Lewes, George Henry (1817–1878) — angielski filozof, krytyk literacki i teatralny. [przypis edytorski]

Manchesterze³²⁴ i u znajomych przerywają od czasu do czasu samotne życie w Haworth, które zaczyna nieco dokuczać pisarce. Powoli powstaje trzecia powieść, *Villette*. W niej Charlotte osądziła samą siebie dość surowo, dając w ten sposób zadośćuczynienie za wyidealizowanie autoportretu w *Dziwnych losach Jane Eyre*. Sposobem stosowanym dość często w autobiograficznych utworach autorka „rozdwoiła” siebie, przeciwstawiając swej prawdziwej istocie tę wymarzoną. Mała Polly Home, która na naszych oczach wyrasta z poważnego dziecka na panienkę, umiejacą godzić powagę życia z głębią uczucia, jest jej ideałem, ale tego ideału nie spełnia Lucy Snowe, szukająca niespokojnie ostoi życia, w której rysunku autorka zawarła samokrytykę. Zakończenie powieści jest, wbrew zasadzie obowiązującej wtedy angielską twórczość, smutne. Emanuel Paul ma powrócić po kilkuletnim pobycie z kolonii do kraju, aby się ożenić z czekającą na niego Lucy, ale ginie w katastrofie okrętu. Charlotte Brontë nie umiała rozminąć się z prawdą życia i swój stosunek uczuciowy do pana Hégera zakończyła akordem smutnej rezygnacji na ostatniej stronie *Villette*.

Powieść ta przyniosła jej zupełne wyzwolenie od uczucia, jeżeli ono jeszcze istniało w czasie tworzenia tekstu, i kiedy po dłuższej trwającym staraniu się o jej rękę ze strony wikarego z Haworth, Arthura Bella Nichollsa³²⁵, i po pokonaniu oporu ojca, zawarła ślub w czerwcu 1854, poczuła się po raz pierwszy w życiu szczęśliwa. Ale szczęście nie trwało długo. Po krótkiej chorobie, w następstwie kilkutygodniowego osłabienia, zasnęła spokojnie w dniu 31 marca 1855 r. Widocznie spełniła już swoje zadanie wypowiedzenia bólu, zmagania się samodzielnej, pełnej pasji, kobiecej duszy z otaczającym światem. Wielki pisarz, znawca życia moralnego i społecznego i oddany przyjaciel Charlotte — Thackeray — podziwia we wspomnieniu pośmiertnym o niej „jej płomienną miłość prawdy, odwagę, prostotę, oburzenie na krzywdy, żywe współczucie, spokojną a głęboką miłość i poszanowanie, pełen pasji, jeżeli się można tak wyrazić, honor kobiety”. Kto to zawarł w swoim dziele — a Charlotte Brontë to uczyniła — ten wypełnił dobrze i całkowicie zadanie wielkiego artysty.

*Andrzej Tretiak*³²⁶

³²⁴Manchester — miasto i dystrykt metropolitalny w pln.-zach. Anglii. [przypis edytorski]

³²⁵Nicholls, Arthur Bell (1819–1906) — angielski duchowny, mąż Charlotte Brontë. [przypis edytorski]

³²⁶Tretiak, Andrzej (1886–1944) — polski filolog, historyk literatury angielskiej, profesor na Uniwersytecie Warszawskim. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/bronte-dziwne-losy-jane-eyre/>

Tekst opracowany na podstawie: Charlotte Brontë, *Dziwne losy Jane Eyre*, t. I i II, tłum. J. Świdowska, nakład Księgarni Św. Wojciecha, [1930] (Poznań : tłoczono w Drukarni Św. Wojciecha).

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową w Warszawie z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Biblioteki.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Danuta Pustówka, Elżbieta Sekuła, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-7093-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.